ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁag

1918-1956

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ 1974

ARCHIPELAG GUŁag

Ze ściśniętym sercem całe lata powstrzymywałem się od publikacji tej książki, dawno już gotowej: poczucie odpowiedzialności wobec żywych przeważało nad poczuciem obowiązku wobec umarłych. Ale teraz, kiedy bezpieczeństwo państwowe i tak już dostało ten tekst, nie mam innego wyjścia, jak niezwłocznie go wydrukować.

A. SOŁŻENICYN

Wrzesień 1973

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 247

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁag

1918-1956

PRÓBA ANALIZY LITERACKIEJ

Przełożył z rosyjskiego
MICHAŁ KANIOWSKI

I - II

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ 1974

Tytuł oryginału:

ARCHIPELAG GUŁag

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Krąg pierwszy, 1970, 1972 (Dwa wydania)

Oddział chorych na raka, 1971, 1973 (Dwa wydania).

BIBLIOTEKA NARODOWA
LN
T. 1.
II. 1. 990. 416
chr.

WORLD © 1973 by Alexandre Soljenitsyne
© Pour la langue polonaise INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1974

1978 W 958/3a

W tej książce nie ma zmyślonych osób, ani zmyślonych wydarzeń. Ludzie i miejscowości noszą swoje własne imiona. Jeśli użyte są inicjały, to tylko z prywatnych powodów. Jeśli imion brak zupełnie, to tylko dlatego, że ludzka pamięć ich nie zachowała — wszystko zaś właśnie tak *było.*

OD AUTORA

W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym trafiliśmy z przyjaciółmi na zastanawiającą notatkę w czasopiśmie Akademii Nauk *Przyroda*. Pisano tam drobną czcionką, że nad rzeką Kołymą, w trakcie prac wykopaliskowych została znaleziona podziemna tafla lodu — zamarły, prehistoryczny potok — a w niej zamarznięte (kilkadziesiąt tysięcy lat temu) okazy fauny kopalnej. Ryby te, czy może płazy, zachowały się tak dobrze, wydawały się tak świeże — informował uczony korespondent — że obecni przy tym, po rozbiciu lodu, zjedli je zaraz z OCHOTĄ.

Nielicznych swoich czytelników pismo zapewne wprawiło w niemałe zdziwienie wiadomością o tym, jak długo może rybie mięso trzymać się w lodzie. Ale tylko niewielu z nich mogło wniknąć w iście epicki sens ryzykownej notatki.

Myśmy zrozumieli od razu. Cała scena zarysowała się nam ostro, do najdrobniejszych szczegółów: jak owi o b e c n i z pośpieszną zawziętością rąbali lód, jak mając za nic szlachetne cele ichtiologii i roztrącając się łokciami, wyrywali sobie wzajem kęsy tysiącletniego ścierwa, wlekli je do ogniska, aby tam odtajało, i aby można było się nim nasycić.

Zrozumieliśmy to od razu, ponieważ sami należeliśmy do tych OBECNYCH, do tego jedynego w świecie, niezliczonego plemienia z e k ó w, które samo jedno tylko było zdolne zjeść z OCHOTĄ płaza.

Kołyma zaś była największą i najdalej słynącą wyspą, lutym biegunem tego zadziwiającego kraju GUŁag, który wolą geografii rozdarty był na kształt archipelagu, ale psychologia spajała go w kontynent — kraju prawie niewidzialnego, prawie nieuchwytnego dla zmysłów, tego właśnie, który zamieszkiwał lud zeków.

Archipelag ten rozrzutem swoich plam pobryzgał i upstrzył kraj, z którego się wynurzył, werżnął się w granice jego miast, zasmużył cieniem jego drogi, a jednak ten i ów w ogóle nie domyślał się jego istnienia, bardzo wielu coś ledwie słyszało, a wiedzieli wszystko tylko ci, co tam niegdyś byli.

Ale milczeli tak, jakby na wyspach Archipelagu utracili mowę.

Nieoczekiwany zwrot w naszych dziejach sprawił, że ujawniła się jakaś drobna, znikomo mała część prawdy o Archipelagu. Ale te same ręce, które nakładały nam kajdany, teraz wystawiają dłonie pojednawczym gestem: „Nie trzeba!... Dajcie spokój przeszłości!... Kto starą złość wspomni bodaj oko stracił!". Ale to porzekadło ma ciąg dalszy — „A kto ją zapomni — bodaj obu nie miał!".

Mijają dziesięciolecia — i niepowrotnie zlizują blizny i szramy przeszłości. Niejedna wyspa przez ten czas rozpadła się, rozpłynęła, polarny ocean zapomnienia przetacza się nad nią. I kiedyś, w wiekach co nadejdą, Archipelag ten, jego aura i kości jego mieszkańców, wmarznięte w taflę lodu — wydadzą się potomkom resztkami jakiegoś nieprawdopodobnego płaza.

Nie ośmielę się pisać tu historii Archipelagu: nie zdołałem przeczytać dokumentów. Ale czy ktokolwiek zdoła je kiedykolwiek przeczytać?... Ci, co to nie mają chęci na WSPOMNIENIA dość już mieli (i mieć jeszcze będą) czasu, aby zniszczyć je do szczętu.

Te lat jedenaście, którem tam spędził, rozumiem nie jako hańbę, nie jako przeklęty sen; nie, zdążyłem polubić prawie ten pokraczny świat; teraz zaś na dobitkę stałem się przez szczęśliwy przypadek powiernikiem wielu późniejszych opowiadań i przekazów pisemnych — może zatem potrafię dowlec do innych choć trochę tych kości i mięsa — zresztą żywego, bo i płaz jeszcze dziś jest żywy.

◆

Napisanie tej książki przekraczało miarę sił jednego człowieka. Prócz tego, co wyniosłem z Archipelagu sam — w oczach i uszach, w pamięci, na własnej skórze — materiał do tej książki dali mi w postaci opowiadań, wspomnień i listów

(tu następuje spis 327 nazwisk)

Nie wyrażam im tu mojej prywatnej wdzięczności: to ma być wspólnie przez nas wzniesiony pomnik dla wszystkich zamęczonych i zabitych.

W tym spisie chciałbym szczególnie wyróżnić tych, którzy wiele się napracowali, pomagając mi, aby ta rzecz oparta była na bibliograficznych danych, wziętych z książek, już dawno usu-

niętych ze współczesnych bibliotek i zniszczonych, tak, że odnalezienie zachowanego jakoś egzemplarza wymagało wielkiej wytrwałości; jeszcze bardziej zaś tych, którzy pomogli ukryć ten rękopis w trudnych momentach, a później go przepisać.

Ale jeszcze nie nadszedł czas, w którym ośmieliłbym się wymienić ich nazwiska.

Dawny więzień sołowiecki Dymitr Piotrowicz Witkowski miał być redaktorem tej książki. Jednak pół życia, które TAM spędził (jego wspomnienia obozowe tak się też nazywają — „Pół życia") odbiło się na nim w postaci przedwczesnego paraliżu. Już pozbawiony mowy — mógł on przeczytać tylko kilka zakończonych rozdziałów i przekonać się, że o wszystkim BĘDZIE POWIEDZIANE.

A jeśli długo jeszcze nie przetrze się światło wolności w naszym kraju, to i przekazywanie tej książki z rąk do rąk będzie bardzo niebezpieczne — tak, że również przyszłym czytelnikom powinienem pokłonić się z wdzięcznością — w imieniu t a m t y c h, co zginęli.

Kiedy zaczynałem pisać tę książkę w 1958 roku, nie znałem jeszcze niczyich wspomnień, ani utworów literackich o obozach. W ciągu lat pracy, zakończonej w 1967 roku, stopniowo poznałem „Opowiadania kołymskie" Warłama Szałamowa i wspomnienia D. Witkowskiego, J. Ginzburg, O. Adamowej-Sliozberg, na które powołuję się w książce, jako na fakty literackie ogólnie znane (tak też koniec końców będzie!).

Wbrew swoim zamiarom, wbrew własnej chęci — dostarczyli nieocenionych materiałów do tej książki, dali pojęcie o wielu ważnych faktach, a nawet cyfrach i wreszcie o atmosferze, którą oddychali: M. Sudrab-Łacis i N. W. Krylenko — naczelny oskarżyciel publiczny w ciągu długich lat; jego następca — A. J. Wyszyński, ze swoimi wspólnikami-prawnikami, wśród których nie sposób nie wyróżnić J. L. Awerbacha.

Materiałów do tej książki dostarczyło także TRZYDZIESTU SZEŚCIU sowieckich pisarzy z MAKSYMEM GORKIM na czele — autorów haniebnej książki o Kanale Białomorskim, pierwszego w rosyjskiej literaturze dzieła, sławiącego pracę niewolniczą.

POŚWIĘCAM
wszystkim, którym życia nie starczyło aby o tym opowiedzieć.
I niechaj mi wybaczą że nie wszystko dostrzegłem, nie wszystko sobie przypomniałem, nie wszystkiego się domyśliłem.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

BOSKA GORYCZ ALEKSANDRA SOŁŻENICYNA

Już przy lekturze drugiej strony tej książki zapomniałem wszystko, co mi o niej było wiadome z drugiej, trzeciej czy czwartej ręki: z zapowiedzi wydawniczych oraz komentarzy, które poświęcone były jednak raczej sprawie Sołżenicyna niż samej książce; zapomniałem o komentarzach lewicy, prawicy i centrum, o wszelkich komentarzach.

Wszystko jest zapomniane, zarówno owe zaliczkowe peany jak i opluwanie na zapas, gdy tylko samemu zagłębi się w tę książkę, dosłyszy prawdziwy głos autora, zwolna poznaje jej oryginalną instrumentację i budowę.

Oto nareszcie książka, którą — mam nadzieję — przeczytają wszyscy tak autorytatywnie wypowiadający się na omawiany w niej temat i zainteresowani nie tylko samą sprawą Sołżenicyna; mam też nadzieję, że przeczytali ją ci wszyscy w Związku Sowieckim, którzy się o niej publicznie wypowiadali: panowie Żukow, Czakowski i Simonow. Ciekawe byłoby wiedzieć, czy to służba bezpieczeństwa dostarczyła im do domów fotokopie rękopisu, w oparciu o które mogli nie tylko sformułować lecz także uzasadniać swoje druzgoczące oceny?

Choć z góry było wiadome jak wypadną te — oficjalne i półoficjalne — oceny, to jednak dopiero czytelnicy rosyjscy byliby naprawdę w stanie stwierdzić, w oparciu o doświadczenia własne i swoich bliskich, czy Sołżenicyn we właściwy sposób odtworzył ten ponury okres historii sowieckiej; gdyż — jak wyraził się on sam w „Archipelagu GUŁag" — ten wyspiarski świat obozów karnych rozciągał się na cały kraj, werżnął się w granice jego miast, zasmużył cieniem jego drogi, był obecny wszędzie i dziś jeszcze jest obecny wszędzie. Można go też nazwać nieustanną obecnością minionego strachu.

Sołżenicyn dał swej książce podtytuł „Próba artystycznego przezwyciężenia" i jeśli pod koniec lektury czytelnik zada sobie pytanie: czy próba ta się powiodła? — odpowiedź brzmieć musi: tak, tak i jeszcze raz tak.

I to artystyczne przezwyciężenie zawdzięczamy nie tylko gniewnemu moraliście, lecz przede wszystkim pisarzowi, który dał nam — niemal jako produkt uboczny — mistrzowski przykład tego, co zwykło się nazywać literaturą faktu. W książce tej nic nie jest zmyślone. Materiał — straszliwy materiał! — był przecież do dyspozycji. Był do dyspozycji dla setek tysięcy, dla milionów innych. Z blisko trzydziestu milionów uczestników ostatniej wojny w Europie także ledwo trzydziestu lub czterdziestu zdołało napisać godne uwagi książki o wojnie, dokumentarne i fabularne, choć materiał — i to jaki materiał! — był do dyspozycji dla trzydziestu milionów, wystarczyło wyciągnąć rękę.

Nie ma więc większego znaczenia, jeśli materiał jest do dyspozycji, niejako pod ręką, i mało też znaczy, jeśli ktoś pilnie zbiera zeznania i dokumenty. I choćby te dokumenty „mówiły same za siebie", to jednak muszą być one jeszcze „ubrane w słowa", co właśnie uczynił Sołżenicyn w „Archipelagu GUŁag". Wciąż jeszcze autor tworzy z materii, a nie materia tworzy autora.

W książce tej nic nie jest zmyślone, jest to po prostu niezwykły zbiór, ogromna kopalnia faktów. Tam zaś, gdzie Sołżenicyn skazany był na domysły lub przybliżone dane, wyraźnie to zaznacza, przy czym niektóre oceny liczbowe podane są z precyzją świadczącą, że autor jest przedstawicielem nauk ścisłych. To samo jednak nie byłoby jeszcze dostatecznym wytłumaczeniem, gdyż przedstawicieli nauk ścisłych jest wielu, niewielu jednak, którzy tak po mistrzowsku opanowali język i potrafią się nim posługiwać.

Te wstępne uwagi wydają mi się istotne, ktoś bowiem mógłby powiedzieć: to nie sztuka napisać tego rodzaju książkę, mając *taki* temat. Jednakże temat nie czyni jeszcze z książki dzieła artystycznego. „Archipelag GUŁag" nie jest zresztą pierwszym utworem na ten temat. Miał on wielu prekursorów. Nie tylko powieści i opowiadania samego Sołżenicyna. Była już „Marszruta jednego życia" Jewgenii Ginzburg, był „Pusty dom" Lidii Czukowskiej, opowiadania obozowe W. Szałamowa o osławionym paragrafie 58, było „Zmarnowane życie" Susanne Leonhardt, i wiele innych.

Żadnej z nich „Archipelag GUŁag" nie odbiera rangi i ważności. Sołżenicyn pragnął — i udało mu się — stworzyć pomnik bezimiennej masy tych, którzy nie potrafili posługiwać się językiem lub też zostali zmuszeni do zamilknięcia na zawsze nim jeszcze zdołali podnieść swój głos. Jest to kronika, której opublikowanie miało zwrócić uwagę światowej opinii publicznej

i zapewnić ochronę tym, którzy wymienieni są w tej książce, którzy byli ofiarami GUŁagu i którzy jeszcze żyją; ma to być „wspólnie przez nas wzniesiony pomnik dla wszystkich zamęczonych i zabitych". Jakiekolwiek względy wobec władz sowieckich czy też surowa bezwzględność wobec nich — obie postawy, jak również niezliczone warianty obu tych postaw — stają się w obliczu tej książki drugorzędne. Oskarżona jest tutaj nie sowiecka współczesność, lecz wciąż tląca się w niej przeszłość.

„Archipelag GUŁag" to dokumentarne świadectwo terroru, który Sołżenicyn tak opisuje: „zostajesz aresztowany przez pielgrzyma, który na rany Chrystusa zaklinał cię, żebyś mu pozwolił przenocować pod twoim dachem; zostajesz aresztowany przez montera, który przyszedł sprawdzić licznik; aresztuje cię rowerzysta, który potrącił cię na ulicy; konduktor w pociągu, kierowca taksówki, urzędnik kasy oszczędności i bileter w kinie — każdy z nich aresztuje cię i dopiero po niewczasie możesz sobie obejrzeć głęboko schowaną legitymację koloru bordo".

Trudno mi zakwalifikować tę książkę: żadna z będących do dyspozycji kategorii nie jest, moim zdaniem, dostatecznie trafna. Gdyby słowo „boski" nie było źle zrozumiane jako pochodzące ze słownika sybarytów (boskie jedzenie, boskie kobiety, boskie party, boskie ubrania i napoje), odważyłbym się mówić o „boskiej goryczy Sołżenicyna". Humor? Tak — póki ma wymiary nadziei i dobroci, i nie jest mylony ze złośliwą urągliwością takiego Wilhelma Buscha, która zawsze niemal upadla.

W książce Sołżenicyna przywrócona została godność człowieczа tym wszystkim, których sędziowie śledczy i dozorcy nazwali i przekształcili w „robactwo", milionom więźniów politycznych, których w poniżających warunkach oddano na łaskę i niełaskę kryminalistów. Nie brak w niej też uwag o niszczących konsekwencjach *każdej* próby ideologicznego usprawiedliwienia zbrodni. Cytuję: „Tak więc inkwizytorzy powoływali się na chrześcijaństwo, zdobywcy na miłość ojczyzny, kolonizatorzy na cywilizację, hitlerowcy na rasę, jakobini (dawniejsi i późniejsi) na równość, braterstwo i szczęście przyszłych pokoleń". Naturalnie, że tego rodzaju uwagi o zbrodniczych następstwach ideologicznych uzasadnień nie mogą być opublikowane w Moskwie. A może osławiony pan Aleksander Czakowski poświęci kiedyś temu tematowi artykuł wstępny w swojej *Literaturnej Gaziecie?*

Podobnie też — ponieważ Sołżenicyn nie tylko uważa to za swój obowiązek, ale musi być zgoła szalony, żeby zajmować się tego rodzaju potencjalnymi konfliktami — szczególną uwagę poświęcił on sprawie armii Własowa. Konflikt generała, którego armię w haniebny sposób zmarnowano, który sam siebie i innych łudził co do rzeczywistej natury hitlerowców; i w Moskwie na pewno przeoczono lub też *chciano przeoczyć* najbardziej istotny fragment, który brzmi: „Los obszedł się z nimi jeszcze gorzej, stali się najbardziej nędznymi pionkami na szachownicy. W swej

całej pyszałkowanej arogancji Niemcy pozwolili im jedynie umierać za *Trzecią Rzeszę;* myślenie o rosyjskiej niepodległości było im zakazane".

Dzisiaj mówi się, że to wszystko nie istniało: nie było ani konfliktów psychicznych, ani poplątanych losów ludzkich, i właśnie fakt, że Sołżenicyn przywrócił te pojęcia uznano w Moskwie za jego największą winę. Przykre jest — to prawda — porównanie MGB-Gestapo, które ja osobiście dostrzegłem w jednym tylko jedynym przypadku emigranta i prawosławnego kaznodziei A. I. Dywnicza. Cytuję ten wątpliwy fragment: „Wnioski Dywnicza wypadły na niekorzyść MGB: torturowano i tu i tam, jednak Gestapo mimo wszystko próbowało dojść prawdy, i kiedy oskarżenie upadło, wypuścili go. Dla MGB prawda nie miała znaczenia i raz aresztowanego nigdy już nie wypuszczało ze swoich szponów".

Wydaje mi się, że Sołżenicyn nie miał tu na myśli Gestapo w ogóle, lecz tylko konkretny przypadek Dywnicza, który jednakowoż był emigrantem i prawosławnym kaznodzieją, i dlatego dla przesłuchujących go gestapowców zapewne nie całym, lecz tylko pół-podczłowiekiem. Możliwe, że Sołżenicyn w gniewie użył tu nieco zbyt ogólnego sformułowania, nie chodzi jednak o to, aby wyrównywać lub przyrównywać dwa narodowe konta.

Niedawno przeczytałem książkę H. G. Adlera „Der verwaltete Mensch. Studien über die Deportation der Juden aus Deutschland" (Człowiek administrowany. Studium o deportacji Żydów z Niemiec). Jest to wystarczający materiał informacyjny o metodach stosowanych przez Gestapo. Możliwe, że istniał ten lub ów, albo może nawet kilku urzędników Gestapo, którzy nie byli tak całkiem źli.

Gestapo jednak było dostatecznie złe i Sołżenicyn nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Tego rodzaju porównania to nie tylko sprawa drażliwa, są one w ogóle nie do przeprowadzenia, gdyż nie można dokonać bilansu, ani przyrównać wszelkich historycznych różnic: do czego dochodzi jeszcze różnica między torturowaniem z przyczyn ideologicznych i mordowaniem z pobudek rasistowskich. Na dodatek zrodzić się może straszliwa rywalizacja — zwłaszcza gdy rozgrywka toczy się między Rosjanami i Niemcami — polegająca na tym, że jeden mówi: „U nas było gorzej", a drugi na to: „Nie, to u nas było gorzej". Nie sądzę aby słuszne było tego rodzaju wyrównywanie kont.

Z całą pewnością można stwierdzić — a po lekturze „Archipelagu GUŁag" nikt nie będzie miał co do tego najmniejszej chyba wątpliwości — że Sołżenicyn nie bagatelizuje ani jednej ze zbrodni hitlerowskich. „Wspólne nasze wspomnienia — pisze on — to owe pełne zgnilizny bagno. Jeszcze dzisiaj, choć już bez gniewu i odrazy, zachowujemy w naszych przez dziesięciolecia, w ukojonych już sercach owe niezatarte wspomnienia: podłych, złośliwych, nikczemnych i — być może — zbłąkanych ludzi".

Pozostańmy przy tym stwierdzeniu, które zresztą dotyczy obu grup, i owego pojednawczo-ludzkiego, w cudzysłów ujętego, „być może", i zrezygnujmy z narodowych rywalizacji między Rosjanami i Niemcami, których celem miałoby być jedynie stwierdzenie, gdzie było gorzej. Bezsensowne jest wygrywanie jednego okrucieństwa przeciw drugiemu, a dla dzisiaj torturowanych Chilijczyków, Hiszpanów, Greków czy Brazylijczyków owe niezmierzone morze dawnych okrucieństw niemieckich czy sowieckich nie stanowi najmniejszej nawet pociechy.

Jeśli pominiemy to jedno drobne nieporozumienie, polegające na tym, że Sołżenicyn zamiast „Gestapo" powinien był napisać „ten oto konkretny urzędnik Gestapo", wówczas w całej liczącej ponad 600 stron książce nie znajduję ani jednego fałszywego tonu. Wyjątkowość tej książki polega także na jej kompozycji, intonacji i instrumentacji; na uogólniającym przedstawieniu rozwoju sowieckiego ustawodawstwa, orzecznictwa sądowego i więziennictwa, i na odpowiednim dobraniu materiałów dokumentacyjnych, które, będąc w większości *odtworzeniem* relacji, nie są cytowane w fałszywej dosłowności, lecz stanowią stylistyczne perełki, również w swojej skrótowości.

Mocno w całości osadzone, oszczędnie użyte są małe, „czysto" literackie fragmenty: z miejsca gdzie więźniowie odbywali spacery, „widać było tylko komin, wartownika na wieży siódmego piętra i wreszcie ten nieszczęsny kawałek bożego nieba, któremu dane było rozciągać się nad Łubianką". Lub o Stalinie: „Czyżby chodziło mu o zbawienie duszy? Na to było za wcześnie". Albo: „Dzień rozdzielał więźniów, noc zbliżała ich do siebie". Nawiązując do więźniarskiego kuferka, na którym odkrywał stare ślady, pisze: „Rzeczy przewyższają nas w swym nigdy-nie-zapominaniu". I właśnie musi dopiero przyjść ktoś, kto potrafi ujawnić i wyrazić słowami to, czego rzeczy nigdy nie zapominają! A pośród tego z boską goryczą prezentowanego wyliczania i opisywania najbardziej ohydnych wydarzeń, nagle cytowany jest wiersz Majakowskiego:

„I ten kto nie śpiewa dziś razem z nami;
Ten jest
przeciwko
nam

W toku lektury tej książki coraz jaśniejsze się staje, dlaczego Związek Sowiecki jest krajem, w którym najmniej pisze się o Watergate. W prasie sowieckiej Watergate staje się rozwodnioną zupką, a przecież ani dla zainteresowanych ani dla zaskoczonych tą historią, bynajmniej nie była ona obojętna; porównania zawsze jednak kuleją. Jeśli pan Żukow, komentator sowieckiej telewizji, zarzucił Sołżenicynowi, że ciągle grzebie tylko w przeszłości, to chciałbym przypomnieć panu Żukowowi pewnego hrabiego nazwiskiem Lew Tołstoj, który w pięćdziesiąt lat po bitwie

pod Borodino „grzebał w przeszłości", a to co z tego wyrosło nosi tytuł „Wojna i pokój". I jeśli nieoceniony pan Czakowski mówi i pisze: „Czas pracuje dla nas" — to mogę jedynie mieć nadzieję, że ten cyniczny dowcip okaże się kłamliwy i że Sołżenicyn będzie miał rację, pisząc: „Z czasem prawda wyjdzie na jaw. Któż bowiem zdoła ją zatrzymać?"

Nie ulega wątpliwości, że w „Archipelagu GUŁag" podjęta została nie tylko destalinizacja, lecz także deleninizacja; obaj „ojczulkowie rewolucji" dostają po łapach i obu zaglądamy przez ramię. Po pierwszym rozdziale, w którym nakreślił ogólne ramy tematu, Sołżenicyn pokazuje rozwój sowieckiego ustawodawstwa, sądownictwa i więziennictwa — generalnie i na konkretnych przykładach, rozdział za rozdziałem, z cytowaniem niezliczonych faktów. Wszystko jest udokumentowane, a źródła — głównie Lenin i Krylenko, znacznie rzadziej Stalin — są podane precyzyjnie.

Kara śmierci zostaje zniesiona, znów wprowadzona, ponownie zniesiona i od nowa wprowadzona, przy czym nawet wtedy, gdy była oficjalnie zniesiona, stosowano ją nadal. Długa jest lista różnej kategorii „przestępców": mamy więc Buriat-Mongołów, Kazachów, Tatarów, Bałtów, ale są też członkowie innych partii, ludzie kradnący kłosy na polach, „kobiety, które nie odcięły się od swych mężów", są „nielegalni słuchacze radia", „Afrykanie" (dobrowolcy z armii Rommla), jest „główny strumień Moskwiczan", są ci którzy odmawiali denuncjowania, recydywiści, „mściciele dzieci", „pogranicznicy", maksymaliści", kułacy, „nie chcący uprzedzać faktów", przynależni do „partii przemysłowej", rzemieślnicy.

Są też rozważania o sztuce aresztowania: „Aresztowanie w dzień lub w nocy; w domu, na służbie, w biurze, przy pracy i w drodze do pracy na ulicy; pierwsze i powtórne; indywidualne i grupowe; aresztowania różnią się od siebie w zależności od stopnia pożądanego zaskoczenia i spodziewanej siły oporu (choć w dziesiątkach milionów przypadków nie stawiano żadnego oporu i żadnego się też nie spodziewano). Aresztowania różnią się w zależności od ważności zaplanowanej rewizji, konieczności (czy jej braku) spisywania skonfiskowanych przedmiotów, opieczętowania izby czy całego mieszkania — jakaś konieczność zawsze istnieje; w zależności od tego, czy na dalszym etapie trzeba będzie aresztować żonę w ślad za mężem a dzieci oddać do sierocińca, lub może zesłać do obozu resztę rodziny, w tym także dziadków staruszków".

Oczywiście, nie brak przy tym absurdów, które czasem prowadzą do śmieszności i może rzeczywiście jest to właśnie sowiecka specjalność: „Po aresztowaniu orientalisty Newskiego skonfiskowano tanguckie rękopisy, za których odcyfrowanie zmarły odznaczony został w dwadzieścia lat później nagrodą Lenina!" Na pewnej rejonowej konferencji partyjnej okręgu mos-

kiewskiego wybuchły na sali „burzliwe przechodzące w owację oklaski" dla Stalina. Klaskano trzy, cztery, pięć minut — nikt nie ważył się przerwać, klaskano więc przez jedenaście (!) minut, aż obecny na sali dyrektor pewnej fabryki papieru w tej właśnie jedenastej minucie przestał klaskać ku powszechnej uldze wszystkich obecnych. Najbliższej nocy aresztowano go, dostał swoje dziesięć lat i napomnienie sędziego śledczego: „A na przyszłość nigdy nie przestawaj klaskać pierwszy".

Oto historia słynnego biologa Timofiejewa-Rosowskiego (wykroczenie: odmowa powrotu do kraju), którego najbardziej gniewała woda na herbatę rozlewana na ziemi w Łubiance. „Uznał to za zaskakujący przykład zawodowego braku zainteresowania personelu więziennego (jak również i nas wszystkich, obojętnie czym kto się zajmował). Pomnożył dwadzieścia siedem lat istnienia Łubianki przez 730 rocznie, a potem przez sto jedenaście cel i długo jeszcze złościł się, że wygodniej było w dwóch milionach stu osiemdziesięciu tysiącach wypadków rozlewać wrzątek na ziemię i miejsce to równie często wycierać do sucha, niż zaopatrzyć wiadra w dzióbki do nalewania".

Jest tam także okrutny, choć jakże znamienny dowcip o szefie konwoju, który pyta więźnia, za co też dostał te swoje dwadzieścia pięć lat, a ten odpowiada: „za nic", na co szef poucza go: „Nie kłam. *Za nic dostaje się tylko dziesiątkę*". Nie zapomniana jest młoda socjalrewolucjonistka Jekaterina Olickaja, która w 1924 roku uważała, że *nie jest godna* więzienia — cóż bowiem wielkiego uczyniła dotąd dla Rosji?

Najbardziej gorzkie fragmenty książki poświęca Sołżenicyn wracającym do kraju lub też wydanym Związkowi Sowieckiemu jeńcom wojennym, bo też zaprawdę jest to szczególnie przeklęty rozdział stosunków zachodnio-wschodnich. Sołżenicyn pisze: „Była wojna i byli zabici, ale nie mogło być niewoli! — przewrotne odkrycie. Oznacza ono: idź i giń, ale my zostaniemy przy życiu. Choćbyś jednak wrócił z niewoli o kulach, bez nogi ale z życiem (leningradczyk Iwanow, dowódca plutonu karabinów maszynowych w wojnie fińskiej, siedział później za to w Ustwymłagu) — będziemy cię sądzić". A w innym miejscu: „Ponieważ żołnierz nie chciał umrzeć od kuli niemieckiej, winien po powrocie z niewoli poddać kark kuli sowieckiej. Innym — obca, naszym — rodzima kula. (Naiwnością jest zresztą przypuszczenie, że to *dlatego*. Nigdy żaden rząd nie składał się z moralistów. Ludzi nigdy się nie aresztuje i nie morduje *za* coś. Każe się ich aresztować i mordować, *żeby nie*. Oczywiste też, że wszyscy ci jeńcy wojenni zostali aresztowani *nie za zdradę kraju*, gdyż dla największego nawet durnia jasne było, że o zdradę kraju oskarżyć było można co najwyżej ludzi Własowa. Ci zaś wszyscy zostali aresztowani, *żeby nie* mogli wśród kumów wiejskich rozpowiadać na głos o Europie. O czym się nie wie, za tym dusza nie tęskni...)".

I dalej: „Więźniowie Buchenwaldu, którzy przeżyli, *właśnie dlatego* zostali zamknięci do naszych obozów, bo przeżyli: jak

mogłeś zostać przy życiu w obozie zagłady? Coś tu się nie zgadza!" Nic dziwnego, że także Churchill i Roosevelt oskarżeni byli o „notoryczną krótkowzroczność, a nawet głupotę", i słusznie.

Pamiętam jak to siedząc w amerykańskim obozie jenieckim obserwowałem jak byłych rosyjskich jeńców wojennych siłą niemal ładowano na wagony kolejowe i auta ciężarowe, niektórzy krzyczeli i próbowali się opierać, bezskutecznie. Wówczas nie zdawaliśmy sobie sprawy z ohydy tych wydarzeń, dopiero później zdołaliśmy je rozszyfrować. Wszyscy oni pojechali do *Archipelagu GUŁag*.

O, nie, w tej książce nie ma nienawiści do narodu rosyjskiego, ta książka jest prośbą i wezwaniem, żebyśmy my wszyscy wyzwolili się wreszcie z głęboko w nas tkwiącego wewnętrznego strachu. Choć poświęcona nieludzkim sprawom i wydarzeniom, jest to książka jak najbardziej ludzka i wyjątkowo pięknie napisana. Żeby zaś czytelnik nie wpadł w łzawe medytacje, od czasu do czasu wtrącane są rubaszno-bezpośrednie zwroty z żargonu więźniów — jak owe „odkorkowane kobiety", „dziewięć gramów w kark" czy „ćwiartka", co oznacza dwadzieścia pięć lat — ćwierć wieku życia.

Tabu milczenia zerwane zostało przez Sołżenicyna nie tylko odnośnie konfliktu generała Własowa, lecz także wewnętrznego konfliktu Bucharina, który po prostu nie chciał uwierzyć, a przecież *musiał* uwierzyć. Co za dramat — Stalin i Bucharin — i te pozostawione bez odpowiedzi listy do „drogiego Koli"! Szczyt ponurego absurdu. „Były czekista Aleksander Kałganow wspomina, że w Taszkiencie dostał depeszę: 'Poślij dwieście!' Akurat jednak wysłali jedną partię i wydawało się, że nie ma już nikogo do 'wzięcia'. Zdołali zebrać jeszcze tylko pięćdziesięciu ludzi. I nagle, olśnienie! Aresztowanych przez milicję *bytowników* (kryminalistów) przemianować na politycznych (z artykułu pięćdziesiątego ósmego)! Jak powiedziano, tak zrobiono. Ale stan wciąż jeszcze się nie zgadzał! Nagle telefon z milicji: co robić? Pośrodku miasta rozbili swoje namioty cyganie. No, nareszcie. Tabor został otoczony i wszyscy mężczyźni od siedemnastego do sześćdziesiątego roku życia aresztowani z § 58. Zameldować o wykonaniu planu!"

W książce tej są także sprawy „ludzkie" i ludzkie. Jak choćby historia dowódcy Sołżenicyna, który zgoła nieprzepisowo żegna się ze swym aresztowanym kapitanem, życząc mu szczęścia. Do tego cytat z Sołżenicyna: „Zadziwiające: a więc *jednak* można pozostać człowiekiem — Trawkinowi nic nie zrobiono. Nie dawno spotkaliśmy się po przyjacielsku i właściwie dopiero teraz prawdziwie poznali. Jest generałem w stanie spoczynku, a poza tym rewidentem związku łowieckiego".

Każdego mogło to trafić i każdego mogło *nie* trafić, samowola była totalna. Tak na przykład — rehabilitacja M. P. J. została odrzucona, „ale na pocieszenie przyznano mu *rentę honorową*

za zasługi rewolucyjne! Cóż to za dziwolągi mogą się u nas zdarzyć!"

Przerażające jest, kiedy odpowiedzialni intelektualiści jak Żukow, Czakowski i Simonow nie rozumieją sugestii zawartej w tej książce, lecz z całej mocy starają się podburzyć najbardziej ponurą z wszelkich potęg: gniew ludu. Tam gdzie każdy może być zaszufladkowany i *nie być* zaszufladkowany, musi przecież obowiązywać jakaś postawa moralna, która nakazuje jeśli już nie pomagać autorowi, to przynajmniej nie podburzać jeszcze przeciw niemu.

Dla mnie osobiście najbardziej zadziwiające jest to, że choć trudno sobie wyobrazić bardziej okrutny temat, to jednak książka nie jest ani beznadziejna ani pesymistyczna. Ani na chwilę nie wolno przy tym zapominać, że kończy się ona na roku 1956; i że od tego czasu minęło osiemnaście lat. Toteż jeśli kiedyś ukaże się „Archipelagu GUŁag" część III, to w napięciu szukać będziemy różnic między nią a częścią I i II, które oto oddane zostają w ręce czytelników.

Żadnemu rozsądnemu człowiekowi na świecie nie może zależeć na rewolucji w Związku Sowieckim, każdemu jednak na zmianach. I tam, gdzie bądź co bądź, istniały ułaskawienia, niechaj będzie także łaska. Łaska wobec samego siebie.

A ponieważ sam Sołżenicyn nie nawołuje do samosądu, jego książka dla nikogo, kto ją czyta nie jest do tego okazją. O tym również nie wolno zapominać, tak samo jak o fakcie, że kończy się ona na roku 1956. I jeszcze jeden mały fragment z ostatniej stronicy: „Młodzi, którzy siedzą w więzieniach z politycznych paragrafów kodeksu karnego, nigdy nie są przeciętną kraju, zawsze wyprzedzają o wiele swoich rówieśników". Czy odnosi się to tylko do Związku Sowieckiego? Na to pytanie odpowiedzieć chyba mogą lepiej moi polscy czytelnicy, którym poświęcam ten wstęp.

Heinrich BÖLL

(Autoryzowany przekład z niemieckiego Dr. J. Stroynowskiego)

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRZEMYSŁ WIĘZIENNY

„W okresie dyktatury, otoczeni ze wszech stron wrogami, przejawialiśmy niekiedy zbytnią miękkość, przesadną łagodność".

Krylenko, przemówienie na procesie „Prompartii".

I

ARESZTOWANIE

Jak trafia człowiek na ten tajemniczy Archipelag? O każdej porze dnia lecą tam samoloty, płyną okręty, turkoczą pociągi — ale żaden napis na nich nie wskazuje, dokąd jadą. A kasjerzy na dworcach i pracownicy agencji Sowturist i Inturist będą zdumieni, jeżeli poprosicie ich o odpowiedni bilecik. Ani Archipelagu w ogólności, ani żadnej z jego niezliczonych wysepek ci ludzie nie znają, nie słyszeli o niczym.

Ci, którzy jadą na Archipelag, żeby nim rządzić — trafiają tam poprzez uczelnie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Ci, którzy jadą, żeby Archipelagu pilnować — trafiają tam z poboru, przez komendy uzupełnień.

Ci zaś, którzy jadą tam umierać, tak jak my, czytelniku, ci trafiają tam wyłącznie i koniecznie — poprzez aresztowanie!! Czy warto mówić, że to chwila, co łamie całe twoje życie? Że to piorun, co z nóg wali? Że to wstrząs duchowy nie do pojęcia, z którym nie każdy może się oswoić i często nabawia się pomieszania zmysłów?

Wszechświat ma właśnie tyle punktów centralnych, ile w nim żywych istot. Każdy z nas — jest osią świata i świat rozpada się na kawałki, gdy człowiek słyszy syknięcie: „Jesteście aresztowani!".

Skoro c i e b i e już aresztowano — to czy w ogóle c o ś się uchowało w tym trzęsieniu ziemi?

Ale — nie potrafiąc zaćmionym nagle umysłem pojąć rozmiarów tego przewrotu, zarówno najprzemyślniejsi, jak najbardziej prostoduszni z was, nie umieją w tej chwili wycisnąć z całego zapasu swoich doświadczeń nic więcej, jak te oto słowa:

— Ja?! Za co?!

Pytanie to miliony i miliony razy już było zadawane i nigdy nie doczekało się odpowiedzi.

Aresztowanie — to nagły i rażący przerzut, przewarstwienie, przeskok, z jednego życia do całkiem innego.

Po długiej, krętej ulicy naszego życia pędziliśmy szczęśliwie, albo brnęliśmy smutno wzdłuż jakichś płotów, płotów, płotów ze zgniłych desek, suchej gliny, wzdłuż murów z cegieł, betonu, żelaza. Nie zastanawialiśmy się — co kryje się za nimi? Ani okiem, ani domysłem nie staraliśmy się ich przeniknąć — a tam właśne zaczynał się kraj GUŁag, ręką dotknąć, dwa metry stąd. A ponadto nie dostrzegaliśmy w tych płotach niezliczonej ilości szczelnie dopasowanych, dobrze zamaskowanych drzwiczek, furtek. Wszystkie, wszystkie te furtki czekały na nas! — i oto szybko otworzyła się jedna z nich, ta fatalna, i cztery białe, męskie dłonie, nie zgrubiałe od pracy, ale chwytliwe, łapią nas za nogę, za rękę, za kołnierz, za czapkę, za ucho — wciągają jak tłumok, a furtka za naszymi plecami, furtka do dawnego życia, zatrzaskuje się zawsze.

To wszystko. Jesteś aresztowany!

I niczego innego nie umiesz wymyślić w odpowiedzi prócz jagnięcego beknięcia:

— Jaa?? Za co??

Oto czym jest aresztowanie: to błysk oślepiający i cios, które sprawiają, że teraźniejszość nagle staje się przeszłością, zaś to, co niemożliwe, zaczyna być pełnoprawną codziennością.

I to wszystko. I niczego więcej nie jesteś w stanie pojąć — ani w ciągu pierwszej godziny, ani nawet w trakcie całej pierwszej doby.

Jeszcze tylko błyśnie ci w twojej desperacji cyrkowy, papierowy księżyc: „To pomyłka! Zaraz się połapią!".

Cała zaś reszta, która składa się teraz na tradycyjny i literacki poniekąd obraz aresztowania, zgromadzi się i ułoży już nie w twojej zmąconej pamięci, tylko w pamięci twojej rodziny i sąsiadów.

To — ostry nocny dzwonek, albo szorstkie pukanie do drzwi. To — dziarskie postukiwanie niewycieranych butów czujnych agentów operacyjnych. To — przestraszony świadek za ich plecami. (A po co ten świadek? — ofiary ani o tym pomyślą, agenci już nie pamiętają, ale przewidziane to jest w instrukcji, więc musi facet całą noc przesiedzieć, a rano dać podpis. Dla wyrwanego z pościeli świadka to też męka: noc po nocy chodzić i pomagać w areszcie swoich sąsiadów i znajomych).

Tradycyjne aresztowanie — to jeszcze zbieranie drżącymi rękoma rzeczy dla porywanego: zmiana bielizny, kawałek mydła, coś do jedzenia i nikt jeszcze nic nie wie: co potrzeba, co wolno,

jaka odzież najlepsza, agenci zaś poganiają i przeszkadzają: „Niczego nie trzeba. Tam go nakarmią. Tam ciepło". (Wszystko łgarstwo. A poganiają — na postrach).

Tradycyjne aresztowanie — to jeszcze później, już po zabraniu nieboraka, wielogodzinne gospodarowanie w mieszkaniu szorstkiej, obcej, przemożnej siły. To — wyłamywanie, patroszenie, ściąganie i zrywanie ze ścian, wyrzucanie na podłogę z szaf i szuflad, wytrząsanie, rozsypywanie, rwanie — i góry rzeczy nagracone na ziemi, i chrzęst pod podeszwami. I nic świętego podczas rewizji! Przy aresztowaniu maszynisty kolejowego Inoszyna, stała w pokoju trumienka z jego dopiero co zmarłym dzieckiem. Prawnicy wyrzucili dziecko z trumny, tam też szukali. Wyrzucają też chorych z pościeli, zdejmują bandaże[1].

I nic w trakcie rewizji nie może być uznane za głupstwo! U historyka-amatora Czetwieruchina zabrano „tyle a tyle arkuszy carskich dekretów" — a mianowicie dekret o zakończeniu wojny z Napoleonem, o zawarciu Świętego Przymierza i tekst litanii przeciw cholerze z 1830 roku. U naszego najlepszego znawcy Tybetu, Wostrikowa, skonfiskowano bezcenne, starożytne rękopisy tybetańskie (uczniowie zmarłego zdołali wydostać je z czeluści KGB dopiero po 30-tu latach!). Przy areszcie orientalisty Newskiego, zabrano manuskrypty tanguckie (a po 25-ciu latach za ich odcyfrowanie Newski otrzymał nagrodę leninowską pośmiertnie). U Kargera zaharapczono archiwum jenisejskich Ostiaków, zakazano stosowania ułożonego przezeń alfabetu i elementarza — i tak już musiał się cały ludek obejść bez piśmiennictwa.

W języku inteligentów wszystko to wymagałoby długich jeszcze opisów, a nasz lud tak powiada o rewizji: tego szukają, co nie schowane.

Skonfiskowane rzeczy wywożą, a czasem każą nieść aresztowanemu — i Nina Aleksandrowna Palczyńska musiała nieść na plecach wór z papierami i listami swego niestrudzonego męża — nieżyjącego już wielkiego inżyniera i Rosjanina — IM w paszczę, na zawsze, niepowrotnie.

A dla tych, co zostają w domu — długa kolej porujnowanych, spustoszonych dni. I próby przekazywania paczek. Ale ze wszystkich okienek tylko poszczekiwania: „Nie ma w rejestracji", „nie ma tu takiego!". A jeszcze zanim podejdziesz do okienka, trzeba — jak to było w Leningradzie, w złą godzinę, przez pięć dni

1. Kiedy w 1937 roku rozgromiony został instytut doktora Kazakowa naczynia z lizatami jego wynalazku „komisja" rozbijała, chociaż dookoła skakali wyleczeni i leczeni jeszcze kalecy ludzie błagając, żeby nie niszczono cudownego leku. (Według wersji oficjalnej, lizaty uznane zostały za truciznę — czemu więc nie zachowano ich jako dowodów rzeczowych?).

i nocy tłoczyć się w kolejce. I dopiero może za pół roku czy za rok, sam aresztant się odezwie — albo też ci powiedzą: „Bez prawa korespondencji" — a to już prawie na pewno znaczy, że rozstrzelany[2].

Tak wyobrażamy sobie zwykle aresztowanie.

I rzeczywiście, nocne aresztowania opisanego tu typu przeprowadza się u nas najchętniej, bo mają one ważne zalety. Wszyscy obecni w mieszkaniu obezwładnieni są przez strach już od pierwszego dzwonka. Przyszły aresztant wyrwany jest z ciepłej pościeli, cały jest jeszcze w mocy półsennego bezwładu, rozsądek jego jest przyćmiony. Przy nocnym areszcie agenci mają przewagę liczebną: przyjeżdża ich kilku, są uzbrojeni, a mają przeciw sobie pojedynczego człowieka w niedopiętych portkach; podczas rewizji i przygotowań do drogi na pewno nie zbierze się pod bramą tłum ewentualnych stronników ofiary. Nieśpieszna stopniowość tych wizyt, — naprzód w jednym mieszkaniu, potem w drugim, jutro w trzecim i czwartym — daje możliwość racjonalnego wykorzystania kadry operacyjnej i umieszczenia pod kluczem ilości obywateli wielokrotnie większej od całej tej kadry razem wziętej.

Jeszcze tę zaletę mają nocne areszty, że ani sąsiednie domy, ani miejskie ulice nie widzą ilu w ciągu nocy wywieziono. Najbliższych sąsiadów postraszono, a dla dalszych rzecz nie miała miejsca. Jak gdyby nigdy nic. Tą samą asfaltową trasą, którą nocą śmigały karetki więzienne, s u k i — za dnia kroczy młode pokolenie ze sztandarami i kwiatami, śpiewając pełne pogody pieśni.

Ale ci, co *łapią,* ci których cała praca polega tylko na przeprowadzaniu aresztów, dla których objawy strachu u aresztowanych są czymś nudnym i dokuczliwym — mają o wiele szersze pojęcie o całej operacji. Mają całą swoją teorię, nie trzeba naiwnie sądzić, że jej nie ma. Aresztowanie — to ważny rozdział w kursie wiedzy więziennej i ma za podstawę pewną solidną teorię społeczną. Istnieje klasyfikacja zatrzymań według rozmaitych cech: są nocne i dzienne, są domowe, służbowe i drogowe, są pierwiastkowe i powtórne, są indywidualne i grupowe. Aresztowania różnią się od siebie w zależności od stopnia pożądanego

2. Jednym słowem — „żyjemy w przeklętych warunkach, w których człowiek może zginąć bez wieści i najbliżsi mu ludzie, żona i matka... całe lata nie wiedzą, co się z nim stało". Prawda to? A może nie? Napisał to zaś Lenin w 1910 roku, w nekrologu Babuszkina. Tylko trzeba powiedzieć jasno: Babuszkin wiózł transport broni dla celów powstania, za to też został rozstrzelany. Wiedział, co ryzykuje. Nie da się tego powiedzieć o nas, nieszczęsnych królikach.

zaskoczenia, od stopnia oczekiwanego oporu (ale w dziesiątkach milionów wypadków żaden opór nie był oczekiwany, ani go też nie było). Aresztowania różnią się zależnie od ważności zaplanowanej rewizji[3]; zależnie od konieczności (czy jej braku) spisywania skonfiskowanych przedmiotów, opieczętowania izby, lub całego mieszkania; zależnie od potrzeby uwięzienia również żony w ślad za mężem i oddania dzieci do sierocińca, bądź zesłania całej reszty najbliższej rodziny, albo wreszcie — wtrącenia do obozu także dziadków.

O, nie, nie, aresztowania są bardzo różnorodne w formie. Irma Mendel, Węgierka, dostała któregoś dnia w biurze Kominternu (1926) dwa bilety do Teatru Wielkiego, do pierwszych rzędów. Śledczy Klegel zalecał się do niej, więc go zaprosiła. Całe przedstawienie minęło im na czułych spojrzeniach, po czym Klegel zawiózł Irmę... prosto na Łubiankę. A jeśli chcecie wiedzieć dlaczego pewnego promiennego, czerwcowego dnia w 1927 roku na Kuźnieckim Moście krągłolicej, rudowłosej i pięknej Annie Skrypnikowej, która dopiero co kupiła sobie materiał na granatową suknię, jakiś młody frant grzecznie pomógł wsiąść do dorożki (a dorożkarz już się połapał i cały się chmurzy: O r g a n y nie zapłacą mu za kurs) — to musicie zrozumieć, że nie chodzi o randkę, że to też jest aresztowanie: za chwilę skręcą na Łubiankę i wjadą w czarną czeluść bramy. Jeśli zaś (22 wiosny później) komandor-podporucznik Borys Burkowski, w białym frenczu marynarskim pachnący drogą wodą kolońską — będzie kupował w cukierni tort dla pewnej panienki — to nie sądźcie, że tort trafi do rąk tej panny, bo w istocie zaraz zostanie posiekany nożami przy rewizji i w tym stanie wniesiony przez komandora do jego pierwszej celi.

Nie, nigdy nie był u nas w pogardzie żaden sposób zatrzymania, ani w biały dzień, ani w podróży, ani wśród tłumu. Idzie to gładko i — tu właśnie trzeba się dziwić! — same ofiary w świętej zgodzie z agentami zachowują się jak najtaktowniej,

---

3. A jeszcze istnieje osobna **REWIZJOLOGIA** (udało mi się przeczytać broszurę dla prawników Studium zaocznego z Ałma-Aty). Bardzo tam chwalą tych prawników, którzy przy rewizji nie lenili się i przetrząsnęli 2 tony nawozu, 6 metrów polan, dwa wozy siana, oczyścili ze śniegu całą działkę przyzagrodową, rozebrali kaflowy piec, rozgrzebali gnojówkę, skontrolowali miski klozetowe, spenetrowali psie budy, kurniki, domki dla szpaków, poprzekłuwali materace, zrywali plastry z ran, a nawet wyrywali metalowe zęby, żeby znaleźć w nich mikrodokumenty. Studentom radzi się gorąco, aby zaczynali od rewizji osobistej i nią też sprawę kończyli (bo a nuż rewidowany coś capnął w trakcie) i żeby jeszcze raz odwiedzili to samo mieszkanie, ale o innej porze — i powtórzyli rewizję.

tak żeby pozostali przy życiu nie zwrócili nawet uwagi na zagładę upatrzonego.

Nie każdego można aresztować w domu, po sakramentalnym zapukaniu do drzwi (a jeśli już kto puka, to „z administracji", „listonosz"), nie każdego można aresztować w miejscu pracy. Jeśli przyszły aresztant jest człowiekiem przebiegłym, to lepiej wziąć go w o d e r w a n i u od jego zwykłego otoczenia — rodziny, kolegów, stronników, z dala od możliwych schowków: nie powinien zdążyć niczego zniszczyć, ukryć, przekazać.

Ludziom ze szczytów wojskowych czy partyjnych czasem dawano jakieś nowe stanowisko, podstawiano salonkę na dworzec, i aresztowano w drodze. Zwykły zaś, szary śmiertelnik, ogłuszony masowymi aresztami i już od tygodnia zgnębiony złowróżbnymi spojrzeniami zwierzchników — wzywany bywał naraz do miejscowej organizacji związkowej, gdzie mu z ciepłym uśmiechem wręczano skierowanie do sanatorium w Soczi. Królik wpadał w rozczulenie — obawy okazały się bezpodstawne! Wyraża więc wdzięczność, w tryumfie wraca do domu, żeby spakować walizkę. Do pociągu wszystkiego dwie godziny, łaje więc żonę za opieszałość. Jest nareszcie na dworcu! Ma jeszcze trochę czasu. W poczekalni, albo przy kiosku z piwem, kłania mu się jakiś przemiły, młody człowiek: „Nie poznajecie mnie, Piotrze Iwanyczu?" Piotr Iwanycz ma chwilę wahania: „Chyba nie... Chociaż...". Młodzian tryska braterską sympatią: „Ależ, jakto, jakto, ja wam przypomnę..." i z szacunkiem kłania się żonie Piotra Iwanycza: „Proszę wybaczyć, my z małżonkiem tylko na m i n u t k ę . . .". Żona nie ma nic przeciwko temu, nieznajomy zaś trzymając Piotra Iwanycza konfidencjalnie za łokieć, uprowadza go — na zawsze, albo na dziesięć lat.

A dworzec wiruje dookoła i niczego nie widzi... Obywatele podróżni! Nie zapominajcie, że na każdym dworcu jest posterunek GPU i kilka więziennych cel.

Natarczywość tych rzekomych znajomków jest tak zaczepna, że człowiek pozbawiony obozowej, wilczej wprawy jakoś nie potrafi się opędzić. Nie myśl, że będąc nawet pracownikiem amerykańskiej ambasady, nazwiskiem, dajmy na to Al-r D., nie zostaniesz aresztowany w biały dzień, na ulicy Gorkiego, obok centralnego telegrafu. Nieznajomy twój przyjaciel rzuci się w twoją stronę, przepychając się przez tłum, szeroko otwierając zaborcze ramiona: „Sasza! — krzyknie z niczym się nie kryjąc — stary byku! Ileż to lat, ile zim!... A chodźmyż na bok, żeby ludziom nie włazić w paradę". A na boku, przy samym chodniku, już zatrzymuje się auto... (minie kilka dni i TASS z gniewem stwierdzi we wszystkich gazetach, że *koła zbliżone* nic nie wiedzą

o zniknięciu Al-ra D.). A co to za sztuka? Nasi mołojcy łapali w ten sposób ludzi w Brukseli (tak schwytano Żorę Blednowa), cóż dopiero w Moskwie!

Trzeba jednak wyrazić ORGANOM zasłużone uznanie: podczas gdy dziś przemówienia i sztuki teatralne wydają się — podobnie jak konfekcja damska — dziełem jednej sztancy, rodzaje aresztowań cieszą swoją rozmaitością. Odprowadzają cię na bok w fabrycznej portierni, gdzie dopiero co pokazałeś przepustkę — i już jesteś złapany, biorą cię ze szpitala wojskowego z temperaturą 39° (Ans Bernsztejn) i lekarz nie sprzeciwia się temu (a spróbowałby się sprzeciwić!); biorą cię wprost ze stołu operacyjnego, po operacji rany żołądka (N. M. Worobiew, inspektor okręgowego wydziału oświaty — 1936 r.) i ledwie żywego, okrwawionego, pakują do celi (wspomnienia Karpunicza); starasz się (Nadia Lewicka) o widzenie ze skazaną już matką, dają ci je! — a okazuje się, że to konfrontacja i aresztowanie! Zapraszają cię w sklepie „Gastronom" do działu zamówień — i tam cię aresztują; zostajesz aresztowany przez wagabundę, który na wszystkie świętości zaklinał cię, żebyś mu pozwolił przenocować pod twoim dachem; zostajesz aresztowany przez montera, który przyszedł sprawdzić licznik; aresztuje cię rowerzysta, który potrącił cię na ulicy: konduktor w pociągu, kierowca taksówki, rachmistrz kasy oszczędności i bileter w kinie — każdy z nich cię aresztuje, i dopiero po niewczasie możesz sobie obejrzeć głęboko schowaną legitymację koloru bordo.

Czasem aresztowanie wydaje się jakąś grą — tyle zainwestowano w nie zbędnej pomysłowości i sytej energii, a przecież ofiara i tak by nie stawiała oporu. Czy agenci operacyjni chcą w ten sposób uzasadnić potrzebę swoich funkcji i swojej liczebności? Jak się zdaje, wystarczyłoby rozesłać wszystkim upatrzonym króliczkom po wezwaniu — a już one same o wyznaczonej godzinie, co do minuty, pokornie staną z tłumoczkiem pod czarną bramą urzędu bezpieczeństwa, aby zająć swoją część powierzchni mieszkalnej we wskazanej celi. (Zresztą — kołchoźników tak właśnie bierze się pod klucz; czy to warto jechać nocą i szukać jakiejś chaty po bezdrożach? Wzywa się jednego z drugim do rady gromadzkiej i tam go się już zabiera, jak swojego. Czarnoroboczych wzywa się do fabrycznego kantoru).

Rzecz jasna, każda maszyna ma swoją zdolność przepustową, nie przełknie więcej, niż potrafi. W trakcie pękających w szwach od nadmiaru lat 1945-46, kiedy ciągnęły jeden za drugim kolejowe eszelony het, z Europy, i trzeba było je wszystkie naraz pochłonąć i wyprawić do GUŁagu — nie było już miejsca na tę luksusową grę, sama teoria porządnie wyleniała, powyłaziły ry-

tualne piórka i uwięzienie dziesiątków tysięcy wyglądało jak mizerny apel: stoją sobie ichmoście ze spisami, z jednego pociągu wywołują, pakują do drugiego — i to wszystko.

W ciągu kilku dziesięcioleci aresztowania polityczne miały u nas tę osobliwą cechę, że podlegały im osoby, które nie popełniły żadnej winy — i właśnie dlatego nie myślące o żadnym oporze. Wytworzyło się powszechne poczucie osaczenia, szerzyło się przekonanie (w warunkach systemu paszportów i meldunków — dosyć słuszne zresztą), że przed GPU-NKWD nie sposób uciec. I nawet kiedy epidemie aresztowań dochodziły do zenitu, kiedy ludzie idąc do pracy co dzień żegnali się z rodziną, bo nie byli nigdy pewni, czy wrócą wieczorem — nawet wtedy prawie nie próbowali uciekać (w rzadkich tylko wypadkach wybierali samobójstwo). O to właśnie chodziło. Bezrogi baran wilkowi najmilszy.

Powodem tego było też niezrozumienie mechanizmu epidemii. ORGANY nie miały zwykle ściślejszych kryteriów wyboru — kogo aresztować, kogo oszczędzić; chodziło tylko o wykonanie planu ilościowego. Wykonać go można było w zawczasu przewidzianym trybie, można też było korzystać z zupełnego przypadku. W 1937 roku do kancelarii NKWD w Nowoczerkasku przyszła jakaś kobieta z pytaniem, co zrobić z nienakarmionym niemowlęciem — dzieckiem jej aresztowanej sąsiadki. „Poczekajcie tu, obywatelko — powiedziano jej — zaraz wyjaśnimy". Po dwóch godzinach czekania zabrano ją z kancelarii do celi: trzeba było osiągnąć zaplanowaną cyfrę, nie starczało już agentów na rozjazdy po mieście, a ta się sama zgłasza! I odwrotnie — po Andrzeja Pawło, Łotysza mieszkającego pod Orszą, przyszło NKWD: Pawło nie otworzył, wyskoczył przez okno, udało mu się uciec i pojechał prosto na Syberię. I chociaż mieszkał tam pod własnym nazwiskiem, a z dokumentów wynikało jasno, że meldowany jest w Orszy, jednak NIGDY nie siedział, nigdy nie był wzywany przez Organy, nigdy nie padło nań podejrzenie. Istnieją przecież trzy zakresy ścigania: ogólnopaństwowy, republikański i okręgowy. Prawie połowa aresztowanych w trakcie e p i d e m i i nie doczekałaby się rozesłania listów gończych dalej, niż do granic okręgu. Człowiek, włączony do planu z przyczyn przypadkowych, np. w wyniku sąsiedzkiego donosu łatwo mógł być zastąpiony przez kogoś innego. Jak Andrzej Pawło, tak samo inni, którzy przypadkiem natrafili na obławę, albo na kocioł w czyimś mieszkaniu, a mieli dość odwagi by zaraz uciec, jeszcze przed pierwszym przesłuchaniem — nigdy nie byli ścigani, ani pociągani do odpowiedzialności, kto zaś czekał sprawiedliwości, nie ruszając się z miejsca, ten dostawał wyrok.

I prawie wszyscy — przytłaczająca większość — tak się właśnie zachowywali: małodusznie, bezradnie, jak skazańcy.

Z drugiej strony, jest prawdą, że NKWD pod nieobecność poszukiwanego dawało jego bliskim zakaz wyjazdu — nic nie kosztowało, rzecz jasna, z a l i c z y ć sobie obecnych w zamian tego, co uciekł.

Powszechny brak winy rodzi powszechną bezczynność. A może cię wcale nie w e z m ą ? Może jakoś cię to ominie? A. J. Ładyżyński był wychowawcą klasy w szkole, w prowincjonalnym miasteczku Kołogriw. W 1937 roku podszedł do niego na rynku jakiś chłop i przekazał mu czyjeś słowa takiej treści: „Aleksandrze Iwanowiczu, wyjedź stąd, jesteś na l i ś c i e !". Ale Ładyżyński został: przecież cała szkoła na mnie się trzyma i i c h własne dzieci u mnie się uczą — przecież nie mogą mnie aresztować?... (Po kilku dniach już był za kratą). Nie każdemu jest dane, jak Wani Lewickiemu, rozumieć już w wieku lat 14-tu, że „każdy uczciwy człowiek powinien pójść w końcu do więzienia. Teraz siedzi tatuś, a jak dorosnę, to mnie też wsadzą". (Wsadzili go, gdy miał 23 lata). Większość gnuśnieje, wpatrzona w iskierkę nadziei. Skoro jesteś niewinny — to za co mogą cię w ogóle wsadzić? To BYŁABY OMYŁKA! Już cię wloką za kołnierz, a ty wciąż sam się zaklinasz: „To omyłka! Na pewno się zorientują — i wypuszczą mnie!" Innych wsadzają w masie, to też zdaje się nie mieć sensu, ale i tu każdego oddzielnie jest miejsce na podejrzenia: „a może t a m t e n właśnie trafił nie z przypadku...?" Bo ty! — to już bezwzględnie jesteś bez winy! Wciąż jeszcze uważasz Organy za instytucję podporządkowaną ludzkiej logice: jak się zorientują, to wypuszczą.

Po co więc próbować ucieczki?... Na co więc opór?... Przecież pogorszysz tym tylko swoją sytuację, sam im nie pozwolisz pojąć ich własnej omyłki. Co tam opór! — nawet ze schodów zbiegasz na paluszkach, bo tak ci kazano, żeby sąsiedzi nie słyszeli[4].

---

4. Jak to potem w obozie człowieka piekło: a co, gdyby każdy agent idąc nocą łapać ludzi, nie był pewien, czy wróci żywy i musiał zawsze żegnać się z rodziną? Gdyby podczas masowych obław, na przykład w Lenigradzie, kiedy za kraty szło ćwierć miasta, ludzie nie siedzieli po swoich norach, mdlejąc z lęku przy każdym trzaśnięciu bramy, przy każdym kroku na schodach — gdyby zrozumieli, że teraz nie mają już nic więcej do stracenia i zabrali się żwawo do urządzania w sieniach swoich domów zasadzek — z siekierami, młotkami, pogrzebaczami, z czym popadło? Wiadomo przecież, że te nocne gacki nie przychodzą w dobrych zamiarach — więc nie omyli się człowiek dając w łeb zbójowi. Albo taka s u k a z samotnym szoferem, co już czeka na ulicy — odstawić by ją jak najdalej, albo przebić gumy.

I wreszcie — czemu tu się właściwie sprzeciwiać? Że zabrano ci pasek? Albo, że kazano stanąć w kącie? Albo — że musisz wyjść za próg swojego domu? Aresztowanie składa się z drobnych wypadeczków, z rozlicznych drobnostek — żadna z nich nie jest jakby warta sporu (a nadto myśli aresztowanego krążą dookoła wielkiego problemu: „za co?") — a dopiero wszystkie te drobnostki razem składają się nieubłaganie na proces aresztowania.

Zresztą — bo to mało się dzieje w duszy świeżego aresztanta! — Już to jedno warte jest całej księgi. Mogą tam być uczucia, których nigdy byśmy się nie domyślili. Kiedy w 1921 roku aresztowano 19-letnią Eugenię Dojarenko i trzech młodych czekistów grzebało w jej pościeli i w komodzie z bielizną, dziewczyna zachowywała się spokojnie: nic tam nie ma, niczego więc nie znajdą. I nagle wzięli w ręce jej intymny pamiętnik, którego nawet matce nie mogłaby pokazać — otóż czytanie jej zwierzeń przez obcych, wrogo nastawionych chłopaków boleśniej ją zraniło, niż cała Łubianka z jej kratami i lochami. I u wielu innych ludzi te prywatne uczucia i skłonności, którym aresztowanie zadaje cios, mogą okazać się silniejsze niż lęk przed więzieniem albo względy polityczne. Człowiek, nieprzygotowany wewnętrznie na gwałt, zawsze jest słabszy od gwałciciela.

Nieliczni tylko mają tyle rozumu i śmiałości, aby zorientować się z punktu. Dyrektor Instytutu Geologicznego Akademii Nauk, Grigoriew, gdy przyszli po niego w 1948 roku, zabarykadował się i dwie godziny palił papiery.

Czasami aresztowany czuje przede wszystkim ulgę i nawet... RADOŚĆ, ale to zdarzało się głównie w okresie epidemii aresz-

---

Organy rychło nie doliczyłyby się kupy agentów i środków transportu — i wbrew najlepszym chęciom Stalina, przeklęta maszyna musiałaby się zatrzymać!

... — Ach, gdyby... gdyby... Za mało było w nas pragnienia wolności. A przede wszystkim — świadomości, jaki jest prawdziwy stan rzeczy. Wyładowaliśmy się w jednym, niepohamowanym wybuchu siedemnastego roku, a później staraliśmy się CZYM PRĘDZEJ spokornieć, poddawaliśmy się Z PRZYJEMNOŚCIĄ. (Arthur Ransome opisuje pewien wiec robotniczy w Jarosławiu w 1921 roku. Z Moskwy przyjechali delegaci KC by zasięgnąć zdania robotników o trwającym wtedy sporze co do charakteru związków zawodowych. Przedstawiciel opozycji, J. Łarin, wyjaśnił robotnikom, że związek powinien bronić ich przed administracją, że zdobyli sobie już prawa, na które nikt nie powinien podnosić ręki. Robotnicy odnieśli się do tego zupełnie obojętnie, NIE ROZUMIEJĄC po prostu przed kim też jeszcze mają się bronić i po co im w ogóle potrzebne prawa. Kiedy zaś przemówił rzecznik linii generalnej i zaczął łajać robotników za ich niechlujstwo w pracy i lenistwo, żądać ofiar, bezpłatnych nadgodzin, ograniczeń w zaopatrzeniu, wojskowego posłuchu wobec rozkazów administracji — wywołało to entuzjazm wiecujących i gromkie brawa). ZASŁUŻYLIŚMY sobie po prostu na wszystko, co później nastąpiło.

towań: kiedy naokół zabierają jednego po drugim, jednego po drugim, takich jak ty, a ciebie omijają, wciąż jakoś zwlekają, przecież to wyczerpuje, to dręczy człowieka — i nie tylko wątłego duchem — gorzej od wszelkiego więzienia.

Wasyli Własow, nieustraszony komunista, którego tu nieraz jeszcze wymienimy, odmówił ucieczki, jaką mu proponowali jego bezpartyjni pomocnicy, a zadręczał się tym, że wyaresztowano już całe kierownictwo Kadyjskiego powiatu (1937), on zaś wciąż jeszcze był wolny, wciąż wolny. Mógł wytrzymać tylko cios frontalny — cios nastąpił i Własow zaraz się uspokoił, a przez kilka pierwszych dni w więzieniu czuł się doskonale. Duchowny, ojciec Iraklij, w 1934 roku wyjechał do Ałma-Aty, żeby tam nieść pociechę zesłanym wiernym. W tym czasie agenci trzykrotnie nachodzili jego mieszkanie w Moskwie z nakazem aresztowania. Kiedy wrócił, parafianki czekały już na dworcu z ostrzeżeniem. Osiem lat przerzucali go wierni z jednej kryjówki do drugiej. To koczowanie tak zadręczyło popa, że kiedy go nareszcie w 1942 roku aresztowano, zaczął z radości głośno chwalić Pana.

W tym rozdziale wciąż mówimy o podstawowej masie, o królikach, nie wiadomo za co wsadzanych za kraty. Ale w tej książce będziemy musieli jeszcze poruszyć sprawy tych, którzy także w naszym ustroju mogli być uznani za p o l i t y c z n y c h. Wiera Rybakowa, studentka, socjaldemokratka, *marzyła* na wolności o więzieniu izolacyjnym w Suzdalu: jedynie tam mogła liczyć na spotkanie ze starszymi towarzyszami (nikogo już nie było na swobodzie) i lepsze ugruntowanie swojego światopoglądu. Es-erka Katarzyna Olickaja w 1924 roku uważała się nawet za n i e g o d n ą siedzenia w więzieniu: przeszli przez nie przecież najlepsi ludzie Rosji, ona zaś była jeszcze młoda i nic jeszcze dla Rosji nie zdążyła zrobić. Ale *wolność* też już jej nie wabiła. Tak też obie one poszły do więzienia — z dumą i radością.

„A gdzie opór? Czemużeście się nie opierali?" — robią teraz wyrzuty ofiarom ci, których zostawiono w spokoju.

A tak, sprzeciw powinien był zacząć się od razu, od samego aresztowania.

Ale się nie zaczął.

◆

I oto — już cię *prowadzą*. Jeśli to dzień, to nadchodzi teraz nieuchronnie ta krótka, niepowtarzalna chwila, kiedy — bez ostentacji, z twoją tchórzliwą zgodą, albo ostentacyjnie, z pistoletami w ręku — p r o w a d z ą cię przez tłum, między setkami takich samych niewinnych i osaczonych. Ust nikt ci nie

zamknął. I teraz powinienbyś KRZYCZEĆ; krzyczeć, że jesteś aresztowany! Że poprzebierane łotry wyłapują ludzi! Że łapią ich na podstawie kłamliwych donosów! Że trwa głuche polowanie na miliony obywateli! I słysząc takie krzyki wiele razy dziennie i we wszystkich dzielnicach miasta może by twoi współobywatele nastawili uszu? może aresztowanie przestałoby być taką łatwą robotą?

W 1927 roku, kiedy potulność jeszcze nie tak bardzo rozmiękczyła nasze mózgi, na placu Sierpuchowskim, w biały dzień, dwóch czekistów próbowało zaaresztować kobietę. Kobieta uczepiła się słupa latarni, zaczęła krzyczeć, nie chciała ustąpić. Zebrał się tłum. (Trzeba było takiej kobiety, ale też trzeba było takiego tłumu! Nie wszyscy przechodnie odwracali oczy, nie wszyscy woleli przemknąć się cichcem!) Dziarscy chłopcy od razu stracili rezon. Bo nie potrafią *pracować* przy ludziach. Wsiedli do auta i ulotnili się. (A kobieta powinna była od razu wsiąść w pociąg i wyjechać! Ale wolała przenocować w domu. Więc w nocy odwieziono ją na Łubiankę).

Ale z twojego zaschniętego gardła nie wyrywa się żaden krzyk, a przechodzący obok tłum bierze i ciebie, i twoich oprawców za grupę przyjaciół na przechadzce.

Ja sam nieraz miałem okazję do *krzyku.*

Jedenastego dnia po aresztowaniu trzej agenci SMIERSZ'a, zajęci czterema walizami t r o f e ó w bardziej niż mną (po długiej podróży już na mnie polegali), przywieźli mnie do Moskwy, na Dworzec Białoruski. Nazywało się toto *s p e c k o n w ó j,* ale w istocie automaty przeszkadzały im tylko w dźwiganiu czterech bardzo ciężkich kufrów: był to łup nagrabiony w Niemczech przez nich samych i przez ich naczelników z kontrwywiadu SMIERSZ II-go Frontu Białoruskiego. Konwojowanie mojej osoby dało im pretekst do przekazania łupów rodzinom w głębi ojczystego kraju. Piątą walizkę dźwigałem sam bez żadnej ochoty: były w niej moje dzienniki i utwory: dowody rzeczowe w mojej sprawie. Nikt z tej trójki nie znał miasta, moim zadaniem więc był wybór najkrótszej drogi do więzienia. Ja sam miałem zaprowadzić ich na Łubiankę, gdzie dotąd nigdy nie byli (myliłem ją zresztą z ministerstwem spraw zagranicznych).

Po dobie spędzonej w kontrwywiadzie mojej armii; po trzech dobach w kontrwywiadzie frontu, gdzie współwięźniowie już mnie oświecili (co do oszustw i pułapek śledztwa, gróźb, bicia, co do tego, że kogo zamkną, tego już nigdy nie wypuszczą; co do nieuchronnego przydziału d y c h y) cudem wyrwałem się na świat boży i oto już cztery dni rozjeżdżam jak *w o l n y* i otoczony *wolnymi,* chociaż grzbiet mój leżał już na zgniłej słomie

obok kubła, chociaż oczy moje widziały już sponiewieranych i pozbawionych snu, uszy słyszały już słowa prawdy, usta kosztowały już więziennej bryji. Czemu więc milczę? Czemu nie powiem wszystkiego oszukanym ludziom w ostatniej mojej chwili, gdy jeszcze mogę otwarcie z nimi gadać?

Milczałem w polskim mieście Brodnicy — ale tam może nikt nie rozumie po rosyjsku? Nie krzyczałem ani razu na ulicach Białegostoku — ale może to wszystko Polaków nie obchodzi? Ani słowa nie wymówiłem na stacji Wołkowysk — ale ludzi tam było przymało. Jak gdyby nigdy nic maszerowałem z tymi rozbójnikami po peronach Mińska — ale dworzec tam był jeszcze rozbity. A teraz prowadzę za sobą agentów SMIERSZ'a do krytego białą kopułą, górnego, okrągłego westybulu stacji Białoruska-Średnicowa moskiewskiego metra; stacja zalana jest elektrycznym blaskiem i z dołu w górę płyną ku nam dwoma równoległymi ciągami ruchomych schodów dwa gęste rzędy mieszkańców Moskwy. Wydaje się, że wszyscy oni patrzą na mnie! Nieskończonym łańcuchem stamtąd, z głębin nieświadomości pną się, pną się aż pod lśniącą kopułę, tu, do mnie, po jedno chociaż słowo prawdy, czemuż to więc milczę??!...

A każdy ma zawsze dobry tuzin gładkich powodów, żeby się nie poświęcać i uważać, że to słuszne.

Ludzie mają jeszcze nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży i boją się swoim krzykiem pogorszyć sprawę (przecież z tamtego, innego świata nie dochodzą do nas wieści, nie wiemy więc, że od chwili aresztowania nasz los jest przesądzony w najgorszy z możliwych sposobów i że pogorszyć go prawie nie można). Inni jeszcze nie dojrzeli do tych pojęć, które układają się w krzyk wśród tłumu. Przecież tylko rewolucjonista ma swoje hasła zawsze na wargach, same rwą mu się z ust, a skąd ma je wziąć potulny, trzymający się na uboczu zjadacz chleba? On NIE WIE PO PROSTU co ma krzyczeć. Jest wreszcie rodzaj ludzi, których pierś zbyt jest pełna, których oczy zbyt wiele widziały, aby można było dać upust temu jezioru w kilku bezładnych okrzykach.

A ja — ja milczę z jeszcze jednego powodu: bo tych ludzi, wjeżdżających po stopniach dwóch wyciągów wciąż mi jeszcze za mało — z a m a ł o ! Tu mój lament usłyszą dwie setki, dwa razy po dwie setki ludzi — a co z dwiema setkami milionów?... Roi mi się mgliście, że kiedyś jeszcze coś krzyknę tym całym dwustu milionom...

A tymczasem wyciąg nieubłaganie niesie mnie w dół, do piekieł, mnie, człowieka który nie otworzył ust.

Milczę jeszcze, gdy idziemy przez Ochotny Riad.

Ani krzyknę koło „Metropolu".
Nie poderwę rąk na Golgocie placu Łubiańskiego...

◆

Moje aresztowanie miało charakter chyba najlżejszy z możliwych. Nie wyrwało mnie ono spośród bliskich, nie oderwało od miłego sercu życia domowego. Był cherlawy, zachodni luty kiedy areszt zagarnął mnie z wąskiej mierzei nad Bałtykiem, gdzie nasi oblegali Niemców, a może Niemcy naszych — i pozbawił tylko znajomego dywizjonu, oraz obrazu trzech ostatnich miesięcy wojny.

Dowódca brygady wezwał mnie na punkt dowodzenia, poprosił ni stąd ni zowąd o pistolet; oddałem mu go, nie podejrzewając żadnego podstępu. Nagle spośród oficerskiej świty, stojącej w napiętym bezruchu w kącie, wybiegło dwóch z kontrwywiadu, kilkoma susami przemierzyło izbę i czworgiem rąk naraz sięgnąwszy do gwiazdki na czapce, do epoletów, do pasa i do torby polowej — zakrzyczało:

— Jesteście aresztowani!

Palący sztych przebił mnie od ciemienia do pięt i nie znalazłem mądrzejszej odpowiedzi, jak:

— Ja?! Za co?!...

Chociaż to pytanie pozostaje zawsze bez odpowiedzi, rzecz niesłychana — dostałem ją! Warto o tym wspomnieć, bo to zbyt już niepodobne do naszych obyczajów. Kiedy ci ze SMIERSZ'a przestali mnie obmacywać, gdy zabrali mi razem z torbą moje pisemne wynurzenia polityczne i — zafrasowani, że szyby drżą od niemieckiej kanonady — już mnie popychali z przynagleniem do drzwi, nagle rozległ się twardy głos zwrócony do mnie — tak! przez tę głuchą bruzdę wyrytą między tymi co zostali a mną, wyciosaną ciężarem słowa „aresztowany", przez tę dźwiękoszczelną zonę, dzielącą zadżumionych od reszty świata — przebiły się nieprawdopodobne słowa kombryga!

— Sołżenicyn. Wróćcie tu.

Zrobiłem w tył zwrot na miejscu, wyrwałem się z rąk agentów i już stałem przed kombrygiem. Znałem go mało, nigdy nie zniżał się do zwykłej rozmowy ze mną. Wyraz jego twarzy kojarzył mi się zawsze z rozkazem, zleceniem, gniewem. Ale teraz ta pełna skupienia twarz rozjaśniła się — czy wstydem za swój wymuszony udział w brudnej sprawie? czy porywem, aby wznieść się ponad wieczną rutynę żałosnego posłuchu? Przed dziesięciu dniami, z w o r k a, gdzie został jego dywizjon artyleryjski, dwanaście ciężkich dział, wyprowadziłem w stanie prawie nie-

naruszonym moją baterię zwiadu — i oto teraz on miałby mnie się wyrzec przez jakiś świstek papieru z pieczątką?

— Czy macie... — zapytał z naciskiem — przyjaciela na Pierwszym Froncie Ukraińskim?

— Nie wolno!... Nie macie prawa! — krzyknęli na pułkownika kapitan i major kontrwywiadu. Sztabowa świta w kącie skuliła się z przestrachu, jakby bojąc się podzielić ciężar niesłychanej nieostrożności kombryga (a panowie z politwydziału — szykując się już do zestawienia m a t e r i a ł u na temat dowódcy). Ale ja już domyśliłem się, ile trzeba: zrozumiałem od razu, że aresztowany jestem za korespondencję z moim szkolnym kolegą i wiedziałem, skąd mi grozi niebezpieczeństwo.

I gdyby Zachar Grigoriewicz Trawkin na tym poprzestał! Ale skąd! Coraz bardziej prostując się wewnętrznie, coraz czystszy we własnych oczach, wstał zza biurka (w tamtym, poprzednim życiu nigdy nie wstawał na mój widok!), wyciągnął do mnie rękę ponad zoną zarazy (póki byłem wolny, nigdy mi jej nie podawał!) i nie puszczając mojej dłoni, podczas gdy świta niemiała ze zgrozy, z nagłym ciepłem w surowej zwykle twarzy, powiedział — nieulękły, dzieląc słowa:

— Życzę wam — szczęścia — kapitanie!

Nie byłem już kapitanem, lecz zdemaskowanym wrogiem ludu (każdy bowiem aresztowany jest u nas już w chwili ujęcia całkowicie zdemaskowany). A więc życzył szczęścia — wrogowi?...

Dygotały szyby. Niemieckie pociski szarpały ziemię dwieście metrów od nas, przypominając tym, że c o ś p o d o b n e g o nie mogło się zdarzyć tam, w głębi kraju, pod pokrywą uregulowanego bytowania, że to możliwe tylko w zasięgu bliskiej i równającej wszystkich śmierci[5].

Nie jest to księga moich prywatnych wspomnień. Dlatego nie będę opowiadał o bardzo zabawnych szczegółach mojego zupełnie nietypowego aresztowania. Tej nocy agenci SMIERSZ'a wpadli w desperację po daremnych próbach znalezienia kierunku na mapie (nigdy zresztą tej sztuki nie znali) i grzecznie mi ją wręczyli prosząc o wskazanie szoferowi drogi do kontrwywiadu armii. Dowiozłem ich i siebie do tego więzienia i w nagrodę natychmiast zostałem wsadzony nie do celi, tylko do karceru. Tej rupieciarni niemieckiego, chłopskiego obejścia, która pełniła obowiązki karceru, pominąć jednak nie można.

---

5. Zadziwiające: MOŻNA jednak być człowiekiem! — Trawkin wcale nie poniósł szwanku. Niedawno doszło pomiędzy nami do serdecznego spotkania, zawarliśmy wreszcie znajomość. Jest generałem w stanie spoczynku i rewidentem związku łowieckiego.

Miała ona długość ludzkiego ciała, szerokość zaś taką, że trojgu już było ciasno, czwarty ledwo się mieścił. Ja byłem właśnie czwartym, wepchnięto mnie tam po północy, trzej śpiący na ziemi skrzywili się na mój widok, wyrwani ze snu przez światło naftowej lampy, ale się posunęli. Tak więc, na startej słomie leżały teraz cztery pary długich butów podeszwami ku drzwiom i cztery wojskowe płaszcze: tamci spali, a mnie zżerała gorączka. Im zarozumialszym byłem kapitanem jeszcze parę godzin temu, tym ciaśniej mi było gnieść się na dnie tej komórki. Raz czy drugi chłopcy budzili się, bo człowiek drętwiał, i obracaliśmy się równocześnie na drugi bok.

Rankiem pobudzili się, ziewnęli, postękali, podciągnęli nogi, siedli po kątach i zaczęło się zawieranie znajomości.

— A ty za co?

Ale mglisty wietrzyk podejrzliwości już mnie musnął w trującym cieniu SMIERSZ'a, więc odparłem z całą prostotą:

— Nie mam pojęcia. Albo to coś powiedzą, gady?

Jednak moi współwięźniowie, czołgiści w ciasnych, miękkich hełmach nic nie ukrywali. Były to trzy rzetelne, niezawiłe żołnierskie serca, rodzaj ludzi, do których przywiązałem się podczas wojny, będąc od nich człowiekiem i bardziej skomplikowanym i gorszym. Wszyscy trzej byli oficerami. Epolety im też zerwano z tą samą wściekłością, tu i tam sterczało jeszcze niciane mięso (sterczały jeszcze żywe nitki). Jasne plamy na zielonych bluzach — to były znaki po zdartych orderach, ciemne i czerwone plamy na twarzy i rękach — pamiątki po ranach i oparzeniach. Ich dywizjon nieszczęściem przybył na remont tu właśnie, do tej samej wsi, gdzie stacjonował kontrwywiad SMIERSZ 48-ej Armii. Ochłonąwszy po bitwie, która odbyła się onegdaj, popili sobie wczoraj i za opłotkami wsi wtargnęli do łaźni, gdzie, jak spostrzegli, poszły się kąpać dwie żwawe dziewuchy. Nie bardzo trzymali się na nogach, więc dziewuchy zdołały uciec, choć półgołe. Ale okazało się, że jedna z tych dziewuch jest nie byle czyja — tylko naczelnika kontrwywiadu armii.

No tak! Już trzy tygodnie wojna toczyła się na terenie Niemiec i tośmy już dobrze wiedzieli: gdy dziewuchy były Niemkami, to można je było zgwałcić, potem rozstrzelać i uszłoby to niemal za wyczyn bojowy; gdyby to były Polki, albo nasze, ruskie, z wywózek — to można by w każdym razie pouganiać się za nimi po warzywniku klepiąc po tyłkach — niewinny żart i tyle. Ale skoro poszło o „polową żonę" naczelnika kontrwywiadu — to trzem frontowym oficerom jakiś tyłowy sierżant zerwał ze złością epolety, z dystynkcjami nadanymi rozkazem dowództwa frontu, zdarł ordery, przyznane im przez Prezydium Rady Najwyższej

— i teraz tych wojaków, co walczyli całą wojnę i przedarli się przez niejedną, być może, linię nieprzyjacielskich okopów, oczekiwał sąd wojenny, którego skład nie dojechałby zapewne do tej wsi, gdyby nie ich czołg.

Zdmuchnęliśmy kaganek, bo i tak wypalił już wszystko, czym można było oddychać. W drzwiach wycięty był j u d a s z wielkości widokówki i stamtąd tylko padało odbite światło z korytarza. Obawiając się jakby, że z nadejściem dnia karcer wyda nam się zbyt przestronny, p o d r z u c o n o nam teraz piątego partnera. Miał na sobie nowiutki płaszcz czerwonoarmisty, równie nową czapkę i gdy tak stał naprzeciw judasza, okazało się, że ma zadarty nos, świeżą cerę i policzki całe w rumieńcach.

— Skąd się wziąłeś, bracie? Ktoś ty taki?

— A z t a m t e j strony — odparł dziarsko. — Szpieg.

— Żartujesz? — zdrętwieliśmy aż. (Szpieg — i żeby sam o tym mówił! — nigdy w ten sposób o tym nie pisał Szejnin ani bracia Tur[6]!

— Żarty na wojnie? — westchnął rezolutny chłopak. A jak inaczej z niewoli do domu wrócić? Macie sposób?

Zaczął nam opowiadać, jak zeszłej doby Niemcy przerzucili go przez front, żeby mógł tu szpiegować i wysadzać mosty, on zaś natychmiast poszedł do najbliższego batalionu, żeby się poddać a niewyspany, znużony komendant w żaden sposób mu nie chciał wierzyć, że jest szpiegiem i posyłał do pielęgniarki, żeby dała lekarstwa — ale zaraz nowe wrażenia przeszkodziły nam w słuchaniu.

— Do wychodka! Ręce do tyłu! — wołał przez otwarte drzwi chorąży - p a ł a, który całkiem łatwo sam jeden podźwignąłby lufę 122-tumilimetrowej armaty.

Dookoła całego obejścia, ustawiony już był łańcuch fizylierów, strzegących wskazanej nam ścieżki, prowadzącej za stodołę. Kipiałem z oburzenia, że jakiś bęcwał-chorąży śmie rozkazywać nam — oficerom: „ręce do tyłu", ale czołgiści spletli dłonie za plecami i ruszyłem w ślad za nimi.

Za stodołą był mały, kwadratowy zagonik — pokryty jeszcze niestopniałym, zadeptanym śniegiem i cały zawalony ludzkim kałem tak gęsto i nieporządnie, że niełatwe to było zadanie — znaleźć miejsce dla stóp i przykucnąć. Jakoś sobie jednak poradziliśmy i kucnęliśmy całą piątką, jeden bliżej, drugi dalej. Dwóch strzelców z ponurą miną wycelowało automaty w nas, przypadłych do ziemi, chorąży zaś już po jakiejś minucie zaczął poganiać:

— No, szybciej, nie zwlekać! U nas prędko idzie robota!

---

6. Autorzy szeroko kolportowanych w ZSSR powieści kryminalnych.

Niedaleko ode mnie kucał jeden z czołgistów, chłopak z Rostowa, wysoki, pochmurny, starszy lejtnant. Twarz miał czarniawą od żelaznego nalotu, albo od dymu, ale duża czerwona szrama przez cały policzek dobrze była widoczna.

— Gdzie to tak — u w a s? — zapytał cicho, nie spiesząc się bynajmniej do cuchnącego naftą karceru.

— W kontrwywidzie SMIERSZ! — z dumą i z większym, niż trzeba naciskiem zawołał chorąży. (Ci z kontrwywiadu bardzo lubili tę niezdarną zbitkę wyrazów: „Śmierć szpiegom!" Uważali, że budzi grozę, działa na postrach).

— A u nas — powoli, z namysłem odparł starszy lejtnant. Hełm zadarł mu się na głowie i widać było, że czupryna jeszcze nie strzyżona. Jego frontowy, garbowany tyłek muskał teraz łagodnie chłodny wietrzyk.

— Gdzie to — u w a s? — głośniej, niż trzeba szczeknął chorąży.

— A w Armii Czerwonej — bardzo spokojnie odparł starszy lejtnant siedząc w kucki i z tej pozycji mierząc wzrokiem niedoszłego kanoniera.

Takie były pierwsze hausty mojego więziennego powietrza.

II

DZIEJE NASZEJ KANALIZACJI

Kiedy teraz wyrzeka się na nadużycia epoki kultu, to rozmowa sprowadza się w końcu zawsze do osławionych lat 37-38. Zaczyna to już być tak stałym odruchem pamięci, jakby nie wsadzano ludzi ani PRZEDTEM, ani PÓŹNIEJ, a tylko w 37-ym i 38-ym.

Nie mając pod ręką żadnej statystyki, nie boję się jednak omyłki, gdy powiadam, że potok 37-38-go ani nie był jedynym, ani nawet głównym. Był chyba tylko jednym z trzech największych potoków, jakie zostały wtłoczone do mrocznych, cuchnących rur naszej więzienuej kanalizacji.

PRZED nim był potok lat 1929-30, szeroki i długi jak co najmniej Ob*, który wpędził w tundry i tajgi z piętnaście milionów chłopów (a może i więcej). Ale chłopi — głosu nie mają, piórem nie władają, nie pisali więc ani skarg, ani memuarów. Panowie śledczy też nocy na nich nie tracili, ani nie ślęczeli nad protokołami — dość było decyzji rady gromadzkiej. Potok ten przepłynął, wsiąkł w obszar wiecznego lodu i nawet najgorętsze głowy prawie już go nie wspomną. Wygląda na to, że nie zostawił nawet ran na sumieniu Rosji. A tymczasem — wśród zbrodni Stalina (i naszych, naszych wspólnych) ta była najcięższa.

PÓŹNIEJ zaś był potok lat 1944-46, rozmiarami przenoszący Jenisej: spływały do rur ściekowych całe *narody*, a nadto miliony i miliony tych, co namęczyli się (także z naszej winy!) w niewoli, wywiezionych do Niemiec i wracających stamtąd (Stalin przyżegał rany, żeby zasklepiły się czym prędzej, żeby ciało narodu czym prędzej pokryło się strupem i żeby nie dać całemu temu ciału odetchnąć, odsapnąć, wydobrzeć). Ale ludzie z tego potoku też byli raczej prości i memuarów nie pisywali.

* Największa z rzek syberyjskich.

Potok zaś 37-go roku porwał i poniósł na Archipelag także ludzi na stanowiskach, ludzi z partyjną przeszłością, ludzi wykształconych, przy tym wielu z ich otoczenia zostało w miastach, a ilu wśród nich władało piórem! — i wszyscy oni teraz piszą, mówią, snują wspomnienia: trzydziesty siódmy! Wołga nieszczęścia narodowego!

A spróbuj powiedzieć Tatarowi, Kałmukowi albo Czeczeńcowi — „trzydziesty siódmy" — tylko ramionami wzruszy. A co znaczy dla Leningradu trzydziesty siódmy, kiedy wcześniej już był tam trzydziesty piąty? A dla tych, co dostali *repetę wyroku,* albo dla mieszkańców krajów nadbałtyckich — czy nie cięższe były lata 48-49? A jeśli fanatycy stylu i geografii wytkną mi, pominięto tu wiele jeszcze innych rosyjskich rzek, toć nie wyliczyłem jeszcze wcale wszystkich, cierpliwości! Te potoki na całą resztę się same złożą.

Wiadomo, że każdy organ ulega atrofii, jeśli nie jest stale używany.

Skoro zatem wiemy, że Organy (same siebie lubią zwać one tym wstydliwym imieniem), tak opiewane i tak bardzo górujące nad wszystkim, co żyje, nie mogą skarżyć się na atrofię najnędzniejszej nawet ze swoich macek, że przeciwnie — mogą pochlubić się ich roztrostem i muskularnością, to łatwo domyśleć się, że były w STAŁYM użyciu.

Rury wciąż pulsowały — ciśnienie bywało raz wyższe od projektowanego, raz niższe, ale więzienne kanały nigdy nie ziały pustką. Krew, pot i uryna, w których się pławiliśmy, tętniły w nich nieustannie. Historia tej kanalizacji — to są dzieje ciągłego dopływu i przepływu, tylko że raz prąd wzbierał, raz tworzył łachy, potem znów przychodziła powódź, dopływy bywały raz mniejsze, raz obfitsze, a jeszcze ze wszystkich stron sączyły się strugi, strużki, ścieki z rynien — i po prostu pojedyncze krople, gdy się trafiły.

Wykaz zestawiony według następstwa czasowego, przytoczony na następnych stronicach, uwzględnia zarówno dopływy, składające się z milionów aresztowanych, jak strumyczki, na które złożyły się zwykłe, niepozorne dziesiątki ludzi — ale bynajmniej nie jest zupełny, jest wręcz ubogi, ograniczony przez moje możliwości badań historycznych. Tu potrzeba wielu jeszcze uzupełnień ze strony ludzi znających przedmiot, a pozostałych przy życiu.

◆

Ten wykaz najtrudniej ZACZĄĆ. Po pierwsze — dlatego, że im głębiej w dziesięciolecia, tym mniej pozostało świadków

— wieść gminna przygłuchła, zaćmiła się — a kronik albo nie ma, ale za siedmiu zamkami. Po drugie — dlatego, że nie byłoby sprawiedliwie omawiać tu jednakowym tonem zarówno lata wyjątkowo zawziętych starć (wojna domowa) — i pierwsze lata pokoju, kiedy można było już oczekiwać miłosierdzia.

Ale jeszcze zanim doszło do wojny domowej, już byli tacy, co wiedzieli, że Rosja, przy istniejącym składzie ludności, nie nadaje się oczywiście do żadnego socjalizmu. Że jest w ogóle zanieczyszczona. Jeden z pierwszych ciosów dyktatura zadała kadetom, konstytucyjnym demokratom (za cara byli rozsadnikami rewolucyjnej zarazy, po zwycięstwie władzy proletariackiej — rozsadnikami zarazy reakcyjnej). W końcu listopada 1917 roku, w dniach gdy miała się odbyć pierwsza, niedoszła do skutku, sesja Konstytuanty, partia kadetów oficjalnie została postawiona poza prawem i zaczęły się aresztowania. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęto zamykać członków „Związku Zwolenników Konstytuanty" i sieci „uniwersytetów robotniczych".

Znając sens i ducha rewolucji, łatwo się domyśleć, że w ciągu tych miesięcy piotrogrodzkie Kresty, moskiewskie Butyrki i liczne inne, podobne im więzienia prowincjonalne zapełniły się wielkimi bogaczami, znanymi działaczami, generałami i oficerami, a także pracownikami ministerstw i całego aparatu państwowego, nie chcącymi wykonywać rozkazów nowej władzy. Jedną z pierwszych operacji Czeki było aresztowanie komitetu strajkowego Wszechrosyjskiego Związku Urzędników. Oto jeden z pierwszych okólników NKWD, z grudnia 1917 roku: „W związku z sabotażem ze strony urzędników okazać trzeba w terenie maksimum inicjatywy, NIE WYŁĄCZAJĄC konfiskat, środków przymusu i aresztowań[1]".

I chociaż W. I. Lenin w końcu 1917 roku w celu „umocnienia rewolucyjnego porządku" żądał „bezlitosnego dławienia prób szerzenia anarchii przez pijaków, chuliganów, kontrrewolucjonistów itp.[2]" — a to znaczy, że głównym niebezpieczeństwem dla Rewolucji Październikowej byli według niego pijacy, zaś kontrrewolucjonistów umieszczał gdzieś w trzecim dopiero rzędzie — jednak stawiał on sprawę także znacznie szerzej. W artykule „Jak organizować współzawodnictwo" (7 i 10 styczeń 1918 roku) W. I. Lenin proklamował jako wspólny cel „o c z y s z c z e n i e rosyjskiej ziemi z wszelkich szkodliwych insektów[3]". Za i n s e k t y uważał on nie tylko wszystkie obce klasowo ele-

1. *Wiestnik NKWD*, 1917, Nr 1, str. 4.
2. Lenin, *Dzieła zebrane*, wyd. V (ros.), tom 35, str. 68.
3. *Ibidem*, str. 204.

menty, lecz także „robotników, uchylających się od pracy", na przykład — zecerów piotrogrodzkich drukarni partyjnych. (Oto, co znaczy upływ czasu: trudno nam teraz zrozumieć, że robotnicy — ledwie stali się dyktatorami, zaraz zaczęli uchylać się od pracy dla siebie samych). A dalej: „... w jakiej dzielnicy wielkich miast, w jakiej fabryce, w jakiej wsi... nie ma... sabotażystów, zwących się inteligentami[4]?" Co prawda, Lenin w tym artykule przewidywał rozmaite formy uwalniania się od insektów: jednych się wsadzi, innych pośle do czyszczenia wychodków, jeszcze innym „po odsiadce w karcerze wyda się żółte paszporty; tu i ówdzie trzeba rozstrzelać trutnia. Do wyboru ma się — więzienie, albo karne roboty przymusowe najcięższego rodzaju[5]". Wskazując i sugerując zasadnicze linie polityki karnej, Włodzimierz Iliicz proponował, aby o najlepsze metody tej czystki współzawodniczyły ze sobą „komuny i gminy".

Kto zaliczany był do tej pojemnej kategorii insektów, tego dziś nie sposób zbadać do końca: zbyt niejednolity był skład ludności Rosji i należały do niej także izolowane, zgoła nikomu niepotrzebne, a teraz całkiem już zapomniane małe grupy. Insektami byli, oczywiście, ziemcy, działacze samorządu terytorialnego. Insektami byli spółdzielcy. Wszyscy właściciele domów. Niemała ilość insektów była wśród nauczycieli gimnazjalnych. Insekty oblazły gęsto komitety parafialne, insekty śpiewały w chórach cerkiewnych. Insektami byli wszyscy duchowni, a tym bardziej — zakonnicy i zakonnice. Także ci zwolennicy Tołstoja, którzy przystępując do pracy w sowieckiej instytucji albo, powiedzmy, na kolei, nie podpisywali obowiązkowego przyrzeczenia, że bronić będą sowieckiej władzy z bronią w ręku — również demaskowali się jako insekty (i jeszcze spotkamy się z wypadkami oddawania się pod sąd). Była mowa o kolejach — otóż bardzo wiele insektów ujawniono wśród kolejarzy i trzeba było je wyskubywać, a tego czy owego nawet pacnąć. Telegrafiści zaś, nie wiedzieć czemu, z reguły okazywali się zajadłymi insektami, bez żadnego zrozumienia dla sprawy Sowietów. Nic dobrego nie da się powiedzieć o związku kolejarzy — WIKŻEL i o innych związkach zawodowych, rojących się od insektów, wrogo nastawionych do klasy robotniczej.

Już tylko te grupy, któreśmy tu wyliczyli, dają w sumie ogromną liczbę — robota zapowiadała się na kilka lat.

A iluż to jeszcze plugawych inteligentów, rozwydrzonych studentów, rozmaitych dziwaków, poszukiwaczy prawdy i bożych

4. *Ibidem*, str. 204.
5. *Ibidem*, str. 203.

opętańców, z których jeszcze Piotr Pierwszy daremnie chciał oczyścić Rosję i którzy zawsze są przeszkodą dla uładzonego, surowego reżymu? I nie sposób byłoby przeprowadzić tej dezynfekcji, tym bardziej podczas wojny, gdyby stosowane były stare metody procedury sądowej i normy prawne. Ale przyjęto zupełnie nową metodę: represję pozasądową — i tej niewdzięcznej pracy podjęła się z całym poświęceniem WCZK[6] — Strażnik Rewolucji, jedyny w historii ludzkości organ ścigania łączący w jednym ręku funkcje: inwigilacji, aresztu, śledztwa, prokuratury, sądu, i wykonania decyzji.

W 1918 roku, w celu przyśpieszenia zwycięstwa rewolucji również na froncie kultury, zabrano się do patroszenia i wytrząsania z relikwiarzy szczątków świętych i patronów oraz do rekwizycji sprzętu liturgicznego. W obronie pustoszonych cerkwi i klasztorów wybuchły ludowe powstania. Tu i ówdzie bito w dzwony i wierni zbiegali się, ten i ów z kijaszkiem. Jasne, że trzeba było jednego z drugim na miejscu rozmienić na drobne, a niejednego wziąć pod klucz.

Rozmyślając teraz nad historią lat 1918-1920 trudno powiedzieć — czy wolno zaliczyć do potoku więziennego tych wszystkich, którzy zostali rozwaleni nie dojeżdżając do celi? I w jakiej rubryce odnotować tych, których kombiedy[7] załatwiały za węgłem rady gromadzkiej albo w opłotkach? Czy zdążyli choćby postawić stopę na ziemi Archipelagu uczestnicy spisków, wykrywanych całymi bukietami w każdej guberni (dwa w Riazaniu, po jednym w Kostromie, w Wysznim Wołocku i Wieliżu, kilka na Kijowszczyźnie, i pod Moskwą, spisek saratowski, czernihowski, astrachański, seligierski, smoleński, bobrujski, tambowski, czembarski, wielkołucki, mścisławski, spisek kawalerzystów i inne) — czy nie zdążyli i dlatego nie mogą być przedmiotem niniejszego opisu? Pominąwszy dzieje tłumienia znaczniejszych buntów (jarosławski, rybiński, muromski, arzamaski), niektóre wypadki znamy tylko z nazwy — wiemy na przykład o egzekucjach w Kołpinie w czerwcu 1918 roku — ale o co poszło?... Kogo rozstrzelano?... I gdzie to odnotować?

A jak rozstrzygnąć inną niemałą trudność: czy wliczyć do fali więziennej, czy też wpisać na konto wojny domowej dziesiątki tysięcy zakładników, tych o nic osobiście nie oskarżonych i nawet nie spisanych najnędzniejszym ołówkiem, nie wymienionych z nazwiska spokojnych obywateli, pojmanych i zabitych na

---

6. Wszechzwiązkowa Komisja Nadzwyczajna tzw. Czerezwyczajka, Czeka.
7. Komitety biedoty wiejskiej.

postrach, albo gwoli zemsty na zbrojnym nieprzyjacielu czy na zbuntowanych masach?

Po wydarzeniach 30. VIII. 1918 NKWD wysłał w cały teren zlecenie, aby „natychmiast aresztować wszystkich prawych eserów, a spośród burżuazji i warstwy oficerskiej wziąć znaczną ilość zakładników[8]". (No, a gdyby tak na przykład po zamachu grupy Aleksandra Ulianowa[9] wyaresztowano nie tylko tę grupę, lecz również wszystkich studentów w Rosji oraz znaczną ilość „ziemców"?). Decyzją Rady Obrony z 15. II. 1919 — zapewne pod przewodnictwem Lenina? — zalecało się Czerezwyczajce i NKWD brać jako zakładników chłopów z tych miejscowości — gdzie zaśnieżone tory kolejowe oczyszczane są „niezupełnie zadawalająco" z tym, że „jeśli śnieg z torów nie zostanie usunięty — zakładnicy będą rozstrzelani[10]". Decyzją Sownarkomu z końca 1920 zezwolono brać również socjal-demokratów jako zakładników.

Ale ograniczając się tylko do zwykłych aresztowań, musimy zauważyć, że już od wiosny 1918 roku zaczęła płynąć nieprzerwana, wieloletnia fala zdrajców-socjalistów. Wszystkie te partie: socjal-rewolucjonistów, mienszewików, anarchistów, ludowych socjalistów, przez dziesiątki lat tylko udawały, że walczą o rewolucję, nosiły maskę — i nawet idąc za to na katorgę, uprawiały obłudną symulację. I dopiero gwałtowny rozwój wypadków rewolucyjnych od razu ukazał światu burżuazyjne oblicze tych socjal-zdrajców. Trzeba więc była zacząć ich zamykać, to naturalne! Wkrótce po kadetach, po rozpędzeniu Konstytuanty, po rozbrojeniu pułku Preobrażeńskiego i innych, zaczęto wyłapywać po trochu — z początku bez rozgłosu — również eserów i mienszewików. Począwszy od 14 czerwca 1918, kiedy to usunięto ich ze wszystkich rad delegatów, te areszty stały się coraz częstsze i coraz bardziej masowe. Od 6 lipca dodano do kompletu także lewicowych eserów, którzy dłużej niż inni i z większą jeszcze przewrotnością udawali sojuszników jedynej konsekwentnej partii proletariatu. Od tej chwili wystarczyło, że w jakiejś fabryce albo miasteczku wybuchły rozruchy robotnicze, zaburzenia, strajki (wiele ich było latem 1918, w marcu zaś 1921 roku wstrząsnęły one Piotrogradem, Moskwą, później — Kronsztadtem i zmusiły rząd do wprowadzenia NEP'u) by — podczas gdy nawoływano do spokoju, robiono ustępstwa, i zaspokajano słuszne żądania robotnicze — Czeka już zabierała się po cichu do nocnych aresztów

8. *Wiestnik NKWD*, 1918, nr 21-22, str. 1.

9. Brat Lenina, narodowolec, skazany na śmierć za próbę zamachu na cara.

10. *Dekrety Rządu Sowieckiego*, tom IV, Moskwa 1968, str. 627.

mienszewików i eserów, jako właściwych winowajców takiej ruchawki. Latem 1918, w kwietniu i w październiku 1919 zamykano gromadnie anarchistów. W 1919 roku aresztowano tę część eserowskiego KC, która była w zasięgu ręki: siedziała ona w Butyrkach aż do procesu, który odbył się w 1922. W tym samym roku 1919 wybitny czekista Łacis takimi słowy pisał o mienszewikach: „Że tacy ludzie nam przeszkadzają, to za mało powiedziane. Dlatego usuwamy ich z naszej drogi, żeby nie pętali się nam pod nogami... Lokujemy ich w dobrze strzeżonym miejscu, w Butyrkach, gdzie każemy im siedzieć dopóty, dopóki nie skończy się walka pracy z kapitałem[11]". W tymże roku 1919 zostali uwięzieni także delegaci bezpartyjnego zjazdu robotniczego (przez co nie mógł on się odbyć)[12].

Już w 1919 zrozumiano, jak bardzo podejrzani są nasi rodacy, wracający zza granicy (a po co? z jakimi zleceniami?) — w ten sposób pakowani byli za kraty powracający z Francji oficerowie rosyjskiego korpusu ekspedycyjnego.

W 1919 roku, przy nader zamaszystej likwidacji prawdziwych i rzekomych spisków („Centrum Narodowe", Spisek Wojskowy) w Moskwie, Piotrogrodzie i innych miastach, rozstrzeliwano według listy (to znaczy, że stawiano ludzi pod ścianką od razu, bez śledztwa) i pakowano do więzień bez wyboru tzw. inteligencję kadetopodobną. A co to znaczy? *Nie* monarchistyczną i *nie* socjalistyczną, a więc — wszystkie kręgi naukowe, artystyczne, literackie, a także całe środowisko inżynierskie. Prócz pisarzy-radykałów, prócz teologów i teoretyków socjalizmu, cała pozostała masa inteligencji, koło 80 % istotnie była „kadetopodobna". Zaliczał się do niej — zdaniem Lenina — także taki Korolenko — „nędzny mieszczuch, nie umiejący uwolnić się z pęt przesądów burżuazyjnych[13]", a „talenty tego rodzaju spokojnie mogą posiedzieć jakiś tydzień w areszcie[14]". O niektórych grupach aresztowanych wiemy z protestów Gorkiego. 15. IX. 1919. Włodzimierz Iliicz odpowiada mu tak: „... zdajemy sobie sprawę, że tu też zdarzały się omyłki", ale „też mi nieszczęście, pomyślałby kto! Też mi niesprawiedliwość!" — i radzi Gorkiemu „nie trwonić swego czasu na lamenty zgniłych inteligentów[15]".

---

11. M. J. Łacis, *2 lata na froncie wewnętrznym*. — Popularny Szkic działalności CzK.
12. *Ibidem*, str. 60.
13. *Lenin*, wyd. V., tom 51, str. 47, 48.
14. *Ibidem*, str. 48.
15. *Ibidem*, str. 49.

W styczniu 1919 roku wprowadzono obowiązkowe kontyngenty w produkcji rolnej i dla ich ściągania formuje się oddziały żywnościowe. Napotykają one wszędzie na opór — to bierny, to burzliwy. Tłumienie tego oporu także spowodowało (nie licząc rozstrzelanych na miejscu) znaczy przybór fali aresztowanych w ciągu dwóch lat.

Świadomie pomijamy tu całą tę wielką część przerobu Czeki, Wydziałów Specjalnych i Rewtrybunałów, która związana była z przesuwaniem się linii frontu i zdobywaniem miast oraz okręgów. Wspomniana już dyrektywa NKWD z 30. VII. 1918 roku zalecała ogniskować się na zadaniu „bezwzględnego rozstrzeliwania wszystkich zamieszanych w białogwardyjską robotę". Ale czasem człowiek się gubi: jak przeprowadzić linię podziału? Latem 1920 roku, kiedy wojna domowa jeszcze nie całkiem i nie wszędzie wygasła, ale nad Donem już było po wszystkim, stamtąd, z Rostowa i z Nowoczerkaska dużymi partiami wysyłano oficerów do Archangielska i dalej, krypami na wyspy Sołowieckie (podobno kilka kryp zatopiono na morzu Białym, identyczne wypadki zdarzały się także na morzu Kaspijskim) — otóż — czy składać to na karb wojny domowej, czy zaliczać już do okresu pokojowej odbudowy? Jeżeli w tym samym roku w Nowoczerkasku zostaje rozstrzelana kobieta w ciąży, żona oficera, za to, że ukrywała męża — to do jakiej kategorii ją wliczyć?

W maju 1930 roku ogłoszono rezolucję KC „O działalności dywersyjnej na zapleczu". Z doświadczenia wiemy, że każda taka rezolucja jest bodźcem do nowego, generalnego dopływu aresztowanych, jest kierunkowskazem dla nowego potoku.

Szczególną przeszkodą (ale i szczególną pomocą!) w dziele organizacji tych wszystkich potoków był aż do 1922 roku brak Kodeksu Karnego, jakiegokolwiek systemu prawa karnego. Sama tylko rewolucyjna świadomość (zawsze zresztą nieomylna!) dostarczała wskazówek i łapaczom, i kanalizatorom — kogo mają b r a ć i co z nim robić.

W tym przeglądzie nie będą rozpatrywane fale kryminalistów i przestępców pospolitych; dlatego przypomnimy jedynie, że ogólne kłopoty i braki związane z przebudową urzędów, instytucji i wszystkich praw mogły tylko sprzyjać znacznemu zwiększeniu ilości kradzieży, napadów, gwałtów, łapówek i spekulacji. Chociaż nie tak groźne dla istnienia Republiki, te przestępstwa kryminalne też były częściowo ścigane i przez dopływ aresztowanych z tego tytułu wzbierał potok uwięzionych kontrrewolucjonistów. Istniała też s p e k u l a c j a o zdecydowanie politycznym charakterze, jak stwierdzał dekret Sownarkomu, firmowany przez Lenina z 22. VII. 1918 roku: „winni sprzedaży,

skupu, albo przekazywania dla sprzedaży zarobkowej tych produktów żywnościowych, które są przedmiotem monopolu państwowego (chłop produkuje ziarno — na sprzedaż, na handel, a jak inaczej może zarobkować?? — A.S.) ... podlegają uwięzieniu na okres *nie mniejszy* niż 10 lat w połączeniu z *najcięższymi* robotami przymusowymi i konfiskatą *całego* majątku".

Poczynając od tego lata wieś, z przekraczającym jej siły napięciem, rok po roku oddawała swoje zbiory za darmo. Wywołało to powstania chłopskie[16], a zatem — ich tłumienie i nowe aresztowania. Wiemy (niewiele wiemy...) o procesie „Syberyjskiego Związku Chłopskiego" w 1920 roku. W końcu tegoż roku ma miejsce zapobiegawcze zdławienie tambowskiej chłopskiej rebelii. (Bez żadnego procesu sądowego).

Ale największą masę ludzi z tambowskich wsi zabrano w czerwcu 1921 roku. Cała ta gubernia pokryta była siecią obozów koncentracyjnych dla rodzin chłopów, którzy brali udział w powstaniu. Szmat pustego pola otoczony był drutem kolczastym, od słupa do słupa, i przez trzy tygodnie trzymano tam każdą rodzinę podejrzaną o to, że ma jakiegoś męskiego przedstawiciela wśród powstańców. Jeżeli w ciągu trzech tygodni chłop nie pojawiał się, by wykupić rodzinę za cenę swojej głowy — krewniaków deportowano[17].

Jeszcze wcześniej, w marcu 1921 roku na wyspy Archipelagu, po przejściu przez Trubecki Bastion Twierdzy Piotra wysłani zostali marynarze ze zbuntowanego Kronsztadtu, wyjąwszy tych, których już rozstrzelano.

Rok 1921 rozpoczął się od rozkazu WCZK nr 10 (z 8. I. 1921): „Wzmóc represje w stosunku do burżuazji!" Teraz, kiedy wojna domowa miała się ku końcowi, postanowiono represji nie osłabiać, lecz właśnie ją *wzmóc!* Jak to wyglądało na Krymie — możemy się domyśleć z niektórych wierszy Maksymiliana Wołoszyna.

Latem 1921 roku wyaresztowany został społeczny Komitet Pomocy Głodującym (Kuskowa, Prokopowicz, Kiszkin i in.), próbujący powstrzymać szerzenie się w Rosji niebywałego głodu. Chodziło o to, że te dobroczynne ręce były nie t y m i rękoma, którym można było pozwolić na karmienie głodujących. Pozostawiony na wolności przewodniczący tego Komitetu, umierający Korolenko, nazwał pogrom Komitetu „najgorszym aktem politykierstwa, politykierstwem państwowym" (list do Gorkiego

16. „Najpracowitsza część ludu podlegała zdecydowanemu wytępieniu" — Korolenko, list do Gorkiego z 10. VIII. 1921).

17. Czasopismo „Wojna i rewolucja", 1926, nr 7, 8. Tuchaczewski: „Walka z powstaniami kontrrewolucyjnymi".

z 14. IX. 1921 roku). (Korolenko przypomina nam też ważną cechę więzień 1921 roku[18]: „są całe przesiąknięte tyfusem". Potwierdza to Skrypnikowa i inni ówcześni więźniowie).

W tym samym 1921 roku już praktykowane były aresztowania studentów (na przykład — Akademia im. Timiriajewa, grupa E. Dojarenko) za „krytykę panujących porządków" (nie publiczną, ale ograniczoną do prywatnych rozmów). Wypadków takich było chyba jeszcze niewiele, bo wymienioną grupę przesłuchiwał sam Mienżyński z Jagodą.

Również w tym samym 1921 roku wzmogły się i nabrały zdecydowanego kierunku aresztowania członków innych partii. Właściwie już wszystkie partie dawnej Rosji zakończyły swój żywot, wyjąwszy partię zwycięzców. (O, kto pod kim dołki kopie!...).

Ale po to, by rozpad uczynić nieodwracalnym, trzeba było widocznie, aby rozpadowi ulegli członkowie tych partii, ich kształty cielesne.

Ani jeden obywatel państwa rosyjskiego, który kiedykolwiek wstąpił do jakiejś innej partii poza bolszewicką, nie zdołał uniknąć swego losu, był z góry skazany (chyba, że zdążył — jak Majski i Wyszyński — uciec z tonącego okrętu do komunistów). Mógł uniknąć pierwszych aresztowań, mógł dożyć (zależnie od stopnia swojej potencjalnej szkodliwości) do 1922, do 1932, nawet do 1937 roku, ale spisy były wciąż aktualne, kolejka posuwała się naprzód, dochodziła w końcu do niego, zamykano go, albo po prostu — grzecznie zapraszano gdzie należy i zadawano tylko jedno pytanie: czy należał ...od ...do? (Pytano też o jego wrogą działalność, ale o wszystkim decydowało pierwsze pytanie, jak to widzimy jasno teraz, po upływie całych dziesięcioleci). Dalszy jego los mógł układać się rozmaicie. Niektórzy trafiali od razu do jednego ze słynnych carskich więzień centralnych (szczęściem — wszystkie te więzienia nieźle się zachowały i niektórzy socjaliści trafiali do tych samych cel i pod nadzór tych samych strażników, z którymi zawarli już kiedyś znajomość). Innym znów proponowano wyjazd na zesłanie, o, nie na długo, na dwa, na trzy latka. Albo jeszcze lepiej: tzw. minus (zakaz zamieszkania w tylu, a tylu miastach): możesz nawet wybrać sobie samemu miejsce pobytu, tylko tam już, bardzo przepraszamy, ani kroku dalej — i czekaj, człowieku, dalszych rozporządzeń GPU.

18. Korolenko pisał Gorkiemu (29. VI. 1921): „Historia kiedyś zwróci uwagę na fakt, że ze szczerymi rewolucjonistami i socjalistami rewolucja rozprawiła się tymi samymi metodami, co carski reżym".

Operacja ta rozciągnęła się na długie lata, bo głównym warunkiem jej powodzenia było skrupulatne oczyszczenie Moskwy, Piotrogrodu, miast portowych, ośrodków przemysłowych, a następnie również miast powiatowych, z socjalistów wszelkiego obrządku. Był to kolosalny, cichy pasjans, zasady którego były zupełnie niezrozumiałe dla współczesnych: zarys tego przedsięwzięcia dziś dopiero możemy ocenić. Czyjś dalekowzroczny umysł wszystko zaplanował, czyjeś lubiące precyzję ręce brały bez chwili zwłoki kartę, która trzy lata przeleżała na jednej kupce, i miękkim ruchem przekładały ją do drugiej. Ten, kto posiedział już sobie w centralniaku — przerzucany był na zesłanie (i to jak najdalej), kto miał za sobą „minus" — również na zesłanie (ale już poza zasięgiem „minusa"), z zesłania — na dalsze zesłanie, później znów do centralniaka (ale już innego): ileż cierpliwości mieli ludzie, co rozkładali ten pasjans! I bez hałasu, bez lamentów, stopniowo zapodziewali się ci z innych partii, tracili wszelkie kontakty z ludźmi i miejscowościami, gdzie znano dawniej ich rewolucyjną działalność — i tak oto, niepostrzeżenie i niewzruszenie, przygotowywano pełne unicestwienie tych, którzy niegdyś perorowali na studenckich wiecach i dumnie dzwonili carskimi kajdanami.

W trakcie operacji Wielki Pasjans zlikwidowano fizycznie większość dawnych katorżników politycznych — bowiem właśnie eserzy i anarchiści, nie zaś socjaldemokraci, obrywali najcięższe wyroki od carskich sędziów, właśnie ich było najwięcej na dawnej katordze.

Kolejność procesu likwidacji miała jednak w sobie coś sprawiedliwego: w latach 20-tych tym ludziom proponowano podpisywanie deklaracji, wyrzeczenie się swoich partii i swojej ideologii. Niektórzy odmawiali — i w naturalny sposób szli na pierwszy ogień, inni podpisywali — i zyskiwali przez to kilka lat życia. Ale ich kolej nieubłaganie nadchodziła i nieubłaganie spadały także ich głowy[18 bis].

Wiosną 1922 roku Nadzwyczajna Komisja do walki z kontrrewolucją i spekulacją, dopiero co przemianowana na GPU, zdecydowała się na ingerencję w życie cerkwi. Trzeba było przepro-

18 bis. Czasem przeczyta człowiek artykulik w gazecie i aż głową trzęsie z podziwu. *Izwiestia* z 24. V. 1959: w rok po dojściu Hitlera do władzy Maksymilian Hauke został aresztowany za przynależność do... nie do bylejakiej partii, tylko do komunistycznej. Czy go zlikwidowano? Nie, dostał dwa lata. Po zakończeniu kary — oczywiście nowy wyrok? Nie, puścili go na wolność. Myśl człowieku, co chcesz! Żył sobie później spokojnie, po cichu zajmował się podziemną robotą — i stąd właśnie ten artykuł, poświęcony jego bohaterstwu.

wadzić także „cerkiewną rewolucję" — zmienić skład hierarchii, mieć tam ludzi którzy jednym uchem nasłuchiwaliby głosu niebios, drugim zaś — głosu Łubianki. Takie nadzieje można było łączyć z członkami tzw. ruchu Żywej Cerkwi, ale bez pomocy z zewnątrz nie mieli oni szans owładnięcia aparatem kościoła. W tym celu aresztowany został patriarcha Tichon i przeprowadzono dwa hałaśliwe procesy, zakończone egzekucjami: w Moskwie — sprawę kolporterów orędzia patriarszego, w Piotrogrodzie — sprawę metropolity Beniamina, który stał na przeszkodzie próbom przekazania władzy w ręce działaczy Żywej Cerkwi. W guberniach i powiatach, to tu, to tam, aresztowano metropolitów i archijerejów, a już za grubymi rybami, jak to zwykle, szły ławice drobnicy: — protojereje, zakonnicy i diakoni, o których gazety nie pisały. Wsadzano tych, którzy przeciwstawiali się nowinkarskim zapędom ruchu Żywej Cerkwi.

Duchowni stanowili stałą część codziennego połowu, srebro ich siwizny migało w każdym transporcie sołowieckim.

Wpadały — poczynając od wczesnych lat 20-tych, grupy teozofów, mistyków, spirytystów (grupa profesora Pahlena zawiniła tym, że prowadziła protokoły rozmów z duchami), stowarzyszenia religijne, filozofowie z kółka Mikołaja Bierdiajewa. Mimochodem zostali też rozgromieni i wyaresztowani „wschodni katolicy" (zwolennicy Włodzimierza Sołowiowa), grupa A. J. Abrikosowej. Rozumie się samo przez się, że pakowano za kraty także tych, co byli katolikami *par excellence* — polskich księży.

Jednak pełne wykorzenienie religii w kraju, które w latach 20-tych i 30-tych stanowiło jeden z ważniejszych celów działalności GPU-NKWD, mogło być osiągnięte tylko drogą masowych aresztowań samych wierzących prawosławnych. Intensywnie chwytano zatem, wsadzano i zsyłano zakonników i zakonnice, którzy tak bardzo zaczerniali obraz dawnego rosyjskiego życia. Wyłapywano i sądzono aktyw parafialny. Kręgi rozchodziły się coraz szerzej — i oto już garściami chwytano po prostu wiernych — starych ludzi, zwłaszcza kobiety, które z większym uporem trzymały się wiary i które teraz, w etapowych więzieniach i w obozach, długie lata nosiły przezwisko m n i s z e k.

To prawda, mówiło się, że aresztują i sądzą ludzi nie za samą wiarę, tylko za głoszenie swoich przekonań i wychowywanie dzieci w tym duchu. Jak to pisała Tania Chodkiewicz:

„Modlić się nikt ci nie zabrania,
Lecz tak... by słyszał tylko Bóg".

(Za ten wiersz dostała dziesięć lat). Człowiek, wierzący że

dane mu było poznać prawdę, zmuszony jest ukrywać ją... przed własnymi dziećmi!! Wychowanie dzieci w duchu religijnym zaczęto w latach 20-tych kwalifikować według artykułu 58-10, to znaczy jako agitację kontrrewolucyjną! Co prawda, jeszcze w trakcie rozprawy podsądny mógł zaprzeć się wiary. Niezbyt często, ale zdarzało się czasem, że ojciec deklarował odstępstwo i zostawał na wolności, aby móc dzieci wychowywać: matka zaś szła na Sołówki (przez wszystkie te dziesięciolecia kobiety przejawiały o wiele większą stałość i żarliwość).

Wszystkim skazanym za r e l i g i ę dawano d y c h ę, najcięższy w tych czasach wyrok.

(Czyszcząc z brudów większe miasta, by przygotować teren dla przyszłego, czystego społeczeństwa — w tych właśnie latach, zwłaszcza w 1927, razem z „mniszkami" przysyłano na wyspy Sołowieckie również prostytutki. Miłośniczki lekkiego życia i ziemskich uciech dostawały z l e k k i e g o paragrafu po t r z y l a t a. Warunki istniejące w więzieniach i punktach etapowych, oraz w samym obozie Sołowieckim, nie przeszkadzały im w ciągnięciu zysków ze swego rzemiosła od nadzorców i konwojentów, toteż po trzech latach z wypchanymi walizkami wracały do punktu wyjścia. Skazanym zaś za wiarę odcięto wszelką możność powrotu do dzieci i ojczystych stron).

Już we wczesnych latach 20-tych pojawiły się potoki o jednolitym składzie narodowym — chwilowo nieduże nawet jak na peryferie, skąd płynęły, a cóż dopiero — mierząc rosyjskim łokciem: mussawatystów z Azerbejdżanu, dasznaków z Armenii, gruzińskich mienszewików i Turkmentów — „basmaczy"[19], sprzeciwiających się ustanowieniu sowieckiej władzy w Azji Środkowej (pierwsze środkowo-azjatyckie sowiety deputatów składały się w znacznej większości z Rosjan i widziano w nich instytucje rosyjskie). W 1928 roku wyaresztowano pełny skład organizacji syjonistycznej „Hechaluc", jako że nie potrafiła wykazać się należnym pędem do internacjonalizmu.

Wśród następnych pokoleń ustaliło się przekonanie, że lata 20-te były okresem niczym nie skrępowanej, rozpasanej wręcz wolności. W tej książce natkniemy się jeszcze na ludzi, którzy inaczej lata 20-te widzieli. Bezpartyjni studenci w tych czasach walczyli o „autonomię wyższych uczelni", o prawo do zebrań, o zmniejszenie w programie studiów nadmiernego balastu wycho-

19. Mussawatyści — (mussawat = równość) ruch narodowy o odcieniu panturańskim w Azerbejdżanie. Dasznacy — członkowie demokratyczno-niepodległościowej ormiańskiej partii Dasznakcutiun. Basmacz — po uzbecku: zbójnik.

wania politycznego. Odpowiedzią były aresztowania. Mnożyły się w okresach przedświątecznych (np. przed 1 maja 1924 roku). W roku 1925 studenci leningradzcy (było ich około setki) dostali po trzy lata więzienia w polit-izolatorze za czytanie emigranckiego pisma *Socjalisticzeskij Wiestnik* i studiowanie dzieł Plechanowa (za swoich młodych lat sam Plechanow za demonstrację antyrządową pod soborem Kazańskim wykpił się znacznie lżejszą karą). W 1925 roku zaczęto już aresztować pierwszych (bardzo młodych) trockistów. (Dwóch naiwnych żołnierzy Czerwonej Armii, pomnych na rosyjską tradycję, zaczęło zbierać pieniądze na rzecz aresztowanych trockistów — i też trafiło do polit-izolatora).

Rozumie się, że ciosy wcale nie omijały klasy byłych wyzyskiwaczy. Przez całe lata 20-te trwało nękające polowanie na byłych oficerów, którzy się jakoś uchowali: i białych, co nie zasłużyli sobie na rozstrzelanie podczas wojny domowej, i biało-czerwonych — którzy mieli za sobą służbę w obu armiach po kolei, i carsko-czerwonych, którzy jednak nie cały czas spędzili w Armii Czerwonej, albo mieli w przebiegu kariery służbowej jakieś luki, nie wyjaśnione czarno na białym. Było to nękanie, wyrok bowiem nie zapadał od razu, tylko ciągnęły się bez końca — to też był pasjans! — wciąż nowe kontrole, kłopoty z pracą, z meldunkiem: zamykano ich, potem puszczano na wolność, znów ich zamykano — ale stopniowo prawie wszyscy znaleźli się w obozach, skąd nigdy już nie mieli wrócić.

Jednakże wysłanie oficerów na Archipelag bynajmniej sprawy nie załatwiło, problem tu się dopiero zaczynał: były przecież jeszcze matki, żony i dzieci oficerów. Poddając rzecz społecznej analizie, jak zwykle nieomylnej, łatwo było sobie wyobrazić jakie nastroje panują w tych rodzinach po aresztowaniu ojca. Tym samym ci ludzie zmuszali wręcz władze, by ich także aresztować! Więc ten potok także popłynął.

W latach 20-tych ogłoszono amnestię dla kozaków, którzy uczestniczyli w wojnie domowej. Z wyspy Lemnos wrócili do Rosji, na Kubań, dostali ziemię. Później wszystkich wsadzono za kraty.

Przycupnęli w ukryciu, i stopniowo byli wyłapywani, także wszyscy byli urzędnicy państwowi. Maskowali się chytrze, korzystając z tego, że nie wprowadzono jeszcze w Republice ani systemu paszportowego, ani jednolitych książeczek pracy — i wkręcali się do sowieckich instytucji. Ratowały sprawę w takich razach jakieś przejęzyczenia, przypadkowe spotkania, sąsiedzkie donosy... to znaczy — raporty bojowe. (A czasem — zupełny przypadek. Niejaki Mowa przechowywał u siebie spis wszystkich byłych pracowników aparatu sprawiedliwości pewnej guberni.

W 1925 roku znaleziono ten spis przypadkowo — i wszystkich wymienionych w nim rozstrzelano).

W ten sam sposób płynęły rzeki aresztowanych „za ukrywanie pochodzenia społecznego", „za pochodzenie społeczne". Były to szerokie pojęcia. Zamykano potomków rodów szlacheckich — jako szlachetnie urodzonych. Zamykano ich rodziny. I wreszcie — nie bardzo wiedząc o co chodzi — zamykano też tych, którym przyznano niegdyś tzw. szlachectwo osobiste — tzn. po prostu każdego, kto otrzymał swego czasu dyplom uniwersytecki. A skoro już zamknięto, to nie ma drogi powrotnej, sprawa nie do odrobienia. Strażnik Rewolucji nie może się mylić.

(Nie, jednak istnieje droga powrotna! — są to wątłe, chuderlawe prądy przeciwbieżne — ale czasem wyrywają się one na powierzchnię. Tu przypomnimy pierwszy z nich. Wśród szlacheckich i oficerskich żon czy córek trafiały się nierzadko kobiety wyjątkowych zalet osobistych i dużej urody. Niektóre z nich potrafiły wrócić do dawnego życia przebojem, wąskim korytem wiodącym wstecz — pod prąd; Były to te, które dobrze zapamiętały, że żyje się tylko raz i że nie ma nic droższego nad własne życie. Zaofiarowały więc swoje usługi GPU-NKWD w charakterze informatorek czy współpracowniczek, jak tam która: te, które komuś wpadły w oko — zostawały przyjęte — i były to najwydajniejsze z informatorek! Okazywały GPU ogromną pomoc — i cieszyły się pełnym zaufaniem „byłych ludzi". Wymienia się wśród nich ostatnią księżnę Wiazjemską, wybitną porewolucyjną donosicielkę (donosicielem był także jej syn na Sołówkach) i Konkordię Nikołajewnę Josse, niewiastę wyjątkowych zapewne zalet; męża jej, oficera, rozstrzelano w jej obecności, ją samą zesłano na Sołówki, ale zdołała wybłagać sobie powrót i w pobliżu Wielkiej Łubianki prowadziła później salon, który odwiedzany był chętnie przez dygnitarzy z tej Instytucji. Po raz wtóry wsadzono ją dopiero w 1937 roku — razem z jej klientami z paczki Jagody.

Śmieszne to, ale mocą niedorzecznej jakiejś tradycji został nam w spadku po dawnej Rosji Polityczny Czerwony Krzyż. Miał trzy oddziały: moskiewski (Pieszkowa[20], Winawer), charkowski (Sandomirska) i piotrogrodzki. Moskiewski oddział był grzeczny — i aż do 1937 nie rozpędzono go. Piotrogrodzki zaś (stary ludowiec Szewcow, kulawy Hartman, Koczerowski) zachowywał się nieznośnie, bezczelnie wtrącał się do politycznych spraw, szukał poparcia u starych więźniów Szlisselburga (jak Noworusski, współoskarżony w procesie Aleksandra Ulianowa)

20. Pierwsza żona Maksyma Gorkiego.

i pomagał nie tylko socjalistom, lecz również ka-erom (kontrrewolucjonistom). W 1926 roku oddział został rozwiązany, zaś jego działacze poszli na zesłanie.

Mijają lata i zaciera się w pamięci to, czego się nie odświeża wspomnieniem. W dalekiej perspektywie lat wspominamy 1927-y jako bezpieczny i syty rok jeszcze nie skróconego o głowę NEP'u. Tymczasem był to rok pełen napięcia, dygotał od gazetowych eksplozji i uważany był u nas — bo tak sugerowano — za przedświt rewolucji światowej. Zamordowaniu posła sowieckiego w Warszawie, którego opisy zalewały całe kolumny czerwcowych dzienników, Majakowski poświęcił cztery wiersze pełne piorunów.

Ale masz ci kłopot: Polska składa wyrazy żalu, samotnego zabójcę posła Wojkowa[21] pakują tam do więzienia — jak tu więc i wobec kogo zastosować dyrektywę poety:

„Spójnią,
pracą
i hartem w pomście
Naszczutej sforze
ukręcić karki!"

Na kim tu mścić się? Komu ukręcać karki? Otóż tu właśnie zaczęła się tzw. wojkowska branka. Jak zawsze, jak przy każdej ruchawce i w każdej chwili napięcia, idą pod klucz byli ludzie, idą anarchiści, eserzy, mienszewicy, *albo po prostu inteligencja.* Bo faktycznie — kogo tu aresztować w ośrodkach miejskich? Przecież nie klasę robotniczą! Ale inteligencja „kadetopodobna" już była nieźle przetrzebiona po 1919 roku. Czy nie czas zatem zabrać się do inteligencji, która wmawia sobie, że jest postępowa? Wziąć pod lupę studentów. Tu też Majakowski zgłasza się w samą porę:

„Myśl o komsomole
przez dni i tygodnie
Własnych szeregów
nie spuszczaj
z oka
Czy wszyscy
komsomolcy
tej nazwy są godni,

21. Jak się zdaje, ten monarchista godził osobiście w Wojkowa: komisarz do spraw wyżywienia okręgu uralskiego, P. L. Wojkow w lipcu 1918 roku odpowiadał za usunięcie śladów rozstrzelania rodziny carskiej (poćwiartowanie zwłok, ich spalenie i rozsypanie prochów).

Czy może
to tylko
komsomolcy na pokaz?"

Wygodny światopogląd rodzi wygodny termin prawny: p r o f i l a k t y k a s p o ł e c z n a. Wchodzi on w użycie, zostaje zaakceptowany — jest zrozumiały dla wszystkich. (Jeden z szefów budowy Kanału Białomorskiego, Łazarz Kogan, już wkrótce tak powie: „Wierzę, że osobiście jest pan zupełnie niewinny. Ale jako wykształcony człowiek powinien pan przecież rozumieć, że prowadzona była szeroka, zapobiegawcza akcja społeczna!"). I rzeczywiście, kiedyż wziąć pod klucz tych wszystkich niepewnych p o p u t c z y k ó w, całą tę chwiejną i przegniłą inteligencję — jeżeli nie w przededniu wojny o rewolucję światową? Kiedy wielka ta wojna się zacznie — będzie już za późno.

I zaczyna się w Moskwie planowe przeczesywanie dzielnicy za dzielnicą. Wszędzie ktoś musi być aresztowany. Hasło brzmi: „Tak huknąć pięścią w stół, żeby świat wzdrygnął się ze zgrozy!" Do Łubianki i Butyrek ciągną nawet we dnie s u k i, samochody osobowe, ciężarówki kryte plandeką, otwarte dorożki. Korek w bramie, zator na dziedzińcu, nie można nadążyć z wyładunkiem i rejestracją zatrzymanych. (To samo w innych miastach. W Rostowie nad Donem, w piwnicach Domu Numer Trzydzieści Trzy, podłoga tak już była zatłoczona, że aresztowana Bojko ledwie znalazła miejsce siedzące).

Typowy przykład tej samej f a l i: kilkudziesięciu młodych ludzi urządza sobie jakieś wieczorki muzyczne — nieuzgodnione z GPU. Słuchają muzyki, później piją herbatę: pieniądze na tę herbatę, jakieś kopiejki, zbierają sami składkowym sposobem, też tego z nikim nie uzgadniając. Jasne że muzyka to tylko parawan, za którym kryją się kontrrewolucyjne nastroje, składki zaś zbierane są nie na żadną herbatę, tylko na pomoc dla zdychającej burżuazji międzynarodowej. Będą więc wszyscy aresztowani, obrywają od trzech do dziesięciu lat (Anna Skrypnikowa — pięć), zaś podżegacze, uporczywie nie przyznający się do winy (Iwan Nikołajewicz Wariencow i inni) zostają ROZSTRZELANI!

Albo znowu — w tym samym roku — gdzieś w Paryżu zwołany zostaje emigrancki zjazd koleżeński byłych wychowanków „puszkinowskiego" Liceum w Carskim Siole. Pisze się o tym w gazetach. Jasne, że to intryga śmiertelnie rannego imperializmu. I oto zostają aresztowani WSZYSCY byli licealiści pozostali jeszcze w ZSSR, a dla kompletu — także wychowankowie innej, podobnie uprzywilejowanej uczelni o profilu prawniczym.

Jedynie umiarkowana pojemność SŁON'a (*Sołowieckij Łagier Osobowo Naznaczenija* — Sołowiecki Obóz Specjalny) ogranicza chwilowo rozmiary wojkowskiej branki. Ale już rozpoczął się rakowaty rozrost Archipelagu GUŁag i wkrótce przerzuty pokryją cały kraj.

Nowy przysmak spodobał się i wzbudził nowe apetyty. Pora już zadać mocny cios inteligencji technicznej, zbyt dufnej, przekonanej że jest niezastąpiona, i nienawykłej do chwytania w lot rozkazów.

Właściwie to nigdyśmy nie mieli zaufania do inżynierów — na tych fabrykanckich lokajów i pucybutów od pierwszych chwil Rewolucji dawaliśmy zdrowe, robotnicze baczenie i trzymaliśmy ich pod kontrolą. Jednak w okresie odbudowy pozwalaliśmy im pracować w naszych zakładach, całą siłę klasowego natarcia kierując przeciw reszcie inteligencji. Ale w miarę jak dojrzewało nasze kierownictwo gospodarcze, WSNCh i GOSPLAN[22], w miarę jak zwiększała się ilość planów, w miarę jak te plany ścierały się wzajemnie i spychały — jaśniejsza stawała się szkodnicza istota starej warstwy inżynierskiej, jej obłuda, przebiegłość i sprzedajność. Strażnik Rewolucji zerknął na nich czujniejszym okiem — i gdziekolwiek je obrócił, tam zaraz znajdował gniazdo szkodników.

Uzdrawiająca ta działalność przeszła na pełne obroty poczynając od 1927 roku — i dzięki niej proletariat z całą wyrazistością ujrzał przyczyny naszych gospodarczych niepowodzeń i braków. W resorcie transportu (koleje!) — szkodnictwo (dlatego tak trudno dostać się do pociągu, stąd właśnie nieregularność dostaw). W elektrowni moskiewskiej — szkodnictwo (kłopoty ze światłem). W przemyśle naftowym — szkodnictwo (nie uświadczysz nafty). W przemyśle włókienniczym — szkodnictwo (człowiek pracy nie ma co na grzbiet włożyć). W kopalnictwie węglowym — kolosalne szkodnictwo (dlatego człowiek marznie!). W metalurgii, w przemyśle zbrojeniowym, w zakładach budowy maszyn, w stoczniach, w przemyśle chemicznym, w kopalniach rudy, złota i platyny, w gospodarce wodnej — wszędzie ropiejące wrzody szkodnictwa! Ze wszystkich stron — watahy wrogów z suwakami logarytmicznymi! GPU urobiło sobie ręce po łokcie, wyłapując tych szkodników. W stolicach i na prowincji pracowicie zasiadały kolegia OGPU i sądy proletariackie, babrząc się w tym lepkim gnoju — i masy pracujące, słupiejąc ze zgrozy, co dzień z gazet dowiadywały się (albo i nie) o wciąż nowych

22. **Wszechzwiązkowa Rada Gospodarki Narodowej i Państwowy Komitet Planowania.**

podłych sprawkach. Dowiedziały się tak o Palczyńskim, von Mecku, Wieliczce[23] — a iluż było bezimiennych. Każda gałąź produkcji, każda fabryka i spółdzielnia pracy miała obowiązek szukania u siebie dowodów szkodnictwa — a ledwo zaczynano ich szukać, zaraz się znajdowały (z pomocą GPU). Jeśli jakiś inżynier przedrewolucyjnego chowu nie został nawet zdemaskowany jako zdrajca, to z pewnością wolno go było zaliczyć do podejrzanych.

I jacyż to perfidni złoczyńcy byli z tych starych inżynierów, jak szatańsko różnorodne sposoby stosowali, byle tylko szkodzić! Mikołaj Karłowicz von Meck w Ludowym Komisariacie Transportu udawał fachowca oddanego bez reszty sprawie nowej gospodarki, potrafił długo i z zapałem mówić o ekonomicznych aspektach budowy socjalizmu — i lubił udzielać rad. Jedna z tych rad, najbardziej szkodliwa, była taka: wydłużyć składy pociągów towarowych, nie bać się pewnego przeciążenia. Z pomocą GPU von Meck został zdemaskowany (i rozstrzelany): celem jego było przedwczesne zużycie szyn, wagonów i parowozów po to, aby pozbawić republikę kolei żelaznych w momencie napadu interwentów. Kiedy zaś niedługo potem nowy narkom transportu, tow. Kaganowicz, zlecił by uruchomić właśnie składy dłuższe, super-przeciążone, nawet w dwój- i trójnasób (za to odkrycie i on i inni naczelnicy dostali ordery Lenina) — to przewrotni inżynierowie wystąpili teraz w roli b a ł w o c h w a l c ó w n o r m — robili krzyk, że to przekracza dopuszczalne normy, że zgubnie działa na trwałość taboru; zostali więc sprawiedliwie rozstrzelani za brak wiary w możliwość socjalistycznego transportu.

Tych b a ł w o c h w a l c ó w biliśmy przez szereg lat, pełno ich we wszystkich dziedzinach, wymachują swoimi wykalkulowanymi formułkami i nie chcą zrozumieć, jak bardzo entuzjazm personelu pomaga mostom i maszynom. (Są to lata wywracania na nice całej ludowej psychologii: obrócono w śmiech rozważną sentencję ludową — że co nagle, to po diable i podważono sens starego przysłowia mówiącego, że „kto po mału jedzie, ten dalej zajedzie"). Jedyna rzecz, która niekiedy odwleka aresztowanie starego inżyniera, to brak kompetentnego następcy. Mikołaj Iwanowicz Ładyżenski, naczelny inżynier zakładów przemysłu wojskowego w Iżewsku, z początku aresztowany został za „teorię nieprzekraczalności norm technicznych", za „ślepą wiarę w gra-

23. A. F. Wieliczko, inżynier wojskowy, były profesor akademii wojskowej Sztabu Generalnego, generał-lejtnant, w carskim ministerstwie Spraw Wojskowych kierował Centralnym Zarządem Komunikacji. Rozstrzelany. Och, jakby też się przydał w 1941 roku!

nice wytrzymałości" (w związku z czym uważał za niewystarczające sumy, przydzielone przez narkoma Ordżonikidze na rozbudowę zakładów[24].) Ale później zamieniają mu karę na areszt domowy — i każą objąć dawne stanowisko (bo bez niego produkcja uległa dezorganizacji). Ładyżenski robi porządek. Ale kredyty były i są dalej niewystarczające — więc Ładyżenski znów idzie za kraty „za nieprawidłową gospodarkę kredytami": dlatego właśnie ich nie starczało, że naczelny inżynier źle nimi gospodarował! W przeciągu roku Ładyżenski umiera przy wyrębie lasu.

Tak oto w ciągu kilku lat złamano kręgosłup starej rosyjskiej kaście inżynierskiej, chlubie naszego kraju, ulubionym bohaterom utworów Garina — Michajłowskiego i Zamiatina.

Rozumie się samo przez się, że ten potok, jak to zawsze, porywał także innych ludzi, bliskich, czy związanych ze skazanymi, więc również... nie ma człowiek chęci plamić śpiżowego, jasnego wizerunku Strażnika, ale cóż, kiedy trzeba... więc również tych, którzy nie chcieli zostać donosicielami. Ten najgłębiej ukryty, nigdzie nie występujący jawnie potok więźniów prosimy zawsze mieć na uwadze przy lekturze tej książki — zwłaszcza, gdy mowa o pierwszym dziesięcioleciu po rewolucji: ludzie byli wtedy jeszcze nie pozbawieni dumy, wielu jeszcze wcale nie uważało, że moralność — to pojęcie względne i że ma tylko wąsko-klasowy sens: ludzie tacy mieli dość odwagi, by odrzucić propozycję podobnej współpracy — i wszyscy zostali za to bezlitośnie ukarani. Pewnego razu zaproponowano młodziutkiej Magdalenie Edżubowej śledzenie pewnej grupy inżynierów. Dziewczyna nie tylko odmówiła, lecz nadto opowiedziała o wszystkim swemu opiekunowi (jego właśnie kazano jej śledzić w pierwszym rzędzie): inżynier i tak został wkrótce aresztowany i podczas śledztwa wyśpiewał wszystko. Edżubową, która była w ciąży, zamknięto „za zdradę tajemnicy operacyjnej" i skazano na śmierć przez rozstrzelanie (skończyło się zresztą na 25-letnim cyklu kilku kolejnych wyroków). W tym samym okresie (1927), chociaż w zupełnie innym środowisku, bo wśród wybitnych charkowskich działaczy partyjnych — tak samo odmówiła donoszenia i szpiegowania członków rządu Ukrainy niejaka Natalia Witaliewna Surowiec, za co została aresztowana przez GPU i dopiero po 25-ciu latach, ledwie żywa, wychynęła gdzieś na Kołymie. Kto zaś nie wychynął — o tym w ogóle nie wiemy.

(W latach 30-tych ten nurt niepokornych zupełnie zanika:

---

24. Ordżonikidze natomiast rozmawiał podobno ze starymi inżynierami w ten sposób, że kładł na biurku dwa pistolety, jeden po prawej, drugi po lewej ręce.

skoro żądają informacji, to widać nie ma rady — bo i gdzie się człowiek podzieje? „Siła złego na jednego". „Nie ja — to kto inny". „Niech już lepiej ja, porządny człowiek, zostanę konfidentem, niż jakiś drań". Zresztą, już się na ochotnika tylu pcha, że aż tłoczno: bo to i korzyść, i bojowa zasługa.

W 1928 roku toczy się w Moskwie słynny Proces Szachtyński — słynny ze względu na rozgłos, jaki mu nadano, na zapierające dech zeznania i samobiczowanie oskarżonych (chwilowo — jeszcze nie wszystkich). Mijają dwa lata i we wrześniu 1930 roku sądzeni są z hałasem organizatorzy głodu (to oni! oni! właśnie oni!) — 48-miu szkodników z branży spożywczej. W końcu 1930 z jeszcze większym zgiełkiem wytacza się proces Prompartii, wyreżyserowany już zupełnie nienagannie: tu już wszyscy podsądni, co do jednego, sami na siebie zwalają najobrzydliwsze idiotyzmy — i oto przed oczyma mas pracujących, jak pomnik nareszcie odsłonięty, staje cały olbrzymi, przemyślny splot wszystkich dotąd ukrytych aktów szkodnictwa, wspólnym, szatańskim węzłem złączony z Milukowem, Riabuszynskim, Deterdingiem i Poincaré[25].

Wniknąwszy już trochę w istotę naszej praktyki sądowej, domyślamy się, że jawne procesy — to tylko widoczne na powierzchni krecie kopczyki, najważniejsza zaś część roboty odbywa się pod powierzchnią ziemi. Na rozprawie pojawia się tylko niewielka część aresztowanych — ci tylko, którzy zgodzili się obciążyć, w sposób przeciwny naturze, i siebie i innych, spodziewając się złagodzenia wyroku. Większość zaś inżynierów — ci, którzy mieli dość odwagi i rozsądku, aby odrzucić bzdury, wmawiane im w śledztwie — sądzona jest w trybie tajnym. Ale kolegia GPU wlepiają im — chociaż się nie przyznali — te same dychy, jakie dostały się tamtym.

Potoki spływają rurami pod ziemię, w ten sposób kanalizowane jest życie, kwitnące na powierzchni.

Właśnie w tym okresie zrobiony został ważny krok, mający na celu wciągnięcie całego społeczeństwa w proces kanalizacji przez równomierne rozłożenie odpowiedzialności zadań na każdego obywatela: ci, którzy nie zapchali jeszcze swoimi ciałami ścieków kanalizacyjnych, kogo rury nie poniosły jeszcze na Archipelag — powinni byli maszerować na powierzchni ze sztandarami, piejąc hymny pochwalne na cześć sądów i radując się z każdego wyroku. (Był to dowód przezorności! — miną dziesięciole-

25. Milukow — przywódca partii kadetów, emigrant. Riabuszynski — znany przemysłowiec rosyjski, emigrant. Deterding — magnat naftowy, amerykański przemysłowiec. Poincaré — francuski premier, b. prezydent Francji.

cia, historia przetrze oczy — ale pracownicy śledczy, sędziowie i prokuratorzy okażą się nie bardziej winni, niż my, drodzy współobywatele! Dlatego właśnie czcigodna siwizna zdążyła oprószyć nasze głowy, że w swoim czasie z należną rozwagą głosowaliśmy ZA).

Pierwszą taką próbę Stalin przeprowadził przy okazji procesu organizatorów głodu — i jakże próba miała się nie udać, skoro wszyscy głodowali na żyznej Rusi, skoro każdy nic, tylko oczy wypatrywał: gdzież to się nasz chlebuś zapodział? I oto już w fabrykach i biurach, nie czekając na orzeczenie trybunału, robotnicy i urzędnicy kipiąc gniewem głosują za karą śmierci dla sądzonych łajdaków. A już proces Prompartii — to tysiączne wiece, to manifestacje (z udziałem dziatwy szkolnej), to dudniący krok milionów i ryk za oknami gmachów sądowych: „śmierć! śmierć! śmierć!".

Na tej przełęczy naszych dziejów rozlegały się przecież samotne głosy protestu albo odmowy udziału — a bardzo wiele męstwa trzeba było, aby powiedzieć „nie!" wśród tego chóralnego ryku; nie ma porównania z dzisiejszą łatwością! (A dzisiaj też jakoś nie bardzo protestują). I — o ile nam wiadomo — wszystko to były głosy właśnie tych nędznych inteligentów bez kośćca. Na zebraniu leningradzkiego Instytutu Politechnicznego profesor Dymitr Apollinariewicz Rożanski WSTRZYMAŁ SIĘ OD GŁOSU (bo, widzicie państwo, on w ogóle jest przeciwnikiem kary śmierci, ponieważ, widzicie państwo, jeśli użyć terminu naukowego, to jest to proces nieodwracalny) — i natychmiast został aresztowany! Student Dima Olicki — powstrzymał się — i aresztowano go z punktu! I wszystkie te protesty ucichły już w zarodku.

O ile wiemy, siwowąsa klasa robotnicza aprobowała tę eksterminację. O ile wiemy — cała awangarda, od płomiennych komsomolców do przywódców partii i legendarnych dowódców armii — jak jeden mąż wypowiadała się za tymi kaźniami. Słynni teoretycy i apostołowie rewolucji, siedem lat przed własną haniebną zagładą, sławili ten ryk tłumów, nie przeczuwając, że przeznaczenie już stoi na progu, że wkrótce ich własne imiona obrzucone będą błotem i brudem wśród takiego samego wycia.

Dla inżynierów zaś kończyła się właśnie godzina pogromu. W początkach 1931 roku Józef Wissarionowicz ogłosił wszem i wobec „Sześć warunków" budowy socjalizmu i Jego Samowładcza Wysokość wskazać raczyła jako warunek piąty: przejście od polityki unieszkodliwiania starej inteligencji technicznej — do polityki zachęty i opieki nad nią.

I opieki nad nią! I gdzież się ulotnił cały nasz

sprawiedliwy gniew? I w jakiż to kąt poszły nasze groźne oskarżenia? Akurat ciągnął się jeszcze proces o szkodnictwo w przemyśle porcelanowym (tam też naszkodzili!), wszyscy podsądni zdążyli unisono obezwać siebie samych od ostatnich, przyznali się do wszystkiego — i nagle, z tą samą jednomyślnością zakrzyknęli — my niewinni! I zostali uniewinnieni!

(Dał się nawet zauważyć w tym roku malutki kontrpotok: już skazanych, albo wymaglowanych w śledztwie, inżynierów przywracano do życia. W ten sposób wrócił także D. A. Rożanski. Czy nie wolno tu stwierdzić, że wygrał on pojedynek ze Stalinem? I że gdyby odwaga cywilna cechowała nasz lud, to nie byłoby powodów do pisania ani tego rozdziału, ani całej tej książki?).

Stalin trzepnął jeszcze tego samego roku dawno powalonych na wznak mienszewików (publiczny proces „Wszechzwiązkowego Biura Mienszewików", Groman-Suchanow[26], Jakubowicz — marzec 1931 roku. A potem — pewna ilość płotek, wziętych to tu, to tam, w tajemnicy) — i nagle przyszła na niego chwila zadumy.

Mieszkańcy wybrzeży Morza Białego powiadają o przypływie, że woda wpada w zadumę — chodzi o chwilę poprzedzającą początek odpływu. No, nie godzi się porównywać nieczystej duszy Stalina z wodami Białego Morza. A może zresztą nie było żadnej chwili zadumy. Bo i żadnego odpływu nie było. Ale jeszcze jeden cud zdarzył się przecież tego roku. W ślad za procesem Prompartii przygotowywany był w 1931 roku ogromny proces Chłopskiej Partii Pracy — rzekomo istniejącej (w rzeczywistości — nigdy jej nie było!), kolosalnej podziemnej organizacji, która miała się składać z wiejskich inteligentów, z działaczy spółdzielczości spożywczej i rolnej, z chłopskiej oświeconej elity, szykującej się pono do obalenia dyktatury proletariatu. Na procesie Prompartii tę partię chłopską (TKP — *Trudowaja Kriestianskaja Partia)* cytowano nieraz jako już zdemaskowaną i dobrze znaną organizację. Aparat śledczy GPU działał bez pudła: już TYSIĄCE oskarżonych *przyznały się* do członkostwa TKP i do swoich zbrodniczych zamiarów. Ilość tych członków planowano na DWIEŚCIE TYSIĘCY. Na czele partii stać mieli — badacz ekonomii rolnictwa Aleksander Wasyliewicz Czajanow; przyszły „premier" N. D. Kondratiew; L. N. Jurowski; Makarow, Aleksy Dojarenko, profesor Akademii Rolniczej im. Timiriazjewa (przy-

26. Ten sam Suchanow, w którego mieszkaniu, w Piotrogrodzie, na Karpowce, z jego zgodą (przewodnicy kłamią, że bez zgody) 10. X. 1917 roku zebrał się bolszewicki KC i podjął decyzję powstania zbrojnego.

szły „minister rolnictwa[27]". I nagle, pewnej pięknej nocy Stalin ZMIENIŁ ZDANIE — nigdy nie dowiemy się — dlaczego.

Może zdjęła go spóźniona skrucha? — ale nie, toć daleko do ostatniej godziny. Może wzięło górę poczucie humoru — że znów na jedno kopyto, że nudy? — ale nikt nie śmiał posądzić Stalina o nadmiar poczucia humoru! Chyba co innego przeważyło: wykalkulował sobie, że niedługo i tak cała wieś zacznie wymierać z głodu, co tam jakieś dwieście tysięcy, po co zatem się męczyć? I cała TKP została anulowana, wszystkim co się „przyznali" zaproponowano cofnięcie zeznań (można wyobrazić sobie ich radość!) — a zamiast całej tej machiny wywleczono na proces jedynie małą grupę Kondratiewa-Czajanowa[28]. (Ale w 1941 roku zadręczonemu profesorowi Wawiłowowi będą znowu wmawiać, że TKP istniała, i że właśnie on, Wawiłow, był jej tajnym przywódcą).

Tłoczno tu od przykładów, tłoczno od biegnących lat — i w żaden sposób człowiek nie potrafi opowiedzieć po kolei wszystkiego co się zdarzyło (a GPU doskonale dawało sobie radę! a GPU nikogo nie pominęło!). Nie zapominajmy wszelako:

— że wierzących wciąż się zamyka, to rozumie się samo przez się. (Tu też są daty specjalne i godziny szczytu. Na przykład — „noc walki z religią" — na Boże Narodzenie 1929 roku, w Leningradzie, kiedy aresztowano mnóstwo praktykujących inteligentów — i to nie tylko do rana, nie był to sen nocy wigilijnej. Albo — również w Leningradzie — w lutym 1932 roku — zamknięcie wielu cerkwi naraz z jednoczesnym aresztowaniem mnóstwa duchownych. A znacznie więcej jest miejsc i dat, których nikt nam nie wskazał);

— że nie zapomina się o tępieniu s e k t, nawet sympatyzujących z komunizmem. (Tym sposobem — wsadzono w 1929 roku wszystkich co do jednego członków k o m u n y rolnej, leżącej między Soczi a Chostą. Wszystko tam było kolektywne — i produkcja, i podział dóbr, a wszystko tak rzetelne, że nasz kraj nie osiągnie tego poziomu nawet za sto lat — ale cóż, za bardzo ci ludzie byli wykształceni, obkuci w literaturze religijnej i nie bezbożnictwo wyznawali, lecz mieszaninę baptyzmu,

27. Może byłby lepszy od tych, którzy przez następnych lat 40 pełnili tę funkcję? — Ale los jest nieobliczalny: Dojarenko był z zasady przeciwny wszelkiemu wtrącaniu się do polityki. Kiedy jego córka zapraszała do domu studentów, wyznających poglądy mogące trącić eserowską ideologią — profesor pokazywał im drzwi!

28. Skazany na więzienie w izolatorze, Kondratiew oszalał tam i umarł. Umarł również Jurowski. Czajanow po pięciu latach izolatora zesłany był do Ałma-Aty. W 1948 roku znów go zamknięto.

filozofii tołstojowskiej i nauki jogów. Jasne więc, że taka KOMUNA była ogniskiem zbrodni i nie mogła przyczynić się do szczęścia ludu).

W latach 20-tych spora grupa tołstojowców została zesłana na podgórze ałtajskie. Tam zorganizowali oni osiedla-komuny, po społu z baptystami. Kiedy rozpoczęła się budowa kombinatu metalurgicznego w pobliskim Kuźniecku, zesłańcy zaopatrywali go w produkty rolne. Potem zaczęto ich aresztować. Na pierwszy ogień poszli nauczyciele (wykładali nie według programów państwowych), dzieci z krzykiem biegły za milicyjnymi autami. Później przyszła kolej na starszyznę gminy;

— że Wielki Pasjans socjalistyczny rozkładany jest bez przerwy, to przecież jasne;

— że w 1929 roku idą pod klucz niewydaleni w swoim czasie za granicę historycy (Płatonow, Tarlé, Lutowski, Gautier, Lichaczew, Izmajłow), oraz znakomity literaturoznawca M. M. Bachtin;

— że płyną rzeki narodowe, to z jednego krańca Związku, to z drugiego.

Pakują Jakutów po powstaniu w 1928. Wsadzają Buriat-Mongołów po powstaniu w 1929 roku. (Rozstrzelano podobno około 35.000. Nie mieliśmy możności sprawdzić tej cyfry). Wsadzają Kazachów po bohaterskim stłumieniu ich buntu przez konnicę Budionnego w latach 1930-31. W początkach 1930 roku idzie pod sąd Związek Wyzwolenia Ukrainy (prof. Jefremow, Czechowski, Nikowski i inni), a — znając nasze proporcje jawności i tajności — iluż tam było jeszcze za ich plecami? Iluż tam poszło w dyby bez rozgłosu?

I przychodzi, powoli, ale przecież przychodzi kolej na członków partii rządzącej! Chwilowo (lata 1927-29) to „opozycja robotnicza" albo trockiści, którzy postawili na pechowego przywódcę. Z początku to tylko setki, wkrótce będą to tysiące. Ale tylko początek jest trudny! Podobnie jak trockiści spokojnie przyglądali się aresztowaniu członków innych partii, tak teraz cała reszta partii z aprobatą patrzyła na wsadzanie trockistów. Na każdego przychodzi kolej. Dalej — popłynie wartko nigdy nie istniejąca „prawicowa" opozycja. Pożerając od ogona — dzwonko za dzwonkiem — żarłacz dobierze się w końcu do własnego łba.

W 1928 roku nadchodzi nareszcie czas na porachunek z pomiotem burżuazji — z nepmanami. Najczęściej czyni się to metodą wciąż wzrastających i w końcu nieznośnych domiarów: gdy delikwent któregoś dnia odmawia, zostaje aresztowany za nie-

wypłacalność, a jego majątek podlega konfiskacie. (Drobnym rzemieślnikom — fryzjerom, krawcom, albo tym, co reperują prymusy — odbiera się tylko patent).

To że potoki aresztowanych nepmanów rosną, ma swoje ekonomiczne uzasadnienie. Państwu potrzebne są środki, potrzebne jest złoto — a złotonośnej Kołymy jeszcze nie odkryto. W ostatnich miesiącach 1929 roku zaczyna się sławetna g o r ą c z k a z ł o t a, tylko że febra trzęsie nie tych, co szukają złota, lecz tych z których ma być ono wytrzęsione. Osobliwością tego nowego „złotego" strumienia jest to, że tych swoich króliczków GPU właściwie o nic nie oskarża i gotowe jest nawet zrezygnować z wysyłania ich do krainy GUŁag, chce im jedynie, prawem silniejszego, zabrać złoto. Dlatego więzienia są przepełnione, funkcjonariusze śledczy pracują ponad siły, natomiast do etapowych punktów i obozów kierowane są transporty nieproporcjonalnie mniejsze.

Z kogo składa się ten „złoty" potok aresztowanych? Są to wszyscy, którzy niegdyś, przed 15-tu laty, mieli jakiś „interes", handlowali, zarabiali jako rzemieślnicy i m o g l i b y zdaniem GPU, odłożyć trochę złota. Ale u tych właśnie złota najczęściej już nie ma: inwestowali w ruchomości czy w nieruchomości — a to rozpłynęło się już, zostało skonfiskowane podczas rewolucji, nic im nie zostało. Najwięcej oczekuje się po aresztowanych technikach dentystycznych, jubilerach, zegarmistrzach. Donosy pozwalają na wykrycie złota w rękach najmniej podejrzanych: stuprocentowy robotnik fabryczny zdobył jakoś i przechowuje sześćdziesiąt mikołajowskich złotych pięciorublówek; znany syberyjski partyzant Murawiew przyjechał do Odessy, mając za pazuchą woreczek ze złotem; każdy taraski furman w Petersburgu ma złoto w zapasie. Czy to na pewno prawda? — przekonać się można tylko w katowni. Nic a nic, ani proletariackie pochodzenie, ani rewolucyjne zasługi nie pomogą temu, na kogo ktoś doniósł że ma złoto. Wszyscy oni zostaną aresztowani i stłoczą się w celach GPU masą ludzką, której dotąd nie można sobie było wyobrazić — ale tym lepiej, prędzej o d d a d z ą ! Dochodzi do zupełnej konfuzji: kobiety i mężczyźni siedzą w jednych celach i załatwiają się do jednego kibla — ale kto by tam zważał na takie drobnostki, oddajcie złoto, gady! Funkcjonariusze nie piszą protokołów z przesłuchań, bo to papierek nikomu nie potrzebny, nikogo to nie interesuje, czy da się potem wysmażyć wyrok, czy nie, ważne jest tylko jedno: oddaj złoto, gadzie! Państwu złoto potrzebne, a tobie na co się zdało? Śledczy tracą głos i siły na groźby i tortury, ale jest sposób generalny: karmić

tylko słonym jadłem, a pić nie dawać. Kto odda złoto — ten dostanie wody! Za kubek czystej wody — czerwońca!

Gubi ludzi kruszec ten...[29]

Od poprzedzających go i następujących po nim aresztanckich potoków ten różni się tym, iż — no, nie połowa, ale przynajmniej jakaś część tych ludzi dzierży swój los we własnych, drżących rękach. Jeśli rzeczywiście nie masz żadnego złota — to jesteś w beznadziejnym położeniu, będą cię tu bić, przypiekać, katować i tłamsić aż do śmierci — albo póki sami naprawdę ci nie uwierzą. Ale jeśli masz złoto, to sam określasz granice katuszy, granice własnej wytrzymałości, swój przyszły los. Psychologicznie to rzecz wcale nie łatwiejsza — przeciwnie, bo możesz się pomylić i teraz już sam sobie będziesz winien, raz na zawsze. Oczywiście, kto już zna obyczaje panujące w tej instytucji, ten ustąpi i odda, to najłatwiej. Nie wolno jednak ustępować od razu: nie uwierzą, żeś wszystko już oddał, będą cię trzymać dalej. Ale oddawać zbyt późno też nie wolno: wytrzęsą z ciebie duszę, albo ze złości wlepią duży wyrok. Jeden z tych tatarskich furmanów wytrzymał wszystkie męki: nie mam złota! Wówczas wsadzili jego żonę, ją też dręczyli, ale Tatar dalej swoje: nie mam złota! Aresztowali więc mu córkę — tu już Tatar nie wytrzymał i oddał swoje sto tysięcy rubli. Rodzinę wypuścili — ale jemu wsolili wyrok jak się patrzy. Najordynarniejsze wątki kryminalne i opery o rozbójnikach wzięte zostały na serio i doczekały się realizacji w życiu wielkiego państwa.

Wprowadzenie paszportyzacji na progu lat 30-tych też zapewniło obozom nowe kontyngenty ludzkie. Podobnie, jak Piotr I uprościł konstrukcję społeczeństwa wymiatając do czysta wszystkie międzystanowe bruzdy i miedze, tak też działał nasz system paszportowy: wymiatał mianowicie całe to robactwo nieokreślonego gatunku, godził w tę przebiegłą, bezdomną i nie przypisaną do żadnej warstwy część ludności. Zresztą — z początku zdarzały się często ludziom nieporozumienia z tymi paszportami: i niezameldowanych i niewymeldowanych w porę wyprawiano na Archipelag, choćby na roczek.

Tak oto pieniły się i toczyły strumienie ludzkie — ale wszystkie przerósł wielomilionowy potok r o z k u ł a c z o n y c h, gdy trysnął w latach 1929-30. Był niewiarygodnie obfity i nie dałaby mu rady nawet najszerzej rozbudowana sieć więzień śledczych (zapchana ponadto przez „złotonośny" potok), ale minął ją, bo

29. Z „Fausta" Gounoda.

od razu kierowany był transportami na etapy, do kraju GUŁag. Ten potok (ten ocean!) tak nabrzmiał i wezbrał w jednej chwili, że wystąpił z brzegów i rozlał się daleko poza obręb wszystkiego, na co może pozwolić sobie system sądowo-więzienny ogromnego nawet państwa. Nie można znaleźć dlań porównania w całej historii Rosji. Była to wędrówka ludów, katastrofa etniczna. Ale kanały GPU i GUŁagu tak mądrze były pomyślane, że miasta nawet by nie zauważyły, co się dzieje — gdyby nie trzyletni głód, który spadł na nie, głód dziwny, bo ani suszy, ani wojny.

Potok ten różnił się od wszystkich poprzednich również tym, że nikt się nie fatygował, aby naprzód brać głowę rodziny, a potem dopiero zastanawiać się, co zrobić z resztą. Bynajmniej, tu wypalano od razu gniazdo zarazy, brano tylko całe rodziny naraz i nawet baczono pilnie, aby żadne z dzieci — czternasto-, dziesięcio-, czy sześcioletnie nie odbiło się od stada: wszystko, co tylko dało się naskrobać, miało być posłane w to samo miejsce, na tę samą zgubę. (Był to PIERWSZY taki eksperyment, przynajmniej w historii nowożytnej. Powtórzy go później Hitler na Żydach, a Stalin przeprowadzi go ponownie na ludach winnych zdrady, albo podejrzanych o nią).

Potok ten tylko w znikomej części składał się z owych k u ł a k ó w, których imieniem był nazwany na pokaz K u ł a k — to przezwisko nadawane w Rosji bezwzględnym kutwom, wiejskim kupczykom, żyjącym nie z własnej pracy, lecz z wyzysku, bogacącym się na lichwie i pośrednictwie w handlu. Takie pijawki po wsiach jeszcze przed rewolucją liczone były na palcach, rewolucja zaś w ogóle usunęła im ziemię spod nóg. Następnie, już po roku siedemnastym, rozszerzając niepomiernie znaczenie tego słowa, zaczęto termin k u ł a k stosować (w oficjalnych i agitacyjnych publikacjach, skąd przedostał się do mowy codziennej) w ogólności do tych, którzy korzystali z pracy najmitów, parobków, choćby z powodu czasowego braku rąk do pracy w rodzinie. Ale nie zapominajmy tu, że po rewolucji już nie można było za pracę najemną nie dać słusznej zapłaty — parobków bronił k o m b i e d i rada gromadzka, spróbowałby kto skrzywdzić parobka! A — należnie opłacany — wynajem rąk do pracy dozwolony jest w naszym kraju po dziś dzień.

Ale zjadliwe przezwisko k u ł a k używane było w coraz szerszym i szerszym znaczeniu i 1930 roku tak nazywano już W OGÓLE WSZYSTKICH DOBRYCH GOSPODARZY, krzepko przywiązanych do swojej ziemi, do swojej pracy, a choćby tylko do swoich poglądów na życie. Przezwisko k u ł a k wykorzystane było po to, aby położyć koniec chłopskiej krzepie. Trzeba to przypomnieć, trzeba uprzytomnić sobie, że zaledwie

dwanaście lat minęło od wydania wielkiego Dekretu o Ziemi — tego właśnie, bez którego chłopstwo nie poszłoby za bolszewikami, a rewolucja październikowa nie mogłaby zwyciężyć. Ziemia została rozdana w przewidzianych terminach, wszystkim PO RÓWNU. Zaledwie dziewięć lat temu chłopi wrócili z Armii Czerwonej i rzucili się do uprawy tej swojej zawojowanej ziemi. I nagle — tu kułacy, tam biedacy. Skąd się to wzięło? Czasem — powodem był fortunny, albo niefortunny skład rodziny. Ale czy nie bardziej to zależało od pracowitości i uporu? I oto teraz tych chłopów, którzy w 1928 roku nakarmili jeszcze całą Rosję swoim chlebem — rugują miejscowe niezguły i przyjezdni miastowi ludzie. Jakby ich bies opętał, jakby wyzbyli się wszelkich ludzkich uczuć i ludzkich obyczajów, utrzymujących się przez tysiąclecia — zaczęli najlepszych rolników łapać hurmem, razem z rodzinami i bez żadnego mienia, gołych wyganiać na północne pustynie, w tundry, do tajgi.

Deportacja tak masowa musiała obfitować w dodatkowe komplikacje. Trzeba było oczyścić wsie także z tych chłopów, którzy po prostu nie bardzo chcieli wstępować do kołchozów i nieufnie odnosili się do życia w gromadzie, o którym nie mieli dotąd pojęcia, obawiając się (wiemy teraz, jak słusznie), iż sprowadzi się ono do rządów nierobów, do przymusu i przymierania głodem. Trzeba było też pozbyć się tych chłopów (często całkiem niezamożnych), którzy lubiani byli przez sąsiadów za swoje zawadiactwo, siłę fizyczną, stanowczość, za to, że słychać ich było na zebraniach, że sami lubili sprawiedliwość. Dawało im to niezależność i przez to niebezpieczni byli dla kołchozowej zwierzchności[30]. A jeszcze w każdej wsi byli tacy, którzy OSOBIŚCIE stali na zawadzie miejscowym a k t y w i s t o m. Teraz nadarzała się najlepsza okazja, żeby odbić sobie na nich zazdrość, zawiść, obrazę. Dla wszystkich tych przyszłych ofiar potrzebny był nowy termin — i zaraz się znalazł. Nie miał w sobie nic „socjalnego", ekonomicznego, ale brzmienie miał doskonałe: p o d k u ł a c z n i k. To znaczy, że w moich oczach jesteś poplecznikiem wroga. To wystarczy! Najnędzniejszego oberwańca, wyrobnika, można bez kłopotu zaliczyć do podkułaczników[31].

Tak oto dwa słowa wystarczyły, żeby ująć w cęgi wszystkich tych, którzy stanowili o samej treści wsi, jej energii, jej rozumie i pracowitości, jej sile oporu i sumieniu. Wywieziono ich — i kolektywizacja została przeprowadzona.

30. Ten typ chłopa i jego los został unieśmiertelniony w postaci Stiepana Czausowa w powieści S. Załygina.

31. Pamiętam doskonale, że w młodości ten termin wydawał mi się całkiem logiczny, żadnych wątpliwości nie budził.

Ale ze wsi już uspółdzielnionych popłynęły nowe potoki aresztowanych:

— potok s z k o d n i k ó w. Wszędzie zaczęto wykrywać agronomów - s z k o d n i k ó w, którzy dotąd całe życie pracowali uczciwie, a teraz umyślnie jęli zachwaszczać rosyjskie pola (oczywiście — na zlecenie moskiewskiego instytutu, właśnie zdemaskowanego bez reszty. Toć właśnie tu odnajdujemy tych 200.000 nie wyaresztowanych w swoim czasie członków TKP!). Jedni z tych agronomów nie wykonują dogłębnie naukowych dyrektyw Trofima Łysenki (z tą falą zesłany został w 1931 roku do Kazachstanu „król kartofli" Lorch). Inni wykonują je zbyt ściśle — i tym sposobem wykazują ich głupotę (w 1934 roku pskowscy agronomowie wysiali siemię lniane na śnieg — dokładnie tak, jak kazał Łysenko. Siemię spęczniało, spleśniało i poszło na marne. Wielkie połacie pól przez rok stały pustką. Łysenko nie mógł oświadczyć, że śnieg jest kułakiem, albo że sam on jest durniem. Oznajmił zatem, że agronomowie są kułakami i że wypaczyli jego technologię. I agronomowie pojechali na Sybir). A nadto prawie we wszystkich stacjach maszyn rolniczych wykryto szkodnictwo przy remoncie ciągników (teraz wiemy, czym się tłumaczą niepowodzenia kołchozów w pierwszych latach istnienia!);

— potok „za straty przy zbiorach" („straty" wynikały z porównania zbiorów rzeczywistych z dowolną cyfrą, ustaloną wiosną przez „komisję wstępnej oceny zbiorów");

— „za niewykonanie zobowiązań wobec państwa w zakresie dostaw ziarna" (komitet rejonowy partii zobowiązał się, kołchoz nie poradził — no to jazda za kraty!);

— potok „kłosokradów". Nocne, ręczne obcinanie kłoska po kłosku w polu! — Całkiem nowy rodzaj pracy i nowy rodzaj żniw! Był to potok niemały — były to całe dziesiątki tysięcy włościan, często nawet nie dorośli chłopi i baby, tylko wyrostki i dziewczęta, chłopcy i dziewuszki, których starsi posyłali nocami na s k u b a n i e, bo nie mieli nadziei na zapłatę w ziarnie z kołchozu za swoje roboczodniówki. Za to gorzkie i nie bardzo opłacalne zajęcie (za czasów pańszczyzny chłopi jednak nie dochodzili do takiej nędzy!) sądy wymierzały kary, jak się należy: d z i e s i ę ć lat — jako za nadzwyczaj niebezpieczne przywłaszczenie mienia socjalistycznego — na podstawie ustawy z 7. VIII. 1932 roku (w żargonie więziennym — *ustawa siedem-osiem).*

Ta ustawa z „siódmego-ósmego" umożliwiła jeszcze osobno spory dopływ aresztantów z placów budowy pierwszej i drugiej pięciolatki, z transportu, z handlu, z fabryk. Wielkie sprzeniewierzenia były z urzędu domeną NKWD. Potok ten trzeba mieć

także w przyszłości na uwadze, jako sączący się stale i szczególnie obfity w latach wojny — przez całe piętnaście lat (aż do 1947 roku, kiedy to ustawa uległa rozszerzeniu i obostrzeniu).

Ale wreszcie nadchodzi chwila wytchnienia! Wreszcie wyschną teraz te rzeki aresztantów! — towarzysz Mołotow powiedział przecież 17 maja 1933 roku: „widzimy nasz cel nie w masowych represjach". Fuu, już był najwyższy czas. Dość nocnych lęków! Ale co to za psie ujadanie? Huzia! Huzia!

Otóż to! Zaczęła się k i r o w s k a fala aresztowań w Leningradzie. Napięcie w tym mieście uznane zostaje za tak wielkie, że formuje się sztaby NKWD przy każdej radzie dzielnicowej i wprowadza się „przyśpieszoną" procedurę sądową (wcześniej też nie dawała ona powodów do skarg na zbytnią powolność) bez prawa apelacji (wcześniej też nie bardzo z niego korzystano). Istnieje przekonanie, że jedna czwarta ludności Leningradu została w y c z y s z c z o n a w latach 1934-35. Pogląd ten niech spróbują obalić ci, którzy znają ścisłą cyfrę i mogą ją przedstawić. (Była to zresztą nie tylko leningradzka fala, rozeszła się wystarczająco szeroko po całym kraju w formie znanej już, choć bałamutnej: usunięto ze stanowisk wszystkich przyczajonych tam jeszcze popowskich synów, byłych ziemian i każdego, kto miał krewnych za granicą).

W tak rwących potokach zawsze ginęły skromne, zwykłe strumyczki, które nie robiły zbytniego hałasu, ale sączyły się wciąż. Są to:

— Członkowie Schutzbundu, którzy przegrali bitwę klasową we Wiedniu i postanowili szukać ratunku w ojczyźnie międzynarodowego proletariatu;

— esperantyści (tę bandę szkodników Stalin i Hitler tępili jednocześnie, każdy u siebie);

— niedobitki Wolnego Towarzystwa Filozoficznego, nielegalne kółka filozoficzne;

— nauczyciele, nie mogący się pogodzić z przodującą, zespołowo-laboratoryjną metodą nauczania (w 1933 Natalia Iwanowna Bugajenko aresztowana została przez rostowskie GPU, ale po trzech miesiącach dochodzeń stało się wiadome, dzięki nowemu rozporządzeniu, że metoda ta jest błędna. Została więc zwolniona);

— współpracownicy Politycznego Czerwonego Krzyża, którzy — dzięki wysiłkom Katarzyny Pieszkowej — wciąż jeszcze bronił swego prawa do istnienia;

— górale z Kaukazu Północnego za powstanie (1935 roku), nacjonaliści napływają to z jednego końca kraju, to z drugiego. (Na budowie Kanału Wołga-Moskwa gazety „mniejszościowe" ukazywały się w czterech językach: była tatarska, azerbejdżańska, uzbecka i kazachska. Musiały więc mieć czytelników!);

— i znów — ludzie wierzący, teraz ci, co nie chcieli pracować w niedzielę (a wprowadzono oficjalnie tydzień pięciodniowy lub

sześciodniowy), kołchoźnicy, dopuszczający się sabotażu, tj. strajku w dni świąt kościelnych, jak to czynili za czasów gospodarki prywatnej;

— i jak zawsze — ci, którzy nie zgodzili się zostać konfidentami NKWD. (Zaliczani tu bywali także duchowni, którzy nie chcieli zdradzić tajemnicy spowiedzi — ORGANY szybko zdały sobie sprawę, jak by im się przydało znać treść spowiedzi, nareszcie byłaby jakaś korzyść z religii);

— a członków sekt biorą coraz gęściej;

— a socjalistyczny Wielki Pasjans wciąż trwa.

I wreszcie, dotąd ani razu jeszcze niewymieniony, ale cały czas płynący potok DZIESIĄTEGO PARAGRAFU, *alias* KRA (Kontr-Rewolucyjna Agitacja), *alias* USA (Anty-Sowiecka Agitacja). Potok Dziesiątego Paragrafu jest chyba tu zjawiskiem najtrwalszym — nigdy nie wysychał, a podczas wielkich powodzi, jak w 37-ym, 45-tym lub 49-tym roku wzbierał szczególnie obficie[32].

◆

Oto paradoks: całej wieloletniej działalności wszechobecnych i wiecznie czujnych O r g a n ó w dawał siłę JEDEN jedyny artykuł ze stu czterdziestu ośmiu składających się na dział szczegółowy Kodeksu Karnego z 1926 roku. Ale chwałę tego artykułu głosić by można z pomocą jeszcze większej ilości epitetów, niż ta, którą znalazł Niekrasow by uczcić Matkę-Rosję, albo Turgieniew, by sławić język rosyjski: wielki, potężny, hojny, rozgałęziony, wieloraki, wszechogarniający Pięćdziesiąty Osmy, panujący nad całym bogactwem przejawów życia nie tyle dzięki formalnemu brzmieniu swoich paragrafów, ile za sprawą ich dialektycznej i nadzwyczaj szerokiej interpretacji.

Któż z nas nie odczuł jego wszechogarniającego uścisku? Zaiste, nie ma pod słońcem takiego wykroczenia, zamiaru, czynu, ani rodzaju bezczynności, którego nie mogłaby dotknąć karząca ręka Pięćdziesiątego Ósmego artykułu.

Niemożliwością było sformułować go w sposób aż tak szeroki, okazało się za to możliwe dać mu odpowiednio szeroką wykładnię.

58-my artykuł nie stanowił w kodeksie samodzielnego rozdziału, dotyczącego przestępstw politycznych i nigdzie nie jest

32. Ten niezawodny potok porywał dowolną osobę, w danej, z góry wyznaczonej chwili. Ale w latach 30-tych wolano czasem wybitniejszych intelektualistów traktować z większą elegancją i wyszukać jakiś bardziej hańbiący paragrafik (np. — homoseksualizm, albo że profesor Pletniow kąsał piersi pacjentek, gdy zostawał z nimi sam na sam w czasie wizyty lekarskiej. A skoro napisane o tym było w centralnej gazecie — to spróbuj zaprzeczyć, człowiecze!).

napisane, że to artykuł „polityczny". Nie, wraz z artykułami odnoszącymi się do przestępstw przeciw systemowi zarządzania i do bandytyzmu, składa się on na dział „przestępstw państwowej wagi". W ten sposób pierwszym słowem Kodeksu Karnego była odmowa uznania kogokolwiek na naszym terytorium za przestępcę politycznego; są wyłącznie kryminalni.

58-my artykuł składał się z 14-tu paragrafów.

Z pierwszego paragrafu dowiadujemy się, że za czyn kontrrewolucyjny uznane jest każde działanie (a w dodatkowym świetle art. 6-go KK — także każde zaniechanie) mające na celu... wystawienie na szwank władzy...

> Szeroka wykładnia pozwala stwierdzić, że gdy więzień w obozie odmawia pójścia do pracy, bo jest głodny i opadł z sił — to dopuszcza się przestępstwa wystawienia na szwank władzy. Pociąga to za sobą — rozstrzelanie. (W latach wojny rozstrzeliwano „za odmowę").

W 1934-tym roku, kiedy przywrócony był naszej mowie termin Ojczyzna, dodane zostały do tego paragrafu punkty dotyczące zdrady Ojczyzny — 1-a, 1-b, 1-c, 1-d. W myśl tych punktów, działania wystawiające na szwank moc wojenną ZSSR karane są rozstrzelaniem (1-b), a tylko przy istnieniu okoliczności łagodzących, oraz tylko w stosunku do osób cywilnych (1-a) kara ogranicza się do lat dziesięciu.

> Spójrzmy na to szerzej: gdy naszym żołnierzom za pójście do niewoli (narażenie na szwank potęgi wojennej!) dawano zaledwie dziesięć lat odsiadki, to było to przejawem humanizmu, dochodzącego wręcz do bezprawia. Zgodnie ze stalinowskim kodeksem, wszyscy oni po powrocie do kraju powinni właściwie zostać rozstrzelani.
>
> (Albo inny jeszcze przykład szerokiej wykładni. Dobrze pamiętam pewne spotkanie w Butyrkach latem 1946 roku. Pewien Polak urodził się był we Lwowie, gdy miasto to wchodziło jeszcze w skład monarchii austro-węgierskiej. Aż do drugiej wojny światowej mieszkał w swoim mieście, w Polsce, po czym wyjechał do Austrii, tam był wzięty do wojska, tam go też aresztowali nasi w 1945 roku. Dostał dychę z artykułu 541 ukraińskiego wariantu kodeksu, to znaczy — za zdradę swojej ojczyzny UKRAINY! — bo przecież miasto Lwów w tym czasie, to był już ukraiński Lwiw! I biedak ani rusz nie potrafił dowieść w czasie

śledztwa — że wyjechał do Wiednia nie po to, aby zdradzać Ukrainę! No i tak psim swędem został już zdrajcą).

Ważnym poszerzeniem wykładni paragrafu o zdradzie było stosowanie go w „sensie artykułu 19-go KK" — czyli „biorąc pod uwagę zamiar". To znaczy żadnej zdrady nie było — ale funkcjonariusz śledczy zakładał z a m i a r zdrady — i to wystarczało, aby dać człowiekowi najsurowszy wymiar, jak za zdradę faktyczną. Co prawda, artykuł 19-ty przewiduje karę nie za zamiar, lecz za p r z y g o t o w a n i e, ale przy dialektycznym podejściu można także zamiar uznać za przygotowanie. Zaś „czynienie przygotowań jest tak samo karalne (tzn. wymiar kary jest ten sam) jak samo przestępstwo" (KK). I w ogóle —

— nie czynimy rozróżnień między i n t e n c j ą a samym p r z e s t ę p s t w e m — na tym polega w y ż s z o ś ć sowieckiej jurysdykcji nad burżuazyjną![33]

Paragraf drugi mówi o powstaniu zbrojnym, zagarnięciu władzy w stolicy i na prowincji, zwłaszcza w celu oderwania gwałtem jakiejkolwiek części terytorium Związku Republik. Kary — do śmierci przez rozstrzelanie włącznie (podobnie, jak w KAŻDYM z następnych paragrafów).

W poszerzonym ujęciu (nie można było tak sformułować artykułu, ale rewolucyjne poczucie prawa tak uczy): odnosi się to do wszelkich prób skorzystania z prawa każdej republiki do wystąpienia ze Związku Sowieckiego. Przecież mówiąc o oderwaniu „gwałtem" — nie precyzuje się, wobec k o g o gwałt ma miejsce. Nawet gdyby cała ludność republiki życzyła sobie tej separacji, ale w Moskwie by jej sobie nie życzono, toteż będzie to „g w a ł t". Tak więc, wszyscy estońscy, łotewscy, ukraińscy i turkiestańscy nacjonaliści bez trudu otrzymywali z tego paragrafu swoją d y c h ę czy d w a d z i e ś c i a p i ę ć.

Trzeci paragraf: „Pomoc, okazywana w jakiejkolwiek bądź formie obcemu mocarstwu znajdującemu się w stanie wojny z ZSSR".

Paragraf ten dawał możność postawienia przed sądem KAŻDEGO obywatela, który spędził jakiś czas na terenach

---

33. *Od więzień do zakładów wychowawczych* — Almanach Instytutu Polityki Kryminalnej — pod redakcją A. J. Wyszyńskiego. Wyd. „Sowietskoje Zakonodatielstwo", Moskwa, 1934, str. 36.

okupowanych, niezależnie od tego, czy tylko przybił obcas niemieckiemu żołnierzowi, czy sprzedał mu pęczek rzodkiewek, lub każdej kobiety, która z Niemcem zatańczyła, albo i spędziła z nim noc. Nie każdy p o c i ą g a n y był pod sąd z tego paragrafu (zbyt wielu ludzi było pod okupacją), ale m ó g ł być skazany każdy.

Paragraf czwarty mówił o (wkraczamy tu w dziedzinę fantazji) pomocy okazywanej międzynarodowej burżuazji.

Myślałby człowiek: do kogo to się w ogóle odnosi? Ale — interpretując szeroko i opierając się na sumieniu rewolucyjnym — znaleziono odpowiednią kategorię bez kłopotu: wszyscy emigranci, którzy opuścili kraj przed 1920 rokiem, to znaczy kilka lat przed sporządzeniem tego kodeksu, i zostali przydybani w Europie przez naszą armię ćwierć wieku później (1944-1945) dostawali artykuł 58-4: dziesięć lat, albo śmierć przez rozstrzelanie. Czym bowiem zajmowali się za granicą, jeśli nie okazywaniem pomocy międzynarodowej burżuazji? (Przykład kółka melomanów dowiódł już nam, że okazywać można było pomoc także wewnątrz ZSSR). Pomagali jej także wszyscy eserzy, wszyscy mienszewicy (na ich cześć ten paragraf wymyślono), a później też inżynierowie z Gosplanu i WSNCh.

Paragraf piąty: skłanianie obcego mocarstwa do wydania wojny ZSSR.

Stracona okazja: rozciągnąć ten paragraf na czynności Stalina i jego świty dyplomatycznej oraz wojskowej w latach 1940-41. Ślepota i głupota tych ludzi do tego właśnie wiodła. Któż, jeśli nie oni doprowadzili Rosję do haniebnych, niesłychanych klęsk, nieporównanie gorszych od porażek carskiej Rosji w 1904 czy w 1915 roku? Klęsk, jakich nie pamiętała Rosja od XIII wieku?

Paragraf szósty — szpiegostwo:

był interpretowany tak szeroko, że gdyby policzyć wszystkich, skazanych na jego podstawie, to można by pomyśleć, że ani z rolnictwa, ani z pracy w przemyśle, ani z żadnej innej roboty nie utrzymywał się nasz naród za Stalina, tylko ze szpiegostwa i że żył na koszt obcych wywiadów. Szpiegostwo — było to coś bardzo wygodnego dzięki swej prostocie, coś zrozumiałego i dla ciemnego kryminalisty,

i dla uczonego prawnika, i dla dziennikarza i dla całej opinii[34].

Szerokość wykładni polegała jeszcze na tym, że wyroki dawano nie po prostu za szpiegostwo, lecz za PSz — Podejrzenie o Szpiegostwo. (Albo — NSz — Niedowiedzione Szpiegostwo, za co też leciała cała szpula!).

a nawet za

SWPSz — stosunki, wywołujące (!) podejrzenie o szpiegostwo.

Wystarczy na przykład, że znajoma znajomej twojej żony szyła sobie suknię u tej samej krawcowej(rzecz jasna, współpracującej z NKWD), co żona jakiegoś zagranicznego dyplomaty.

Te wszystkie 58-6, PSz i SWPSz — były to paragrafy przylepne, pociągały za sobą surowe traktowanie, bezustanną obserwację więźnia (wszak obcy wywiad może wyciągnąć macki, w ślad za swoim człowiekiem — aż do obozu) i nie dawały prawa do poruszania się bez konwoju. W ogóle wszelkie p a r a g r a f y l i t e r o w e, to znaczy — wcale nie artykuły prawa, lecz właśnie te strach budzące kombinacje dużych liter (w tym rozdziale natkniemy się jeszcze na inne) nosiły na sobie stale nalot zagadkowości, nigdy nie było dokładnie wiadomo, czy to odgałęzienia artykułu 58-go, czy też coś samoistnego i bardzo niebezpiecznego. Więźniowie z paragrafem literowym w wielu obozach byli upośledzeni nawet w porównaniu z „grupą 58".

Paragraf siódmy: działanie na szkodę przemysłu, transportu, handlu, obiegu pieniężnego i spółdzielczości.

W latach 30-tych ten paragraf ostro poszedł w ruch i zdobył popularność wśród mas pod uproszczoną i zrozumiałą powszechnie nazwą s z k o d n i c t w a. Rzeczywiście, wszystkie dziedziny wymienione w Paragrafie Siódmym co dzień ponosiły jakieś widoczne i nie dające się ukryć szkody — ktoś tu więc chyba był winien?... Przez wieki

---

34. A swoją drogą — szpiegomania nie była tylko tępą pasją Stalina. Od razu przypadała do smaku każdemu, kto wchodził do kręgu uprzywilejowanych. Stała się naturalnym usprawiedliwieniem dla wybujałej manii tajności, dla zakazu informacji, dla zamkniętych drzwi, systemu przepustek, cparkanionych willi i sklepów za żółtymi firankami. Przez pancerne mury szpiegomanii ludzie nie mogli ani się przebić, ani nawet rzucić okiem, jak biurokracja spiskuje, leniuchuje, robi swoje błędy, jak zajada i jak się zabawia.

nasz lud tworzył i budował, a zawsze rzetelnie, nawet, gdy harował na panów. O żadnym szkodnictwie nie było nawet słychu od czasów samego Ruryka. I oto, gdy po raz pierwszy cały dostatek znalazł się w rękach ludu — setki tysięcy najlepszych jego synów z niewiadomych powodów zabrało się do szkodnictwa. (Szkodnictwo jako takie nie było w tym paragrafie uwzględnione, ponieważ jednak bez niego nie sposób było wyjaśnić rozsądnie, czemu pola zarastają chwastami, zbiory maleją, a maszyny łamią się — więc dialektyczne wyczucie kazało wprowadzić także to pojęcie).

Paragraf ósmy — terror (nie ów terror, który miał „uzasadnić i uprawnić" sowiecki kodeks karny[35], lecz terror oddolny).

Terror rozumiany był bardzo, a bardzo szeroko: nie uważano za terror teraz rzucania bomb pod karety gubernatorów; za to na przykład nabicie pyska osobistemu wrogowi — jeśli okazywał się aktywistą partyjnym, komsomolskim, albo milicyjnym — już oznaczało terror. Tym bardziej zabójstwo aktywisty, nigdy nie uznawane było za równe zabójstwu zwykłego obywatela (zresztą to samo rozróżnienie istnieje już w kodeksie Hammurabiego w XVIII wieku przed naszą erą). Jeśli jakiś mąż zabił kochanka żony, i okazywało się, że kochanek był bezpartyjny, to mąż miał szczęście, dostawał artykuł 136, był przestępcą pospolitym, elementem socjalnie bliskim i mógł paradować po obozie bez konwoju. Jeśli zaś kochanek był partyjny, to mąż stawał się wrogiem ludu na podstawie artykułu 158-8.

Jeszcze ważniejsze rozszerzenie wykładni można było uzyskać przez zastosowanie paragrafu 8-go w rozumieniu, wspomnianego już, artykułu 19-tego, to znaczy przez uznanie za istniejące przygotowań do zbrodni — w sensie przypuszczalnego zamiaru. Nie tylko bezpośrednia groźba przy kiosku z piwem: „No, poczekaj tylko!" skierowana pod adresem aktywisty, ale również głośna uwaga zapalczywej przekupki z rynku „ach, żeby go pokręciło!" kwalifikowana była jako TZ — terrorystyczne zamiary i dawała podstawy do stosowania artykułu z całą surowością[36].

35. Lenin, *Dzieła Zebrane*, wyd. V., tom 45, str. 190.

36. Brzmi to jak gruba przesada, trąci farsą — ale nie my byliśmy autorami tej farsy, myśmy z takimi ludźmi — siedzieli.

Dziesiąty paragraf — zniszczenie albo uszkodzenie... drogą wysadzenia w powietrze, albo podpalenia (dla celów kontrrewolucyjnych, to już nieodzowne), zwane w skrócie d y w e r s j ą.

Poszerzenie wykładni polegało na tym, że cele kontrrewolucyjne delikwentowi były imputowane (śledczy już lepiej wiedział, co się dzieje w świadomości przestępcy!), a jakaś ludzka nieostrożność, omyłka, wszelkie niepowodzenie w pracy, fiasko produkcyjne — nie mogło być darowane, uważane było za dywersję.

Ale żaden paragraf artykułu 58-ego nie był interpretowany tak szeroko i z takim zaangażowaniem, taką rewolucyjną żarliwością, jak Dziesiąty. Oto jego brzmienie: „Propaganda albo agitacja, zachęcająca do obalenia, podkopania, albo osłabienia władzy sowieckiej... a również rozpowszechnianie, albo przygotowanie, bądź przechowywanie publikacji tejże treści...".

Paragraf ten określał w OKRESIE POKOJU tylko d o l n ą granicę kar (byle nie za mało!... byle nie nazbyt pobłażliwie!) górna zaś *NIE PODLEGAŁA* OGRANICZENIOM!

Tak nieulękłym okiem patrzyło wielkie Mocarstwo na SŁOWO poddanego.

Z rozszerzonych wykładni tego sławetnego paragrafu te zasłużyły na największą sławę:

— za „agitację, zachęcającą do..." mogła być uznana przyjacielska (albo nawet małżeńska) rozmowa w cztery oczy, albo osobisty list; z a c h ę t ą mogła być nawet prywatna rada. (Wnioskujemy — „mogła, mógł być" stąd, że TAK NIERAZ BYWAŁO). „Podkopaniem albo osłabieniem" władzy był wszelki pogląd niezgodny z poglądem dzisiejszej gazety, albo nie sięgający wyżyn jej entuzjazmu. Bo wszak o s ł a b i a wszystko to, co n i e u m a c n i a! Przecież p o d k o p u j e wszystko to, co nie jest stuprocentowo uzgodnione!

„I ten kto nie śpiewa dziś razem z nami,
Ten jest
przeciwko
nam!

(Majakowski)

— za „przygotowanie kontrrewolucyjnych publikacji" uznawane było napisanie w jednym jedynym egzemplarzu listu, notatki, intymnego pamiętnika.

W tak fortunny sposób poszerzony — jakiej to MYŚLI — kontemplowanej, wygłoszonej, czy zapisanej — nie miał w swoim zasięgu Dziesiąty Paragraf?

Paragraf jedenasty był osobliwością: nie miał samodzielnej wagi, dostarczał jedynie dodatkowego balastu do każdego z uprzednio wymienionych punktów — jeżeli działanie przestępcze miało charakter grupowy, albo gdy złoczyńcy tworzyli organizację.

W istocie wykładnia poszerzała się aż do tego stopnia, że żadna organizacja już nie była potrzebna. Ten wyszukany sposób interpretacji poznałem na własnym przykładzie. Było nas *d w ó c h* pisujących do siebie listy, a więc zajmujących się tajną wymianą myśli. *Dwóch* — to *zawiązek* organizacji, a więc to *już* organizacja!

Paragraf dwunasty miał najczęstszą styczność z sumieniami obywateli: dotyczył przestępstwa n i e d o n i e s i e n i a o każdym z wymienionych poprzednio czynów. Także za ciężki grzech niezłożenia donosu PUŁAP KARY NIE BYŁ OGRANICZONY!

Paragraf ten był sam przez się tak szeroko pojęty, że dalszych poszerzeń wykładni nie wymagał. WIEDZIAŁ — A NIE POWIEDZIAŁ — toć to wszystko jedno, jakby sam popełnił zbrodnię!

Paragraf trzynasty, jak wolno było sądzić, dawno już nieaktualny, dotyczył służby w carskiej ochranie[37]. (Analogiczna służba — tylko nieco później, uważana jednak była za patriotyczny wyczyn).

Punkt czternasty karał za „świadome uchylenie się od wykonania określonych obowiązków, albo umyślnie niedbałe ich wykonanie": przewidywane były kary, oczywiście, aż do rozstrzelania włącznie. W skrócie nazywało się to „sabotażem", albo „ekonomiczną kontrrewolucją".

Odróżnić to, co umyślne, od tego, co nieumyślne mógł tylko funkcjonariusz śledczy, opierając się na swoim rewolucyjnym poczuciu sprawiedliwości. Ten sam paragraf stosowany był do chłopów, nie wykonujących dostaw obo-

37. Istnieje pewna psychologiczna podstawa, by podejrzewać, że J. Stalin mógłby trafić na ławę oskarżonych także z tego paragrafu art. 58. Bynajmniej nie wszystkie dokumenty, dotyczące tego rodzaju służby uchowały się, po lutym 1917 roku i zostały opublikowane. W. F. Dżunkowski, były dyrektor Departamentu Policji, umierając na Kołymie, zapewniał, że pośpieszne spalenie archiwów w pierwszych dniach rewolucji Lutowej było wspólnym dziełem niektórych zainteresowanych rewolucjonistów.

wiązkowych. Na podstawie tegoż paragrafu sądzono kołchoźników, nie mających na swoim koncie koniecznej ilości roboczodniówek. I więźniów w obozie, nie wykonujących normy. A rykoszetem zaczęto po wojnie stosować ten paragraf do szemranych - kryminalistów z ferajny, za ucieczkę z obozu. Dzięki szerokiej wykładni ucieczka taka nie była już dowodem tęsknoty za lubą wolnością, lecz próbą poderwania systemu obozowego.

Taki to był ostatni płatek wachlarza 58-ego artykułu — wachlarza rozczapierzonego nad całym obszarem ludzkiego życia.

Po tym przeglądzie wielkiego ARTYKUŁU nie potrafi już nas byle co zadziwić przy dalszych rozważaniach. Gdzie jest prawo — tam jest też przestępstwo.

◆

Bułat 58-ego artykułu wypróbowany w 1927 roku zaraz po wykryciu, hartowany później we wszystkich potokach następnego dziesięciolecia — zastosowany został z pełnym rozmachem i świstem przy ataku Prawa na Lud w latach 1937-38.

Trzeba zaznaczyć, że operacja 1937 roku nie miała w sobie nic żywiołowego, lecz była zaplanowana, że w pierwszej połowie tego roku w licznych więzieniach Związku przeprowadzono odpowiednie przeróbki — z cel wyniesiono prycze-porobiono nary na całą szerokość celi, jedno- i dwukondygnacyjne[38]. Starzy aresztanci wspominają, że ponoć już pierwszy cios był zmasowany, zadano go pewnej nocy sierpniowej, na cały obszarze kraju jednocześnie (ale znając naszą nieudolność, nie bardzo mi się chce temu wierzyć). Jesienią zaś, kiedy wszyscy wierzyli święcie w powszechną wielką amnestię — w związku z dwudziestoleciem Października, figlarz Stalin dorzucił do kodeksu nowe, niesłychane dotąd terminy kar — 15 i 20 lat[39].

Nie ma potrzeby powtarzania tu o roku 1937 tego, co już o nim pisano i co nieraz jeszcze będzie powtórzone: że był to cios druzgoczący kierownicze kadry partii, administracji, dowództwa armii — i najwyższe kręgi samego GPU-NKWD[40]. W ani

38. Jak też nie przypadkiem — Wielki Dom w Leningradzie zakończony został w 1934 roku, tuż przed zamordowaniem Kirowa.

39. — 25-letni termin kary pojawił się zaś w kodeksie na 30-lecie Października, w 1947 roku.

40. Teraz, znając przebieg chińskiej rewolucji kulturalnej (wybuchła też w 17 lat po ostatecznym zwycięstwie), możemy z o wiele większym prawdopodobieństwem zakładać istnienie tej historycznej prawidłowości. I nawet sam Stalin zaczyna już wydawać się tylko ślepą i działającą na powierzchni siłą, narzędziem.

jednym chyba okręgu nie uchował się ani jeden pierwszy sekretarz obkomu albo przewodniczący rady okręgowej; Stalin dobierał sobie poręczniejszych ludzi.

Olga Czawczawadze opowiada, jak to się odbywało w Tbilisi: w 38-ym roku aresztowano przewodniczącego rady miejskiej, jego zastępcę, wszystkich (jedenastu) naczelników wydziałów, ich pomocników, wszystkich głównych księgowych, wszystkich naczelnych ekonomistów. Wyznaczono nowych. Minęły dwa miesiące. I już znowu idą do więzienia: przewodniczący, zastępca — wszyscy (jedenastu) naczelnicy wydziałów, wszyscy główni księgowi, wszyscy naczelni ekonomiści. Na wolności zostali — zwykli księgowi, maszynistki, sprzątaczki, gońcy...

Przy represjach wobec szeregowych członków partii przestrzegano — jak się wydaje — pewnej zasady niejawnej, nigdzie nie nazwanej po imieniu w protokołach i sentencjach wyroków: aresztować przede wszystkim członków partii ze stażem s p r z e d 1924 roku. Szczególnie stanowczo przestrzegano tego w Leningradzie, ponieważ to oni właśnie podpisali wszyscy „platformę" Nowej Opozycji. (A jak mogli jej nie podpisać? Jak mogli nie „ufać" swojemu leningradzkiemu komitetowi gubernialnemu?)

Oto obrazek z tych lat. Odbywa się (w okręgu moskiewskim) partyjna konferencja rejonowa. Przewodniczy nowy sekretarz rejkomu; dopiero niedawno objął stanowisko po aresztowanym poprzedniku.

Na zakończenie konferencji poddaje się pod głosowanie pismo do towarzysza Stalina z zapewnieniem wierności. Oczywiście — wszyscy wstają (podobnie, jak w trakcie konferencji wszyscy zrywali się na równe nogi za każdym razem, gdy z mównicy padało jego nazwisko). W niewielkiej sali grzmią „burzliwe oklaski, przekształcające się w owację". Trzy minuty, cztery minuty, pięć minut — oklaski wciąż jeszcze są burzliwe i wciąż przekształcają się w owację. Ale dłonie już bolą. Ale już drętwieją uniesione ręce. Ale już starsi ludzie tracą oddech. Ale już robi się bardzo głupio nawet tym, co szczerze uwielbiają Stalina. Tylko że — kto p i e r w s z y ośmieli się przestać? Mógłby to zrobić sekretarz rajkomu: stoi na trybunie, dopiero co odczytał tekst orędzia. Ale — to świeży człowiek, objął miejsce po aresztowanym, sam się boi! Przecież tu, w sali, stoją i klaszczą enkawudyści, już oni dobrze patrzą, kto pierwszy przestanie!... I oklaski w tej małej, nieznanej sali, oklaski, których wódz nie słyszy, trwają 6 minut! 7 minut! 8 minut!... Ci ludzie są zgubieni! Straceni! Już nie mogą przestać, póki wszyscy nie zwalą się z pękniętym sercem! Jeszcze tam, w głębi sali, w ciżbie, można próbować małego szachrajstwa — bić oklaski rzadziej, nie

tak silnie, nie z takim ferworem — ale w prezydium, na oczach wszystkich obecnych? Dyrektor miejscowej papierni, silny człowiek, z dużym poczuciem niezależności, stoi w prezydium — i rozumiejąc cały fałsz — całą beznadziejność sytuacji — klaszcze! Dziewiątą minutę! Dziesiątą! Spogląda markotnie na sekretarza rajkomu, ale ten nie śmie zaprzestać klaskania. Opętanie! Zbiorowe! Zerkając na siebie wzajem z resztką nadziei, ale udając zachwyt, kierownicy rejonu będą klaskać aż do upadu, póki nie znaczną ich stąd dygować na noszach! I nawet wtedy ci, co zostali — ani drgną! I oto dyrektor papierni w 11-tej minucie oklasków przybiera rzeczowy wyraz twarzy i siada na swoim krześle za stołem prezydialnym. I— o dziwo! — gdzież podział się ogólny, nieopisany entuzjazm? Wszyscy naraz, z punktu, przerywają oklaski i też siadają. Uratowani! Wiewiórka domyśliła się nagle, jak wyskoczyć z koła!...

Ale właśnie w ten sposób wykrywa się niezależnych. Tej samej nocy dyrektor fabryki zostaje aresztowany. Z łatwością znajdują się — zupełnie inne — powody, żeby dać mu dziesięć lat. Ale gdy już podpisał „206" (protokół zakończenia śledztwa), przesłuchujący upomniał go jednak:

— I żebyś nigdy nie był pierwszy do przerywania oklasków!

(A jak poradzimy sobie inaczej? A jak tu przestać?...)[41]

To jest właśnie darwinowski dobór naturalny. To jest właśnie ogłupianie ludzi.

Ale dziś tworzy się nowy mit. Każde drukowane opowiadanie, każde wspomnienie o 37-ym roku — sprowadza się nieuchronnie do opowieści o tragedii komunistycznych przywódców. Już nas przekonano, już bezwiednie wierzymy, że 37-my i 38-my więzienny rok — to był właśnie proces eliminacji wybitnych komunistów — i właściwie więcej nikogo. Ale grube ryby partyjne i wyżsi biurokraci nie mogli stanowić więcej niż 10 procent tych m i l i o n ó w, które wtedy poszły pod klucz. Nawet w leningradzkich kolejkach, wyczekujących z paczkami pod więzieniem, najwięcej było prostych kobiet, z wyglądu przypominających mleczarki.

Ci, którzy uniesieni zostali przez ten rwący potok i — na poły tylko żywi — ocknęli się aż na Archipelagu, stanowili mieszaninę tak pstrą i dziwaczną, że długo można łamać sobie głowę, chcąc znaleźć tu drogą badań jakieś prawidłowości. (Tym mniej zrozumiałe były one dla współczesnych).

W istocie zaś chodziło w tych latach o o s i ą g n i ę c i e c y f r y, zleconego limitu, dostarczenie ustalonego z góry kon-

41. Opowieść N. G-ko.

tyngentu. Każde miasto, rejon, jednostka wojskowa — otrzymywała plan, wyrażony w cyfrach — i miały wykonać go w terminie. Cała reszta zależała od wprawy agentów operacyjnych.

Były czekista Aleksander Kałganow wspomina, jak to do Taszkientu nadeszła depesza: „Przysłać dwustu!" Oni zaś dopiero co przeczesali miasto i zdawało się, że nie ma już kogo brać. No, podrzucono im tam z prowincji jakieś pół setki, to prawda. Jest pomysł! Można aresztowanych przez milicję pospolitaków przekwalifikować na 58! Załatwione! Ale do cyfry kontrolnej wciąż daleko! Milicja donosi: co robić? na jednym z placów miejskich Cyganie bezczelnie rozbili tabor. Jest pomysł! Otoczyć go w mig — i wszystkich mężczyzn od siedemnasto- do sześćdziesięciolatków zagarnąć jako pięćdziesięcioósmaków! Limit osiągnięty!

Zdarzało się i tak: czekiści Osetii (jak podaje naczelnik milicji Zabołowski) otrzymali zlecenie rozstrzelania na terenie swojej republiki 500 ludzi, poprosili sami o zwiększenie limitu i dostali pozwolenie na dodatkowych 230-tu.

Depesze te, powierzchownie zakamulowane, przesyłane były przez zwykłą sieć łączności. W mieście Temriuk telegrafistka ze świętą naiwnością przetelefonowała do NKWD: mają wysłać jutro do Krasnodaru 240 skrzynek mydła. Następnego dnia dowiedziała się o licznych aresztowaniach i wysłaniu ujętych — i domyśliła się! Zwierzyła się przyjaciółce, jaką to depeszę przekazała. Natychmiast ją wsadzili.

(Czy zupełnym tylko przypadkiem człowiek tu wstępował jako s k r z y n k a m y d ł a? A może? — bo jeśli pomyśleć o technologii mydlarstwa...).

Oczywiście, pewne prawidłowości cząstkowe da się wyodrębnić. Podlegają aresztowaniu:

— nasi za granicą, autentyczni szpiedzy. (Są to często żarliwi kominternowcy, albo czekiści; wiele atrakcyjnych kobiet. Dostają odwołanie, na granicy biorą ich pod straż — następnie konfrontacja z ich byłym szefem z Kominformu, może nim być na przykład Mirow-Korona. Szef potwierdza, że sam był agentem jakiegoś obcego wywiadu — a więc jego podwładni są winni automatycznie — i tym więcej naszkodzili, im są uczciwsi!);

— pracownicy KWŻD[42]. (Wszyscy co do jednego byli sowieccy pracownicy KWŻD okazują się japońskimi szpiegami, nie

42. *Kitajsko-Wostocznaja Żeleznaja Doroga* = Wschodnio-Chińska Kolej Żelazna, przedsiębiorstwo mieszane, linia zbudowana i zarządzana przez ZSSR na terenie Mandżurii, dała powód do starć wojennych między Chinami a ZSSR w 1929 roku.

wyłączając żon, dzieci i babek. Ale trzeba przyznać, że przymykano ich już od dobrych paru lat);

— Koreańczycy z Dalekiego Wschodu (zesłani do Kazachstanu) — pierwszy wypadek karania za pochodzenie, za krew;

— leningradzcy Estończycy (wszyscy aresztowani na zasadzie brzmienia nazwiska, jako szpiedzy białej Estonii);

— wszyscy łotewscy strzelcy[43] i Łotysze-czekiści, tak jest, Łotysze, akuszerzy rewolucji, stanowiący całkiem niedawno kościec i chlubę Czeki! I nawet ci komuniści z burżuazyjnej Łotwy, których w 1921 roku wymieniono, aby oszczędzić im odsiadywania straszliwych, dwu- i trzyletnich wyroków łotewskich. (Zlikwidowano w Leningradzie łotewski oddział instytutu im. Herzena, łotewski dom kultury, klub estoński, łotewskie technikum, łotewską i estońską gazetę).

Wśród tego zgiełku kończy się po cichu rozkładanie Wielkiego Pasjansa, wyłapują jeszcze niedorżniętych. Już nie ma co bawić się w sekrety, już czas kończyć tę grę. Socjalistów pakują teraz do więzień całymi koloniami zesłańczymi (na przykład — Ufa, Saratów), sądzą ich ryczałtem i pędzą stadami do rzeźni Archipelagu.

Nigdzie się tego specjalnie nie wybija, ale należy starać się powsadzać jak najwięcej inteligentów. O inteligencji nigdy nie zapomniano przy poprzednich falach, nie zapomina się też i teraz. Dość jednego studenckiego donosu (ta kombinacja słowna od dawna już nie brzmi dziwacznie), że lektor na uczelni cytuje przeważnie Lenina i Marksa, a Stalina nie cytuje — i lektor na następnym wykładzie już się nie pojawia. A co, jeśli w o g ó l e n i e c y t u j e ? . . . — i idą do paki wszyscy leningradzcy orientaliści średniego i młodszego pokolenia. Idzie pod klucz pełny skład Instytutu Badań Północy (prócz konfidentów). Nie gardzi się też zwykłymi nauczycielami szkolnymi. W Swierdłowsku inscenizuje się s p r a w ę trzydziestu nauczycieli szkół średnich z kierownikiem okręgowego Wydziału Oświaty Perlem na czele; jeden z miażdżących punktów oskarżenia brzmi: urządzali w szkołach zabawy choinkowe p o t o a b y p o d p a l a ć s z k o ł y![44]

43. Pułk strzelców łotewskich znany był w 1918 roku jako gwardia Lenina.

44. Pięciu z nich zamęczono w trakcie śledztwa, skonali przed rozprawą. Dwudziestu czterech umarło w obozach. Trzydziesty — Iwan Arystaulowicz Punicz — wrócił i został zrehabilitowany. (Gdyby i on umarł — przeoczylibyśmy tu tych trzydziestu, tak, jak pomijamy samochcąc miliony). Liczni „świadkowie", występujący w ich sprawie, mieszkają sobie dalej w Swierdłowsku, niczego im nie brak: kadrowi działacze, wyżsi urzędnicy, zasłużeni renciści. Dobór darwinowski.

Także na łby inżynierów (już sowieckiego chowu, już nie „burżuazyjnych") maczuga spada z regularnością wahadła. Inżynierowi górniczemu, Mikołajowi Merkuriewiczowi Mikowowi, przebijany z dwóch końców, chodnik nie zbiegł się z powodu przesunięcia się pokładów. Art. 58 § 7, 20 lat! Sześciu geologów (grupa Kotowicza) „za umyślne ukrycie złóż cyny (! — to znaczy, za nieodkrycie ich!) w nadziei na przyjście Niemców" (donos) — 58 § 7, po 10 lat!

W ślad za głównym potokiem zdążają spec-dopływy: żony, Cz R. (członkowie rodziny). Żonom działaczy partyjnych, a miejscami (Leningrad) — także wszystkim, którzy dostali „10 lat bez prawa korespondencji", których więc już nie ma, a również bliskim krewnym — dają z reguły po osiem lat. (Zawsze jednak mniej, niż kułakom, przy tym dzieci zostają na stałym lądzie).

Hałdy ofiar! Góry ofiar! Atak frontalny NKWD na miasta: S. P. Matwiejew ta sama fala — choć w kilku odrębnych procesach, zabrała męża i trzech braci (i troje z tej czwórki nigdy już nie wróci).

— na odcinku dozorowanym przez pewnego technika-elektryka zerwał się przewód wysokiego napięcia. 58 § 7, 20 lat;

— robotnik z Permu, Nowikow, oskarżony o próbę wysadzenia w powietrze mostu na Kamie;

— Jużakowa (także z Permu) aresztowano z dziećmi; po żonę przyszli tejże nocy. Okazano jej listę jakichś osób i kazano podpisać, że wszyscy wymienieni spotykali się w ich mieszkaniu na eserowsko-mienszewickich zebraniach konspiracyjnych (których oczywiście wcale nie było). Miała być za to wypuszczona, a zostawiła troje dzieci. Podpisała, tamtych wszystkich zgubiła, a sama, rzecz jasna, też już nie wyszła na wolność;

— Nadieżdę Judenicz aresztowano za brzmienie nazwiska. Co prawda, po 9-ciu miesiącach ustalono, że nie jest jednak krewną białogwardyjskiego generała i puszczono ją wolno (głupstwo, nieprawdaż; przez ten czas tylko matka jej umarła ze zmartwienia);

— w Starej Russie szedł w kinie film „Lenin w Październiku". Ktoś zwrócił uwagę na replikę: „Palczyński powinien to wiedzieć!" — a Palczyński bronił Pałacu Zimowego. Zaraz, toć u nas pracuje pielęgniarka — też Palczyńska! Brać ją! No i zabrali. I okazało się, że to istotnie żona Palczyńskiego, która po rozstrzelaniu męża znalazła się na głębokiej prowincji;

— bracia Boruszenko (Paweł, Iwan i Stiepan) przyjechali w 1930 roku z Polski, jeszcze jako DZIECI, do krewnych.

Teraz młodzieńcy dostają za PSZ (podejrzenie o szpiegostwo) po 10 lat;

— pewna tramwajarka z Krasnodaru późną nocą wracała pieszo z remizy i na przedmieściu nieszczęściem minęła buksującą w błocie ciężarówkę, koło której uwijali się jacyś ludzie. Zdążyła zobaczyć, że wóz jest pełen trupów, ręce i nogi sterczały spod brezentu. Zapisano jej nazwisko i następnego dnia już była aresztowana. Oficer śledczy spytał ją, co widziała? Uczciwie powiedziała prawdę (dobór darwinowski). Agitacja antysowiecka, 10 lat;

— pewien hydraulik wyłączał w swoim pokoju głośnik za każdym razem, kiedy nadawane były nieskończenie długie listy hołdownicze do Stalina[45]. Sąsiad doniósł (o, gdzie jest teraz ten sąsiad?). — Wyrok: element socjalnie niebezpieczny, 8 lat;

— pewien zdun, półanalfabeta, lubił w wolnych chwilach uwieczniać swój podpis, co dodawało mu powagi we własnych oczach. Czystego papieru brakowało, uwieczniał się więc na gazetach. Gazetę z podobizną Ojca i Nauczyciela, ozdobioną kulfonami zduna, sąsiedzi znaleźli w worku we wspólnym klozecie. ASA, 10 lat.

Stalin i jego świta lubili własne portrety, zapełniali nimi gazety, powielali je namiętnie, w milionach kopii. Muchy nie bardzo umiały uszanować te świętości, gazety też żal było nie użyć — i wielu nieszczęśliwców także złapało za to wyrok.

Aresztowania przetaczały się przez ulice i domy, jak epidemie. Tak, jak ludzie bezwiednie roznoszą zarazę — przez podanie ręki, oddech, odzież — tak też przez podanie ręki, oddech, uliczne spotkanie, rozsiewali wokół zarazki nieuchronnego aresztowania. Jeśli bowiem pisane ci jest, że jutro będziesz musiał się przyznać, iż kleciłeś podziemną grupę celem zatrucia wodociągów miejskich, dziś zaś ja ci rękę na ulicy podałem — to znaczy, że i ja jestem zgubiony.

Siedem lat wcześniej miasto przyglądało się rozgramianiu wsi i widziało w tym rzecz naturalną. Teraz wieś mogłaby tak samo przyglądać się rozgramianiu miast — ale była zbyt ciemna, zresztą ją samą właśnie dobijano;

— geometra (!) Saunin dostał 15 lat za... pomór bydła (!) w powiecie i marne zbiory (!) a powiatowa góra poszła za to już pod murek);

— przyjechał na pole sekretarz rajkomu, żeby przyśpieszyć trochę orkę i zapytał go stary chłop, czy aby sekretarz wie,

45. Kto dziś je pamięta? Godzinami, dzień w dzień, zawsze to samo, do ogłupienia: zapewne pamięta je dobrze speaker Lewitan: czytał je z naciskiem i wielkim uczuciem.

że przez całe siedem lat kołchoźnicy za swoje dniówki nie dostali ani szczypty ziarna, tylko słomę, a tej też niewiele. Za to pytanie dziadek dostał ASA, 10 lat;

— inny był los pewnego chłopa z sześciorgiem dzieci. Przez te właśnie sześć gąb nasz chłop się nie szczędził, pracował dla kołchozu, wciąż miał nadzieję, że coś sobie wykołacze. I rzeczywiście, dano mu w końcu — order. Wręczano go na zebraniu, były przemówienia. W swojej odpowiedzi rozczulony chłop powiedział: „Ech, zamiast tego orderu to by mi się lepiej z pudzik mąki przydał! A może by jednak?..." Wilczym śmiechem zaniosło się całe zebranie i ze swoimi sześcioma gębami poszedł nowoodznaczony na zesłanie.

Czy możemy to wszystko uogólnić i wyciągnąć wspólny wniosek — że wsadzano niewinnych? Ale zapomnieliśmy powiedzieć, że samo pojęcie winy skasowane zostało jeszcze w zaraniu proletariackiej rewolucji, a w początkach lat 30-tych uznane za atrybut prawicowego oportunizmu[46]. Tak że nie możemy teraz spekulować na tych przestarzałych pojęciach — winy i niewinności.

Powracająca fala[46] 1939 roku — jest to wypadek w dziejach Organów niesłychany, plama na ich historii! Zresztą ten kontr-potok był niewielki, nie przekraczał jednego czy dwóch procent liczby tych, których poprzednio wzięto — jeszcze nie skazanych, jeszcze nie zesłanych daleko, jeszcze nie umarłych. Niewielki, ale umiejętnie wykorzystany. Była to reszta z rubla — jedna kopiejka, tyle, ile trzeba, żeby zwalić wszystko na ohydnego Jeżowa, żeby wzmocnić pozycję nowego nominata Berii i żeby jeszcze jaśniej zabłysnął Wódz. Za cenę tej kopiejki udało się zręcznie wdeptać w ziemię resztę rubla. Przecież jeśli „połapali się i wypuścili" (gazety pisały nawet z szaleńczą odwagą o sporadycznych wypadkach niezawinionej potwarzy) — zatem wszyscy pozostali więźniowie to już na pewno szubrawcy! A ci, co wrócili — zachowywali milczenie. Podpisali przecież zobowiązanie. Oniemieli ze strachu. I jakaś tylko ich część zdążyła poznać jakąś cząstkę tajemnic Archipelagu. Podział zajęć był wciąż ten sam: suki — nocą, pochody — w dzień.

Zresztą stratę tej kopiejki szybko sobie odbito — w tych samych latach, dzięki tym samym paragrafom nieogarnionego artykułu. No, kto w ogóle zauważył w 40-tym roku falę żon, wywiezionych za niewyrzeczenie się aresztowanych już mężów? No, kto pamięta w Tambowie, że w tym spokojnym

46. Almanach *Od więzień...*, str. 63.

roku aresztowano cały jazzband, grający w kinie „Moderne", bo okazało się, że to sami wrogowie ludu? A kto zauważył 30.000 Czechów, którzy w 1939 roku uciekli z okupowanej Czechosłowacji, by szukać przystani w pobratymczym kraju słowiańskim, w ZSSR? Nie można było zaręczyć, że ktoś z nich nie jest szpiegiem. Wszystkich ich zesłano do obozów Północy (oto skąd wypłynął nagle w czasie wojny „czechosłowacki korpus"). Ale zaraz, czy to nie w 39-tym roku podaliśmy pomocną dłoń zachodnim Ukraińcom, zachodnim Białorusinom, a później, w 40-tym — mieszkańcom krajów nadbałtyckich i Mołdawianom? Okazało się wszakże, że nasi bracia są zupełnie nieprzeczyszczeni — i popłynęły stamtąd całe ludzkie potoki w trybie społecznej profilaktyki. Wzięto wszystkich zbyt zamożnych, wpływowych, przy okazji — wszystkich zbyt samodzielnych, zbyt łebskich, zbyt rzucających się w oczy. W dawnych polskich okręgach — szczególnie wielu Polaków (wtedy właśnie zapełnił się nieszczęsny Katyń, wtedy to w obozach Dalekiej Północy zmagazynowano przyszłą armię Andersa). Wszędzie chwytano — oficerów. Tak oto ludność zgrzeblono — aby siedziała cicho, pozbawiona wszelkich możliwych przywódców ruchu oporu. Tak oto uczono ludzi rozumu, tak obumierały dawne kontakty i znajomości.

Finlandia oddała nam przesmyk bez mieszkańców, za to z Karelii i z Leningradu w 40-tym roku wygarnięto i przesiedlono obywateli fińskiej krwi. Myśmy tego strumyka nie zauważyli: w naszych żyłach nie płynie fińska krew.

W trakcie wojny fińskiej przeprowadzono też pierwszy eksperyment oddawania pod sąd naszych żołnierzy, którzy dostali się do niewoli — jako zdrajców Ojczyzny. Był to pierwszy taki eksperyment w historii ludzkości! — no i masz, wcaleśmy tego nie zauważyli!

Próba się udała — a właśnie wybuchła wielka wojna i zaczął się nasz gigantyczny odwrót. Z republik zachodnich, oddawanych wrogowi na pożarcie, trzeba było duchem, w ciągu liczonych dni wygarnąć jeszcze kogo się da. Na Litwie zostawiono w pośpiechu, na łasce losu całe jednostki wojskowe, pułki, dywizjony przeciwlotnicze i artyleryjskie — ale poradzono sobie z deportacją kilku tysięcy rodzin nieprawomyślnych Litwinów (cztery tysiące oddano potem na rozgrabienie kryminalistom w obozie Krasnojarskim). 28 czerwca zaczęły się śpieszne aresztowania na Łotwie i w Estonii. Ale już ziemia paliła się pod nogami i trzeba było uciekać jeszcze śpieszniej. Zapomniano o ewakuacji całych twierdz, na przykład Brzeskiej, ale nie zapomniano o rozstrzelaniu więźniów politycznych w celach i na podworcach więzień we Lwowie,

w Równem, w Tallinie i w licznych innych miastach zachodnich okręgów. W dorpackim więzieniu wystrzelano 192 ludzi, zwłoki wrzucono do studni.

Czy można to sobie wyobrazić? — nie wiesz, człowieku, o niczym, a tu drzwi celi się otwierają i ktoś do ciebie strzela. Twojego krzyku przedśmiertnego nie usłyszy nikt i nie powtórzy nikt, prócz głazów więziennych. Powiadają zresztą, że kogoś tam nie zdążono dostrzelić. Może jeszcze trafi do naszych rąk jakaś książka o tej sprawie?

Na zapleczu pierwszy potok wojenny składał się z plotkarzy i siewców paniki, aresztowanych na podstawie specjalnej, niezależnej od kodeksu Ustawy, wydanej w pierwszych dniach wojny[47]. Był to próbny upust krwi, miał na celu wzmocnienie ogólnej dyscypliny. Dawano wszystkim po 10 lat, ale nie brano tu za podstawę 58-go artykułu (i ci nieliczni, którzy przetrzymali obozy lat wojny, doczekali się w 1945 amnestii).

Następnie szła fala tych, co nie oddali radioodbiorników, albo części radiowych. Za jedną wykrytą (na podstawie donosu) lampę radiową dawano 10 lat.

Następnie przyszedł potok Niemców — z republiki nadwołżańskiej, kolonistów z Ukrainy i z Kaukazu Północnego — i wszystkich w ogóle Niemców, mieszkających w różnych okolicach Związku. Kryterium była niemiecka krew — i nawet bohaterowie wojny domowej i starzy członkowie partii, jeśli byli niemieckiego pochodzenia — szli na zesłanie[48].

Deportacja Niemców była w swojej istocie tym samym, co akcja rozkułaczania, miała tylko charakter łagodniejszy, bo pozwalano zabierać ze sobą więcej rzeczy i nie posyłano ludzi do tak beznadziejnych, zatraconych okolic. Prawnej zaś podstawy ani jedna, ani druga z tych akcji żadnej nie miała. Kodeks Karny — swoją drogą, a deportacja setek tysięcy ludzi — swoją. Był to osobisty rozkaz monarchy. Prócz tego, był to

47. O mały włos nie odczułem tej ustawy na własnej skórze: stanąłem w kolejce do sklepu z pieczywem, milicjant wywołał mnie i już mnie prowadził dla zaokrąglenia rachunku. I wojna zaczęłaby się dla mnie od razu w GUŁagu, nie na froncie, gdyby szczęśliwie kto się za mną nie ujął.

48. Pochodzenie określano na podstawie nazwiska, a inżynier-konstruktor Wasyli Okorokow (okorok = szynka), uważając, że nie wypada podpisywać się tak na projektach, jeszcze w latach trzydziestych, kiedy to nie było zabronione, zmienił nazwisko na Robert Sztekker — ładne, prawda? Nawet sobie podpis odpowiednio wyrobił — a teraz niczego nie potrafił wykazać i był aresztowany, jako Niemiec. „To wasze nazwisko rodowe? Jakie zlecenia dostaliście od faszystowskiego wywiadu?...". Albo ten Kawierzniew z Tambowa, który jeszcze w 1918 roku zmienił swoje niesympatyczne nazwisko (kawierznyj = zdradliwy) na Kolbe — kiedyż on z kolei podzielił los Okorokowa?...

pierwszy jego eksperyment narodowościowy na taką skalę, sprawa interesowała go w teoretycznym aspekcie.

Pod koniec lata 1941 — a jeszcze żwawiej jesienią, ruszyła rzeka k o t l a r z y. Byli to obrońcy kraju, żołnierze, ci sami, których parę miesięcy wcześniej żegnały nasze miasta kwiatami i muzyką, którzy zaraz potem znosić musieli najcięższe ciosy niemieckich wojsk pancernych, aby w ogólnym chaosie i całkiem nie z własnej winy znaleźć się — nie w niewoli, bynajmniej! — ale w izolowanych grupach bojowych, w k o t ł a c h — otoczonych przez Niemców, skąd potrafili przebić się do swoich. I zamiast obdarzyć ich po powrocie braterskim uściskiem (jakby to zrobiła każda inna armia w świecie), pozwolić wypocząć, odwiedzić bliskich, a potem dopiero wrócić do szeregów — wieziono ich w klimacie podejrzeń, rozbrojoną, bezprawną gromadą — na punkty kontroli i segregacji, gdzie oficerowie Wydziałów Specjalnych zaczynali od podawania w wątpliwość każdego ich słowa, a nawet ich tożsamości. Metodą kontroli były badania krzyżowe, konfrontacje, skłanianie do wzajemnych oskarżeń. Po kontroli, części k o t l a r z y przywracano ich dawne imiona, rangę, zaufanie. Ci szli z powrotem do wojska. Druga część, chwilowo — mniejsza, złożyła się na pierwszy potok z d r a j c ó w O j c z y z n y. Dostawali 58-1-b, ale z początku, gdy jeszcze brak było standartowych ustaleń, wlepiano im poniżej 10-ciu lat.

W ten sposób oczyszczano armię czynną. Ale istniała jeszcze ogromna armia bezczynna — na Dalekim Wschodzie i w Mongolii. Nie pozwolić, aby ta armia zardzewiała — oto było szczytne zadanie Wydziałów Specjalnych. Bohaterów Chałchyn-Gołu i bitwy nad jeziorem Chasan zaczynały z bezczynności świerzbić języki, tym bardziej, że dano im teraz do ćwiczeń automaty Diegtiariewa i pułkowe miotacze min, dotąd trzymane w tajemnicy przed własnym wojskiem. Mając w ręku taką broń, nie potrafili zrozumieć przyczyn naszego odwrotu na Zachodzie. Przestrzenie Syberii i Uralu nie pozwalały im dostrzec, że — cofając się po sto dwadzieścia kilometrów dziennie — powtarzamy po prostu manewr Kutuzowa, co to zwabił przeciwnika w głąb kraju. Ułatwić zrozumienie mógł tylko p o t o k z Armii Wschodniej. I usta się zamknęły, a wiara stała się niezłomną.

Rozumie się, że z wysokich sfer też się polał potok winowajców odwrotu (toć nie nasz Wielki Strateg tu zawinił!). Był to niewielki, liczący jakieś pół setki osób, potok g e n e r a l s k i, wchłonięty przez moskiewskie więzienia latem 1941 roku. W październiku tegoż roku wysłano ich etapem dalej. Wśród tych generałów większość stanowili lotnicy — dowódca sił lotniczych

Smuszkiewicz, generał. J. S. Ptuchin (powiadał: „gdybym z góry wiedział — to naprzód bym pozbył się bomb nad głową Ojca Rodzonego, a już potem mógłbym tu sobie wylądować!") i inni.

Zwycięstwo pod Moskwą spowodowało nowy przypływ: byli to mieszkańcy Moskwy, na których ciążyła pewna wina. Po bliższym rozpatrzeniu okazało się, że to ci którzy nie uciekli i nie ewakuowali się, tylko odważnie zostali w zagrożonej przez wroga i opuszczonej przez władze stolicy. Tym samym byli podejrzani — albo o podrywanie autorytetu władzy (58-10), bądź to, że czekali na Niemców (58-1-a, w sensie artykułu 19-go. Potok ten aż do samego roku 1945 dostarczał żeru śledczym Moskwy i Leningradu).

Rozumie się też, że artykuł 58-10, ASA, ani na chwilę nie wychodził z użycia i przez całą wojnę dawał się we znaki frontowi i zapleczu. Wlepiano go ewakuowanym, jeśli paplali o okropnościach odwrotu (z gazet zaś jasno wynikało że odwrót odbywa się zgodnie z planem), wlepiano tyłowym oszczercom, twierdzącym, że przydziały są za małe. Na froncie wlepiano go potwarcom, utrzymującym, że Niemcy są technicznie mocni. W 1942 roku wlepiano go wszędzie tym, którzy kłamliwie głosili, że w oblężonym Leningradzie ludzie marli z głodu.

W tym samym roku, po niefortunnych operacjach na Krymie (desant pod Kierczem, 120 tysięcy jeńców), pod Charkowem (jeszcze więcej), w trakcie wielkiego odwrotu naszego południowego zgrupowania na Kaukaz i w stronę Wołgi — spłynął jeszcze bardzo ważny potok oficerów i żołnierzy, którzy nie chcieli na straconych pozycjach stać na przekór śmierci i cofali się bez zezwolenia: byli to ci sami, którym wedle słów nieśmiertelnego stalinowskiego rozkazu nr 227, ojczyzna nie może wybaczyć swojej hańby. Ten potok nie dotarł jednak do GUŁagu: w przyspieszonym tempie przepuszczony przez tryby dywizyjnych trybunałów, zapędzony był w całości do kompanii karnych i bez śladu wsiąkł w czerwony piach pierwszej linii frontu. Był to cement podwalin stalingradzkiego zwycięstwa, ale nie znalazł miejsca w ogólnej historii Rosji, trafił tylko do części szczegółowej dziejów kanalizacji.

(Nawiasem, my także próbujemy opisać tu jedynie te potoki, które spływały do GUŁagu z zewnątrz. Nieustanne zaś przetaczanie wewnętrzne zawartości z jednego pojemnika GUŁagu do drugiego, tak zwane obozowe wyroki, rozdawane na prawo i lewo, zwłaszcza podczas wojny, nie są brane pod uwagę w tym rozdziale).

Uczciwość każe wymienić tu także kontr-potoki okresu woj-

ny: już wspomniani Czesi, Polacy, zwalniani z obozów na front kryminaliści.

Od 1943 roku, od kiedy los wojny odwrócił się i nasi zaczęli brać górę, zaczął się, trwający aż do roku 1946, coraz obfitszy, wielomilionowy spływ ludzi, pojmanych na terenach zachodnich i na terytorium Europy. Składał się on z dwóch podstawowych kategorii:

— z obywateli sowieckich, którzy spędzili jakiś czas z Niemcami, albo u Niemców (wlepiano im d y c h ę z literką „a": 58-1-a);

— z wojskowych, którzy byli jakiś czas w niewoli (wlepiano im d y c h ę z literką „b": 58-1-b).

Każdy, kto znalazł się pod okupacją, chciał jakoś żyć i dlatego musiał coś robić, stąd też mógł teoretycznie zarobić nie tylko na chleb, lecz także na przyszły wyrok — jeśli nie wprost za zdradę kraju, to przynajmniej za pomaganie okupantowi. W praktyce wystarczyło jednak zaznaczyć — przez odpowiednią numerację paszportów — że ktoś mieszkał na terenach okupowanych. Aresztowanie wszystkich takich osób nie było racjonalne z punktu widzenia gospodarczego — bo groziło wyludnieniem zbyt dużych obszarów. Dla podciągnięcia wzwyż społecznej świadomości wystarczyło wsadzić tylko pewien procent — winnych, półwinnych, ćwierćwinnych, oraz tych, co suszyli z nimi onuce na tym samym płocie.

A przecież jeden tylko procent jednego tylko miliona daje w rezultacie tuzin pełnokrwistych punktów obozowych.

Nie należy sądzić, że rzetelny udział w podziemnej antyniemieckiej organizacji istotnie chronił człowieka przed porwaniem przez ten potok. Wypadek tego kijowskiego komsomolca, którego podziemna organizacja w celach wywiadowczych skierowała do służby w policji miejskiej — nie był czymś wyjątkowym. Chłopak uczciwie informował o wszystkim komsomolców, ale po przyjściu naszych dostał swoją d y c h ę, bo nie mógł przecież w trakcie służby policyjnej nie przesiąknąć wrażym duchem i wcale nie wykonywać wrażych poruczeń.

Jeszcze ostrzej i surowiej wyrokowano o tych, którzy mieli za sobą pobyt w Europie, choćby w charakterze raba z naszywką OST, bo przecież poznali jakiś strzęp tamecznego życia i mogli o nim snuć opowieści. Opowieści zaś takie, już od dawna nam niemiłe (wyjąwszy relacje podróżnicze prawomyślnych literatów), były całkiem już nie na miejscu w latach powojennych, pełnych ruin i niedostatku. Opowiadać natomiast, że w Europie wszystko jest do niczego i że w ogóle żyć tam nie sposób — do tego nie każdy był zdolny.

Z tej właśnie przyczyny, a wcale nie za zwykłe pójście do niewoli, szła pod sąd większość jeńców — zwłaszcza ci, którzy zobaczyli na Zachodzie coś jeszcze poza niemieckim obozem śmierci[49]. Wynika to w sposób oczywisty z faktu, że tak samo bezwzględnie, jak jeńców, sądzono także i n t e r n o w a n y c h. Oto przykład: w pierwszych dniach wojny, morze wyrzuciło na szwedzki brzeg grupę naszych marynarzy-rozbitków. Później, przez całą wojnę żyli oni sobie na swobodzie w Szwecji — w takim dostatku i komforcie, jak nigdy przedtem, ani potem. Związek Sowiecki cofał się, przechodził do natarcia, atakował, zdychał i głodował, a ci szubrawcy napaśli sobie przez ten czas neutralne, grube pyski. Po wojnie Szwecja nam ich zwróciła. Zdrada kraju nie ulegała w tym wypadku wątpliwości — ale jednak coś tu nie grało. Pozwolono zatem tym wszystkim facetom pojechać sobie w różne strony — i dopiero wtedy wrzepiono im co należy z artykułu o antysowieckiej agitacji — za nęcące opowiastki o wolności i sytości, panującej w kapitalistycznej Szwecji (grupa Kadenki)[50].

---

49. Nie od razu się to wyklarowało tak wyraźnie i jeszcze w 1943 roku zdarzały się jakieś marginesowe i całkiem zbakierowane potoki, jak na przykład „afrykański" — długo jeszcze nazywano go tak w workuckich brygadach budowlanych. Byli to jeńcy rosyjscy, których Amerykanie odbili armii Rommla w Afryce („hiwi"), a później, w 1948 roku odesłali ciężarowymi Studebackerami przez Egipt, Irak i Iran do ZSSR. Nad pustynną zatoką morza Kaspijskiego od razu wtrącono ich za druty kolczaste, zerwano im dystynkcje wojskowe, zabrano im darowane amerykańskie ciuchy (oczywiście — na rzecz agentów, a nie skarbu) i wysłano na Workutę, do dyspozycji, nie wlepiając z nieprzyzwyczajenia żadnego artykułu ani wyroku. Ci „afrykanie" traktowani byli na Workucie w zupełnie niesamowity sposób: nie byli pod dozorem, ale nie wolno im było kroku zrobić bez przepustki, tej zaś im nie dawano. Płacono im, jak wolniakom, ale odnoszono się do nich, jak do więźniów. A dyspozycje jakoś nie nadchodziły, Zapomniano o nich...

50. Z tą grupą zdarzył się później anegdotyczny wypadek. W obozie już o Szwecji nie paplali, bojąc się dostać za to drugi wyrok. Ale w Szwecji dowiedziano się jakoś o ich losie i w prasie pojawiły się oszczercze artykuły. Marynarze byli już w tym okresie w rozmaitych obozach, w rozsypce. Raptem ściągnięto ich wszystkich na mocy specrozkazu do leningradzkich Krestów, dwa miesiące karmiono, jak na ubój, pozwolono zapuścić fryzury. Następnie przyodziano ich z dyskretną elegancją, wyjaśniono co każdy ma mówić, uprzedzono, że każdy drań, który piknie coś innego, dostanie 9 gramów w potylicę — i wprowadzono na konferencję prasową z zagranicznymi korespondentami, także tymi, którzy dobrze znali ich jeszcze w Szwecji. Eks-internowani wyglądali rześko, służyli wiadomościami gdzie mieszkają, pracują, studiują, oburzali się na burżuazyjne oszczerstwa, o których niedawno p r z e c z y t a l i w zachodnich gazetach (wszak sprzedają je u nas w każdym kiosku) — i wyjaśnili, że właśnie zmówili się na wspólne spotkanie w Leningradzie (nikt nie zapytał o kwestię kosztów podróży). Ich świeży, kwitnący wygląd był najlepszą odpowiedzią na gazetowe ploty. Zawstydzeni żurnaliści odjechali pisząc po drodze *dementi*. Zachodnia wyobraźnia nie

Ten ogólny nurt wyzwolonych spod okupacji zasiliły jeden za drugim wartkie i zborne potoki występnych narodów:

w 1943 — Kałmucy, Czeczeńcy, Inguszowie, Kabardyńcy;

w 1944 — krymscy Tatarzy.

Nie ruszyliby tak energicznie i żwawo na swoje wieczne zesłanie, gdyby Organy nie otrzymały pomocy oddziałów regularnej armii i znacznej ilości wojskowych ciężarówek. Jednostki wojskowe dziarsko otaczały auły i ci, którzy tu zagnieździli się niegdyś na stulecia — w ciągu 24 godzin, z szybkością desantu przerzucani byli na stacje kolejowe, pakowani do wagonów i z punktu ruszali na Syberię, do Kazachstanu, do Azji Środkowej, na rosyjską Północ. Już następnego dnia ziemia i nieruchomości przechodziły w ręce sukcesorów.

Jak Niemców na początku wojny, tak teraz wszystkich tych ludzi zsyłano wyłącznie z uwagi na ich krew, bez żadnych indagacji; członkowie partii, bohaterowie pracy, bohaterowie jeszcze toczącej się wojny — wszyscy do jednego worka.

Rozumie się, że w ostatnich latach wojny płynął strumień niemieckich przestępców wojennych, branych z ogólnej sieci obozów i za pośrednictwem sądu przenoszonych do systemu GUŁagu.

W 1945 roku, choć wojna z Japonią trwała krócej niż trzy tygodnie — wielką ilość japońskich jeńców wojennych przysłano dla wykonania niecierpiących zwłoki robót budowlanych na Syberii i w Azji Środkowej. Przeprowadzono też tę samą operację: wzięto spośród nich do GUŁagu wojennych przestępców[51].

Poczynając od ostatnich miesięcy 1944 roku, kiedy to nasza armia wkroczyła na Bałkany, a już zwłaszcza w 1945, gdy dotarła do Europy Centralnej — kanałami GUŁagu popłynął jeszcze potok emigrantów-starców, którzy wyjechali podczas rewolucji, i młodzieży, wychowanej już za granicą. Wyłuskiwano przeważnie mężczyzn, kobiety i dzieci zostawiano na emigracji. (Zabierano, co prawda, nie wszystkich, lecz tych, którzy dali choćby słaby wyraz swoim poglądom politycznym w ciągu tych 25-ciu lat, albo wcześniej, w trakcie rewolucji. Tym, którzy prowadzili zupełnie bierną wegetację — dano spokój). Główne

---

mogła inaczej interpretować sprawy. Sprawców zaś uroczystości natychmiast zaprowadzono do łaźni, ostrzyżono, ubrano w stare łachy i odesłano do tych samych obozów. Ponieważ zachowali się, jak należy — nikt z nich nie dostał drugiego wyroku.

51. Nie znając szczegółów, jestem jednak przekonany, że większa część tych Japończyków sądzona była bez żadnych podstaw prawnych. Był to akt zemsty i sposób zatrzymania siły roboczej na dłuższy czas.

potoki płynęły z Jugosławii, Czechosłowacji, mniejsze — z Austrii, z Niemiec; w innych krajach Europy Wschodniej nie było Rosjan wcale.

Z Mandżurii w 1945 roku ruszył odpowiedni potok emigrantów. (Niektórych z nich nie od razu aresztowano: zapraszano ich całymi rodzinami, przyjeżdżali do kraju ojczystego jako wolni, a dopiero później ich rozdzielano, wywożono na zesłanie, albo wsadzano do więzienia).

Przez cały rok 1945 i 1946 sunął na Archipelag potok — tym razem autentycznych — wrogów władzy sowieckiej (własowców, Kozaków generała Krasnowa, mahometan z oddziałów narodowych, sformowanych po niemieckiej stronie) — czasem przekonanych, czasem zmuszonych do tego wbrew woli.

Razem z nimi zagarnięto nie mniej niż milion uchodźców z terenów podległych władzy sowieckiej — cywilów różnego wieku i obojga płci, którym udało się szczęśliwie ukryć na terytorium sojuszniczym po to, by w 1946-47 władze alianckie mogły zdradziecko wydać ich w sowieckie ręce[52].

Pewna ilość Polaków, żołnierzy Armii Krajowej i stronników Mikołajczyka przewinęła się przez nasze więzienia po drodze do GUŁagu.

Tylu a tylu było Rumunów i Węgrów.

W ostatnim okresie wojny i po jej zakończeniu, przez wiele lat bez przerwy płynął wezbrany potok ukraińskich nacjonalistów („banderowców").

---

52. Zdumiewająca to rzecz — iż na Zachodzie, gdzie niemożliwością jest długie zachowywanie tajemnicy politycznej, gdzie przedostają się one nieuchronnie do periodyków i są rozgłaszane — właśnie tajemnica tej zdrady doskonale i starannie była strzeżona przez rząd brytyjski i amerykański — zaiste, ostatnia to już tajemnica drugiej wojny światowej, albo jedna z ostatnich. Spotykając się często z tymi ludźmi w więzieniach i obozach, nie mogłem przez ćwierć wieku pojąć, że opinia publiczna Zachodu *nic* nie wie o tej, gigantycznej co do rozmiarów, operacji, polegającej na wydaniu przez zachodnie rządy masy prostych Rosjan pod miecz, na zgubę. Dopiero w 1973 roku *(Sunday Oklahoma* z 21 stycznia) przebiła się na światło dzienne publikacja Juliusza Epsteina, któremu tutaj ośmielam się wyrazić wdzięczność w imieniu tłumu tych, co zginęli i nielicznych, pozostałych przy życiu. To, co pojawiło się w druku, jest skromnym dokumentem, wyrwanym z kontekstu wielotomowego dzieła, dotyczącego przymusowej repatriacji do ZSSR, ukrywanego dotychczas przed opinią publiczną. „Po dwóch latach spędzonych w brytyjskiej strefie, w zwodniczym klimacie bezpieczeństwa. Rosjanie zostali zaskoczeni znienacka, nie zdawali sobie nawet sprawy, że to repatriacja... Byli to w większości prości chłopi żywiący gorzkie uczucie żalu do bolszewików", Angielskie władze postąpiły natomiast z nimi „jak z przestępcami wojennymi: wbrew ich woli oddali ich w ręce tych, od których nie można oczekiwać sprawiedliwego sądu". Wszystkich ich też posłano na Archipelag, na zagładę.

Na tle tej ogromnej, powojennej wędrówki milionów mało kto zauważył takie drobne ruczajki, jak:

— Dziewczyn od cudzoziemców (1946-47) — to znaczy tych dziewcząt, które pozwalały obcokrajowcom szukać swego towarzystwa. Dziewczęta piętnowano za to jako element społecznie niebezpieczny (art. 7, § 35);

— Hiszpańskich dzieci, tych samych, których przywieziono do ZSSR podczas wojny domowej w Hiszpanii. Podrastały już po drugiej wojnie światowej. Choć wychowane w naszych internatach, bardzo źle jednak aklimatyzowały się w naszym życiu. Wiele z nich chciało wracać „do domu". Dawano im także 7-35, jako społecznie niebezpiecznym, szczególnie zaś upartym 58-6, szpiegostwo na rzecz... Ameryki.

(Aby być sprawiedliwym nie wolno zapomnieć krótkiego, przypadającego na 1947 rok kontr-potoku... duchownych. Owszem, cud prawdziwy! — pierwszy raz w ciągu 30 lat zwalniano popów. Właściwie nie szukano ich po obozach, ale jeśli ktoś z wolnych pamiętał i potrafił wymienić nazwiska i dokładne adresy — to wymienionych odsyłano etapem na wolność, dla umocnienia przywracanej do życia cerkwi prawosławnej.

◆

Należy przypomnieć, że rozdział ten wcale nie jest próbą wymienienia WSZYSTKICH potoków, które użyźniły GUŁag, a tylko takich, które miały odcień polityczny. Podobnie, jak w kursie anatomii po szczegółowym opisie układu krwionośnego można zacząć od początku i opisać szczegółowo układ limfatyczny, tak samo można zrobić przegląd — od początku, od 1918 do 1953 roku potoków pospolitaków i właściwych kryminalistów. Także ten opis zająłby nie mało miejsca. Zostałyby w nim naświetlone liczne i słynne ustawy, teraz już częścią nawet zapomniane (chociaż nigdy nie anulowane oficjalnie), zapewniające nienasyconemu Archipelagowi obfity dopływ materiału ludzkiego. Taka ustawa o bumelanctwie. Albo ustawa o karach za produkowanie braku. Albo ustawa o pędzeniu alkoholu (jej rozkwit przypada na rok 1922 — ale przez całe lata 20-te też zgarniali gęsto). Albo ustawa o karaniu kołchoźników za niewykonanie minimum roboczodniówek. Albo ustawa o stanie wojennym na kolejach (kwiecień 1943, wcale nie początek wojny, tylko chwila zwrotu ku lepszemu).

Ustawy te, zgodnie z prastarą tradycją piotrową, pojawiały się zawsze jako ostatnie i najważniejsze słowo prawodawstwa i bez żadnego względu na poprzednio wydane prawa, a nawet

bez wspominania o nich. Uzgodnić te drobnostki mieli potem uczeni prawnicy, ale zajmowali się tym niezbyt pilnie i niezbyt owocnie.

To pulsowanie ustaw doprowadziło do dziwnego widowiska w dziedzinie przestępczości pospolitej i kryminalnej. Rzucało się w oczy, że ani kradzieże, ani morderstwa, ani pędzenie bimbru, ani gwałty nie występowały na terenie kraju raz tu, raz tam, gdzie popadło, jako skutki ludzkiej słabości i rozpasanych namiętności — o, nie! Na całym obszarze państwa poszczególne rodzaje przestępstw pojawiały się ze zdumiewającą jednomyślnością i jednostajnością. To cały kraj roił się od samych gwałcicieli, to znów — od morderców, to znowu — od tajnych gorzelni, czujnie reagując na ostatnią ustawę rządową. Każdy rodzaj przestępstwa jakby sam podstawiał połeć Ustawie — żeby tylko czym prędzej zginąć! I właśnie ten gatunek przestępstwa (zaraz i wszędzie) wytryskał spod ziemi, który dopiero co został przez mądrego prawodawcę wzięty pod uwagę i napiętnowany ku przestrodze.

Ustawa o militaryzacji kolei pchnęła przed trybunały tłumy bab i wyrostków, bo właśnie oni najczęściej pracowali podczas wojny przy torach, a nie mając za sobą koszarowej szkoły częściej, niż inni spóźniali się i łamali regulamin. Ustawa o niewykonaniu minimum roboczodniówek bardzo uprościła procedurę zsyłania opieszałych kołchoźników, których nie zadawalały stawiane im k r e s k i. Jeśli dawniej potrzebny był do tego sąd i stosowanie paragrafu o „kontrrewolucji gospodarczej", to teraz dość było decyzji kierownictwa kołchozu, zatwierdzonej przez powiatowy komitet wykonawczy; samym zresztą kołchoźnikom powinno było być lżej na myśl, że chociaż idą na zesłanie, to nie jako wrogowie ludu. (Obowiązkowa norma zmieniała się zależnie od regionu, najmniejsza była na Kaukazie — 75 roboczodniówek — ale i tak niemało kaukaskich górali popłynęło na 8 lat do kraju Krasnojarskiego).

Ale w tym rozdziale nie zajmujemy się wszechstronnym i zapewne owocnym sondowaniem potoków pospolitych i kryminalnych. Nie możemy tylko, skorośmy już doszli do roku 1947, przemilczeć jednej z najbardziej monumentalnych ustaw stalinowskich. Już zdarzyło się nam wspomnieć, omawiając zdarzenia roku 1932, słynne prawo „z siódmego ósmego", albo „siedem ósmych", na podstawie którego wsadzano ludzi hojną ręką — za źdźbło zboża, za ogórek — za dwa kartofle, za szczapkę, za szpulkę nici[53] — zawsze na dziesięć lat.

53. W protokole pisano: „dwieście metrów surowców krawieckich". Jednak wstyd było napisać — „szpulka nici"

Ale wymogi chwili — tak, jak je rozumiał Stalin — wciąż się zmieniały a ta d y c h a — która dotąd wydawała się wystarczającą karą w obliczu surowej wojny, teraz, po zwycięstwie na miarę wszechświatową i historyczną — wyglądała mizernie. I znowu — gardząc kodeksem, albo zapominając, że istnieją już liczne artykuły i ustawy o przywłaszczeniach i kradzieżach — 4 czerwca 1947 roku wydano Dekret zostawiający je daleko w tyle. Beztroscy więźniowie natychmiast zaczęli go nazywać „cztery szóste".

Wyższość nowego dekretu polegała po pierwsze na jego świeżości: już od pierwszego dnia po nabraniu przezeń mocy, miały wszędzie rozszaleć się te przestępstwa, zapewniając obfity napływ skazanych. Ale jeszcze ważniejszą zaletą były proponowane wyroki: jeżeli po kłoski szła — dla kurażu — nie jedna dziewczyna, tylko trzy („zorganizowana szajka"), po ogórki albo po jabłka — kilku dwunastoletnich chłopaków — to dawano im do d w u d z i e s t u l a t obozu włącznie; za przywłaszczenie mienia w fabrykach górny pułap kary został podniesiony do d w u d z i e s t u p i ę c i u l a t (ten termin kary, ć w i a r t k a, wprowadzony został kilka dni wcześniej, zamiast kary śmierci, skasowanej ze w zględów humanitarnych[54]). I wreszcie — naprawiona została stara niesprawiedliwość — że tylko niezłożenie donosu w politycznej sprawie jest przestępstwem antypaństwowym; od tej chwili także za pospolite niezameldowanie o przywłaszczeniu państwowego albo kołchozowego mienia wlepiano trzy lata obozu albo siedem lat zesłania.

W ciągu kolejnych paru lat całe dywizje mieszkańców miast i wsi posłane zostały celem zagospodarowania wysp GUŁagu na miejsce wymarłych tymczasem tubylców. Co prawda, potoki te żłobiły sobie koryta poprzez milicję i zwykłe sądy, nie zamulając kanałów bezpieczeństwa państwowego, i tak już przeciążonych w powojennym okresie.

Ta nowa linia Stalina — właśnie teraz, po zwycięstwie nad faszyzmem, PAKOWAĆ jak najenergiczniej, jak najwięcej i dawać jak najwyższe wyroki — natychmiast odbiła się także na politycznych.

Lata 1948-49, cechujące się wzmożeniem prześladowań i szpiclowania, były widownią — niebywałej nawet na miarę stalinowskiej sprawiedliwości — tragikomedii r e p e t e n t ó w.

Tak nazywano w GUŁagu tych nieszczęsnych niedobitków 1937 roku, którym udało się przetrzymać całe nieznośne, nie-

54. Kara śmierci tylko tymczasowo skryła się za woalem, aby zrzucić go i wyszczerzyć zęby po upływie dwóch i pół lat (w styczniu 1950 roku).

ludzkie dziesięć lat i którzy teraz, w 1947 czy 1948 roku, zadręczeni i złamani, nieśmiało stawiali stopę na ziemi w o l n o ś c i — mając nadzieję, że dane im będzie w spokoju doczekać się bliskiego końca. Ale jakaś dzika fantazja (albo złowroga zawziętość, albo nienasycona mściwość) kazała Generalissimussowi-Zwycięzcy wydać rozkaz: wszystkie te kaleki powsadzać jeszcze raz, mniejsza o nowe winy! Politycznie czy gospodarczo nie opłacało mu się nawet zapychanie gardzieli maszyny jej własnymi odpadkami. Ale Stalin właśnie taki rozkaz wydał. Był to rzadki wypadek: postać historyczna igra z historyczną koniecznością.

I oto — ledwie ci ludzie przylgnęli do nowych okolic albo do nowych rodzin — już przychodzą po nich. Zabierano ich z tym samym leniwym znużeniem, z którym oni sami szli tym razem. Już wszystko wiedzieli z góry, znali całą drogę krzyżową. Nie pytali „za co?" i nie obiecywali bliskim, że wrócą, wdziewali co brudniejsze łachy, sypali machorki do łagrowego kapciucha i szli podpisywać protokół. (A kwestia była tylko jedna: „To wyście siedzieli?" — „Ja". — „Macie tu jeszcze d y c h ę").

I tu wpadło jedynowładcy na myśl, że to za mało — zamykać tylko ocalałych, weteranów 37-ego roku! Przecież d z i e c i tych zaprzysięgłych wrogów też warto powsadzać! Przecież dorastają — jeszcze mogą pomyśleć o zemście. (A może powieczerzał sobie godnie i miał ciężki jakiś sen o tych dzieciach). Sprawdzili więc, porachowali: owszem, zamykano te dzieci, ale za mało! Dzieci dowódców — wszystkie poszły za kratę, dzieci trockistów — nie wszystkie! I popłynął potok d z i e c i - m ś c i c i e l i. (Trafiła do tego potoku także 17-letnia Lena Kosariewa i 35-letnia Helena Rakowska).

Po wielkim, europejskim trzęsieniu ziemi Stalinowi udało się koło 1948 roku znów otoczyć się mocnym murem, ściągnąć powałę jak najniżej i w tej zamkniętej przestrzeni zagęścić duszne powietrze 1937 roku.

Przeciągnęli więc w 1948, 1949 i 1950:

— rzekomi szpiedzy (przed 10-ciu laty — niemiecko-japońscy, teraz anglo-amerykańscy);

— wierzący (tym razem większość stanowili członkowie sekt);

— niedorżnięci genetycy i selekcjonerzy — wawiłowcy i mendeliści;

— po prostu — inteligenci, myślący ludzie (szczególnie — studenci) niewystarczająco odstraszeni od Zachodu.

Można im było wlepiać:

— WAT = wychwalanie amerykańskiej techniki;

— WAD = wychwalanie amerykańskiej demokracji;

— KZ* = korzenie się przed Zachodem.

Potoki były podobne, jak w 1937 tylko wyroki były inne: teraz standartem stał się już nie patriarchalny czerwoniec, lecz nowa, stalinowska ćwiartka. Teraz dycha to był dziecinny wyrok.

Wcale nie mały potok aresztowanych spowodował nowy Dekret o Zdradzie tajemnicy państwowej (a za tajemnicę uchodziły: zbiory w powiecie; każda statystyka epidemiologiczna; co produkuje dany dział czy fabryczka; koordynaty lotniska cywilnego; marszruty komunikacji miejskiej; nazwisko więźnia, siedzącego w obozie). Na mocy tego dekretu dostawało się 15 lat.

Nie zapomniano też o potokach narodowych. Cały czas płynął potok banderowców, branych wprost z lasów i pól bitewnych. Jednocześnie dostawali dychy i piątki obozu albo zesłania wszyscy zachodnio-ukraińscy chłopi, mający jakąkolwiek styczność z partyzantami: jeden, że wpuścił na nocleg, drugi, że dał jeść, trzeci — że nie doniósł. Mniej więcej w 50-tym roku zaczął płynąć potok banderowskich ŻON — wlepiano im po dziesiątce za niezłożenie donosu, żeby prędzej wykończyć mężów.

Gasł już w tym okresie opór na Litwie i w Estonii. Ale w 1949 roku ruszyły stamtąd wezbrane potoki — celem lepszej profilaktyki społecznej i zapewnienia kolektywizacji sukcesu. Całymi pociągami wieziono na syberyjskie zesłanie ludność wsi i miast — z trzech nadbałtyckich republik. (Rytm historyczny uległ w tych republikach skażeniu. W skróconym, kusym terminie musiały one teraz przejść cały szlak, przebyty już przez resztę kraju).

W 48-ym roku przetoczył się jeszcze jeden potok narodowy — byli to Grecy znad morza Azowskiego, z Kubania, i okolic Suchumu. Niczym się nie splamili w obliczu Ojca podczas wojny, ale teraz mścił się on na nich za porażkę w Grecji, bo cóż by innego? Zdaje się, że ten potok także był wynikiem jego własnego obłędu. Większość Greków znalazła się na zesłaniu w Azji Środkowej, niezadowoleni — poszli do politizolatorów.

Koło 1950 roku, w trybie tejże zemsty za przegraną wojnę — albo dla zrównania ich z tamtymi, już zesłanymi — spłynęli na Archipelag również sami powstańcy z armii Markosa, przekazani nam przez Bułgarię.

W ostatnich latach życia Stalina zdecydowanie zaczął wzbierać także potok Żydów (już od 1950 roku płynęli ciurkiem jako kosmopolici). Po to właśnie zainscenizowana została

---

* W oryginale — PZ — *„priekłonienije piered Zapadom"*.

sprawa l e k a r z y. Zdaje się, że Stalin przygotowywał wielką masakrę Żydów[55].

To był jednak pierwszy w jego życiu plan, który spalił na panewce. Kazał mu Bóg, zdaje się, że nie bez udziału ludzkiej ręki, wydać ostatnie tchnienie i przenieść się na łono Abrahama.

To, co wyżej zostało powiedziane, powinno było, jak sądzę, dostarczyć dowodów — że proces rugowania milionów i zasiedlania krainy GUŁag prowadzony był z zimną krwią, konsekwentną przemyślnością i niesłabnącą wytrzymałością.

Że PUSTYCH więzień nigdy u nas nie było, były one natomiast albo pełne, albo przepełnione ponad miarę.

Że — podczas gdyście wy z całą satysfakcją pasjonowali się nieszkodliwie tajemnicami jądra atomowego, badali wpływ Heideggera na Sartre'a, i kolekcjonowali reprodukcje Picassa, czy podróżowali wygodnymi wagonami do uzdrowisk albo kończyli budowę podmoskiewskich dacz — s u k i bez przerwy śmigały ulicami, agenci zaś pukali i dzwonili do czyichś drzwi.

Przypuszczam, że wyjaśnienia powyższe dowiodły, iż Or g a n y nigdy nie jadły darmo chleba.

55. Niczego u nas nie można dokładnie sprawdzić, tak jest nawet dzisiaj i tak będzie jeszcze długo. Ale według krążącej po Moskwie pogłoski, plan Stalina wyglądał jak następuje: w pierwszych dniach marca (1953) „lekarze-mordercy" mieli być powieszeni na Placu Czerwonym. Wzburzeni patrioci, rzecz prosta, mieli (pod kierunkiem instruktorów) z miejsca zacząć pogrom Żydów. I wtedy to rząd (widać stalinowski charakter pisma, prawda?), wielkodusznie ratując Żydów przed gniewem ludu, tej samej nocy miał wysiedlić ich z Moskwy na Daleki Wschód i na Syberię (gdzie baraki już były w budowie).

III

ŚLEDZTWO

Gdyby czechowowskim inteligentom, wciąż zastanawiającym się, co będzie za dwadzieścia-trzydzieści-czterdzieści lat, ktoś odpowiedział, że za lat czterdzieści będą w Rosji tortury przy śledztwie, że będą człowiekowi ściskać głowę żelazną obręczą[1], zanurzać go w wannie z kwasem[2], że będą go — nagiego i skutego — wystawiać na ukąszenia mrówek i pluskiew, że mu będą wpychać rozżarzony na prymusie wycior w odbytnicę („tajemne piętno"), powoli rozgniatać butem genitalia, a już co najmniej — męczyć całotygodniową bezsennością, pragnieniem i biciem na krwawy befsztyk — ani jedna sztuka Czechowa nie doszłaby do finału, wszyscy bohaterowie znaleźliby się wcześniej w domu wariatów.

Ale co tam bohaterowie Czechowa! Jak i w ogóle normalny Rosjanin, w tej liczbie również każdy członek RSDRP* mógłby w to uwierzyć, kto potrafiłby pogodzić się z takim oczernianiem świetlanej przyszłości? To, co jeszcze za Aleksego Michajłowicza wydawało się na miejscu, co za Piotra już uchodziło za barbarzyństwo, co za czasów Birona mogło być zastosowane do 10-ciu - 20-tu ludzi, co stało się już zupełnie niemożliwe od czasów Katarzyny — otóż to właśnie w zenicie wspaniałego dwudziestego wieku, w społeczeństwie opartym na socjalistycznych założeniach, w okresie, gdy latały już samoloty, pojawiło się radio i film dźwiękowy — popełnione zostało nie przez jednego niegodziwca, nie w jednym jakimś zakamarku, ale przez dziesiątki

1. Doktorowi S., jak świadczy A.P.K.-w.
2. Ch.S.T-e.

* *Rossijskaja Socjal-demokraticzeskaja Raboczaja Partia* (jej frakcjami byli zarówno bolszewicy, jak mieńszewicy).

tysięcy specjalnie wykształconych ludzkich bestii, pastwiących się nad milionami bezbronnych ofiar.

I czy straszny jest tylko ten wybuch atawizmu, nazywany dziś wykrętnie „kultem jednostki"? Czy może raczej to jest straszne, że w tym samym czasie obchodzono u nas uroczyście stulecie śmierci Puszkina? Ze bezwstydnie wystawiano właśnie sztuki Czechowa — chociaż odpowiedź na nie już była dana? A może jeszcze straszniejsze jest to, że nawet po trzydziestu latach powiada się nam: nie trzeba o tym mówić! Kto wspomina o cierpieniach milionów, ten wypacza perspektywę historyczną! Kto usiłuje wniknąć w istotę naszego porządku moralnego ten rzuca cień na postęp materialny! Przypomnijcie sobie lepiej puszczone w ruch wielkie piece i walcownie, przebite kanały... nie, kanały lepiej nie... no to kopalnie złota na Kołymie, nie, o tym też lepiej nie... Zresztą, można o wszystkim, byle umiejętnie, chwaląc, co należy...

Nie rozumiem, dlaczego właściwie wiesza się psy na inkwizycji? Czy — oprócz stosów — nie było też pięknych nabożeństw? Nie rozumiem, co nam się tak nie podoba w pańszczyźnie? Przecież chłopu nikt nie zabraniał pracować zbożnie co dnia. I mógł swobodnie kolędować sobie w noc wigilijną, a chłopianeczki miały prawo pleść wianki w Zielone Świątki...

◆

Pisana i ustna legenda głosząca teraz, że rok 1937 miał cechy wyjątkowości, widzi je w tym, że oskarżano wtedy ludzi o niepopełnione winy i stosowano tortury.

Ale to jest niesłuszne, nieścisłe. W trakcie wielu innych lat i dziesięcioleci śledztwo, prowadzone z artykułu 58-ego PRAWIE NIGDY nie dążyło do wykrycia prawdy, lecz sprowadzało się do fatalnej, brudnej procedury: wolny dopiero co, często pełen dumy, zawsze — nieprzygotowany człowiek, miał być zgięty w barani róg i przepchnięty przez wąską rurę, tak żeby mu boki rozorały sterczące haki armatury, żeby zabrakło mu tchu, żeby zaczął marzyć o jej wylocie — i w końcu wyrzucany był przez ten wylot wprost na ziemię obiecaną jako gotowy mieszkaniec Archipelagu. (Naiwni wciąż się opierają ruchowi, przekonani, że z rury można wydostać się rakiem).

Im więcej mija głuchych lat, tym trudniej dziś zebrać rozproszone wyznania ocalałych. A ci właśnie twierdzą, że fabrykowanie l i p n y c h s p r a w zaczęło się jeszcze we wczesnym okresie istnienia O r g a n ó w — po to, aby dać dowód, jak zbawienna jest ich niestrudzona, niezastąpiona, nieprzerwana aktywność —

żeby przypadkiem zmniejszenie się ilości wrogów nie spowodowało, broń Boże, zaniku Organów. Jak widać ze sprawy Kosyriewa[3], sytuacja Czeki była chwiejna już w początkach 1919 roku. Czytając gazety z 1918 roku natknąłem się na oficjalny komunikat o wykryciu strasznego spisku grupy, złożonej z dziesięciorga osób która zamierzała (dopiero ZAMIERZAŁA!) wciągnąć na dach Zakładu Wychowawczego (popatrzcie sami, czy ma wystarczającą wysokość) d z i a ł a, aby ostrzeliwać z nich Kreml. Było ich d z i e s i ę c i o r o (może z kobietami i wyrostkami włącznie?), nie wiadomo tylko, ile było tych dział — i skąd je wzięli? jakiego kalibru? jak zamierzali wciągnąć je po schodach na górę? I jak ustawić je mieli na spadzistym dachu? — jak miało być z odrzutem przy strzelaniu? Dlaczego petersburscy policjanci przy tłumieniu zajść rewolucyjnych nie brali ze sobą na dachy nic cięższego od karabinu maszynowego?... A jednak te fantazje, antycypujące pomysły z 1937 roku, były przecież czytane! i ludzie w to wierzyli!... Być może z czasem ktoś nam wykaże, że l i p n a była również sprawa, w wyniku której rozstrzelano poetę Mikołaja Gumilowa w 1921 roku[4].

W tym samym roku w rjazańskiej Czerezwyczajce zaczęto rozdmuchiwać fikcyjną sprawę „spisku" miejscowej inteligencji (ale protesty śmiałków docierały jeszcze wtedy do Moskwy i sprawie nie nadano biegu). W tym samym 1921 roku rozstrzelano w całości jeden z komitetów, wchodzących w skład Komisji Wykorzystania Rezerw Naturalnych. Wystarczająco dobrze znając nastroje rosyjskich kół naukowych w tym okresie i nie mając zasłony dymnej fanatyzmu przed oczyma, możemy chyba ocenić bez pomocy archeologów, co ta cała SPRAWA była warta.

O roku 1921 tak jeszcze wspomina Eugenia Dojarenko: łubiańska izba przyjęć dla aresztantów, 40-50 prycz, całą noc sprowadzają kobietę po kobiecie. Żadna nie wie, co jej się zarzuca, panuje przekonanie, że łapią nie wiadomo za co. W całej celi jedna tylko wie: to eserka. Pierwsze pytanie Jagody: — „A więc *za co* was aresztowano?" — tzn. sama podpowiedz, pomóż im jeszcze uwikłać cię! I ABSOLUTNIE TO SAMO się mówi o rjazańskim GPU w 1930 roku! I tu wszyscy są przekonani, że siedzą nie wiadomo za co. Brak konkretnych zarzutów do tego stopnia, iż I. D. T-wa oskarżają... o noszenie fałszywego nazwiska. (I chociaż nazwisko było zupełnie prawdziwe, to jednak trójka OSO wlepiła mu z artykułu 58-10 trzy lata). Nie

3. Patrz cz. 1, rozdział 8.

4. A. A. Achmatowa wyznała mi, że jest tego zupełnie pewna. Wymieniała mi nawet nazwisko czekisty, który tę s p r a w ę zmyślił (zdaje się — J. Agranow).

wiedząc do czego by tu się przyczepić, śledczy pytał: — „Zawód?" — „Planista" — „Proszę napisać wyjaśnienie na temat planowania w fabryce i jego metod. Potem dowiecie się, za co was aresztowano". (W tym wyjaśnieniu jakiś haczyk się już znajdzie).

Przypomina to sprawę kowieńskiej twierdzy z 1912 roku: zapadło postanowienie jej likwidacji, straciła bowiem znaczenie obronne. Naówczas zatrwożone dowództwo urządziło którejś nocy „ostrzelanie twierdzy", byle tylko dowieść, że jest potrzebna i zostać na stanowiskach!...

Także teoretyczny pogląd na WINĘ podejrzanego był od samego początku bardzo rozciągliwy. W instrukcji dotyczącej czerwonego terroru czekista M. J. Łacis pisał: „... nie szukajcie podczas śledztwa materiału i dowodów, wykazujących, że oskarżony występował słowem lub czynem przeciw władzy sowieckiej. Pierwszym pytaniem ma być: do jakiej klasy należy, jakiego jest pochodzenia, jakie ma wykształcenie (oto macie Komisję Rezerw Naturalnych! — A. S.), jakie wychowanie. Właśnie te pytania powinny decydować o losie oskarżonego". 13 listopada 1920 roku Dzierżyński w piśmie do WCZK ostrzega zaś, że Czeka „często nadaje bieg oszczerczym oskarżeniom".

A czy nie nauczono nas w ciągu tych dziesięcioleci, że STAMTĄD nikt nie wraca? Prócz krótkiego, planowego prądu wstecznego 1939 roku nadzwyczaj rzadko można usłyszeć o zwolnieniu kogoś w wyniku śledztwa. Przy tym tych nielicznych albo wkrótce znów zamykano, albo zwolnienie w ogóle było tylko wybiegiem dla ułatwienia inwigilacji. W ten sposób powstała tradycja, że Organy pracują bez braku. Nie było zatem wcale niewinnych?

W słowniku Dala znajdujemy takie oto rozróżnienie: „dochodzenie tym się różni od śledztwa, że prowadzone jest w celu wyjaśnienia, czy są w ogóle podstawy do wszczęcia śledztwa".

O, święta naiwności! Ależ Organy nigdy nie znały żadnego dochodzenia! Przysłane z góry spisy, albo pierwsze podejrzenie, doniesienie konfidenta, czy nawet anonimowy donos[5] pociągały za sobą areszt, a następnie — nieuchronne postawienie w stan oskarżenia. Wyznaczony zaś na śledztwo czas uchodził nie na rozwikłanie zagadki przestępstwa, lecz — w dziewięćdziesięciu pięciu wypadkach na sto — zużywany był na wymęczenie,

5. Artykuł 93 Kodeksu Procedury Karnej tak właśnie jest sformułowany: „oświadczenie anonimowe może służyć za powód do wytoczenia sprawy kryminalnej" (!) (niech nikogo nie dziwi słowo „kryminalnej" — wszyscy więźniowie polityczni uważani byli za kryminalnych).

zadręczenie, osłabienie badanego — do tego stopnia, że dałby już głowę pod topór, byle by raz był koniec.

Już w dziewiętnastym roku najważniejszym chwytem śledztwa było kładzenie nagana na stole.

W ten sposób prowadzono śledztwo nie tylko w sprawach politycznych, ale także kryminalnych. Na procesie Centrali Paliw (1921) podsądna Machrowska wniosła skargę, że ją podczas śledztwa pojono kokainą. Oskarżyciel[6] tak odpowiada: „Gdyby oznajmiła, że obchodzono się z nią brutalnie, że grożono rozstrzelaniem, to wszystkiemu temu od biedy można by jeszcze uwierzyć". Nagan leży na postrach, czasem łypnie na ciebie lufą, a śledczy nawet nie zadaje sobie trudu, nie zmyśla nawet twoich win, tylko powiada: „Mów, przecież sam już wiesz!". Tak właśnie w 1927 roku śledczy Chajkin badał Skrypnikową, tego w 1929 żądano od Witkowskiego. Nic się nie zmieniło po upływie ćwierci wieku. W 1952 roku naczelnik wydziału śledczego MGB w mieście Ordżonikidze, niejaki Siwakow, oznajmił tejże samej Annie Skrypnikowej, podczas jej PIĄTEJ już odsiadki: „Więzienny lekarz informuje, że masz ciśnienie 120 na 240. To jeszcze za mało, ścierwo (Skrypnikowa ma prawie sześćdziesiąt lat), doprowadzimy cię do trzystu czterdziestu, żebyś zdechła, gadzino, sama, bez żadnych sińców, bez bicia, bez łamania kości. Wystarczy, jak nie damy ci spać!" I kiedy Skrypnikowa, po nocnym przesłuchaniu, zamykała we dnie powieki, do celi wpadał nadzorca i ryczał: „Otwórz oczy, bo za nogi ściągnę z pryczy i przykuję na stojaka do ściany!"

Nocne przesłuchania były najważniejszą częścią śledztwa już w 1921 roku. I tak samo reflektorami samochodowymi świecono prosto w oczy (rjazańska Czeka, Stelmach). A na Łubiance w 1926 roku (jak świadczy Berta Gandal) używano rur ogrzewczych dla nadmuchu do cel to zimnego, to cuchnącego powietrza. Była też cela wykładana korkiem, gdzie i tak powietrza brak, a jeszcze ją specjalnie nagrzewano. Zdaje się że poeta Klujew siedział w takiej celi, trafiła do niej też Berta Gandal. Uczestnik powstania w Jarosławiu (1918), Wasyli Aleksandrowicz Kasjanow twierdził, że celę taką nagrzewano dopóty, dopóki więzień nie zaczynał pocić się krwią; dopiero gdy można to już było zobaczyć przez oczko w drzwiach, niesiono więźnia na noszach tam, gdzie miał podpisać protokół. Znane były „gorące" (i „słone") sposoby, stosowane podczas „gorączki złota". A w Gruzji w 1926 roku przypalano badanym ręce papierosami; w Metechskim więzieniu spychano ich po ciemku do basenu z fekaliami.

6. N. W. Grylenko — *Przez pięć lat*, GIZ, Moskwa-Piotrogród, 1923, str. 401.

Jakiż tu prosty związek: jeśli trzeba znaleźć winę za wszelką cenę — to konieczne stają się groźby, akty gwałtu, tortury, a im bardziej oskarżenie jest fantastyczne, tym okrutniejsze musi być śledztwo; jakże inaczej wymusić przyznanie się do winy? I skoro lipne sprawy były zawsze — to przemoc i tortury też zawsze były; nie jest to wyłączna cecha 1937 roku, to rys dawny, ogólnego charakteru. Oto dlaczego dziwi się człowiek, czytając czasem wspomnienia byłych zeków, że „tortury zostały dozwolone na wiosnę 1938 roku[7]". Duchowych i moralnych hamulców, które mogłyby powstrzymać Organy od tortur — nigdy nie było. W ciągu pierwszych lat po rewolucji, w pismach „Tygodnik WCzK", „Czerwony miecz" i „Czerwony terror" otwarcie roztrząsano kwestię stosowności tortur z punktu widzenia marksizmu. Sądząc z rezultatów, odpowiedź znaleziono pozytywną — chociaż wcale nie wszędzie ją uznano.

Słuszniejsze będzie takie ujęcie sprawy 1938 roku: jeśli przed tą datą dla stosowania tortur potrzebny był jakiś formalny nakaz, zezwolenie, wydane w niektórych wypadkach (załóżmy, że dostać je było nie trudno) — to w latach 1937-38, z uwagi na okoliczności nadzwyczajne (milionowe kontyngenty ludzkie, przeznaczone do wysyłki na Archipelag, trzeba było w nakazanym z góry, ograniczonym terminie przepuścić przez młynek indywidualnego śledztwa — czego nie wymagały potoki masowe — „kułacki" i narodowe) — udzielono pracownikom śledczym nieograniczonego zezwolenia na stosowanie przemocy i tortur wedle uznania, jeśli tego wymagała robota i nakazany termin. Rodzaje tortur nie były przy tym reglamentowane, wszelkie wynalazki widziane były chętnie.

W 1939 roku ta ogólna, szeroka dyspensa została cofnięta; znów trzeba było mieć na piśmie formalne zezwolenie na stosowanie tortur i chyba już nie tak łatwo je dawano (zresztą zwyczajne groźby, szantaż, oszustwo, nękanie bezsennością i karcerem — tego nigdy się nie zabraniało). Ale pod koniec wojny i w latach powojennych w stosunku do określonych z góry kategorii aresztantów znów dozwolona została szeroka gama tortur. Chodziło tu o nacjonalistów, zwłaszcza — Ukraińców i Litwinów, szczególnie w tych wypadkach, gdy istniała prawdziwa, albo urojona organizacja podziemna i trzeba było całą ją wysnuć z motka, wydusić wszystkie nazwiska z już aresztowanych.

7. Eugenia Ginsburg pisze, że zezwolenie na stosowanie „fizycznych środków nacisku" udzielone zostało w kwietniu 1938 roku. W. Szałamow uważa, że tortury dozwolone zostały w połowie 1938 roku. Stary więzień M-cz jest pewien, że istniał „rozkaz o uproszczeniu dochodzeń i zmianie metod psychicznych na „fizyczne". Iwanow-Razumnik podkreśla, że „lato 1938 roku było okresem najokrutniejszych przesłuchań".

Na przykład — grupa Skiriusa Romualdasa Prano liczyć miała koło pięćdziesięciu członków — Litwinów. W 1945 roku oskarżono ich o rozklejanie antysowieckich ulotek. Ponieważ na Litwie brakowało wtedy więzień, przeniesiono ich do obozu w okolicach Wielska w kręgu Archangielskim. Niektórych tam poddano torturom, inni po prostu nie mogli wytrzymać podwójnego ładunku — pracy i badań, dość, że w rezultacie wszyscy pięćdziesięciu, co do jednego, przyznali się. Za jakiś czas nadchodzi z Litwy wiadomość, że wykryto prawdziwych autorów i kolporterów tych ulotek, A CI WSZYŚCY NIC Z TYM NIE MAJĄ WSPÓLNEGO!

W 1950 roku, w Kujbyszewskim więzieniu etapowym, zetknąłem się z pewnym Ukraińcem z Dniepropietrowska, którego — szukając jego „kontaktów" i kompanów — poddawano rozmaitym mękom; był wśród nich — karcer stojący, z poprzeczką, wsuwaną dla podparcia (żeby mógł się zdrzemnąć) na 4 godziny na dobę. Już po wojnie katowano członka-korespondenta Akademii Nauk, Lewinową, za to, że wśród jej znajomych byli ludzie zaprzyjaźnieni z rodziną Allilujew.

Ponadto — niesłuszne byłoby wiązać z rokiem 37-ym to odkrycie, że przyznanie się do winy samego oskarżonego ważniejsze jest od wszystkich dowodów i faktów. Przekonanie to ustaliło się już w latach dwudziestych. Tyle, że w 37-ym roku zdążyła akurat na czas błyskotliwa doktryna Wyszyńskiego. Była wtedy zresztą zakomunikowana łaskawie tylko śledczym i prokuratorom, celem ich moralnego dozbrojenia, my zaś — to znaczy wszyscy inni — dowiedzieliśmy się o tym dopiero po dwudziestu latach, gdy doktryna ta zaczęła już być wyklinana w zdaniach pobocznych i w drugorzędnych akapitach dziennikarskich artykułów, jako rzecz znana wszystkim dawno i szeroko.

Okazuje się, że tego groźnego i pamiętnego roku, w swoim referacie, który w pewnych szczególnych kręgach zyskał szczególną sławę, Andriej Januarowicz (korci aż, żeby napisać — Jaguarowicz) Wyszyński, w duchu najsubtelniejszej dialektyki (której nie pozwalamy już uprawiać ani poddanym, ani mózgom elektronowym, bo dla nich tak to jest tak, a nie to nie), przypomniał zebranym, że nie jest w ludzkiej mocy ustalenie prawdy absolutnej, ubiegać się zaś można tylko o prawdę względną. I tu właśnie zrobił krok, na który prawnicy nie mogli się zdecydować przez dwa tysiące lat: że — w związku z tym — prawda, wykrycie której jest celem śledztwa i postępowania sądowego, nie może być absolutna, a co najwyżej względna. Dlatego, podpisując wyrok śmierci przez rozstrzelanie, my i tak nie mo-

żemy być absolutnie pewni, że skazujemy winowajcę, mamy tylko pewien stopień pewności, z pewnego tylko punktu widzenia i jedynie w pewnym sensie[8]. Stąd — wniosek praktyczny: zupełnie zbyteczną stratą czasu byłoby więc poszukiwanie niezbitych dowodów winy (wszystkie dowody są względne) absolutnie wiarygodnych świadków (świadkowie mogą sobie wzajemnie przeczyć). Dowody zaś winy względne, przybliżone, funkcjonariusz śledczy potrafi znaleźć nawet bez poszlak i bez świadków, nie wychodząc z gabinetu, „licząc nie tylko na swój intelekt, lecz także na instynkt partyjny, na swoje siły moralne", (to znaczy na prerogatywy człowieka wyspanego, sytego i niebitego) oraz na swój „charakter" (to znaczy — zdolność do okrucieństwa)!

Ta formuła była, rzecz jasna, o wiele wytworniejsza, niż instrukcja Łacisa. Ale istota rzeczy była ta sama.

I tylko w jednej sprawie Wyszyński chybił celu, wyrzekł się dialektycznej logiki: KULA pozostała u niego wartością BEZWZGLĘDNĄ.

Tak oto, postępując spiralnym szlakiem rozwoju, zasady przodującego prawodawstwa powróciły do założeń przedantycznych, albo średniowiecznych. Podobnie jak średniowieczni oprawcy, nasi funkcjonariusze śledczy, prokuratorowie i sędziowie uznali, że najważniejszym dowodem winy jest przyznanie się do niej przez podsądnego[9].

Jednakże średniowieczni prostaczkowie — chcąc wymusić wymarzone przyznanie się — uciekali się do dramatycznych i spektakularnych urządzeń; szły w ruch dyby, koła, ruszta, kolczaste maczugi, zaostrzone pale. W dwudziestym zaś wieku, mając na podorędziu i współczesną medycynę, i niemałe doświadczenie więzienne (już tam ktoś całkiem na serio bronił chyba rozprawy doktorskiej z tego zakresu) — uznano takie zmasowanie mocnych efektów za zbędne, a przy szerszym zastosowaniu — za nieporęczne. A prócz tego...

8. Być może sam Wyszyński miał wtedy nie mniejszą niż jego słuchacze potrzebę takiej pociechy dialektycznej. Krzycząc z mównicy oskarżycielskiej: „Rozstrzelać wszystkich, jak wściekłe psy!", ten człowiek zły i bystry dobrze rozumiał, że podsądni są niewinni. Z tym większą chyba pasją i on, i taki as dialektyki marksistowskiej jak Bucharin, oddawali się ozdabianiu sądowej lipy dialektycznymi zawijasami: dla Bucharina śmierć bez żadnej przyczyny byłaby czymś głupim i nieporadnym (miał wręcz POTRZEBĘ doszukania się w sobie jakiejś winy!), a Wyszyńskiemu milej było uważać się za mistrza logiki, niż za zdeklarowanego podleca.

9. Porównajmy 5-tą poprawkę do konstytucji USA: „Zabrania się składania zeznań na własną niekorzyść". ZABRANIA SIĘ!... (to samo — w billu o prawach z XVII wieku).

Prócz tego, zaważyła chyba jeszcze jedna okoliczność: Stalin, swoim zwyczajem, nie mówił ostatniego słowa, podwładni sami powinni byli się domyślić, on zaś zostawiał sobie szakali przesmyk, aby zawrócić w porę i móc znów napisać „Zawrót głowy od sukcesów". Planowe łamanie kołem milionów ludzi przedsiębrane było jednak po raz pierwszy w dziejach ludzkich i — przy całym ogromie swojej władzy, Stalin nie mógł oczekiwać sukcesu z pewnością absolutną.

Ogrom materiału doświadczalnego sprawiał, że eksperyment mógł mieć inny przebieg, niż w laboratorium. Mogło dojść do nieprzewidzianego wybuchu, do geologicznego kataklizmu, a choćby — do rozpowszechnienia tajemnicy. W każdym wypadku Stalin powinien był zachować swoje anielskie szaty w stanie nieskalanym.

Dlatego wolno przypuszczać, że nie istniał żaden spis tortur i udręczeń w drukowanej formie, wręczany funkcjonariuszom śledczym. Wymagano po prostu, żeby każdy wydział śledczy w ustalonym terminie dostawił sądowi określoną z góry porcję całkowicie skruszałych królików. Powtarzano tylko po prostu (ustnie, ale wystarczająco często), że wszystkie środki i chwyty są dobre, skoro cel jest wzniosły; że nikt nie będzie szarpał śledczego z powodu śmierci podejrzanego w trakcie badań; że lekarz więzienny powinien jak najrzadziej ingerować. Zapewne istniał koleżeński obyczaj wymiany doświadczeń, „wzorowania się na najlepszych"; no i musiano też wprowadzić zasadę „zainteresowania materialnego" — dodatek za nocne nadgodziny, premie za skrócenie terminu śledztwa, uprzedzano też chyba, że śledczy, który nie da sobie rady z zadaniem... A gdyby, załóżmy, wsypa, to szef oddziału i tak byłby w porządku wobec Stalina: nie wydał czarno na białym żadnego zlecenia co do tortur! A zarazem zadbał, żeby torturowano!

Widząc, że zwierzchnicy się asekurują, część szeregowych funkcjonariuszy śledczych (nie ci rozjuszeni i upojeni władzą) też starali się zaczynać od metod łagodniejszych, a w miarę postępu śledztwa — unikać takich, które zostawiają zbyt wyraźne ślady, jak wybite oko, urwane ucho, złamany kręgosłup, a nawet ogólne posiniaczenie.

Z tej właśnie przyczyny, w 1937 roku — wyjąwszy torturę bezsenności — nie stwierdzamy stosowania zawsze tych samych metod przez różnych funkcjonariuszy śledczych, pracujących w tych samych działach rozmaitych zarządów okręgowych NKWD[10]. Wspólnym rysem było jednak preferowanie metod

10. Powiadają, że szczególnie okrutne tortury stosowano w Rostowie nad Donem i w Krasnodarze, ale to nie zostało dowiedzione.

że tak powiem, l e k k i c h (zaraz im się przyjrzymy) i była to droga najbardziej celowa. Przecież rzeczywiste granice ludzkiej równowagi umysłowej zakreślone są ciasno i wcale nie potrzebne są dyby albo ruszta, żeby przeciętnego człowieka doprowadzić do stanu niepoczytalności.

Spróbujmy wyliczyć niektóre najprostsze chwyty, z których pomocą łamie się wolę i osobowość aresztanta, nie zostawiając śladów na jego ciele.

Zaczniemy od metod nacisku p s y c h i c z n e g o. Na króliczków, nie przygotowanych wcale do znoszenia więziennej udręki — metody te działają z olbrzymią, wręcz burzącą siłą. Ale człowiek o mocnych przekonaniach też nie łatwo sobie z tym poradzi.

1. Na początek — problem n o c y. Czemu to właśnie n o c ą biorą się najchętniej do łamania ludzkich dusz? Czemu to od najwcześniejszych swoich lat Organy upodobały sobie n o c e? Dlatego, że w nocy, wyrwany ze snu aresztant (nawet nie zadręczony jeszcze bezsennością), nie może być tak zrównoważony i trzeźwy jak we dnie, jest więc bardziej ustępliwy.

2. Szczera p e r s w a z j a. Najprostszy z chwytów. Po co bawić się w kotka i myszkę? Aresztant już przesiedział trochę w towarzystwie innych więźniów będących w śledztwie, już zna ogólną sytuację. Przesłuchujący mówi mu więc tonem leniwym i życzliwym: „Sam widzisz, wyroku tak, czy owak, nie uniknie sz. Ale jeśli będziesz stawiać się okoniem, to już tutaj, w tej ciupie zmarniejesz, całe zdrowie stracisz. A w obozie — od razu będziesz miał powietrze, światło... Tak, że lepiej podpisz czym prędzej". To bardzo logiczne. I trzeźwo rozumują ci, którzy dają zgodę i podpisują prędko — tylko, że... Gdyby to chodziło tylko o nich samych!... Ale tak bywa dość rzadko. I nie sposób uniknąć walki.

Drugi wariant perswazji obliczony jest na członków partii. „Jeżeli w kraju panuje niedostatek i zdarza się nawet głód, to — jako bolszewik — tak powinniście sami przed sobą postawić sprawę: czy można w ogóle założyć, że to wina całej partii? albo władzy sowieckiej? — „Nie, pewno, że nie!" — odpowiada skwapliwie dyrektor jakiegoś ośrodka uprawy lnu. „No to miejcie tyle odwagi, żeby wziąć winę na siebie!" I człowiek bierze!

3. Ordynarne w y z w i s k a. Chwyt nieskomplikowany, ale bardzo skuteczny w stosunku do ludzi wykształconych, delikatnych, subtelnych. Znane mi są dzieje dwóch duchownych, którzy skapitulowali wobec zwyczajnych przekleństw. Śledztwo w sprawie jednego z nich (Butyrki, 1944) prowadziła kobieta. Z początku pop nie mógł się w celi wprost nachwalić, jaka to ona

była grzeczna. Aż pewnego razu wrócił z badania przybity i długo nie mógł się zdobyć na powtórzenie tej wiązanki, którą go uczciła, założywszy nogę na nogę. (Żałuję, że nie mogę tu przytoczyć jednego z jej powiedzonek).

4. Szokowanie psychologicznym kontrastem. Nagłe przejścia: w trakcie całego przesłuchania śledczy jest nader grzeczny, tytułuje badanego, obiecuje różne dobrodziejstwa. Nagle — jak się nie zamierzy suszką, jak nie krzyknie: „Uch, gadzino! Dziewięć gramów w kark!" — i ręce wyciąga, jakby miał paznokcie zakończone igłami (na kobiety ten chwyt bardzo działa).

Istnieje wariant tej metody: dwaj funkcjonariusze pracują na zmianę, jeden sroży się i wścieka, drugi jest sympatyczny, niemal serdeczny. Badany za każdym razem dygocze, wchodząc do gabinetu — na którego z nich trafi? Prawem kontrastu, człowiek gotów jest temu drugiemu podpisać wszystko i przyznać się nawet do tego, co nigdy nie miało miejsca.

5. Wstępne upokorzenie. W sławetnych piwnicach rostowskiego GPU („numer 33"), pod grubym szkłem ulicznego chodnika (dawne magazyny) więźniów aż do pierwszego przesłuchania trzymano w ogólnym korytarzu w pozycji leżącej, twarzą ku ziemi, nie pozwalając podnieść głowy i przemówić słowa. Leżeli tak, jak modlący się muzułmanie dopóty, dopóki konwojent nie wziął ich za ramię i nie poprowadził na badanie. Aleksandra O-wa nie składała na Łubiance zeznań, jakich od niej oczekiwano. Przenieśli ją do Lefortowa. Przy rejestracji nadzorczyni kazała jej się rozebrać, zabrała odzież, rzekomo dla procedury sanitarnej, ją zaś zamknęła gołą w boksie. Zebrali się zaraz strażnicy-mężczyźni, jęli zaglądać przez judasze, śmiać się i oceniać jej wdzięki. Gdyby ludzi zapytać, na pewno takich przykładów zebrałoby się więcej. Cel jest ten sam: zgnębić człowieka.

6. Rozmaite chwyty służące dezorientacji aresztanta. Oto sposób, zastosowany wobec F. J. W. z Krasnogorska w okręgu moskiewskim (relacja J. A. P-ewa). Prowadząca śledztwo niewiasta w czasie przesłuchań rozbierała się stopniowo *(strip-tease!)* ani na chwilę nie przerywając badania. Jak gdyby nigdy nic, spacerowała po pokoju podchodząc blisko do więźnia i wciąż domagając się podpisania protokołu. Może miała takie osobiste skłonności, a może był to chwyt obmyślony na chłodno, aby zupełnie zbić więźnia z pantałyku i skłonić do ustępstw. Nic jej zresztą nie groziło — miała pod ręką pistolet i dzwonek.

7. Zastraszenie. Chwyt najczęściej stosowany i najbardziej urozmaicony. Często kojarzony jest z chwytem przynęty i chwytem obietnicy — rozumie się nie są to

obietnice na serio. Rok 1924: „Nie chcecie się przyznać? To pojedziecie na wyspy Sołowieckie, szkoda. Kto się przyznaje, tego puszczamy wolno". Rok 1944: „Ode mnie zależy, do jakiego łagru cię poślą. Są różne obozy. Mamy teraz nawet katorżne. Jak powiesz prawdę — to pójdziesz tam, gdzie lżej, jak weźmiesz na zapartkę — to dwadzieścia pięć lat w kajdankach na podziemnych robotach!". Straszą przeniesieniem do innego, gorszego więzienia: „Jak będziesz się zapierać, to poślemy cię do Lefortowa (jeśli rzecz się dzieje na Łubiance), tam inaczej z tobą pogadają!" A człowiek już się zdążył przyzwyczaić: w tym więzieniu reżym jakby NIE NAJGORSZY, a co za tortury czekają na człowieka TAM? I w ogóle, przenosiny... Może lepiej ustąpić?

Zastraszenie jest wyjątkowo skuteczne wobec tych, którzy jeszcze nie są zatrzymani, a tylko stawili się w Gmachu, bo dostali pozew. Taki (taka) ma jeszcze dużo do stracenia, taki (taka) wszystkiego się boi — boi się, że już dziś nie wypuszczą, boi się konfiskaty majątku, rekwizycji mieszkania. Gotów jest do zeznań i wielu ustępstw, byle by uniknąć tych nieprzyjemności. Nie zna, rzecz jasna, kodeksu karnego i — to już minimum — na samym początku przesłuchania dostaje do podpisu arkusik ze sfałszowanym cytatem z kodeksu: „Zostałem ostrzeżony, że za składanie niezgodnych z prawdą zeznań... 5 (pięć) lat więzienia" (w istocie zaś — jest to artykuł 95-ty — do dwóch lat)... za odmowę zeznań — 5 (pięć) lat... (w istocie — z artykułu 92-go — do trzech miesięcy). Tu wkracza na scenę i wciąż na nią będzie wkraczać jeszcze jedna metoda śledcza.

8. Kłamstwo. To nam, jagniętom, nie wolno kłamać, śledczy zaś łże bez przerwy — i wszystkie te artykuły do niego się nie odnoszą. Nie stać nas już nawet na pytanie: czy on za kłamstwo wcale nie odpowiada? Wolno mu, skoro ma chęć, kłaść przed nami protokoły z podrobionymi podpisami naszych krewnych i przyjaciół — to przecież tylko elegancka metoda śledcza.

Zastraszenie z dodatkiem obiecanek i kłamstw — to zasadniczy środek nacisku na krewnych aresztowanego, wezwanych w charakterze świadków: „Jeśli nie złożycie określonych (tj. takich, jakich oni sobie życzą) zeznań, to zaszkodzicie jemu... Doprowadzicie go do zguby... (a co, jeśli mówi się to matce?)[11].

---

11. Okrutne prawa cesarstwa rosyjskiego przewidywały, że bliscy krewni mogli w ogóle odmówić zeznań. Jeśli złożyli zeznania w początkowej fazie dochodzenia, to mogli spowodować ich wyłączenie, mogli nie dopuścić do rozpatrzenia ich przez sąd. Sama zaś znajomość, albo pokrewieństwo, łączące kogoś z przestępcą, dziwna rzecz — ale nie uważane było wówczas nawet za poszlakę!

Jedynie przez swój podpis na tym (podsuniętym właśnie) papierku możecie go uratować" (czytaj — pogrążyć).

9. Wygrywanie przywiązania do bliskich — bardzo się opłaca również gdy chodzi o samego aresztanta. Jest to nawet najbardziej skuteczny sposób zastraszania, można złamać najmężniejszego człowieka, apelując do jego uczuć rodzinnych (o, jakiż jasnowidz to powiedział: „wrogami człeka są jego domowi"!). Pamiętacie tego Tatarzyna, który wytrzymał wszystko — i swoje męczarnie, i żonine — a mąk córki już znieść nie mógł?... W 1930 roku funkcjonariuszka śledcza niejaka Rimalis, takich pogróżek używała: „Zaaresztujemy waszą córkę i wsadzimy do celi z syfilitykami!" Kobieta!...

Grożą więc aresztowaniem wszystkich, których kochasz, człowieku. Niekiedy robi się to z towarzyszeniem fonii: twoja żona już siedzi, ale dalszy jej los zależy od twoich szczerych zeznań. Właśnie ją przesłuchują w sąsiednim pokoju, możesz posłuchać! I rzeczywiście, zza ściany dobiega kobiecy płacz i krzyk (a przecież krzyki wszystkie jakoś są do siebie podobne, nadto — słychać przez ścianę, a wreszcie sam jesteś podniecony, trudno ci bawić się w rzeczoznawcę; czasami jest to po prostu płyta z głosem „typowej żony" raz w wersji sopranowej, kiedy indziej — kontraltowej, wedle czyjegoś wniosku racjonalizatorskiego). Ale oto — już bez żadnych sztuczek — pokazują ci przez szklane drzwi, jak idzie milcząca, z opuszczoną żałośnie głową — tak! to twoja żona! w korytarzu bezpieczeństwa! to twój upór ją zgubił! już też ją aresztowali! (a ją tymczasem wezwano dla dopełnienia jakiejś błahej formalności; w umówionej chwili wypuszczono ją na korytarz i nakazano, żeby nie ważyła się podnieść głowy, bo inaczej nigdy stąd nie wyjdzie!). — Albo dają ci do przeczytania jej list, jej charakterem pisany: wyrzekam się ciebie! po tych okropnościach, których się o tobie dowiedziałam, nie jesteś mi więcej potrzebny! (a jako, że takie żony, i takie listy w naszym kraju mogą się zdarzyć, czemu nie, więc można chyba tylko własnej duszy spytać: czy i twoja żona jest taka?).

Od W. A. Korniejewej śledczy Goldman (1944) domagał się zeznań, obciążających inne osoby, grożąc, że skonfiskuje jej domek i wyrzuci na ulicę staruszki, jej krewne. Korniejewa, kobieta pewna siebie i pełna wiary, wcale nie bała się o siebie, gotowa była do ofiar osobistych. Ale pogróżki Goldmana w świetle naszych praw wydawały się całkiem realne i Korniejewą dręczyła myśl o bliskich. Kiedy po nocy, pełnej niepodpisanych i porwanych na strzępy protokołów, Goldman zabrał się do pisania — chyba czwartego — wariantu, gdzie oskarżenie ograniczało się tylko do niej jednej, Korniejewa podpisała go z radością, z uczu-

ciem moralnego zwycięstwa. Już nawet zwykłym ludzkim instynktem — żeby usprawiedliwić się, oczyścić od fałszywych posądzeń — też się nie kierujemy, gdzie tam! Radzi bywamy, kiedy całą winę uda się nam zwalić na samych siebie[12].

Jako że żadna klasyfikacja w przyrodzie nie może być zupełnie sztywna, więc tu też nie uda się nam ostro odgraniczyć metod nacisku psychicznego od fizycznych. Dokąd, na przykład, zaliczyć taką zabawę:

10. Sposób akustyczny. Posadzić przesłuchiwanego o sześć-osiem metrów od biurka i kazać wszystko mówić głośno, wszystko powtarzać. Dla człowieka już zmordowanego — to wysiłek. Albo skręcić dwie tuby z kartonu i do spółki z kolegą śledczym podchodzić blisko do aresztanta — krzycząc prosto w uszy: „Przyznaj się, gadzie!". Aresztant jest ogłuszony, czasem traci słuch. Ale to sposób nieekonomiczny, po prostu funkcjonariusze nudzą się przy jednostajnej robocie, szukają rozrywki i bawią się tym, na co ich stać.

11. Łaskotanie. Także rodzaj zabawy. Krępują albo unieruchamiają człowiekowi ręce i nogi, a potem łaskoczą piórem wetkniętym w nozdrza. Aresztant cały się zwija, ma się uczucie, że świdrują człowiekowi mózg.

12. Gaszenie papierosów na skórze przesłuchiwanego (już o tym była mowa).

13. Sposób optyczny. Ostre światło elektryczne, zapalone całą dobę w celi albo w boksie, gdzie siedzi aresztowany, jaskrawa żarówka, wielokrotnie mocniejsza, niż potrzeba, w małej celce o bielonych ścianach (to ta sama elektryczność, którą oszczędzali pilnie uczniowie w szkołach i gospodynie domowe). Zapalenie powiek, to bardzo boli. A w gabinecie śledczego — znowu reflektory prosto w twarz.

14. Albo taki pomysł. Aresztanta Czebotariewa w nocy przed 1 maja 1933 roku, w Chabarowskim GPU, przez całą noc, bite dwanaście godzin — nie przesłuchiwali, nie: — prowadzili na przesłuchanie! Taki a taki — ręce do tyłu! Wychodzą z celi, teraz schody, szybko w górę, do śledczego! Konwojent wychodzi. Ale śledczy, nie tylko o nic nie pytając, ale nie pozwalając nawet więźniowi usiąść, podnosi słuchawkę: zabrać ze

12. A teraz ona powiada: „Po 11-tu latach, w momencie rehabilitacji dano mi przeczytać te protokoły — i aż mnie psychicznie zemdliło. Z czego właściwie byłam taka dumna!?" Ja również doświadczyłem tego samego przy rehabilitacji, wysłuchawszy cytatów z dawnych moich protokołów. — Kark tylko zgięli mu krzynę — a już całe chłopisko inne... Teraz nie poznaję wprost samego siebie — jak mogłem podpisać coś podobnego — i jeszcze uważać, że nieźle mi się udało?...

107-ego! Biorą go więc i odprowadzają do celi. Ledwie położył się na pryczy, już znowu grzechocze rygiel: Czebotariew! Na przesłuchanie! Ręce do tyłu! A tam — znów to samo: zabrać ze 107-ego!

W ogóle zresztą, stosowanie środków nacisku może zacząć się jeszcze długo przed wejściem więźnia do pokoju przesłuchań.

15. Więzienie zaczyna się od b o k s u, to znaczy pudła albo szafy. Człowieka, dopiero co wyrwanego spośród wolnych ludzi, jeszcze w rozbiegu, jeszcze rwącego się do wyjaśnień, do sporów, do walki — zaraz po przekroczeniu więziennych progów pakuje się do skrzynki — czasem zaopatrzonej w lampę i krzesło, a czasem ciemnej, gdzie człowiek może tylko stać, nadto — w ciasnocie — przyciśnięty drzwiami. Trzymają go tak kilka godzin, cały dzień, dobę. Godziny zupełnej niepewności! — może już go tu zamurowali na całą wieczność? Nic podobnego nigdy w życiu mu się nie zdarzyło, więc nic nie wie, nie kojarzy! Tak mijają pierwsze godziny, kiedy wszystko jeszcze w nim płonie, szarpane nieustannym wichrem myśli. Jedni wpadają w przygnębienie — doskonale, to najlepsza chwila dla pierwszego przesłuchania! Inni wpadają w złość — tym lepiej, zaraz powiedzą śledczemu coś obraźliwego, pozwolą sobie na nieostrożność, to tylko ułatwi rozkręcenie sprawy.

16. Kiedy boksów nie starczało, był jeszcze inny sposób. Helena Strutinskaja w nowoczerkaskim NKWD została posadzona w korytarzu na taborecie — na sześć dni i nocy, tak, aby nie mogła ani się oprzeć, ani zasnąć, ani upaść i już nie wstać więcej. Na sześć dni i nocy! Spróbujcie posiedzieć tak sześć godzin.

Można też w charakterze wariantu sadzać więźnia na wysokim stołku, jakich używa się w laboratoriach, tak, żeby nie dosięgał podłogi nogami: bardzo ładnie wtedy puchną. Wystarczy 8-10 godzin takiego siedzenia.

Albo — już w czasie przesłuchania, kiedy aresztant jest cały jak na dłoni, posadzić go na zwykłym krześle, ale nie całkiem zwyczajnie: na samym brzeżku, na krawędzi siedzenia (jeszcze bliżej! jeszcze bliżej!) żeby nie spadł, ale żeby ta krawędź wrzynała się, jak należy, przez cały ciąg przesłuchania. I nie dać mu się ruszyć przez kilka godzin. Tylko tyle? Tylko tyle. Spróbujcie sami.

17. Zależnie od warunków boks może być zastąpiony przez d y w i z y j n e j a m y, jak to było w Gorochowieckim obozie wojskowym podczas Drugiej Wojny. Do takiej jamy, głębokości trzech metrów, szerokości — dwóch, spychano aresztanta; to była jego cela i wychodek zarazem przez kilka dni i nocy,

spędzanych pod gołym niebem, a czasem w deszcz. Trzysta gramów chleba i wodę spuszczano mu tam na sznurku. Wyobraźcie sobie siebie samych w tym stanie, zaraz po aresztowaniu, kiedy wszystko jeszcze w człowieku kipi.

Może podobieństwo instrukcji, jakie otrzymały wszystkie Wydziały Specjalne Armii Czerwonej, a może podobieństwo koczowniczej sytuacji — doprowadziło do znacznego rozpowszechnienia tego sposobu. Tak więc, w 36-tej zmotoryzowanej dywizji strzeleckiej, która odznaczyła się w czasie walk pod Chałchyn-Golem, a w 1941 roku biwakowała na mongolskiej pustyni, aresztowanemu z miejsca dawano (naczelnik Wydziału Specjalnego Samulow) łopatę do ręki i kazano kopać g r ó b ściśle określonych wymiarów (już tu widzimy skrzyżowanie z metodą psychologiczną!). Kiedy aresztant zagłębił się już powyżej pasa rozkazywano mu zaprzestać kopania i siąść na dnie jamy: głowy już mu wtedy nie było widać. Kilku takich jam pilnował jeden wartownik i zdawało się, że stoi w szczerym polu[13]. Na tej pustyni trzymano podejrzanych — we dnie nic ich nie chroniło przed mongolskim upałem, zimnymi nocami nic nie mieli do przykrycia. Nie trzeba było żadnego katowania, na co to komu? Racja dzienna wynosiła s t o g r a m ó w c h l e b a i j e d e n k u b e k w o d y. 21-letni lejtnant Czulpieniew, kawał chłopa, bokser, przesiedział w tych warunkach MIESIĄC. Po dziesięciu dniach wszy roiły się na nim. Po piętnastu pierwszy raz wezwano go na przesłuchanie.

18. Kazać badanemu p a ś ć n a k o l a n a — nie w jakimś przenośnym sensie, tylko dosłownie: na kolana — i żeby nie śmiał przysiąść na piętach i żeby trzymał się prosto. Można kazać tak klęczeć przez 12 godzin, przez 24 i przez 48 — w gabinecie śledczego, albo nawet na korytarzu. (Sam śledczy może wychodzić do domu, spać, zażywać rozrywek, ten system jest opracowany w szczegółach: koło klęczącego człowieka stoi strażnik, wartownicy zmieniają się regularnie[14]. Na kogo ten chwyt najlepiej działa? Na ludzi już skruszałych, już gotowych do kapitulacji. Bardzo się opłaca stosować go do kobiet. Iwanow-Razumnik informuje o pewnym wariancie tej metody: śledczy naprzód kazał młodemu Łordkipanidze klęknąć, a potem naszczał mu w twarz!

13. Są to chyba mongolskie tradycje. W tygodniku *Niwa* z 15 marca 1914 roku (str. 218) jest szkic mongolskiego więzienia: każdy więzień siedzi jakby w osobnym kufrze z małym otworem na głowę, tak też jest karmiony. Między kuframi przechadza się strażnik.

14. A przecie ten i ów tak właśnie zaczynał karierę: stał na warcie koło klęczącego człowieka. Teraz chyba już ma stanowisko, dzieci już mu podorastały...

No i co? Na Łordkipanidze nie było przedtem sposobu, a tu właśnie się załamał. Widać na dumnych też jest rada...

19. Albo kazać człowiekowi całkiem zwyczajnie s t a ć. Można kazać stać tylko podczas przesłuchań, od tego też człowiek męczy się i załamuje. Można podczas przesłuchań dać mu usiąść, ale za to niech sobie postoi między jednym badaniem a drugim (stawia się wartownika i strażnik ma pilnować, żeby więzień nie opierał się o ścianę, a jeśli zaśnie i zwali się na ziemię, to ma go skopać i zmusić do stania). Czasem dość jednej doby takiego stania, żeby człowiek opadł z sił i z e z n a ł c o d u s z a z a m a r z y.

20. Przy wszystkich tych rodzajach stania, zwykle n i e d a j ą p i ć po 3-4-5 dni i nocy.

Coraz lepiej rozumiemy teraz znaczenie k o m b i n o w a n i a metod psychologicznych z fizycznymi. Rozumie się też, że wszystkie wyżej opisane sposoby są kojarzone z

21. b e z s e n n o ś c i ą, której nie doceniano jeszcze w średniowieczu: nie wiedziano wtedy, jak wąskie są ramy, w których człowiek zdolny jest do zachowania swojej osobowości. Brak snu (połączony przy tym z długim staniem, pragnieniem, jaskrawym światłem, strachem i niepewnością — jakich jeszcze tortur trzeba?!) mąci rozsądek, podkopuje wolę, pozbawia człowieka jego jaźni. (W noweli Czechowa „Spać się chce" sprawa jest jednak o wiele łatwiejsza, dziewczynka z noweli może położyć się na chwilę i wyłączyć świadomość, co już nawet po minucie — potrafi dać mózgowi trochę świeżości). Człowiek taki działa w stanie półświadomości, albo nawet niepoczytalności, tak, że nie wolno mieć do niego pretensji o to, co zeznał[15]...

Używano następującej formuły: „Wasze zeznania są n i e s z c z e r e, d l a t e g o nie dajemy wam spać!". Niekiedy, dla większego fasonu, nie kazano s t a ć, tylko s a d z a n o na m i ę k k i e j kanapie, na której tym bardziej chciało się spać (dyżurny strażnik siedział obok i dawał kopniaka przy każdym zmrużeniu powiek). Oto jak opisuje jedna z ofiar (która spędziła przedtem dobę w zapluskwionym boksie) swoje sensacje po tej męce: „Dreszcze wskutek utraty sporej ilości krwi. Zaschły spojówki, jakby kto trzymał przed samymi oczyma rozpalone żelazo.

---

15. A wyobraźcie sobie, że w stan takiego zaćmienia wpada cudzoziemiec, nie znający rosyjskiego — i że dają mu jakiś papier do podpisu. Jupp Aschenbrenner z Bawarii podpisał w ten sposób zeznanie, że obsługiwał samochodową komorę gazową. Dopiero w obozie, w 1954 roku zdołał udowodnić, że w inkryminowanym okresie uczył się w Monachium na kursach spawaczy.

Język — spuchnięty z pragnienia i kłuje jak jeż przy najmniejszym ruchu. Konwulsyjne skurcze przełyku rżną gardło[16]".

Brak snu — jest potężną torturą, a przy tym nie zostawia żadnych widocznych śladów, nie daje nawet powodu do skarg, gdyby nagle spadła z nieba nieoczekiwana inspekcja[17]. „Nie dawano wam spać? Ale przecież to n i e s a n a t o r i u m! Nasi ludzie też razem z wami nie spali". (Ale odespali się we dnie). Można powiedzieć, że przymusowa bezsenność przestała należeć do kategorii tortur, stała się natomiast częścią r e g u l a m i n u bezpieczeństwa państwowego i dlatego wymuszano ją w najtańszy sposób, bez żadnego dodatkowego nadzoru. We wszystkich więzieniach śledczych panuje zasada, że nie wolno spać ani chwili od rannego apelu do wieczornego dzwonka (w Suchanowce i jeszcze w niektórych innych, prycze w tym celu są podnoszone i przytwierdzane do ściany, w innych — po prostu nie wolno się kłaść i zabrania się nawet drzemki na siedząco). A wszystkie ważniejsze przesłuchania — tylko w nocy. A więc automatycznie — każdy więzień śledczy nie ma czasu na sen przynajmniej pięć dni w tygodniu (w noc sobotnią i niedzielną sami przesłuchujący starają się wypocząć).

22. Poszerzeniem poprzedniego punktu jest k o n w e j e r ś l e d c z y. Więzień nie tylko nie śpi — ale nadto przez trzy-cztery doby b e z p r z e r w y j e s t p r z e s ł u c h i w a n y przez wciąż z m i e n i a j ą c y c h się śledczych.

23. Z a p l u s k w i o n y b o k s, już wspomniany wyżej. W ciemnej, drewnianej szafie gnieżdżą się setki, może tysiące pluskiew. Z aresztanta zostaje zdarta marynarka, albo bluza — i natychmiast rzucają się na niego głodne pluskwy, spełzając ze ścian i spadając z powały. Z początku człowiek zaciekle walczy z nimi, rozgniata je na sobie i na ścianach, dusząc się od smrodu, ale po kilku godzinach słabnie i pozwala bez oporu ssać swoją krew.

24. K a r c e r y. Jakkolwiek źle byłoby w celi, w karcerze zawsze jest gorzej; widziana z karceru cela wydaje się rajem. W karcerze morzą człowieka głodem i zwykle c h ł o d e m (w Suchanowce są też g o r ą c e karcery). Na przykład — karcery w Lefortowie w ogóle nie są opalane, kaloryfery ogrzewają tylko korytarze. Po tych „ciepłych" korytarzach dyżurni strażnicy chodzą w walonkach i watówkach. Aresztanta zaś zostawia się w spo-

16. G. M-cz.

17. **Zresztą inspekcja należała do rzeczy NIEMOŻLIWYCH — i to na tyle, że kiedy weszła w 1953 roku do celi, gdzie siedział — już wtedy aresztowany — Abakumow, minister bezpieczeństwa, ten wybuchnął śmiechem, sądząc, że to mistyfikacja.**

dniej bieliźnie, czasem w samych kalesonach i musi on w bezruchu (bo ciasno) spędzić tam dzień-trzy-pięć (gorącą sałamachę dają dopiero trzeciego dnia). W ciągu pierwszych chwil myślisz sobie — nie wytrzymam nawet godziny. Ale jakimś cudem człowiek wytrzymuje swoje pięć dni, wpędzając się czasem w chorobę na całe życie.

Karcery mają swoje urozmaicenia: wilgoć, wodę. Już po wojnie Maszę G. w czerniowieckim więzieniu trzymano na bosaka dwie godziny w lodowatej wodzie po kostki — przyznaj się! (miała osiemnaście lat; jak jej żal było tych nóg — i jak długo jeszcze trzeba będzie tupać nimi po życiu!).

25. Czy można uznać za wariant karceru zamykanie na stojąco w płytkiej niszy? Już w 1933 roku w Chabarowskim GPU tak torturowano S. A. Czebotariewa: zamknęli go nagiego w betonowej niszy, tak, że nie mógł ani zgiąć kolan, ani rozgiąć i podnieść rąk, ani nawet obrócić głowy. Ale to nie wszystko. Na ciemię zaczęła mu kapać zimna woda (co za szablon!...) i spływać strugami po skórze. Rzecz jasna, nikt mu nie powiedział, że to wszystko ma trwać tylko dwadzieścia cztery godziny. Bardzo to było straszne, czy nie bardzo — dość, że stracił przytomność, następnego dnia po otwarciu drzwi znaleziono go jakby bez życia, ocknął się dopiero w szpitalnej pościeli. Aby przywrócić mu zmysły potrzebny był amoniak, kofeina, nacierania. Wcale nie od razu przypomniał sobie skąd się tu wziął, co działo się w przeddzień. Przez cały miesiąc nie było nawet z niego żadnego pożytku dla śledztwa. (Ośmielamy się jednak sądzić, że ta nisza z kroplówką wymyślone były nie dla samego tylko Czebotariewa. W 1949 roku mój znajomy z Dniepropietrowska siedział w podobnej norze, co prawda — bez kapania. Wolno chyba założyć, że między Chabarowskiem a Dniepropietrowskiem, a jeszcze w ciągu 16-tu lat, istniało parę innych takich instytucji?

26. Głód był już wspomniany przy opisie akcji kombinowanych. To wcale nie taki rzadki chwyt — zmusić do zeznań głodem. W istocie element głodu, podobnie, jak wykorzystanie zalet nocy, stał się częścią składową procedury ogólnej. Skąpa racja dzienna, w 1933, więc w okresie pokoju — wynosiła 300 gramów chleba, w 1945, na Łubiance — 450. Wygrywanie karty zakazów czy zezwoleń na paczki czy zakupy — to stosowane jest wszędzie, powszechnie, to uniwersalne. Ale zdarza się stosowanie głodu w trybie obostrzonym, jak w wypadku Czulpieniewa: naprzód trzymali go przez miesiąc o tych stu gramach dziennie, a później przed tym człowiekiem, wyciągniętym z jamy, śledczy Sokoł stawiał menażkę zawiesistego barszczu, kładł pół

bochna białego chleba, krajanego na skos (myślałby kto — co za różnica, jak go krajali? — ale Czulpieniew po dziś utrzymuje, że właśnie przez ten sposób krajania chleb był wiele bardziej ponętny) — ale nie dał jeść ani razu. Jakie to wszystko staroświeckie, feudalne, jaskiniowe! Tylko tyle w tym nowego, że stosuje się toto w socjalistycznym społeczeństwie! — O podobnych chwytach inni też donoszą, to zdarza się często. Ale wróćmy jeszcze do przypadku Czebotariewa, bo bardzo jest pouczający, dzięki obecności kilku naraz komponentów. Wprowadzili go na 72 godziny do pokoju przesłuchań i jedyne, na co pozwalali — to ustęp. Nie pozwalali zaś ani jeść, ani pić (a woda stała obok, w karafce), ani spać. W gabinecie cały czas było trzech przesłuchujących. Trudzili się na trzy zmiany. Jeden przez cały czas (w milczeniu, nie zwracając się w ogóle do więźnia) coś pisał, drugi spał na kanapie, trzeci przechadzał się po gabinecie i gdy tylko Czebotariew wpadał w drzemkę — bił go. Co jakiś czas zamieniali się rolami. (A może ich samych karnie skoszarowano za niedołęstwo?). I nagle Czebotariew widzi, że mu przynoszą obiad: tłusty barszcz ukraiński, kotlet schabowy ze smażonymi kartoflami i czerwone wino w kryształowej karafie. Ale mając całe życie wstręt do alkoholu, Czebotariew odmówił picia wina, nie bacząc na wszystkie namowy śledczego (za bardzo też nie chcieli go zmuszać, to psułoby grę). Po obiedzie zaś powiedziano mu: „A teraz podpisz to, coś zeznał w obecności dwóch świadków!" — to znaczy wszystko, co wymyślił ów milczek przy jednym śpiącym i drugim spacerującym oficerze śledczym. Po przeczytaniu pierwszej już stronicy, Czebotariew dowiedział się, że był za pan brat z najbardziej znanymi japońskimi generałami i że każdy dał mu jakieś szpiegowskie zlecenia. Zaczął więc przekreślać stronice. Tamci pobili go i przepędzili. A inny urzędnik KWZD, Błaginin, aresztowany razem z nim, po takich samych przejściach, napił się wina i mile wstawiony dał podpis — po czym został rozstrzelany. (Po trzydniowej głodówce starczy kieliszek! a tu karafka).

27. Bicie bez zostawiania śladów. Biją gumami, biją pałkami, biją też podłużnymi workami z piaskiem. Bardzo boli bicie po kościach, na przykład, kiedy śledczy kopie w goleń, gdzie kość jest tuż pod skórą. Kombryga Karpunicza-Brawena bito 21 dni pod rząd. (Teraz powiada: „Nawet po trzydziestu latach bolą wszystkie kości i głowa"). Wspominając przejścia własne i cudze, Karpunicz rozróżnia 52 sposoby bicia. Albo taki chwyt: przytwierdza się ręce więźnia specjalnymi uchwytami tak, żeby dłonie leżały na stole na płask — i bije się krawędzią liniału po stawach — aż człowiek zacznie wyć. Czy wybijanie zębów

klasyfikować jako osobny sposób? (Karpuniczowi wybito ich osiem)[18]. Ogólnie wiadomo, że cios pięścią w splot słoneczny zapiera człowiekowi dech, a najmniejszych śladów nie zostawia. Pułkownik z Lefortowa, Sidorow, już po wojnie stosował cios kaloszem w zwisające męskie genitalia (piłkarze, którzy kiedyś dostali piłką między nogi, mogą ten chwyt docenić). Ten ból nie da się z niczym porównać i człowiek zwykle traci przytomność[19].

28. W NKWD miasta Noworosyjsk wymyślono maszynki do zaciskania paznokci. U wielu więźniów z tego miasta widziano potem na etapach palce bez paznokci.

29. A k a f t a n b e z p i e c z e ń s t w a?

30. A ł a m a n i e k r ę g o s ł u p a? (wciąż to samo chabarowskie GPU, rok 1933).

31. A w ę d z i d ł o („jaskółka")? Jest to metoda z Suchanowki, ale zna ją też więzienie w Archangielsku (śledczy Iwkow, 1940). Długi ręcznik z surowego płótna wsuwa się więźniowi między zęby (jak wędzidło) przerzuca się końce za plecy i wiąże się nimi nogi w kostkach. Poleż tak potem, człowieku, ze dwie doby na brzuchu, z trzeszczącym grzbietem, bez wody i bez jedzenia[20].

Czy trzeba jeszcze dalszego wyliczania? Czy dużo jeszcze tego? Wszystkiego, co wymyślić mogą syte nieroby, pozbawione ludzkich uczuć?

Bracie! Nie potępiaj tych, którzy trafili w ich ręce, którzy okazali się zbyt słabi i podpisali to, czego żądano... Nie rzucaj w nich kamieniem.

◆

Otóż — ani tych tortur, ani nawet żadnych „lekkich" chwytów nie potrzeba w większości wypadków, aby wydobyć zeznania, aby chwycić w żelazne zęby jagnię — zupełnie nieprzygotowane i rwące się do swojej ciepłej obórki. Zbyt nierówny jest stosunek sił i pozycji.

O, jakże inne nam się wydaje — z perspektywy pokoju

18. Zęby wybite sekretarzowi Karelskiego komitetu okręgowego partii, G. Kuprijanowowi, były częściowo zwykłe, własne, inne zaś złote. Z początku więc na każdy wybity złoty ząb dawano mu kwit, jak na depozyt. Później spostrzeżono się i kwity mu odebrano.

19. W 1918 roku moskiewski rewtrybunał sądził byłego nadzorcę carskich więzień, Bondara. NAJSKRAJNIEJSZYM przykładem jego okrucieństwa, przytoczonym w akcie oskarżenia, było, że „w j e d n y m wypadku uderzył więźnia politycznego z taką siłą, że pękła mu błona bębenkowa w uchu". (Krylenko, *Przez pięć lat*, str. 16).

20. N. G. K.

przesłuchań — nasze dawne życie, jakie w nim widzimy niebezpieczeństwa, jakie dżungle, iście afrykańskie! A uważaliśmy je za takie zwyczajne!

Pan A i jego przyjaciel B, znając się od lat i darząc się wzajemnym zaufaniem, przy każdym spotkaniu śmiało rozmawiali o wielkiej i małej polityce. Nikogo przy tym nie było. Nikt nie mógł obu panów podsłuchać. I nikt z nich nie doniósł na drugiego.

Ale oto jednego z panów — powiedzmy — pana, drogi A., z jakiegoś powodu wzięto pod lupę, wyciągnięto ze stada za uszki i wsadzono do paki. I z różnych powodów — no, może nie obeszło się bez donosiku na pana, bez pewnego strachu o krewnych, bez odrobiny nocnego czuwania i bez pierwszej znajomości z karcerem — dość, że postanowił pan na swój los machnąć ręką, ale już innych nie narażać za nic! I w czterech kolejnych protokołach przyznał pan i podpisał, że jest pan zaciekłym wrogiem władzy sowieckiej, bo opowiadał pan anegdoty o naszym przywódcy, bo życzył pan sobie innych nazwisk na listach wyborczych, bo nawet wchodził pan do kabiny, chcąc skreślić jedynego kandydata, ale nie było atramentu w kałamarzu, bo — mając radioaparat z pasmem krótkofalowym — starał się pan usłyszeć jakieś zachodnie audycje, nie zważając na zagłuszanie. Ma pan więc d y c h ę zapewnioną, ale żebra całe, o zapaleniu płuc chwilowo nie ma mowy, nikogo pan nie wsypał i zdaje się, że boksował pan niegłupio. Już pan w celi daje do zrozumienia, że chyba pańskie śledztwo niedługo będzie zakończone.

Ale, ale! Nieśpiesznie, lubując się własnym charakterem pisma, oficer śledczy zaczyna komponować protokół numer 5. Pytanie: Czy podejrzany przyjaźnił się z B? — Tak. — Czy rozmawiał z nim otwarcie o polityce? — Nie, wcale, nie miałem do niego zaufania. — Ale widywaliście się często? — Nie bardzo. — No, jak to — nie bardzo? Z zeznań sąsiadów wynika, że przychodził do was w odwiedziny — tylko w ciągu ostatniego miesiąca dnia tego a tego, potem jeszcze — takiego a takiego i wreszcie — owego. — Przychodził? Cóż, niewykluczone. — Zwrócono uwagę, że — jak zresztą zwykle — nie piliście, nie robiliście hałasu, rozmawialiście bardzo cicho, tak, że nie słychać było na korytarzu. (Ach, pijcie, przyjaciele, tłuczcie butelki, jak najgłośniej! — to z was robi ludzi prawomyślnych!) — No to co? — Ale wyście też go odwiedzali, ot, powiedzieliście na przykład: wiesz, spędziliśmy tamten wieczór tak sensownie. A później widziano was obu na rogu — staliście z nim na mrozie, pół godziny i mieliście takie ponure miny, tacy byliście markotni, o, nawet was sfotografowano podczas tej rozmowy.

(Technika inwigilacji, przyjaciele, technika!) No więc — o c z y m rozmawialiście podczas tych spotkań?

O czym?!... Takie pytanie — to mocna rzecz! Pierwsze, co przychodzi na myśl — to, że zapomniał pan, o czym była mowa. Bo to musi się pamiętać? Dobrze, pierwsza rozmowa uleciała panu z pamięci. Druga też? I trzecia? I nawet — ten sensowny wieczór? I — ta rozmowa na rogu? I rozmowy z C.? I z D? Nie ? myśli pan — brak pamięci — to nie jest wyjście, nie starczy tego człowiekowi na wszystko. I oto umysł — wstrząśnięty aresztowaniem — przytłoczony strachem, zaćmiony brakiem snu i głodem — próbuje, jakby tu zmyślić najprawdopodobniejszą wersję i przechytrzyć śledczego.

O czym?!... Dobrze jeszcze, jeżeli gadaliście o hokeju (to w każdym wypadku najlepszy temat, przyjaciele!), o babach, nawet o nauce, to można powtórzyć (nauka niedaleko odbiegła od hokeja, tylko, że w naszych czasach, wszystko w nauce jest uznane za tajemnicę i można zafasować swoje na podstawie Ustawy o rozgłaszaniu). Ale jeśli przypadkiem mówiliście o nowych aresztowaniach w mieście? O kołchozach? (i, rzecz jasna, mówiliście o nich źle, bo kto o nich dobrze mówi?). A kiedy staliście na rogu, tacy markotni — o czym tam rozmawialiście?

Może B. już jest w areszcie (śledczy zapewnia, że także już zeznawał przeciw panu i że właśnie prowadzą go na konfrontację). Może spokojniutko siedzi sobie w domu — ale także stamtąd go wyciągną, gdy go trzeba będzie przesłuchać i skonfrontować zeznania — na jaki to temat takeście się martwili na tym rogu?

Teraz, po niewczasie, już pan zrozumiał: tak już jest w życiu, że za każdym razem, kiedyście się żegnali, trzeba było umawiać się i dobrze notować w pamięci: o c z y m w i ę c b y ł a m o w a ? Wówczas wasze zeznania byłyby zgodne, choćby nie wiem jak was badano. Aleście się przecież nie zmawiali? Bo jednak nie wyobrażaliście sobie, co to za dżungla.

Może powiedzieć, że umawialiście się na ryby? A tu B. powie, że o żadnych rybach nie było mowy, że rozmawialiście o studiach zaocznych. Nie łagodząc przebiegu śledztwa, tylko pan ciaśniej ściągnie węzeł: o czym? o czym? o czym?

Tu błyska panu myśl — fortunna? czy zgubna? — żeby mówić o sprawach możliwie jak najbliższych temu, co było w samej rzeczy (rzecz jasna — zaokrąglając wszystkie kanty i pomijając wszystko, co niebezpieczne) — powiadają wszak, że łgać zawsze trzeba jak najbliżej prawdy. Bo może jednak B. domyśli się i postąpi podobnie, opowie coś zbieżnego, wasze zeznania jakoś będą się zgadzać i wtedy dadzą wam spokój.

Po wielu latach zrozumie pan, że był to bardzo niemądry pomysł, znacznie lepiej było udawać zupełnie nieprawdopodobnego, okrągłego bałwana: nie pamiętam ani dnia z całego mojego życia. Choć bij, zabij. Ale tu minęły już trzy doby bez snu. Ledwie sił człowiekowi starcza, aby kontrolować własne myśli i zachowywać obojętny wyraz twarzy. I na rozmyślania nie dają ani chwili. I od razu dwóch śledczych (oni lubią chodzić do siebie w gości) przyciska człowieka do ściany: o czym? o czym? o czym?

Więc zeznaje pan: mówiliśmy o kołchozach (że nie wszystko jeszcze w porządku, ale już niedługo się poprawi). O obniżce taryf płacy mówiliśmy... Coście mówili właściwie? Cieszyliście się, że obniżają? Ale normalni ludzie tego nigdy nie zrobią, to nieprawdopodobne. No to, żeby być jakoś bliżej prawdy: trochę narzekaliśmy, że odrobinę uciążliwe te cięcia.

A śledczy sam pisze protokół i tłumaczy wszystko na w ł a s n y język: w trakcie tej naszej rozmowy szkalowaliśmy politykę partii i rządu w dziedzinie płac.

I kiedyś jeszcze B. powie z wymówką: och, ty niedojdo, ja przecież zeznawałem, że umawialiśmy się na ryby...

Ale pan chciał być sprytniejszy i mądrzejszy od pańskiego śledczego! Pan potrafi myśleć szybciej, sprawniej! Pan jest inteligentny! I pan przemędrkował sprawę...

W „Zbrodni i karze" Porfiry Pietrowicz dzieli się z Raskolnikowem uwagą wyjątkowo finezyjną, mógł ją sformułować tylko ktoś, kto sam zna na wylot te zabawy w kotka i myszkę: kiedy mam do czynienia z wami, inteligentami, to nie muszę nawet konstruować własnej wersji — wy sami ją ułożycie i dacie mi ją gotową na talerzu. Ależ tak jest! Człowiek inteligentny nie potrafi zeznawać z rozkoszną beztroską czechowowskiego chłopa z opowiadania „Złoczyńca"*. Będzie się z wszelką pewnością starał całą zarzucaną mu sprawę przedstawić jak najbardziej wykrętnie — ale składnie.

A śledczy-rzeźnik nie na składność ostrzy nóż, tylko na dwa-trzy zdanka. On już wie, co jest ważne. A my — nie mamy żadnego doświadczenia!...

Kształcą nas i przyspasabiają od młodych lat — do naszego zawodu; do pełnienia obowiązków obywatelskich; do służby wojskowej; do dbania o czystość osobistą; do grzecznego zachowania się; nawet — do wyznawania się na tym, co piękne

* Bohater tej noweli oskarżony jest o rozkręcanie torów kolejowych i tłumaczy się, że bez tego przecież nie mógłby łowić ryb, bo z nakrętek robi się najlepsze ciężarki do wędki.

(no, to już nie bardzo). Ale ani wykształcenie, ani dobre wychowanie, ani doświadczenie nie przygotowują nas wcale do największej próby naszego życia: do aresztowania za nic i do śledztwa nie wiadomo na jakiej podstawie. Powieści, sztuki, filmy (niechby sami ich autorzy spróbowali goryczy z puchara GUŁagu!) przedstawiają nam gospodarzy gabinetów śledczych jako rycerzy prawdy i humanizmu, jako ojczulków rodzonych. Jakich tylko odczytów się u nas nie urządza! toć ludzi spędza się na nie! — ale nikt nie słyszał nigdy odczytu o prawdziwym i rozszerzonym sensie kodeksów karnych, zresztą same kodeksy też nie wystawiane są na widok w bibliotekach, nie są sprzedawane w kioskach, nie trafiają do rąk beztroskiej młodzieży.

Brzmi to niemal jak bajka: gdzieś tam, za dziesiątą rzeką, aresztowany może w trakcie śledztwa skorzystać z pomocy adwokata. Znaczy to, w najcięższej chwili walki mieć ku pomocy jasny umysł, znający wszystkie prawa!

Zasada naszego śledztwa polega także na tym, aby pozbawić aresztanta nawet zwykłej znajomości prawa.

Okazują mu akt oskarżenia... (*nota-bene:* „Proszę pod nim złożyć podpis". — „Ja się z nim nie zgadzam". „Podpisać się!" — „Ale ja jestem niewinny!"... jesteście postawieni w stan oskarżenia z artykułu 58-10 część 2 i 58-11 Kodeksu Karnego RSFSR. Proszę się podpisać! — Ale co mówią te artykuły? Pozwólcie przeczytać w kodeksie! — Nie mam kodeksu. — To weźcie od naczelnika oddziału! — On też go nie ma. Podpisujcie! — Ale proszę mi najpierw pokazać! — Nie ma przepisu, żeby go pokazywać, kodeks jest nie dla was, tylko dla nas. I po co wam kodeks, ja wam sam wyjaśnię: te artykuły mówią akurat o tym, coście nabroili. Zresztą — podpiszecie się teraz nie na dowód, że się zgadzacie, tylko żeście to przeczytali, że pokazano wam akt oskarżenia.

W którymś z tych papierków nagle miga nowy zestaw liter: KPK. To budzi pańską czujność: czym różni się KPK od KK? Jeśli trafił pan na chwilę dobrego nastroju u śledczego, to dowie się pan, że to Kodeks Postępowania Karnego. Jakto? Więc nie jeden, lecz całe dwa kodeksy są panu nieznane w chwili, gdy się z panem rozprawiają?!

.. Od tej chwili minęło dziesięć lat, potem — piętnaście. Gęstą trawą zarosła mogiła mojej młodości. Mam już za sobą cały termin kary i nawet bezterminowe zesłanie. I nigdzie, ani w „kulturalno-wychowawczych" oddziałach obozów, ani w bibliotekach rejonowych, ani nawet w miastach średniej wielkości — nigdzie, powtarzam, nie widziałem na oczy, nie trzymałem w ręku, nie mogłem kupić, pożyczyć, ani nawet POPROSIĆ

O POKAZANIE kodeksu sowieckich praw![21] I setki moich znajomych więźniów, z doświadczenia wiedzących coś o śledztwie, sądzie, a nierzadko też — o obozach i zesłaniu — otóż nikt z nich nie widział kodeksu i nie miał go w ręku!

I dopiero kiedy oba kodeksy przeżywały ostatnie dni swego trzydziestopięcioletniego istnienia i miały być z dnia na dzień zastąpione przez nowe, dopiero wtedy zobaczyłem je, te bliźnięta zbroszurowane — KK i KPK, na ladzie kiosku w moskiewskiej kolejce podziemnej (zdecydowano się zesłać je do handlu, jako zbędne już buble).

I teraz czytam je z rozrzewnieniem. Na przykład — KPK:

— artykuł 136: funkcjonariusz śledczy nie ma prawa wymuszać na oskarżonym zeznań ani przyznania się do winy stosując przemoc i groźby (jakby byli przy tym!);
— artykuł 111 — Funkcjonariusz śledczy zobowiązany jest do wyjaśnienia wszystkich okoliczności usprawiedliwiających czyn podejrzanego, a także łagodzących jego winę.

(Ale ja walczyłem w Październiku o władzę rad!... Ja brałem udział w rozstrzelaniu Kołczaka!... Ja uczestniczyłem w akcji rozkułaczania!... Ja zaoszczędziłem państwu dziesięć milionów rubli!... Ja dwa razy byłem ranny na ostatniej wojnie!... Ja mam trzy ordery!... —

NIE ZA TO WAS TERAZ SĄDZIMY! — szczerzy zęby historia uśmiechem oficera śledczego. — To, coście zrobili dobrego — nie ma nic wspólnego ze sprawą).

— artykuł 139: oskarżony ma prawo pisać swoje zeznania własnoręcznie i żądać wprowadzenia poprawek do protokołu napisanego przez oficera śledczego.

(Ech, gdybyż to człowiek zawczasu wiedział! A właściwie: gdybyż to naprawdę tak było! A w istocie błaga się śledczego, jak o łaskę — i zawsze daremnie — żeby nie pisał: „moje ohydne kalumnie" — zamiast „moje mylne wypowiedzi", „nasz podziemny skład broni" — zamiast „mój zardzewiały fiński nóż").

O, gdyby oskarżonym wykładano zaraz na początku wiedzę więzienną! Gdybyż to z początku robiono śledztwo na próbę, a dopiero potem — na serio... Z r e p e t e n t a m i w 1948

21. Znający panującą u nas atmosferę podejrzliwości zrozumieją, dlaczego nie można było zapytać o kodeks w sądzie ludowym, albo w radzie powiatowej. Zainteresowanie kodeksem byłoby symptomem niezwykłym: pytający albo szykuje się do popełnienia przestępstwa, albo zaciera ślady!

roku przecież nie bawiono się już w żadne śledztwa — to byłoby daremne. Ale d e b i u t a n c i nie mają doświadczenia ani znajomości rzeczy! I nie mają kogo prosić o radę.

Samotność więźnia śledczego! — oto jeszcze jedna przesłanka sukcesu niesprawiedliwego śledztwa! Cały aparat istnieje po to, aby stłamsić i zmiażdżyć wolę samotnego, skrępowanego człowieka. Od chwili aresztowania i przez cały pierwszy, s z t u r m o w y okres śledztwa aresztant powinien być w ideale zupełnie sam: w celi, na korytarzu, na schodach, w gabinetach — nigdzie nie powinien on zetknąć się z podobnym sobie, niczyj uśmiech, niczyje spojrzenie nie powinno stać się dla niego źródłem współczucia, rady, otuchy. O r g a n y robią wszystko, aby zamącić mu obraz przyszłości i skazić teraźniejszość: twierdzą, że jego przyjaciele i krewni są już aresztowani, a dowody winy — już znaleziono. Wyolbrzymiają swoje możliwości porachowania się z nim i z jego bliskimi, swoje prawo łaski (którego Organy w ogóle nie mają). Podkreślają związek między szczerością „skruchy" ze złagodzeniem wyroku i obozowego reżymu (nigdy w świecie takiego związku nie było). Chcą — w tym krótkim okresie, póki aresztant jest jeszcze pod wpływem wstrząsu, póki jest udręczony i nie całkiem poczytalny — wydostać jak najwięcej feralnych zeznań, wplątać jak najwięcej Bogu ducha winnych osób (niektórzy wpadają potem w takie przygnębienie, że proszą nawet, aby nie czytać im wcale protokołów, a tylko chcą podpisywać, już tylko podpisywać) — i dopiero wówczas przenosi go się z pojedynki do dużej celi, gdzie ze spóźnioną rozpaczą pozna on i przebierze w pamięci swoje omyłki.

A jak tu ich nie popełnić w tym pojedynku? Któż by ich nie popełnił?

Powiedzieliśmy, że „w ideale powinien być sam". Jednak przy więziennym przepełnieniu 1937 roku (zresztą to samo było w 45-tym) ta idealna zasada samotności świeżego aresztanta nie mogła być przestrzegana. Prawie od pierwszej chwili aresztant przebywał w ciżbie, w przeludnionej celi ogólnej.

Ale to miało swoje zalety, wynagradzające z lichwą odstępstwo od zasad. Tłok w celi nie tylko zastępował ciasnotę pojedynczego boksu, ale okazał się nadto pierwszorzędną t o r t u r ą: trwać mogła całe doby i tygodnie — bez żadnych dodatkowych starań ze strony funkcjonariuszy: aresztanci torturowali się nawzajem! Upychano w celi tylu więźniów, żeby wcale nie na każdego przypadał kawałek podłogi, żeby ludzie musieli deptać po ludzkich ciałach, żeby w ogóle nie mogli zrobić ruchu, żeby siedzieli na cudzych nogach. Tak więc w Kiszyniowie w 1945

roku do pojedynki wtłaczano OSIEMNASTU ludzi, a w Ługańsku w 1937-ym PIĘTNASTU[22], a Iwanow-Razumnik w 1938 roku — w standartowej butyrskiej celi, obliczonej na 25-ciu ludzi, siedział w towarzystwie STU CZTERDZIESTU (wychodki były tak przeładowane, że za potrzebą szło się tylko raz w ciągu doby, czasem nawet nocą, to samo ze spacerami![23] Ten sam świadek w łubiańskiej izbie przyjęć, tzw. „psiej budzie", obliczył, że przez całe tygodnie na jeden metr kwadratowy podłogi przypadało TRZECH aresztantów (porachujcie sami, spróbujcie się pomieścić)[24] — a w psiej budzie nie było okna, ani wentylacji, ludzie gnietli się i dyszeli w temperaturze 40-45 stopni (!), wszyscy siedzieli w samych gaciach (podścieliwszy sobie ciepłe rzeczy), gołe ich ciała tak były stłoczone, że od cudzego potu występowała na skórze egzema. I tak siedzieli TYGODNIAMI, ale nie dawano im ani odetchnąć, ani się napić (prócz sałamachy i herbaty co rano)[25].

Jeśli przy tym kibel zastępował wszystkie urządzenia sanitarne (albo na odwrót — od jednego wyjścia za potrzebą, do drugiego w celi nie było kibla, jak np. w niektórych więzieniach syberyjskich); jeśli jadło się we czterech z jednej miski, stawiając ją sobie wzajem na kolanach; jeśli to ten-to ów był wyrywany na przesłuchanie, kto inny zaś wrzucany do celi — pobity, złamany, niezdolny do snu; jeśli wygląd tych załamanych działał skuteczniej od wszelkich gróźb śledczego; tym, których zaś całe miesiące nie wzywano — każdy rodzaj śmierci i każdy obóz wydawał się już lepszy od tego duszenia się w ścisku — to może

---

22. A śledztwo trwało po 8-10 miesięcy. „Bądźcie spokojni, Woroszyłow w takiej pojedynce sam sobie siedział" (za cara) — mówili więźniowie (czy na pewno siedział?) — bo miasto zwało się wtedy Woroszyłowgrad.

23. Tamtego roku w Butyrkach nowoprzybyli aresztanci (już wymaglowani łaźnią i boksami) po kilka dni i nocy siedzieli na stopniach schodów, czekając, aż zwolnią się miejsca w celach po kolejnej wysyłce na etap. T-w siedział w Butyrkach siedem lat wcześniej, w 1931 i też powtarza: wszędzie tłok, nawet pod narami, leżało się na asfaltowej podłodze. Ja sam siedziałem siedem lat później, w 1945-tym — i wciąż to samo. A niedawno od M. K. B-cz otrzymałem cenne, osobiste świadectwo, odnoszące się do tłoku w butyrskim więzieniu w DZIEWIĘĆSET OSIEMNASTYM roku: w październiku tego roku (drugi miesiąc czerwonego terroru — po zamachu Fanny Kapłan na Lenina) było tam tak pełno, że nawet w pralni urządzono celę na 70 kobiet! No i kiedyż to w Butyrkach było pusto?

24. No, ale to nic nadzwyczajnego: we Włodzimierzu, w więzieniu wewnętrznym w 1948 roku w celi 3×3 metry stało ciągle 30 ludzi! (S. Potapow).

25. W ogóle w książce Iwanowa-Razumnika sporo jest rzeczy powierzchownych, stronniczych, żarty przygnębiają swoją monotonią. Ale życie codzienne celi w latach 1937 — opisane tam jest bardzo dobrze.

wszystko to zastępowało teoretycznie idealną samotność? Ponadto, w takiej ludzkiej kaszy nie zawsze zdobędzie się człowiek na zwierzenia i nie zawsze znajdzie sobie kogoś, żeby się poradzić. I prędzej zaczyna się wierzyć w tortury i bicie, kiedy sami ludzie dają ci dowody, niż kiedy śledczy ci tym grozi.

Same ofiary ci powiedzą, że dają człowiekowi słoną lewatywę w gardło i potem — całą dobę siedzi taki w boksie skręcając się z pragnienia (Karpunicz). Albo tarką skrobią ci plecy do krwi i później nacierają terpentyną. (Kombryg Rudolf Pincow poznał jedno i drugie, a jeszcze wbijano mu szpilki pod paznokcie i wlewano w niego wodę do rozpuku — a żądano, żeby podpisał protokół, gdzie było napisane że podczas październikowej parady wojskowej c h c i a ł skierować brygadę czołgów na trybunę rządową[26]. Od Aleksandrowa, zaś, byłego kierownika działu artystycznego W.O.J.S., człowieka któremu przetrącono kręgosłup, chylącego się na bok i nie potrafiącego powstrzymać łez, można się było dowiedzieć, jak bije (w 1948 roku) sam Abakumow.

A tak, tak, sam minister bezpieczeństwa państwowego nie gardzi tą czarną robotą (Suworow na linii frontu!), nie wzdryga się przed wzięciem gumowej pałki we własne ręce; tym chętniej bije jego zastępca Riumin. Robi to w Suchanowce, w „generalskim" gabinecie śledczym. Gabinet ma ściany wyłożone orzechową boazerią, jedwabne portiery na drzwiach i sztory na oknach, podłogę ma zasłaną perskim dywanem. Żeby tych cudów nie zniszczyć, dla bicia kładzie się na dywanie brudny chodnik, poplamiony już krwią. Przy biciu pomaga Riuminowi nie zwyczajny strażnik, tylko pułkownik. „Tak — mówi uprzejmym tonem Riumin, gładząc gumową pałkę grubości dobrych czterech centymetrów — próbę bezsenności wytrzymał pan z honorem (Al-dr D. zdołał wytrzymać cały miesiąc bez snu dzięki sprytnemu wybiegowi — nauczył się spać na stojąco) — teraz spróbujemy pałeczki. U nas nikt nie wytrzymuje więcej niż dwa, trzy seanse. Proszę spuścić spodnie i położyć się na chodniku". Pułkownik siada bitemu na plecach. A.D. zamierza l i c z y ć uderzenia. Nie wie jeszcze czym jest cios tą gumową pałką w nerw kulszowy, jeśli pośladek schudł od długiego głodu. Ból odzywa się nie w miejscu uderzenia — tylko pęka głowa. Po pierwszym ciosie bity wariuje z bólu, obłamuje paznokcie o chodnik, Riumin wali starając się dobrze celować. Pułkownik napiera całym

26. **W istocie Pincow p r o w a d z i ł swoją brygadę, ale z jakiegoś powodu n i e skierował jej tam. Zresztą, tego nie bierze się pod uwagę. Z tym wszystkim, po tych wszechstronnych torturach dali mu... 10 lat z wyroku OSO. Aż do tego więc stopnia żandarmi nie dowierzali własnym osiągnięciom.**

swoim ciężarem. Jak na trzy duże gwiazdy na pagonach — zajęcie w sam raz — żeby asystować wszechmocnemu Riuminowi! (po seansie pobity nie może chodzić, więc go nie wynoszą, rzecz jasna, tylko wywlekają razem z chodnikiem. Pośladek wkrótce tak rozpuchnie, że nie sposób będzie dopiąć spodni — a blizn prawie nie widać. Zaczyna się dzikie rozwolnienie i siedząc w swojej pojedynce na kiblu, D. zanosi się śmiechem. Ma przed sobą jeszcze drugi seans i jeszcze trzeci. Skóra mu popęka i Riumin, ogarnięty wściekłością, zacznie go bić po brzuchu, przebije opony, jelita wywalą się w kształcie ogromnej ruptury, aresztant zostanie odniesiony do Butyrskiego szpitala z zapaleniem otrzewnej i na jakiś czas przestaną go zmuszać, aby popełnił podłość).

Mogą tak i ciebie zadręczyć! Po tym wszystkim po prostu ojcowską pieszczotą wyda się, uprawiane przez kiszyniowskiego śledczego Daniłowa, bicie popa, Wiktora Szypowalnikowa, pogrzebaczem po karku i włóczenie go za długie włosy (duchownych wygodnie tak włóczyć; świeckich też można — jeżeli ma facet brodę, wtedy łatwo ciągać go z jednego kąta gabinetu w drugi. (A Ryszarda Ocholę — fińskiego czerwonogwardzistę, uczestnika łowów na brytyjskiego agenta, Sydneya Rayley'a oraz dowódcę kompanii, biorącej udział w zduszeniu buntu kronsztadzkich marynarzy, chwytali cęgami to za jeden, to za drugi suty wąs i trzymali go przez dziesięć minut w powietrzu, tak, żeby nogami nie sięgał ziemi).

Ale mogli z człowiekiem zrobić coś jeszcze gorszego: rozebrać do goła od pasa w dół, położyć na podłodze na wznak, nogi na bok, posadzić na nich pomocników (sławny korpus podoficerski), którzy trzymali jednocześnie człowiekowi ręce, a wtedy śledczy — nie brzydziły się tym także panie — stając między tymi rozkraczonymi nogami, czubkiem swojego buta (albo pantofelka) stopniowo, miarowo, coraz silniej przygniatał do podłogi to, co czyniło niegdyś z ofiary mężczyznę i patrząc w oczy powtarzał, powtarzał swoje pytania, albo propozycje zdrady. Jeśli nie za wcześnie użył całej siły, to człowiek miał jeszcze piętnaście sekund czasu, aby krzyknąć, że się przyznaje, że gotów jest wsadzić także tych dwudziestu ludzi, których chcieli mieć, albo obrzucić błotem w prasie każdą rzecz dotychczas świętą...

I niech go Bóg za to sądzi, a nie ludzie...

„Nie ma wyjścia! Trzeba się przyznać do wszystkiego!" — podszeptują kwoki, podsadzone do tej samej celi.

— Prosta kalkulacja: grunt, to zachować zdrowie — mówią trzeźwi ludzie.

— Zębów później nie wstawią — powiadają ci, co ich już nie mają.

— Wszystko jedno, będzie wyrok, czy się człowiek przyzna, czy nie — konkludują ci, co poznali się na rzeczy.

— Kto nie podpisze, tego rozstrzeliwują! — przepowiada jeszcze ktoś z kąta. — Żeby się zemścić! Żeby nie zostało śladu po takim śledztwie.

— A jak skonasz w gabinecie, to powiedzą krewnym, żeś dostał obóz bez prawa korespondencji. I niech szukają.

A jeśli należysz do ortodoksów, to zbliży się do ciebie drugi ortodoks i rzucając wrogie spojrzenia — czy ktoś niewtajemniczony nie podsłuchuje — zacznie gorącym szeptem kłaść ci w ucho:

— Naszym obowiązkiem jest okazać poparcie sowieckiemu aparatowi śledczemu. To — jak na wojnie. Samiśmy winni: byliśmy zbyt tolerancyjni i rozlała się po kraju ta zgnilizna. Toczy się bezwzględna, tajna wojna. Tu też są wrogowie dookoła — słyszałeś te ich wypowiedzi? Przecież partia nie ma obowiązku tłumaczyć każdemu z nas — po co i dlaczego? Jeżeli tego żąda — to trzeba podpisać i już.

I jeszcze jakiś ortodoks podrzuca swoje:

— Podpisałem na trzydziestu pięciu ludzi, na wszystkich znajomych. Wam też tak radzę: jak najwięcej nazwisk, jak najwięcej ludzi wiążcie z sobą! Wtedy będzie przecież jasne, że to nie trzyma się kupy i wszystkich wypuszczą!

A Organom właśnie w to graj! Wysokie uświadomienie ortodoksa i cele NKWD były naturalnie zbieżne. NKWD potrzebny jest ten szeroki wachlarz nazwisk, ta wzmożona reprodukcja ich. To jest dowód staranności w pracy i to są kołki do zarzucania nowych arkanów. „Wspólnicy! Wspólnicy! Nazwiska twoich kompanów!" natarczywie tarmosili każdego. (Podobno R. Rałow wymienił wśród swoich kompanów kardynała Richelieu, nazwisko znalazło się w protokole — i aż do procesu rehabilitacyjnego w 1956 roku nikt się nie dziwił).

A propos ortodoksów. Dla takiej CZYSTKI potrzeba było Stalina, ale partia też była potrzebna właśnie taka: większość z nich, należących do elity władzy, aż do chwili własnego aresztowania bez żadnej litości pakowała innych do więzienia, posłusznie likwidując sobie podobnych, w myśl tych samych instrukcji, oddając na zgubę przyjaciół albo towarzyszy walk. I wszyscy znakomici bolszewicy, zaliczeni teraz pośmiertnie w poczet męczenników, zdążyli być katami innych bolszewików (już nie mówiąc o tym, że jeszcze wcześniej WSZYSCY oni zdążyli być katami bezpartyjnych). Być może 37-my rok był POTRZEBNY,

aby wykazać, jak mało znaczy cały ich ŚWIATOPOGLĄD, którym oni tak się chełpili, wywracając na nice Rosję, łamiąc jej ostoje, depcząc jej świętości — starą Rosję, w której i m s a m y m TAKA rozprawa nigdy nie zagrażała. Ofiary bolszewików między rokiem 1918 a 1936 nigdy nie zachowywały się tak żałośnie, jak czołowi bolszewicy, kiedy przyszła ich czarna godzina. Jeśli przypatrzeć się gruntowniej całej historii aresztów i procesów lat 1936-38, to największy wstręt czuje człowiek nie do Stalina i jego czeladników, tylko do tych uniżenie-nędznych podsądnych; jest to obrzydzenie wobec małości ducha, gdy się ją porówna z dawną ich dumą i nieprzejednaniem.

... No więc jak? jak więc tu ostać się? — kiedy jesteś wrażliwy na ból, słaby, nieprzygotowany, kiedy masz z życiem niezerwane związki?...

Czego potrzeba, aby być silniejszym od śledczego i całego tego potrzasku?

Trzeba wejść do więzienia bez drżenia o swoje, zostawione za bramą, pełne ciepła życie. Trzeba na progu sobie powiedzieć: moje życie się skończyło, trochę za wcześnie, ale co zrobić. Na wolność nigdy już nie wyjdę. Pisane mi jest, że zginę — teraz, albo trochę później, ale później będzie nawet jeszcze ciężej, lepiej więc prędko. Nie mam już nic własnego. Bliscy umarli dla mnie — i ja dla nich umarłem. Ciało moje jest dla mnie od dzisiaj czymś obcym i bezużytecznym. Tylko duch mój i moje sumienie są dla mnie dalej drogie i ważne.

Takiemu więźniowi śledztwo może nie dać rady!

Tylko ten zwycięży, który wyrzeknie się wszystkiego!

Ale jak zamienić swoje ciało w kamień?

Przecież z kółka Bierdiajewców zrobiono marionetki przed procesem, a z niego samego, nie. Chciano go wplątać w sprawę, aresztowany był dwa razy, zaprowadzono go (1922) na nocne przesłuchanie do Dzierżyńskiego, w obecności Kamieniewa (a zatem on też nie stronił od walki ideologicznej za pośrednictwem Czeki). Ale Bierdiajew nie poniżał się, nie skomlał, tylko przedstawił im bez żadnych kompromisów te religijne i moralne zasady, które nie pozwalały mu uznać panującej w Rosji władzy — po czym nie tylko uznano, że jest on dla sądu bezużyteczny, ale — wypuszczono go na wolność!

Człowiek musi mieć swoje POGLĄDY.

N. Stolarowa wspomina pewną swoją sąsiadkę z butyrskich nar, staruszkę. Przesłuchiwano ją noc w noc. Dwa lata przedtem nocował w jej mieszkaniu były metropolita, będący w Moskwie przejazdem, bo uciekł z zesłania. — „Wcale nie były, tylko prawdziwy! A to prawda, że Bóg mi go pozwolił gościć". —

Tak, w porządku. A do kogo pojechał z Moskwy dalej? — „Wiem, ale nie powiem!" (Metropolita, dzięki całemu łańcuszkowi wiernych, uciekł już do Finlandii). Oficerowie śledczy pracowali na zmianę i zbierali się grupami, wymachiwali pięściami przed nosem staruchy, ona zaś mówiła im wciąż to samo: „Nic ze mną nie porobicie, choćbyście mnie na kawałki rąbali. Przecież wy się boicie naczalstwa, boicie się siebie nawzajem, boicie się nawet mnie zabić. (Bo „zgubią nitkę"). A ja — ja niczego się nie boję! Mogę choćby zaraz stawać przed Panem Bogiem, niech mnie sądzi!"

Byli, byli tacy w 37-ym, którzy nie wracali z przesłuchania do celi po swoje rzeczy. Którzy woleli śmierć, ale nie obciążyli nikogo.

Nie można powiedzieć, aby historia rosyjskich rewolucjonistów dała nam najlepsze przykłady nieustępliwości. Ale tu nie może być nawet porównania, ponieważ nasi rewolucjoniści nie wiedzieli nigdy, co to takiego prawdziwe d o b r e śledztwo ze wszystkimi pięćdziesięcioma dwoma sposobami.

Szeszkowski nie torturował Radiszczewa. I Radiszczew dobrze wiedział, że — zgodnie z obyczajami tej epoki — jego synowie będą dalej oficerami gwardii i że nikt im nie złamie życia. I że rodzinnego majątku Radiszczewów nikt nie skonfiskuje. I mimo to po krótkim, dwutygodniowym śledztwie, ten wybitny człowiek wyparł się swoich przekonań, swojej własnej książki — i poprosił o zmiłowanie.

Mikołaj I nie wpadł na pomysł, żeby wyaresztować żony dekabrystów i kazać im krzyczeć w sąsiednim gabinecie, albo żeby ich mężów poddać torturom — ale też nie musiał tego wcale robić. Nawet Rylejew „dawał odpowiedzi obszerne, szczere i niczego nie ukrywał". Nawet Pestel p ę k ł i wymienił swoich towarzyszy (będących jeszcze w o l n i a k a m i), którym zlecił zakopanie „Rosyjskiej Prawdy", wskazał nawet miejsce, gdzie ją zakopano[27]. Nieliczni tylko, jak Łunin, świecili przykładem lekceważenia i pogardy w stosunku do komisji śledczej. Większość zaś zachowywała się nieporadnie, sypiąc jeden drugiego. Wielu z nich prosiło pokornie o darowanie winy! Zawaliszyn wszystko zwalał na Rylejewa. E. P. Oboleński i S. P. Trubeckoj zdążyli wplątać do sprawy Gribojedowa, czemu nawet Mikołaj I nie dał wiary.

---

27. **A przyczyna jest poniekąd ta sama, co w późniejszym przypadku Bucharina: przecież na śledztwie przesłuchują ich bracia, ludzie tego samego stanu. I naturalną jest rzeczą, że człowiek chciałby im wszystko OBJAŚNIĆ.**

Bakunin w „Spowiedzi" adresowanej do Mikołaja I opluł się sam z całą uniżonością i w ten sposób uniknął skazania na śmierć. Czy to małoduszność? Czy może wybieg rewolucjonisty?

Zdawałoby się, że ludzie, którzy podjęli się zgładzenia Aleksandra II-go, powinni byli być wzorami ofiarnego poświęcenia. Wiedzieli przecież, co ich czeka! Ale podczas gdy Hryniewiecki podzielił los cara, Rysakow pozostał przy życiu i poddany został śledztwu. TEGOŻ DNIA już zaczął s y p a ć konspiracyjne mieszkanie i nazwiska uczestników spisku. Drżąc o swoje młodziutkie życie, starał się skwapliwie dać rządowi więcej informacji, niż ktokolwiek mógł się po nim spodziewać. Zachłystywał się skruchą i obiecywał „zdemaskować wszystkie sekrety anarchistów".

W końcu tegoż minionego stulecia i na początku bieżącego, oficer żandarmerii natychmiast WYCOFYWAŁ zadane już pytanie, jeżeli więzień śledczy uznawał, że nie należy ono do rzeczy, albo że zatrąca o jego sprawy intymne. — Kiedy w Krestach w 1938 roku starego katorżnika politycznego Zieleńskiego sprano wyciorami, każąc mu przedtem spuścić spodnie, jak uczniakowi, ten rozpłakał się w celi: „carski śledczy nie śmiał mi nawet mówić TY!" — Albo na przykład — z pewnej współczesnej pracy badawczej[28] dowiadujemy się, że żandarmi zdobyli rękopis artykułu Lenina „O czym myślą nasi ministrowie?", ale n i e z d o ł a l i mimo to dotrzeć do właściwego autora:

„W czasie przesłuchania żandarmi, j a k t e g o m o ż n a b y ł o o c z e k i w a ć (podkreślenia i w tym miejscu i dalej są moje — A.S.) dowiedzieli się od Waniejewa (studenta) niewiele. Powiedział on im j e d y n i e t o, że znalezione u niego rękopisy przyniósł mu kilka dni przed rewizją w paczce ktoś k o g o o n n i e c h c e w y m i e n i ć. Przesłuchujący n i e m i a ł i n n e g o w y j ś c i a (jakto? A lodowata woda po kostki? A słona lewatywa? A pałeczka Riumina?...) jak tylko poddać rękopis ekspertyzie". No i niczego się nie dowiedzieli. — Pierieswietow, jeśli się nie mylę, sam o d b ę b n i ł ileś tam latek i łatwo mógłby obliczyć, jakie jeszcze i n n e w y j ś c i a miał przesłuchujący, skoro przed nim siedział, ktoś, kto wziął na przechowanie artykuł „O czym myślą nasi ministrowie?"!

Jak wspomina S. P. Mielgunow: „To było carskie więzienie, więzienie błogiej pamięci, o którym polityczni więźniowie mogą teraz tylko wspominać z uczuciem nieomal rzewnym[29]".

28. *Nowyj Mir* nr 4, 1962 — R. Pierieswietow.
29. S. P. Mielgunow: *Wspomnienia i dzienniki*, tom I, Paryż 1964, str. 139.

A teraz — uskok, teraz — rzecz zupełnie innej miary. Tak jak dla poganiacza wołów, czumaka z czasów przedgogolowskich niemożliwością jest wyobrażenie sobie szybkości samolotu odrzutowego, podobnie nie sposób ogarnąć wszystkich prawdziwych możliwości śledztwa, jeśli nie przeszło się samemu przez tę szarparnię, prowadzącą do GUŁagu.

W *Izwiestiach* z 24. V. 1959 roku czytamy: Julię Rumiancewą biorą do wewnętrznego więzienia hitlerowskiego obozu, aby dowiedzieć się, gdzie jest jej mąż, który z tegoż obozu uciekł. Julia wie — ale odmawia odpowiedzi! Dla niewtajemniczonego czytelnika jest to przykład bohaterstwa. Dla czytelnika z gorzkim gułagowskim doświadczeniem — jest to przykład nieudolności śledztwa: Julia nie skonała w trakcie tortur i nie została doprowadzona do obłędu, tylko po prostu została wypuszczona z więzienia po jakimś miesiącu, żywa i cała!

◆

Byłem jeszcze wtedy daleki od wszelkiej myśli, że trzeba być jak z kamienia. Nie tylko, że nie byłem gotów do przecięcia moich ciepłych stosunków z życiem, ale nawet odebranie mi przy aresztowaniu setki zdobycznych ołówków firmy Faber — długo mnie jeszcze bolało. Patrząc potem z więziennej dali wstecz na przebieg mojego śledztwa nie miałem powodów do dumy. Oczywiście, mogłem i bardziej nieustępliwie się zachować, i zmyślniej wywijać się śledczemu. Przez pierwsze tygodnie nie opuszczało mnie zaćmienie umysłu i upadek ducha. Tylko dlatego te wspomnienia nie ciążą mi na sumieniu, że, chwała Bogu, udało mi się nie wpakować nikogo do więzienia. A niewiele brakowało.

Nasze (z moim współoskarżonym Mikołajem W.) pójście za kraty nosiło charakter dziecinny, chociaż byliśmy już frontowymi oficerami. Słaliśmy sobie z nim listy podczas wojny, z jednego odcinka frontu na drugi, i nie mogliśmy — mimo wojennej cenzury — powstrzymać się od prawie otwartego pakowania do tych pism naszych politycznych żalów i złorzeczeń, jakimi obrzucaliśmy Mędrca nad Mędrcami, przejrzyście przechrzczonego przez nas z Ojca na *Pachana**. Kiedy później w więzieniach opowiadałem o mojej s p r a w i e, to nasza naiwność wywoływała tylko śmiech i zdziwienie. Niejeden mi mówił, że drugiej takiej pary cielaków nigdzie nie ma. Już też byłem o tym przekonany. I nagle, czytając pracę o sprawie Aleksandra Uljanowa, dowiedziałem się, że wpadli oni przez to samo — przez nie-

* *Pachan* — herszt bandytów (w żargonie więziennym).

ostrożną korespondencję i że tylko to uratowało życie Aleksandrowi III-emu 1 marca 1887 roku[30].

Wysoki, obszerny, jasny, z ogromnym oknem, taki był gabinet mojego śledczego, J. J. Jezepowa (b. towarzystwo ubezpieczeń „Rosja" zbudowało swoją siedzibę nie dla tortur). Korzystając z pięciometrowej wysokości jego ścian, zawieszono w nim czterometrowy, długi wizerunek całej postaci wszechpotężnego Władcy, którego ja, nędzny pyłek, darzyłem nienawiścią. Śledczy czasami stawał przed portretem i teatralnie się zaklinał: „Toż myśmy gotowi życie za niego oddać! Toż myśmy za niego gotowi pod czołgi się rzucić!" Przed majestatem portretu, godnym prawie ołtarzy, żałośnie brzmiał mój bełkot o jakimś oczyszczonym leninizmie, a ja bluźnierca i potwarca, godny byłem z kolei tylko śmierci.

Treść naszych listów dawała — jak na owe czasy — zupełnie wystarczający materiał dla skazania obu korespondentów. Mój śledczy nie miał zatem potrzeby zmyślania czegokolwiek przeciw mnie, starał się tylko zarzucić arkan na każdego, do kogo ja kiedykolwiek pisałem, albo który do mnie kiedyś pisał. Listy do moich rówieśników i rówieśnic szpikowałem buntowniczymi myślami, popisując się ostrością i brawurą — a przyjaciele jednak dalej do mnie pisywali! W ich odpowiedziach zdarzały się nawet jakieś podejrzane wyrażenia[31]. I teraz Jezepow, wzorem Porfirego Piotrowicza, żądał ode mnie, abym logicznie mu wyjaśnił: jeśli my tak wyrażaliśmy się w podlegających cenzurze listach, to cośmy dopiero mogli wygadywać w cztery oczy? Nie mogłem przecież mu tłumaczyć, że cała ostrość wypowiedzi przypadała

30. Uczestnik grupy, Andrejuszkin, posłał swemu przyjacielowi, mieszkającemu w Charkowie, nieostrożny list: „święcie wierzę, że będzie miał u nas miejsce najbardziej bezlitosny terror — i to nawet niezadługo... Czerwony terror — to mój konik... Jestem niespokojny o mego adresata (on już nie pierwszy taki list posyłał! — A.S.) ... jeśli go t r a l a l a, to i mnie też mogą t r a l a l a, a to byłoby niepożądane, bo pociągnę za sobą dużo bardzo dorzecznych ludzi". I przez pięć tygodni trwało cierpliwe dochodzenie śladem tego listu — przez Charków, żeby dowiedzieć się, kto pisał go w Petersburgu. Nazwisko Andrejuszkina zostało ustalone dopiero 28 lutego, a 1 marca zamachowcy, już zaopatrzeni w bomby, zostali schwytani na Newskim Prospekcie tuż przed oznaczoną godziną zamachu!

31. Jeszcze inny szkolny kolega omal nie poszedł wtedy siedzieć przeze mnie. Z jaką ulgą dowiedziałem się, że został na wolności! Ale po 22 latach pisze mi on takimi słowy: „Z twoich opublikowanych utworów wynika, że oceniasz życie jednostronnie... Obiektywnie stajesz się sztandarem faszyzującej reakcji na Zachodzie, na przykład w NRF i USA... Lenin, którego ty z pewnością dalej czcisz i lubisz, a zresztą również staruszkowie Marks i Engels potępiliby cię w najsurowszy sposób. Pomyśl sobie o tym!" Więc właśnie myślę sobie: ach, jaka szkoda, że cię wtedy nie wsadzono! Ileś ty stracił!...

właśnie na listy... I oto ze zmętniałego mózgu powinienem był teraz wymotać coś bardzo prawdopodobnego o naszych spotkaniach z przyjaciółmi (o spotkaniach była mowa w listach), żeby to zgadzało się z tonem pism, żeby było na samej krawędzi polityki — i jednak nie podpadało pod kodeks karny. A jeszcze, żeby te wyjaśnienia płynęły z mego gardła z lekkością oddechu, żeby mogły przekonać śledczego, starego wyjadacza, że ma do czynienia z mizernym, bezdennie szczerym prostaczkiem. I żeby — to najważniejsze — mój leniwy śledczy nie zaczął przetrząsać tego przeklętego brzemienia, które przywiozłem w moim przeklętym kuferku — było tam mnóstwo zeszytów moich „Dzienników wojennych": naskrobane drobniutko, bladym, twardym ołówkiem, jak końcem igły, gdzieniegdzie zacierające się już notatki. To były moje zapędy literackie. Nie dowierzając sile naszej zdumiewającej pamięci, przez wszystkie lata wojny starałem się zapisywać wszystko, co widziałem (to byłoby jeszcze pół biedy) a także wszystko, co s ł y s z a ł e m od ludzi. Ale te opinie i opowieści, brzmiące tak naturalnie na froncie — tu — na tyłach smakowały buntem i pachniały więziennym lochem dla moich towarzyszy frontowych — i żeby tylko śledczemu nie przyszła ochota pośledzić trochę nad moimi „Wojennymi dziennikami", aby wypreparować z nich żyłę, tętniącą krwią naszego wolnego, frontowego plemienia — ja — tyle, ile trzeba — kajałem się i tyle, ile trzeba — wyzbywałem się moich błędów politycznych. To stąpanie po ostrzu brzytwy zadręczało mnie aż do chwili, gdy stwierdziłem, że jakoś nikogo nie sprowadzają na konfrontację ze mną; aż do pierwszych wyraźnych powiewów końca śledztwa; aż do momentu, gdy po czterech miesiącach przesłuchań, wszystkie zeszyty moich „Wojennych dzienników" wrzucone zostały do piekielnej gardzieli łubiańskiego pieca, bryznęły tam czerwonymi plewami jeszcze jednej, zniszczonej w Rosji, powieści i czarnymi ćmami sadzy wyfrunęły z najwyższego komina.

Pod tym kominem kazano nam spacerować — w betonowej skrzyni, na dachu Wielkiej Łubianki, na wysokości piątego piętra. Nad piątym piętrem dobudowano mianowicie mur wysoki na trzech chłopów. W uszy wpadały nam głosy Moskwy — wołania samochodowych syren. Ale widzieliśmy tylko ten komin, wartownika na baszcie szóstego piętra i jeszcze ten nieszczęsny skrawek bożego nieba, któremu przyszło rozpostrzeć się nad Łubianką.

O, te sadze! Wciąż padały i padały, a na dworze był pierwszy powojenny maj. Tak dużo ich było podczas każdego naszego spaceru, że między sobą uznaliśmy iż Łubianka pali swoje wielo-

letnie archiwa. Moje przepadłe dzienniki były w tym gejzerze sadzy tylko strużką, co chwilkę ciekła. I wspominałem ten mroźny, słoneczny ranek marcowy, kiedy siedziałem u mojego śledczego. Zadawał mi swoje zwykłe, chamskie pytania; zapisywał moje słowa, pacząc ich sens. Słońce grało w tającym już, mroźnym deseniu na szybach wielkiego okna, przez które nieraz miałem ochotę wyskoczyć — żeby chociaż przez własną śmierć błysnąć nad Moskwą i rąbnąć z czwartego piętra o jezdnię, tak, jak w moich dziecinnych latach jakiś nieznany mój poprzednik wyskoczył w Rostowie nad Donem (z „Trzydziestego trzeciego"). Przez odwilgłe oczka w szybie widać było moskiewskie dachy, dachy — i wesołe dymki nad nimi. Ale nie w tamtą stronę zerkałem, tylko na kurhan rękopisów, usypany na samym środku półpustego, trzydziestometrowego gabinetu, dopiero co zwalony, jeszcze nie posegregowany. W zeszytach, w tekturowych okładkach, w skoroszytach domowej roboty, w paczkach związanych sznurkiem i luźnych, albo po prostu w rozsypce — leżały rękopisy, jak kopiec mogilny pogrzebanego tu ludzkiego ducha i kurhan ten wznosił się swoim czubkiem ponad poziom biurka, nieomal zasłaniając przede mną samego śledczego. I ogarnęło mnie braterskie współczucie, gdy zobaczyłem owoce pracy tego nieznanego człowieka, którego aresztowano minionej nocy, a płody rewizji ciśnięto rankiem na posadzkę tej izby tortur, pod nogi czterometrowego Stalina. Siedziałem tak i myślałem: czyjeż to niepospolite życie przywieziono tu tej nocy, aby je wziąć na męki, poszarpać na strzępy i oddać na spalenie?

O, ileż w tym budynku zginęło pomysłów i dzieł! Toć ta cała zaginiona kultura. O, sadzo, sadzo z łubiańskich kominów! I najbardziej boli, że potomkowie uważać będą nasze pokolenie za głupsze, nieudolniejsze i potulniejsze, niż było naprawdę!...

◆

Dla wytyczenia prostej wystarczą wszystkiego dwa punkty.

W 1920, jak wspomina Erenburg, Czeka tak stawiała przed nim kwestię: „WY nam wykażcie, że n i e jesteście agentem Wrangla".

A w 1950 roku jeden z wybitniejszych pułkowników MGB, Foma Fomicz Żelaznow, oznajmił więźniom, co następuje: „My nawet nie będziemy się trudzić, żeby mu (aresztantowi) wykazać jego winę. Niech o n n a m wykaże, że nie miał wrogich zamiarów".

I na tę ludożerczo-prostą linię nanizały się między jedną

a drugą datą niezliczone wspomnienia o milionach ludzkich losów.

Jest to przyspieszenie i uproszczenie procesu śledztwa, jakiego nie znały dzieje ludzkości. Organy w ogóle oszczędziły sobie wysiłku szukania dowodów winy! Schwytany królik, dygocący i pobladły, któremu nie wolno do nikogo pisać, ani telefonować i niczego przynieść sobie z domu, pozbawiony snu, jedzenia, papieru, ołówka, nawet guzików, posadzony na gołym taborecie w kącie gabinetu, powinien SAM odnaleźć i wyłożyć na stół przed oczy nieroba-śledczego dowody, że NIE miał wrogich zamiarów! Jeśli zaś ich nie znalazł (a skąd mógł je wydostać?) to tym samym dostarczał śledztwu pośrednich dowodów swojej winy!

Znałem przypadek pewnego starego człowieka, który wrócił z niemieckiej niewoli i jednak potrafił — siedząc na tym gołym taborecie i gestykulując gołymi rękoma, dowieść swemu śledczemu-potworowi, że NIE zdradził ojczyzny i nawet NIE miał takiego zamiaru! Skandal! No i co, wypuszczono go na wolność? Gdzie tam! — opowiadał mi to on w Butyrkach, nie na Bulwarze Twierskim. Do śledczego przyłączył się drugi śledczy, obaj urządzili staremu cichy wieczór wspomnień, a następnie we dwójkę zredagowali zeznania, jako świadkowie, stwierdzając, że tego wieczoru wygłodzony, senny starzec uprawiał wobec nich antysowiecką agitację! Kto mówi — sieje, kto słucha — zbiera. Starego przekazano trzeciemu śledczemu. Ten zrzekł się bezpodstawnego oskarżenia o zdradę ojczyzny, za to przepisowo zapewnił staremu tę samą dychę za antysowiecką agitację podczas śledztwa.

Z chwilą, gdy przestało być dochodzeniem prawdy, śledztwo stało się dla samych funkcjonariuszy śledczych — w wypadkach trudniejszych — wykonywaniem obowiązków katowskich, w łatwiejszych natomiast — zwykłym zabijaniem czasu, podstawą do pobierania pensji.

A wypadki łatwiejsze zdarzały się zawsze — nawet w osławnionym 1937 roku. Na przykład niejaki Borodko oskarżony był o to, że 16 lat przed tą datą jeździł do rodziców do Polski, bez paszportu (a tatuś z mamusią mieszkali o 10 wiorst od niego, ale dyplomaci uzgodnili w Rydze, żeby tę część Białorusi oddać Polsce, ludzie zaś w 1921 roku jeszcze nie byli przyzwyczajeni i jeździli po staremu). Śledztwo zajęło pół godziny: — jeździłeś? — Jeździłem. — W jaki sposób? — A na koniu. — Masz tu 10 lat za KRD![32]

32. KRD — Kontr-Rewolucyjna Działalność.

Ale taki pośpiech — to dobre dla stachanowców, ci zaś nie znaleźli naśladowców w błękitnych czapkach. W myśl kodeksu postępowania karnego, na wszelkie czynności śledcze należały się dwa miesiące, jeśli zaś wyłaniały się trudności, to wolno było prosić prokuratora kilkakrotnie o przedłużenie — po miesiącu za każdym razem (a prokuratorzy, rzecz jasna, nie odmawiali). Byłoby więc głupotą narażać własne zdrowie, nie wykorzystywać tych możliwości zwłoki i — jak to mówią na fabrykach — samemu podwyższać własną normę. Urobiwszy ręce i gardło w czasie pierwszego, szturmowego tygodnia każdego śledztwa, wysiliwszy swoją wolę i charakter (o którym mówił Wyszyński), funkcjonariusze śledczy zainteresowani byli w tym, aby każdą sprawę przedłużać, żeby jak najwięcej było spraw starych, nie denerwujących, a jak najmniej nowych. Uchodziło po prostu za nieprzyzwoitość, jeśli ktoś zamykał śledztwo w terminie dwóch miesięcy.

System państwowy sam sobie wymierzał karę za własną nieufność i brak elastyczności. Nie ufał nawet swojej wyborowej kadrze: na pewno oni też musieli podpisywać listę obecności przy każdym wejściu i wyjściu; dla więźniów wzywanych na śledztwo było to obowiązkiem, dla kontroli. Co miał robić funkcjonariusz śledczy, żeby księgowość miała podstawę do zaliczenia mu roboczych godzin? Wzywał któregoś ze swoich przesłuchiwanych więźniów, sadzał go w kącie, zadawał byle jakie pytanie na postrach — i, tak dobrze jak zapominał o nim; czytał gazetę od deski do deski, pisał konspekt z wychowania politycznego, albo prywatne listy, chodził w gości do kolegów (sadzając na swoim miejscu cerbera — strażnika). Mile gawędząc na otomanie z przybyłym w odwiedziny kolegą, śledczy czasem wracał do rzeczywistości, groźnie spoglądał na więźnia i mówił:

— Widziałeś gada? To jest dopiero gad! No, nie szkodzi, nie pożałuję dla niego *dziewięciu gramów!*

Mój śledczy czynił jeszcze szeroki użytek z telefonu. Tak więc, dzwonił do swojego domu i mówił żonie, zerkając w moją stronę, że dziś będzie przez całą noc prowadził przesłuchanie, tak, żeby nie spodziewała go się wcześniej, niż rano (serce mi zamierało: a więc przez całą noc mam tu tkwić!). Ale zaraz potem nakręcał numer swojej kochanki i wśród kocich pomruków umawiał się z nią, że zaraz u niej będzie i zostanie na noc (no, to sobie człowiek pośpi! — i robiło mi się lżej na sercu).

Nieskazitelny system łagodziły tylko skazy na duszach wykonawców.

Niektórzy, bardziej ciekawi świata funkcjonariusze śledczy, lubili wykorzystywać takie „jałowe" przesłuchania dla poszerze-

nia kręgu swoich życiowych doświadczeń: kazali sobie opowiadać o froncie (o tych właśnie niemieckich czołgach, pod które wciąż jakoś nie mieli czasu się rzucić); o obyczajach, panujących w europejskich i zamorskich krajach, jeśli tam więzień bywał; o zagranicznych sklepach i wyrobach; zwłaszcza zaś — o tamecznych burdelach i o różnych przygodach z babami.

Kodeks postępowania karnego przewiduje, że prawidłowy przebieg śledztwa w każdym przypadku czujnie nadzorowany jest przez prokuratora. Ale nikt go za naszych czasów nie widział na oczy — aż do tak zwanego „przesłuchania prokuratorskiego", dającego do poznania, że śledztwo dobiegło już końca. Mnie także zaprowadzono na takie przesłuchanie. Podpułkownik Kotow — spokojny, syty blondyn, o twarzy pozbawionej wszelkiego wyrazu, ani zły, ani dobry, w ogóle nijaki, siedział przy biurku i ziewając przeglądał pierwszy raz w życiu akta mojej sprawy. Przez jakieś piętnaście minut — już w mojej obecności — wnikał w nią, nie przerywając milczenia (ponieważ przesłuchanie to było konieczną formalnością i też podlegało rejestracji, więc nie miało sensu przeglądanie moich akt w innym, nie podlegającym zaliczeniu czasie, a tym bardziej nie opłacało się przez ileś tam godzin obciążać pamięci szczegółami sprawy). Wlepił wreszcie w ścianę zupełnie obojętny wzrok i leniwie zapytał, co jeszcze mogę dodać do swoich zeznań.

Powinien by zapytać: czy mam jakieś skargi w związku ze śledztwem? czy nikt na moją wolę nie wywierał niedozwolonego nacisku, czy nie było aktów pogwałcenia prawa? Ale żaden prokurator już od dawna tak nie pytał. A gdyby nawet spytał? Przecież ten gmach ministerstwa z całym swoim tysiącem gabinetów i pięcioma tysiącami jego korpusów śledczych, wagonów, pieczar i ziemianek, rozrzuconych po całym Związku, wszystko to żyło tylko z gwałcenia prawa i nie było w mocy nas dwóch — aby to zmienić. Zresztą, wszyscy prokuratorzy choć trochę wyższej rangi obejmowali swoje stanowiska tylko za zgodą tegoż samego bezpieczeństwa, które... powinni byli kontrolować.

Jego ospałość, i pojednawczość, i zmęczenie, o jakie przyprawiły go te wszystkie nieskończenie głupie SPRAWY — jakoś mnie też się udzieliły. Nie poruszyłem więc kwestii zasadniczej. Poprosiłem tylko o poprawienie jednej, już zbyt widocznej niedorzeczności: oskarżonych było dwóch, ale śledztwo prowadzono dla każdego z osobna (ja byłem przesłuchiwany w Moskwie, mój przyjaciel — na froncie), w ten sposób moja sprawa dotyczyła mnie j e d n e g o, a tymczasem odpowiadałem z 11-ego paragrafu, to znaczy — jako g r u p a, o r g a n i z a c j a. W kon-

sekwencji poprosiłem go, aby skreślił ten dodatkowy, 11-ty paragraf.

Jeszcze przez pięć minut wertował moje akta, westchnął, rozłożył ręce i powiedział:

— No, cóż? Jednostka — to człowiek, a dwie jednostki — to już ludzie.

Więc półtora człowieka — to organizacja?

I nacisnął guzik dzwonka, żeby mnie wyprowadzono.

Wkrótce potem, późnym wieczorem w końcu maja, do tego samego gabinetu prokuratorskiego, gdzie na marmurowym okapie kominka stał brązowy zegar z figurynkami, wezwał mnie mój śledczy na „dwieście szósty", jak — z uwagi na numer artykułu KPK — nazywała się procedura przeglądu przez samego oskarżonego akt sprawy, pod którym miał złożyć ostatni podpis. Wcale nie wątpiąc, że podpis mój ma w kieszeni, śledczy siedział i szybko pisał akt oskarżenia.

Otworzyłem gruby skoroszyt i już na wewnętrznej stronie okładki znalazłem, uwiecznioną w druku, wstrząsającą wiadomość: okazuje się, że podczas śledztwa miałem prawo wnoszenia na piśmie skarg, odnoszących się do wszelkich nieprawidłowości w jego przebiegu — oficer śledczy zaś miał obowiązek wszywania tych moich skarg do akt w porządku chronologicznym! W trakcie śledztwa! Ale nie po jego zakończeniu...

Niestety, o tym prawie nie miał pojęcia nikt z tysięcy aresztantów, z którymi później siedziałem.

Wertowałem akta dalej. Zobaczyłem fotokopie moich listów — i zupełnie wypaczoną ich interpretację, dzieło anonimowych komentatorów (takich, jak kapitan Libin). Zobaczyłem kłamliwe hiperbole, do których kapitan ten sprowadził moje ostrożne zeznania. I wreszcie — tę niedorzeczność, że ja, pojedynczy człowiek oskarżony byłem jako jednoosobowa „grupa".

— Nie zgadzam się. Śledztwo prowadzone było nieprzepisowo — powiedziałem niebardzo pewnym tonem.

— No dobra, to zaczniemy wszystko na nowo! — powiedział śledczy, krzywiąc złowieszczo wargi. — Szurniemy cię do takiej dziury, gdzie niemieccy policaje siedzą.

I nawet jakby już rękę wyciągnął, żeby odebrać mi tom akt. (A ja prędko przytrzymałem go palcem).

Świeciło złociste słońce zachodu hen, za szybami czwartego piętra Łubianki. Gdzieś tam był maj. Okna gabinetu, jak wszystkie frontowe okna ministerstwa, były zatrzaśnięte na głucho, nie usunięto z nich nawet zimowej uszczelki — żeby gorący oddech i zapach kwitnących drzew nie mógł wtargnąć do tego siedliska

tajemnicy. Brązowy zegar na kominku, z którego właśnie spełzł ostatni promień, wybił cicho godzinę.

Na nowo?... Łatwiej chyba byłoby umrzeć, niż zacząć wszystko jeszcze raz na nowo. Jakieś tam życie przecież było w perspektywie. (Gdybym to wiedział — jakie życie!...). A potem — ta dziura, gdzie policajów trzymają. I w ogóle — nie trzeba go złościć, od tego zależy, w jakim tonie będzie napisany akt oskarżenia.

Podpisałem. Podpisałem razem z tym 11-tym paragrafem. Nie znałem jeszcze wtedy jego wagi, mówiono mi tylko, że wymiaru on nie zwiększa. Przez ten 11-ty paragraf trafiłem do katorżniczego obozu. Przez ten sam 11-ty paragraf już po „zwolnieniu" zostałem bez żadnego nowego wyroku wyekspediowany na wieczne zesłanie.

A może tak jest lepiej. Bo gdyby nie to i owo — nie napisałbym tej książki.

Mój śledczy nie stosował wobec mnie żadnych środków nacisku, prócz bezsenności, kłamstwa, zastraszania — metod zupełnie legalnych. Dlatego nie miał potrzeby — jak to dla lepszej asekuracji robią oficerowie śledczy, czujący, że nabroili — podsunąć mi przy „206-tym" do podpisu zobowiązanie do milczenia: że taki, a taki zobowiązuje się pod groźbą odpowiedzialności prawnej (nie wiadomo z jakiego artykułu) nigdy i nikomu nic nie mówić o metodach prowadzenia śledztwa.

W niektórych okręgowych delegaturach NKWD ten zabieg przeprowadzony był seryjnie: blankiet „zobowiązania do nierozgłaszania" podsuwano aresztantowi razem z wyrokiem Kolegium Specjalnego. (A później, już przy zwolnieniu z obozu — zobowiązanie, że nigdy nikomu nie będzie mówił o życiu w obozie).

No i cóż, nasz nawyk pokory, nasz zgięty (albo przetrącony) grzbiet nie pozwalały nam na odmowę, ani na oburzenie wobec tej bandyckiej metody zacierania śladów.

Gdzieś nam się zagubiły MIERNIKI WOLNOŚCI. Nie mamy tego, co niezbędne, aby określić, gdzie ona się zaczyna, a gdzie się kończy. Jesteśmy Azjaci, wciąż od nas biorą, biorą i biorą bez końca te zobowiązania do milczenia. Bierze je każdy, kto ma chęć.

Już nie jesteśmy pewni — czy aby mamy prawo opowiadać o kolejach naszego własnego życia?

IV.

BŁĘKITNE WYŁOGI

Podczas całego tego miażdżenia w trybach wielkiej Nocnej Instytucji, gdzie nasze dusze biorą na przemiał, a ciała — drą na strzępy, jak łachy gałganiarza — za bardzo cierpimy, zbyt jesteśmy zatopieni we własnym bólu, aby przenikliwym i jasnowidzącym okiem przyjrzeć się wybladłym nocnym k a t o m, którzy nas męczą. Wzbierające w nas nieszczęście zalewa nam oczy — gdyby nie to, jakimiż to bylibyśmy kronikarzami dla naszych dręczycieli! — bo sami siebie nie opiszą w całej okazałości. Ale niestety — każdy były aresztant dokładnie wspomina swoje śledztwo, wspomni, jak go przyciskano i jaką ropę z niego wyciśnięto — a często nie pamięta nawet nazwiska swojego śledczego, co dopiero, żeby miał o nim pomyśleć jako o człowieku. Ja też o każdym moim sąsiedzie z celi potrafię powiedzieć coś ciekawszego i pełniejszego niż o kapitanie bezpieczeństwa Jezepowie, z którym niemało nasiedzieliśmy się w gabinecie twarzą w twarz.

Wszystkim pozostało w pamięci jedno tylko oczywiste wrażenie: zgnilizny — dziedziny całkowicie przeżartej gniciem. Po całych dziesięcioleciach, już bez żadnego gniewu, czy poczucia krzywdy, w sercu już uciszonym, została ta zupełna pewność: to byli niscy, dyszący złością, niegodziwi i — być może — zaplątani ludzie.

Wiadomo, że Aleksander II — właśnie ten car, którego rewolucjoniści wciąż trzymali w szachu i siedmiokrotnie próbowali zabić — któregoś dnia odwiedził zakład śledczy na ulicy Szpalernej (protoplastę Wielkiego Domu), kazał się zamknąć w pojedynce numer 227 i przesiedział tam przeszło godzinę — bo chciał wczuć się w stan ducha tych, których tam więził.

Nie można zaprzeczyć, że, jak na władcę, był to odruch moralny, dowód potrzeby i chęci zrozumienia duchowej strony problemu.

Ale nie sposób wyobrazić sobie, aby ktoś z naszych śledczych, do Abakumowa i Berii włącznie, zechciał choćby na godzinę wleźć w skórę więźnia, żeby posiedział i porozmyślał w pojedynce.

Z tytułu swojej pracy nie mają potrzeby być ludźmi wykształconymi, rozległej kultury i szerokich poglądów — toteż nie są nimi. Praca nie wymaga od nich umiejętności logicznego myślenia — toteż nie bawią się w to.

Ich praca wymaga tylko ścisłego wykonania dyrektyw i braku współczucia dla cierpień — to jest ich mocna strona, to umieją. My, którzy przeszliśmy przez ich ręce, odgadujemy intuicyjnie ich kształty wewnętrzne, odarte do naga z ludzkich uczuć i pojęć.

Kto jak kto, ale oficerowie śledczy wiedzą dokładnie, że s p r a w y są lipne! Przecież oni — poza oficjalnymi odprawami — nie mogli sobie i kolegom powtarzać serio, że demaskują zbrodniarzy? A jednak — pisali protokoły, arkusz po arkuszu, żeby nas zgnoić? Czy to nie zgadza się zatem z zasadą złodziejskiej moralności: „ja zdechnę jutro, ale ty już dzisiaj!".

Wiedzieli, że sprawy są lipne, a jednak trudzili się w pocie czoła przez całe lata. Jakże więc?...

Albo zmuszali się, aby NIE MYŚLEĆ (a to już oznacza destrukcję własnej osobowości), bo zakładali po prostu, że tak trzeba! Że ci, co piszą dla ciebie instrukcje, nie mogą się mylić.

Czy pamiętamy, że hitlerowcy posługiwali się tym samym argumentem[1]?

Albo też — Przodująca Teoria Naukowa, granitowa ideologia. Oficer śledczy ze złowieszczego Ortukanu (karna kolonia kołymskich obozów, 1938), udobruchany ustępliwością M. Luriego, b. dyrektora kombinatu metalurgicznego w Krzywym Rogu, który zgodził się pokwitować powtórny, obozowy wyrok na siebie samego — tak mu się zwierzył w jakiejś wolnej chwili: „Ty

1. Nikt nie może się uchylić od przeprowadzenia tego porównania: zbyt duża jest zbieżność i dat, i metod. Konfrontacja była czymś jeszcze bardziej naturalnym dla ludzi, którzy mieli do czynienia i z Gestapo i z MGB, jak np. Aleksy Iwanowicz Diwnicz, emigrant, kaznodzieja prawosławny. Gestapo zarzucało mu działalność komunistyczną wśród rosyjskich robotników, wywiezionych do Niemiec, MGB — współpracę z międzynarodową burżuazją. Wnioski Diwnicza nie przemawiały na korzyść MGB: pastwiono się i tu, i tam, ale Gestapo chciało jednak wydostać z człowieka prawdę i gdy zarzuty się nie potwierdziły — Diwnicz został wypuszczony. MGB zaś nie szukało prawdy i nie miało zamiaru wypuścić z pazurów nikogo, kto raz się w nie dostał.

myślisz, że nam sprawia przyjemność stosowanie środków nacisku[2]? Ale powinniśmy robić to, czego od nas wymaga partia. Jesteś starym członkiem partii, powiedz, co byś ty robił na naszym miejscu?" I wygląda na to, że Lurie prawie że się z nim zgodził (może dlatego podpisał z taką łatwością, że sam już tak myślał?). Bo to przekonywa, to słuszne.

Ale najczęściej — to cynizm. Błękitne wyłogi znały mechanizm maszynki do mięsa i lubiły go. Śledczy Mironienko w Dżydinskich obozach (1944 r.) tak prawił skazanemu Babierowi, popisując się logiką swego rozumowania: „Śledztwo i sąd — to tylko nadanie formy prawnej, to już nie może wpłynąć na wasz los, bo jest on o k r e ś l o n y z g ó r y. Jeśli trzeba was rozstrzelać, to możecie być absolutnie niewinnym człowiekiem — wszystko jedno, będziecie rozstrzelani. Jeśli trzeba was uniewinnić (odnosi się to zapewne do SWOICH — A.S.) to możecie mieć tysiąc win — będziecie oczyszczeni z nich i wyjdziecie na wolność".

— Naczelnik 1-go oddziału śledczego Zarządu Okręgowego Bezpieczeństwa Państwowego Zachodniego Kazachstanu Kusznariow, tak palnął do Adolfa Cywilki: „Toć nie można cię wypuścić, skoroś z Leningradu!" (to znaczy z długim partyjnym stażem).

„Dajcie tylko człowieka, paragraf się znajdzie!" — to właśnie wielu z nich tak dowcipkowało, to było ich powiedzonko. To, co w naszym języku nazywa się torturą, dla nich jest — dobrą robotą. Żona śledczego Mikołaja Grabiszczenko (kanał wołżański) mówiła sąsiadom z rozczuleniem: „Kola jest bardzo dobrym fachowcem. Jeden taki długo nie chciał się przyznać — więc powierzono go Koli. Kola z nim porozmawiał sobie w nocy — i tamten zaraz się przyznał".

Dlaczego jednak z taką gorliwością wprzęgli się oni do wyścigu — nie o prawdę, tylko o LICZBĘ poddanych obróbce i skazanych? Dlatego, że tak im było WYGODNIEJ, że w ten sposób nie oddalali się od głównego nurtu. Dlatego, że te liczby — to było ich spokojne życie, ich dodatki do pensji, ich premie, ich awanse, to był rozrost i prosperowanie samych Organów. Mając dobre wskaźniki ilościowe, można było i trochę powałkonić się, i pozwolić sobie na fuszerkę, i spędzić wesoło nockę (tak też robili). Niskie wskaźniki cyfrowe doprowadziłyby zaś do rozpędzenia i degradacji, do utraty tego żłobu — bo Stalin nie byłby w stanie uwierzyć, że w jakimś powiecie, mieście lub jednostce wojskowej nie ma wcale wrogów.

---

2. Jest to pieszczotliwa nazwa TORTUR.

Tak więc — nie uczucie litości, lecz urazy i rozdrażnienia budzili w nich ci oporni dranie, aresztanci, którzy nie chcieli się przekształcać w cyfry, którym nie dawały rady ani bezsenność, ani karcer, ani głód! Nie chcąc przyznać się do winy — podważali pozycję śledczego! To tak, jakby próbowali jego samego wywalić! — A tu już wszystkie sposoby są dobre! Jak wojna, to wojna! Szlauch ci w gardło, chlej słoną wodę!

Ze względu na rodzaj zajęcia i dokonany wybór życiowy — wyzbyci WYŻSZEJ kategorii ludzkich przeżyć, służebnicy Błękitnej Instytucji z tym większą intensywnością i łapczywością oddawali się życiu w strefie niższej. Tam zaś władały nimi i kierowały najsilniejsze (prócz głodu i popędu płciowego) instynkty niższej strefy: instynkt WŁADZY i instynkt ZYSKU. (Przede wszystkim — władzy. W naszych czasach okazała się ona ważniejsza od pieniędzy).

Władza — to trucizna, to wiadomo od tysiącleci. Obyż to nikt nigdy nie pozyskał władzy materialnej nad innymi! Ale dla człowieka, który wierzy, że jest nad nami coś wyższego — i jest dlatego świadomy własnej ograniczoności — władza nie jest jeszcze śmiertelną groźbą. Dla ludzi bez owej wyższej strefy, władza — to jad trupi. Jeżeli się nim zarażą — to nie ma ratunku.

Pamiętacie, co Tołstoj pisze o władzy? Iwan Iliicz miał taką pozycję urzędową, że mógł zgubić każdego, kogo zgubić miałby chęć! Wszystkich bez wyjątku miał w ręku, każdego, najwyższej nawet rangi, można było sprowadzić do niego w charakterze oskarżonego. (Ależ to mowa o naszych błękitnych! Nic dodać, nic ująć!) Świadomość tej władzy („i możliwość jej miarkowania" — zastrzega się Tołstoj, ale to już nie odnosi się do naszych zuchów) stanowiły dla niego najciekawszą i najbardziej atrakcyjną stronę pracy.

Gdzie tam atrakcyjną — upajającą! Przecież to upaja — jesteś jeszcze młody, mówiąc między nami — smarkacz, jeszcze niedawno rodzice łamali nad tobą ręce, nie wiedzieli — co z tobą począć, taki głupi — a uczyć się nie chce, ale pochodziłeś trzy latka do tej uczelni — i jak wysoko się wzniosłeś! jak zmienia się twoja sytuacja życiowa! jakiej zmianie uległy twoje ruchy, spojrzenie, sposób obracania głowy! Odbywa się posiedzenie rady naukowej instytutu. Wchodzisz — i zaraz każdy zwraca uwagę, każdy wzdrygnął się nawet; nie pchasz się do prezydium, niech tam rektor świeci oczyma, ty siądziesz sobie

z boku, ale wszyscy rozumieją, że to ty jesteś tu najważniejszy — ty, specwydział. Możesz posiedzieć pięć minut i wyjść, na tym polega twoja wyższość nad profesorami, mogą cię wzywać jakieś ważniejsze sprawy — ale później nad ich rezolucją zmarszczysz tylko brwi (albo jeszcze lepiej — skrzywisz wargi) i powiesz do rektora: „Nie można, są p e w n e w z g l ę d y..." I już! I nic z tego! Albo — jesteś w specoddziale, w SMIERSZ'u, masz zaledwie rangę lejtnanta, ale stary, dorodny pułkownik, dowódca jednostki, na twój widok wstaje, stara ci się przypochlebić, dogodzić, nie wypije kieliszka wódki z naczelnikiem sztabu, żeby nie zaprosić cię do towarzystwa. To nic, że masz tylko dwie małe gwiazdki, to nawet zabawne: przecież twoje gwiazdki mają całkiem inny ciężar, mierzy się je zupełnie inną miarką niż te, co noszą zwyczajni oficerowie (czasami, przy specakcjach, pozwala się wam przypiąć inne, choćby i majorowskie, to jest jak pseudonim, rzecz umowna). Nad wszystkimi ludźmi w tej jednostce wojskowej, w tej fabryce, albo w tym rejonie masz władzę, sięgającą nieporównanie głębiej, niż władza dowódcy, dyrektora, sekretarza rejkomu. Od tamtych zależy praca, zarobki, dobre imię człowieka, od ciebie — jego wolność. I nikt nie ośmieli się wspomnieć ciebie na zebraniu, nikt nie ośmieli się napisać o tobie w gazecie — ach, nie tylko źle! d o b r z e — też się nie ośmieli! Ciebie, jak tajemnicze bóstwo, nie wolno nawet wymieniać! Jesteś — i tyle, wszyscy czują twoją obecność! — ale jest tak, jakby cię nie było! I dlatego stoisz ponad władzą publiczną od chwili, gdy ukryła się pod tą błękitną czapką. Co TY robisz — nikt nie śmie kontrolować, ale każdy inny podlega twojej kontroli. Dlatego, w obecności zwykłych ludzi, tak zwanych obywateli (dla ciebie są to zwykłe klocki) najlepiej zachowywać nieprzenikniony, zamyślony wyraz twarzy. Przecież tylko ty wiesz, na czym polegają s p e c w z g l ę d y, nikt inny. Dlatego zawsze masz rację.

Jedno tylko zawsze miej na uwadze: ty też byłbyś takim klockiem, gdyby nie to, że szczęściem stałeś się ogniwkiem Organów — tej giętkiej, jednolitej, żywotnej istoty, żyjącej w państwie, jak soliter we wnętrzu człowieka — i teraz wszystko jest twoje! Wszystko stoi przed tobą otworem! — byle byś wierny był Organom! Rób wszystko, co ci każą! Same znajdą dla ciebie miejsce w życiu: dziś jesteś w specoddziale, jutro zajmiesz fotel oficera śledczego, a później może pojedziesz jako ekolog nad jezioro Seliger[3], być może także po to, aby podleczyć nerwy. Niewykluczone, że z miasta, gdzie trochę już za bardzo jesteś

3. 1931 r., Iliin.

znany, poślą cię później na drugi koniec kraju, by zostać pełnomocnikiem do spraw cerkwi[4]. Albo zostaniesz sekretarzem odpowiedzialnym Związku Literatów[5]. Nie dziw się niczemu: prawdziwe przeznaczenie człowieka i właściwe jego miejsce na drabinie służbowej znają tylko Organy, całej reszcie pozwalają tylko się pobawić: żyje sobie jakiś tam zasłużony artysta, albo bohater pól socjalistycznych, a dmuchnie człowiek — i już go nie ma[6].

Praca śledczego wymaga naturalnie wysiłku: trzeba bywać w gmachu we dnie, a także i w nocy, przesiadywać godzinami — ale nie musisz łamać sobie głowy nad „dowodami" (niech więźnia o to głowa boli), nie zastanawiaj się — winny, czy niewinny — rób tak, jak chcą Organy i wszystko będzie dobrze. Od ciebie samego już będzie zależeć, żeby śledztwo było jak najprzyjemniejsze, żeby nie za bardzo się zmęczyć, żeby coś przy okazji mieć z tego interesu, to byłoby dobrze, żeby przynajmniej mieć rozrywkę! Siedzi człowiek i siedzi i nagle przychodzi do głowy nowy sposób n a c i s k u ! — eureka! — dzwoń do przyjaciół, wstąp do paru gabinetów, opowiedz — ale śmiechu! a spróbować by, chłopaki, tylko na kim? Przecież nudno patrzeć wciąż na jedno i to samo, nudne są te trzęsące się ręce, błagalne spojrzenia, tchórzliwa pokora, żeby chociaż który się sprzeciwił, co? „Lubię silnych przeciwników. Przyjemnie łamać im grzbiet[7]!"

A jak trafi się taki silny, że się nie podda, że wszystkie twoje sposoby na nic? Wściekasz się? Nie hamuj wściekłości! To wielka przyjemność, to jest jak lot — pofolgować swojej wściekłości bez przeszkód! Rozmach! Właśnie w takim stanie ducha pluje się przeklętemu więźniowi w rozwarty pysk! i wciska mu się gębę w pełną spluwaczkę[8]! Właśnie wtedy ciągnie się popów za włosy! i szczy się w jadaczkę klęczącemu człowiekowi! Po ataku wściekłości czujesz się prawdziwym mężczyzną!

Albo przesłuchuje się „dziewczynę od cudzoziemca"[9]. No, zwymyśla się ją, no, rzuci się pytanie: „A co, taki Amerykanin to ma... szlifowanego, na wysoki połysk, czy jak? Co, ruskich ci było mało?" I nagle — pomysł: toż ona u tych cudzoziemców tego i tamtego się nauczyła. Nie tracić okazji, to coś w rodzaju

4. Srogi jarosławski śledczy — Wołkopiałow — pełnomocnik do spraw Cerkwi w Mołdawii.

5. Inny Iliin, Wiktor Nikołajewicz, były generał-lejtnant bezpieczeństwa.

6. Ktoś ty taki? — zapytał generał Sierow w Berlinie biologa światowej sławy, Timofiejewa-Ressowskiego. — A ty ktoś taki? — odpalił mu rezolutnie T. Ressowski ze swoim dziedzicznym, kozackim zawadiactwem. — Jest pan uczonym? — zreflektował się Sierow.

7. Powiedział to do G.G.-wa leningradzki śledczy Szytow.

8. Wypadek z Wasiliewem u Iwanowa-Razumnika.

9. Estera R., 1947.

delegacji zagranicę! I zaczynasz ją badać już bez pardonu: „Jak to robiliście? w jakich pozycjach?... a jeszcze w jakich?... szczegóły! każdą drobnostkę! (i dla siebie się przyda i kolegom opowiem!). Dziewucha cała w pąsach, i we łzach, mamrocze, że to sprawy nie dotyczy — „właśnie, że dotyczy! gadaj!" I patrz, co to znaczy mieć władzę — ona ci wszystko szczegółowo opowie, jak zechcesz, to narysuje, jak zechcesz — to własnym ciałem pokaże, bo nie ma wyjścia, w twoich rękach jest jej karcer i jej wyrok.

Zamówiłeś[10] stenotypistkę do notowania zeznań. Przysłali ci przystojną, więc zaraz zacznij się do niej dobierać, w obecności więźnia-smarkacza[11] — co się go masz krępować, alboż to człowiek?

Zresztą, kogo w ogóle masz się wstydzić? Toż — jeżeli lubisz baby (a kto ich nie lubi?) — to głupcem będziesz, jak nie wykorzystasz swojej pozycji. Jedne polecą na twoją siłę, inne ulegną ze strachu. Wpadła ci gdzieś w oko dziewczyna, zapamiętaj ją sobie, będzie twoja, nigdzie się nie podzieje. Cudza żona ci się trafiła, wszystko jedno, czyja — już twoja! — bo to fraszka usunąć z drogi jej męża[12].

Nie, to trzeba samemu przeżyć — co to znaczy nosić błękitną czapkę! Każda rzecz, jaka ci w oko wpadnie — jest twoją!

---

10. Śledczy Pochilko, GB w Kamerowie.

11. Uczeń Misza B.

12. Dawno już mam w teczce temat do opowiadania „popsuta żona". Ale chyba nie zdobędę się, żeby to napisać; oto on. W pewnej dalekowschodniej jednostce lotniczej — rzecz dzieje się przed wojną w Korei — pewien podpułkownik, po powrocie z delegacji dowiedział się, że żona w szpitalu. Tak się stało, że lekarze powiedzieli mu prawdę: jej organy płciowe są okaleczone na skutek patologicznego zachowania się partnera. Podpułkownik skoczył do żony, i wydobył z niej wyznanie, że chodzi o specoddziałowca ich jednostki, starszego lejtnanta (zresztą, zdaje się, nie bez pewnej skłonności z jej strony). Podpułkownik w pasji wbiegł do gabinetu rywala, wyciągnął pistolet i groził, że go zabije. Ale bardzo szybko starszy lejtnant doprowadził do tego, że podpułkownik spuścił z tonu i wyszedł z gabinetu pokonany i godny litości: zagroził, że zgnoi go w najgorszym obozie, gdzie ludzie modlą się o śmierć bez mąk. *Rozkazał* mu przyjąć z powrotem żonę jak leci (były tam już jakieś zmiany nieodwracalne), żyć z nią, nie ośmielać się mówić o rozwodzie, ani skarżyć się — to była cena za pozostanie na wolności! I podpułkownik wszystko posłusznie wykonał (opowiedział mi to kierowca tego lejtnanta ze specodziału).

Podobnych wypadków powinno być sporo: jest to dziedzina, gdzie człowieka najbardziej kusi, żeby skorzystać ze swojej władzy. Pewien gebista zmusił (1944) córkę generała armii do małżeństwa ze sobą, grożąc jej, że w przeciwnym wypadku wsadzi ojca. Dziewczyna miała narzeczonego, ale — chcąc ratować ojca — wyszła za mąż za gebistę. W trakcie swego krótkiego pożycia małżeńskiego prowadziła pamiętnik, oddała go ukochanemu i popełniła samobójstwo.

Każde mieszkanie, jakie ci się spodoba — jest twoje! Każda baba — twoja! Każdego wroga — z drogi! Ziemia pod nogami — też twoja! I niebo nad głową — twoje, błękitne!!

A już namiętość posiadania — to wspólna ich pasja. Jak tu takiej władzy i takiego braku kontroli nie wykorzystać dla wzbogacenia się? Toż trzeba by być ś w i ę t y m ! . . .

Gdyby dane nam było poznać ukryte motywy poszczególnych aresztowań, to ze zdziwieniem moglibyśmy stwierdzić, że — przy ogólnej tendencji do w s a d z a n i a — konkretna decyzja k o g o wsadzić, los poszczególnych jednostek, w trzech czwartych wypadków zależał od czyjejś chęci zysku czy mściwości, a połowa tych przypadków — od interesownych rachub miejscowego NKWD (i naturalnie — prokuratora — nie trzeba ich rozdzielać).

Jak zaczęła się, na przykład, 19-toletnia wędrówka W. G. Własowa po Archipelagu? Od tego, że Własow, kierownik rejonowej Spółdzielni Spożywców zarządził sprzedaż towarów tekstylnych (których by dzisiaj nikt nawet do ręki nie wziął...) dla aktywu partyjnego (że nie dla wszystkich, to nikomu nie przeszkadzało), a żona prokuratora nie zdążyła skorzystać: nie było jej na miejscu, a prokurator Rusow krępował się sam podejść do lady, Własow zaś nie połapał się, nie powiedział „nie szkodzi, ja dla was zostawię" (zresztą, charakter by mu nigdy nie pozwolił powiedzieć coś takiego). Nie dość na tym: Prokurator Rusow przyprowadził do specjalnej stołówki dla aparatu (były takie w latach 30-tych) przyjaciela, nie mającego przydziału do niej (to znaczy — niższej rangi), kierownik zaś stołówki nie pozwolił przyjaciela obsłużyć. Prokurator zażądał od Własowa, aby kierownika ukarał, ale Własow nie zrobił tego. I jeszcze jakiś podobny afront zrobił rejonowemu NKWD. Zaliczony więc został do prawicowej opozycji.

Motywy i posunięcia błękitnych wyłogów bywają tak małostkowe, że nieraz bierze podziw. Pełnomocnik operacyjny Sienczenko skonfiskował aresztowanemu oficerowi mapnik i polówkę, a potem w jego obecności posługiwał się nimi. Innemu aresztowanemu, przez sprytną redakcję protokołu, odebrał zagraniczne rękawiczki. (Przy ofensywach, to ich osobliwie muliło, że nie są pierwsi do szabrowania łupów). — Agent kontrwywiadu 48-mej Armii, który mnie aresztował, połasił się na moją papierośnicę — to była nawet nie papierośnica, ale jakieś niemieckie służbowe pudełko, tylko że czerwonego, wpadającego w oczy koloru. I dla tego śmiecia przeprowadził on cały manewr służbowy: z początku nie wprowadził pudełka do protokołu („to możecie sobie zatrzymać"), później kazał mnie znów obszukać, wiedząc dobrze, że

niczego więcej w kieszeniach nie ma. „A to co? Zabrać!" — a żebym nie protestował: „Do karceru z nim!" (Jaki carski żandarm śmiałby się tak zachować wobec frontowego żołnierza?). — Każdemu śledczemu należał się przydział tylu a tylu papierosów, aby dla zachęty częstować przyznających się i donosicieli. Byli tacy, co wszystkie te papierosy fasowali dla siebie. — Nawet z godzinami śledztwa — godzinami nocnymi, za które płaci się im dodatki — pozwalają sobie na szachrajstwa: widywaliśmy na nocnych protokołach sztucznie rozciągnięte terminy „od" i „do". — Śledczy Fiodorow (stacja Reszety) przy rewizji w mieszkaniu niejakiego Korzuchina sam ukradł mu zegarek ręczny. — Śledczy Mikołaj Iwanowicz Krużkow podczas leningradzkiej blokady powiedział do Elżbiety Wiktorowny Strachowicz, żony jego więźnia śledczego, K. I. Strachowicza: „Potrzebna mi jest kołdra watowa. Przynieście!" Kobieta odparła: „Ten pokój, gdzie są nasze ciepłe rzeczy jest opieczętowany!" Śledczy pojechał do ich domu; nie tykając plomby urzędowej odkręcił cały zamek („Tak pracuje NKGB!" wyjaśnił z uśmiechem) i zaczął grabić zimowe rzeczy, pakując jeszcze po drodze kryształy do kieszeni. (Elżbieta Wiktorowna ze swojej strony też wynosiła, co mogła z własnego majątku. „Dosyć tego plądrowania!" powstrzymywał ją Krużkow, dalej robiąc swoje[13]).

Podobne wypadki można cytować bez końca, można wydać tysiące „Białych ksiąg" (zaczynając już od roku 1918), starczy systematycznie przepytać aresztowanych i ich żony. Być może są i byli błękitni, którzy nigdy nie kradli, niczego sobie nie przywłaszczyli — ale ja sobie takiego błękitnego zupełne wyobrazić nie mogę! Nie rozumiem po prostu: co może powstrzymać człowieka z takim światopoglądem, jeżeli jakaś rzecz mu się podoba? Jeszcze na początku lat 30-tych, kiedy chodziliśmy w bluzach jungszturmu i budowali zręby pierwszej pięciolatki, oni spędzali wieczory w salonach, gdzie panowały maniery ziemiańsko-zachodnie — jak mieszkanie Konkordii Josse — a ich damy olśniewały zagranicznymi strojami — skąd więc to wszystko się brało?

A nawet ich nazwiska! Zupełnie jakby ich według tych nazwisk przyjmowano do służby! Na przykład w Kemerowskim GB okręgowym w początkach lat 50-tych służyli: prokurator T r u t n i e w, naczelnik wydziału śledczego major S z k u r k i n, jego zastępca podpułkownik B a ł a n d i n i śledczy S k o r o c h w a-

13. W 1954 r. ta energiczna i niestrudzona kobieta (mąż wszystko puścił w niepamięć, nawet wyrok śmierci i powtarzał: co tam, nie trzeba!) występowała jako świadek oskarżenia w procesie Krużkowa. Ponieważ nie był to pierwszy wypadek i ponieważ Krużkow działał na szkodę Organów, dostał 25 lat. Czy aby na długo go zamknęli?...

t o w*. Tego nikt by nie wymyślił. A jeszcze wszyscy do kupy! (O Wołkopjałowie, o Grabiszczence już mówiłem). Czy naprawdę nic się nie odbija w ludzkich nazwiskach, a jeszcze w takim zagęszczeniu?

Ach, ta pamięć aresztancka: I. Korniejew zapomniał nazwiska tego pułkownika bezpieczeństwa, przyjaciela Konkordii Josse (okazało się, że była ich wspólną znajomą), z którym razem siedział we Włodzimierskim izolatorze. Pułkownik ten był wcieleniem instynktu władzy oraz instynktu zysku, złączonych nierozdzielnie. W pierwszych miesiącach 1945 roku, u szczytu sezonu łupów wojennych, wyprosił skierowanie do tego działu Organów, który (pod wodzą samego Abakumowa) kontrolował ten rabunek, to znaczy starał się jak najwięcej urwać — nie dla państwa, ale dla siebie (co mu się bardzo dobrze udało). Nasz bohater zgarniał całymi wagonami, wybudował sobie kilka dacz (jedną w Klinie). Po wojnie został mu taki rozmach, że gdy przybył jednego razu na dworzec w Nowosybirsku, kazał przepędzić wszystkich siedzących w restauracji, a dla siebie i swoich kompanów — sprowadzić dziewuchy i baby, które zmusił do tańczenia na golasa na stołach. Ale nawet to by mu uszło płazem, gdyby nie wykroczył przeciw innemu, ważniejszemu prawu: tak jak Krużkow zaczął działać na szkodę s w o i c h. Tamten okradał Organy, a ten zrobił chyba coś jeszcze gorszego: zakładał się, że uwiedzie żonę temu, czy owemu — i nie byle komu, tylko zwykle koledze, innemu oper-czekiście. Tego mu nie darowano! — wsadzono go do politizolatora z artykułu 58-go. Siedział zły, że ś m i e l i go wsadzić i nie miał wątpliwości, że jeszcze zmienią zdanie. (Może też zmienili).

Ta fatalność, żeby samemu w p a ś ć wcale nie tak rzadko przytrafia się błękitnym, stuprocentowej asekuracji tutaj nie ma, ale lekcja przeszłości jakoś ciężko im wchodzi do głowy. Chyba to znów skutek braku rozumu wyższego typu, ten niższy zaś podpowiada: rzadko kogo, rzadko kiedy, na pewno mnie to ominie, zresztą swoi nie dadzą zginąć.

S w o i rzeczywiście starają się nie opuścić kolegi w potrzebie, mają jakby milczącą umowę: s w o i m zapewniać przynajmniej ulgowe warunki (pułkownikowi I. J. Worobiewowi w marfińskim specwięzieniu, wspomnianemu już generałowi W. N. Iliinowi na Łubiance, gdzie siedział przeszło 8 lat). Tym, których wsadza się indywidualnie, za ich własne błędy, dzięki tej kastowej prze-

* Oto z czym kojarzą się Rosjanom te nazwiska: *Truteń* — jak po polsku, *szkura, szkurnik* — sobek, *balanda* — więzienna sałamacha, wreszcie — *skorochwatow* — skory do łapania.

zorności bywa zwykle nie tak źle — i w ten sposób znajduje usprawiedliwienie ich poczucie bezkarności, nigdy ich nie opuszczające podczas służby. Znane są zresztą niektóre wypadki, gdy obozowi pełnomocnicy operacyjni posłani byli po wyroku do ogólnych obozów, gdzie nawet spotykali byłych swoich podwładnych — zeków i wtedy kończyło się to dla nich niedobrze (na przykład oper Munszyn, który nienawidził zaciekle skazanych z 58-go artykułu i — opierając się na szemranych — został w końcu przez tychże szemranych zapchnięty pod nary). Nie mamy jednak sposobu, aby bardziej szczegółowo zbadać te wypadki i móc je lepiej wyjaśnić.

Wszystkim za to ryzykują ci gebiści, którzy porwani zostają przez p o t o k (oni też mają swoje potoki!...) Potok — to żywioł, silniejszy nawet od samych Organów i tu już nikt ci ręki nie poda, aby nie zostać samemu wciągniętym do tej samej przepaści.

Jeśli masz dobre informacje i ostrą świadomość czekisty, to jeszcze w ostatniej chwili możesz umknąć przed lawiną — wykazując, że ciebie ona nie dotyczy. Tak więc, kapitan Sapenko (nie ten charkowski stolarz-czekista, który zasłynął w 1918 roku rozstrzelaniami, gmeraniem szablą w brzuchu, łamaniem goleni, rozbijaniem głów odważnikami i przypalaniem ciała[14], ale może jakiś jego krewny?) nieszczęśliwym przypadkiem pojął z miłości za żonę niejaką Kochańską, repatriantkę z Chin, z KWŻD. I nagle, jeszcze przed narodzinami potoku, dowiedział się, że ludzie z KWŻD mają być wyaresztowani. Był on w tym okresie naczelnikiem oddziału operacyjnego w Archangielskim GPU. Zdecydował się, nie tracąc ani chwili: — ARESZTOWAŁ UKOCHANĄ ŻONĘ! — nawet nie za to, że była z KWŻD; skombinował jakąś inną przyczynę. Nie tylko, że ocalał sam, ale dostał awans, został naczelnikiem NKWD w Tomsku[15].

P o t o k i rodziły się na zasadzie jakiegoś tajemniczego prawa r o t a c j i kadr w Organach: periodycznie poświęcano jakąś małą ich część, aby pozostali mogli chodzić w aureoli czystości. Organy musiały zmieniać kadry częściej, niż na to pozwalała zwykła zmiana pokoleń: ławice gebistów musiały iść do sieci tak samo bezapelacyjnie, jak giną jesiotry na porohach rzecznych po to, aby narybek mógł zająć ich miejsce. Prawo to było dobrze widoczne dla każdego, kto zachował górną strefę władz umysłowych, ale sami błękitni ani rusz nie chcieli tego prawa uznać i jego skutków przewidzieć. Królowie organów, tuzy Organów

14. Roman Gul: *Dzierżynski.*
15. Też niezły temat, ile tu ich! — może komuś się spodoba.

i nawet sami ich ministrowie, w oznaczonym dniu i zapisanej w gwiazdach godzinie kładli głowy pod ostrze własnej gilotyny.

Jedną ławicę pociągnął za sobą Jagoda. Chyba sporo tych sławnych działaczy, których jeszcze będziemy podziwiać, przy omawianiu sprawy Kanału Białomorskiego, trafiło do tej ławicy, a ich nazwiska trzeba było później wykreślać z poematów.

Drugą ławicę wkrótce potem poprowadził Jeżow, którego panowanie niezbyt długo trwało. Niektórzy z najwaleczniejszych rycerzy roku 1937 zginęli w tym prądzie (ale nie trzeba przesadzać, wcale a wcale nie wszyscy najlepsi). Samego Jeżowa w śledztwie bito, wygląd miał żałosny. Osierocony został przez te aresztowania także sam GUŁag. Na przykład, razem z Jeżowem wsadzono naczelnika Działu Finansowego GUŁagu, i naczelnika Zarządu Sanitarnego GUŁagu, i naczelnika WOCHRy[16] GUŁagu, i nawet naczelnika Działu Operacyjnego GUŁagu — a więc zwierzchnika wszystkich obozowych k u m ó w.

A później ruszyła ławica Berii.

A okazały, czelny Abakumow potknął się jeszcze przedtem, oddzielnie.

Historycy Organów (jeżeli archiwa nie spłoną) opowiedzą nam to kiedyś krok po kroku, z cyframi, ze wszystkimi pełnymi blasku nazwiskami.

A ja tutaj — tylko odrobinę — o historii Riumina i Abakumowa, którą przypadkiem poznałem. (Nie będę tu powtarzać tego, co udało mi się o nich powiedzieć w innym miejscu[17].

Wywyższony przez Abakumowa, tegoż Abakumowa najbliższy powiernik — Riumin, w końcu 1952 przybiegł do niego z sensacyjną wiadomością: lekarz, profesor Ettinger, przyznał się do świadomie błędnego leczenia (w celu spowodowania przedwczesnej śmierci) Żdanowa i Szczerbakowa. Abakumow nie uwierzył. Po prostu znał sekrety tej kuchni i doszedł do wniosku, że Riumin za bardzo przesadził. (A Riumin lepiej się orientował, czego chce Stalin!) Dla kontroli — tegoż wieczoru przeprowadzili obaj przesłuchanie Ettingera metodą krzyżowych pytań i wyciągnęli z niego dwa różne wnioski. Abakumow — że nie ma żadnej „sprawy lekarzy", Riumin — że właśnie jest. Rano miano to sprawdzić jeszcze raz, ale w zgodzie z tradycją czarów, panującą w Nocnej Instytucji, ETTINGER TEJ SAMEJ NOCY UMARŁ! Rankiem Riumin — ponad głową Abakumowa i wcale

16. WOCHR — Uzbrojona Ochrona, dawniej — Wewnętrzna Ochrona Republiki.

17. Ob.: „Krąg pierwszy", wydany po polsku przez Instytut Literacki w Paryżu w przekładzie Michała Kaniowskiego (wyd. II. 1972).

go nie informując — zadzwonił do KC, prosząc o audiencję u Stalina! (Myślę, że nie to było jego najśmielszym posunięciem. Krok, po którym ryzykował już głową, wykonał poprzedniego dnia, gdy zdecydował się być innego zdania, niż Abakumow i — być może — zabić w nocy Ettingera. Ale kto przeniknie tajemnice tych D w o r ó w ! — a może był już wcześniej w kontakcie ze Stalinem?) Stalin przyjął Riumina, nadał bieg sprawie lekarzy, ABAKUMOWA zaś ARESZTOWAŁ. Dalej Riumin prowadził już sprawę lekarzy jakby samodzielnie i chyba nawet wbrew samemu Berii! (Istnieją poszlaki, że przed śmiercią Stalina Beria już był zagrożony — i może dlatego Stalin został usunięty). Jednym z pierwszych kroków nowego kierownictwa było anulowanie sprawy lekarzy. Został wtedy ARESZTOWANY RIUMIN (jeszcze za Berii), ale ABAKUMOWA NIE ZWOLNIONO! Na Łubiance zaczęto wprowadzać nowe porządki i — po raz pierwszy w jej historii — próg jej przekroczył prokurator (D. P. Terechow). Riumin wił się uniżenie — „nie jestem winien, niepotrzebnie tu siedzę", prosił o przesłuchanie, swoim zwyczajem ssał miętówkę i gdy Terechow zwrócił mu uwagę, wypluł cukierek na dłoń: „Ach, przepraszam". Abakumow zaś, jak to już pisaliśmy, roześmiał się: „Mistyfikacja". Terechow okazał mu upoważnienie do kontroli Więzienia Wewnętrznego MGB. „Można zrobić pięćset takich świstków" — zbył go Abakumow. Bolało go najbardziej, jako patriotę resortu, nawet nie to że siedzi, tylko że czynione są próby ograniczenia Organów, które nie powinny nikomu być podporządkowane! W lipcu 1953 odbył się (w Moskwie) sąd nad Riuminem i rozstrzelano go. Abakumow zaś dalej siedział! Podczas przesłuchania mówił Terechowowi: „Masz ładne oczy, nawet za bardzo[18]. Ż a l m i c i ę b ę d z i e r o z s t r z e l i w a ć ! Odczep się od mojej sprawy, odczep się po dobremu". Pewnego razu Terechow wezwał go i dał do przeczytania gazetę z wiadomością o zdemaskowaniu Berii. Abakumow przeczytał komunikat nie mrugnąwszy nawet okiem, przewrócił stronicę i zaczął czytać wiadomości sportowe. Innym razem, gdy przy przesłuchaniu obecny był gebista wysokiej rangi, niedawno jeszcze jego podwładny — Abakumow zapytał go: „Jak mogliście dopuścić do tego, żeby śledztwo w sprawie Berii prowadziło nie MGB, tylko prokuratura?!" Muliło

18. To prawda. W ogóle D. P. Terechow — to człowiek o nietuzinkowej sile woli i śmiałości (do sądzenia czołowych stalinowców w chwiejnej sytuacji konieczne były takie zalety), a chyba także bardzo bystry. Gdyby reformy Chruszczowa były bardziej konsekwentne, Terechow mógł był przy ich realizacji odegrać znaczną rolę. Tak oto nie dążą się u nas ukształtować postacie historycznych działaczy.

go wciąż to samo! („I ty wierzysz, że mnie, ministra bezpieczeństwa, oddadzą p o d s ą d ?!" — „Owszem". — „No to wkładaj c y l i n d e r, Organy są skończone!...". Oczywiście zbyt mrocznie wyobrażał sobie przyszłość, czego tu wymagać od feldjegra bez wykształcenia). Nie sądu bał się Abakumow; siedząc na Łubiance bał się tylko, że zostanie otruty. (Widać, że był nieodrodnym synem Organów!).

Odmówił całkowicie żywienia się więziennym wiktem i jadał tylko jajka, kupowane w kantynie. (Tu też nie starczało mu wyobraźni technicznej: myślał, że jajek nie można zatruć). Z arcybogatej łubiańskiej biblioteki wypożyczał wyłącznie... książki Stalina! (który go kazał zamknąć...) No, to już było raczej demonstracją, albo wynikiem przekonania, że zwolennicy Stalina muszą w końcu wziąć górę. Przesiedział w ten sposób dwa lata. Dlaczego nie został w końcu wypuszczony? Nie jest to naiwne pytanie. Jeśli zastosować tu miarę zbrodni przeciw ludzkości, to Abakumow był we krwi po czubek głowy, ale przecież nie on jeden! Tamtym zaś nic się nie stało. Tu też jest pewien sekret: krążyła głucha wieść, że to on swojego czasu osobiście znęcał się nad Lubą Siedych, synową Chruszczowa, żoną starszego jego syna, zesłanego za czasów Stalina do karnego batalionu, gdzie dosięgła go śmierć. Dlatego, to, posłany za kraty przez Stalina, sądzony był za czasów Chruszczowa (w Leningradzie) i 18 grudnia 1954 został rozstrzelany[19].

A trapił się niepotrzebnie: Organy przez to jeszcze nie zmarniały.

◆

Ale, jak głosi mądrość ludowa, mów na wilka — mów też i za wilkiem.

Skąd się wśród nas wzięło to wilcze plemię? Czy nie naszego ono chowu? Czy nie naszej krwi?

Naszej.

A więc — aby nie nazbyt już się chełpić niepokalanymi szatami cnoty, trzeba, aby każdy z nas zadał sobie pytanie: gdyby życie moje inaczej się złożyło, czy nie stałbym się ja sam takim oprawcą?

Straszne to pytanie, jeśli chcesz odpowiedzieć na nie uczciwie.

---

19. Jeszcze jedna z jego dygnitarskich fantazji: razem z naczelnikiem swojej ochrony, Kuźniecowem, przebierał się po cywilnemu, przemierzał Moskwę na piechotę i rozdawał, komu chciał, datki z funduszów operacyjnych Czeki. Czy nie pachnie to staroruskim obyczajem rozdawania jałmużny dla poratowania grzesznej duszy?

Wspominam trzeci rok moich studiów uniwersyteckich, jesień 1938 roku. Wzywają nas, chłopców z Komsomołu, do rejkomu organizacji raz, drugi, trzeci. Tam, prawie nie pytając o zgodę, dają do wypełnienia ankiety. Dość już tych waszych fizyk i chemii. Ojczyzna ma pilniejszą potrzebę: chce, abyście poszli do szkół NKWD. (Przecież to zawsze tak się mówi, że nie ktoś tam czegoś wymaga, tylko sama Ojczyzna, a w jej imieniu przemawia i wszystko lepiej wie jakaś sobie gruba ryba).

Rok wcześniej, tenże rejkom werbował nas do szkół lotniczych. Wtedy też wykręcaliśmy się, ale nie tak stanowczo, jak tym razem.

Po upływie ćwierci stulecia powiedzą nam teraz: no chyba, przecież wiedzieliście, jak dookoła wre od aresztowań, jak dręczą ludzi w więzieniach i w jakie błoto was wciągają. Nie!! Przecież s u k i śmigały po nocach, a myśmy byli właśnie ci dzienni, ze sztandarami. Skąd mieliśmy wiedzieć o aresztach, dlaczego mieliśmy sobie nimi zaprzątać głowy? Że zmieniono cały garnitur okręgowych dygnitarzy — to było dla nas zupełnie obojętne. Wsadzono dwóch-trzech profesorów, no to co, toć z nimi nie chodziliśmy na tańce, a egzaminy teraz pójdą jeszcze łatwiej. My, dwudziestoletni, kroczyliśmy w kolumnie marszowej rówieśników Października — i, jak należy się rówieśnikom, otwierała się przed nami jasna przyszłość.

Nie łatwo określić ten wewnętrzny, nie poparty żadnymi argumentami szkopuł, który nie pozwalał nam zgodzić się na pójście do szkoły NKWD. Na pewno nie brało się to z kursu materializmu historycznego, który przeszliśmy: wynikało z niego jasno, że walka z wrogiem wewnętrznym to gorąca linia frontu, to honorowe zadanie. Opór przeczył też naszej osobistej korzyści: prowincjonalny uniwersytet w tym okresie niczego nie mógł nam obiecać prócz wiejskiej szkoły w głuchej okolicy i skąpej pensji; uczelnie NKWD dawały perspektywę specprzydziałów i podwójnych, potrójnych zarobków. To, co czuliśmy, nie znajdowało wyrazu w słowach (a gdyby znalazło, to strach nie pozwalał tego powiedzieć innym). Opór czuło się jakby nie w głowie, tylko w piersi. Mogą ci ze wszystkich stron krzyczeć: „Tak trzeba!", twoja głowa też powtarza: „tak trzeba!", ale coś ci się w piersi jeży: nie chcę! odrzuca mnie od tego! Już tam beze mnie sobie radźcie, ja się nie bawię.

To szło z bardzo daleka, chyba jeszcze od Lermontowa. To przyszło z tych dziesięcioleci rosyjskiego życia, kiedy porządny człowiek głośno i otwarcie twierdził, że nie ma służby gorszej i obrzydliwszej, niż żandarmska. Nie, sięgnijmy głębiej. Nie zdając sobie z tego sprawy, naszymi miedziakami i groszakami spła-

caliśmy resztę z tych rozmiennych pradziadowskich dukatów, wykupywaliśmy się od wspomnienia tych czasów, w których moralność nie uchodziła jeszcze za rzecz względną, a dobro i zło rozróżniano po prostu sercem.

Mimo to, ten i ów z naszych dał się wtedy zwerbować. Myślę, że gdyby nacisnęli bardzo mocno, to wszystkich nas by wtedy ułamali. Więc wyobraźmy sobie teraz: gdybym w momencie wybuchu wojny miał już swoje oficerskie kubiki na błękitnych patkach na kołnierzu — co by ze mnie wyszło? Można oczywiście teraz sobie wmawiać, że moja zapalczywość doprowadziłaby do wybuchu, że wdałbym się w spór i trzasnął drzwiami. Ale leżąc na więziennych narach zacząłem pewnego dnia wspominać codzienny bieg mojej oficerskiej kariery — i zdjęła mnie zgroza.

Trafiłem do korpusu oficerskiego nie wprost z ławy studenckiej, zaczadziały od całkowania, ale przedtem pół roku spędziłem w twardej służbie żołnierskiej i zdawało się, że na własnej skórze dobrze zrozumiałem, co to znaczy wciągnąć brzuch i być zawsze gotowym do spełnienia każdego rozkazu ludzi, może nawet mniej od ciebie wartych. A później jeszcze pół roku ganiali człowieka na kursach oficerskich. Więc jak, czy już na zawsze zapamiętałem, jak gorzka jest służba żołnierska, jak człowiek marznie, jak się skóra strzępi? Nie. Przyczepili na pociechę dwie gwiazdki do epoletów, potem trzecią, czwartą — i wszystko zapomniałem.

Czy zachowałem chociaż studenckie zamiłowanie do swobody? Ależ nigdy go u nas nie było. Mieliśmy zamiłowanie do marszu, do stania na baczność.

Dobrze pamiętam, że właśnie na kursach oficerskich poznałem RADOŚĆ UPROSZCZENIA: być wojskowym, a więc NIE ZASTANAWIAĆ SIĘ. Była to RADOŚĆ ZJEDNOCZENIA z tymi, którzy żyją jak inni, tak, jak to jest p r z y j ę t e w naszym środowisku wojskowym. Radość zapomnienia o duchowych subtelnościach, znanych od dzieciństwa.

Na kursach wciąż byliśmy głodni, rozglądaliśmy się za dodatkowym kęsem, zazdrośnie patrzyliśmy sobie na palce — czy się komu udało coś zdobyć? Najbardziej baliśmy się wylania przed terminem (wysyłano takich pod Stalingrad). Uczono zaś nas jak młode zwierzęta: żeby wpoić jak najwięcej złości, żebyśmy później bardzo chcieli odegrać się na kimkolwiek. Nie mieliśmy dosyć snu — i mimo to potrafili pojedynczym elewom kazać już po apelu odbywać (na komendę sierżanta) ćwiczenia z musztry za karę. Albo w nocy zrywano z pościeli cały pluton i stawiano na baczność dookoła jednego nieoczyszczonego buta: uwa-

ga! ten podlec ma zabrać się do pucowania i póki nie będzie połysku — dopóty będziecie tu stać.

Czekając w zapamiętaniu na kubiki, ćwiczyliśmy tymczasem tygrysi, oficerski krok i metalowy ton komend.

I wreszcie — przykręcono nam te kubiki! I już po jakimś miesiącu, formując na tyłach swoją baterię, zmusiłem mojego niewydarzonego żołnierzyka Berbeniewa — do ćwiczeń marszowych po apelu na komendę sierżanta Mietkina, który nie bardzo lubił mnie słuchać... (ZAPOMNIAŁEM o tym, całkiem po prostu zapomniałem o tym w miarę upływu lat! Teraz dopiero to sobie przypominam, siedząc nad kartką...). I jakiś stary pułkownik przy zupełnie przypadkowej kontroli, wezwał mnie do siebie i zawstydził. A ja (mając już za sobą uniwersytet?) usprawiedliwiałem się, że nas tak na kursach uczyli. To znaczy: o jakich tam ogólnoludzkich względach może być mowa, skoro jesteśmy w armii?

(A już tym bardziej w O r g a n a c h . . .)

Serce obrasta pychą, jak świnia sadłem.

Rzuciłem podwładnym nieodwołalne rozkazy, przekonany, że lepszych w ogóle być nie może. Nawet na froncie, gdzie wszystkich nas — zdawałoby się — równała śmierć, władza, jaką posiadałem, rychło mnie przekonała, że jestem człowiekiem wyższego gatunku. Siedząc wysłuchiwałem ich, stojących na baczność. Przerywałem im w pół słowa, pouczałem. Ojcom i dziadkom mówiłem „ty" (oni do mnie zwracali się, rzecz jasna, per „wy"). Posyłałem ich pod kule, aby łączyć zerwane druty telefoniczne, żeby tylko zwierzchność nie musiała robić mi wymówek. (Andrejaszyn w ten sposób zginął). Jadłem swoje oficerskie masło z herbatnikami, nie zastanawiając się, dlaczego mnie się ono należy, a żołnierzom — nie. I oczywiście — miałem swojego służącego (elegancko zwało go się „ordynans"), któremu sprawiałem wciąż nowe kłopoty, popędzałem, żeby dbał o moją osobę i żeby gotował mi co innego, niż jedli żołnierze. (A przecież łubiańscy oficerowie śledczy nie mają ordynansów, tego nie można im zarzucić). Kazałem żołnierzom trudzić się, kopać dla mnie osobne ziemianki na każdym postoju i szalować je tymi grubszymi okrąglakami, żeby mi było wygodnie i bezpiecznie. Chwileczkę, toż nawet odwach bywał w mojej baterii, owszem! — a jakiż mógł być w lesie? — też jamka, no, może lepsza od gorochowickiej dywizyjnej, bo kryta i należała się żołnierska racja dzienna, a siedział tam Wiuszkow za to, że koń mu zginął i Popkow — za złe obchodzenie się z karabinem. Ale pozwólcie! — przypominam sobie jeszcze więcej: uszyli mi chłopcy mapnik z niemieckiej skóry (nie ludzkiej, nie, z siedzenia samochodowego), ale brak

było paska do niego, co mnie gniewało. Wtem nawinął się jakiś partyzancki komisarz (z miejscowego rejkomu) z takim właśnie paskiem — i zaraz mu go zabrali dla mnie: armia — to my, jesteśmy ważniejsi! (Pamiętacie Sienczenkę — tego agenta operacyjnego?) No, wreszcie żal mi było nawet tej mojej czerwonej papierośnicy, dlatego to zapamiętałem, jak mi ją odbierano...

Oto, co robią z człowieka epolety. I gdzie się podziały te babcine pouczenia przed świętym obrazkiem! I gdzie te pionierskie marzenia o przyszłej świętej równości!

I kiedy na punkcie dowodzenia, u kombryga, agenci SMIERZ'a zerwali ze mnie te przeklęte epolety i zabrali pas i popychali, żeby prędzej wpakować mnie do auta, więc nawet w chwili, gdy życie mi się łamało, tym byłem najbardziej dotknięty, że będę musiał tak, jak jestem, zdegradowany, przejść przez pokój telefonistów — toć szeregowcy nie powinni mnie widzieć w takim stanie!

Na drugi dzień po areszcie zaczęła się moja piesza Władimirka*: z kontrwywiadu armii do kontrwywiadu frontu wyprawiano etapem kolejny połów. Od Ostródy do Brodnicy maszerowaliśmy na piechotę.

Kiedy wyprowadzono mnie z karceru i kazano stanąć w szeregu, stało już tam siedmiu aresztantów, trzy i pół pary; zobaczyłem ich plecy. Sześciu z nich nosiło wytarte, dobrze doświadczone przez los, rosyjskie płaszcze wojskowe, z wymalowanymi na grzbiecie niezmywalną, białą farbą dużymi literami „S U". Znaczyło to „Sowiet Union", już znałem ten znak, nieraz widywałem go na plecach Rosjan-jeńców wojennych, którzy — smutni i jakby pełni winy — człapali na spotkanie własnej armii — co ich w y z w o l i ł a. Wyzwolono ich, ale nie było wzajemnej radości w tym wyzwoleniu; współobywatele zerkali na nich z miną posępniejszą, niż na Niemców, a na niedalekim zapleczu czekało ich tylko jedno: więzienie.

Siódmy aresztant był Niemcem, cywilem. Nosił czarny garnitur z kamizelką, czarne palto i czarny kapelusz. Przekroczył już pięćdziesiątkę, był wysoki, wypielęgnowany, o białej twarzy i znać po niej było, że karmił się bielutkim chlebem.

Postawiono mnie w czwartej parze i sierżant — Tatar, naczelnik konwoju, skinął na mnie, aby wziął swoją walizkę, już opieczętowaną i czekającą z boku. W tej walizce były moje oficerskie rzeczy i wszystkie zapisane papiery, znalezione przy mnie, które służyć miały do zasądzenia mnie.

* Szosa Moskwa-Włodzimierz (Władimir), którą szli na Sybir, wysyłani etapem skazańcy za carskich czasów.

Zaraz, co z tą walizką? Jak to, ten sierżant chciał — żebym ja, oficer, niósł walizkę? to znaczy, tę dużą i ciężką rzecz, właściwie zabronioną przez nowy regulamin służby garnizonowej? a obok, sześciu s z e r e g o w y c h miałoby maszerować z pustymi rękoma? I razem z nimi — przedstawiciel pokonanego narodu?

Nie wyjaśniłem sierżantowi wszystkich tych zawiłości, tylko powiedziałem:

— Jestem oficerem. Niech niesie ten Niemiec.

Nikt z aresztantów nie odwrócił głowy w moją stronę: nie wolno było się odwracać. Tylko sąsiad z mojej pary, także SU, popatrzył na mnie ze zdziwieniem (kiedy rozstawali się z naszą armią, jeszcze w niej inny duch panował).

A sierżant kontrwywiadu wcale się nie zdziwił. Chociaż w jego oczach, oczywiście, już nie byłem oficerem, ale wyszkoleni byliśmy jednakowo. Zawołał Bogu ducha winnego Niemca i kazał mu wziąć walizkę, chociaż cywil nic nie zrozumiał z naszej rozmowy.

Wszyscy pozostali założyli ręce do tyłu (nikt z jeńców nie miał nawet żadnego worka, poszli na wojnę z pustymi rękoma, z tak samo pustymi wracali do kraju) i nasza kolumna, złożona z czterech par, ruszyła w drogę. Rozmowy z konwojem nie były przewidziane, rozmowy między sobą były surowo zabronione i w marszu, i na postojach i podczas noclegów... Byliśmy więźniami śledczymi i powinniśmy byli maszerować tak, jakby dzieliły nas niewidzialne przepierzenia, jakbyśmy byli zduszeni ścianami celi, dla każdego oddzielnej.

Pora była zmienna, wczesno-wiosenna. To snuły się wodniste mgły i rzadkie błocko melancholijnie chlupało pod naszymi butami nawet na bitej drodze. To znowu niebo się przecierało i łagodnie żółtawe, niepewne jeszcze swojej mocy słońce grzało suche już prawie pagórki, ukazując nam z całą przejrzystością świat, który mieliśmy porzucić. To znów nadlatywał nieprzyjazny wiatr, wyszarpywał z czarnych chmur śnieg, chyba wcale nie biały i z zimną zawziętością ciskał go w twarze, na grzbiety, pod nogi — mocząc nasze płaszcze i onuce.

Sześć grzbietów przed oczyma, wciąż te sześć grzbietów. Było dość czasu na dobre przypatrzenie się koślawym, szkaradnym piętnom SU i czarnej, błyszczącej tkaninie na plecach Niemca. Było dość czasu także na przemyślenie przeszłości i zastanowienie się nad chwilą obecną. A ja — nie mogłem. Już dostałem pałą w łeb — a wciąż nie mogłem zdobyć się na zastanowienie.

Sześć grzbietów. Ani pochwały, ani potępienia nie znajdowałem w ich miarowym kołysaniu.

Niemiec wkrótce się zmęczył. Przekładał walizkę z ręki do ręki, brał się za serce, dawał znaki konwojentom, że nie może nieść dłużej. I wówczas jego sąsiad z pary, jeniec, który Bóg wie czego doznał dopiero co w niemieckiej niewoli (ale może również — miłosierdzia) — z własnej chęci wziął od niego walizkę i poniósł ją dalej.

A potem nieśli ją inni jeńcy, bez żadnego rozkazu konwojentów. I znów ten Niemiec.

Ale ja nie.

I nikt mi nie powiedział ani słowa.

W pewnej chwili napotkaliśmy ciągnące drogą długie, próżne tabory. Woźnice oglądali się z zainteresowaniem, niektórzy stawali na kozłach swoich wozów, gapili się. I wkrótce zrozumiałem, że to ja jestem powodem ich ożywienia i rozjątrzenia — bo różniłem się wybitnie od pozostałych: mój płaszcz był nowy, długi, obciśle uszyty na miarę, jeszcze nie sprute były patki i w słońcu, które właśnie wyjrzało zza chmur, błyszczały tanim złotem nieobcięte jeszcze guziki. Dobrze było widać, że jestem oficerem, świeżutkim, dopiero co złapanym. Być może, także ten widok strącenia z piedestału tak ich przyjemnie podniecił (jakiś przejaw sprawiedliwości), ale chyba w ich głowach, nafaszerowanych pogadankami politycznymi, nie mogło się pomieścić, że tak samo mogliby prowadzić ich dowódcę kompanii, doszli więc do zgodnego przekonania, że jestem z TAMTEJ strony.

— Złapali cię, ty wywłoko własowska?!... Rozstrzelać gada!! — krzyczeli ze wzburzeniem woźnice, pełni tyłowego gniewu (patriotyzm zawsze najbardziej kwitnie na tyłach), dokładając jeszcze to i owo z grubej lufy.

Mieli mnie za jakiegoś międzynarodowego oszusta, którego jednak w końcu udało się złapać — i teraz ofensywa ruszy jeszcze szybciej i wojna wcześniej się skończy.

Co im mogłem odpowiedzieć? Nie wolno mi było wymówić nawet jednego słowa, a tu każdemu z osobna trzeba by opowiedzieć całe swoje życie. Jak mogłem dać im do zrozumienia, że nie jestem dywersantem? Że jestem ich przyjacielem? Że dla nich tu się znalazłem? Uśmiechałem się tylko... Patrząc w ich stronę, uśmiechałem się do nich, krocząc w aresztanckim dwuszeregu na etap! Ale moje wyszczerzone zęby wydały im się jeszcze gorszym urąganiem, więc z jeszcze większą zapalczywością i wściekłością wyzywali mnie i wygrażali pięściami.

Uśmiechałem się, dumny, że nie zostałem aresztowany za kradzież, ani za zdradę, ani za dezercję, tylko za to, że udało mi się przeniknąć domysłem występne tajemnice Stalina. Uśmie-

chałem się dlatego, że miałem nadzieję, iż może jeszcze potrafię trochę polepszyć nasze rosyjskie życie.

A moją walizkę tymczasem niósł kto inny.

I nawet nie czułem przez to żadnych wyrzutów sumienia! I gdyby nawet sąsiad mój — którego zapadłą twarz pokrył już dwutygodniowy miękki zarost, a oczy były pełne cierpienia i wiedzy o życiu — skarcił mnie teraz w najjaśniejszej ruszczyźnie, za to, że uwłaczyłem czci aresztanta, zwracając się o pomoc do konwoju, że wynoszę się nad innych, że jestem butny — ja bym go NIE ZROZUMIAŁ! Ja po prostu nie zrozumiałbym O CZYM on mówi? Przecież jestem oficerem!...

Gdyby siedmiu z nas musiało umrzeć na tej drodze, ósmego natomiast konwój mógłby uratować, to co mi wtedy przeszkadzało zawołać:

— Sierżancie! Jak ratować — to mnie. Przecież jestem oficerem!...

Oto czym jest oficer, nawet, kiedy jego epolety nie są błękitne!

A gdyby jeszcze były błękitne? Gdyby miał wbite do głowy, że nawet wśród oficerów — on jest solą ziemi? Że powierzono mu ważniejsze zadania, niż innym, i że wie on więcej, niż inni, i że za to wszystko ma on prawo wciskać więźniowi łeb między nogi, i dopiero w takim stanie wpychać go do rury!

A dlaczego nie?

Przypisywałem sam sobie bezinteresowną ofiarność. A tymczasem byłem gotowym materiałem na oprawcę. I gdybym za czasów Jeżowa trafił do szkoły NKWD — być może dla Berii byłbym w sam raz?

Niech w tym miejscu zamknie książkę czytelnik, który oczekuje, że będzie ona obrachunkiem politycznym.

Gdybyż to było takie proste! — że są gdzieś te czarne charaktery, w czarnych zamiarach wykonujące swoją czarną robotę i że trzeba tylko umieć je rozpoznać i zniszczyć. Ale linia podziału między dobrem a złem przecina serce każdego człowieka. A kto gotów jest odciąć kawałek własnego serca?

W trakcie życia linia ta ulega przesunięciom, to ustępując wstecz przed rozpierającym się radośnie złem, to zostawiając więcej pola świtającemu dobru. Jeden i ten sam człowiek bywa w różnych epokach swego życia i w różnych życiowych sytuacjach — zupełnie odmienną istotą. Raz bliżej mu do szatana, innym razem — nawet do świętego. Imię zaś nie ulega zmianom i wszystko przypisujemy jednej i tej samej osobie.

Nakazał nam zaś Sokrates: p o z n a j s a m e g o s i e b i e!

I nad samym brzegiem jamy, do której już chcieliśmy zepchnąć naszych krzywdzicieli, zatrzymujemy się zdrętwiali: toż to tylko przypadek, że katami zostaliśmy nie my, tylko oni.

A gdyby nas tak skrzyknął sam Maluta Skuratow* — chyba byśmy go nie zawiedli!...

Dobre od złego jeden krok dzieli — mówi przysłowie.

Więc chyba i złe od dobrego?

Gdy tylko ocknęła się społeczna pamięć tych bezprawi i męczarni, zaraz zaczęto nam ze wszystkich stron powtarzać, pisać, przeczyć: TAM (tj. w NKGB - NKWD) byli także d o b r z y ludzie!

Znamy tych „dobrych": to ci, którzy starym bolszewikom szeptali: „trzymaj się", albo nawet podsuwali sznytkę — ale pozostałych już bez różnicy kopali nogami. No, ale niezależnie od partyjnej więzi — czy nie było tam ludzi dobrych zwyczajnie, po ludzku?

W zasadzie nie powinno było być: wystrzegano się takich, przy angażowaniu robiono selekcję. Tacy ludzie sami wykręcali się od tej służby, jak mogli[20]. Kto zaś trafiał do niej omyłkowo — albo wciągał się w robotę i środowisko, albo też był rugowany, wygryzany, sam nawet padał na szyny. A mimo to — czy nie było nikogo?

W Kiszyniowie młody gebista — lejtnant odwiedził ojca Szypowalnikowa jeszcze miesiąc przed jego ujęciem: jedźcie stąd, jedźcie, chcą was aresztować! (czy sam się na to zdobył? czy może matka posłała go, żeby ratował duchownego?). A po aresztowaniu przypadek kazał mu jeszcze konwojować ojca Wiktora. Dlaczegoście nie wyjechali stąd? — biadał chłopak.

Albo taka sprawa. Miałem w baterii dowódcę plutonu, lejtnanta Owsiannikowa. Nie było dla mnie na froncie bliższego człowieka. Przez pół wojny jadaliśmy z nim z jednej menażki, nieraz pod obstrzałem, między jednym wybuchem a drugim, żeby zupa nie ostygła. Był to wiejski chłopak, o duszy tak czystej i spojrzeniu tak rzetelnym, że ani te nasze kursy, ani ranga oficerska wcale go nie zepsuły. Miał także na mnie dobry wpływ, stawałem się przy nim łagodniejszy. Wszystkie swoje oficerskie możliwości obracał on tylko na to, aby swoim żołnierzom (było wśród nich wielu starszych ludzi) zachować jak najwięcej życia i sił. Od niego pierwszego dowiedziałem się, czym jest dzisiejsza

---

* Naczelny oprawca na dworze Iwana Groźnego.

20. Podczas wojny, w Riazaniu, pewien lotnik z Leningradu, wypuszczony ze szpitala, błagał w przychodni przeciwgruźliczej: „znajdźcie coś u mnie! Bo mi każą wstąpić do ORGANÓW!" Rentgenolodzy wykombinowali mu zdjęcie z naciekiem gruźliczym, i gebiści od razu dali mu spokój.

wieś i czym są kołchozy. (Mówił o tym bez rozdrażnienia, bez protestu, po prostu tak jak leśna woda odbija rysunek drzew, do najmniejszej gałązki). Moje aresztowanie nim wstrząsnęło, napisał mi charakterystykę bojową, najlepszą, jaką mógł i zaniósł ją dowódcy dywizji do podpisu. Po demobilizacji próbował jeszcze pomóc mi przez swych krewnych (a był to rok 1947, mało czym różniący się od 1937!). W dużej mierze ze względu na niego bałem się podczas śledztwa, że dobiorą się do moich „Dzienników wojennych", a były tam jego relacje. Kiedy zostałem zrehabilitowany w 1957, bardzo chciałem go odszukać. Pamiętałem jego adres na wsi. Posyłam jeden list, potem drugi — odpowiedzi nie ma. Znalazłem inną nitkę, przypomniałem sobie, że skończył jarosławski instytut pedagogiczny; dostałem odpowiedź: „Skierowany do pracy w organach bezpieczeństwa państwowego". Dobre! Ale to tym ciekawsze! Piszę więc na jego adres w mieście — nie dostaję odpowiedzi. Mija kilka lat, wydrukowano „Iwana Denisowicza". No, teraz chyba się odezwie! Nie! Mijają jeszcze trzy lata. Proszę pewnego mego korespondenta z Jarosławia, aby wstąpił do niego i przekazał mu list osobiście. Tak się stało, ale korespondent pisze mi „zdaje się, że on nawet 'Iwana Denisowicza' nie czytał....". Bo i słusznie, po co wiedzieć, co się tam dalej dzieje ze skazanymi?... Tym razem Owsiannikow nie mógł już milczeć i odezwał się: „Po zakończeniu Instytutu zaproponowano mi, żeby iść do organów i pomyślałem, że mogę tam pracować z takim samym powodzeniem. (Co znaczy tutaj — p o w o d z e n i e ? . . .). Nie wiedzie mi się nadzwyczajnie na tym nowym polu działania, to i owo mi się nie podobało, ale pracuję bez przymusu i, jeśli się nie mylę, nie zawiodę kolegów w potrzebie. (Macie usprawiedliwienie — zmysł koleżeństwa!) Już się teraz nie zastanawiam nad przyszłością".

I to wszystko... Poprzednie listy podobno do niego nie doszły. Na spotkanie ochoty nie ma. (Gdybyśmy się spotkali — myślę, że lepiej bym ten rozdział napisał). W ostatnich latach życia Stalina był on już śledczym. W tych latach, kiedy wszystkim po kolei wlepiano po ć w i a r t c e. Jak też się to wszystko poukładało w jego sumieniu? Jaką mgłą zaszło? Ale pamiętając tego dawnego, ofiarnego, źródlanego chłopaka, czy mogę uwierzyć, że to wszystko zginęło już bezpowrotnie, że nie zostało w nim żadnych żywych pędów?...

Kiedy śledczy Goldman dał Wierze Korniejowej do podpisu protokół z artykułu 206, dziewczyna dowiedziała się, jakie ma prawa i zaczęła szczegółowo wnikać w s p r a w ę 17-tu uczestników ich „religijnej grupy". Śledczy wpadł w pasję, ale nie mógł jej tego odmówić. Żeby sobie głowy nie zawracać, zapro-

wadził ją do kancelarii ogólnej, gdzie siedziało z pół tuzina rozmaitych urzędników, sam zaś wyszedł. Korniejewa z początku czytała akta, potem jakoś po mału zaczęła się rozmowa, może dlatego, że urzędnikom było nudno — i Wiera zabrała się do prawdziwej religijnej propagandy. (A trzeba ją znać. Jest to człowiek jakby pełen światła, o żywym umyśle i darze wymowy, chociaż na wolności pełniła tylko obowiązki ślusarza, stajennego i gospodyni domowej). Słuchali jej z zapartym tchem, czasem tylko pytając o wyjaśnienia. Była to dla nich wszystkich rzecz bardzo nieoczekiwana. W sali wkrótce zrobiło się pełno, przyszli z innych pomieszczeń. Powiedzmy, że nie byli to oficerowie śledczy, ale maszynistki, stenotypistki, rejestratorzy — ale w końcu to samo środowisko, O r g a n y i to w 1946 roku. Nie mogę tu zrekonstruować jej monologu, zdążyła jednak powiedzieć sporo. I o zdrajcach ojczyzny — dlaczego to ich nie było podczas wojny z Napoleonem, w 1812 roku, za pańszczyzny? Toć wtedy byłaby to naturalna rzecz! Ale przede wszystkim mówiła o wierze i o wierzących ludziach. DAWNIEJ, mówiła Wiera, wszystko u was nastawione było na wykorzystanie rozkiełznanych namiętności społecznych — „grabić, to, co zagrabione" i wtedy ludzie wierzący, oczywiście, wam przeszkadzali. Ale teraz, kiedy chcecie BUDOWAĆ i dążyć do szczęśliwego życia na tym świecie — czemu to prześladujecie najlepszych swoich obywateli? Toż to dla was najcenniejszy materiał: przecież człowiek wierzący nie wymaga kontroli, nie będzie kradł i nie będzie wymigiwał się od roboty. Macie może zamiar oprzeć sprawiedliwe społeczeństwo na chciwych sobkach i zawistnikach? Właśnie dlatego wszystko wam się wali. Dlaczego plujecie w dusze najlepszych swoich ludzi? Oddzielcie naprawdę cerkiew od państwa, nie wtrącajcie się do niej, nic na tym nie stracicie! Jesteście materialistami? No to miejcie zaufanie do oświaty, że już ona sama, jak powiadacie, da radę religii. A po co ludzi aresztować? — Tu wszedł Goldman i chciał jej ostro przerwać. Ale tamci go zakrzyczeli: „A zamknij że się!... Pomilcz chwilę!... Gadaj, kobieto, gadaj!" (A jak się mieli do niej zwracać? Obywatelko? Towarzyszko? To wszystko zabronione, albo uwikłało się w umownościach. Kobieto! Tak, jak mówił Chrystus, tu się człowiek nie omyli). I Wiera dokończyła swego kazania w obecności śledczego!!

Macie więc tych słuchaczy Korniejewej z kancelarii bezpieczeństwa. Czemu to tak łatwo zapadły w nich słowa marnej więźniarki?

Wymieniony już D. P. Terechow dotąd wspomina swojego pierwszego skazanego na śmierć: „Żal mi go było". Przecież ta

pamięć wspiera się na jakimś odruchu serca. (Ale tych, co przyszli później, czasem już nie pamięta, już ich nie liczy[21]).

Straż więzienna Wielkiego Domu składa się z ludzi lodowatych — ale przecież jakieś najgłębsze jądro duszy, jakieś jąderko tego jądra powinno było w nich się uchować? N. P-wa opowiada, że pewnego dnia prowadziła ją na przesłuchanie niewzruszona, niema, bezoka nadzorczyni — i nagle gdzieś obok Wielkiego Domu rozległy się wybuchy bomb, wydawało się, że zaraz zwalą się na głowę. I oto nadzorczyni rzuciła się do więźniarki, objęła ją w strachu, szukając ludzkiej bliskości i współczucia. Ale bombardowanie się skończyło. I już znowu, jakby nie miała ludzkich oczu: „Ręce do tyłu! Naprzód!".

Ma się rozumieć, że to niewielka zasługa — wrócić do człowieczeństwa w chwili śmiertelnego strachu, tak samo jak nie jest dowodem dobroci, jeśli ktoś kocha własne dzieci („To dobry mąż i ojciec" — często tak próbują usprawiedliwić łotrów). Prezesa Sądu Najwyższego I. T. Golakowa chwalą niektórzy za to, że lubił uprawiać własny ogródek, kochał się w książkach, odwiedzał sklepy bukinistyczne, dobrze znał twórczość Tołstoja, Korolenki, Czechowa — no i czego od nich się nauczył? Ile tysięcy ludzi pogubił? Albo na przykład ten pułkownik, przyjaciel Konkordii Josse, który jeszcze we włodzimierskim izolatorze ryczał ze śmiechu wspominając, jak starych Żydów zamykał do piwnicy z zapasem lodu — w czasie wszystkich swoich awantur tylko jednego się bał — żeby się żona o tym nie dowiedziała: wierzyła w niego, uważała za szlachetnego człowieka i to było dla niego ważne. Ale czy wolno nam uznać to uczucie za przyczółek dobra w jego sercu?

Czemu to już drugie stulecie tak niezwykle sobie oni cenią barwy nieba? Za czasów Lermontowa — były „błękitne wyłogi", później przyszły błękitne czapki, błękitne epolety, błękitne patki, postarano się aby nie tak bardzo rzucały się w oczy, błękitne galony wolały ukrywać się przed objawami wdzięczności mas, wciąż zmniejszały się ich rozmiary na głowach i barkach, aż zostały z nich tylko wypustki, wąziutkie otoki — zawsze jednak błękitne!

---

21. Z Terechowem zdarzył się taki epizod. Pragnąc mi dowieść, że system sądowy (za czasów Chruszczowa) jest sprawiedliwy, energicznie uderzył ręką w szklaną taflę na biurku i rozciął sobie kiść o ostry skraj. Nacisnął dzwonek, personel na baczność, dyżurny starszy oficer przyniósł mu jodynę i wodę utlenioną. Kontynuując rozmowę Terechow całą godzinę musiał przyciskać watę do rany: okazało się że cierpi na niekrzepliwość krwi. Tak jasno ukazał mu Bóg ludzką ograniczoność — a on sądził innych i powodował wydawanie wyroków śmierci...

Czy to tylko maskarada?

Albo może wszelka czerń chce choćby od czasu do czasu obmyć się z grzechów w niebieskim błękicie?

— To niebrzydka konstrukcja myślowa. Ale kiedy człowiek się dowiaduje, jakim sposobem szukał kontaktu ze świętością taki na przykład Jagoda... Pewien naoczny świadek (z otoczenia Gorkiego, który w tym okresie znał się bliżej z Jagodą) opowiada: w majątku Jagody pod Moskwą, w przedsionku ruskiej łaźni stały ikony — specjalnie po to, aby Jagoda ze swoimi kamratami, już wyzbywszy się szatek, mogli strzelać do nich z rewolwerów przed pójściem do kąpieli...

Jak rozumieć zjawisko ŁOTROSTWA? Co to takiego? Czy jest w ogóle coś podobnego na świecie?

Łatwiej byłoby nam powiedzieć, że to niemożliwe, że takich ludzi nie ma. Baśń dla dzieci ma prawo do wprowadzania postaci łotra — dla uproszczenia obrazu. Ale kiedy wielka literatura światowa dawnych wieków podsuwa nam wciąż nowe i nowe postaci czarnych, jak smoła łotrów — robi to Szekspir, i Schiller, i Dickens — to mamy wrażenie, że jesteśmy w teatrze marionetek, że to nie odpowiada współczesnej wrażliwości. I najważniejsze — jak autorzy charakteryzują tych łotrów? Te czarne charaktery zdają sobie doskonale sprawę, że są właśnie takimi i że ich dusze są — czarne. Tak właśnie rozumują: nie potrafię żyć, nie czyniąc zła. Niechże poszczuję ojca na brata! Dajcie mi się ponapawać cierpieniami mojej ofiary! Jago zupełnie wyraźnie nazywa swoje pobudki i cele — czarnymi, zrodzonymi z nienawiści.

Otóż w życiu tak nie bywa! Aby czynić zło, człowiek musi najprzód uznać je za dobro — albo za rzecz rozumną i zgodną z prawem. Taka już jest, na szczęście, natura człowieka, że dla swoich czynów musi on szukać uSPRAWIEDLIWIEnia.

Makbet nie mógł usprawiedliwić swoich czynów w sposób wystarczająco zasadny — i zagryzło go sumienie. Zresztą nawet Jago jest tylko barankiem. Dla wyczerpania fantazji i sił duchowych szekspirowskich łotrów wystarczało jakieś dziesięć trupów. Wszystko dlatego, że nie mieli oni i d e o l o g i i.

Ideologia! — to ona dostarcza upragnionego usprawiedliwienia łotrostwu — i koniecznej, wieloletniej odporności zbrodniarzowi. Potrzebna mu jest teoria społeczna, która pomoże mu — przed sobą samym i przed innymi — wybielić własne postępki i słyszeć — nie wyrzuty, nie przekleństwa, tylko pienia pochwalne i wyrazy czci. W ten sposób inkwizytorzy szukali oparcia i usprawiedliwienia — w chrześcijaństwie, konkwistadorzy — w chwale Ojczyzny, kolonizatorzy — w cywilizacji, hitlerow-

cy — w rasie, jakobini (dawniejsi i nowsi) — w równości, braterstwie i szczęściu przyszłych pokoleń.

Dzięki IDEOLOGII wiek dwudziesty poznał, co to jest łotrostwo pomnożone przez miliony ofiar. Tych faktów nie można obalić, pominąć, przemilczeć — kto więc ośmieli się po tym twierdzić, że zbrodniarzy nie ma? A któż te miliony ludzi unicestwił? A bez zbrodniarzy — nie byłoby Archipelagu.

Krążyły wieści w latach 1918-1920, że Czeka w Piotrogrodzie i w Odessie nie wszystkich skazanych rozstrzeliwała; ponoć niektórzy z nich byli (żywcem) oddawani na pożarcie drapieżnikom z miejskich ogrodów zoologicznych. Nie wiem, czy to prawda, czy może plota, a jeśli w ogóle zdarzały się takie wypadki, to ile ich było. Ale nie szukałbym dowodów: wedle obyczaju błękitnych wyłogów zaproponowałbym im, aby sami nam dowiedli, że to niemożliwość. A gdzież w ówczesnej sytuacji, przy panującym głodzie, można było znaleźć karmę dla zwierząt? Odejmować od ust klasie robotniczej? To wrogowie, i tak muszą umrzeć — dlaczego by nie mieli swoją śmiercią dopomóc w rozwiązaniu trudności na tym odcinku gospodarki krajowej i w ten sposób przyczynić się do naszego szybszego marszu ku przyszłości? Czy to nie c e l o w e ?

Oto granica, której nie może przekroczyć szekspirowski czarny charakter — ale czarny charakter uzbrojony w ideologię przekracza ją z niezmąconym spojrzeniem.

Fizyka zna wielkości albo zjawiska g r a n i c z n e. Nie istnieją one w ogóle dopóty, dopóki nie zostanie przekroczona pewna znana naturze granica, zaszyfrowany przez naturę próg. Można naświetlać pierwiastek lit żółtymi promieniami ile dusza zamarzy — nie odda on mimo to swoich elektronów, a wystarczy najsłabszy promień niebieski — i już elektrony są wyrwane (przekroczony został próg efektu świetlnego)! Można oziębiać tlen do 100 stopni poniżej zera i poddawać go największemu nawet ciśnieniu — gaz dalej zostaje gazem, nie poddaje się! Wystarczy jednak zejść poniżej 118 stopni — i już jest płynny, zamienił się w ciecz.

Wydaje się, że zbrodnia także należy do podobnych zjawisk. Owszem, człowiek może się wahać, miotać całe życie między złem a dobrem, potykać się, padać, gramolić, żałować za grzechy, potem znowu zapadać, ale póki nie przekroczył progu zbrodni — ma możliwość powrotu i wciąż jeszcze może być w zasięgu naszej nadziei. Kiedy jednak natężenie nikczemności, albo jakiś szczególny jej stopień, albo nieograniczoność absolutnej władzy sprawia, że przekracza on ten próg — wówczas opuszcza on ludzką gromadę. I być może — już bezpowrotnie.

Na pojęcie sprawiedliwości od niepamiętnych czasów składają się w ludzkich oczach dwa równe składniki: tryumf cnoty i ukaranie występku.

Udało nam się szczęśliwie dożyć takich czasów, kiedy to cnota może jeszcze nie tryumfuje, ale już nie zawsze szczuta jest psami. Cnocie, wychłostanej i mizernej, wolno już teraz wejść w swoich łachmanach i zająć miejsce w kącie, byle by tylko siedziała cicho.

Nikt jednak nie śmie słowa powiedzieć o występku. Owszem, pastwiono się nad cnotą, ale występku przy tym — jakby nie było. Owszem, ileś tam milionów poszło do ziemi — ale nikt temu nie był winien. Jeżeli ktoś ośmieli się zająknąć: „No a ci, k t ó r z y . . .” to ze wszystkich stron usłyszy wyrzuty, z początku formułowane życzliwie: „Nooo, dajcie spokój towarzysze! No i po co j ą t r z y ć s t a r e r a n y ? !”[22] A potem już pałką: „Ciszej, wy, niedorżnięci! Po co też was rehabilitowano!”.

I oto w Zachodnich Niemczech w 1966 roku liczba ukaranych sądownie przestępców hitlerowskich doszła do OSIEMDZIESIĘCIU SZEŚCIU TYSIĘCY[23]. A my zachłystujemy się z oburzenia, nie żałujemy całych kolumn w gazetach, ani godzin programu radiowego, po fajerancie przesiadujemy na wiecach i głosujemy, że ZA MAŁO! Tych 86-tysięcy — za mało! i po 20 lat im za mało! Więcej!

U nas natomiast (według relacji Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego) — skazano około DZIESIĘCIU OSÓB.

Co dzieje się za Odrą, za Renem — to nas boli. A to, co pod Moskwą i pod Soczy za zielonymi sztachetami, a to, że mordercy naszych mężów i ojców rozjeżdżają po ulicach i że ustępujemy im z drogi — to nas nie boli, nie wzrusza, bo to „jątrzenie starych ran”.

A tymczasem, gdyby tych zachodnioniemieckich 86.000 przetłumaczyć na nasze proporcje, to byłoby ich — jak na nasz kraj — ĆWIERĆ MILIONA!

Ale w ciągu ćwierci stulecia nikogo z tej liczby nie odnaleźliśmy, nikogo nie ciągaliśmy po sądach; my boimy się jątrzyć ICH rany. I, jak symbol tej całej czeredy, mieszka dotąd na ulicy Granowskiego 3 nadęty pychą, tępy, dotychczas przekonany o tym samym — Mołotow, cały przesycony naszą krwią; co

---

22. Nawet po ukazaniu się „Iwana Denisowicza” emeryci błękitnych szeregów tak właśnie argumentowali: po co jątrzyć rany t y c h, k t ó r z y s i e d z i e l i w o b o z a c h? Że niby ICH nerwy chcieli szczędzić!

23. A we Wschodnich Niemczech — jakoś nie słychać nic takiego, widocznie dali się wychować w nowym duchu, są cenieni jako dobrzy pracownicy.

dzień przecina statecznie chodnik i wsiada do długiego, szerokiego auta.

Oto zagadka, którą nie my, współcześni, możemy rozwiązać: DLACZEGO Niemcy otrzymali przywilej ukarania swoich zbrodniarzy, a my, Rosjanie — nie? Jaka straceńcza droga otwiera się przed nami, jeżeli nie dane nam było oczyścić się z tej szkarady, gnijącej w naszym organizmie? Czegoż to może taka Rosja świat nauczyć?

W trakcie niemieckich procesów powtarza się to tu, to ówdzie taka zadziwiająca scena: podsądny ściska rękoma głowę, zrzeka się obrony i o nic więcej już sądu nie prosi. Mówi tylko, że łańcuch jego zbrodni, przypomnianych mu znów i pokazanych kolejno przed sądem, napełnia go wstrętem i że nie chce mu się więcej żyć.

To jest największe osiągnięcie sądu: kiedy występek staje się tak godny potępienia, że sam przestępca odwraca się od niego.

Kraj, który osiemdziesiąt sześć tysięcy razy z sędziowskiego podium potępił występek (i bezkompromisowo odżegnał się od niego w literaturze i wśród młodego pokolenia) — rok po roku, stopień po stopniu oczyszcza się ze zbrodni.

A my co robić mamy? Kiedyś jeszcze potomkowie nazwą kilka kolejnych naszych generacji — pokoleniami mazgajów: z początku pozwalaliśmy potulnie wybijać nas milionami; później zaś troskliwie zabiegaliśmy o spokojną i szczęśliwą starość dla morderców.

Co czynić, jeśli wielka tradycja rosyjskiej skruchy jest dla nich niezrozumiała i śmieszna? Co czynić, jeśli zwierzęcy strach przed wycierpieniem choćby setnej części tego, co zadawali oni innym, ma w nich przewagę nad wszelkim poczuciem sprawiedliwości? Jeśli chciwą garścią czepiają się tych przywilejów, co im obrodziły z krwi zabitych?

Oczywiście, ci, co kręcili korbą maszynki do mięsa — no, choćby w trzydziestym siódmym roku, dziś są już niemłodzi, mają od pięćdziesiątki do osiemdziesiątki, najlepsze swoje lata przeżyli bez trosk, w sytości i komforcie — i wszelki RÓWNOWAŻNY odwet już jest spóźniony, już nie można szukać zapłaty.

Ale bądźmy wielkoduszni, nie trzeba stawiać ich przed plutonem egzekucyjnym, nie trzeba poić ich słoną wodą, obsypywać pluskwami, wiązać „w jaskółkę", trzymać na nogach bez snu tygodniami, ani brać pod obcas, ani bić gumowymi pałkami, ani zaciskać głów żelazną obręczą, ani upychać ich w celach, jak bagaż, żeby leżeli jeden na drugim — nie będziemy robić nic z tego, co robili oni! Ale wobec naszego kraju i naszych dzieci mamy obowiązek WSZYSTKICH ICH ZNALEŹĆ I WSZYST-

KICH POSTAWIĆ PRZED SĄDEM! Sądzić trzeba już nie tyle ich, ile ich zbrodnie. Zyskać chociaż tyle, aby każdy z nich powiedział głośno:

— Tak, byłem katem i mordercą.

I gdyby słowa te powtórzone zostały w naszym kraju TYLKO ćwierć miliona razy (zgodnie z proporcją, aby nie zostać w tyle za Niemcami Zachodnimi) — to może by tego było dosyć?

W XX wieku nie wolno przecież przez dziesięciolecia nie znajdować różnicy między zbrodnią sądową — a tymi „starymi sprawami", których pono „nie trzeba jątrzyć"!

Powinniśmy publicznie potępić samą IDEĘ rozprawiania się jednych ludzi z drugimi! Milcząc o występku, wpędzając go w głąb ciała, aby tylko nie było go widać — my SIEJEMY go i w przyszłości da on jeszcze tysiąckrotne plony. Nie karząc, nawet nie ganiąc złoczyńców, my nie tyle dbamy o spokój ich nędznej starości — ile raczej wyrywamy spod nóg nowych pokoleń wszelkie podstawy sprawiedliwości. Dlatego to młodzi wyrastają na „obojętnych", to nie jest wina „braków w pracy wychowawczej". Młodzi utrwalają sobie w pamięci, że podłość nigdy w świecie nie podlega karze, zawsze natomiast zapewnia dostatek.

Jak nieprzytulne, jak straszne będzie życie w takim kraju!

V.

PIERWSZA CELA — PIERWSZA MIŁOŚĆ

Jak to rozumieć — cela i miłość? Ach, chyba, że podczas blokady siedziałeś w leningradzkim Wielkim Domu? No, to jasne, bo temu właśnie zawdzięczasz życie, że tam cię wpakowano. Było to najlepsze miejsce w Leningradzie — i nie tylko dla oficerów śledczych, którzy i mieszkali tam, i mieli gabinety w podziemiach, gdzie przenosili się podczas obstrzałów. To nie żarty, w Leningradzie nikt się w tym okresie nie mył, twarze pokrywała czarna skorupa, a w Wielkim Domu aresztanci mieli gorący prysznic raz na dziesięć dni. No, to prawda, tylko korytarze, gdzie stała straż, były ciepłe, cel nie ogrzewano, a jednak w celi był i czynny wodociąg, i wychodek: któż to w Leningradzie jeszcze miał? A chleba — po sto dwadzieścia pięć gramów, tak samo jak na swobodzie. No i jeszcze raz dziennie zupa na końskiej padlinie! i nawet polewka z kaszy!

Pozazdrościł kot psiego życia! A karcer? A w i e ż a ? Nie, to nie dlatego.

Nie dlatego...

Siądzie człowiek, zmruży oczy, wspomni: w ilu celach odsiadywał swój wyrok! Nawet trudno policzyć. A w każdej — ludzie, ludzie, ludzie... W jednej — dwie osoby, w drugiej — półtorej setki. W tej siedziałeś pięć minut, w owej — całe długie lato.

Ale zawsze ma swoją osobną pozycję w tym rachunku — pierwsza cela, w której napotkałeś podobnych sobie, na taki sam los skazanych. Całe życie wspominać ją będziesz ze wzruszeniem, z jakim wspomina się chyba tylko pierwszą miłość. I tych ludzi, którzy dzielili z tobą powierzchnię podłogi i powietrze kamiennego sześcianu w dniach, gdy musiałeś z zupełnie nowej strony spojrzeć na całe swoje życie — tych ludzi wspomnisz jeszcze któregoś dnia, jak najbliższą rodzinę.

Zresztą — w tamtych dniach — oni tylko byli twoją rodziną.

To, co przeżyłeś w pierwszej celi śledczej nie da się porównać z niczym, co zaszło w twoim życiu PRZED tym i z niczym, co się zdarzyło PÓŹNIEJ. Chociaż więzienia istniały przez tysiąclecia przed twoim urodzeniem — i choćby tak samo długo miały istnieć w przyszłości (chciałby człowiek wierzyć, że krócej...) ale jedyna i niepowtarzalna jest tylko ta cela, w której przechodziłeś śledztwo.

Była może czymś nieznośnym dla ludzkiej istoty. Zawszawiona, zapluskwiona komórka bez okna, bez przewiewu, bez nar, z brudną polepą — pudło, zwane KPZ — przy radzie gromadzkiej, przy milicji, na dworcu, albo w porcie[1] (KPZ i DPZ — ich właśnie jest u nas najwięcej, w nich właśnie siedzi przeważająca masa). „Pojedynka" więzienia archangielskiego, gdzie szyby zamalowane są minią, aby wieczne światło boże przenikało do celi tylko jako purpurowa poświata i żeby wiecznie tliła się piętnastowatowa żarówka pod sufitem. Albo „pojedynki" w mieście Czojbałsan, gdzie na powierzchni 6 metrów kwadratowych siedziało was miesiącami czternastu, w takim ścisku, że podkurczone nogi zmieniało się na komendę. Albo jedna z lefortowskich cel „psychicznych", powiedzmy III-cia, cała wymalowana na czarno, także z dwudziestopięciowatową żarówką, palącą się całą dobę; reszta — jak w każdej lefortowskiej celi: asfaltowa podłoga; pokrętło ogrzewania w korytarzu, w rękach nadzorców; a przede wszystkim — wielogodzinny, rozdzierający ryk (z kanału aerodynamicznego sąsiedniego Instytutu Lotnictwa, ale człowiek nie jest w stanie uwierzyć, że to nie umyślnie), ryk, przez który miska z kubkiem wibrują i zjeżdżają ze stołu, ryk uniemożliwiający wszelką rozmowę; można za to śpiewać na całe gardło, nadzorca nie usłyszy, a kiedy ryk ustaje, przychodzi ulga, co najmniej tak błoga, jak wolność.

Ale przecież nie tę brudną podłogę, nie te mroczne ściany, nie odór kibla polubiłeś — tylko tych ludzi, z którymi na komendę zmieniałeś pozycję; to, co zaczęło się kołatać między waszymi duszami; ich słowa, tak czasem dziwne; i te myśli, tam właśnie narodzone, tak swobodne i płynne, do których — jeszcze niedawno — ani byś nie mógł się wspiąć, ani wznieść.

A ileż cię to kosztowało, żeby znaleźć się wreszcie w tej pierwszej celi! Trzymali cię w jamie, albo w boksie, albo w piwnicy. Nikt ci ludzkiego słowa nie powiedział, nikt nie rzucił

1. KPZ (DPZ) — *Kamera* (Dom) *Predwaritielnogo Zakluczenia* — Cela (Dom) dla zatrzymanych tymczasowo, tzn. nie to więzienie, gdzie odsiaduje się wyrok, tylko wstępne, śledcze.

ludzkiego spojrzenia — tylko wydziobywali, co mogli z twojego mózgu i z serca żelaznymi dziobami — tyś krzyczał i jęczał — a oni tylko się śmiali.

Przez tydzień, albo i miesiąc byłeś samiuteńki wśród wrogów, już żegnałeś się z rozsądkiem i z życiem; już właziłeś na kaloryfer i starałeś się tak z niego skoczyć, aby rozbić głowę o żelazny stożek zlewu[2] — i nagle czujesz, że żyjesz, że zaprowadzili cię tam, gdzie masz przyjaciół. I wraca ci rozum.

Oto czym jest pierwsza cela!

Czekałeś na nią, marzyłeś o niej prawie tak, jak o wolności — a tymczasem przerzucali cię z jamy do nory, z Lefortowa, do jakiejś diabelskiej, mitycznej Suchanowki.

Suchanowka jest właśnie tym najstraszniejszym więzieniem, jakie ma MGB. Jest postrachem takich, jak my, jej nazwę wymawiają śledczy ze złowieszczym sykiem. (Kto zaś tam był — od tego człowiek nic nie wydobędzie; albo plotą piąte przez dziesiąte, albo nie ma ich wśród żyjących).

Suchanowka — to dawna pustelnia z czasów Katarzyny, dwa oddziały — karny i śledczy, 68 cel. Wiozą tam ludzi sukami dwie godziny i niewielu wie, że to więzienie dzieli tylko kilka kilometrów od Leninowskich Górek* i od dawnego majątku Zinaidy Wołkońskiej. Pięknie tam dookoła.

Aresztanta zaraz po przyjęciu ogłusza się tam stojącym karcerem — tak przy tym wąskim, że jeśli człowiek nie ma siły długo stać, to jedno mu zostaje — zwis na opartych o mur kolanach. W takim karcerze trzymają człowieka nawet ponad dobę — żeby spokorniał. Wikt w Suchanowce jest tak smaczny i delikatny, że nigdzie w MGB nie ma lepszego, ponieważ przynoszą jedzenie z pobliskiego domu wypoczynkowego architektów, nie mają dla tej swojej nierogacizny oddzielnej kuchni. Ale to, co spożywa jeden architekt — więc i kartofelki smażone i befsztyczki — tu dzielą między dwunastu ludzi. Dlatego właśnie człowiek tu nie tylko zawsze jest głodny, jak to bywa gdzie indziej, ale jeszcze boleśnie rozjątrzony.

Cele są tam podwójne, ale więźniów śledczych rozmieszcza się zwykle pojedynczo. Cele mają powierzchni półtora metra na dwa[3]. W kamienną podłogę wpuszczone są dwa okrągłe stołki,

2. Aleksander Dołżyn.

* Miejscowość pod Moskwą, gdzie zmarł Lenin.

3. A ściślej 156 cm × 209 cm. Skąd to wiadomo? To przykład tryumfu myśli technicznej i silnej duszy, której Suchanowka nie złamała. Obliczył to Al-dr D. Nie chciał oszaleć, ani załamać się, dlatego starał się robić jak najwięcej obliczeń. W Lefortowie liczył kroki, przeliczał je na kilometry, starał się przypomnieć sobie, ile — według mapy — jest kilometrów od

jakby pieńki i na każdy z tych pieńków — jeśli strażnik otworzy angielski zamek w ścianie — opada z muru na siedem nocnych godzin (to znaczy, na godziny śledztwa, bo we dnie w ogóle nie ma przesłuchań) półka ze słomianym sienniczkiem, dobrym dla dziecka. We dnie stołek jest wolny, ale siadać na nim nie wolno. Ponadto na czterech pionowych rurach leży stół, jak deska do prasowania. Wywietrznik w oknie jest zawsze zamknięty, tylko rankami strażnik otwiera go bosakiem. Malutkie okno ma szybę ze szkła pancernego. Nie ma żadnych spacerów, wyjście do wychodka — tylko raz, o szóstej rano, to znaczy wtedy, kiedy żaden żołądek jeszcze tego nie wymaga, wieczorem to nie jest dozwolone. Na każdy odcinek, składający się z siedmiu cel, przypada dwóch strażników, dlatego l i p k o zerka na człowieka tak często, ile trzeba strażnikowi na przejście obok dwojga drzwi ku trzecim. Na tym właśnie polega zadanie milczącej Suchanowki: nie dać człowiekowi ani minuty snu, ani minuty własnego życia — ma zawsze być obserwowany i zawsze czuć się w cudzych rękach.

Ale jeśli już wyszedłeś zwycięsko z pojedynku z obłędem i uniknąłeś wszystkich pułapek samotności — to zasłużyłeś sobie na swoją pierwszą celę! I teraz dusza ci się w niej rozpręży.

Jeśli zaś szybko się poddałeś, jeśli ugiąłeś się i wszystkich wydałeś w ich ręce — to teraz też już dojrzałeś do swojej pierwszej celi; chociaż lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś nie dożył tej szczęsnej chwili i skonał gdzieś w piwnicy — jako zwycięzca, co nie podpisał ani kartki.

Teraz pierwszy raz tutaj zobaczysz — nie wrogów swoich. Teraz zobaczysz pierwszy raz innych żywych ludzi[4], którzy towa-

---

Moskwy do granicy, ile potem do oceanu, przez całą Europę, ile wreszcie kilometrów szerokości ma Ocean Atlantycki. Miał jeden bodziec: myślą wrócić do domu, do Ameryki. I gdy po roku pobytu w lefortowskiej pojedynce, wzięto go do Suchanowki, był właśnie na dnie Atlantyku. Tu — rozumiejąc, że mało kto będzie mógł opowiedzieć o tym więzieniu (wszystko, co tu piszemy, on nam opowiedział), znalazł sposób na wymierzenie celi. Na dnie miski więziennej znalazł wysztancowaną cyfrę ułamkową 10/22 i domyślił się, że 10 oznacza średnicę dna, 22 — średnicę okola miski. Następnie wyciągnął nitkę z ręcznika, zrobił miarkę i wszystko wymierzył Następnie zaczął ćwiczenia w sztuce spania na stojąco: jak wykorzystać stołek do podparcia kolana i jak sprawić na strażniku wrażenie, że oczu się nie zamyka. Udało mu się wypracować metodę — i tylko dlatego nie zwariował. (Riumin przez miesiąc nie dawał mu spać).

4. Jeśli to było w Wielkim Domu w Leningradzie, podczas blokady — to może nawet ludożerców: tych, co jedli z głodu ludzkie mięso i handlowali ludzką wątrobą z kostnic szpitalnych. Nie wiedzieć czemu, trzymano ich w MGB razem z politycznymi.

rzyszą ci w drodze i których możesz objąć wspólnym dla nich i dla ciebie słowem MY.

Tak, to słowo, którym może gardziłeś na swobodzie, bowiem zastępować miało twoje *ja* („my wszyscy, jak jeden mąż!..." My wyrażamy nasze święte oburzenie!... My domagamy się!... My przysięgamy!...") — teraz daje ci poznać swój słodki smak: nie jesteś sam na świecie! Są jeszcze na nim rozumne, obdarzone duszą istoty — LUDZIE!!

◆

Po czterech dobach mojego pojedynku ze śledczym, doczekawszy się, abym położył się po apelu w moim elektrycznym, oślepiającym boksie, nadzorca zaczął otwierać moje drzwi. Słyszałem to, ale chciałem z głową na poduszce wyobrażać sobie, że już śpię — przynajmniej przez trzy sekundy dzielące mnie od okrzyku „Wstawać! Na przesłuchanie!". Jednak tym razem nadzorca jakby się pomylił: „Wstawać! Zabrać pościel!".

Zbity z tropu i rozżalony, bo to była chwila bezcenna, owinąłem stopy onucami, wzułem buty, wdziałem płaszcz, zimową czapkę i wziąłem w objęcia więzienny materac. Na palcach, cały czas dając mi znaki, abym nie robił hałasu, strażnik poprowadził mnie cichym jak grób korytarzem trzeciego piętra Łubianki, wzdłuż rzędu lustrzanych numerów na drzwiach cel i oliwkowych klapek na judaszach, po czym otworzył mi celę numer 67. Przestąpiłem próg i drzwi natychmiast zamknęły się za mną.

Chociaż po wieczornym dzwonku minął dopiero kwadrans, ale czas, przeznaczony tylko na sen dla więźniów śledczych, tak jest kruchy, niepewny i tak go mało, że mieszkańcy 67-ej celi w momencie mojego nadejścia już spali na swoich metalowych łóżkach, trzymając ręce na kołdrach[5]. Skrzyp otwieranych drzwi sprawił, że wszyscy trzej wzdrygnęli się i natychmiast podnieśli głowy. Oni też wyczekiwali, kogo dziś wezwą na przesłuchanie.

I te trzy głowy, poderwane z przestrachem, te trzy niegolone, wymięte, wybladłe twarze wydały mi się tak ludzkie, tak miłe,

5. Rozmaite dolegliwości, jako dodatek do starych więziennych rygorów, wprowadzane były w Więzieniach Wewnętrznych GPU — NKWD — KGB stopniowo. Ci, którzy siedzieli w początku lat 20-tych, nie znali jeszcze tej metody, zresztą światło gasiło się wtedy na noc, po ludzku. Ale światło przestano gasić w myśl logicznej zasady: żeby móc widzieć więźniów w nocy o każdej godzinie (a kiedy zapalano je tylko przy kontroli, to było jeszcze gorzej). Ręce zaś kazano trzymać na kołdrze rzekomo po to, aby więzień nie mógł udusić się pod kołdrą, uchylając się w ten sposób od sprawiedliwego śledztwa. Przy kontrolnym badaniu okazało się, że człowiekowi zimą zawsze chce się tę rękę schować, ogrzać — i dlatego chwyt ten został wprowadzony na stałe.

że zastygłem, obejmując materac i uśmiechając się, jakby mnie kto uszczęśliwił. Oni też się uśmiechali. I jak też człowiek zdążył zapomnieć o podobnym wyrazie twarzy! — a wszystkiego tydzień minął!

— Z wolności? — zapytali mnie (to zwykle pierwsze pytanie, zadawane nowicjuszowi).

— Nieee — odpowiedziałem (to zwykle pierwsza odpowiedź nowicjusza).

Chodziło im o to, że na pewno aresztowany byłem niedawno, a więc przychodzę z wolności. Ja zaś po dziewięćdziesięciu sześciu godzinach śledztwa, wcale nie uważałem, że przychodzę „z wolności"; bo to czy nie jestem już doświadczonym aresztantem?... A jednak byłem przybyszem z wolności! I staruszek bez brody, o czarnych, bardzo ruchliwych brwiach, już wypytywał mnie o wojenne i polityczne nowiny. Niebywałe! — Chociaż były to ostatnie dni lutego, ale oni nic nie wiedzieli ani o konferencji w Jałcie, ani o odcięciu Prus Wschodnich, ani w ogóle o naszym natarciu pod Warszawą w połowie stycznia, ani nawet o grudniowym, żałosnym odwrocie aliantów. W myśl instrukcji — więzień śledczy nie powinien nic wiedzieć o świecie zewnętrznym, i oto oni niczego nie wiedzieli!

Gotów byłem pół nocy snuć im teraz moje relacje — z taką dumą, jakby wszystkie zwycięstwa i okrążenia były moim własnym dziełem. Ale dyżurny strażnik wniósł właśnie łóżko dla mnie i trzeba było rozstawić je bez hałasu. Pomagał mi chłopak w moim wieku, też wojskowy: jego lotniczy frencz i pilotka wisiały na słupku łóżka. Zagabnął mnie on jeszcze wcześniej niż staruszek, ale nie chodziło mu o wojnę, tylko o tytoń. Ale — pomimo, że dusza mi się rwała do moich nowych przyjaciół i mimo, że tak mało padło słów w ciągu paru minut — czymś obcym mi powiało od tego rówieśnika i towarzysza bojów, więc zamknąłem się przed nim raz na zawsze.

(Jeszcze nie znałem słowa „kwoka", ani tego, że w każdej celi powinna być chociaż jedna, jeszcze w ogóle nie zdążyłem zdać sobie sprawy, że ten człowiek — Gieorgij Kramarenko — jakoś mi się nie podoba, a już poszła w ruch we mnie wewnętrzna fotokomórka, magiczne oko, co sprawiło, że na zawsze zamknąłem się przed tym człowiekiem. Nie wspominałbym o tym wypadku, gdyby był odosobniony. Ale działanie tego wewnętrznego oka magicznego wkrótce już — ze zdziwieniem, radością i lękiem — odkryłem w sobie jako stałą, naturalną właściwość. Mijały lata, leżałem na tych samych narach, maszerowałem w tym samym szeregu, pracowałem w tych samych brygadach z wieloma setkami ludzi i zawsze to tajemnicze oko magiczne, którego istnie-

nie nie było żadną moją zasługą, wprawiało się samo w ruch, zanim jeszcze pomyślałem o nim, zaczynało działać na widok ludzkiej twarzy, oczu, przy pierwszych dźwiękach głosu — i albo kazało mi otwierać się przed tym człowiekiem na oścież, albo tylko uchylać mu szparki, albo zamykać się na głucho. Było to zawsze przeczucie tak nieomylne, że wszystkie gorączkowe zabiegi pełnomocników operacyjnych dookoła werbunku konfidentów zaczęły mi się wydawać mysią krzątaniną: przecież to, że człowiek podjął się roli zdrajcy, zawsze odbija się wyraziście na twarzy, w głosie; niektórzy osiągnęli już, zdawałoby się, wyjątkową zręczność w kamuflażu, a jednak — coś nieczystego wychodzi na jaw. I odwrotnie — moje oko magiczne pozwalało mi rozpoznawać tych, którym od pierwszej chwili znajomości można dać zajrzeć w największą głąb i zwierzyć tajemnice, za które ścina się łby. Mam za sobą osiem lat więzienia, trzy lata zesłania, jeszcze sześć lat nielegalnego pisarstwa (nie były to wcale lata bardziej bezpieczne) — i w ciągu tych całych siedemnastu lat zwierzałem się nieostrożnie dziesiątkom ludzi — i ani razu się nie potknąłem! — Nigdzie nie czytałem o czymś podobnym i to, co tu piszę, przeznaczone jest dla amatorów psychologii. Wydaje mi się, że takie wewnętrzne dyspozycje ma wielu z nas, ale jako wychowankowie epoki racjonalizmu i techniki, lekceważymy tę cudowną właściwość i nie pozwalamy jej się w nas rozwinąć).

Łóżko zostało rozstawione — i już zabierałem się do opowieści (oczywiście — szeptem i na leżąco, żeby od razu nie przenieść się z tych wygód do karceru), gdy trzeci nasz współtowarzysz, średniego wieku, ale z białymi igiełkami siwych włosów na ostrzyżonej głowie, patrzący na mnie niezupełnie przychylnie, powiedział z surowością, zdobiącą ludzi północy:

— Jutro. Noc jest do spania.

I to było najrozsądniejsze. Każdego z nas w każdej chwili mogli wyrwać na przesłuchanie i trzymać tam do szóstej rano, kiedy śledczy pójdzie spać, a tu już spać nie będzie wolno.

Jedna noc spokojnego snu ważniejsza była od losów planety!

Obecność jeszcze jednego szkopułu, nie od razu wyczuwalną, stwierdziłem już po kilku pierwszych zdaniach mojej relacji: że nastąpiła tu (po aresztowaniu każdego z nich) generalna zmiana znaków arytmetycznych, czy też rotacja wszystkich pojęć o sto osiemdziesiąt stopni i że to, co z takim upojeniem zacząłem im opowiadać — być może dla n a s wcale nie było takie wesołe.

Obrócili się na bok, zasłonili chusteczkami oczy przed blaskiem dwustuwatowej żarówki, okręcili ręcznikami rękę, leżącą na kołdrze, drugą podkurczyli chytrze i zapadli w sen.

A ja leżałem w świątecznym nastroju: jestem wśród ludzi. Godzinę temu nie mogłem przecież wcale liczyć na spotkanie z kimkolwiek. Mogłem zakończyć życie z kulą w potylicy (śledczy cały czas mi to obiecywał) nie widząc przedtem nikogo. Wisiało nade mną po dawnemu śledztwo, ale na jak daleki plan odstąpiło! Jutro ja będę opowiadał (nie o swojej s p r a w i e, to jasne), jutro oni też będą opowiadać — co za ciekawy dzień będzie jutro, chyba jeden z najciekawszych w życiu! (Ta świadomość zrodziła się we mnie bardzo wcześnie i była bardzo jasna: że więzienie to nie jest przepaść, tylko najważniejszy w moim życiu przełom.

Każda drobnostka w celi mnie interesowała, gdzie też senność się podziała! — i kiedy l i p o na mnie nie zerka, ukradkiem się rozglądam. O, u góry jednej ze ścian jest niewielkie wgłębienie, na trzy cegły i wisi na nim granatowa, płócienna sztorka. Już mi zdążyli powiedzieć, że to okno, owszem! — w tej celi jest okno! — a sztorka służy do zaciemnienia przeciwlotniczego. Jutro błyśnie więc słabiutkie światło dzienne i w południe na kilka minut zgaszą oślepiającą lampę. Jak to wiele znaczy — spędzać czas przy świetle dziennym!

Jest jeszcze w celi stół. Miejsce najbardziej widoczne zajmują na nim — szachy, imbryk, stosik książek (jeszcze nie wiedziałem, dlaczego najbardziej widoczne. Okazuje się, że tego też wymaga łubiański regulamin: przy cominutowej kontroli strażnik powinien widzieć, że nikt nie nadużywa tych darów administracji: że imbrykiem nie kuje ścian, że nie łyka figur szachowych, aby załatwić rachunki z życiem i pozbawić ZSSR obywatela; że nie podpala książek w zamiarze obrócenia więzienia w popiół. Własne zaś okulary aresztantów uznane są za narzędzie tak niebezpieczne, że nawet na stole nie wolno im leżeć w nocy, administracja konfiskuje je do rana.

Jakie wygodne życie! — szachy, książki, sprężynowe łóżka, solidne materace, czysta bielizna. Toż nie pamiętam, żebym tak sypiał w ciągu całej wojny. Froterowana posadzka. Prawie cztery kroki — dla spacerów od okna do drzwi. Nie, czy to centralne więzienie polityczne — czy jakieś sanatorium?

I pociski nie lecą ci na łeb... Przypomniałem sobie ten ich wysoki łopot nad głową, albo narastający świst i grzmot wybuchu. I jak tkliwie pogwizdują miny. I jak wszystko dygoce, kiedy łupną cztery cetnary k r o w y. Przypomniałem sobie zgniłą pluchę za Ostródą, gdzie mnie aresztowano i gdzie nasi dotychczas mieszą błoto i mokry śnieg, aby nie wypuścić Niemców z kotła.

Czort z wami — nie chcecie, żebym wojował, to się obejdzie.

Wśród wielu utraconych wzorców utraciliśmy jeszcze i taki: przykład nieugiętego hartu zostawiony nam przez ludzi, którzy przed nami mówili i pisali po rosyjsku. Dziwne, że nie zostali oni prawie opisani w naszej literaturze przedrewolucyjnej. Rzadko tylko dochodzi do nas cień ich oddechu — to dzięki Cwietajewej, to znów dzięki „matce Marii"[6]. Widzieli oni zbyt wiele, aby upodobać sobie tylko jedno. Dążyli do wysokich celów zbyt żarliwie, aby mocną stopą trzymać się ziemi. W organizmach społecznych przed samym ich upadkiem pojawia się czasem taka mądra warstwa ludzi myślących — nic więcej, tylko myślących. Jak też ich wyśmiewano! Ludziom prostolinijnego czynu i pracy stali oni jakby kością w gardle. Innego też się przezwiska nie doczekali, jak z g n i ł k i.

Ludzie ci byli jak kwiat przedwcześnie rozkwitły, o zbyt rzadkim zapachu — dlatego rzucono ich pod kosiarkę.

W życiu osobistym byli oni szczególnie niezaradni: nie umieli ani zginać karku, ani udawać, ani szukać zgody; co słowo — to własne zdanie, poryw, protest. Takich właśnie kosiarka najłatwiej kosi. Takich właśnie sieczkarnia najchętniej siecze[7].

Przechodzili oni przez te same cele. Ale ściany cel — tyle już razy odzierane z tapet, tynkowane, bielone i malowane — otóż ściany cel nie oddawały nam niczego, co im przeszłość powierzyła (przeciwnie nawet, same one nadstawiały swoje mikrofony, żeby tylko nas podsłuchać). O dawnych mieszkańcach tych cel, o rozmowach, które tu prowadzono, o myślach, z którymi szło się stąd pod mur, albo na Sołówki — nigdzie niczego nie napisano, nie powiedziano — i takiego tomu, który wart byłby czterdziestu wagonów naszej literatury, zapewne już nikt nie napisze.

Ci zaś, którzy jeszcze są wśród żywych, opowiadają nam rozmaite błahostki: że dawniej były tu drewniane prycze z siennikami, że zanim jeszcze na okna założono b l i n c e, szyby już były zasmarowane wapnem z dołu do samej góry — jeszcze w 1920-tym. A blince — w 1923-im już były na pewno (a myśmy zgodnie przypisywali je Berii). Do rozmów metodą pukania w ściany podobno jeszcze w latach 20-tych odnoszono się tolerancyjnie: jakoś jeszcze utrzymywała się ta niedorzeczna tradycja z carskich czasów, że więzień, jeśli sobie nie postuka, to co pocznie?... I jeszcze — że przez całe lata dwudzieste wszyscy

6. Mowa o jej „Wspomnieniach o Aleksandrze Błoku".

7. Aż strach powiedzieć, ale w wigilię lat 70-tych naszego wieku znów tacy ludzie się wynurzają. To zadziwiające. Prawie że nie można było mieć na to nadziei.

strażnicy tutejsi byli Łotyszami (widocznie z dawnego pułku strzelców łotewskich) i że jedzenie roznosiły rosłe Łotyszki.

Błahostki błahostkami, a jest nad czym podumać.

Co do mnie, to pobyt w tym głównym więzieniu politycznym Związku bardzo mi był potrzebny, dobrze w końcu, że mnie tu przywieziono: myślałem dużo o Bucharinie, chciałem móc sobie to wszystko wyobrazić. Wrażenie jednak mieliśmy takie, że kosa uszczknęła nas jakby już z ubocza i że nadawaliśmy się do byle okręgowego więzienia wewnętrznego[8]. A tu — za wysokie progi.

Ale z tymi, których tu zastałem, nie można było się nudzić. Było kogo posłuchać, było kogo porównać z innymi.

Tego starego z ruchliwymi brwiami (zresztą — mając sześćdziesiąt trzy lata trzymał się on wcale nie jak stary) zwano Anatol Iliicz Fastenko. Był wielką ozdobą naszej łubiańskiej celi — i jako strażnik starych, rosyjskich tradycji więziennych, i jako żywa kronika rosyjskich rewolucji. To, co miał w pamięci, nadawało jakby większy wymiar temu, co się stało i co się teraz działo. Tacy ludzie nie tylko bardzo się liczą w celi, ale w całym społeczeństwie bardzo ich brak.

Nazwisko Fastenki wyczytaliśmy w tejże celi, wertując książkę o rewolucji 1905 roku. Fastenko był socjaldemokratą od tak dawna, że już chyba przestawał nim być.

Swój pierwszy wyrok dostał jako młody jeszcze człowiek, w 1904 roku, ale na mocy „manifestu" z 17 października 1905 był puszczony wolno[9].

(Interesujące było jego opowiadanie o przebiegu tej amnestii. W tych latach, rzecz jasna, nikt jeszcze nie miał pojęcia o żadnych blincach na więziennych oknach i z cel więzienia w Białej Cerkwi, gdzie Fastenko siedział, aresztanci mogli sobie do woli patrzeć na podworzec więzienny, na wchodzących i wychodzących, na ulicę, a więc też — porozumiewać się krzykiem z kim chcieli. I oto już w dniu 17 października, dowiedziawszy się z depesz

8. Więzienie wewnętrzne — tj. właśnie więzienie bezpieczeństwa.

9. Któż z nas nie nauczył się na szkolnej ławie, albo nie wykuł według „Krótkiego kursu historii WKP(b)", że ten prowokacyjny i podły manifest był kpiną z wolności, że car wydał rozkaz: „wolność — dla martwych, żywych — do aresztu"? Ale ten epigramat kłamie. Na mocy manifestu zezwalało się na istnienie WSZYSTKICH partii politycznych, zwołano Dumę, amnestię dano zaś uczciwą i najszerszą z możliwych (inna rzecz, że była ona wymuszona), a mianowicie na jej podstawie zwolniono ni mniej, ni więcej, tylko WSZYSTKICH więźniów politycznych, bez wyjątku i niezależnie od wyroku. Tylko kryminaliści mieli siedzieć dalej. Stalinowska zaś amnestia z lipca 1945 roku (co prawda, nie była ona wymuszona przez nikogo) miała dokładnie odwrotne działanie: wszyscy polityczni zostali na jej mocy w więzieniu.

o amnestii, wolni zawiadomili o tym więźniów. Polityczni rozpoczęli radosny raban, zabrali się do wybijania szyb i wyłamywania drzwi, żądając od naczelnika więzienia, by ich natychmiast wypuścił na wolność. Może kogoś z nich zaraz skopano po pysku? Wsadzono do karceru? Może jakąś celę pozbawiono za to książek, albo prawa zakupów w kantynie? Bynajmniej. Skołowany naczelnik więzienia biegał od celi do celi i prosił: — „Panowie! Błagam was! — trochę rozsądku! Ja przecież nie mam prawa wypuścić was na podstawie telegraficznej wiadomości. Powinienem dostać rozporządzenie bezpośrednio od moich zwierzchników z Kijowa. Ja bardzo was proszę: będziecie jednak musieli spędzić tu jeszcze tę noc". — I rzeczywiście, zatrzymano ich po barbarzyńsku na całą dobę!...)[10]

Po odzyskaniu wolności, Fastenko i jego towarzysze natychmiast włączyli się do rewolucji. W 1908 roku Fastenko dostał 8 lat katorgi, co oznaczało — 4 lata w kajdanach i 4 lata na zesłaniu. Pierwsze cztery lata odsiedział w sewastopolskim centralniaku, gdzie, *nota-bene,* miała właśnie w tym okresie miejsce masowa ucieczka więźniów, zorganizowana z zewnątrz wspólnym staraniem rewolucyjnych partii — eserów, anarchistów i socjaldemokratów. Wybuch bomby zrobił w murze więziennym wyłom na dobrego jeźdźca i ze dwudziestu więźniów (nie wszyscy, którzy mieli chęć, jedynie wyznaczeni do ucieczki przez własne partie i jeszcze w więzieniu zaopatrzeni — przez strażników! — w pistolety!) rzuciło się do wyrwy; wszyscy uciekli, prócz jednego. Anatol Fastenko dostał zaś rozkaz od RSDPR by nie uciekał, lecz starał się odwrócić uwagę nadzorców robiąc zamęt.

Za to na zesłaniu nad Jenisejem nie strawił wiele czasu. Konfrontując relację jego (a także innych ocalałych) ze znanym szeroko faktem, że nasi rewolucjoniści całymi setkami uciekali z zesłania — i przeważnie za granicę, dojść można do wniosku, że z carskiego zesłania nie uciekali tylko leniwi, takie to było proste. Fastenko „uciekł", to znaczy — po prostu wyjechał bez paszportu z miejsca osiedlenia. Pojechał do Władywostoku, licząc, że jakiś znajomy pomoże mu tam dostać się na okręt. Z jakichś powodów rzecz się nie udała. Wówczas, dalej bez paszportu, Fastenko spokojnie przejechał pociągiem całą macierz-Rosję i zajechał aż na Ukrainę. Tam dostał cudzy paszport i wyruszył w drogę ku austriackiej granicy chcąc ją przekroczyć. Przedsięwzięcie to było tak mało ryzykowne i tak słaby był oddech po-

10. Po stalinowskiej amnestii, jak będzie jeszcze o tym mowa, amnestionowanych trzymano jeszcze po dwa-trzy miesiące, zmuszając dalej do harówki i nikomu się to nie wydawało bezprawiem.

goni, który mógł czuć na karku Fastenko, że posunął się on do zdumiewającej lekkomyślności: na granicy, już po oddaniu policjantowi paszportu, Fastenko nagle sobie uświadomił, że NIE PAMIĘTA swego nowego nazwiska! Co tu robić? Pasażerów było ze czterdziestu, a policjant już zaczął wywoływać. Fastenko znalazł sposób: udał, że śpi. Słyszał, jak rozdano wszystkie już paszporty i jak kilka razy wywołano nazwisko Makarow, ale jeszcze nie miał pewności, że to chodzi o niego. Wreszcie — pies łańcuchowy carskiego reżymu pochylił się nad działaczem podziemia i delikatnie trącił go w ramię: „Panie Makarow! Panie Makarow! Proszę — tu jest pański paszport!".

Fastenko pojechał do Paryża. Tam poznał Lenina, Łunaczarskiego i pełnił przy partyjnej szkole w Longjumeau jakieś gospodarcze obowiązki. Jednocześnie uczył się po francusku, rozglądał się po świecie — i jakoś go zaczęło ciągnąć dalej w ten świat. Przed wojną przeniósł się do Kanady, był tam robotnikiem, znalazł się także w Stanach Zjednoczonych. Pełne swobody i dostatku życie w tych krajach zdumiało Fastenkę: doszedł do przekonania, że żadnej rewolucji proletariackiej nigdy tam nie będzie i nawet myślał już, że chyba wcale jej tam nie trzeba.

A tymczasem w Rosji doszło — wcześniej niż by się kto spodziewał — do wyczekiwanej rewolucji i wszyscy zaczęli wracać i tu przyszła jeszcze jedna rewolucja. Fastenko już nie czuł w sobie dawnego zapału do tych przewrotów. Ale wrócił, posłuszny temu prawu, które zmusza do przelotów ptaki[11].

Jeszcze wtedy wielu rzeczy w tym Fastence nie potrafiłem zrozumieć. Omal że najciekawszym i najważniejszym jego rysem było dla mnie, że znał on osobiście Lenina, ale napomykał o tym zupełnie bez zapału. (Moje nastroje wyglądały wtedy mniej więcej tak: ktoś w celi zwrócił się do Fastenki, używając samego tylko imienia odojcowskiego, to jest po prostu: „Iliicz, czy ty

11. Wkrótce po nim wrócił do Rosji poznany w Kanadzie były marynarz z pancernika „Potiomkin", który uciekł za ocean i został tam bogatym farmerem. Marynarz sprzedał całą swoją farmę razem z bydłem, zabrał pieniądze i nowiutki traktor — i przyjechał do ojczyzny, by pomagać w budowie upragnionego socjalizmu. Zapisał się do jednej z pierwszych komun i oddał jej swój traktor. Posługiwał się nim byle kto i byle jak, toteż rychło go zniszczono. Sam zaś nasz marynarz ujrzał wszystko w zupełnie innym świetle, niż to sobie wyobrażał przez 20 lat. Rozkazy wydawali ludzie, którzy nie mieli do tego żadnych kompetencji i kazali robić to, co gospodarny farmer mógł uznać tylko za dziką bezmyślność. Prócz tego opadł tu z ciała i poniszczył już swoje ubrania, a mało co zostało z kanadyjskich dolarów po wymianie na papierowe ruble. Wybłagał więc, by wypuszczono go razem z rodziną, wyjechał za granicę tak samo bez grosza, jak wtedy, gdy uciekł po buncie na „Potiomkinie", przeciął ocean jako marynarz (na bilet pieniędzy nie było), a w Kanadzie zaczął od nowa, jako parobek.

dziś wynosisz kibel?". Uniosłem się gniewem, jakbym był osobiście dotknięty, wydawało mi się to bluźnierstwem — i nie tylko w tym kontekście, ale w ogóle bluźnierstwem dla mnie było nazywanie I l i i c z e m kogokolwiek, prócz jednego człowieka na świecie!). Przez to też Fastenko nie mógł mi jeszcze objaśnić wielu rzeczy tak, jakby sobie życzył.

Mówił mi jasno, po rosyjsku: „Nie czyń sobie bożyszcz!" A ja nie rozumiałem!

Widząc moją skłonność do entuzjazmu, powtarzał mi uporczywie nie jeden raz: „Jesteś matematykiem, grzeszysz, zapominając słów Kartezjusza: wszystko podawać w wątpliwość! W s z y s t k o podawać w wątpliwość!" Jak to — „wszystko"? No tak, wszystko! Wydawało mi się, że podałem już dosyć, że tego starczy.

Albo tak mówił: „Starych katorżników politycznych prawie już nie ma, ja jestem już jednym z ostatnich. Starych katorżników wszystkich zlikwidowano, a nasz związek rozpędzono jeszcze w trzydziestych latach". — „A dlaczego?" — „A żebyśmy nie zbierali się i nie debatowali". I chociaż te proste słowa, wypowiedziane spokojnym tonem powinny były wzbić się do nieba, rozbijając po drodze szyby — rozumiałem je tylko jako jeszcze jeden dowód przestępstw Stalina. Smutny fakt — ale bez korzeni.

Jest zupełnie pewne, że nie wszystko, co wpada nam w ucho, trafia aż do świadomości. To, co za mało odpowiada naszym nastrojom, ulatnia się — w uszach, czy gdzieś dalej, ale się ulatnia. I chociaż pamiętam dobrze liczne opowieści Fastenki — ale jego argumenty rozumowe mogę wspomnieć tylko mgliście. Wymieniał mi różne książki, które bardzo radził kiedyś na wolności zdobyć i przeczytać. Nie mając już, z uwagi na wiek i zdrowie, nadziei by wyjść stąd żywym, pocieszał się nadzieją, że ja kiedyś te myśli sobie przyswoję. Zapisywać nie było można, zapamiętać i tak trzeba było w życiu więziennym sporo, mimo to zachowałem w pamięci nazwiska odpowiadające bardziej moim ówczesnym gustom: „Niewczesne rozmyślania" Gorkiego (bardzo wysoko stawiałem wtedy Gorkiego! — przecież nad wszystkimi rosyjskimi klasykami górował tym, że był klasykiem proletariackim) — i „Rok w ojczyźnie" Plechanowa.

I kiedy teraz czytam u Plechanowa pod datą 28 października 1917 roku:

„... nie dlatego smucą mnie wypadki ostatnich dni, że nie życzę sobie zwycięstwa klasy robotniczej w Rosji, a właśnie dlatego, że pragnę go z całej duszy... (trzeba tu) przypomnieć uwagę Engelsa, że dla klasy robotniczej nie może być gorszego historycznego nieszczęścia, niż zagarnięcie władzy politycznej w takiej

chwili, kiedy klasa ta nie jest jeszcze do tego przygotowana". (To zagarnięcie władzy) „zmusi klasę robotniczą do odwrotu daleko wstecz z pozycji, zdobytych w lutym i marcu bieżącego roku[12]...";

— To jasno zdaję sobie sprawę, że tak właśnie myślał wtedy Fastenko.

Gdy wrócił do Rosji to przez szacunek dla jego dawnych zasług w pracy nielegalnej, bardzo pchano go w górę i mógł był zająć ważne stanowisko, ale nie chciał, przyjął skromną posadę w wydawnictwie *Prawdy,* potem jakąś jeszcze skromniejszą, wreszcie przeniósł się do trustu moskiewskich przedsiębiorstw gospodarki komunalnej i tam pracował już całkiem w kątku.

Dziwiłem się: czemu tak się uchylał? Odpowiedział mi zdaniem, którego nie zrozumiałem: „Starego psa nie przyzwyczaisz do łańcucha".

Zrozumiawszy, że nie da się już nic zaradzić, Fastenko chciał się po prostu uchować, rzecz ludzka. Już przeszedł na cichą, skromną emeryturkę (nie dla zasłużonych, bynajmniej, bo to mogło pociągnąć za sobą stwierdzenie, że znał blisko wielu już rozstrzelanych) — i w ten sposób może by dociągnął do 1953 roku. Ale na nieszczęście aresztowano jego sąsiada ze wspólnego mieszkania — wiecznie zalanego hulakę, pisarza L. S.-wa, który gdzieś po pijanemu przechwalał się, że ma pistolet. Pistolet zaś — to koniecznie musi być terror, a Fastenko z jego socjal-demokratyczną przeszłością był wykapanym terrorystą. No i teraz śledczy wmawiał mu działalność terrorystyczną, a zarazem służbę we francuskim i kanadyjskim wywiadzie, a zatem również — w carskiej ochranie w charakterze konfidenta[13].

I w 1945 roku syty śledczy zarabiał na sutą swoją gażę wertując całkiem serio akta z archiwów prowincjonalnych komend żandarmerii i pisząc całkiem na serio protokoły przesłuchań, dotyczące konspiracyjnych haseł, podpunktów i zebrań z 1903 roku.

A żona — staruszka (dzieci nie mieli) co dziesiąty dzień, według przepisu, przekazywała Anatolowi Iliiczowi takie paczki, na jakie ją było stać: trzystagramowy kawałek czarnego chleba (przecież kupowano go na bazarze i kosztował sto rubli kilo!) i tuzin gotowanych, obranych (a przy rewizji — jeszcze prze-

12. Plechanow: *List otwarty do robotników Piotrogrodu,* (gazeta *Jedinstwo,* 28. X. 1917).

13. Ulubiony motyw Stalina: każdemu aresztowanemu staremu, towarzyszowi partyjnemu (i w ogóle — byłym rewolucjonistom) zarzucać służbę w carskiej ochranie. Czy to wynik bezgranicznej podejrzliwości? A może... jakiś głos wewnętrzny?... przez analogię?...

kłutych szydłem) ziemniaków. I na widok tych biednych — naprawdę świętych! — przesyłek serce się rwało!

To było wszystko, co się należało człowiekowi za sześćdziesiąt trzy lata rzetelności i rozterek.

◆

Cztery łóżka w naszej celi nie zajmowały całej przestrzeni; zostawało miejsce na stół. Ale kilka dni po moim przybyciu podrzucono nam jeszcze piątego i postawiono łóżko w poprzek.

Nowicjusza sprowadzono godzinę przed pobudką, w porze snu najsłodszego, przenikającego aż do szpiku — i trzech z nas nie uniosło nawet głów, tylko Kramarenko zerwał się, żeby zdobyć trochę tytoniu (a być może — także materiału dla śledczego). Zaczęli rozmowę szeptem, staraliśmy się nie słuchać, ale nie sposób było nie słyszeć szeptu przybysza: taki był głośny, wytężony i nawet bliski płaczu, że od razu się wyczuwało, iż nie zwyczajne nieszczęście znalazło się w naszej celi. Nowy dopytywał się, czy często rozstrzeliwują. Mimo to, nie odwracając głowy, zwróciłem im uwagę, żeby zachowywali się ciszej.

Kiedy zaś po pobudce zerwaliśmy się wszyscy razem (za wylegiwanie się groził karcer), to zobaczyliśmy — generała! To znaczy, nie miał żadnych dystynkcji, nawet sprutych, czy odkręconych, nawet naszywek — ale drogi frencz, miękki płaszcz, cała postać, no i oblicze! — nie, to na pewno był generał, typowy generał i nawet niechybnie generał ekstraklasy, nie jakiś tam generał-major. Był niewysoki, krzepki, o bardzo masywnym korpusie, szerokich barach, o twarzy opasłej, ale ta nażarta otyłość nie dodawała mu wcale dobrodusznej przystępności — tylko znaczenia, świadczyła o przynależności do wyższej sfery. Twarz jego obciążona była buldożą żuchwą i tu był ośrodek jego energii, woli, władczej siły, które pozwoliły mu zajść tak wysoko w średnim jeszcze wieku.

Zaczęło się zawieranie znajomości i okazało się, że L. W. Z-w — jest jeszcze młodszy, niż na to wygląda, że w tym roku skończy dopiero trzydzieści sześć lat („jeżeli mnie nie rozstrzelają"), a co jeszcze dziwniejsze — wcale nie jest generałem, nawet nie pułkownikiem, i w ogóle nie jest wojskowym, tylko — i n ż y n i e r e m !

Inżynierem?! Wychowałem się właśnie w środowisku inżynierskim i dobrze pamiętam inżynierów lat dwudziestych: te błyskotliwe, otwarte umysły, ten swobodny i nienatarczywy humor, ta lekkość i rozmach myśli, łatwość przerzucania się od jednej dziedziny pracy inżynierskiej do drugiej — i w ogóle, od techniki

do życia społecznego, do sztuki. Następnie — ta grzeczność, dobry smak; bogaty język, wymowa płynna i niezachwaszczona tanimi słówkami; jeden — trochę muzykuje, inny — trochę maluje, u każdego z nich życie duszy odbija się w rysach twarzy.

W początkach lat 30-tych straciłem kontakt z tym środowiskiem. A później przyszła wojna. I oto przede mną stał — inżynier. Jeden z tych, którzy zajęli miejsce unicestwionych.

Jednego nie można mu było odmówić: był znacznie silniejszy, pełniejszy krzepy od tamtych. Zachował tę krzepę w barach i w rękach, chociaż dawno już nie były mu one potrzebne do pracy. Wolny od skrupułów uprzejmości, spoglądał ostro, mówił tonem zdecydowanym, nie spodziewając się nawet żadnych sprzeciwów. Wychowany był inaczej, niż tamci i pracował też inaczej.

Ojciec jego orał ziemię w najzupełniej ścisłym i dosłownym sensie. Lonia Z-w należał do tych umorusanych, ciemnych wsiowych chłopców, o których pisali Bielinski i Tołstoj, biadając, że talenty giną w zarodku. Łomonosowem nie był i sam by nie trafił do Akademii, ale talenty miał — a musiałby także orać ziemię, gdyby nie rewolucja. Doszedłby do dostatku, bo był bystry, zmyślny, może wybiłby się nawet na kupczyka.

Jako że czasy były sowieckie, poszedł do Komsomołu i właśnie to jego komsomolstwo, prędzej niż inne talenty, wyrwało go z anonimowości, z nizin, ze wsi, przeniosło lotem rakiety przez *rabfak* i podniosło aż na wyżyny Akademii Przemysłowej. Trafił do niej w 1929 roku — no, właśnie w chwili gdy stadami pędzono do GUŁagu tamtych inżynierów. Trzeba było co prędzej kształcić swoich ludzi — uświadomionych, oddanych, stuprocentowych — i nie tyle nawet znawców samego przedmiotu, ile managerów, sowieckich *bussinesman'*ów. Chwila była taka, że sławetne punkty dowodzenia nieistniejącym jeszcze przemysłem — czekały na obsadzenie. I przeznaczeniem powołanych razem z nim — było zawładnąć nimi.

Życie Z-wa stało się łańcuchem sukcesów, girlandą pnącą się wciąż w górę. Te znojne lata — od 1929 do 1933, kiedy wojna domowa w kraju prowadzona była nie za pomocą taczanek, tylko psów milicyjnych, kiedy sznury umierających z głodu wlokły się w stronę stacji kolejowych w nadziei, że dojadą do miasta, gdzie rodzi się chleb, ale biletów im nie dawano, dojechać nie mogli — i pokornym, siermiężno-postolnym pokotem konali pod płotami dworcowymi — w tych latach Z-w nie wiedział, że chleb mieszkańcom miast wydaje się na kartki, ale miał studenckie stypendium wysokości dziewięciuset rubli (prosty robotnik zarabiał wtedy sześćdziesiąt). O wieś, której pył otrząs-

nął z nóg, serce go nie bolało: jego nowe życie już tutaj się toczyło, pośród zwycięzców i rozkazodawców.

Nie zdążył przejść praktyki w charakterze zwykłego dziesiętnika: od razu podporządkowano mu dziesiątki inżynierów, a robotników tysiące, został inżynierem naczelnym wielkich podmoskiewskich zakładów budownictwa. Od pierwszych dni wojny był, oczywiście, wyreklamowany od służby; został ewakuowany ze swoim centralnym zarządem do Ałma-Aty i tu wodził rej na jeszcze większej budowie, nad rzeką Ili, tylko że pracowali teraz u niego więźniowie. Ci szarzy ludkowie bardzo mało go wtedy interesowali swoim wyglądem: nie zmuszał on do namysłu, nie przykuwał nawet wzroku. Dla utrzymania się na lśniącej orbicie, na której krążył, ważne były tylko cyfry planu, który oni wykonywali i Z-wowi wystarczało nałożyć karę na obiekt, punkt obozowy, nadzorcę robót — aby już oni własnymi środkami postarali się wykonać normę; — ale — ile godzin tam pracowali, jakie racje żywnościowe wtedy mieli — w te detale nie wnikał.

Lata wojny na głębokim zapleczu były najlepszym okresem życia Z-wa! Takie jest odwieczne i powszechne prawo wojny: im więcej powoduje nieszczęść na jednym biegunie, tym więcej radości wyzwala na drugim. Z-w miał nie tylko szczękę buldoga, ale też umiał szybko i zręcznie chwycić zębami każdą okazję praktyczną. Z miejsca i z wprawą dostosował się do nowego wojennego rytmu gospodarki krajowej: wszystko dla zwycięstwa, wyrwij spod ziemi i daj, co trzeba, wojna wszystko usprawiedliwi! W związku z wojną poszedł na jedno tylko ustępstwo: wyrzekł się garniturów i krawatów i — przybierając barwę ochronną — kazał sobie uszyć chromowe buty i wdział generalski frencz — ten sam, w którym do nas przybył. To było modne, uniwersalne, nie drażniło inwalidów, ani nie ściągało potępiających spojrzeń kobiecych.

Ale kobiety częściej rzucały na niego zupełnie inne spojrzenia; garnęły się do niego, żeby zaspokoić głód, ogrzać się, poweselić trochę. Wielkie sumy ciekły mu przez palce, portfel z gotówką pęczniał, jak baryłka, czerwoniec znaczył dla niego tyle, co kopiejka, tysiączek — tyle, co jeden rubel. Z-w ich nie żałował, nie szczędził, nie rachował. Rachował tylko kobiety, które przepuścił przez łóżko — a osobno te, które on pierwszy o d k o r k o w a ł, te rachunki, to był jego sport. Zapewniał nas w celi, że aresztowali go przy dwieście dziewięćdziesiątej którejś, jaka szkoda, że nie dali przekroczyć trzeciej setki! Była wojna, kobiety były samotne, prócz pieniędzy i władzy miał jeszcze męską krzepę godną Rasputina — więc można mu było wierzyć. Gotów był odpowiadać nam jeden epizod po drugim, ale nasze uszy

już nie były skłonne tego słuchać. Chociaż żadne niebezpieczeństwo mu znikąd nie groziło, ale przez te ostatnie lata kurczowo chwytał te kobiety, miętosił i odrzucał tak, jak bierze się z półmiska raka, żuje, wysysa i sięga po następnego.

Jak przyzwyczaił się już do ustępliwości materii, do swojego tęgiego, kiernoziego truchtu, którym biegł przez świat! (W chwilach szczególnego podniecenia biegał po celi właśnie jak tęgi odyniec, co to mógłby dąb rozszczepić, jak się rozpędzi). Jak się przyzwyczaił, że wśród kierownictwa są sami swoi, że wszystko można uzgodnić, załatwić, zaklajstrować! Zapomniał, że im więcej sukcesów, tym więcej zawiści. Jak dowiedział się dopiero teraz, podczas śledztwa, już od 1936 roku wlokła się za nim historia anegdoty, beztrosko opowiedzianej kolegom po pijanemu. Dołączono potem do *dossier* jeszcze jakieś donosiki i meldunki agentów (przecież kobiety trzeba zapraszać do restauracji, a tam już człowiek komuś w oko wpadnie!) A jeszcze znalazł się donos — że w 1941 roku nie spieszył się z wyjazdem z Moskwy, czekając na Niemców (rzeczywiście, trochę zwlekał, zdaje się, że przez jakąś babę). Z-w baczył pilnie, żeby jego finansowe kombinacje załatwiane były czysto i gładko — ale zapomniał na śmierć, że jest jeszcze artykuł 58. I jednak ta bryła długo by jeszcze mogła wisieć mu nad głową, gdyby nie odmówił w swojej pysze pewnemu prokuratorowi dostawy materiałów dla budowy daczy. Tu jego sprawa obudziła się z letargu, drgnęła i runęła w dół. (Jeszcze jeden dowód, że Sprawy sądowe mają swoje źródło w interesowności Błękitnych...).

Zakres wiadomości Z-a wyglądał mniej więcej tak: był przekonany, że istnieje język a m e r y k a ń s k i ; w celi przez dwa miesiące nie przeczytał ani jednej książki, nawet jednej całej stronicy, a jeśli doczytał do końca jakieś zdanie, to tylko po to, aby oderwać się od ciężkich myśli o śledztwie. Z rozmów wynikało jasno, że jeszcze mniej czytał na swobodzie. Puszkina znał tylko jako bohatera nieprzyzwoitych anegdot, o Tołstoju wiedział chyba tylko tyle, że to jakiś deputat Najwyższego Sowietu.

Ale czy był za to stuprocentowy? czy był tym uświadomionym, proletariackim elementem, kształconym po to, by zastąpić Palczynskiego i Von Mecka? To zdumiewające, ale nie! Pewnego razu omawialiśmy z nim przebieg wojny; powiedziałem, że od pierwszego jej dnia ani przez chwilę nie miałem wątpliwości co do naszego zwycięstwa nad Niemcami. Spojrzał na mnie ostro, nie chciał uwierzyć: „Co ty powiesz?" — i złapał się za głowę. — „Aj, Sasza, Sasza, a ja byłem pewien, że Niemcy zwyciężą! To właśnie mnie zgubiło!" Więc to tak! Był jednym z „organizatorów zwycięstwa" — i przez ten cały czas wierzył w Niemców,

bez przerwy oczekiwał ich przyjścia! — nie dlatego, że ich lubił, lecz po prostu zbyt dobrze znał stan naszej gospodarki (którego ja, rzecz jasna, nie znałem, więc wierzyłem).

Wszyscy w celi byliśmy przygnębieni, ale nikt z nas nie upadł na duchu tak, jak Z-w, nikt nie widział w swoim aresztowaniu takiej tragedii, jak on. Już się przy nas oswoił z perspektywą, że czeka go nie więcej, niż DYCHA, że przez te lata będzie w obozie, rzecz oczywista, kierownikiem robót, że nie zazna najgorszej biedy, jak nie znał jej dotąd. Ale to nie było dla niego żadną pociechą. Zanadto był wstrząśnięty ruiną swego wspaniałego życia; przecież tylko ono, to jedyne w świecie życie, niczyje inne, interesowało go w ciągu całych trzydziestu sześciu lat! I nieraz, siedząc na łóżku przy stole podparłszy swoją nalaną twarz krótką, grubą ręką, z wyrazem zagubienia w zamglonych oczach, zawodził cicho, przeciągle:

Porzu-co-ny, zapo-mniaaany
Od najmło-odszych swo-oich lat,
Na siero-ocy lo-os skaza-any...

I nigdy nie potrafił dokończyć! — tu wybuchał szlochem. Całą siłą, która z niego parła, ale nie mogła przebić tych murów, obracał na żal nad sobą samym.

I — nad żoną. Żona, od dawna niekochana, teraz co dziesięć dni (częściej nie było wolno) przynosiła mu sute, dostatnie paczki żywnościowe — bielutki chleb, masło śmietankowe, czerwony kawior, cielęcinę, wędzonego jesiotra. Dawał nam po kanapce, po szczypcie tytoniu, garbił się nad swoim porozkładanym żarciem (igrającym zapachami i barwami obok sinawych ziemniaków starego konspiratora) i znów lał ślozy podwójnym strumieniem. Wspominał na głos łzy swojej żony, całe lata łez, to przez miłosne karteluszki, znalezione w spodniach, to znów przez damskie majtki w kieszeni palta, wetknięte tam w pośpiechu podczas wycieczki samochodem i później zapomniane. I kiedy tak go rozbierała gorąca żałość nad sobą, spadała z niego kolczuga złowrogiej energii — i mieliśmy przed sobą zbłąkanego i jednak wyraźnie dobrego człowieka. Dziwiło mnie, że potrafi on tak szlochać. Estończyk Arnold Suzi, również mieszkaniec naszej celi, ten z igiełkami siwizny we włosach, tak mi to objaśniał: „Brutalność zawsze podszyta jest sentymentalizmem. To prawo kompensacji. Na przykład u Niemców taka kombinacja jest nawet cechą narodową".

I na odwrót — Fastenko był z nas wszystkich człowiekiem najbardziej rzeźkim, chociaż z wieku był jedynym, który nie mógł już liczyć na to, że przetrwa i wróci na wolność. Obejmując mnie powiedział:

Przy prawdzie stać — to jeszcze mało!
S i e d z i e ć za prawdę — sztuką całą!

— albo uczył mnie swojej pieśni, przywiezionej jeszcze z katorgi:

Choć w mokrym szybie, czy w turmie
Wypadnie nam złożyć kości —
Sprawa odżyje powtórnie
Pośród pokoleń przyszłości!

Ja w to wierzę! I niech te stronice przyczynią się do ziszczenia jego wiary.

◆

Szesnastogodzinne dni naszej celi ubogie są w wydarzenia, ale tak ciekawe, że na przykład dla mnie o wiele nudniejsze jest szesnastominutowe czekanie na trolejbus. Nie ma wydarzeń godnych uwagi, ale wieczorem człowiek wzdycha, że znów czasu nie starczyło, że znowu dzień minął. Wydarzenia są drobne, ale pierwszy raz w życiu zaczynam przyglądać im się jak przez powiększające szkło.

Najciekawsze godziny dnia — to dwie, następujące zaraz po pobudce; na zgrzyt klucza, obracanego w zamku (na Łubiance nie ma „karmników"[14] i dla oznajmienia pobudki też trzeba otworzyć drzwi) — zrywamy się nie mieszkając, ścielimy łóżka i z uczuciem czczości i beznadziei siedzimy na nich jeszcze przy świetle elektrycznym. To przymusowe ranne czuwanie od szóstej, kiedy mózg tak jest jeszcze rozleniwiony snem, cały świat brzydnie, życie wydaje się już skończone, a powietrza w celi nie ma ani krzty — jest specjalnie niedorzeczne dla tych, którzy noc spędzili na badaniu i dopiero niedawno mogli zasnąć. Ale nawet nie próbuj szachrować. Jeśli spróbujesz jednak się zdrzemnąć, opierając się trochę o ścianę, albo z łokciami na stole, niby że nad szachami, albo schyliwszy się nad książką, na pokaz otwartą na kolanach — zaraz rozlegnie się ostrzegawczy stuk kluczem w drzwi, albo jeszcze gorzej: zamknięte na zgrzytliwy zamek drzwi nagle otworzą się bez szmeru (tak są wytresowani łubiań-

14. Duże wycięcie w drzwiach celi, opadające, jak stolik. Przez to wycięcie toczą się rozmowy, wydaje się porcje i podaje do podpisu więzienne papiery.

scy strażnicy) i młodszy sierżant, zwinny i niemy jak cień, niby zjawa, co przechodzi przez ściany, przemierzy celę trzema krokami, zaklepie cię na drzemce i zaraz pójdziesz do karceru, a może zabiorą książki całej celi, albo pozbawią spaceru — okrutna, niesprawiedliwa kara zbiorowa, a przewidziana jest przecie, jest o niej mowa w czarnych rządkach regulaminu więziennego, czytaj! wisi w każdej celi. Zresztą, jeśli musisz czytać w okularach, to ani książek, ani nawet świętego regulaminu nie będziesz mógł przeczytać w trakcie tych dwóch marudnych godzin: przecież okulary zabierają na noc i groziłoby niebezpieczeństwem, gdybyś je już miał w ciągu tych dwóch godzin. W ciągu tych dwóch godzin nikt niczego nie przynosi do celi, nikogo o nic nie pyta i nigdzie nikogo nie wzywa — bo jeszcze śpią słodko oficerowie śledczy, jeszcze nie przetarła oczu więzienna zwierzchność — i czuwa tylko k l a w i s z[15], co minutę podnoszący klapkę judasza.

Jest jednak pewna procedura, która odbywa się w ciągu tych dwóch godzin: poranna wyprawa do wychodka. Już przy pobudce strażnik nadał ważny komunikat: oznajmił, kogo wyznacza dziś do wynoszenia kibla. (W więzieniach prymitywnych, szarych, więźniowie mają tyle swobody słowa i praw samorządowych, że wolno im tę sprawę rozstrzygać we własnym zakresie. Ale w Głównym Więzieniu Politycznym taki problem nie może być puszczony na żywioł). I oto już po chwili ustawiacie się rządkiem, ręce założywszy do tyłu, odpowiedzialny zaś nosikibel idzie przodem, dzierżąc przed sobą ośmiolitrowy blaszany ceber z pokrywą. Tam, u celu, znów idziecie pod klucz, ale przedtem rozdają wam tyle arkusików papieru, ilu was jest. (Na Łubiance to nic ciekawego: arkusiki są białe. Ale są takie atrakcyjne więzienia, gdzie dają skrawki książek — to jest dopiero czytanie! trzeba odgadnąć, s k ą d to, przeczytać z obu stron, wniknąć w treść, ocenić zalety stylu — a bo to łatwo, kiedy słowa obcięte są w pół?! — i jeszcze zamienić się z sąsiadami. Tu dają ścinki przodującej niegdyś encyklopedii „Granata", ówdzie — aż strach powiedzieć — z k l a s y k ó w, i to wcale nie beletrystyka... Wizyta w wychodku staje się aktem poznania).

Ale śmiać się nie ma z czego. Jest to ta ordynarna potrzeba, o której w literaturze pięknej nie wypada napomykać (chociaż powiedziane zostało z nieśmiertelną puszkinowską lekkością:

15. W rosyjskim żargonie więziennym — *wiertuchaj*. Za moich czasów było to słowo już bardzo rozpowszechnione. Powiadano, że wzięło początek od strażników-Ukraińców: *stoj, ta ne wertuchajś!*" Ale wypada przypomnieć, że po angielsku strażnik = *turkney* — „wiercik lucz". Może więc nasz wiertuchaj to też ten, co wierci kluczem?

„Szczęśliw, kto sobie wczesnym rankiem..."). Ten naturalny, zdawałoby się, początek dnia więziennego kryje w sobie pułapkę dla aresztanta na cały dzień — przy tym pułapkę dla ducha, to jest przykre. Przy więziennym bezruchu i skąpym wikcie, po obezwładniającym śnie, nie jesteś wcale jeszcze zdolny do załatwiania rachunków z naturą zaraz po przebudzeniu. A tu każą prędko wracać i znów cię biorą pod klucz do szóstej wieczór (a w niektórych więzieniach — aż do następnego ranka). Teraz czeka cię zdenerwowanie, bo zbliża się godzina dziennego przesłuchania, bo dzień mija, a tu jeszcze pakujesz w siebie chleb, wodę, sałamachę — ale nikt już cię nie wypuści do tego miłego lokalu; w o l n i a c y nie są w stanie docenić, ile znaczy łatwy dostęp do niego. Męcząca, trywialna potrzeba potrafi zjawiać się dzień w dzień prawie zaraz po rannej wyprawie, żeby później dręczyć nas cały czas, gnębić, zatruwać przyjemność rozmowy, lektury, rozmyślań i nawet jedzenia skąpej racji.

Często więźniowie zastanawiają się w celi, jak zrodził się łubiański — a zresztą wszelki więzienny regulamin: czy to planowe okrucieństwo, czy to to samo tak się ułożyło. Myślę, że to zależy od danego przepisu. Pobudka — to rzecz jasna, złośliwe wyrachowanie, inne zaś rzeczy naprzód weszły w życie całkiem mechanicznie (jak wiele świństw w naszym życiu społecznym), później zaś uznano je na górze za pożyteczne — i godne zatwierdzenia. Dyżurni strażnicy zmieniają się o ósmej rano i o ósmej wieczorem — tak, że najwygodniej jest wyprowadzać więźniów do wychodka przy końcu zmiany (puszczać zaś pojedynczego w ciągu dnia — nie, za wiele kłopotu i ryzyka, za to nie płacą). To samo z okularami: po co zajmować się tym od białego rana? Toż przed początkiem nocnej zmiany i tak je oddadzą.

Już słychać, jak roznoszą te okulary: zgrzytają drzwi. Można zorientować się, czy ktoś z sąsiedniej celi je nosi (a czy twój współoskarżony nie jest czasem okularnikiem? Ale na porozumienie przez stukanie nikt się i tak nie zdecyduje, bardzo z tym surowo). Już okulary przyniesiono naszym. Fastenko nakłada je tylko do czytania, Suzi nosi stale. Już przestał przymrużać oczy, włożył je. W jego rogowych okularach od razu rysują się wyraźniej proste linie brwi, twarz nabiera wyrazu ostrzejszego, przenikliwego, takiego, jaki nam się kojarzy z postacią wykształconego człowieka naszego wieku. Jeszcze przed rewolucją Suzi uczył się w Piotrogrodzie na wydziale historyczno-filologicznym i przez dwadzieścia lat niepodległości Estonii zachował nienaganną znajomość najczystszej ruszczyzny. Następnie — już w Dorpacie — ukończył studia prawnicze. Prócz macierzystego języka — estońskiego —

władał także angielskim i niemieckim, przez wszystkie te lata czytał stale londyński *Economist,* regularnie studiował niemieckie *Berichty* z różnych dziedzin nauki, badał konstytucje i kodeksy różnych krajów — i oto teraz w naszej celi z godnością i powściągliwością reprezentował Europę. Był w Estonii znanym adwokatem i nosił przydomek „kuldsuu" (złotousty).

W korytarzu — jakiś nowy ruch: darmozjad w szarym kitlu — chłopak, jak świeca, a nie na froncie — przyniósł nam na tacy nasze pięć kromek i dziesięć kostek cukru. N a s z a k w o k a już się koło nich krząta: chociaż zaraz będziemy losować, to nieuniknione (ma znaczenie i piętka, i ilość kęsów, dodanych dla równej wagi, i odległość skórki od miękiszu — o wszystkim niech decyduje los[16]) — ale kwoka chce to wszystko chociaż przez chwilę potrzymać tak, żeby na dłoniach został nalot drobin chleba i cukru.

To czterysta pięćdziesiąt gramów niedopieczonego, wilgotnego chleba, którego miękisz przypominał pecynę błota, a składał się w połowie z ziemniaków — była to nasza p o d p ó r k a i gwóźdź dnia. Zaczyna się życie! Zaczyna się dzień, teraz dopiero się zaczyna! Każdy ma moc problemów: czy dobrze gospodarował wczoraj swoim chlebem? czy ma go dziś pokroić nitką? czy może łamać chciwie? a może odszczypywać kęs po kęsie? zaczekać na herbatę, czy od razu się zabrać? zostawić trochę do kolacji, czy tylko do obiadu? i ile?

Ale oprócz tych przyziemnych wahań — jakie jeszcze szerokie dysputy (teraz już się nam języki rozwiązały, jest chleb, znów jesteśmy ludźmi!) wywołuje ta funtowa kromka w ręku, zawierająca więcej wody, niż mąki. (Zresztą, Fastenko wyjaśnia, że taki sam chleb jedzą teraz ludzie pracy w Moskwie). Czy w ogóle jest w tym chlebie mąka żytnia, albo pszenna? I jakie są właściwie domieszki? (W każdej celi jest ktoś, kto się na domieszkach zna, kto ich bowiem nie jadał w ciągu tych dziesięcioleci?). Zaczyna się wymiana spostrzeżeń i wspomnień. Jaki biały chleb wypiekano jeszcze w latach dwudziestych! — bochny sprężyste, porowate, skórka z góry rumiano-brunatna, jakby naoliwiona, od spodu zaś — z odrobiną popiołu, tu i ówdzie tkwi węgielek z pieca. Bezpowrotnie przepadł ten chleb! Ci, co urodzili się w latach trzydziestych, w ogóle nigdy się nie dowiedzą, co to takiego CHLEB! Przyjaciele dość, to już temat zakazany! umówiliśmy się, że o jedzeniu — ani słowa!

16. Gdzież tego nie było? Nasze narodowe długoletnie niedojadanie z niedosytem. W armii też się wszystko tak dzieliło. I Niemcy, nasłuchawszy się nas ze swoich okopów, przedrzeźniali: „Komu? — Politrukowi!".

Znów ruch na korytarzu — roznoszenie herbaty. Znów inny drab w szarym fartuchu, nosi wiadra. Wystawiamy mu nasz imbryk na korytarz, on zaś z wiadra bez dzióbka leje bokiem, na chodnik. A cały korytarz wywoskowany, jak w hotelu pierwszej kategorii[17].

No i tyle tego jedzenia. To zaś, co ma być ugotowane, rozdane będzie jedno zaraz po drugim — o pierwszej i o czwartej po południu, a później — przez dwadzieścia jeden godzin można się pocieszać tylko wspomnieniami. (To też nie jest planowe okrucieństwo: po prostu personel kuchni musi szybciej wykonać plan i wyjść).

Dziewiąta. Poranna kontrola. Z daleka już słychać szczególnie gromkie zgrzytanie kluczy, szczególnie ostre trzaskanie drzwi — i jeden z dyżurujących na piętrze lejtnantów, wypięty prawie na baczność, robi dwa kroki w głąb celi i surowo patrzy na nas, stojących już według przepisu. (Nie mamy nawet odwagi przypominać, że polityczni nie są obowiązani do wstawania). Policzyć nas nie jest mu trudno, starczy rzut oka, ale ta chwila jest to próba naszych praw — przecież jakieś tam prawa mamy, ale nie znamy ich, nie znamy — i on jest tu po to, aby je przed nami ukryć. Cała siła łubiańskiej musztry polega na całkowitym zmechanizowaniu czynności: żadnego wyrazu, żadnej intonacji, ani jednego zbytecznego słowa.

Znamy takie nasze uprawnienia: prosić o naprawę obuwia; o pójście do lekarza. Ale gdy człowieka wezmą do lekarza, to niewiele z tego będzie miał radości, tam właśnie szczególnie cię uderzy to łubiańskie zmechanizowanie. W spojrzeniu lekarza nie tylko nie znajdziesz troski, ale nawet zwykłej uwagi. Nie zapyta: „Co wam dolega?", bo za dużo tu słów, zresztą nie można zadać tego pytania bez odpowiedniej intonacji, tylko wypali: „Objawy?". Jeżeli zaczniesz zbyt obszernie opowiadać o chorobie, przerwie ci. I tak jasne. Ząb? Wyrwać. Można trochę arszeniku. Leczyć? U nas się nie leczy. (To zwiększyłoby liczbę wizyt i dałoby wrażenie jakby bardziej ludzkich warunków).

Lekarz więzienny jest najlepszym pomocnikiem śledczego i oprawcy. Bity więzień pada na ziemię i słyszy głos lekarza: „Można jeszcze, tętno w normie". Po pięciu dobach zimnego

17. Wkrótce mieli przywieźć tu z Berlina biologa Timofiejewa-Ressowskiego, już o nim była mowa. Nic go chyba na Łubiance tak nie gniewało, jak to przelewanie na podłogę. Widział w tym rażący przykład braku zainteresowania zawodowego ze strony strażników. Pomnożył był 27 lat istnienia Łubianki przez 730 herbat rocznie i przez 111 cel — i długo jeszcze gorączkował się na myśl, że łatwiej było dwa miliony sto osiemdziesiąt osiem tysięcy razy przelać wrzątek na podłogę i tyleż razy biegać ze szmatą, żeby wytrzeć go, niż zrobić wiadra z dzióbkiem.

karceru lekarz patrzy na skostniałe nagie ciało i mówi: „Można jeszcze". Zatłukli na śmierć — lekarz podpisuje akt zgonu: śmierć z powodu marskości wątroby, zawału serca. Wzywają go pilnie do kogoś, kto umiera w celi — wcale się nie spieszy. Ktoś zaś zachowuje się inaczej — ten nie zagrzeje miejsca przy naszym więzieniu. Doktor F. P. Haas u nas niedługo by popracował.

Ale nasza k w o k a lepiej zna uprawnienia więźnia. (Jeśli mu wierzyć, jest już w śledztwie jedenaście miesięcy; na przesłuchania wzywają go tylko we dnie). Robi krok naprzód i prosi o pozwolenie zameldowania się u naczelnika więzienia. Jak? Do naczelnika całej Łubianki? Tak. I zostaje zapisany. (A wieczorem, po dzwonku, kiedy już oficerowie śledczy są przy robocie, zostaje wezwany i wraca z machorką. Niezgrabne to, istotnie, ale nic lepszego nie zdołali dotąd wymyśleć. Przejść całkowicie na podsłuch mikrofonowy — byłoby operacją nieopłacalną: nie można przecież całymi dniami podsłuchiwać wszystkich stu jedenastu cel. Co by to było? K w o k i — to tańszy sposób i długo jeszcze będzie się korzystać z ich usług. — Ale Kramarence jest z nami niełatwo. Czasem aż do siódmych potów wsłuchuje się w naszą rozmowę — ale po gębie widać, że ani w ząb).

Oto jeszcze jedno uprawnienie — wolność składania podań (zamiast wolności prasy, zebrań i wyborów, które utraciliśmy wszak wchodząc do więzienia!). Dwa razy miesięcznie dyżurny poranny pyta: „Kto chce pisać podanie?" I bez sprzeciwu zapisuje wszystkich chętnych. W ciągu dnia zostaniesz wyprowadzony do specjalnego boksu i tam zamknięty. Możesz tam pisać do kogo tylko masz chęć. Do Ojca Narodów, KC, Najwyższego Sowietu, ministra Berii, ministra Abakumowa, Generalnej Prokuratury, Naczelnej Prokuratury Wojskowej, Departamentu Więziennictwa, Oddziału śledczego, możesz skarżyć się na areszt, śledczego, naczelnika więzienia! — w żadnym z tych wypadków podanie twoje nie będzie mieć żadnego skutku, nie zostanie wciągnięte do żadnych akt i najznaczniejszą figurą z tych, którzy je przeczytają, będzie twój śledczy. Ale najczęściej on też tego NIE PRZECZYTA, ponieważ nikt go w ogóle przeczytać nie potrafi: na tym świstku 7×10 cm., tylko trochę większym niż ten, co go ci rano dają do wychodka — piórem rozdwojonym, albo zgiętym w hak, nurzanym w kałamarzu pełnym zalanych wodą paprochów — zdążysz napisać zaledwie „POD..." — a tu litery już się rozpływają, rozpływają po nędznym papierze, a tu „anie" już nie mieści się w wierszu, a tu z drugiej strony kartki już wszystko na wskroś widać.

Może masz jeszcze praw, a praw, ale dyżurny milczy. Chyba jednak niewiele tracisz, nic o nich nie wiedząc.

Kontrola się skończyła — zaczyna się dzień. Już tam gdzieś pojawia się pierwszy śledczy. Klawisz wywołuje cię, bardzo przestrzegając tajemnicy: wymawia tylko pierwszą literę (i to jeszcze tak: „kto tu na SE?", „kto tu na FE", albo nawet „kto tu na ME?"), ty zaś powinieneś przejawić szybką orientację i zaproponować swoje usługi w charakterze ofiary. Wprowadzono to jako zabezpieczenie przed omyłkami strażników: wywoła taki nazwisko nie w tej celi, co należy i od razu dowiemy się, kto jeszcze tu siedzi. Ale nawet będąc tak izolowani, nie jesteśmy odcięci od wieści z innych cel: ponieważ starają się wepchnąć nas jak najwięcej, muszą nas tasować, każdy zaś przybysz przynosi do naszej celi całe doświadczenie, zgromadzone w starej. W ten sposób, siedząc jedynie na trzecim piętrze, wiemy o celach piwnicznych i o boksach parteru i o ciemnościach panujących na pierwszym, żeńskim piętrze, i o dwukondygnacyjnej konstrukcji czwartego piętra, i o najwyższym numerze czwartego piętra, celi sto jedenastej. Przede mną siedział w naszej celi pisarz dla dzieci, Bondarin, przedtem siedział on na żeńskim piętrze z jakimś polskim korespondentem, polski zaś korespondent siedział jeszcze wcześniej z feldmarszałkiem Paulusem — i oto wiemy także wszystko o Paulusie — do najmniejszego szczegółu.

Nadchodzi pora wezwań na przesłuchania, i dla tych, którzy pozostają w celi, otwiera się perspektywa długiego, miłego dnia, rozjaśniona przez wypadki, zawsze możliwe i lekko zaćmiona przez obowiązki. Z obowiązków dwa razy na miesiąc może nam przypaść odpluskwianie łóżek z pomocą palnika lutowniczego (zapałki na Łubiance są kategorycznie zabronione, aby zapalić papierosa trzeba cierpliwie „głosować" podniesionym palcem, póki strażnik przez l i p o nie zauważy i nie da przypalić — palniki lutownicze powierzają zaś nam całkiem spokojnie). — Może jeszcze zdarzyć się coś, co wydaje się realizacją uprawnienia, ale bardziej przypomina obowiązek: raz na tydzień wyprowadzają nas pojedynczo na korytarz i tam tępą maszynką strzygą zarost. — Może jeszcze wypaść obowiązek froterowania parkietu w celi (Z-w zawsze unika tej pracy, poniża go ona, jak zresztą każda inna). Męczymy się szybko, bośmy głodni, chociaż ten obowiązek można chyba zaliczyć do uprawnień — taka to wesoła i zdrowa praca: bosą nogą posuwasz szczotkę do przodu, a korpus odchylasz do tyłu, w przód — w tył — w przód — w tył i niech cię o nic głowa nie boli! Lustrzana posadzka! Potiomkinowskie więzienie!

Poza tym — już nie tłoczymy się w naszej dawnej, 67 celi. W połowie marca podrzucono nam szóstego lokatora, a przecież tu nie ma ani wspólnych nar, ani zwyczaju spania na podłodze

— i oto przeniesiono nas w pełnym składzie do pięknej celi 53-ciej. (Bardzo polecam każdemu, kogo tu jeszcze nie było!) To nie jest cela! To — komnata pałacowa, rezerwowana na sypialnię dla honorowych gości! Towarzystwo ubezpieczeń „Rosja"[18] w tym skrzydle gmachu, nie licząc się z kosztami konstrukcji, podniosło wysokość piętra do pięciu metrów. (Ach, jakież to cztery kondygnacje nar wtarabaniłby tutaj naczelnik kontrwywiadu frontu, gwarantowane, że upchałby tu ze stu ludzi!) A okno! takie okno, że — stając na parapecie — strażnik ledwie sięga lufcika, jedna szybka takiego okna godna jest być całym oknem pokoju mieszkalnego. I tylko spawane blachy b l i n c a, zasłaniające cztery piąte tego okna, przypominają nam, że nie jesteśmy w pałacu.

A jednak w dzień słoneczny, ponad krawędzią tej przyłbicy z głębi studni łubiańskiego podworca, odbity w jakiejś szybie piątego, czy szóstego piętra, wkrada się aż do nas blady, wtórny słoneczny zajączek. To dla nas prawdziwy zajączek — żywa i droga istota! Z rozrzewnieniem przyglądamy się, jak pełznie po ścianie. Każdy jego ruch jest pełen znaczenia, zwiastuje chwilę spaceru, odmierza kilka przedobiednich kwadransów, by opuścić nas, zanim rozdadzą obiad.

Oto więc nasze możliwości: wyjść na spacer! poczytać książkę! opowiedzieć sobie nawzajem coś z przeszłości! słuchać i uczyć się! dyskutować i kształcić się! I w nagrodę — jeszcze obiad z dwóch dań! Niewiarygodne!

Pierwsze trzy kondygnacje Łubianki mają marne spacery: wypuszcza się ich na dolny, wilgotny podworzec — dno wąskiej studni między więziennymi budynkami. Za to aresztantów z trzeciego i czwartego piętra wyprowadza się na orle wyżyny — na dach czwartego. Beton pod nogami, betonowe ściany na trzech chłopów, obok nas — strażnik bez broni — a jeszcze na wieżyczce wartownik z automatem — ale powietrze prawdziwe i prawdziwe niebo! „Ręce do tyłu! Marsz parami! Nie rozmawiać! Nie zatrzymywać się!" — ale zapominają o zakazie zadzierania głowy! I rzecz jasna, zaraz głowę zadzierasz. Widzisz tu — nie odbite, nie z drugiej ręki — samo słońce! Samo wiecznie żywe Słońce! albo jego złociste miganie poprzez wiosenne obłoki.

---

18. Towarzystwo to rozgościło się na skrawku ziemi szczególnie chciwym ludzkiej krwi: przecinając zaułek Furkasowski, niedaleko domu Rostopczyna, rozszarpany został w 1812 roku Bogu ducha winny Wereszczagin, po tamtej zaś stronie Wielkiej Łubianki mieszkała (i mordowała swoich chłopów pańszczyźnianych) zbrodnicza Sałtyczycha. („Wzdłuż Moskwy" — pod red. N. A. Gejnike i in. Moskwa, Wyd. Sabasznikowów, 1917, str. 231).

Wiosna każdemu przyrzeka szczęście, ale więźniowi po dziesięćkroć! O, niebo kwietniowe! To nic, że jestem w więzieniu. Chyba mnie jednak nie czeka rozstrzelanie. Za to tutaj nabiorę rozumu. Ja tu wiele rzeczy zrozumiem, o niebo! Jeszcze zdążę naprawić swoje błędy — nie wobec n i c h, wobec ciebie, Niebo! Tu je pojąłem — i już je naprawię!

Jak z jamy, z odległej głębi, dobiega do nas z placu Dzierżyńskiego nieprzerwane, ochrypłe, ziemskie pianie klaksonów. Tym, którzy mkną przy ich ryku, wydaje się, że to rogi tryumfalne, stąd zaś tak jasna jest ich nicość.

Spacer trwa tylko dwadzieścia minut, a ile z nim łączy się trosk, ile człowiek ma do załatwienia!

Po pierwsze, miałby człowiek wielką chęć zorientować się — w trakcie drogi na spacer i z powrotem — jaki jest rozkład całego więzienia i gdzie też są te wiszące podworce, żeby móc kiedyś, na wolności, przejść się po placu — i już wiedzieć. Po drodze jest szereg zakrętów i wymyślam taki system: po wyjściu z celi każdy skręt w prawo liczyć jako plus jeden, każdy w lewo — minus jeden. — I jakkolwiek by szybko nas prowadzono — nie spieszyć się z w y o b r a ż a n i e m sobie tej drogi, tylko starać się spokojnie liczyć. I jeśli po drodze zobaczysz jeszcze przez jakieś okienko na klatce schodowej plecy łubiańskich najad, tulących się do wieżyczki z kolumnami nad samym placem — a przy tym nie dasz się zbić z rachunku, to w celi później łatwo się zorientujesz i będziesz wiedział w którą stronę zwrócone jest wasze okno.

Dalej — na spacerze trzeba po prostu oddychać w jak największym skupieniu.

Ale też tam, pod jasnym niebem trzeba umieć wyobrazić sobie swoje przyszłe, jasne, bezgrzeszne i wyzbyte błędów życie.

Ale tam też ma się najlepsze warunki do rozmowy na najbardziej palące tematy. Chociaż rozmowy w trakcie spaceru są zabronione, z tym się nie liczymy, trzeba tylko umieć to robić — za to właśnie tu na pewno nie podłucha cię ani kwoka, ani mikrofon.

Na spacerze Suzi i ja staramy się trafić do jednej pary — toczymy z nim rozmowy także w celi, ale najważniejsze rzeczy lubimy sobie właśnie tutaj dopowiadać. Nie wystarczyło jednego dnia, byśmy się do siebie zbliżyli, dzieje się to powoli, ale już mi zdążył on wiele opowiedzieć. Przy nim uczę się całkiem nowej dla mnie rzeczy: cierpliwie, krok po kroku wchłaniać to, czego nigdy nie miałem w moim programie, co zdaje się nie mieć nic wspólnego z jasno wytyczoną linią mojego życia. Od dzieciństwa mam pewność, nie wiadomo skąd, że mój cel — to historia

rosyjskiej rewolucji, cała zaś reszta mnie nie dotyczy. Dla zrozumienia zaś rewolucji od dawna nic mi nie potrzeba, prócz marksizmu; od całej reszty, od wszystkiego tego, co osobiste, odcinałem się i odwracałem oczy. Ale oto los zetknął mnie z Suzi, ten zaś całkiem czym innym dyszy, teraz więc z zapałem opowiada mi wciąż o tym, co mu najbliższe — a najbliższa mu jest Estonia i demokracja. I chociaż nigdy przedtem nie przychodziło mi do głowy, by interesować się Estonią — a tym bardziej — burżuazyjną demokracją, ale teraz słucham i słucham jego entuzjastycznych opowieści o dwudziestu wolnych latach tego niekrzykliwego, pracowitego, maleńkiego narodu, którego mężczyźni są dorodni, a ruchy mają niespieszne, stateczne; mówi mi o zasadach estońskiej konstytucji, które wydystylował z najlepszych europejskich doświadczeń jednoizbowy, stuosobowy parlament; i nie wiem c z e m u, ale wszystko to zaczyna mi się podobać, wszystko to zaczyna składać się także na moje doświadczenie[19]. Z ochotą zgłębiam ich nieszczęsne dzieje: między dwoma młotami, teutońskim i słowiańskim tkwi od praczasów to maleńkie, estońskie kowadełko. Spadały na nie raz po raz ciosy, to ze wschodu, to z zachodu — i nie widać było końca, ani go teraz nie widać. Oto na przykład znana (wcale nie znana...) historia, jak chcieliśmy ich stłamsić jednym skokiem w 1918 roku, ale nam się nie dali. Jak później Judenicz gardził nimi, że Czuchońcy*, myśmy z kolei wyzywali ich od białobandytów, tymczasem zaś estońscy gimnazjaliści wstępowali do armii ochotniczej. Walnęli w to kowadełko jeszcze w czterdziestym roku, i w czterdziestym pierwszym, i w czterdziestym czwartym, jednych chłopców zabierało matkom rosyjskie wojsko, innych — niemieckie, a jeszcze inni sami uciekali do lasu. I tallińscy inteligenci starszego pokolenia rozprawiali między sobą, że czas już wyrwać się z tego zaczarowanego kręgu, oddzielić się i zacząć żyć na własną modłę (no i że mógłby w takim hipotetycznym wypadku zostać premierem, powiedzmy Tiif, ministrem zaś oświaty, powiedzmy Suzi). Ale ani Churchill ani Roosevelt nie mieli do nich żadnego interesu, za to miał swój interes *uncle Joe* (czyli Josif Wissarionowicz). I skoro tylko wkroczyły nasze wojska, wszystkich tych marzycieli wyłuskano w ciągu pierwszych nocy z ich tallińskich mieszkań. Teraz siedziało ich z piętnastu na moskiewskiej Łubiance, każdy w innej celi, a oskarżeni byli z artykułu 58-2, jako winni zbrodniczej chęci samostanowienia.

19. Suzi tak mnie później nazwie we wspomnieniu: dziwna mieszanka marksisty z demokratą. A tak, dziwacznie to się wtedy u mnie kojarzyło.

* Pogardliwe przezwisko mieszkańców tych bagiennych okolic, gdzie zbudowano Petersburg.

Powrót ze spaceru do celi to za każdym razem — malutkie aresztowanie. Nawet w naszej okazałej celi po spacerze powietrze wydaje się duszne. Po przechadzce chciałby też człowiek coś przegryźć, ale o tym lepiej nie myśleć, nie myśleć! Czasem ktoś z otrzymujących paczki nietaktownie rozkłada swoje wiktuały w nieodpowiedniej chwili i zabiera się do jedzenia, to się nie godzi. Ale nic to, ćwiczymy się w sztuce panowania nad sobą! Niedobrze też, jeśli autor książki zastawia na ciebie pułapki, jeśli zaczyna szczegółowo opisywać jakieś potrawy — precz z taką książką! Precz z Gogolem! Czechow — też na nic, za wiele żarcia! „Nie miał apetytu, ale nie bacząc na to spożył (sukinsyn!) porcję cielęciny i popił ją winem". Czytać tylko to, co dla ducha! Dostojewski — oto kogo powinien czytać więzień! Ale zaraz, czy to nie u niego: „dzieci głodowały, już od kilku dni nie widziały one nic, prócz chleba i k i e ł b a s y"?

Biblioteka Łubianki jest jej ozdobą. Co prawda, bibliotekarka jest obrzydliwa — płowowłose pannisko o końskiej raczej urodzie; zrobiła wszystko, aby być brzydką: twarz ma tak ubieloną, że przypomina nieruchomą maskę kukły, wargi ma fioletowe, a wyszczypane brwi — umalowane na czarno. (W ogóle — to jej sprawa, ale więźniom byłoby milej, gdyby była ślicznotką — a może naczelnik Łubianki to właśnie wziął pod uwagę?). Ale oto, jaki cud się zdarza: raz na dziesięć dni, przychodząc po odbiór książek, przyjmuje ona nasze zamówienia! Wysłuchuje ich z tą samą co zawsze nieludzką, mechaniczną obojętnością łubiańską; nie można się zorientować — czy słyszała te nazwiska? te tytuły? czy same nasze słowa do niej docierają? Wychodzi. Mija kilka godzin w radości i trwodze. W ciągu tych godzin odbywa się wertowanie i sprawdzanie wszystkich książek, oddanych przez nas: patrzą, czy nie zostawiliśmy gdzieś nakłuć, albo znaków pod literami (istnieje taki typ korespondencji więziennej), albo śladów paznokcia obok urywków, które nam się podobały. Denerwujemy się, chociaż nikt nie dopuścił się tego. Bo mogą przyjść i oznajmić: znaleziono kropki. Jak zawsze, muszą mieć rację — i jak zawsze, dowodów nie potrzeba, a już jesteśmy pozbawieni książek na trzy miesiące — jeśli w ogóle cała cela nie zostanie ukarana karcerem. To najlepsze, jasne miesiące więzienne, zanim człowieka wrzucą do jamy obozu — bardzo to przykro przesiedzieć je bez książek! No więc nie tylko lęk nas zdejmuje, ale drżymy, jak za młodych lat, kiedy człowiek posyłał liścik miłosny i czekał na odpowiedź: odpisze, czy nie odpisze? I jaką da odpowiedź?

Wreszcie książki nadchodzą i decydują o charakterze najbliższych dziesięciu dni: czy więcej uwagi poświęci się lekturze,

czy też przyniosą nam byle co i trzeba będzie raczej skupić się na rozmowach? Książek przynoszą tyle, ilu nas jest w celi — to sposób myślenia tego, co dzieli chleb, nie zaś bibiotekarza: na jednego jedna, na sześciu — sześć. Ludne cele wygrywają.

Czasami pannica wykonuje nasze zamówienia nad podziw dobrze! Ale nawet, kiedy je zbywa byle czym, też jest ciekawie. Dlatego, że biblioteka Wielkiej Łubianki jest czymś unikalnym. Zapewne skompletowano ją ze skonfiskowanych księgozbiorów prywatnych: bibliofile, którzy je zgromadzili, już dawno oddali dusze Bogu. Ale najważniejsze, że przez całe dziesięciolecia cenzurując i kastrując wszystkie bez wyjątku biblioteki kraju, bezpieczeństwo zapomniało zajrzeć sobie za pazuchę — i tu, w samej smoczej jamie można było czytać Zamiatina, Pilniaka, Pantelejmona Romanowa i wszystkie tomy pism zbiorowych Mereżkowskiego. (Niektórzy dowcipkowali: już nas mają za odfajkowanych, dlatego pozwalają czytać to, co zabronione. Ja zaś myślę, że łubiańscy bibliotekarze nie mieli pojęcia co nam dają — lenistwo i ciemnota).

W czasie tych przedobiednich godzin czyta się ostro. Ale jedno zdanie z książki potrafi człowieka poderwać na nogi i zmusić do chodzenia od okna do drzwi, od drzwi do okna. I człowiek ma chęć pokazać sąsiadowi, co przeczytał i jakie wnioski stąd płyną — i oto już zaczyna się spór.

Często ścieram się w ten sposób z Jurijem J.

◆

Tego marcowego ranka, kiedy naszą piątkę przeniesiono do pałacowej celi 53-ej — doszlusował do nas szósty więzień.

Wszedł jak cień, zdawało się, że nie dotyka podłogi podeszwami. Wszedł — i niepewien czy się utrzyma na nogach — plecami przywarł do framugi drzwi. W celi nie paliła się już lampa i światło poranka było mdłe, ale przybysz nie mógł go znieść, mrużył oczy. I milczał.

Sukno jego wojskowego frencza i spodni nie pozwalało zaliczyć go ani do sowieckiej, ani niemieckiej, ani polskiej, ani angielskiej armii. Twarz miał pociągłą, nie bardzo rosyjską. Ale był chudy! A ponadto bardzo wysoki.

Zwróciliśmy się do niego po rosyjsku — milczał. Suzi zadał pytanie po niemiecku — też milczał. Fastenko powiedział parę słów po francusku, po angielsku — milczał. Tylko stopniowo na jego wynędzniałej, żółtej, półtrupiej twarzy pojawił się uśmiech — jakiego w życiu nie widziałem!

„Lu-udzie..." — powiedział słabym głosem, jakby dopiero co

ocknął się z omdlenia, albo jakby całą tę noc czekał na rozstrzelanie. I wyciągnął osłabłą, wychudłą rękę. Trzymał w niej szmaciany węzełek. Nasz k w o k a już zrozumiał, co to takiego, porwał węzełek, rozsupłał go na stole — było tam koło dwustu gramów jasnego tytoniu — i już skręcał sobie papierosa poczwórnej grubości.

Tak oto, po trzech tygodniach piwnicznego boksu zjawił się wśród nas Jurij Nikołajewicz J.

Od czasów starć zbrojnych na KWŻD w 1929 roku śpiewano w naszym kraju piosenkę:

„Pierś wystawiając na atak wraży
D w u d z i e s t a s i ó d m a stoi na straży!"

Dowódcą artylerii tej 27-ej dywizji strzeleckiej sformowanej jeszcze w czasach wojny domowej, był oficer carski Mikołaj J. (przypomniałem sobie jego nazwisko, widziałem je wśród imion autorów naszego podręcznika artylerii). W mieszkalnym wagonie towarowym, zawsze w towarzystwie żony, przecinał on Wołgę i Ural, to w kierunku wschodnim, to zachodnim. W tym wagonie spędził swoje pierwsze lata także syn jego Jurij, urodzony w 1917 roku, rówieśnik rewolucji.

Później ojciec osiedlił się w Leningradzie, pracował w Akademii, żył szczęśliwie i dostatnio, syn zaś ukończył szkołę oficerską. Podczas wojny fińskiej Jurij rwał się na front, ale przyjaciele ojca skierowali go do sztabu armii jako adiutanta. Jurij nie musiał pełzać do ataku na fińskie bunkry, nie znalazł się w okrążeniu podczas wyprawy zwiadowczej, nie marzł na śniegu pod kulami strzelców wyborowych — ale order Czerwonego Sztandaru, nie byle co! — został starannie przykręcony do jego bluzy wojskowej. W ten sposób zakończył dla siebie fińską wojnę z przeświadczeniem, że była sprawiedliwa i że jego udział w niej był pożyteczny.

Ale podczas następnej wojny już mu nie poszło tak gładko. Bateria, którą dowodził, uznała się za otoczoną podczas walk pod Ługą. Kanonierzy rozpełzli się na wsze strony, wyłapywano ich potem i pędzono do niewoli. Jurij znalazł się w koncentracyjnym obozie oficerskim pod Wilnem.

W każdym życiu jest jakieś wydarzenie decydujące dla losu człowieka, dla jego losu, przekonań, i namiętności. Dwa lata pobytu w tym obozie zupełnie go wewnętrznie przekabaciły. Czym był ten obóz — tego nie dało się ubrać w żadne frazesy, ani obejść syllogizmem. W tym obozie musiało się umrzeć, kto zaś nie chciał umrzeć — musiał wyciągnąć wnioski.

Zachować życie mogli o r d n e r z y — wewnętrzna policja obozowa, sformowana z jeńców. Rozumie się, że Jurij nie został ordnerem. Przetrwać mogli też kucharze. Mógł jeszcze zachować życie tłumacz — był na nich popyt. Władając świetnie niemieckim, Jurij nie zdradził się z tym. Zdawał sobie sprawę, że tłumacz będzie musiał sprzeniewierzyć się rodakom. Jeszcze można było przedłużyć sobie życie kopaniem grobów, ale tu było mnóstwo silniejszych i zręczniejszych od niego. Jurij zameldował, że jest artystą-malarzem. Istotnie, w ramach wszechstronnej, domowej edukacji pobierał również lekcje rysunku. Jurij nieźle malował i tylko chęć naśladowania ojca, z którego był dumny, nie pozwoliła mu wstąpić do szkoły sztuk pięknych.

Razem z jeszcze innym malarzem, starym już człowiekiem (żałuję, że nie pamiętam jego nazwiska) przydzielono im osobną izdebkę w baraku i tam Jurij malował Niemcom z komendy obozu różne obrazki — ucztę Nerona, korowody elfów, otrzymując za to coś do jedzenia. Ta bryja, po którą oficerowie jeńcy wystawali w kolejce od szóstej rano z menażkami, bici pałkami przez ordnerów, a chochlami — przez kucharzy — ta bryja nie mogła przedłużyć ludzkiego życia. Wieczorami przez okno swojej ciupki Jurij oglądał teraz ten jedyny widok, dla uwiecznienia którego dano mu było władać pędzlem: wieczorna mgiełka nad bagnistą łąką, cała łąka opasana drutem kolczastym, płoną na niej mnogie ogniska, a wokół ogniska — niegdyś rosyjscy oficerowie — teraz zaś istoty podobniejsze do zwierząt — obgryzający kości padłych koni, wypiekający placki z kartoflanych łupin, palący skręty z nawozu i rojący się od wszy. Jeszcze nie wszyscy ci dwunożni powyzdychali. Jeszcze nie wszyscy utracili mowę artykułowaną i widać było w purpurowych blaskach ognia, jak późna świadomość rzeczy żłobi ich twarze, coraz bardziej przypominające pyski neandertalczyków.

Smak piołunu! Życie, które Jurij sobie przedłuża, już nie jest mu więcej miłe. Nie należy do tych, którzy łatwo wyrzekają się pamięci. Nie, zdobył szansę przetrwania — i musi wyciągnąć wnioski.

Już wiedzą oni, że nie chodzi tu o Niemców, przynajmniej — nie tylko o Niemców, że z jeńców różnych armii tylko sowieccy tak żyją i tak umierają — nikomu nie jest gorzej, niż im. Nawet Polaków, nawet Jugosłowian, trzymają w znacznie znośniejszych warunkach. Anglicy zaś, czy Norwegowie zawaleni są paczkami Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, czy przesyłkami z domu, nie chcą po prostu jeść tego, co im przydzielają Niemcy. Tam, gdzie obozy sąsiadują ze sobą, sojusznicy z dobrego serca prze-

rzucają naszym przez druty jałmużnę i nasi rzucają się na to, jak sfora psów na kość.

Rosjanie dźwigają cały ciężar wojny — i taki los właśnie Rosjanom wypada. Dlaczego?

Tędy i owędy stopniowo przesączają się wiadomości: ZSSR nie uznaje dawnego, rosyjskiego podpisu pod haską konwencją o jeńcach wojennych — a to znaczy, że nie bierze żadnej odpowiedzialności za traktowanie obcych jeńców i nie pretenduje do opieki nad własnymi żołnierzami, wziętymi do niewoli przez nieprzyjaciela[20]. ZSSR nie uznaje Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. ZSSR nie uznaje tych, którzy byli wczoraj jego żołnierzami: nie jest zainteresowany, aby pomagać im w niewoli.

I serce entuzjasty — rówieśnika Października ściska chłód. Tam, w barakowej ciupce, ściera się on i sprzecza ze starym malarzem (Jurij nie od razu daje się przekonać, wykłóca się, stary zaś tylko stopniowo ujawnia swoje racje). Co? Że Stalin? Ale czy to nie za wiele zwalać wszystko na Stalina i na jego krótkie ręce? Ten, kto wyciąga tylko pół wniosku — ten w ogóle nie dojdzie do konkluzji. A tamci, pozostali? Tam, obok Stalina — i niżej, na całym obszarze Ojczyzny — ogólnie mówiąc ci, którym Ojczyzna pozwoliła mówić w swoim imieniu?

I co wypada czynić, jeśli matka sprzedała nas Cyganom; nie, gorzej, rzuciła psom? Czy dalej jest naszą matką? Jeśli żona ci się puściła — to czy dalej obowiązuje cię wierność wobec niej? Ojczyzna, która zdradziła własnych żołnierzy — czy to dalej Ojczyzna?

... Jak się wszystko odmieniło! Jurij ubóstwiał ojca — a teraz go przeklinał! Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że jego ojciec właściwie złamał przysięgę, złożoną tej armii, w której wyrósł, że dopuścił się zdrady, bo pragnął ustanowić ten ład, który teraz z kolei oddawał swoich żołnierzy na zgubę. I dlaczego z tym zdradzieckim ładem Jurij ma czuć się związany przysięgą?

Gdy wiosną 1943 roku przyjechali do obozu werbownicy z pierwszych białoruskich „legionów" — ten i ów poszedł, żeby uratować się od głodowej śmierci. J. zaś poszedł z mocnym i jasnym przekonaniem. Ale w legionie nie zagrzał miejsca; jak

---

20. Konwencję tę uznaliśmy dopiero w 1955 roku. Zresztą, w diariuszu z 1915 roku Mielgunow notuje POGŁOSKI, że carska Rosja nie przepuszcza pomocy dla rosyjskich jeńców w Niemczech, że wiedzie im się tam gorzej, niż wszystkim innym żołnierzom alianckim — aby przypadkiem nie było POGŁOSEK, że jeńcom dobrze się żyje i żeby nikomu nie zachciało się iść do niewoli. Jakaś sukcesja ideowa ma miejsce. (S. P. Mielgunow, *Wspomnienia i dzienniki*, Tom I, Paryż, 1964, str. 199 i 203).

skórę już zdarli, to nie ma co runa żałować. Jurij przestał teraz ukrywać swoją dobrą znajomość niemieckiego i wkrótce pewien SZEF, Niemiec spod Kassel, któremu zlecono utworzenie skróconych kursów szpiegowskich, zabrał Jurija jako swoją prawą rękę. Tak oto zaczęło się spełzanie, którego Jurij nie przewidział, zaczęło się podrzucanie całkiem innych kart. Jurij gorąco chciał wyzwolić kraj — a pchali go do szkolenia szpiegów. Niemcy mieli własne plany. A gdzie była nieprzekraczalna granica? Od jakiej chwili już nie wolno jej było przekroczyć? Jurij został lejtnantem armii niemieckiej. W niemieckim mundurze jeździł teraz po Niemczech, bywał w Berlinie, odwiedzał rosyjskich emigrantów, czytał — dawniej niedostępnych — Bunina, Nabokowa, Ałdanowa, Amfiteatrowa... Jurij spodziewał się, że u każdego z nich, że u takiego Bunina — każda stronica broczy krwią, żywymi ranami Rosji. Ale cóż to? Na co roztrwonili oni swoją drogocenną wolność? Znów o ciele kobiecym, o wybuchach namiętności, o zachodach słońca, o wdzięcznych główkach dobrze urodzonych panien, o anegdotach sprzed lat. Pisali tak, jakby żadnej rewolucji w Rosji nie było, albo jakby zbyt trudno im ją było zrozumieć. Pozostawili młodym Rosjanom troskę o odnalezienie kierunku w życiu. Tak szarpał się Jurij, niecierpliwie się rozglądał, niecierpliwie szukał informacji, a tymczasem — odwiecznym rosyjskim obyczajem coraz częściej i coraz głębiej topił swój niepokój w wódce.

Czym była ta ich szkoła szpiegowska? Nie była na serio, rzecz jasna. W ciągu sześciu miesięcy mogli ich nauczyć zaledwie skoków ze spadochronem, posługiwania się materiałami wybuchowymi i obsługi nadajnika radiowego. Nie wielkie też mieli do nich zaufanie. Przerzucono ich przez front właśnie dla inflacji zaufania. Natomiast dla umierających, beznadziejnie zapomnianych rosyjskich jeńców te szkółki, zdaniem Jurija, były dobrym wyjściem: ludzie tu podkarmiali się, dostawali ciepłą, nową odzież — a nadto wszystkie kieszenie zapychano im sowiecką walutą. Kursanci (a także nauczyciele) udawali, że tak właśnie będzie: że na sowieckim zapleczu będą szpiegować, wysadzać w powietrze wyznaczone obiekty, nawiązywać szyfrem łączność radiową i wracać do punktu wyjścia. Oni tymczasem chcieli przez tę szkołę po prostu wymknąć się śmierci i niewoli, chcieli móc dalej żyć, ale nie za cenę strzelania do swoich na froncie[21].

21. Oczywiście, w naszym śledztwie nie brało się pod uwagę takich pobudek. Jakim prawem chcieli oni żyć, skoro rodziny dygnitarzy na sowieckim zapleczu bez tego i tak dobrze sobie żyły? Nie zaliczano tym ludziom żadnej odmowy wzięcia do rąk niemieckiego karabinu. Za ich zabawę w szpiegów wlepiano im najcięższy paragraf 58-6 i na dodatek zarzut zamiaru dywersji. Znaczyło to: trzymać, póki nie zdechną.

Aż tu nagle przed samym nowym rokiem 1945, pewien sprytny chłopak wrócił i zameldował, że zadanie wykonał (spróbuj sprawdzić!). To było coś nadzwyczajnego. Szef nie miał wątpliwości, że przysłał go SMIERSZ i postanowił go rozstrzelać (oto los sumiennego szpiega!). Ale Jurij nalegał, aby właśnie dać mu nagrodę i pochwalić w obecności kursantów. Szpieg-repatriant zaprosił Jurija na literka i — cały rozpalony, pochylony nad stołem zwierzył się: „Jurij Nikołajewicz! Sowieckie dowództwo obiecuje panu darować winę, jeżeli pan zaraz sam przejdzie na naszą stronę".

Jurij zadrżał cały. Serce, już zatwardziałe, już całkiem rozczarowane, poczuło przypływ ciepła. Ojczyzna?... Wyklęta już, niesprawiedliwa i taka jednak droga! Przebaczenie?... I można będzie wrócić do rodziny? I przejść się w Leningradzie po Komiennoostrowskim? Co tam, toć w końcu jesteśmy Rosjanami! Przebaczcie nam, wrócimy do domu i będziemy tacy grzeczni!... Te półtora roku po wyjściu z obozu nie przyniosły J. szczęścia. Nie biczował się, ale nie widział perspektyw. Rozmawiając przy kieliszku z innymi, takimi samymi wysadzonymi z siodła Rosjanami, czuł to samo, co oni: nie ma żadnego oparcia, to nie jest życie. Niemcy robią z nimi, co chcą. Teraz, gdy wojna wyraźnie już szła ku klęsce, przed Jurijem niespodzianie otworzyła się droga wyjścia: szef go lubił i zwierzył się, że w Hiszpanii ma w rezerwie posiadłość i że tam będą razem mogli się schronić po upadku imperium. Ale oto siedzi ci tu przy tym samym stole pijany rodak i — sam ryzykując głową — zachęca człowieka: „Jurij Nikołajewicz! Sowieckie dowództwo ceni pańskie doświadczenie i wiedzę, oni chcą się od pana dowiedzieć jak jest zorganizowany niemiecki wywiad...".

Dwa tygodnie dręczyły J. wahania. Ale podczas sowieckiej ofensywy zza Wisły, gdy przenosił swoją szkołę w głąb na Zachód, Jurij kazał zboczyć na zaciszny polski folwark, tam ustawił swoich ludzi szeregiem i oznajmił: „Przechodzę na sowiecką stronę! Macie wolny wybór!" I ci szpiegowie od siedmiu boleści, z mlekiem pod nosem, jeszcze przed godziną popisujący się swoim oddaniem dla niemieckiego rajchu — teraz krzyknęli z entuzjazmem: „Hurraaa! My też!" (Wiwatowali na cześć swojej przyszłej katorżniczej pracy...).

Szpiegowska szkoła w pełnym składzie schowała się, czekając nadejścia sowieckich czołgów, a później także SMIERSZ. Więcej już nigdy nie zobaczył Jurij swoich ludzi. Trzymano go oddzielnie, przez dziesięć dni kazano opisywać całą historię szkoły, programy, akcje dywersyjne i już naprawdę myślał, że „jego

doświadczenie i wiedza...". Już nawet omawiana była sprawa jego wyjazdu do domu, do rodziny.

I dopiero na Łubiance zrozumiał, że nawet z Salamanki bliżej by mu było do Newy... Mógł spodziewać się rozstrzelania, albo nie mniej, niż dwudziestu lat.

Tak to nieodparcie ulega człowiek urokom dymku z rodzinnego komina... Podobnie, jak ząb nie przestaje boleć zanim się nie zatruje nerwu, tak samo i my nie przestaniemy rwać się do kraju dopóty, dopóki nie łykniemy arszeniku. Lotofogowie z „Odyssei" mieli właśnie po to te jakieś lotosy...

Wszystkiego trzy tygodnie spędził Jurij w naszej celi. Przez całe te trzy tygodnie toczyłem z nim spory. Twierdziłem, że nasza rewolucja była wspaniała i sprawiedliwa, że straszne było tylko jej wypaczenie w 1929-ym. J. patrzył na mnie z politowaniem i nerwowo zaciskał wargi: zanim zaczęło się rewolucję, trzeba było kraj odpluskwić! (Gdzieś przecież były jakieś punkty styczne między nim a Fastenko, mimo, że tak odległe były punkty wyjścia). Mówiłem, że przez długi czas tylko ludzie szlachetnych dążeń i bezkompromisowo ofiarni zajmowali się wszystkimi poważnymi sprawami w naszym kraju. On powiadał — że wszyscy z tej samej gliny co Stalin, od samego początku. (Co do tego, że Stalin jest bandytą — różnic między nami nie było). Ja zachwycałem się Gorkim — co za mądrość! jaki słuszny punkt widzenia! jaki wielki artysta! On replikował: marna, szara figura! Sam siebie zmyślił — i bohaterów sobie powymyślał, jego wszystkie powieści są zblagowane. Lew Tołstoj — o, to jest car naszej literatury!

Z powodu tych codziennych sprzeczek, prowadzonych zapalczywie, jak to za młodu, nie potrafiliśmy z nim wzajemnie się zbliżyć i zobaczyć w rozmówcy coś więcej niż to, czemu chcieliśmy zaprzeczyć.

Zabrano go w końcu z celi i od tego czasu, choć pytałem, kogo mogłem, nikt nie siedział z nim w Butyrkach, nikt nie spotkał go na etapach. Nawet szeregowi własowcy poznikali gdzieś bez śladu, najczęściej gryzą trawę, niektórzy dotąd nie mają papierów na wyjazd z północnej głuszy. Los zaś Jurija J. nawet wśród nich nie był zwyczajny.

◆

Nadchodziła nareszcie pora łubiańskiego obiadu: z daleka już słyszeliśmy radosny pobrzęk na korytarzu, a potem wnoszono, jak w restauracji, na tacy, dwa aluminiowe talerze (nie miski): chochlę zupy i chochlę rzadziutkiej kaszy bez omasty.

Więzień śledczy w trakcie pierwszych udręczeń niczego nie

chce brać do ust, są tacy, co przez kilka dni nawet chleba nie tkną, nie wiedzą, co z nim począć. Ale stopniowo wraca apetyt — później przychodzi stan ciągłego głodu, prowadzący aż do żarłoczności. Jeszcze później — jeśli człowiek zdołał się pomiarkować, żołądek się kurczy, przystosowuje do skąpego wiktu i tutejsza mizerna porcja wydaje się być w sam raz. Żeby dojść do tego, trzeba się ćwiczyć, trzeba odzwyczaić się od podglądania, czy kto inny nie je za dużo, zabronić więziennych rozmów o jedzeniu, niebezpiecznych dla żołądka, i starać się w ogóle podciągać ducha raczej wzwyż. Na Łubiance jest to ułatwione dzięki dwum godzinom poobiedniego leżenia — też cudo sanatoryjne. Kładziemy się tyłem do judasza, przysuwamy sobie na pokaz otwarte książki i zapadamy w drzemkę. Spanie jest właściwie wzbronione i strażnicy widzą, że stronic długo nikt w książkach nie przewraca, ale w tych godzinach zwykle nie pukają (ten humanitaryzm tłumaczy się w ten sposób, że kto nie powinien wcale spać, ten jest w tym czasie na dziennym przesłuchaniu). Dla uparciuchów, którzy nie chcą podpisać protokołu, kontrast jest jeszcze ostrzejszy: wracają do celi, a tu właśnie kończy się godzina ciszy!

Sen zaś jest najlepszym lekarstwem na głód i na strapienie: zasoby organizmu się nie spalają, a mózg nie roztrząsa wciąż na nowo omyłek, które człowiek sam sobie wypomina.

A teraz kolacja — po chochelce rzadkiej kaszy. Życie roztacza przed nami na wyścigi wszystkie swoje uroki. Teraz przez pięćsześć godzin do dzwonka człowiek nie weźmie już niczego do ust, ale to już nie straszne, łatwo się przyzwyczaić do tego, by wieczorami nie chciało się już jeść — dawno to już znane medycynie wojskowej, w pułkach rezerwowych też wieczorem jeść nie dają.

Teraz nadchodzi chwila wieczornego wyjścia za potrzebą — moment, na który człowiek przez cały dzień czekał — najczęściej ze drżeniem. Jak lekki staje się świat w jednej chwili! Jak uprościły się od razu wielkie problemy — czujesz to?

Nieważkie wieczory łubiańskie! (Zresztą — tylko wtedy masz uczucie nieważkości, gdy nie oczekujesz nocnego przesłuchania). Nieważkie ciało, na tyle zaledwie zaspokojone porcją kaszy, by dusza nie czuła jego ciężaru. Jakie lekkie, jakie swobodne myśli! Czujemy się, jak na wyżynach synajskich, gdzie prawda objawia nam się wśród płomienia. Czy to nie o tym mówił Puszkin:

„Ja pragnę żyć dla myśli i cierpienia!"

I oto cierpimy i myślimy i nie ma w naszym życiu innej treści. Jak łatwe się okazało osiągnięcie tego ideału...

Dysputujemy także wieczorami, to jasne, odrywając się od szachów, w które gramy z Suzim i od książek. Najostrzejsze dyskusje toczymy z tym samym J., ponieważ poruszamy kwestie grożące wybuchem, na przykład — sprawę wyników wojny. Właśnie wszedł strażnik i bez jednego słowa, bez żadnego wyrazu opuścił na oknie granatową sztorkę zaciemnienia. Teraz tam, za oboma zasłonami, wieczorna Moskwa zaczyna rąbać saluty*. Nie widzimy ani jarzącego się fajerwerkami nieba, ani mapy Europy, ale próbujemy wyobrazić ją sobie szczegółowo i zgadnąć, jakie to miasta zostały zdobyte. Te saluty osobliwie Jurija dręczą. Oczekuje od losu naprawienia własnych swoich błędów, zapewnia nas on, że wojna wcale się nie kończy i że teraz Armia Czerwona i Anglo-Amerykanie zderzą się ze sobą, że teraz dopiero zacznie się prawdziwa walka. Cela odnosi się do takich przepowiedni z niezwykłym zaciekawieniem. No i czym się to skończy? Jurij zapewnia, że Armia Czerwona rozbita będzie bez trudu (a więc doczekamy się uwolnienia? czy raczej rozstrzelania?). Tu — ja oponuję — i zaczyna się szczególnie zapamiętały spór. J. dowodzi, że nasza armia jest wyczerpana, wykrwawiona, źle wyekwipowana i — co najważniejsze — przeciw aliantom nie będzie już walczyć z taką zaciętością. Ja zaś — czerpiąc dowody ze znanych mi jednostek — twierdzę, że jest teraz silna i pełna zawziętości i że w takim wypadku będzie lać aliantów jeszcze lepiej, niż Niemców. — Nigdy! — krzyczy (półszeptem) Jurij. A Ardeny? — krzyczę (półszeptem) ja. Wtrąca się Fastenko i wyśmiewa nas obu, twierdząc, że nie rozumiemy Zachodu, że teraz nikt już nie zmusi w ogóle alianckich wojsk do walki z nami.

Jednak wieczorem człowiek chciałby nie tyle spierać się, ile posłuchać czegoś ciekawego, a nawet uspokajającego, chciałby, aby panowała zgoda.

Jeden z takich ulubionych więziennych tematów, to rozmowa o więziennych tradycjach, o tym, jak s i e d z i a ł o s i ę d a w n i e j. Mamy w celi Fastenkę i dlatego słuchamy wiadomości z pierwszej ręki. Najbardziej nas rozczula fakt, że kto dawniej był więźniem politycznym, ten miał powód do dumy, że nie tylko nie wyrzekali się ich krewni, ale że nieznajome dziewczęta przyjeżdżały w odwiedziny i — podając się za narzeczone — uzyskiwały widzenia. A dawna, rozpowszechniona tradycja paczek świątecznych dla więźniów? Nikt w Rosji nie przystępował do wielkanocnych rekolekcji, jeśli przedtem nie zaniósł

* **Po Stalingradzie zdobyciu każdego większego miasta towarzyszył w Moskwie salut artyleryjski z fajerwerkiem.**

bezimiennemu aresztantowi paczki żywnościowej do wspólnego, więziennego kotła. Niesiono w darze szynki, placki, kulebiaki, kołacze. Jakaś biedna starowinka — też niosła dziesięć pisanek i lżej robiło jej się na sercu. Gdzie też podziała się ta rosyjska dobroć? Zastąpiło ją u ś w i a d o m i e n i e ! Jak bardzo, w jak nieodwracalny sposób nastraszono nasz lud, jak oduczono go troski o tych, którzy cierpią! Dziw teraz bierze, kiedy się o tych sprawach mówi. Gdyby teraz ktoś w jakiejś instytucji zaproponował zbiórkę przedświąteczną na rzecz miejscowego aresztu — uznano by to niemal za próbę antysowieckiego powstania! Do tego stopnia jesteśmy zezwierzęceni!

A czym były te świąteczne dary dla więźniów! Czy tylko sprawą dobrego jedzenia? Nie, dawały uczucie ciepła: oto ktoś na wolności myśli o tobie, troszczy się o ciebie.

Opowiada nam Fastenko, że za sowieckich czasów istniał jeszcze polityczny Czerwony Krzyż, ale tu już nie, żebyśmy mu nie wierzyli! — nie bardzo to sobie umiemy wyobrazić. Powiada, że J. P. Pieszkowa wykorzystując swój osobisty immunitet, jeździła za granicę, zbierała tam pieniądze (u nas nie bardzo by mogła) — a później kupowała tu za nie wiktuały dla politycznych, pozbawionych rodzin. Czy dla wszystkich? Tu wyjaśnia się, że nie dla Ka-erów, to jest kontrrewolucjonistów (a więc na przykład — nie dla inżynierów, ani dla duchownych), lecz tylko dla członków dawnych partii politycznych. Ach, to proszę tak mówić od razu! A zresztą sam ów Czerwony Krzyż, ponad głową Pieszkowej, też został w sumie wyaresztowany...

Jeszcze jedna sprawa, o której miło jest pogadać wieczorem, gdy nie oczekuje człowieka przesłuchanie — to zwolnienie. Tak, podobno zdarzają się takie zadziwiające wypadki, niektórych puszcza się wolno. O, zabrano z celi Z-wa „z rzeczami". — Może go wypuszczono? Śledztwo nie mogło przecież tak szybko się skończyć. (Po dziesięciu dniach wrócił: zawieźli go do Lefortowa. Tam zabrał się chyba do p o d p i s y w a n i a, więc pozwolono mu wrócić do nas). Jeśli więc tylko cię zwolnią — słuchaj, przecież twoja sprawa jest błaha, sam tak mówisz — to obiecaj mi, że pójdziesz do mojej żony i na znak tego niech w jakiejś paczce przekaże mi ona, no, powiedzmy, dwa jabłka... — Nie ma teraz nigdzie jabłek. — No to trzy obwarzanki. — Może się zdarzyć, że obwarzanków w Moskwie nie dostanie. — No dobrze, to cztery kartofle! (Umówią się tak, a później faktycznie — N. zostaje zabrany z rzeczami, M. zaś otrzymuje w paczce cztery kartofle. To zdumiewające, to wspaniałe! puścili go, a miał sprawę o wiele poważniejszą, niż moja — to i mnie może już niedługo?... A tu po prostu żonie M. jeden ziemniak

rozsypał się w torbie, N. zaś już dawno jedzie na Kołymę w ładowni parowca).

Tak sobie pleciemy trzy po trzy, wspominamy różne zabawne wypadki — i wesoło człowiekowi i miło wśród ciekawych ludzi z całkiem nieznanych ci kręgów, mających całkiem inne, niż ty, doświadczenia — a tymczasem minęła milcząca, wieczorna kontrola, już zabrano okulary i już trzykrotnie miga lampa. To znaczy, za pięć minut dzwonek!

Szybciej, szybciej, pod kołdry! Podobnie, jak na froncie, nie wie człowiek, czy nie spadnie mu na łeb szkwał pocisków, już-już, czy za minutę, tuż obok — tak też tu nie wiemy, czy to nie noc naszego fatalnego przesłuchania. Już jesteśmy w łóżkach, jedną rękę — na kołdrę, staramy się przepędzić wiatr myśli z głowy. Spać!

W takiej właśnie chwili pewnego kwietniowego wieczoru, wkrótce potem, jak pożegnaliśmy się z J., zgrzytnął rygiel w naszych drzwiach. Nasze serca ścisnęły się: czyja dziś kolej? Zaraz strażnik syknie: „Na se!", „na se!" Ale nie syknął. Drzwi się zatrzasnęły. Unieśliśmy głowy. W drzwiach stał nowy przybysz: chuderlawy, młody, w tanim, granatowym ubraniu i w granatowej czapce. Nie miał żadnych rzeczy. Rozglądał się z zakłopotaniem.

— Jaki ta cela ma numer? — spytał trwożnie.

— Pięćdziesiąty trzeci.

Wzdrygnął się.

— Z wolności? — zapytaliśmy.

— Niee — pokręcił z udręką głową.

— A kiedy cię aresztowali?

— Wczoraj rano.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Miał twarz o rysach pospolitych bardzo miękkich, a brwi prawie białe.

— A za co?

(To pytanie nieuczciwe, nie wolno spodziewać się odpowiedzi na nie).

— A nie wiem... Jakieś tam głupstwa...

Wszyscy tak mówią, wszyscy siedzą za jakieś głupstwa. Zwłaszcza samemu aresztantowi cała sprawa wydaje się błahostką.

— No, ale jednak?

— Ja... napisałem orędzie. Do narodu rosyjskiego.

— Cooo? (Z takimi „głupstwami" jeszcze nie mieliśmy do czynienia).

— Rozstrzelają mnie? — twarz mu się wydłużyła. Miął palcami daszek jeszcze nie zdjętej czapki.

— E, chyba nie — uspokoliśmy go. — Teraz nikogo nie rozstrzeliwują. Za to DZIESIĄTAK jak w zegarku.

— Robotnik? Urzędnik? — zapytał socjaldemokrata, wierny swoim klasowym zasadom.

— Robotnik.

Fastenko wyciągnął rękę i zawołał do mnie z triumfem:

— Widzicie, Aleksandrze, jakie są nastroje klasy robotniczej!

I odwrócił się do spania, pewien, że już dalej nie ma co i że nic więcej nie usłyszymy.

Ale mylił się.

— Jak to — orędzie? ni stąd, ni z owąd? W czyim imieniu?

— A we własnym.

— A coś ty za jeden?

Przybysz uśmiechnął się z wyrazem skruchy:

— Imperator. Michał.

Dźgnęło nas, jak iskrą. Unieśliśmy się jeszcze bardziej na posłaniach, przyjrzeliśmy się mu. Nie, ta nieśmiała, szczupła twarz wcale nie wyglądała na twarz Michała Romanowa. Zresztą — sam jego wiek...

— Do jutra, do jutra, spać! — odezwał się Suzi z surowością.

Zasnęliśmy tedy, obiecując sobie, że jutrzejsze dwie godziny przed rozdziałem chleba nie będą nudne.

Imperatorowi też wniesiono łóżko z pościelą i za chwilę leżał już spokojnie obok kibla.

◆

W tysiąc dziewięćset szesnastym roku do domu moskiewskiego maszynisty kolejowego Biełowa wkroczył nieznajomy — dorodny starzec z jasną brodą i powiedział do pobożnej żony maszynisty: „Pelagio! Masz rocznego syna. Strzeż go, potrzebny jest Panu. Nadejdzie czas — a wrócę". I wyszedł.

Kim był starzec — Pelagia nie wiedziała, ale tak dobitnie i groźnie przemawiał, że jego słowa owładnęły sercem matki. I strzegła tego dziecka, jak oka w głowie. Wiktor wyrastał na cichego, posłusznego, pobożnego chłopca, często miał widzenia, widywał aniołów i Matkę Boską. Z czasem zdarzało się to coraz rzadziej. Starzec więcej się nie pokazał. Nauczył się Wiktor szoferki, w 1936 wzięto go do wojska, zawieźli do Birobidżanu i służył tam w kompanii samochodowej. Nie był wcale rozpuszczony, ale może właśnie ta jego nieszoferska łagodność i skromność podobała się pewnej dziewczynie ze służby cywilnej, przez co utracił na nią widoki dowódca jego plutonu, smalący do tejże dziewczyny cholewki. W tym czasie przyjechał do nich

na manewry marszałek Bluecher — i zdarzyło się tak, że jego kierowca się rozchorował. Bluecher rozkazał dowódcy kompanii samochodowej przysłać sobie najlepszego szofera, dowódca kompanii wezwał dowódcę plutonu, a ten od razu wykombinował, żeby podrzucić marszałkowi swojego rywala Biełowa. (W armii często tak bywa: awansują nie tych, którzy sobie zasłużyli, tylko tych, których trzeba się pozbyć).

Biełow spodobał się Bluecherowi i został już przy nim. Wkrótce Bluechera wezwano do Moskwy z zachowaniem wszelkich pozorów (w ten sposób odrywano marszałka od wiernych mu wojsk Dalekiego Wschodu) i kierowca pojechał z nim razem.

Osierocony Biełow wzięty został do służby w garażach Kremla i zaczął wozić to Michajłowa (Komsomoł), to Łozowskiego, potem kogoś tam jeszcze i wreszcie — Chruszczowa.

Napatrzył się tutaj Biełow (i sporo nam o tym naopowiadał) na uczty, na obyczaje, na środki ostrożności. Jako szeregowy przedstawiciel moskiewskiego proletariatu był także obecny na procesie Bucharina w Domu Związków. Ze wszystkich swoich gospodarzy tylko o Chruszczowie wyrażał się z sympatią: tylko w jego domu kierowcę sadzano przy wspólnym stole rodzinnym, nie zaś oddzielnie, w kuchni; tylko tu w tych latach zachowały się jeszcze robotnicze, proste obyczaje. Jowialny Chruszczow też przywiązał się do Wiktora Aleksiejewicza i — jadąc w 1938 roku na Ukrainę — chciał go ze sobą zabrać. „Nigdy bym nie zamienił tej roboty przy Chruszczowie" — mówił Wiktor Aleksiejewicz. Ale coś mu kazało trzymać się Moskwy.

W 41-szym roku, na początku wojny, miał jakąś przerwę, nie pracował w garażach rządowych i — nie mając poparcia — został zaraz zmobilizowany przez komendę uzupełnień. Jednakże, ze względu na stan zdrowia, nie posłano go na front, tylko do batalionów robotniczych — z początku na piechtę do Inzy, gdzie trzeba było kopać rowy strzeleckie i bić drogi. Po kilku latach beztroskiego, sytego życia — to było, jak pyskiem prasnąć o ziemię, bolało. Najadł się wtedy biedy i niedoli do syta i zobaczył, że ludzie nie tylko nie zaznali w okresie przedwojennym żadnego dostatku, ale jeszcze bardziej zbiednieli. Ledwo się sam wykaraskał, dostał zwolnienie lekarskie, wrócił do Moskwy i tu znów zdołał się zaczepić: został kierowcą Szczerbakowa[22], później narkoma paliw płynnych Siedina. Ale Siedin się nakradł (wszystkie-

22. Opowiadał, jak opasły Szczerbakow, przychodząc do swojego Informbiura, nie lubił widzieć nikogo i jak z pomieszczeń biurowych, przez które kroczył do swego gabinetu, znikali pracownicy. Stękając, bo przeszkadzał mu brzuch, schylał się, żeby unieść róg dywanu. I biada całemu Informbiuru, jeżeli znalazł tam kurz.

go 35 milionów) i po cichu poszedł na grzybki, Biełow zaś, nie wiedzieć czemu, znów stracił robotę koło przywódców. I najął się za kierowcę do bazy samochodowej, po fajrancie zaś jeździł w zaloty do Czerwonej Pachry.

Ale nie to już mu było w głowie. W 1943 roku był raz u matki. Kobieta robiła pranie i wyszła z wiadrami do ulicznej pompy. Wówczas otwarły się drzwi i wkroczył do domu nieznajomy starzec z siwą brodą. Przeżegnał się przed ikoną, spojrzał surowo na Biełowa i powiedział: „Bądź pozdrowiony, Michale! Niech cię Bóg błogosławi!" — „Nazywam się Wiktor" — odparł Biełow. — „A zwać się będziesz Michał, imperator świętej Rusi!" — powiedział stanowczo starzec. Weszła właśnie matka i ze strachu kolana się pod nią ugięły, aż plusnęła wodą z wiader: był to ten sam starzec, który odwiedził ją przed dwudziestu siedmiu laty, posiwiały, ale ten sam. „Niechże cię Bóg nagrodzi zbawieniem, Pelagio, żeś syna uchowała" — powiedział starzec. I zamknął się z przyszłym imperatorem, aby namaścić go na cara, jako patriarcha. Przepowiedział wstrząśniętemu młodzieńcowi, że w 1953 roku nastąpi zmiana władzy i że zostanie on imperatorem wszechrosyjskim[23] (dlatego to 53-ci numer celi tak go zaskoczył!) i że w tym celu powinien gromadzić siły, poczynając od 1948 roku. Nie powiedział tylko, jak te siły gromadzić — i poszedł sobie. A Wiktor Aleksiejewicz jakoś nie domyślił się, że trzeba zapytać.

Utracił odtąd spokój, życie przestało być proste. Być może — kto inny odżegnałby się od tak niepomiernej imprezy, ale nasz Wiktor otarł się przecież o najwyższe kręgi, otrzaskał się z tymi wszystkimi Michajłowami, Szczerbakowami i Siedinami, nasłuchał się rozmaitości od innych szoferów i doszedł do wniosku, że nie trzeba wcale być nikim nadzwyczajnym, nawet wręcz przeciwnie.

Nowy pomazaniec, cichy, poczciwy, wrażliwy — jak Fiodor Joanowicz, ostatni z Rurykowiczów — poczuł ciężar tłoczącej głowę czapy Monomacha. Nędza i niedola ludu, jakie widział dookoła i za które dotąd nie czuł się odpowiedzialny — teraz legły ciężarem na jego barki i to on był winien, że to wszystko jeszcze trwa. Pomyślał, że to za długo czekać aż do 1948 roku i jesienią 43-ego napisał swój pierwszy manifest do narodu rosyjskiego, po czym odczytał go czterem robotnikom z garażu Narkomatu paliw płynnych...

... Zebraliśmy się rano wokół Wiktora Aleksiejewicza i słu-

23. Poza tą drobnostką, że wziął szofera za konnego rycerza, jasnowidz prawie się nie mylił!

chaliśmy jego niezawiłej opowieści. Wciąż jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z jego infantylnej ufności, ciekawiła nas niecodzienność tej historii i — to nasza wina! — nie zdążyliśmy przestrzec go przed kwoką. Zresztą nie mieściło nam się w głowie, że to, co nam tu ten człowiek tak prostodusznie opowiada, nie jest jeszcze w całości znane śledczemu!... Gdy opowieść się skończyła, Kamarenko zaczął nalegać, by go puszczono „do naczelnika więzienia po tytoń", czy może do lekarza, dość, że go wkrótce wezwano. Tam też z a p o d a ł on tych czterech z paliw płynnych, o których nikt by się nigdy nie dowiedział... (Następnego dnia, po powrocie z przesłuchania, Biełow dziwił się, skąd śledczy o nich wiedział. Tu nas olśniło...). Ci z paliw płynnych przeczytali manifest, wszystko im się podobało — i NIKT NIE DONIÓSŁ na imperatora! Ale sam on wyczuł, że jeszcze za wcześnie, za wcześnie! I spalił manifest.

Minął rok. Wiktor Aleksiejewicz pracował jako mechanik w garażu bazy transportowej. Jesienią 1944 roku znów napisał manifest: dał go do przeczytania DZIESIĘCIU ludziom — kierowcom, ślusarzom. Znów się wszystkim podobał — I NIKT NIE ZDRADZIŁ! (Nikt z dziesiątki — to rzadkie w tych czasach donosicielstwa zjawisko! Fastenko nie mylił się, mówiąc o „nastrojach wśród klasy robotniczej"!). Co prawda, imperator uciekał się do niewinnych wybiegów: robił aluzje, że ma mocne plecy w rządzie, obiecywał swoim zwolennikom delegacje służbowe dla skrzyknięcia sił monarchistycznych w terenie.

Mijały miesiące. Imperator zwierzył się jeszcze dwum dziewczynom z garażu. I tu już nie było zawodu — dzieweczki ideowo były na poziomie! Od razu ścisnęło się serce Wiktora Aleksiejewicza w przeczuciu katastrofy. W niedzielę po Zwiastowaniu szedł przez rynek, mając przy sobie manifest. Stary robotnik, jeden z jego zwolenników, spotkał go i tak mu powiedział: „Wiktor! Może byś spalił tymczasem ten papierek, co?" I Wiktor poczuł to dobrze: tak jest, za wcześnie, lepiej spalić! „Zaraz spalę, masz rację". I poszedł do domu, żeby spalić. Ale dwóch sympatycznych młodzieńców zawołało go, zanim jeszcze opuścił rynek: „Wiktorze Aleksiejewiczu! Przejedziemy się, dobrze? I zawieźli go osobową limuzyną na Łubiankę. Powitano go z takim zdenerwowaniem i wśród takiego pośpiechu, że nawet nie został zrewidowany według normalnego rytuału i była taka chwila, że imperator omal nie zniszczył swojego manifestu, gdy znalazł się w ubikacji. Ale doszedł do wniosku, że jeszcze gorzej go będą szarpać: gdzie go masz, gdzie? I natychmiast zawieźli go windą do generała z pułkownikiem i generał własną ręką wyrwał mu manifest wystający z kieszeni.

Okazało się jednak, że wystarczyło jednego przesłuchania, aby spokój powrócił na Wielką Łubiankę: wszystko okazało się nie takie znowu straszne. Dziesięć zatrzymań w garażu bazy transportowej, cztery — w garażu Narkomatu paliw płynnych. Śledztwo przejął jakiś podpułkownik. Zaśmiewał się raz po raz, czytając orędzie:

— O tu, wasza cesarska mość pisze: „mojemu ministrowi rolnictwa dam zlecenie, ażeby od razu pierwszej wiosny rozwiązał kołchozy" — ale jak tu rozdzielić inwentarz? Jakoś to nie rozpracowane: później tak tu jest napisane: „powiększę budownictwo mieszkaniowe i każdemu dam mieszkać niedaleko od miejsca roboty... podwyższę zarobki robotników...". A za jakie ciaćki, wasza cesarska wysokość? Przecież pieniążki trzeba będzie na maszynce odbijać? Przecież wasza wysokość raczyła skasować państwowe p o ż y c z k i ! . . . Albo to: „Kreml zmiotę z powierzchni ziemi", ale gdzie też wasza cesarska mość ulokuje swój własny rząd? A może by, na przykład, zadowolił waszą wysokość gmach Łubianki? Czy nie łaska zwiedzić go teraz?...

Pośmiać się trochę z imperatora Wszechrosji przychodzili także młodzi funkcjonariusze śledczy. Widzieli tylko śmieszną stronę całej tej historii.

Nie mogliśmy się powstrzymać od uśmiechów nawet w naszej celi. „Mam nadzieję, że nie zapomnicie o nas w 53-cim" — mówił Z-w, robiąc do nas oko.

Wszyscy nad nim się śmieli...

Wiktor Aleksiejewicz prostoduszny chłopak o białych brwiach i zgrubiałych od pracy rękach, dostawszy gotowane kartofle od swojej nieszczęsnej matki, Pelagii, częstował nas, bez dzielenia na twoje i moje: „Jedzcie, jedzcie, towarzysze...".

Uśmiech miał wstydliwy. Rozumiał znakomicie jakie to niewspółczesne i śmieszne — być imperatorem Wszechrosji. Ale co robić, jeśli Bóg ciebie właśnie wybrał?!

Wkrótce zabrano go z naszej celi[24].

◆

Gdzieś przed pierwszym maja zdjęto z okna zasłonę przeciwlotniczą, wojna widocznie miała się ku końcowi.

Cicho było tego wieczoru na Łubiance, jak nigdy. Bodajże był to drugi dzień Wielkiej Nocy, święta zbiegły się tego roku.

24. Kiedy w 1962 roku zostałem przedstawiony Chruszczowowi, świerzbił mnie język, żeby powiedzieć: Nikita Siergiejewicz, a przecież mamy pewnego wspólnego znajomego. Ale powiedziałem mu coś innego, chyba ważniejszego, w imieniu byłych więźniów.

Oficerowie śledczy porozchodzili się po Moskwie, na przesłuchania nikogo nie wzywano. W ciszy słychać było, jak ktoś tam wszczął przeciw czemuś głośny protest. Wyprowadzono go z celi do boksu (orientowaliśmy się słuchem dokąd jakie drzwi prowadzą), i w tym boksie, przy otwartych drzwiach, długo go bito. W gęstej ciszy wyraźnie słychać było każdy cios w brzuch i zachłystujące się krzykiem usta.

Drugiego maja trzydzieści salw zagrzmiało nad Moskwą, co znaczyło, że padła europejska stolica. Tylko dwie jeszcze zostały niezdobyte — Praga i Berlin. Trzeba było zgadnąć, która.

9 maja przyniesiono obiad razem z kolacją, jak to na Łubiance zdarzało się tylko 1 maja i 7 listopada. Tylko dzięki temu dowiedzieliśmy się, że wojna się skończyła:

Wieczorem rąbnęli jeszcze jeden salut, trzydzieści salw. Nie było już więcej niezdobytych stolic. Tegoż wieczoru gruchnął raz jeszcze salut — zdaje się z czterdziestu salw — i to już był koniec nad końcami.

Ponad skrajem blachy naszego okna i wszystkich innych cel Łubianki, a także wszystkich innych okien moskiewskich więzień także my, byli jeńcy i byli żołnierze frontowi, wpatrywaliśmy się w malowane fajerwerkami, porżnięte świetlnymi nożami reflektorów niebo.

Borys Gammerow — młodziutki kanonier artylerii przeciwczołgowej, już zdemobilizowany, jako inwalida (nieuleczalny postrzał w płuca) już aresztowany razem z grupą studentów, siedział tego wieczoru w przepełnionej celi w Butyrkach, gdzie połowa więźniów byli to jeńcy i frontowi żołnierze. Ten ostatni salut opisał on w oszczędnym ośmiowierszu, najprostszymi słowami: jak to już leżeli na narach, przykryci wojskowymi szynelami; jak obudził ich hałas, podnieśli głowy, zerknęli na skraj okiennej blachy: a, to salut; położyli się

„i znowu szynelami się przykryli".

Tymi samymi szynelami — upapranymi gliną z okopów, popiołem z ognisk, całymi w dziurach od niemieckich odłamków.

Nie dla nas było to Zwycięstwo. Nie dla nas — ta wiosna.

VI

TA WIOSNA

W czerwcu 1945 roku co rano i co wieczór okna Butyrskiego więzienia szturmowane były przez śpiżowe głosy orkiestr, dochodzące skądś z daleka, z ulicy Leśnej, albo z Nowosłobodzkiej. Grano wyłącznie marsze, powtarzano je wciąż od nowa.

A myśmy stali przy otwartych, ale nieprzenikalnych oknach więzienia za mętno-zielonawymi b l i n c a m i ze szkła zbrojonego i nadstawialiśmy uszu. Czy to maszerowały oddziały wojskowe? czy może masy pracujące z radością poświęcały swój wolny czas na ćwiczenia? — nie wiedzieliśmy dokładnie, ale już nawet do nas dotarł słuch o przygotowaniach do wielkiego Pochodu Zwycięstwa, który miał odbyć się na Placu Czerwonym 22 czerwca, w czwartą rocznicę wybuchu wojny.

Nie mogą ukoronować budynku te kamienie, które złożyły się na fundament, aby tam z postękiwaniem zapadać się w ziemię. Ale nawet honorowego spoczywania w fundamencie odmówiono tym, którzy, bezmyślnie porzuceni, nadstawili swoje nieszczęsne łby i nieszczęsne żebra na pierwsze ciosy tej wojny, przegradzając drogę cudzemu zwycięstwu.

„Czym są dla zdrajcy te błogie dźwięki?..."

Ta wiosna 45-go roku w naszych więzieniach była przede wszystkim wiosną rosyjskich j e ń c ó w. Płynęli przez więzienia Związku nieogarnionymi, gęstymi szarymi ławicami, na kształt śledzi atlantyckich. Pierwszym zwiastunem takiej ławicy był dla mnie Jurij J. Teraz zaś ze wszystkich stron otaczał mnie ich ruch — zwarty, zdecydowany, jakby świadomy swego przeznaczenia.

Nie tylko jeńcy przechodzili przez te cele — płynął strumień tych wszystkich, którzy zdążyli pomieszkać w Europie: i emigranci z czasów wojny domowej; i robotnicy OST'u z czasów tej wojny z Niemcami; i oficerowie Armii Czerwonej formułujący sądy zbyt ostre i przenikliwe, które mogły napędzić Stalinowi strachu czy aby nie chcą oni zawlec przy powrocie z europejskiej kampanii — europejskich swobód, tak, jak to już się raz stało przed stu dwudziestu laty*. Ale najwięcej było moich rówieśników, nawet nie moich, lecz r ó w i e ś n i k ó w P a ź d z i e r n i k a — tych, którzy urodzili się razem z Październikiem, którzy w 1937, niestropieni wcale, walili hurmą na manifestacje z powodu dwudziestej rocznicy — i których rocznik, właśnie na początku wojny, tworzył trzon kadrowej armii, rozszastanej w ciągu paru tygodni.

Tak oto więzienna wiosna, marudnie wlokąca się przy dźwiękach marszowej muzyki, stała się czasem porachunku dla mego pokolenia.

To nam śpiewano nad kolebką: „Cała władza w ręce Rad!". To my, opaloną rączką dziecinną sięgaliśmy po trąbkę pionierską i na hasło „Bądźcie gotowi!" dawaliśmy odzew „Zawsze gotowi!". To myśmy przemycali broń do Buchenwaldu i tam wstępowali do partii komunistycznej. I oto teraz znaleźliśmy się na straconej pozycji tylko za to, że jednak zostaliśmy przy życiu[1].

Jeszcze w chwili, gdy przecinaliśmy Prusy Wschodnie, widziałem ponure szeregi wracających do domu byłych jeńców — jedynych, którzy byli markotni, podczas gdy wszyscy wokół się radowali — i już wówczas uderzał mnie ich smutek — chociaż jeszcze nie rozumiałem jego przyczyny. Zeskakiwałem na ziemię, zbliżałem się do tych dobrowolnie sformowanych oddziałków (czemu szli szeregiem? dlaczego ustawiali się karnie?, przecież nikt ich nie zmuszał, jeńcy wszystkich armii wracali samopas! Nasi zaś chcieli wrócić możliwie najpotulniej...). Miałem na mundurze kapitańskie naramienniki, a nosząc je, nadto — w drodze, nie łatwo było dostać odpowiedź: czemu są tak markotni? Ale oto los skojarzył mnie z tymi jeńcami, maszerowałem razem z nimi z kontrwywiadu armii do kontrwywiadu frontu, tam posłuchałem po raz pierwszy ich opowieści — jeszcze dla mnie niejasnych później naświetlił mi to szerzej Jurij J., teraz zaś, pod sklepieniem ceglasto-czerwonej Butyrskiej warowni, poczułem, że tą

---

* Mowa o Dekabrystach.

1. **Więźniowie z Buchenwaldu, którym udało się ocaleć, WŁAŚNIE ZA TO SZLI SIEDZIEĆ do naszych obozów: jakim sposobem mogłeś ocaleć w obozie śmierci? W tym musi być coś nieczystego!**

historią kilku milionów rosyjskich jeńców przebity jestem na wskroś, jak karakon szpilką. Historia mojego własnego pójścia do więzienia wydała mi się błaha, wybiłem sobie z głowy żal po zerwanych naramiennikach. Tylko przypadkiem nie znalazłem się tam, gdzie znaleźli się moi rówieśnicy. Zrozumiałem, że mam obowiązek podstawić ramię pod skraj tego ciężaru, który dźwigają oni — i nieść do ostatka, póki nas nie przygniecie. Tak poczułem się teraz, jakbym razem z tymi chłopakami dostał się do niewoli na sołowiowskiej przeprawie, w charkowskim worku, w kierczeńskich kamieniołomach; jakbym z rękoma do tyłu — niósł swoją sowiecką dumę za druty obozu koncentracyjnego! jakbym godzinami czekał na mrozie w kolejce po chochlę wystygłej erzac-kawy i padał trupem na ziemię, nie dochodząc do kotła; jakbym w Oflagu 68 (Suwałki) rył sobie rękoma i wieczkiem menażki dzwonowatą jamę (węższą u góry), żeby nie zimować pod odkrytym niebem; i jakby to do mnie, umierającego, podpełzał inny, zdziczały już jeniec, aby ogryźć moje niewystygłe jeszcze ramię; i jakby to do mego konającego mózgu przenikało przekonanie, jaśniejsze z każdym dniem rosnącego głodu, nie odstępujące człowieka ani w baraku tyfusowym, ani pod drutami sąsiedniego obozu, angielskiego — że Rosja Sowiecka wyrzekła się swoich zdychających dzieci. „Synowie Rosji dumni" — tak, potrzebni jej byli oni, póki rzucali się pod czołgi, póki można było jeszcze poderwać ich do ataku. Ale żywić ich w niewoli? Zbyteczne gęby. I niepotrzebni świadkowie haniebnych porażek.

Czasem chciałby człowiek skłamać, ale język nie pozwala. Ludzi tych uznano za zdrajców, ale język sprawił, że zaistniała tu myląca dwuznaczność, to język kazał pobłądzić sędziom, prokuratorom i śledczym. I sami skazańcy, i całe społeczeństwo, i gazety powtórzyły i utrwaliły tę dwuznaczność, niechcący dając świadectwo prawdzie: tych ludzi oskarżano o to, że zdradzili — kogo? — Ojczyznę, ale nikt nie mówił o nich nawet w aktach sądowej inaczej, jak skrótowo — „zdrajcy Ojczyzny". Czyi zdrajcy? — Ojczyzny!

Tyś rzekł! To nie byli ci, co zdradzili ją, to byli j e j zdrajcy, jej rodzeni zdrajcy. To nie oni, nieszczęśni, zdradzili Ojczyznę, nie, to Ojczyzna ich zdradziła, zdradziła z wyrachowania, a przy tym TRZYKROTNIE.

Pierwszy raz — gdy przez swoją nieudolność wydała ich wrogom na polu bitwy — gdy rząd, wybraniec Ojczyzny, uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby wojnę przegrać: zniszczył linie umocnień, wystawił lotnictwo na miażdżące ciosy, rozmontował czołgi, i artylerię, pozbawił wojsko zdolnych generałów

i zabronił armii odpierać nacisk nieprzyjaciela[2]. Jeńcy — to byli właśnie ci, na których ciała spadł ten cios, którzy swymi ciałami zatrzymał Wehrmacht.

Po raz wtóry zdradziła ich Ojczyzna bezlitośnie, gdy pozwoliła im zdychać w niewoli bez pomocy.

I po raz trzeci niegodziwie ich zdradziła, łudząc macierzyńską miłością („Ojczyzna przebacza! Ojczyzna was wzywa!"), by zarzucić im stryk już na granicy[3].

Zdaje się, że dosyć podłości dokonano i widziano u nas w ciągu tysiąca stu lat istnienia naszej państwowości — ale czy była wśród nich podłość tak wielomilionowa: zdradzić własnych żołnierzy i obwieścić jednocześnie, że to oni są zdrajcami?!

Jakże łatwo skreśliliśmy ich z naszego rachunku: zdradził? — hańba! — skreślić! Ależ jeszcze przed nami s k r e ś l i ł ich nasz Ojciec: kwiat moskiewskiej inteligencji rzucił pod Wiaźmę, oddał na rzeź — z berdankami z 1866 roku w ręku, przy tym jedna przypadała na pięciu (gdzie Lew Tołstoj, który nam to Borodino opisze?). A jednym tępym poślizgiem grubego, krótkiego palca Wielki Strateg przeprawił przez cieśninę kierczeńską na Krym w grudniu 1941 roku — bezmyślnie, tylko po to, by mieć na Nowy Rok efektowny komunikat — STO DWADZIEŚCIA TYSIĘCY NASZYCH CHŁOPCÓW — tylu niemal, ilu było w całym wojsku rosyjskim pod Borodinem, i w rezultacie wszystkich ich bez walki oddał Niemcom.

A jednak, nie wiedzieć czemu, nie on jest zdrajcą, tylko oni.

(Jakże łatwo poddajemy się sugestii przezwisk, jak łatwo przystaliśmy na to, by uważać tych zdradzonych — za zdrajców! W jednej z butyrskich cel siedział tamtej wiosny stary Lebiediew, metalurg, profesor, ale wyglądający na rosłego robociarza manufaktur Demidowa z zeszłego, lub nawet osiemnastego wieku. Był barczysty, o szerokim czole, z brodą godną Pugaczowa, a łapsko miał wprost stworzone do podnoszenia czteropudowych cebrów. W celi nosił szary, wypłowiały kitel roboczy wprost na bieliźnie, był nieochędożny i mogło się zdawać, że jest jakimś więziennym robotnikiem pomocniczym — póki nie siadał do czytania.

Wyraz władczego zamyślenia pojawiał się wtedy z nawyku na

2. Teraz, po 27-miu latach, pojawiła się pierwsza uczciwa praca o tej sprawie (P. G. Grigorenko, *List do czasopisma „Woprosy Istorii KPZS"*, Samizdat, 1968) — w przyszłości ilość ich się zwiększy — toć nie wszyscy świadkowie wymarli — i wkrótce nikt nie nazwie gabinetu Stalina inaczej, niż rządem obłędu i zdrady.

3. Jeden z głównych przestępców wojennych, były szef wywiadu Armii Czerwonej — pułkownik Golikow — teraz kierował akcją kuszenia i późniejszego zagarniania repatriantów.

jego twarzy. Otaczało go często kółko słuchaczy, o metalurgii mówił niewiele, natomiast swoim litaurowym basem klarował nam, że Stalin — to taki sam pies, jak Iwan Groźny: „Strzelaj! dław! nie zastanawiaj się!", że Gorki to mazgaj, blagier i adwokat oprawców. Podziwiałem tego Lebiediewa: zdawało się, że cały naród rosyjski stoi przede mną, wcielony w ten krzepki tułów, w ten mądry łeb, w te ręce i nogi oracza. Ileż on już przemyślał! — Uczyłem się od niego rozumienia świata — i nagle on właśnie, rąbiąc łapą, jak toporem, zagrzmiał że paragraf jeden be to zdrajcy kraju i że nie zasługują na przebaczenie. A „jeden be" tłoczyli się wokół na narach. Ach, jak im ciężko to było słyszeć! Stary perorował stanowczym tonem w imieniu Rusi pracującej w polu i przy warsztacie — a im trudno było i wstyd bronić się jeszcze z tej nowej strony. W ich obronie spór ze starym wszcząć musiałem ja i jeszcze dwóch chłopców siedzących „z dziesiątego paragrafu". Ale jakiż to stopień osiągnęło zaćmienie, powodowane przez monotonne, upaństwowione łgarstwo! Nawet najbardziej pojętni z nas zdolni są do ogarnięcia tylko tej części prawdy, o którą rozkwasili sobie własną gębę[4].

Ileż to wojen prowadziła Rosja (lepiej byłoby — nieco mniej), a czy wielu zdrajców miała w ciągu tych wszystkich wojen? Czy stwierdził ktokolwiek, by duch zdrady gnieździł się w sercu żołnierza rosyjskiego? Ale oto — po zbudowaniu najsprawiedliwszego w świecie ustroju zaczęła się najsprawiedliwsza z wojen — i nagle te miliony zdrajców, wywodzących się z najgłębszych pokładów społecznych, z prostego ludu. Jak to zrozumieć? Jak objaśnić?

Obok nas walczyła z Hitlerem kapitalistyczna Anglia, kraj, w którym nędza i cierpienia klasy robotniczej opisane zostały tak wymownie przez Marksa — i dlaczegóż to podczas *tej* wojny znalazł się wśród nich tylko jeden zdrajca, kupczyk „lord Hau-Hau"? U nas zaś miliony?

Aż strach otworzyć usta. A może wszystko zależy od ustroju państwa?...

---

4. Ogólniej pisze o tym Witkowski (relacja dotyczy lat trzydziestych): zadziwiające, ale pseudo-szkodnicy — zdając sobie sprawę, że sami nie są żadnymi szkodnikami — twierdzili, że wojskowych i duchownych leją słusznie. Wojskowi, wiedząc z doświadczenia, że nie są agentami zagranicznych wywiadów i że nie chcą rozkładu Armii Czerwonej — chętnie wierzyli, że inżynierowie są szkodnikami, zaś duchowni godni są wytępienia. Człowiek sowiecki, siedząc w więzieniu myślał mniej więcej tak: ja jestem osobiście niewinny, ale do nich, do wrogów, wolno stosować wszelkie metody. Lekcja śledztwa, lekcja celi nie oświeca wcale tych ludzi; już zasądzeni — wciąż jeszcze cierpieli na ślepotę WOLI: wierzyli w rozplenione spiski, trucicielstwo, szkodnictwo, szpiegostwo.

Już pewne stare nasze przysłowie usprawiedliwiało pójście do niewoli: „Jeniec choć głos poda, a zabity milczy". Za cara Aleksego Michajłowicza, kto wycierpiał jarzmo niewoli, ten mógł dostać szlachectwo! Wymienić swoich jeńców, przygarnąć ich i otoczyć ciepłem — było sprawą publicznej troski podczas WSZYSTKICH wojen, które później nastąpiły. Każda ucieczka z niewoli sławiona była jako akt najwyższej odwagi. Przez całą pierwszą wojnę światową trwała w Rosji zbiórka na pomoc dla naszych jeńców, nasze siostry miłosierdzia przepuszczane były przez front, do Niemiec, do naszych jeńców i gazety w każdym numerze przypominały czytelnikom, że ich rodacy cierpią w okrutnej niewoli. Wszystkie narody Zachodu robiły to samo także podczas tej wojny: paczki, listy, pomoc wszelkiego rodzaju swobodnie płynęła poprzez kraje neutralne. Jeńcy z armii zachodnich nie poniżali się do wylizywania niemieckich kotłów, z niemiecką strażą rozmawiali wyniośle. Zachodnie rządy zaliczały swoim znajdującym się w niewoli żołnierzom i staż służbowy, i regularne awanse, i nawet zaległy żołd.

Jedynie żołnierz jedynej w świecie Czerwonej Armii *nigdy się nie poddaje!* — tak napisane było w regulaminie („Jewan plen nicht" — tak krzyczeli Niemcy ze swoich okopów) — ale kto mógł sobie wyobrazić cały sens tego?! Jest wojna, jest śmierć — a niewoli nie ma! — to dopiero odkrycie! To znaczy: idź na pewną śmierć, my za to jeszcze pożyjemy. Ale jeśli nawet stracisz nogi, pójdziesz do niewoli i wrócisz z niej na szczudłach (Iwanow z Leningradu, dowódca plutonu karabinów maszynowych podczas wojny fińskiej, później — więzień Ust'wymłagu) — to też cię oddamy pod sąd.

Jedynie nasz żołnierz, odtrącany przez własny kraj, najbardziej godny pogardy w oczach wrogów i sojuszników, marzył o świńskiej lurze, dostarczanej ze ścieków Trzeciej Rzeszy. Jedynie przed nim zamknięte były na głucho drzwi, gdy chciał wrócić do domu, chociaż młode dusze starały się nie wierzyć temu: jakiś tam artykuł 58-1-b i podczas wojny nie ma na jego mocy mniejszej kary, niż rozstrzelanie! Za to, że żołnierz nie chciał zginąć z niemieckiej ręki, ma teraz, po powrocie z niewoli, zginąć z ręki sowieckiej! Innym — obcy dogodzą, nam — swoi.

(Zresztą — to naiwna motywacja: za to. W żadnej epoce historii rządy nie były grupami moralistów. Nigdy nie więziły i nie skazywały na śmierć ludzi za coś. Więziły i zabijały po to, żeby się odechciało. Wszystkich tych jeńców wsadzono, rzecz jasna, nie za zdradę kraju, bowiem nawet durnie zdawali sobie sprawę, że tylko własowców można sądzić za zdradę. Wsadzono tych wszystkich po to, żeby im się

odechciało wspominać Europę w rodzinnej okolicy. Co z oczu, to i z serca...).

Tak więc, jakież to drogi wyjścia mieli rosyjscy jeńcy? Zgodną z prawem — tylko jedną: paść i pozwolić się rozdeptać. Każda trawka kruchym swoim źdźbłem stara się wybić ku górze, aby żyć. A ty — leż i daj się stratować. Mniejsza o spóźnienie — umrzyj teraz, skoroś nie mógł zginąć na polu walki, to przynajmniej nie będą cię sądzić.

Śpią żołnierze. Swoje rzekli.
Już na wieki mają rację.*

Wszystkie zaś, wszystkie inne drogi, jakie mógłbyś wytyczyć w zdesperowanej wyobraźni — wszystkie one prowadzą do konfliktu z Prawem.

Ucieczka do kraju — przez druty obozowe, przez pół Niemiec, potem przez Polskę, albo przez Bałkany — prowadziła prosto do SMIERSZ'a i na ławę oskarżonych: jakto, udało ci się uciec, gdy inni nie mogli? Coś tu nie gra! Gadaj, gadzie, z jakim zleceniem cię tu przysłali? (Michał Burnacew, Paweł Bondarenko i tylu, tylu innych[5]).

Ucieczka do zachodnich partyzantów, do oddziałów Ruchu Oporu tylko odsuwa chwilę, gdy miałeś stanąć przed sądem i otrzymać godziwą karę; ale ona też czyniła z ciebie element jeszcze bardziej niebezpieczny: żyjąc na swobodzie wśród Europejczyków mogłeś zarazić się od nich szkodliwymi nastrojami. Jeżeliś ponadto nie bał się uciekać, a później — walczyć, to jesteś widać człowiekiem zdecydowanym, a więc podwójnie niebezpiecznym dla kraju.

---

* A. Twardowski: „Wasyli Tiorkin".

5. W naszej krytyce pisze się z nawyku, że Szołochow w swoim nieśmiertelnym opowiadaniu „Los człowieka" dał wyraz „gorzkiej prawdzie" „o tej stronie naszego życia", że dokonał „odkrycia problemu". Musimy stwierdzić, że w tym — na ogół bardzo słabym — opowiadaniu, gdzie stronice poświęcone wojnie są blade i nieprzekonywające (autor najwidoczniej nie widział z bliska ostatniej wojny), gdzie portrety Niemców są anegdotycznie standartowe i kiczowate (i tylko żona bohatera jest postacią udaną, ale to wykapana chrześcijanka z powieści Dostojewskiego) — otóż w tym opowiadaniu o losie jeńca — PRAWDZIWY PROBLEM JEST UKRYTY LUB SFAŁSZOWANY.

1) Wybrany został najbardziej niesprzeczny z istniejącym prawem wypadek — bohater traci przytomność, przez co sprawa staje się bezkonfliktowa i cała ostrość jej zostaje pominięta (A jeśliby poszedł do niewoli bez utraty zmysłów, jak to było w większości wypadków — to co wtedy?).

2) Za najważniejszy problem uznaje autor nie to, że ojczyzna nas zosta-

Starać się przetrwać w obozie kosztem swoich rodaków i towarzyszy? Stać się obozowym policjantem, nadzorcą, pomocnikiem Niemców i śmierci? Stalinowskie prawo nie karało za to surowiej, niż za udział w siłach Ruchu Oporu — ten sam artykuł, ten sam wymiar kary (i można domyśleć się przyczyny: t a k i człowiek jest mniej niebezpieczny!) Ale prawo moralne, niewiadomym sposobem nam zaszczepione, zabraniało tej drogi wszystkim, prócz nikczemników.

Odrzucając te cztery skrajne wyjścia, nierealne, albo nie do przyjęcia, miało się jeszcze piąte: czekać na werbowników, czekać, czy cię gdzieś nie wezmą.

Czasami na szczęście, przyjeżdżali pełnomocnicy z okręgów rolniczych i werbowali parobków do bauerów, albo z różnych firm — i wyławiali sobie inżynierów i robotników. Stalinowski, najwyższy imperatyw nakazywał także tutaj zaprzeć się swojego inżynierskiego fachu, ukryć, że jesteś wykwalifikowanym robotnikiem. Jako konstruktor, czy elektryk — mogłeś zachować patriotyczną czystość tylko wtedy, gdy godziłeś się zostać w łagrze, żeby kopać ziemię, gnić żywcem i grzebać w śmietnisku. W takim wypadku, z a n o r m a l n ą zdradę kraju z dumnie podniesioną głową mogłeś dostać dziesięć lat i pięć k a g a ń c a*. Natomiast za zdradę kraju, obciążoną pracą na rzecz wroga, przy tym jeszcze — w swoim fachu — spadała na twoją pochyloną głowę kara dziesięciu lat z dodatkiem pięciu lat kagańca!

Była to właśnie ta jubilerska subtelność hipopotama, którą Stalin tak się odznaczał!

Czasem przyjeżdżali werbownicy zupełnie innego rodzaju — Rosjanie, zwykle niedawni czerwoni politrucy; białogwardziści do tej roboty się nie brali. Werbownicy zwoływali w obozie wiec, obrzucali wymysłami władzę sowiecką — i wzywali do zapisywania się do szkół szpiegowskich, albo do oddziałów własowskich.

---

wiła na łasce losu, że wyrzekła się i przeklęła (o tym w ogóle Szołochow nawet się nie zająknie) a to tylko, że tam pośród naszych byli również zdrajcy. (Ale jeśli to ma być najważniejsze, to poskrob lepiej, człowieku, i postaraj się objaśnić, skąd wzięli się oni w ćwierć stulecia po rewolucji, mającej poparcie całego ludu?).

3) Wymyślony został fantastyczno-sensacyjny sposób ucieczki z obozu, z kupą okoliczności specjalnie naciąganych po to, by ominąć obowiązkową, nieuchronną procedurę powitania wracających z niewoli: SMIERSZ — Obóz Kontrolno-Filtracyjny. Sokołowa nie tylko nie pakują za druty, jak każe instrukcja, ale — to ci heca! — pułkownik daje mu jeszcze miesiąc urlopu! (to znaczy — możność swobodnego wykonania z l e c e ń faszystowskiego wywiadu? No to pułkownika też zaraz t a m ż e wtarabanić!).

* Pozbawienie praw.

Kto nie głodował tak jak nasi jeńcy, nie żarł nietoperzy przylatujących do obozu, nie warzył sobie polewki ze starych zelówek, ten chyba nie zrozumie, jak niesłychanej, materialnej mocy nabiera każdy apel, każdy argument jeśli wspiera go dymiąca za bramą obozu kuchnia polowa i gdy każdy zgłaszający się karmiony jest natychmiast do syta kaszą — choćby raz! choćby jeszcze tylko ten jeden raz w życiu!

Ale prócz parującej kaszy w apelach werbownika był jeszcze miraż wolności i prawdziwego życia, i mniejsza o to, dokąd ludzi werbował! Do batalionów Własowa. Do kozackich pułków Krasnowa. Do batalionów pracy, betonujących przyszły Wał Atlantycki. Na fiordy Norwegii. Na pustynie Libii. Do „Hiwi" — Hilfswillige — na dobrowolnych pomocników Wehrmachtu (12 Hiwi było w każdej niemieckiej kompanii). Wreszcie — do oddziałów wiejskich policajów, żeby ścigać i wyłapywać partyzantów (wielu z tych ostatnich również Ojczyzna się wyrzeknie). Dokądkolwiek bądź, gdziekolwiek zechcą — byle by tylko nie zdychać tu, jak poniechane bydlę.

Człowieka, którego doprowadziliśmy do tego, że musi żreć nietoperze — m y ś m y s a m i zwolnili z wszelkich zobowiązań, nie tylko wobec ojczyzny, lecz także wobec Ludzkości!

I ci nasi chłopcy, którzy z obozów jenieckich szli na zew werbownika, żeby zostać tymczasowymi szpiegami, jeszcze nie wyciągali skrajnych wniosków ze swego opuszczenia, jeszcze postępowali z maksymalnym patriotyzmem. Widzieli w tym najprostszy sposób wyrwania się z obozu. Wszyscy — prawie bez wyjątku — wyobrażali sobie, że gdy tylko Niemcy przerzucą ich na sowiecką stronę — będą mogli natychmiast zameldować się u swoich władz, przekazać swoje aparaty i instrukcje, razem z dobrodusznym dowództwem pośmiać się nad głupimi Niemcami, wdziać sowieckie mundury i żwawo wrócić do bojowych szeregów. Powiedzcież — CZY PO LUDZKU MOŻNA BYŁO SPODZIEWAĆ SIĘ CZEGO INNEGO?

To byli prości chłopcy, wielu z nich widziałem — o poczciwych, krągłych twarzach, mówiący miłą wiacką albo włodzimirską gwarą. Dziarsko szli na szpiegowskie kursy, mając za sobą po cztery — pięć klas wiejskiej szkoły i żadnego doświadczenia z busolą i mapami.

Tak oto i tylko tak wyobrażali sobie oni swoją drogę wyjścia. Jak zatem głupie i kosztowne dla niemieckiego dowództwa było to całe przedsięwzięcie. A jednak — nie! Hitler wiedział w jaką kartę wyjść znając swego brata — samodzierżcę! Szpiegomania była jednym z naczelnych rysów stalinowskiego obłędu. Stalinowi wydawało się, że jego kraj roi się od szpiegów. Wszyscy

Chińczycy, mieszkający na Dalekim Wschodzie dostali szpiegowski paragraf 58-6 i wtrąceni zostali do północnych obozów na rychłe wymarcie. Ten sam los czekał Chińczyków — uczestników wojny domowej, jeśli nie zdołali zawczasu umknąć. Kilkaset tysięcy Koreańczyków zesłano do Kazachstanu, bo też byli o to samo podejrzani. Każdy obywatel sowiecki, który kiedykolwiek był za granicą, który zwolnił kroku przechodząc obok hotelu „Inturist", który uwieczniony został na fotografii obok cudzoziemca, albo sam sfotografował jakiś budynek miejski (Złote Wrota w mieście Władimir) — oskarżany bywał o to samo. Kto za długo się gapił na tory kolejowe, na wiadukt, na komin fabryczny — oskarżany był o to samo. Wszyscy, tak liczni, komuniści zagraniczni, którzy zasiedzieli się w Związku Sowieckim, wszyscy wybitniejsi i pomniejsi kominternowcy, bez wyjątku, bez różnic indywidualnych — oskarżani byli przede wszystkim o szpiegostwo[6].

I strzelcom łotewskim, najwierniejszym bagnetom pierwszych lat rewolucji — wsadzanym pod rząd w 1937 roku, też zarzucano szpiegostwo! Stalin jakby odwrócił i zwielokrotnił słynną dewizę kokietki Katarzyny: wolał zgnoić dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu, niż przeoczyć choćby jednego prawdziwego szpiega. Jak więc można było zaufać rosyjskim żołnierzom, którzy naprawdę byli w rękach niemieckiego wywiadu?! I co to za ulga dla organów z MGB, że ci, walący tysiącami z Europy żołnierze, wcale nie ukrywają, że są dobrowolnie zwerbowanymi szpiegami! Co za uderzające potwierdzenia diagnozy Mędrca nad Mędrcami! Tuście nam, tuście nam, durnie! Paragraf i nagrodę już dawno dla was mamy!

Ale tu czas zapytać: czy byli tacy, którzy nie poszli jednak na żaden lep; i nigdzie u Niemców nie pracowali w swoim fachu; i nie byli obozowymi ordenerami; i całą wojnę przesiedzieli w obozie jeńców, nie wytykając nosa — a jednak nie zmarli, choć to prawie nie do wiary?! Na przykład — majstrując zapalniczki z odpadków metalowych, jak inżynierowie-elektrycy, Mikołaj Andriejewicz Siemionow i Fiodor Fiodorowicz Karpow, którzy w ten sposób sobie dorabiali. Czyżby nawet im Ojczyzna nie wybaczyła pójścia do niewoli?

Otóż nie, nie wybaczyła! Zarówno z Siemionowem jak i z Karpowem poznaliśmy się w Butyrkach, kiedy już dostali oni swoje

6. Józef Tito ledwie uniknął tego losu. A Popow i Tanew, bohaterowie procesu lipskiego, oskarżeni wespół z Dymitrowem, też złapali po wyroku. Dla samego Dymitrowa Stalin przewidział co innego.

regularne... ile? domyślny czytelnik już wie: dziesięć plus pięć kagańca. Będąc błyskotliwymi fachowcami ODRZUCILI oni jednak niemieckie propozycje, by pracować w swojej dziedzinie. A w 41-ym roku młody lejtnant Siemionow poszedł na front OCHOTNICZO. A w 42-gim roku miał jeszcze u pasa pustą pochwę zamiast pistoletu (śledczy nie mógł zrozumieć, dlaczego Siemionow nie zastrzelił się z tej kabury). A z niewoli uciekał on TRZYKROTNIE. A w 45-tym roku, po wyzwoleniu z obozu koncentracyjnego, posłano go do karnej kompanii, wsadzono na skorupę czołgu (desant czołgowy), wziął w ten sposób udział w SZTURMIE BERLINA, otrzymał order Czerwonej Gwiazdy — i dopiero wtedy został ostatecznie wzięty pod klucz i dostał wyrok. Oto jest zwierciadło naszej Nemezis.

Mało który z naszych jeńców przekroczył sowiecką granicę jako wolny człowiek, a jeśli w rozgardiaszu zdołał się prześliznąć, to wzięty był później — choćby w latach 1946-47. Jednych brano na punktach spędu w Niemczech. Innych jakby nie zamykano od razu, ale od granicy byli oni już wiezieni w towarowych wagonach pod konwojem — do jednego z licznych, rozrzuconych po całym kraju Obozów Kontrolno-Filtracyjnych. Obozy te niczym nie różniły się od zwykłych, chyba tym, że ich mieszkańcy jeszcze nie mieli wyroków i powinni byli otrzymać je dopiero w obozie. Wszystkie te obozy mieściły się też przy jakimś zakładzie produkcyjnym — przy fabryce, kopalni, budowie — i byli jeńcy, oglądając kraj przez takie same druty, przez jakie oglądali Niemcy, od pierwszego dnia mogli włączyć się w 10-ciogodzinny dzień pracy. Po fajrancie — wieczorami i nocami — poddanych kontroli żołnierzy przesłuchiwano i po to w każdym obozie była bardzo znaczna liczba oficerów operacyjnych i śledczych. Jak zwykle śledztwo zaczynało się od twierdzenia, że na pewno jesteś winien. Ty zaś, nie wychodząc za druty, powinieneś był wykazać, że nie jesteś winien. Mogłeś w tym celu jedynie powoływać się na świadków — innych jeńców, ci zaś mogli być wcale nie w tym samym obozie, tylko za siódmą górą — i oto agenci operacyjni z Kemerowa posyłali kwestionariusze agentom z Solikamska, ci badali świadków — posyłali odpowiedzi i nowe pytania, po czym byłeś znów przesłuchiwany — z kolei, jako świadek. Wprawdzie na wyjaśnieniach mijał rok, czy dwa — ale przecież kraj nie tracił na tym nic: toć co dzień wydobywałeś swoją porcję węgla. I jeżeli ktoś ze świadków złożył na twój temat jakieś niewyraźne zeznanie, albo jeśli twoi świadkowie już umarli — to mogłeś mieć pretensje tylko do siebie samego — tu już trafiałeś do rubryki zdrajców kraju i sesja wyjazdowa trybunału wrzepiała ci twoją dychę. Jeśli zaś w ża-

den sposób nie udawało się zaprzeczyć, żeś jednak Niemcom tak jakby nie pomagał, a co najważniejsze — nie zdążyłeś zobaczyć na oczy Amerykan i Anglików (jeśli zostałeś wyzwolony nie przez nas, tylko przez NICH — była to okoliczność bardzo obciążająca) — wówczas oficerowie operacyjni decydowali, jaki stopień izolacji ci się należy. Niektórym nakazywano zmianę miejsca zamieszkania (to zawsze burzy kontakty danego osobnika z jego otoczeniem, czyni go mniej odpornym). Innym wspaniałomyślnie proponowali pracę w WOCHR, to znaczy w zmilitaryzowanej ochronie obozów: zachowując formalnie wolność, człowiek traci jednak swobodę ruchów i osiedla się w głuszy. Trzecim zaś ściskali prawicę i — chociaż za samo pójście do niewoli taki człowiek właściwie zasługiwał na rozstrzelanie — humanitarnie pozwalali mu jechać do domu. Ale taki jeden cieszy się trochę za wcześnie! Wyprzedzając jego własny przyjazd, tajnymi kanałami specoddziałów poleciało już jego *dossier* do ojczystego grodu. Tacy ludzie i tak na zawsze już zaliczeni byli do n i e n a s z y c h i przy okazji najbliższej fali masowych aresztowań, na przykład w latach 48-49, szli pod klucz, choćby na mocy paragrafu o agitacji, albo jakiegoś innego odpowiedniego; siedziałem również z takimi.

„Ech, gdybym to ja wiedział!..." — to była najpopularniejsza piosenka cel więziennych tej wiosny. Gdybym to ja wiedział, że tak będę powitany! Że tak mnie oszukają! Że taki los mnie czeka! — czy w ogóle wracałbym do kraju? Za nic! Przedarłbym się do Szwajcarii, do Francji! Uciekłbym za morze! za trzy oceany[7]!

Co roztropniejsi korygowali: omyłka popełniona została wcześniej! Nie trzeba było w 41-szym roku pchać się na pierwszą linię. Gdyby człowiek wiedział, to by w domu siedział.

Trzeba było urządzić się na tyłach od samego początku, byłby spokój, teraz oni są bohaterami. A już najlepiej, powiadali, było

---

7. Zresztą, gdy jeńcy w i e d z i e l i, też postępowali często tak samo. Wasyli Aleksandrow znalazł się w niewoli w Finlandii. Odnalazł go tam pewien stary petersburski kupiec, sprawdził grzecznie personalia i powiedział: „Ojczulkowi pańskiemu winien byłem od 1917 roku znaczną sumę, nie miałem jakoś okazji do zwrotu. Raczy więc pan ją podjąć!" Stary dług — to jakby znalezione! Aleksandrow po wojnie znalazł sobie miejsce w kołach rosyjskiej emigracji, tam też wyszukał narzeczoną, którą pokochał naprawdę. Przyszły teść dał mu w celach pedagogicznych do przeczytania roczniki *Prawdy* — od 1918 do 1941, bez skreśleń, jak leci. Jednocześnie opowiadał mu historię p o t o k ó w, mniej więcej tak, jak tu, w rozdziale 2-gim. A jednak... Aleksandrow cisnął w diabły i narzeczoną, i majątek, wrócił do ZSSR i dostał, jak nietrudno zgadnąć, d y c h ę i p i ą t k ę na p r z y t a r c i e r o g ó w. W 1953 roku w Obozie Specjalnym był szczęśliwy, mogąc z a c z e p i ć się jako brygadier...

zostać dezerterem: i skóra cała, to już gwarantowane, i d y c h y im nie dają, tylko osiem, siedem lat, a w obozie żadnej funkcji człowiekowi nie odmówią — dezerter to przecież nie wróg, nie zdrajca, nie polityczny, to swój człowiek, p o s p o l i t a k. Odpowiadano im zapalczywie, że za to dezerterzy będą musieli wszystkie te lata odsiedzieć i zgnić w obozie, bo nikt im nie wybaczy. A dla nas — amnestia niedługo będzie, wszystkich nas wypuszczą. (Nie znali wtedy jeszcze głównego dezerterskiego przywileju!...).

Ci zaś, którzy wpadli z tego samego 10-tego paragrafu, wzięci z własnego mieszkania, albo z szeregów armii — ci często-gęsto nawet zazdrościli: diabli wiedzą! za t e s a m e p i e n i ą d z e (takie same dziesięć lat) ileż te chłopaki ciekawych rzeczy widziały, gdzie ich tylko nie było! A my tak już zdechniemy w obozie, nie zobaczywszy nic, prócz swoich śmierdzących schodów. (Zresztą, ci z artykułu 58-10 ledwie ukrywali swoje radosne przeczucie, że właśnie oni zostaną amnestionowani wcześniej, niż wszyscy inni!).

Nie wzdychali „ech, gdybym to ja wiedział" (bo wiedzieli, na co idą), nie czekali ani zmiłowania, ani amnestii — tylko własowcy.

◆

Długo już przed naszym nieoczekiwanym spotkaniem na więziennych narach wiedziałem coś o nich, nie mogąc ich zrozumieć.

Na początku to były zmoczone wiele razy słotą i wiele razy wysuszone słońcem ulotki, zawieruszone w wysokich, trzeci rok niekoszonych trawach przyfrontowego pasa pod Orłem. Mowa w nich była o stworzeniu w grudniu 1942 roku jakiegoś smoleńskiego „komitetu rosyjskiego" — już to pretendującego do roli rosyjskiego rządu, już to nie. Widać nie zdecydowali się jeszcze sami Niemcy. Dlatego to ten niezdecydowany komunikat wydał się w ogóle blagą. Na ulotkach było zdjęcie generała Własowa i jego biografia. Nieostra fotografia przedstawiała, jak się zdawało, facjatę sytą i pewną siebie, jak u wszystkich naszych generałów nowej formacji. (Mówiono mi później, że to nie było tak, że Własow przypominał z powierzchowności raczej zachodniego generała: wysoki, szczupły, w rogowych okularach). Z biografii mogło wynikać, że ta pewność siebie miała jakieś przyczyny: nic mu nie zaszkodziło, że służył jako doradca wojskowy u Czank Kai-szeka. Pierwszy wstrząs w jego życiu miał miejsce dopiero wtedy, kiedy jego 2-gą armię szturmową wyższe dowódz-

two z całą nieudolnością zostawiło własnemu losowi, każąc jej zdychać z głodu w okrążeniu. Ale jakim zdaniom tej biografii w ogóle można było wierzyć[8]?

---

8. O ile to da się teraz ustalić, Andriej Andriejewicz Własow z powodu wojny nie skończył seminarium duchownego i powołany został do Czerwonej Armii w 1919. Jako szeregowiec brał udział w kampaniach przeciw Denikinowi i Wranglowi. Na południowym froncie dostał awans na dowódcę plutonu, później — kompanii. W latach 20-tych ukończył kursy „Wystrzał"; w 1939 roku wstąpił do WKP(b); w 1936 roku, już jako dowódca pułku, wysłany został do Chin w charakterze doradcy wojskowego. Nie związany, jak widać, z wyższymi kręgami partyjnymi i sztabowymi, siłą rzeczy znalazł się w tym stalinowskim „drugim rzucie", który miał zastąpić wyrżniętych komandarmów, komdywów i kombrygów. W 1938 roku dostał dywizję, a w 1940 roku, przy pierwszych nominacjach na „nowe" (stare) stopnie wojskowe, został generałem-majorem. Można wnieść dalej, że wśród generałów nowego rzutu — w znacznej części tępych i niedoświadczonych — Własow był jednym z najzdolniejszych. Jego 99-ta dywizja strzelecka, którą ćwiczył i szkolił od letnich miesięcy 1940 roku, nie została zaskoczona znienacka przez napad hitlerowski, przeciwnie: podczas gdy trwał nasz generalny odwrót na wschód, dywizja ta posunęła się na zachód, odbiła Przemyśl i sześć dni go trzymała w ręku. Szybko przeskoczywszy stanowisko dowódcy korpusu, generał Własow pod Kijowem w 1941 roku dowodził już 37-mą armią. Z ogromnego worka kijowskiego wyrwał się on w grudniu. Pod Moskwą dowodził 20-tą armią, której udany kontratak przy obronie stolicy (odbicie Sołnecznogorska) wymieniony jest w komunikacie Sowinformbiura z 12 grudnia (kolejność nazwisk generalskich jest następująca: Żukow, Leluszenko, Kuzniecow, Własow, Rokossowski, Goworow...). Z typową dla tych miesięcy szybkością zdążył zostać zastępcą dowódcy frontu Wołchowskiego (Mereckowa), otrzymać dowództwo 2-giej armii szturmowej i na jej czele zacząć 7 stycznia 1942 roku próbę przełamania blokady oblężonego Leningradu — drogą natarcia przez rzekę Wołchow na północny zachód. Operacja w zamyśle miała być kombinowana, z kilku stron, także ze strony Leningradu, powinny były w niej wziąć udział w umówionych terminach także 54-ta, 4-ta i 52-ga armia. Ale te trzy armie albo wcale się nie ruszyły z miejsca, na skutek niewystarczającego przygotowania działań, albo szybko się zatrzymały (u nas nie umiano jeszcze tak złożonych operacji planować, a zwłaszcza zapewnić uczestniczącym wojskom zaopatrzenia). — Druga zaś armia szturmowa atakowała dobrze i na początku lutego 1942 roku okazało się, że już się wbiła na 75 kilometrów w głąb niemieckich pozycji! I w takiej chwili nawet dla niej stalinowskie, awanturnicze dowództwo naczelne nie znalazło ani uzupełnień, ani amunicji. (Z jakimiż to rezerwami zaczynali natarcie!). Tak więc Leningrad dalej miał zdychać w pętli blokady, nie znając nawet szczegółów tego, co działo się pod Nowogrodem. W marcu jeszcze trzymały się zimowe szlaki, ale od kwietnia rozkisły wszystkie te błotniste okolice, które 2-ga armia przeszła i nie było już więcej żadnych dróg zaopatrzenia, a brak było też pomocy z powietrza. Armia znalazła się BEZ PROWIANTU — a jednocześnie Własowowi ODMÓWIONO ZEZWOLENIA NA ODWRÓT! Po dwumiesięcznym głodzie i morze (żołnierze tej armii opowiadali mi potem w butyrskich celach, że zdechłym, gnijącym koniom zestrugiwali kopyta, gotowali te rogowe wióry i jedli) — 14 maja zaczęło się niemieckie natarcie koncentryczne przeciw otoczonej armii (a w powietrzu, ma się rozumieć, tylko niemieckie samoloty!). I dopiero wtedy, jak na urągowisko, nadeszło pozwolenie na cofnięcie się za Wołchow...

Patrząc na tę fotografię nie sposób było uwierzyć, że to ktoś wybitny, że to człowiek od dawna już i głęboko bolejący nad Rosją. A jeszcze te ulotki, zawiadamiające o powstaniu ROA *(Russkaja Oswoboditielnaja Armija)* nie tylko napisane były złą ruszczyzną, lecz nadto trąciły obcym zapaszkiem, jakby bez zainteresowania dla samej sprawy, za to z ordynarną chełpliwością tam, gdzie była mowa o dobrej kaszy i o wesołym nastroju wśród ich żołnierzy. Nie chciało się wierzyć nawet w istnienie tej armii, a jeśli rzeczywiście istniała — to o jakim wesołym nastroju mogła być mowa?... Tak łgać mógł właśnie tylko Niemiec[9].

I jeszcze trwały — do połowy czerwca! te beznadziejne próby przedarcia się...

Tak (powtarzając jakby losy rosyjskiej 2-giej Armii generała Samsonowa, tak samo bezmyślnie wrzuconej do kotła) zginęła 2-ga Szturmowa Własowa.

Pewno, że tu była zdrada! Pewno, że było tu egoistyczne, bezwzględne zaprzaństwo. Ale — ze strony Stalina. Zdrada — to niekoniecznie zaprzedanie się za pieniądze. Ignorancja i niechlujstwo w trakcie przygotowań, nieudolność i tchórzostwo na początku działań, bezmyślne poświęcenie całych armii i korpusów, byle tylko usprawiedliwić marszałkowskie szlify — jakiej jeszcze gorszej zdrady może dopuścić się naczelny dowódca?

W przeciwieństwie do Samsonowa, Własow nie popełnił samobójstwa. Po rozbiciu armii długo jeszcze tułał się po lasach i bagnach i poddał się 6 lipca w rejonie Siwerskiej. Odwieziony został do kwatery sztabu niemieckiego pod Kętrzynem, gdzie już było kilku wziętych do niewoli generałów oraz komisarz brygady G. N. Żylenkow (dawniej — ceniony działacz partyjny, sekretarz jednego z moskiewskich komitetów rejonowych partii). Już zdążyli wyznać, że nie zgadzają się z polityką stalinowskiego kierownictwa. Brak było jednak wybitnej postaci. Stał się nią Własow.

9. W istocie żadnej ROA nie było prawie do samego końca wojny. Sama ta nazwa i herb na rękawie były wymyślone przez Niemca z Rosji, kapitana Strick-Strickfelda z *Ostpropagandaabteilung*. (Niewysokiej rangi, miał jednak wpływy i starał się przekonać hitlerowską górę o potrzebie niemiecko-rosyjskiego sojuszu, Rosjan zaś namówić do współpracy z Reichem. Czcze starania! Obie strony szukały jedynie okazji, by wykorzystać się i oszukać wzajemnie. Ale Niemcy mieli do tego warunki, górowali, podczas gdy oficerowie własowscy — tylko fantazję ludzi, tkwiących na dnie przepaści). Armii takiej nie było zatem, ale antysowieckie formacje złożone z niedawnych sowieckich obywateli, zaczęto tworzyć od pierwszych miesięcy wojny. Pierwsi poparli Niemców Litwini (nieźle im dosoliliśmy w ciągu roku!); następnie — oddziały estońskie; jesienią 1941 roku pojawiły się kompanie strażnicze na Białorusi; a na Krymie — tatarski batalion. (I to wszystkośmy posiali sami! Na przykład na Krymie — nasza bezmyślna, dwudziestoletnia nagonka przeciw meczetom, zamykanie i burzenie ich — podczas gdy zaborcza lecz dalekowzroczna Katarzyna asygnowała skarbowe pieniądze na budowę i rozbudowę krymskich meczetów. Także hitlerowcy po zdobyciu półwyspu domyślili się, żeby je wziąć w obronę). Później pojawiły się po stronie Niemców jednostki kaukaskie i oddziały kozackie (w sumie — więcej niż korpus kawaleryjski). W czasie zaś pierwszej zimy wojennej zaczęto formować plutony i kompanie ochotników-Rosjan, ale do oddziałów rosyjskich niemieckie dowództwo miało mało zaufania, feldfeblami i lejt-

Że Rosjanie naprawdę są po drugiej stronie i że biją się zacieklej od wszystkich esesowców — dowiedzieliśmy się rychło. W lipcu 1943 roku pluton Rosjan w niemieckich mundurach bronił na przykład przysiółka Sobakinskije Wysiełki. Walczyli z taką zaciętością, jakby te Wysiełki sami zbudowali. Jednego z nich zapędzono do piwnicy, wrzucono tam granaty ręczne, zrobiła się cisza. Ale zaledwie ktoś chciał zejść po niego — znów zaczynał szyć z automatu. Dopiero kiedy ciśnięto do piwnicy granat przeciwczołgowy, można było sprawdzić, co się tam właściwie działo: w piwnicy miał on jeszcze jamę i w niej się chował przed wybuchami granatów ręcznych. Trzeba wyobrazić sobie stopień ogłuszenia, kontuzji i beznadziejności, z jakim kontynuował walkę.

Bronili oni na przykład także niezdobytego przyczółka mostowego nad Dnieprem na południe od Turska, gdzie przez dwa tygodnie bito się bez rozstrzygnięcia o kilkaset metrów terenu; i walki i mrozy były lute (grudzień 43-go roku). W czasie tych nużących, wielodniowych, zimowych walk i my, i oni nosiliśmy na szynelach i czapkach białe, maskujące drelichy — i pod Małymi Kozłowiczami, jak mi opowiadano, zdarzył się taki wypadek. Przebiegając między sosnami, pogubiło się i zapadło obok siebie w śnieg dwóch żołnierzy, strzelając ciągle, choć nie wiedzieli już dobrze — do kogo i w jakim kierunku. Automaty mieli obaj sowieckie. Dzielą się amunicją, czasem jeden drugiego pochwali, czasem zaklnie, bo smar w automacie zamarza. Nareszcie zacięło się całkiem, doszli do wniosku, że warto popalić, zrzucili z głów białe kaptury — i nagle zobaczyli wtedy orła i gwiazdę na

---

nantami byli Niemcy (Rosjanie mogli być tylko podoficerami), niemieckie były też komendy *(Achtung!, Halt!* i tak dalej). Poważniejszymi i już czysto rosyjskimi formacjami były: brygada z Łoktia w okręgu Briańskim — listopad 1941 roku (miejscowy wykładowca budowy maszyn K. P. Woskobojnikow proklamował utworzenie „narodowo-pracowniczej partii Rosji", wydał manifest do obywateli kraju i wywiesił sztandar ze św. Jerzym Zwycięzcą); jednostka formowana w osadzie Osintorf pod Orłem w początkach 1942 roku przez rosyjskich emigrantów(tylko mała cząstka rosyjskiej emigracji solidaryzowała się z tym ruchem, ale nawet ona nie ukrywała antyniemieckiego nastawienia, dopuściła do wielu ucieczek na sowiecką stronę, a nawet na przejście batalionu w pełnym składzie, po czym emigranci zostali przez Niemców odwołani); ponadto — oddziały Gila formowane pod Lublinem od lata 1942 roku (W. W. Gil, członek WKP/b), podobno nawet Żyd, nie tylko ocalał w niewoli, ale — przy poparciu innych jeńców — został starostą obozu pod Suwałkami i zaproponował Niemcom utworzenie „bojowego związku rosyjskich nacjonalistów").

To wszystko jednak nie było jeszcze żadną ROA i nie miało nic wspólnego z Własowem. Kompanie, dowodzone przez Niemców, były tytułem próby posłane na rosyjski front, a rosyjskie jednostki rzucono do działań przeciwko briańskim, orszańskim i polskim partyzantom.

swoich czapkach. Skoczyli na równe nogi! Automaty nie chcą strzelać! Chwycili za lufy i tłukąc nimi, jak kłonicami, zaczęli uganiać, się za sobą: to już nie polityka, nie ojczyzna — macierz, to zwyczajny, jaskiniowy strach: ja go oszczędzę, a on mnie tymczasem zabije.

W Prusach Wschodnich, kilka kroków ode mnie prowadzono skrajem szosy trzech wziętych do niewoli własowców, a szosą dudniła sobie trzydziestka czwórka. Nagle jeden z jeńców wyrwał się, skoczył i jaskółką rzucił się pod czołg. Czołg usiłował go wyminąć, ale mimo to przygniótł człowieka skrajem gąsienicy. Przejechany jeszcze się zwijał w konwulsjach, czerwona piana wystąpiła mu na wargi. Można go było zrozumieć! Wolał żołnierską śmierć od powieszenia w katowni.

Nie dano im wyboru. Nie mogli bić się inaczej. Nie mieli sposobu, aby tak walczyć by jakoś bardziej się szczędzić. Jeżeli już „czyste" pójście do niewoli uznawane było u nas za niewybaczalny akt zdrady kraju, to co mówić o tych, którzy wzięli broń wroga do ręki? Zachowanie się tych ludzi nasza propaganda ze zwykłym prostactwem objaśniała: 1) zdradzieckim charakterem (biologia? mieli to we krwi?) i 2) tchórzostwem. No, wszystko, tylko nie tchórzostwo! Tchórz rozgląda się za pobłażliwością, litością. Do „własowskich" zaś oddziałów Wehrmachtu mogła tych ludzi zaprowadzić tylko bezgraniczna desperacja, tylko nieugaszona nienawiść do sowieckiego reżymu, tylko pogarda dla własnego bezpieczeństwa. Wiedzieli bowiem, że tu nie mignie nawet cień litości! W naszej niewoli ich rozstrzeliwano, zaledwie tylko z ust jeńca padło pierwsze wyraźniejsze słowo rosyjskie. W rosyjskiej niewoli, tak samo jak w niemieckiej, najgorzej było Rosjanom.

Ta wojna w ogóle nam uświadomiła, że najgorzej na świecie jest być Rosjaninem.

Wspominam ze wstydem, jak przy penetracji (to znaczy — grabieniu) bobrujskiego kotła szedłem szosą wśród rozbitych i powywracanych niemieckich samochodów i rozrzuconych dokoła zdobycznych przepychów — i nagle z zapadliny, gdzie ugrzęzły zatopione wozy i auta, brodziły zagubione niemieckie perszerony i dymiły w ogniskach te same zdobyczne cuda — usłyszałem krzyk o pomoc: „Panie kapitanie! Panie kapitanie!" — tak wołał po rosyjsku, wzywając ratunku piechur w niemieckich spodniach, powyżej pasa obnażony, cały już pokrwawiony — na twarzy, piersiach, barkach, plecach — a sierżant ze Specoddziału, jadąc wierzchem, poganiał go przed sobą razami knuta i napieraniem konia. Batożył go po gołym ciele, nie dając mu obrócić głowy,

nie pozwalając wzywać ratunku, poganiał go i siekł, aż występowały na skórze coraz nowe czerwone pręgi.

To nie była wojna punicka, ani grecko-perska! Każdy mający władzę oficer każdej armii na świecie miał obowiązek położyć kres bezprawnemu dręczeniu. Każdej, owszem, ale — czy naszej?... Przy srogości i bezwzględności naszych kryteriów podziału ludzi? (Jeżeli n i e z n a m i, jeżeli n i e n a s z, itd. — to godzien jest tylko pogardy i unicestwienia). Tak więc BAŁEM SIĘ bronić własowca przed sierżantem ze Specoddziału, NIC NIE POWIEDZIAŁEM I NIE UCZYNIŁEM, PRZESZEDŁEM OBOK TAK, JAKBYM NIE SŁYSZAŁ — żeby tylko powszechnie znana zaraza nie przerzuciła się na mnie (a jeżeli ten własowiec to jakiś wyjątkowy łotr?... a jeżeli ten żandarm coś sobie o mnie pomyśli?... a jeżeli?...). Albo jeszcze prościej — kto zna ówczesne stosunki w armii, niech powie, czy ten podoficer ze Specoddziału posłuchałby w ogóle kapitana-liniowca?

I z dzikim wyrazem twarzy żandarm dalej batożył i poganiał bezbronnego człowieka, jak bydlę.

Ten obraz na zawsze został mi w pamięci. To przecież — prawie symbol Archipelagu, można by go dać na okładkę książki.

Wszystko to oni przeczuwali, wiedzieli z góry — a jednak naszywali sobie na lewy rękaw niemieckiego munduru tarczkę z biało-niebiesko-czerwoną wypustką, krzyżem świętego Andrzeja i literami ROA[10]. Mieszkańcy okupowanych okręgów gardzili

---

10. Skrót był znany coraz szerzej i chociaż żadnej armii dalej nie było, wszystkie oddziały były rozrzucone, podporządkowane rozmaitym sztabom, a generałowie-własowcy grali w preferansa w Dahlemdorfie pod Berlinem. Brygada Woskobojnikowa, która po jego śmierci przeszła pod dowództwo Kamińskiego, liczyła w 1942 roku 5 pułków piechoty, po 2,5-3 tysiące ludzi w każdym, z dodatkiem działonów artyleryjskich, batalion broni pancernej w sile dwóch tuzinów sowieckich czołgów i dywizjon artylerii z trzema dziesiątkami dział. (Dowódcami byli oficerowie — byli jeńcy, szeregowcami byli w większości miejscowi ochotnicy spod Brańska). Kazano zaś tej brygadzie ochraniać rejon przed partyzantami... W tym samym celu latem 1942 roku brygada Gila-Błażewicza przerzucona została z Polski (gdzie wsławiła się okrócieństwem wobec Polaków i Żydów) pod Mohylów. W początkach roku 1943 jej dowództwo odmówiło uznania zwierzchnictwa Własowa, zarzucając, że w opublikowanym przez niego programie nie ma mowy o „walce z międzynarodowym Żydostwem i wysługującymi się Żydom komisarzami". I oto właśnie oni, ta sama brygada („rodionowcy", bo Gil zmienił nazwisko na Rodionow), w sierpniu 1943 roku, kiedy zarysowała się już klęska Hitlera — zastąpili swoją czarną chorągiew ze srebrną czaszką — czerwoną, i proklamowali utworzenie dużego Kraju Partyzanckiego, oraz wprowadzenie władzy sowieckiej w północno-wschodnim kącie Białorusi. (O tym kraju partyzanckim, bez wdawania się w wyjaśnienia — skąd się

nimi, jako niemieckimi najemnikami, Niemcy — pogardzali nimi za ich rosyjską krew. Żałosne ich gazetki obrabiał tasak niemieckiej cenzury: Wielkie Niemcy i Führer. Dlatego też własowcom nie zostawało nic, jak tylko mordercza walka, a na popasach — wódka i wódka. POCZUCIE BLISKIEJ ZAGŁADY — oto, co było treścią ich istnienia przez wszystkie lata wojny i tułaczki, a żadnego wyjścia nie mieli.

Hitler i jego kompania już w czasie ogólnego odwrotu, już w przededniu zagłady — wciąż nie mogli przezwyciężyć swojej zasadniczej nieufności do koncepcji odrębnych rosyjskich formacji, zdecydować się na integralnie rosyjskie dywizje, na cień niezależnej, nie podporządkowanej im Rosji.

Dopiero wśród łoskotu ostatecznej katastrofy, w listopadzie 1944 roku zezwolono na spóźnione widowisko: na zwołanie (w Pradze) jednoczącego wszystkie grupy narodowe „komitetu wyzwolenia narodów Rosji" i wydanie manifestu (tak samo pokracznego, bowiem nie pozwolono w nim mówić o Rosji bez Niemiec i hitleryzmu). Przewodniczącym komitetu został Wła-

---

wziął właściwie, zaczęto wtedy pisać w naszych gazetach. Później wszystkich ocalałych rodionowców też pozamykano). I kogóż to Niemcy natychmiast rzucili do walki z „rodionowcami"? Oczywiście, brygadę Kamińskiego! (A w maju 1944 roku — jeszcze na dodatek 13 własnych dywizji, żeby zlikwidować „Partyzancki kraj"). Tak rozumieli Niemcy te wszystkie trójkolorowe odznaki, świętego Jerzego i krzyże świętego Andrzeja. Języki rosyjski i niemiecki były wzajemnie nieprzetłumaczalne, nie miały wspólnych pojęć, nie pasowały do siebie. Stało się coś jeszcze gorszego: w październiku 1944 roku Niemcy pchnęli brygadę Kamińskiego (razem z jednostkami muzułmańskimi) do tłumienia powstania warszawskiego.

Podczas, gdy jedni Rosjanie zdradziecko drzemali za Wisłą, popatrując sobie przez lornetki na zagładę Warszawy, inni Rosjanie dławili powstanie. Mało bo rosyjskiego zła spadło na Polaków w XIX-tym wieku — jeszcze te krzywe noże XX wieku musiały się tu werżnąć (czy aby wszystkie? czy aby ostatnie?).

Prostszy jakby wydawał się los osintorfskiego batalionu, przerzuconego pod Psków. Było tam około 600 żołnierzy i 200 oficerów, dowodzili emigranci (I. K. Sacharow, Lamsdorf), mundury były rosyjskie, sztandar biało-niebiesko-czerwony. Batalion uzupełniono, osiągnął stan liczebny pułku, przygotowywał się do desantu spadochronowego na linii Wołogda-Archangielsk — mając na widoku skupisko łagrów w tej okolicy. Przez cały 1943 rok Igorowi Sacharowowi udawało się ratować swoją jednostkę od posłania jej przeciw partyzantom. Wówczas odebrano mu dowództwo, batalion zaś rozbrojono, zesłano do obozu, a później posłano na front zachodni. Niemcy zaprzepaścili, zagubili, wyrzucili z pamięci początkowy projekt i jesienią 1943 roku podjęli decyzję posłania rosyjskiego mięsa armatniego... na Wał Atlantycki, do walki z francuskim i włoskim Ruchem Oporu. Ci z własowców, którym jeszcze chodziły po głowie jakieś polityczne plany, czy nadzieje — zostali z pustymi rękoma.

sow. Dopiero od jesieni 1944 roku zaczęto więc formować własowskie — w ścisłym sensie — dywizje integralnie rosyjskie[11].

Przemyślni niemieccy politycy przypuszczali zapewne, że rosyjscy robotnicy przymusowi (Ostarbajterzy) walić będą drzwiami i oknami, by stanąć pod bronią. Ale już Armia Czerwona stała nad Wisłą i nad Dunajem... I jakby na urągowisko, jakby chcąc dać atest dalekowzroczności najbardziej nawet krótkowzrocznym Niemcom, te dywizje własowców swoją pierwszą i ostatnią samodzielną bitwę stoczyły z... Niemcami! Już w okresie ogólnego rozpadu, już bez zgody Oberkomando, Własow pod koniec kwietnia ściągnął swoje dwie i pół dywizji pod Pragę. Tu rozeszła się wieść, że generał SS Steiner szykuje się do zburzenia czeskiej stolicy, że nie zamierza jej oddać bez walk i zniszczeń. I Własow rozkazał swoim dywizjom przejść na stronę czeskich powstańców. I cały swój gniew, złość, gorycz, które narosły przeciw Niemcom w ściśniętych przymusem sercach przez te trzy okrutne i bezmyślne lata, Rosjanie wyładowali teraz w ataku na niemiecką załogę: uderzyli z najmniej spodziewanej strony i wybili ją z Pragi. (Czy wszyscy Czesi orientowali się później j a c y to Rosjanie uratowali ich miasto? Historię u nas się fałszuje, więc istnieje teza, że Pragę uratowały wojska sowieckie, ale nie mogłyby przecież zdążyć).

Następnie armia Własowa zaczęła się wycofywać w stronę Bawarii, gdzie byli Amerykanie. Jedyna ich nadzieja to byli alianci, myśleli, że przydadzą się aliantom i że wtedy ich długie trzymanie łba w niemieckiej pętli otrzyma jaśniejszy sens. Ale Amerykanie odgrodzili się od nich zbrojnym murem i zmusili do oddania się w sowieckie ręce, jak to przewidziane było w Jałcie. W tym samym miesiącu maju podobnie lojalną operację sojuszniczą (o której ze zwykłą skromnością — nic u nas nie pisano) przeprowadził w Austrii Churchill: oddał w ręce dowództwa sowieckiego korpus kozacki w liczbie 90.000 szabel[12] —

11. 1-sza (na bazie „brygady Kamińskiego") pod dowództwem S. K. Buniaczenko, 2-ga — Zwieriewa (byłego wojskowego komendanta Charkowa), pół 3-ciej — zalążek 4-tej i eskadra lotnicza Malcewa. Nie zezwolono na więcej niż 4-y dywizje.

12. Akt ten nosił podstępny charakter i utrzymany był w najlepszych tradycjach angielskiej dyplomacji. Chodzi o to, że Kozacy zdecydowani byli walczyć do upadłego, albo jechać za ocean, choćby do Paragwaju, czy Indochin, byle nie dać się wziąć żywcem. Dlatego Anglicy przede wszystkim skłonili Kozaków do oddania broni pod pretekstem jej unifikacji. Następnie zaprosili oficerów, oddzieliwszy ich od żołnierzy, na zebranie, poświęcone rzekomo przyszłości ich armii, a zwołano do miasta Judenburg w angielskiej zonie okupacyjnej — ale poprzedzającej ten dzień nocy Anglicy potajemnie odstąpili to miasto armii sowieckiej. Czterdzieści autobusów z oficerami — od dowódców szwadronów do generała Krasnowa — zjechało z wy-

a z nim jeszcze tabory pełne starców, dzieci i bab, które nie chciały wracać nad ojczyste kozacze rzeki. Wielki mąż stanu, którego pomnikami zakwitnie z czasem cała Anglia, ich także rozkazał wydać na pewną śmierć).

Oprócz pośpiesznie kleconych dywizji Własowa, wiele jeszcze innych rosyjskich oddziałów dalej kisło w głębi niemieckiej armii, w niemieckich uniformach, utrudniających ich identyfikację. Koniec wojny zastał je na różnych odcinkach i nie dla wszystkich był jednakowy.

Kilka dni przed moim aresztowaniem ja też znalazłem się pod ogniem własowców. W otoczonym przez nas wschodniopruskim kotle byli również Rosjanie. Jednej z nocy w końcu stycznia rosyjska jednostka, chcąc wyrwać się z kotła na zachód, zaatakowała nasze pozycje — bez przygotowania artyleryjskiego, w ciszy. Front nie był ciągły, szybko więc wklinowali się w głąb i wzięli w kleszcze moją wysuniętą baterię pomiarową, tak, że ledwie zdążyłem ją wycofać ostatnią, wolną jeszcze drogą. Ale później wróciłem tam znów, żeby odciągnąć w bezpieczne miejsce uszkodzoną ciężarówkę i przed świtem zobaczyłem, jak skupiwszy się na śniegu w białych drelichach maskujących, poderwali się nagle do ataku, runęli z krzykiem „hurra!" na pozycje ogniowe dywizjonu 152-u milimetrówek pod Adlig Schwenkitten i obrzucili dwanaście ciężkich dział granatami, nie dając im czasu na

---

sokiego wiaduktu i znalazło się w otoczeniu zgromadzonych półkolem s u k, obok których stali już konwojenci z gotowymi spisami. Odwrót był już odcięty przez sowieckie czołgi. I nawet nie było z czego się zastrzelić, czy zasztyletować — cała broń była już skonfiskowana. Kozacy rzucali się z wiaduktu na bruk szosy. — Później, tak samo podstępnie, wydali Anglicy również szeregowych, wysyłając ich całymi pociągami (rzekomo po to, by mogli połączyć się ze swoimi dowódcami i pobrać broń).

W swoich krajach ojczystych Roosevelt i Churchill czczeni są jako wcielenie rozumu państwowego. Nas zaś, w trakcie naszych więziennych debat uderzała ich oczywista, systematyczna krótkowzroczność i nawet głupota. Jak mogli oni, ześlizgując się od 41-ego do 45-go roku nie zapewnić sobie żadnych gwarancji niezawisłości Europy Wschodniej? Jak mogli oni za nędzne świecidełko czwórdzielnego Berlina (który miał stać się później dla nich piętą achillesową) oddać wielkie połacie Saksonii i Turyngii? I jaki sens strategiczny i polityczny miało dla nich wydanie w ręce Stalina na pewną śmierć kilkuset tysięcy uzbrojonych sowieckich obywateli, którzy zdecydowani byli za nic się nie poddawać? Powiadają, że tym kosztem chcieli zapewnić sobie udział Stalina w wojnie z Japonią. Mając już w ręku bombę atomową, płacili więc Stalinowi, by raczył tylko okupować Mandżurię, wzmocnić w Chinach pozycję Mao Tse-tunga, a w Korei Kim Ir Sena! Czy to nie ubóstwo myśli politycznej? Gdy potem wypchnięto Mikołajczyka, gdy wykończono Benesza i Massaryka, gdy Berlin był blokowany, gdy płonął i zasnuwał się milczeniem Budapeszt, gdy dymiła się Korea, a konserwatyści brali nogi za pas pod Suezem — czy nawet wtedy ci z nich, którzy odznaczali się pamięcią, nie przypomnieli sobie choćby epizodu z Kozakami?

jedną choćby salwę. Ścigana przez ich pociski świetlne ostatnia grupka naszych chłopców uciekała trzy kilometry po nieprzetartym śniegu — aż do mostu na rzeczce Passarge. Tam ich dopiero zatrzymano.

Wkrótce potem zostałem aresztowany — i oto przed samą paradą Zwycięstwa siedzieliśmy teraz wszyscy razem na butyrskich narach, ja dopalałem szluga po nich, a oni — po mnie, i do pary z którymś z nich wynosiłem nieraz sześciowiadrowy kibel.

Wielu „własowców" — podobnie jak „tymczasowych szpiegów" byli to ludzie młodzi, urodzeni mniej więcej między 1915 a 1922 rokiem, należeli więc do tego „młodego, niewiadomego plemienia", które w imieniu Puszkina skwapliwie witał zabiegany Łunaczarski. Większość z nich trafiała do formacji wojskowych z woli takiego samego przypadku, jaki sprawił, że w sąsiednim obozie ich towarzysze stawali się szpiegami — zależało to od tego, jaki werbownik przyjechał.

Werbownicy klarowali im z drwiną — byłoby to drwiną, gdyby nie było prawdą! — „Stalin się was wyrzekł!", „Stalin gwiżdże na was!".

Sowiecka sprawiedliwość postawiła ich poza sowieckim prawem wcześniej, niż sami oni poza tym prawem się postawili.

Więc — zapisywali się... Jedni — tylko po to, aby wyrwać się z obozu śmierci. Inni — licząc na to, że będą mogli potem przejść do partyzantów (i przechodzili! i walczyli później jako partyzanci! — ale wedle stalinowskiej miarki, to wcale nie wpływało na złagodzenie wyroku). Jednakże tego i owego nie przestawał dręczyć haniebny czterdziesty pierwszy rok, zapierająca dech porażka po tylu latach przechwałek; ten i ów zaczął jednak uważać Stalina za głównego winowajcę tych oto nieludzkich obozów. I tacy też zapragnęli powiedzieć coś w swoim imieniu, zdać sprawę ze swego strasznego doświadczenia: że są też cząsteczkami Rosji i chcą wpływać na jej przyszłość, a nie być jedynie igraszką, ofiarą cudzych błędów.

Ale los zakpił z nich jeszcze okrutniej, jeszcze marniejszymi pionkami się stali. Niemcy z tępym zadufaniem i pychą pozwalali im jedynie umierać za swój Reich, nie pozwalając marzyć o niezawisłym rosyjskim losie.

Do aliantów zaś były dwa tysiące wiorst — i z jakiej strony mieli jeszcze dać się poznać ci alianci?...

Określenie „własowiec" brzmi u nas podobnie do terminu „gnój", wydaje się, że kala on usta samym już swoim dźwiękiem, dlatego też nikt nie ośmiela się wymówić dwóch-trzech zdań, których podmiotem byłoby to słowo.

Ale historii w ten sposób pisać nie można. Dziś gdy minęło już ćwierć wieku, gdy większość z nich zginęła już w obozach, a pozostali jeszcze przy życiu dogorywają na dalekiej północy, chciałbym, aby te stronice uprzytomniły czytelnikom, że jest to zjawisko w dziejach właściwie niebywałe: kilkaset tysięcy młodych ludzi[13], wielu od dwudziestu do trzydziestu lat, chwyciło za broń przeciw własnej Ojczyźnie w sojuszu z najgorszym jej wrogiem. Że może warto się zastanowić: któż tu jest bardziej winien — ta młodzież, czy siwowłosa Ojczyzna? Że nie sposób objaśnić tego biologiczną skłonnością do zdrady, że tu muszą być jakieś przyczyny o charakterze społecznym.

Bowiem jak powiada stare przysłowie: nie od obroku koń się narowi.

I tak to sobie wyobraźcie: błonia — i uganiają się po nich znarowione, wygłoszone, oszalałe konie.

◆

Siedziało jeszcze tej wiosny w celach wielu rosyjskich emigrantów.

Wyglądało to nieomal jak we śnie: powracała zapadła w otchłań historia. Dawno już były dopisane do końca i zatrzaśnięte tomy wojny domowej, wyczerpane jej problemy, uporządkowane według podręcznikowej chronologii wydarzenia.

Działacze białogwardyjscy dawno już zaliczali się nie tyle do naszych współczesnych, ile do zjaw bezpowrotnie minionej przeszłości. Według naszych, sowieckich, pojęć, jeśli rosyjska emigracja — rozproszona w sposób o wiele bardziej radykalny, niż pokolenia Izraela — jeszcze w ogóle wegetowała, to tylko jako gromada taperów w plugawych knajpach, lokajów, praczek, żebraków, morfinistów, kokainistów, schodzących do grobu trupów. Aż do wybuchu wojny 1941 roku żaden ślad w naszych gazetach, w górnej beletrystyce i krytyce artystycznej nie pozwalał domyśleć się (a nasi syci mistrzowie nie pomogli nam w orientacji), że Rosyjska Zagranica — jest wielkim światem duchowym, że rozwija się tam filozofia rosyjska, że działa tam Bułhakow, Bierdiajew, Łosskij, że rosyjska sztuka zdobywa świat, że są jeszcze Rachmaninow, Szaliapin, Benoit, Diagilew, Pawłowa, chór kozacki Żarowa, że prowadzi się głębokie badania nad Dostojewskim (w tym okresie całkowicie u nas wyklętym), że publikuje niezwykły pisarz Nabokow-Sirin, że żyje jeszcze Bunin i że coś

13. Tylu właśnie było obywateli sowieckich w Wehrmachcie — w przedwłasowskich i własowskich formacjach, w kozackich, muzułmańskich, nadbałtyckich i ukraińskich jednostkach i oddziałach.

przecież napisał w ciągu tych lat dwudziestu, że wydawane są pisma literackie, wystawia się sztuki, odbywają się zjazdy ziomkostw, dźwięczy mowa rosyjska, że emigranci nie porzucili obyczaju żenienia się z Rosjankami-emigrantkami, te zaś — rodzenia im dzieci — to znaczy — naszych rówieśników.

Pojęcie o emigrantach, jakie sobie w naszym kraju wyrobiono, było tak fałszywe, że gdyby ktoś przeprowadził masową ankietę: po czyjej stronie byli emigranci w wojnie hiszpańskiej? a w drugiej światowej? — wszyscy jednogłośnie by odpowiedzieli: po stronie Franco! po stronie Hitlera! W naszym kraju po dziś dzień ludzie nie wiedzą, że znacznie więcej białych emigrantów walczyło po stronie republikanów. Że również dywizje Własowa i korpus kozacki von Pannewitza („krasnowski") złożone były z obywateli sowieckich, a wcale nie z emigrantów — ci nie szli do Hitlera, i że otoczonymi niechęcią, izolowanymi wyjątkami byli wśród nich Dymitr Mereżkowski i Zinajda Hippius, którzy opowiedzieli się za Hitlerem. W trybie anegdoty — a może nie tylko: sam Denikin chciał wojować z Hitlerem po stronie Związku Sowieckiego i Stalin przez jakiś czas omal czy nie zamierzał ściągnąć go do kraju (nie jako siłę bojową, zapewne, lecz jako symbol jedności narodowej). Podczas okupacji Francji bardzo liczni emigranci, starzy i młodzi, wstąpili do Ruchu Oporu, a po wyzwoleniu Paryża — walili hurmą do sowieckiego poselstwa z podaniami o powrót do ojczyzny. Ich hasłem było: Rosja taka, czy inna — byle Rosja! — i tym dowiedli oni, że wcześniej też nie udawali swojej miłości do swego kraju. (W więzieniach lat 45-46 byli niemal szczęśliwi, że te kraty i ci strażnicy, to wszystko swoje, rosyjskie; ze zdziwieniem patrzyli na sowieckich chłopców, skrobiących się w głowę: „na diabłaśmy tu wracali? Bo to nam ciasno było w Europie?").

Zgodnie z tą samą stalinowską logiką — w myśl której musiał iść do obozu każdy człowiek sowiecki, który był kiedyś za granicą — jakże mogli uniknąć tego losu emigranci? Na Bałkanach, w Europie Centralnej, w Charbinie zamykano ich zaraz po przyjściu wojsk sowieckich, brano, jak swoich z mieszkań i prosto z ulicy. Zabierano chwilowo tylko mężczyzn i to też z początku nie wszystkich, lecz tych, którzy w jakikolwiek sposób zaznaczyli swoją obecność na terenie polityki. (Ich rodziny były później dosyłane etapem, tam, gdzie tradycyjnie zsyłano Rosjan; niektóre zostały na wolnej stopie w Bułgarii i Czechosłowacji). Tym z Francji dawano obywatelstwo sowieckie z honorami i kwiatami, posyłano z komfortem do starego kraju — i tam dopiero pakowano, gdzie należy. Dłuższa mitręga była za to z emigrantami z Szanghaju — w 45-tym roku jeszcze tam

nie można było ich dosięgnąć. Ale przyjechał pełnomocnik rządu Sowieckiego i opublikował Dekret Prezydium Najwyższego Sowietu: amnestia dla wszystkich emigrantów! No, czy można nie wierzyć czemuś takiemu? Toć rząd kłamać nie może! (Czy był rzeczywiście taki dekret, czy nie — Organom w żadnym razie rąk nie wiązał). Szanghajscy Rosjanie dali wyraz swemu zachwytowi. Powiedziano im, że mogą brać tyle i takich rzeczy, ile tylko zechcą (zabrali również samochody, ojczyźnie się przydadzą), wybierać sobie miejsca zamieszkania wedle chęci, i pracować, rzecz oczywista, w każdym fachu. Z Szanghaju odpływali parowcami. Już te statki miały rozmaite losy: na niektórych z nich, z nieznanych powodów, w ogóle nie dawano jeść. Różnie też układały się dzieje tych ludzi, gdy zawinęli już do portu Nachodka (jednego z głównych punktów transportowych GUŁagu). Prawie wszystkich pakowano do wagonów towarowych, jakby już byli więźniami, tyle, że nie było jeszcze prawdziwego konwoju z psami. Niektórych dowożono do jakichś okolic zamieszkałych, do miast i rzeczywiście pozwalano im na jakieś 2-3 lata spokoju. Innych od razu zawożono tym samym pociągiem do obozu, gdzieś na Zawołżu; wyładunek odbywał się w lesie, zrzucano ich z wysokiego nasypu razem z białymi fortepianami i żardynierkami. W latach 48-49 dalekowschodnich reemigrantów, którzy się jeszcze uchowali, wyskrobywano do czysta i wsadzano za kraty.

Gdy byłem dziewięcioletnim chłopcem, chętniej niż powieści Juliusza Verne'a czytywałem granatowe broszurki W. W. Szulgina, sprzedawane wtedy najspokojniej w świecie w każdym kiosku. Był to głos ze świata tak zdecydowanie już skazanego na niebyt, że najdziksza nawet fantazja nie mogła czegoś takiego wymyśleć: upłynie mniej, niż dwadzieścia lat, a kroki autora i moje przetną się niewidzialnymi liniami w milczących korytarzach Wielkiej Łubianki. Co prawda jego samego spotkałem nie wówczas, a dopiero dwadzieścia lat później, ale wielu emigrantom starszego i młodszego pokolenia miałem okazję się przyjrzeć wiosną 45-ego roku.

Z rotmistrzem Borszczem i pułkownikiem Mariuszkinem znalazłem się kiedyś na przeglądzie lekarskim i żałosny widok ich gołego, pomarszczonego, ciemnożółtego, już nie ciała nawet, ale truchła, wciąż mi jeszcze stoi przed oczyma. Aresztowano ich, gdy byli o krok od grobu, wieziono kilka tysięcy kilometrów — do Moskwy i tutaj, w 1945 roku najpoważniej w świecie przeprowadzano śledztwo w sprawie... ich walki z władzą Sowiecką w 1919 roku!

Tak już jesteśmy przyzwyczajeni do gromadzenia się aktów niesprawiedliwości w dziedzinie śledczo-sądowej, że przestaliśmy rozróżniać stopnie tego zjawiska. Ten rotmistrz i ten pułkownik byli kadrowymi oficerami carskiej armii rosyjskiej. Mieli już obaj ponad czterdzieści lat, z których dwadzieścia spędzili w szeregach, gdy telegraf przyniósł wiadomość, że w Piotrogrodzie zdetronizowano imperatora. Dwadzieścia lat wiązała ich przysięga, dana carowi, teraz zaś z bólem serca (i może nawet — mrucząc po cichu: „zgiń, przepadnij!") złożyli jeszcze przysięgę na wierność Rządowi Tymczasowemu. Więcej nikomu już nikt im nie kazał przysięgać, bo wojsko w ogóle się rozpadło. Nie podobał im się porządek, przy którym zrywano naramienniki i zabijano oficerów, było więc naturalne, że połączyli się z innymi oficerami, aby z tym porządkiem walczyć. Tak samo naturalne było, że Czerwona Armia biła się z nimi i spychała ich do morza. Ale czy byłyby jakiekolwiek podstawy do SĄDZENIA ich, a do tego po upływie ćwierci wieku — w kraju, w którym istnieją choćby kiełki myśli prawniczej? (Przez cały ten czas zajmowali się oni wyłącznie sprawami prywatnymi: Mariuszkin — aż do samego aresztowania, Borszcz zaś, co prawda, znalazł się w taborach kozackich w Austrii, ale właśnie nie w szeregach, lecz w taborach, wśród starców i bab).

Jednakże w 1945, w samym pępku naszego systemu prawnego, wysunięto przeciw nim następujące oskarżenia: o działania, mające na celu o b a l e n i e władzy rad robotniczo-chłopskich; o wtargnięcie z bronią w ręku na terytorium sowieckie (to jest o to, że nie wyjechali natychmiast z Rosji, o której w Piotrogrodzie oznajmiono, że jest sowiecka); o okazywanie pomocy międzynarodowej burżuazji (której nawet przez sen nie widzieli); o pełnienie służby w formacjach kontrrewolucyjnych rządów (to znaczy — pod rozkazami swoich własnych generałów, którym całe życie podlegali). I wszystkie te paragrafy (1-2-4-13) 58-ego artykułu wchodziły w skład kodeksu karnego, który nabrał mocy w... 1926 roku, to znaczy 6-7 lat PO ZAKOŃCZENIU wojny domowej! (Klasyczny i nieludzki przykład działania prawa w s t e c z !). Ponadto — artykuł 2-gi kodeksu przewidywał, że ma on moc t y l k o wobec obywateli zatrzymanych na terytorium RSFSR. Ale ręka GB dosięgła także NIE-obywateli i to we wszystkich krajach Europy i Azji[14]! Nie mówmy tu już

14. W ten sposób ani jeden afrykański prezydent nie może być pewien, czy za dziesięć lat nie zostanie u nas wydane prawo, na mocy którego będzie on sądzony za to, co robi on dzisiaj. Zresztą Chińczycy takie prawo wydadzą, dajcie im tylko okazję.

o przedawnieniu: co do przedawnienia, to bardzo zręcznie przewidziano zawczasu, że do artykułu 58 nie ma ono zastosowania. („Po co jątrzyć stare rany?..."). Przedawnienie ma moc tylko w stosunku do naszych oprawców domowego chowu, którzy wyrżnęli wielokroć więcej rodaków, niż ich zginęło podczas całej wojny domowej.

Mariuszkin przynajmniej odznaczał się dobrą pamięcią, opowiadał ze szczegółami o ewakuacji Noworosyjska. Borszcz zaś wpadł jakby w zdziecinnienie i gaworzył naiwnie, jaką ci to on sobie Wielkanoc urządził na Łubiance: przez cały czas po Niedzieli Palmowej i przez cały Wielki Tydzień jadł tylko po pół porcji, resztę sobie odkładał, stopniowo zamieniając czerstwy chleb — świeżym. W ten sposób, zebrało mu się siedem porcji i trzy dni Wielkiejnocy mógł sobie ucztować.

Ja tam nie wiem do jakiego rodzaju białogwardzistów zaliczali się ci dwaj podczas wojny domowej: czy do tych wyjątkowych, którzy bez sądu wieszali co dziesiątego robotnika i knutowali chłopów, albo może do tylu innych, do żołnierskiej większości. To, że ich dziś przesłuchiwano tutaj i sądzono, to jeszcze nie dowód i nie racja. Ale jeżeli od tamtych dni przez ćwierć wieku byli oni nie dostojnikami na emeryturze, tylko wygnańcami bez domu — to chyba trudno znaleźć moralne podstawy do oddawania ich pod sąd. Jest to ten rodzaj dialektyki, którą władał dobrze Anatol France, my zaś — ani w ząb. Według France'a wczorajszy męczennik dziś już utracił swoje racje — i to już od chwili, gdy szkarłaty okryły jego ciało. I na odwrót. A z wieloma życiorysami w naszych rewolucyjnych czasach bywa tak: tylko roczek cię dosiadali, kiedyś ledwie źrebięciem był, ale przez całe życie będą cię zwać koniem, choćbyś nawet dawno był już woźnicą.

Od tych niedołężnych mumii emigranckich różnił się bardzo pułkownik Konstanty Konstantynowicz Jasiewicz. Dla tego człowieka koniec wojny domowej nie oznaczał zapewne końca walki z bolszewizmem. Jak tam walczył, gdzie, jakimi sposobami — tego mi nie mówił. Ale poczucie, że jest dalej w szeregach miał chyba nawet w celi. U większości z nas kłębił się w głowach chaos pojęciowy, łamały się i rozpływały linie poglądów, on zaś miał, jak się zdawało, jasne, wyrobione zdanie o tym, co go otaczało, przy tym ta wyraźna pozycja życiowa jakoś wpływała na jego cielesną siłę, tężyznę, stały dynamizm. Miał lat nie mniej, niż sześćdziesiąt, głowę łysą, bez jednego włoska, przeszedł już przez śledztwo (czekał na wyrok, jak my wszyscy), pomocy, oczywiście, nie miał znikąd — ale zachował młodą, nawet różowawą cerę, jedyny w celi gimnastykował się co rano i mył zimną wodą

pod kranem (my zaś staraliśmy się nie trwonić kalorii z naszej racji więziennej). Gdy tylko między narami zwalniało się przejście — nie przepuszczał okazji — i nawet tych pięć — sześć metrów wykorzystywał dla ruchu, wciąż wybijając krok za krokiem, ze swoim profilem, jak wybitym na monecie, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i jasnym spojrzeniem młodych oczu, patrzących tak, jakby ścian nie było.

Myśmy wciąż się dziwili wszystkiemu, co z nami tu robią, dla niego zaś — wszystko, co się działo, zgodne było z oczekiwaniami — dlatego był on w celi zupełnie osamotniony.

Jego zachowanie się w więzieniu mogłem ocenić, gdy minął rok: znów znalazłem się w Butyrkach i w jednej z tych samych cel 70-tych spotkałem się z młodymi towarzyszami Jasiewicza z tej samej sprawy; byli już po wyroku, dostali po 10 i 15 lat. Wyrok dla całej grupy przepisany był na cienkiej przebitce i — nie wiadomo dlaczego — dostali oni kopie do ręki. Pierwszy w spisie był Jasiewicz, skazano go na rozstrzelanie. Oto co więc przewidywał, co widział przez mury swoimi niestarzejącymi się oczyma, podczas, gdy chodził od ściany do ściany, tam i z powrotem! Ale świadomość, że wierny był swojej drodze życiowej, świadomość, której sobie nie wyrzucał, dawała mu niezwykłą siłę.

Wśród emigrantów był również mój rówieśnik, Igor Tronko. Zaprzyjaźniliśmy się. Obaj byliśmy osłabieni, wymiędleni, żółtoszara skóra i kości (dlaczego, w gruncie rzeczy, tak się zapuściliśmy? Myślę, że przez poczucie duchowego zagubienia). Obaj chudzi, tykowaci, że byle podmuch letniego wiatru zbijał nas prawie z nóg na butyrskich spacernikach, chodziliśmy zawsze w jednej parze ostrożnym starczym krokiem i porównywaliśmy równoległe drogi naszego życia. Tego samego roku urodziliśmy się obaj na południu Rosji. Jeszcześmy obaj byli przy piersi, kiedy los sięgnął do swojej zaszarganej torby, aby wyciągnąć z niej dwie słomki: dla mnie krótszą, dla niego — dłuższą. I oto jego kłębek potoczył się za morze, chociaż z ojca jego dziwny był „białogwardzista" — był zwykłym, biednym telegrafistą.

Nadzwyczaj mnie ciekawiła możliwość wyrobienia sobie — poprzez jego zwierzenia — poglądu na życie moich rówieśników którzy tam się znaleźli. Gdy podrastali, rodzice otaczali ich staranną opieką mimo skromnych, albo nawet kusych możliwości materialnych. Byli wszyscy doskonale wychowani, otrzymali możliwie najlepsze wykształcenie. Rośli, nie wiedząc, co to znaczy strach i ucisk, chociaż pewien autorytatywny nacisk białych organizacji odczuwali, póki nie stanęli na własnych nogach. Rośli tak, jakby grzechy stulecia, co poraziły całą młodzież europejską

(wysoki wskaźnik przestępczości, lekkomyślność, brak koncepcji, marnotrawienie życia) nie imały się ich — ponieważ wyrastali jakby w cieniu nieszczęścia, które spadło na ich rodziny. Gdziekolwiek mieszkali, w jakimkolwiek kraju — zawsze tylko Rosję uważali za swoją ojczyznę. Ich rozwój duchowy wspierał się na literaturze rosyjskiej, tym bardziej kochanej, że za jej zasięgiem kończyła się też ojczyzna i że ojczyzna fizyczna za nią nie stała. współczesne piśmiennictwo było dla nich dostępne w stopniu i rozmiarze o wiele większym, niż nam, ale właśnie książki sowieckie rzadko do nich docierały i ich brak odczuwali szczególnie ostro, wydawało się im, że głównie przez to nie są w stanie pojąć tego co jest samą istotą Związku Sowieckiego, jego świetnością i urokiem, to zaś, co do nich dociera, jest skażone, skłamane, niepełne. Ich pojęcia o naszym prawdziwym życiu były bardzo zielone, ale tak tęsknili za krajem, że gdyby w 41-tym roku ich wezwano — to wszyscy by tłumnie ruszyli do Armii Czerwonej i słodziej by im było życie przy tym oddać, niż go bronić. Ci młodzi, dwudziestopięcio- i dwudziestoześcioletni ludzie już wysunęli i obronili z dużym przekonaniem kilka stanowisk myślowych, które wszystkie różniły się od poglądów starych generałów i polityków. Tak więc, grupa Igora należała do „nieprzesądzających". Deklarowali oni, że ci, którzy nie dźwigali wraz z krajem rodzinnym całego skomplikowanego ciężaru minionych dziesięcioleci, nie mają żadnego prawa, by p r z e s ą d z a ć, decydować z góry o przyszłości Rosji, a nawet — proponować czegokolwiek, winni tylko iść tam i wszystkie siły poświęcić dla realizacji tego, na co zdecyduje się rosyjski lud.

Sporośmy przegadali — leżąc na jednych narach. O ile mogłem, o tyle wniknąłem w jego świat i spotkanie to (inne spotkania to potwierdziły) dało mi przekonanie, że odpływ znacznej części duchowych sił, jaki miał miejsce podczas wojny domowej, zabrał nam dużą i ważną gałąź rosyjskiej kultury. I każdy, kto naprawdę ją kocha, będzie dążył do ponownego zjednoczenia tych dwóch gałęzi: krajowej i zagranicznej. Tylko wówczas kultura nasza osiągnie pełnię, tylko wtedy przejawi zdolność do niezakłóconego rozwoju.

Marzę, by dożyć tego dnia.

◆

Słaby jest człowiek, słaby. Koniec końców — nawet najbardziej uparci z nas pragnęli tej wiosny zmiłowania, gotowi byli wiele oddać za jeszcze trochę życia. Krążyła taka anegdota: „Oskarżony, co macie do powiedzenia w ostatnim słowie?!" —

„Proszę posłać mnie gdzie tylko chcecie, byle by tam była władza sowiecka! I — słońce...". Nie to nam groziło, że nas pozbawią sowieckiej władzy, lecz że pozbawią nas słońca... Nikt nie miał ochoty na Koło Podbiegunowe, szkorbut i głód. Nie wiedzieć czemu, kwitnęła w celach legenda Ałtaju. Ci nieliczni, którzy tam już byli, a jeszcze bardziej — ci, którzy tam nigdy nie bywali, wmawiali towarzyszom niedoli sny, pełne muzyki: Ałtaj, to dopiero kraina! Syberyjskie przestrzenie, ale klimat — łagodny. Rzeki miodem płynące wśród pszenicznych brzegów. Step i góry. Stada owiec, dziczyzna, ryby. Ludne, bogate wsie[15]...

Ach, zaszyć by się w tej głuszy! Posłuchać czystego, dźwięcznego piania kogutów w przejrzystym powietrzu! Pogłaskać dobry, poważny pysk koński! I niech diabli porwą wielkie problemy, niech się o nie troszczy ktoś inny, ktoś głupszy od nas! Odpocząć by tam od wyzwisk śledczego, od nudnego gmerania w twoim życiu, od zgrzytu więziennych rygli, od celi z jej stęchłym zaduchem. Tylko jedno życie mamy, takie nikłe, takie krótkie! — a my je w zbrodniczy sposób posyłamy pod kule czyichś karabinów maszynowych, albo tytłamy je, Bogu ducha winne, w brudach politycznego śmietniska. Zdaje się człowiekowi, że tam, na Ałtaju, mógłby żyć w najniższej nawet, najciemniejszej chatynce na skraju wsi, pod samym lasem. Nie po chrust, nie po grzyby — tylko tak, po prostu poszedłby do tego lasu i objąłby dwa pnie: miłe moje! nic mi nie trzeba więcej!...

Sama już ta wiosna nawoływała do miłosierdzia: tej wiosny kończyła się taka ogromna wojna! Widzieliśmy, że nas, aresztantów, płyną miliony i że mnogie jeszcze miliony spotkamy w obozach. Toć być nie może, aby tylu ludzi zostawiono za kratami po największym w świecie zwycięstwie! Trzymają nas tylko tak sobie, dla postrachu, żebyśmy czasem nie zapomnieli. To jasne, że będzie wielka amnestia i wszystkich nas szybko wypuszczą. Ktoś nawet przysięgał, że sam czytał w gazecie odpowiedź Stalina na pytania jakiegoś amerykańskiego korespondenta (jak się nazywał? — nie pamiętam...), gdzie było powiedziane, że po wojnie będzie u nas taka amnestia, jakiej jeszcze świat nie widział. I innemu SAM śledczy z całą pewnością mówił, że będzie u nas wkrótce powszechna amnestia. (Dla śledztwa takie pogłoski

---

15. Czy aresztanckie sny o Ałtaju nie są kontynuacją starych, chłopskich marzeń o tym kraju? Na Ałtaju były tak zwane ziemie Gabinetu jego cesarskiej mości, dlatego też był on długi czas terytorium bardziej niedostępnym dla chłopskiego osadnictwa, niż reszta Syberii — ale właśnie tam chłopi tym bardziej starali się osiąść (i to im się udawało). Czy nie stąd bierze się trwałość tej legendy?

były korzystne, osłabiały one naszą wolę: czort z nimi, podpiszemy, to i tak nie na długo).

Ale — d o m i ł o s i e r d z i a t r z e b a r o z u m u. Odnosi się to do całej naszej historii i jeszcze długo będzie się odnosić.

Nie słuchaliśmy tych niewielu trzeźwych wśród nas, którzy krakali, że nigdy w ciągu ćwierci stulecia nie zdarzyła się amnestia dla politycznych, i że nigdy jej nie będzie. (A jeszcze jakiś znawca więzienny, zwykle konfident, rwał się do sprzeczki: „Ależ w 1927 roku, na dziesięciolecie Października wszystkie więzienia były puste, w y w i e s z o n o n a n i c h b i a ł e f l a g i! Ten wstrząsający miraż białych flag na więzieniach — dlaczego właśnie białych? — szczególnie wzruszał[16]). Machaliśmy ręką na tych rozważnych, którzy pośród nas byli i wyjaśniali, że właśnie dlatego siedzimy milionowymi masami, bo wojna się skończyła: na froncie nic już po nas, na zapleczu — jesteśmy niebezpieczni, na dalekich zaś budowach bez takich, jak my, ani jedna cegła nie zostanie położona. (Nie starczało nam samozaparcia, aby wniknąć — jeśli nie w okrutne zamiary, to przynajmniej w gospodarcze kalkulacje Stalina: któż to teraz, po demobilizacji chciałby porzucić rodzinę, dom i jechać na Kołymę, na Workutę, na Syberię, gdzie nie ma jeszcze ani dróg, ani domów? Była to już prawie tylko kwestia zlecenia dla Komisji Planowania: dać MWD cyfry kontrolne, żeby wiedzieli ilu mają wsadzić). Amnestia! Wspaniałomyślnej i szerokiej amnestii oczekiwaliśmy — i pragnęliśmy jej! A podobno w Anglii nawet na rocznicę koronacji, to znaczy — co roku, jest amnestia!

Amnestia dla wielu politycznych ogłoszona była także na trzechsetlecie panowania Romanowów. Więc czy można uwierzyć, że teraz, po zwycięstwie na miarę stulecia — i nawet więcej, niż stulecia — stalinowski rząd będzie tak małostkowy i tak mściwy, żeby pamiętać o każdym potknięciu się, każdym pośliźnięciu każdego ze swoich nędznych poddanych?

Jest to prawda prosta, lecz dochodzi się do niej przez cierpienie: błogosławione są nie wojny zwycięskie, lecz przegrane! Zwycięstwa potrzebne są rządom, klęski — ludom. Po zwycięstwie chce się dalszych zwycięstw, po klęsce — chce się wol-

16. Dzieło zbiorowe „Od więzień do zakładów wychowawczych" podaje (str. 296) taką cyfrę: z okazji amnestii w 1927 roku wypuszczono 7,3 % więźniów. To cyfra wiarygodna. Jak na Dziesięciolecie — to niezbyt wielu. Z więźniów politycznych podlegały amnestii kobiety z dziećmi i ci, którym zostało jeszcze po parę miesięcy kary. W izolatorze Górno-Uralskim na przykład, na 200 więźniów wypuszczono jakiś tuzin. Ale w trakcie operacji już pożałowano tej mizernej amnestii i zaczęto ją z a m a z y w a ć: niektórych zatrzymano, innym zamiast pełnej wolności dano „minus".

ności — i zwykle się ją zdobywa. Klęski potrzebne są ludom tak, jak cierpienia i nieszczęścia poszczególnym ludziom: zmuszają do pogłębienia życia wewnętrznego, do wzniesienia się w życiu duchowym na wyższy poziom.

Połtawska wiktoria była dla Rosji nieszczęściem: pociągnęła za sobą dwa stulecia wielkich napięć, spustoszeń, ograniczeń wolności — i coraz nowych wojen. Klęska połtawska okazała się dla Szwedów zbawienna: straciwszy ochotę do wojen, Szwedzi uczynili swój kraj najbardziej kwitnącym i wolnym w Europie[17].

Tak bardzo przyzwyczailiśmy się do dumy z powodu naszego zwycięstwa nad Napoleonem, że uchodzi naszej uwagi, iż właśnie dzięki temu chłopi nasi nie zostali wyzwoleni o pół wieku wcześniej; właśnie dzięki niej skonsolidowana monarchia mogła rozbić dekabrystów. (Francuska okupacja nie groziła zaś Rosji realnie). A wojna krymska, a japońska, a niemiecka — wszystkie przyniosły im wolność i rewolucję.

Tej wiosny wierzyliśmy w amnestię — ale wcale nie byliśmy tu oryginalni. Gdy pomówi człowiek ze starymi więźniami, to stopniowo staje się dla niego jasne, że ta tęsknota za zmiłowaniem i wiara w zmiłowanie nigdy nie opuszcza szarych murów więziennych. Dziesięciolecie po dziesięcioleciu rozmaite potoki aresztanckie zawsze czekały i zawsze wierzyły — to w amnestię, to w nowy kodeks, to w ogólną rewizję spraw (i pogłoski te zawsze z pełną wprawy ostrożnością podtrzymywane były przez O r g a n y). W związku z każdą rocznicą Października, śmierci lub urodzin Lenina, dniem Zwycięstwa, dniem Armii Czerwonej, dniem Komuny Paryskiej, każdą nową sesją WCIK, zakończeniem każdej pięciolatki, z każdą sesją plenarną Sądu Najwyższego — zawsze wyobraźnia aresztancka oczekiwała zesłania na ziemię anioła wolności! Im bardziej szalone były aresztowania, im szersze, homeryckie, nieogarnięte umysłem rzeki więźniów — tym większą wiarę w amnestię rodziły, zamiast trzeźwości!

Wszystkie źródła świata można w tym, czy innym stopniu porównać ze słońcem. Słońce zaś nie da się porównać z niczem. Tak samo każda nadzieja w świecie da się porównać z nadzieją na amnestię, tylko ta nadzieja nie da się z niczym porównać.

Wiosną 1945 roku każdego przybysza cała cela pytała przede wszystkim, co słyszał o amnestii? A jeśli dwóch-trzech brano z celi Z RZECZAMI — znawcy od razu zaczynali analizować ich SPRAWY i konkludowali, że to — n a j l ż e j s z e wypadki, że ich zabrano, bo idą na wolność, to jasne. Z a c z ę ł o

17. Może dopiero w XX wieku — jeśli wierzyć pewnym relacjom — chroniczny przesyt przyprawił ich o zgagę moralną.

się! W wychodku, w łaźni, w tych więziennych urzędach pocztowych — wszędzie nasi aktywiści szukali śladów i napisów, dotyczących amnestii. I nagle w sławetnym fioletowym przedsionku butyrskiej łaźni w początkach lipca przeczytaliśmy wspaniałe proroctwo wypisane mydłem na fiołkowej glazurze, wysoko nad głową (a więc jeden stanął drugiemu na barkach, żeby tylko napisu dłużej nie ścierano):

„Hurra!!! 17 lipca amnestia[18]!"

Ileż było radości! („Toć gdyby nie wiedzieli dokładnie, to by nie napisali!"). Wszystko co w naszych ciałach biło, tęskniło, krążyło — teraz zamierało z raptownej radości na myśl, że zaraz otworzą się drzwi...

Ale — DO MIŁOSIERDZIA TRZEBA ROZUMU.

W połowie lipca dozorca korytarzowy posłał pewnego starca z naszej celi do sprzątania klozetu i tam, w cztery oczy (nie zdobyłby się na to przy świadkach) zapytał, patrząc ze współczuciem na jego siwą głowę: „Z jakiego artykułu, ojciec?" — „Z pięćdziesiątego ósmego" — ucieszył się stary, po którym płakały w domu trzy pokolenia. — „Nie podpadasz..." — westchnął strażnik. Bzdura! — powiedziano w celi. Strażnik po prostu się nie zna.

W tej celi siedział młody kijowianin, Walenty (nie pomnę nazwiska) o wielkich, pięknych, kobiecych oczach. Był sterroryzowany śledztwem. Był to na pewno jasnowidz, może tylko dzięki ówczesnemu swemu podnieceniu. Nie jeden raz krążył rankami po celi i mówił: dziś wezmą ciebie i ciebie, widziałem we śnie. I brali! Właśnie tych! Zresztą dusza więźnia tak skłonna jest do mistyki, że na jasnowidzenie reaguje prawie bez zdziwienia.

27 lipca Walenty podszedł do mnie: „Aleksandrze! Dziś kolej na nas". I opowiedział mi swój sen ze wszystkimi atrybutami snów więziennych: most nad ciemną strugą, krzyż. Zacząłem się pakować — i dobrze zrobiłem: po rannej herbacie wywołano nas obu. Cela żegnała nas serdecznymi życzeniami, wielu było przekonanych, że idziemy na wolność (z analizy naszych l e k k i c h spraw to właśnie wynikało).

Człowiek może całkiem szczerze nie dawać temu wiary, nie pozwalać sobie na nią, bronić się ironią, ale rozpalone kleszcze, a gorętszych nie ma na świecie, nagle ścisną, nagle ścisną mu duszę: a jeżeli to prawda?...

Zebrano nas ze dwudziestu z różnych cel i z początku zaprowadzono do łaźni (na każdym zakręcie życiowej drogi więzień

18. I omylili się, psiekrwie, tylko o jedynkę! Bardziej szczegółowo o wielkiej stalinowskiej amnestii z 7 lipca 1945 roku — patrz cz. III, rozdział 6-ty.

przede wszystkim powinien przejść przez łaźnię). Mieliśmy tam dość czasu, chyba z półtorej godziny, by zająć się zgadywaniem i porozmyślać trochę. Później dopiero nas — wyparzonych, rozmiękłych — poprowadzono przez szmaragdowy ogródek wewnętrznego butyrskiego podworca, gdzie ogłuszająco ćwierkały ptaki (były to chyba tylko wróble), zaś zieleń drzew wydawała się nieznośnie ostra oczom, co dawno już się od niej odzwyczaiły. Nigdy oczy moje z taką mocą nie wchłaniały zieleni listowia, jak tej wiosny! I niczego w moim życiu nie widziałem, co podobniejsze byłoby do bożego raju, niż ten butyrski ogródek, a nie trzeba było więcej, niż trzydziestu sekund, aby przeciąć go asfaltową ścieżką[19].

Doprowadzeni zostaliśmy na butyrski dworzec (czyli punkt przyjęć i ekspedycji aresztantów — nazwa bardzo trafna — ponadto główny westybul rzeczywiście przypomina tam dworzec), gdzie nas wpakowano do obszernego, szerokiego boksu. Panował w nim półmrok, powietrze było czyste, świeże; jedyne, maleńkie okno umieszczone było wysoko, ale nie miało żelaznego kagańca. Wychodziło zaś na ten sam słoneczny ogródek i zza uchylonej ramy dochodził ogłuszający ptasi świergot, a w szparze kołysała się zielona gałązka, obiecująca nam wszystkim wolność i powrót do domu. (Widzicie! Także w takim dobrym boksie nigdyśmy nie siedzieli! To nie przypadek!).

A wszyscyśmy podlegać mieli tylko OSO[20]! Znaczyć by to mogło, że siedzimy za jakieś bagatele.

Przez trzy godziny nikt nami się nie interesował, nikt nie otwierał drzwi. Krążyliśmy, krążyliśmy, krążyliśmy po boksie i, znużeni, przysiadaliśmy na klinkierowych ławkach. A gałązka ciągle się chwiała, wciąż chwiała się za uchylonym oknem i wróble przekrzykiwały się, jak oszalałe.

Nagle zajazgotały drzwi i wywołano jednego z nas, cichego buchaltera, lat trzydziestu pięciu. Wyszedł. Drzwi znów się zamknęły. Jeszcze szybciej jęliśmy krążyć po dnie naszego pudełka, wszystko nas piekło.

Znów ten łoskot. Wywołano drugiego, tamtego znów wpuszczono. Z twarzy jego uszło życie. Jego rozwarte oczy były ślepe.

---

19. Jeszcze jeden podobny ogródek, tylko mniejszy, za to intymniejszy, po wielu latach, zobaczyłem przy zwiedzaniu Trubeckiego bastionu twierdzy Pietropawłowskiej w Leningradzie. Zwiedzający przejęci byli grozą na widok mrocznych korytarzy i cel, ja zaś pomyślałem — że mając taki ogródek na spacery, więźniowie bastionu trubeckiego nie mogli już czuć się, jak potępieńcy. Nas wyprowadzano na spacer tylko do martwych, kamiennych worków.

20. *Osoboje Sowieszczanie* (Kolegium Specjalne) przy GPU-NKWD.

Niepewnymi ruchami, chwiejnym krokiem przesuwał się on po gładkiej podłodze boksu. Kontuzja? Dostał po głowie dechą do prasowania?

— No i co? — No i co? — pytaliśmy truchlejąc (jeśli nie wstał właśnie z elektrycznego krzesła, to w każdym razie dostał wyrok śmierci). Głosem obwieszczającym koniec świata, buchalter wykrztusił:

— Pięć!! Lat!!!

I znów zagrzmiały drzwi — tak szybko wracali, jakby ich wyprowadzano do wychodka za małą potrzebą. Ten wrócił rozpromieniony. Na pewno dostał zwolnienie.

— No? No? — skupiliśmy się przy nim, a nadzieja znów w nas wstąpiła. Zamachnął ręką, dusząc się ze śmiechu:

— Piętnaście lat!

To było zbyt niedorzeczne, żeby człowiek mógł od razu uwierzyć.

VII

W STACJI POMP

W sąsiednim boksie butyrskiego „dworca", w ogólnie znanym boksie k i p i s z o w y m (rewidowano tam przybywających aresztantów i duże wymiary sali pozwalały pięciu-sześciu strażnikom obrabiać do dwudziestu zeków w jednej partii) — teraz nie było nikogo, grubo ciosane stoły rewizyjne były puste i tylko z boku, pod lampą siedział przy małym, dostawionym stoliku schludny, czarnowłosy major NKWD. Wyraz cierpliwej nudy — oto co było wypisane na jego twarzy. Tracił czas na próżno, zeków wprowadzano i wyprowadzano pojedynczo. Zebrać podpisy można było znacznie prędzej.

Wskazał mi taborecik po drugiej stronie stołu, zapytał o nazwisko. Z prawej i lewej strony kałamarza leżały przed nim stosiki białych papierków jednakowej wielkości — po pół arkusika tego formatu właśnie, jakiego używają w administracji domu na zaświadczenia opałowe, a w urzędach na upoważnienia do zakupu materiałów biurowych. Major przewertował prawy stosik, znalazł papierek mnie dotyczący. Wyciągnął go, odczytał tekst pośpiesznie i obojętnie (zrozumiałem — że dostałem osiem lat) i natychmiast zaczął na odwrocie pisać wiecznym piórem, że decyzję zakomunikowano mi takiego, a takiego dnia.

Serce mi nie zabiło nawet na pół taktu prędzej — takie to wszystko było zwyczajne. To miał być mój wyrok — decydujący, przełomowy punkt mojego życia? Chciałem nawet się przejąć, odczuć głębiej ten moment — ale nie dawałem rady. A major już podsunął mi arkusik odwrotną stroną. I uczniowska obsadka za siedem kopiejek z marną stalówką, z paprochem wyłowionym z kałamarza, już leżała przede mną.

— Nie, muszę przeczytać sam.

— Co, jabym was oszukiwał? — leniwie odparł major. — No dobrze, czytajcie.

I niechętnie wypuścił kartkę z palców. Obróciłem ją i zacząłem studiować specjalnie powoli, nawet nie słowo po słowie, tylko litera po literze. Napisane to było na maszynie, ale miałem w ręku nie pierwszy egzemplarz, tylko kopię.

W y c i ą g
z werdyktu OSO NKWD ZSSR z 7 lipca 1945 roku[1],
Nr .....

Następnie wszystko to było podkreślone linią kropkowaną i taką samą linią kropkowaną przedzielone pionowo:

R o z p a t r z o n o :	P o s t a n o w i o n o :
Akt oskarżenia takiego a takiego (imię, nazwisko, rok urodzenia, miejsce zamieszkania).	Orzec wobec takiego a takiego (imię, nazwisko) za agitację antysowiecką i próbę utworzenia antysowieckiej organizacji karę 8 (ośmiu) lat obozu pracy poprawczej.

Za zgodność: Sekretarz...

Więc miałem się pod tym po prostu podpisać i wyjść w milczeniu? Spojrzałem na majora — czy mi czegoś nie powie, czy nie wyjaśni? Nie, nie miał zamiaru. Już nawet skinął na strażnika, stojącego w drzwiach, aby wprowadził następnego.

Chcąc dodać tej chwili chociaż trochę znaczenia, powiedziałem z akcentem tragizmu:

— Ale to przecież okropne! Osiem lat! Za co?

I sam usłyszałem ton fałszu w tych słowach: ani ja, ani on nie znajdowaliśmy tu nic okropnego.

— O, tu — jeszcze raz wskazał mi major, gdzie mam się podpisać.

Złożyłem podpis. Nie wiedziałem po prostu, co by tu jeszcze zrobić?

— Pozwólcie więc, że napiszę tu u was odwołanie. Przecież wyrok jest niesprawiedliwy.

— W ustawowym trybie — mechanicznie skwitował major moje słowa, kładąc papierek na lewą kupkę.

— Wyjść! — rozkazał mi strażnik.

I w y s z e d ł e m.

1. Obradowali właśnie w dniu amnestii, robota nie czeka.

(Okazało się, że nie byłem bardzo pomysłowy. Georgij Tenno któremu, co prawda, dano papierek na dwadzieścia pięć lat, tak odpowiedział: „Przecież to dożywocie! Za dawnych lat, kiedy człowieka skazywano na dożywocie — biły werble, zbierał się tłum. A tu — jak kwitek na mydło — dwadzieścia pięć i odmaszerować!").

Arnold Rappoport wziął pióro i napisał na odwrocie: „Protestuję kategorycznie przeciw terrorystycznemu, bezprawnemu wyrokowi i żądam natychmiastowego zwolnienia". Enkawudzista z początku czekał cierpliwie, po przeczytaniu zaś powyższego — rozgniewał się i porwał cały papier razem z protestem. Nie szkodzi, werdykt pozostał w mocy: przecież to była tylko kopia.

A Wiera Korniejewa oczekiwała p i ę t n a s t u lat i z radością wyczytała z papierka, że dostała tylko p i ę ć. Zaśmiała się swoim promiennym śmiechem i podcyfrowała kartkę szybciutko, żeby jej ktoś nie zabrał. Oficer zapytał nieufnie: „Czyście aby zrozumieli, co tu wam przeczytałem?" „Tak, tak, bardzo dziękuję! Pięć lat obozu pracy poprawczej!"

Janos Rozhas był Węgrem, werdykt na 10 lat przeczytano mu w korytarzu, po rosyjsku i nie zatroszczono się o przekład. Podpisał i nie zrozumiał, że to był wyrok, długo później oczekiwał rozprawy sądowej, jeszcze później w obozie przypomniał sobie z trudem ten moment i domyślił się wszystkiego.

Wróciłem do boksu z uśmiechem. Dziwne, ale z każdą chwilą było mi weselej i lżej. Wszyscy wracali z c z e r w o ń c a m i, Walenty również. Najbardziej dziecinny termin dostał ten oszalały buchalter (wciąż jeszcze siedział, jakby stracił rozum). Następnym w hierarchii byłem ja.

Cała w bryzgach słonecznych, poruszana lipcowym wietrzykiem, wciąż tak samo wesoło chwiała się gałązka za oknem. Paplaliśmy z ożywieniem. To tu, to tam — coraz częściej wybuchał w boksie śmiech. Śmialiśmy się, że wszystko poszło gładko; śmialiśmy się ze wstrząśniętego buchaltera; śmialiśmy się z naszych porannych nadziei i z tego, że gdy nas wyprowadzano z cel, więźniowie zamawiali przez nas symboliczne paczki: cztery kartofle! dwa obwarzanki!

Ależ będzie amnestia! — twierdzili niektórzy. — To tak tylko na pokaz nas straszą, żebyśmy czasem nie zapomnieli. Stalin powiedział do jednego amerykańskiego korespondenta...

— Jak się ten korespondent nazywał?

— Nazwiska nie znam...

Tu nam kazano zabrać rzeczy, ustawiono dwójkami i znów nas poprowadzono przez ten cudowny ogródek, pełen lata. A dokąd? A znów do ł a ź n i!

To nas doprowadziło już do hucznego śmiechu — ależ fajtłapy! Rozebraliśmy się ze śmiechem, powiesiliśmy nasze szmatki na tych samych hakach i wtoczyli je do tego samego piecznika, do którego wtaczaliśmy je dziś rano. Śmiejąc się, pobraliśmy po tafelce wstrętnego mydła i weszliśmy do dużej, dudniącej echem sali łaziebnej, zmywać ślady naszych niewinnych uciech. Pluskaliśmy się więc, lejąc a lejąc na siebie czystą, gorącą wodę. Ten oczyszczający, przynoszący ulgę śmiech był, jak myślę, nie tyle objawem choroby ile samoobroną organizmu, odruchem ratunkowym. Wycierając się, Walenty mówił mi uspokajającym, kojącym tonem:

— Co tam, jeszcześmy młodzi, jeszcze pożyjemy. Najważniejsze — to nie potknąć się t e r a z. Pojedziemy do obozu — i a n i s ł o w a nikomu, żeby nam drugiego wyroku nie dosunęli. B ę d z i e m y u c z c i w i e p r a c o w a ć i m i l c z e ć.

Jak ci wierzył w ten program, ile miał nadziei, niewinne ziarenko w żarnach Stalina! Miał człowiek ochotę zgodzić się z nim, potulnie odsiedzieć swoje, a później wymazać z głowy to, co przeżył.

Ale już we mnie narastało uczucie: jeżeli po to, aby żyć, trzeba NIE ŻYĆ, to po co to wszystko?...

◆

Nie można powiedzieć, że OSO to pomysł porewolucyjny. Już Katarzyna II dała niemiłemu jej sercu żurnaliście — Nowikowowi piętnaście lat, rzec można, na zasadzie OSO, bowiem nie oddała go pod sąd. I wszyscy carowie — patrzeć, a zsyłali po ojcowsku niewygodnych im ludzi — bez sądu. W latach 60-tych XIX wieku miała miejsce gruntowna reforma sądownictwa. Zdawało się, że i władcy i poddani zaczęli dorabiać się czegoś w rodzaju zgodnego z prawem poglądu na życie społeczne. Nie mniej, również w 70-tych i 80-tych latach Korolenko wykrywa wypadki administracyjnej samowoli, zastępującej postępowanie sądowe. Sam on zresztą w 1876 roku z jeszcze dwoma studentami był deportowany bez sądu i dochodzenia — na mocy rozporządzenia wiceministra dóbr państwowych (typowy wypadek OSO). Również bez sądu zesłano go po raz wtóry, razem z bratem do miasteczka Głazow. Korolenko wymienia też Fiodora Bogdana — chłopskiego delegata, który dotarł do samego cara, a później został zesłany; Pjankowa, którego sąd uniewinnił, ale car kazał zesłać z najwyższego rozkazu; jeszcze paru innych. Wiera Zasulicz też w swoim liście z emigracji wyjaśniała, że ukrywa się nie przed prawem, ale przed bezprawiem, przed administracyjną samowolą.

W ten sposób tradycja ciągnęła się przerywaną linią, ale była zbyt niemrawa, dobra dla pogrążonego w drzemce azjatyckiego kraju, nie dla sprężonego do skoku naprzód mocarstwa. I następnie — ta niechlujna dowolność: k t o pełnił właściwie funkcje OSO? Raz car, raz gubernator, raz wiceminister. A wreszcie, przepraszam, ale co to za rozmach, jeżeli można w y l i c z y ć nazwiska i wypadki?

Era rozmachu zaczęła się w 20-tych latach, kiedy to dla systematycznego omijania drogi sądowej powołano s y s t e m a t y c z n i e też działające t r ó j k i. Z początku popisywano się tym, nawet nie bez dumy: t r ó j k a GPU. Nazwisk ławników nie tylko nie ukrywano, ale je nawet reklamowano! Któż na Wyspach Sołowieckich nie znał słynnej moskiewskiej trójki: Gleb Bokij, Wul i Wasiliew? I to jest dopiero słowo — TRÓJKA! Jest w nim brzęk dzwonków pod końską duhą, karnawałowe rozhukanie, ale zarazem — jakaś zagadka: dlaczego właśnie — „trójka"? Co to znaczy? w sądzie też przecież nie czwórka zasiada! a trójka — to nie sąd! Najbardziej zagadkowe jest jednak to, że — zaocznie. Nas tam nie było, nie widzieliśmy nic, dano nam tylko papierek: proszę podpisać. Trójka była więc czymś jeszcze straszniejszym od rewtrybunału. A później — odseparowała się, zamaskowała, zamknęła się w izolowanym pokoju i otoczyła tajemnicą nazwiska. A gdy już zaczęła zasiadać w ukryciu — to raz na zawsze, tylko wyrok nam przysyłała przez maszynistki. (I — do zwrotu, bo takiego dokumentu nie wolno zostawiać w niczyim ręku).

Te trójki (na wszelki wypadek używamy liczby mnogiej, bo — jak to bywa z bóstwami — nie wiadomo nigdy gdzie i w jakim kształcie występują) odpowiadały pewnej pilnej potrzebie, która się pojawiła: żeby już nie wypuszczać na wolność tych, których kiedyś aresztowano (no, coś w rodzaju oddziału kontroli technicznej przy GPU: żeby nie było b r a k u). I jeśli już facet okazał się niewinny, a sądzić go nie było można w żaden sposób, to niech za pośrednictwem trójki dostanie swoje „minus trzydzieści dwa" (miasta gubernialne), albo — zesłanie na dwa-trzy latka, a potem — już jak bez ucha, już na zawsze jest napiętnowany, już teraz zaliczy się do „recydywistów". (Niech nam czytelnik daruje: toć znów stoczyliśmy się do tego prawicowego oportunizmu — znów jakieś pojęcie „winy", że winien, czy niewinien. Toć nam nieraz mówiono, że c h o d z i n i e o w i n ę i n d y w i d u a l n ą t y l k o o z a g r o ż e n i e s p o ł e c z n e: wolno wsadzić także niewinnego, jeśli jest obcy socjalnie, wolno wypuścić winnego, jeśli to element socjalnie bliski. Ale może to będzie wybaczone nam, ludziom bez wykształcenia prawniczego, skoro

sam Kodeks z 1926 roku, pod ojcowską opieką którego żyliśmy sobie dwadzieścia pięć lat — też był krytykowany za „niedopuszczalne, burżuazyjne podejście", za „niewystarczająco klasowy stosunek", za jakieś „burżuazyjne przestrzeganie proporcji między ciężarem winy a karą[2]").

Niestety nie nam jest pisane zbadanie nader zajmującej historii tego Organu: jak trójki przekształciły się w OSO, kiedy zmieniły nazwę; czy było OSO w miastach okręgowych, czy też tylko jedno w białokamiennej stolicy; i kto z naszych wybitnych, pełnych dostojeństwa działaczy wchodził w skład tego ciała; jak często i jak długo ono obradowało; czy podawano przy tym herbatę, czy nie — i co dawano do herbaty; i jak toczyły się te obrady — czy prowadzono jakieś rozmowy, czy może nawet obchodzono się bez nich? Nie my o tym napiszemy, bo nie wiemy. Słyszeliśmy tylko nieraz, że OSO było zjawiskiem trójjedynym — i chociaż teraz nie można dotrzeć do nazwisk gorliwych jego asesorów, to jednak znane są te trzy organy, które posyłały tam swoich stałych delegatów: jeden był z KC, jeden z MWD, jeden — z prokuratury. Nie będzie jednak żadnym cudem, jeżeli któregoś dnia dowiemy się, że nie było nigdy żadnych obrad, był zaś tylko sztab doświadczonych maszynistek, robiących wyciągi z nieistniejących protokołów — i jeden szef kancelarii, kierujący maszynistkami. O, maszynistki — te były na pewno, za to ręczymy!

Aż do 1924 roku prawa trójek były ograniczone: mogły dawać wyroki do trzech lat kary; od 1924 rozszerzono je — do pięciu lat obozu; począwszy od 1937 OSO wlepiało c z e r w o ń c a ! od 1947 z powodzeniem rąbało ludziom po ć w i a r t c e. Są świadkowie (Czawolarow) wiedzący, że w okresie wojny OSO skazywało także na rozstrzelanie. Nic specjalnego.

Nie wymienione ani w konstytucji, ani w kodeksie, OSO okazało się jednak najwygodniejszą z maszynek do mięsa — posłuszną, bezpretensjonalną i nie wymagającą prawniczego smarowania. Kodeks istniał swoją drogą, a OSO — swoją i kręciło się gładko bez wszystkich jego dwustu pięciu artykułów, nie uciekając się do nich i nawet ich nie wspominając.

Jak powiadają w obozie: jak kto już nie może, to sąd też nie pomoże, ale OSO — zawsze.

Rozumie się, że dla wygody OSO także musiało mieć jakiś kod wstępny; w tym celu samo ono stworzyło dla siebie zestaw artykułów l i t e r o w y c h, bardzo ułatwiających czynności (nie trzeba łamać sobie głowy i dostosowywać wyroki do sformuło-

2. Dzieło zbiorowe: *Od więzień do zakładów wychowawczych.*

wań kodeksu); były tak nieliczne, że dziecko by je spamiętało (część z nich już wymieniliśmy):

— ASA — Anty-Sowiecka Agitacja;
— KRD — Kontr-Rewolucyjna Działalność;
— KRTD — Kontr-Rewolucyjna Trockistowska Działalność (ta literka „t" bardzo ciężko odbijała się na losie więźnia w obozie);
— PSz — Podejrzenie o Szpiegostwo (to, co w sprawie o szpiegostwo wykraczało za ramy podejrzenia — było w gestii trybunału);
— SWPz — Stosunki Wywołujące (!) Podejrzenie o Szpiegostwo;
— KRM — Kontr-Rewolucyjny sposób Myślenia;
— WAS — Wywoływanie Anty-Sowieckich nastrojów;
— SOE — Socjalnie Wrogi Element;
— PD — Przestępcza Działalność (chętnie to dawano byłym łagrowcom, jeżeli już do niczego innego nie można się było przyczepić);
i wreszcie bardzo pojemny artykuł
— CzS — członek rodziny* (skazanego na podstawie jednej z wyżej wymienionych kombinacji literowych).

Nie zapominajmy, że litery te nie przypadały równomiernie na poszczególne lata i poszczególne grupy ludzkie, lecz podobnie, jak artykuły Kodeksu i punkty dekretów — spadały na kraj, niby nagłe epidemie.

I jeszcze jedno zastrzeżenie: OSO wcale nie pretendowało do ferowania wyroków! — nie dawało wyroków! — orzekało tylko karę administracyjną, to wszystko. Jasne, że musiało dlatego być wolne od prawnych ograniczeń.

Ale chociaż ta kara administracyjna nie zamierzała wcale pretendować do godności wyroku sądowego, mogła jednak trwać 25 lat i zawierać:

— pozbawienie rang, tytułów i orderów;
— konfiskatę całego majątku;
— odebranie prawa korespondencji —

w rezultacie czego człowiek znikał z powierzchni ziemi jeszcze skuteczniej, niż na mocy prymitywnego wyroku sądowego.

Inną ważną zaletą OSO było to, że od jego werdyktów nie było apelacji — nie było gdzie składać skarg: nie istniała żadna instytucja, ani wyższa odeń, ani niższa. Podlegało jedynie ministrowi spraw wewnętrznych, Stalinowi i szatanowi.

---

* W oryginale — *czlen sjemii.*

Wielkim przymiotem OSO była szybkość działania: ograniczała ją tylko technika maszynopisania.

Wreszcie — OSO nie tylko nie miało potrzeby oglądania oskarżonego (przez co odciążał się bardzo transport wewnętrzny w więzieniach), ale nawet nie żądało okazywania jego fotografii. W okresach tłoku w więzieniach miało to jeszcze tę dobrą stronę, że więzień po zakończeniu śledztwa mógł nie zabierać innym miejsca na więziennej podłodze, nie jeść ludowego chleba, tylko być od razu skierowany do obozu, by uczciwie tam się trudzić. Przeczytać zaś kopię wyciągu mógł wszak nawet znacznie później.

W ulgowych wypadkach zdarzało się tak, że więźniów wyładowywano z wagonów na stacji docelowej; kazano im zaraz klękać obok nasypu (to środek zapobiegawczy przeciwko próbom ucieczki, ale sprowadzało się to w rezultacie do modlitwy na cześć OSO) i bez żadnej zwłoki czytano im werdykty. Zdarzało się też inaczej: przybywające do Piereborów w 1938 roku transporty nie znały ani swoich artykułów, ani wyroków, ale witający ich tam pisarz — wszystko wiedział i z miejsca znajdował w spisie: SWE — 5 lat (był to okres, w którym potrzeba było wielu rąk do budowy kanału „imienia Moskwy").

Niektórzy zaś pracowali już w obozie wiele miesięcy, nie znając swojego wyroku. Wreszcie (jest to relacja I. Dobriaka) ustawiono ich uroczyście w szeregu — nie jakiegoś szarego dnia, tylko 1 maja 1938 roku, gdy wszędzie wisiały czerwone flagi — i odczytano im werdykty trójki okręgu stalinowskiego w Zagłębiu Donieckim (więc jednak OSO decentralizowało się w okresach większego zapotrzebowania): od dziesięciu do dwudziestu lat każdemu. A mój obozowy brygadier Siniebriuchow w tym samym 1938 roku wraz z całym kolejowym składem jeszcze niesądzonych, wysłany został z Czelabińska do Czerepowca. Mijały miesiące, zeki już tam pracowali. Nagle zimą, w dzień wolny od pracy (zauważyliście jakie dni się wybiera? na czym OSO zależy?) w trzaskający mróz wypędzono ich na dwór, ustawiono szeregami, wyszedł do nich przyjezdny lejtnant i oznajmił, że przyjechał, aby zapoznać ich z decyzjami OSO. Ale nie był to zły chłopak, jak się okazało, bo zerknął na ich dziurawe obuwie, na słońce, na oszronione słupy i tak powiedział:

— A zresztą, chłopaki, po co macie tu marznąć? Dość, jak będziecie wiedzieli, że wszystkim wam dało OSO po dziesięć lat, a mało, bardzo mało kto dostał osiem. Zrozumiano? Rozejść się!...

◆

Skoro jednak Kolegia Specjalne miały charakter tak otwarcie

mechaniczny — na co jeszcze zdały się sądy? Komu potrzebny tramwaj konny, skoro jest pod ręką bezszelestny, nowoczesny, elektryczny, z którego nikt nie wyskoczy? Żeby dawać sędziom papu?

Po prostu — nie wypada, żeby demokratyczne państwo nie miało sądów. W 1919 roku VIII Zjazd partii zapisał w programie: należy starać się, aby cały lud pracujący bez wyjątku brał udział w wykonywaniu obowiązków sądowych. „Wszystkich bez wyjątku" nie udało się włączyć do tej akcji, jurysdykcja to rzecz skomplikowana, no, ale wyrzec się sądów zupełnie — to też nie uchodzi!

Zresztą, nasze sądy polityczne — izby specjalne sądów okręgowych, trybunały wojskowe (a dlaczego właściwie — trybunały w okresie pokoju?), no i wszystkie tam Najwyższe — ciągną za OSO jak za panią matką; one też nie grzęzną w bagnie jawności i nie tracą czasu na debaty stron.

Pierwsza i naczelna ich cecha — to niejawność. Są przede wszystkim — niejawne i to dla własnej wygody.

I tak już się przyzwyczailiśmy, że miliony i miliony ludzi skazane zostały przy drzwiach zamkniętych, na tyle już się z tym zżyliśmy, że niejeden otumaniony syn, brat albo synowiec skazanego jeszcze ofuknie cię z całym przekonaniem: „A cóżeś ty chciał? Widać sprawa ma związek z czymś... Jeszcze by się wrogowie dowiedzieli! Jak to można...".

Tak więc, bojąc się, że się „wrogowie dowiedzą" sami sobie wpychamy łeb między kolana. Kto dziś w naszym kraju — prócz moli bibliotecznych — pamięta, że Karakozow po swoim zamachu na cara dostał obrońcę? Że Żelabow i wszyscy narodowolcy sądzeni byli jawnie, bez obawy, „że Turcy się dowiedzą"? Że Wiera Zasulicz, która strzelała do — jeśli przetłumaczyć na język współczesny — naczelnika moskiewskiej delegatury okręgowej MWD (nie trafiła go w głowę, po prostu ręka jej drgnęła) — nie tylko że nie została zatłuczona w jakiejś katowni, nie tylko nie była sądzona przy drzwiach zamkniętych — ale że PUBLICZNY sąd przysięgłych (nie jakaś trójka) UNIEWINNIŁ ją — i że z tryumfem odjechała z sądu karetą?

Przytaczając te przykłady dla porównania — nie chcę wcale twierdzić, że w Rosji istniało sądownictwo doskonałe. Zapewne godne takiej nazwy sądownictwo należy do najpóźniej dojrzewających owoców bardzo już dostałego społeczeństwa, chyba, że ma się do dyspozycji króla Salomona. Włodzimierz Dal zauważył, że w Rosji, w okresie poprzedzającym reformy, „nie było ani

jednego przysłowia pochlebnego dla sądów"! — To chyba coś znaczy! Zdaje się, że nie zdążono też ukuć ani jednego przysłowia, chwalącego obieralnych naczelników ziemstw powiatowych. Ale reforma sądownictwa z 1864 roku otwierała przynajmniej przed mieszkańcami naszych miast drogę, wiodącą do angielskich wzorów, którymi tak zachwycał się Herzen.

Pisząc to wszystko, nie zapominam o wypowiedzi Dostojewskiego, skierowanej przeciw naszym sądom przysięgłych („Dziennik pisarza"): o ekscesach adwokackiego krasomówstwa („Panowie przysięgli! ależ cóż by to była za kobieta, gdyby nie zarżnęła rywalki?... panowie przysięgli! ależ, kto z nas nie wyrzuciłby w tych warunkach dziecka przez okno?...), o tym, że u przysięgłych jakiś chwilowy odruch może przesłonić obywatelską odpowiedzialność. Ale Dostojewski wyprzedził duchem bieg naszego życia, zapędził się daleko naprzód i obawiał się NIE TEGO, czego właśnie należało się obawiać! Był przekonany, że sąd publiczny jest już zdobyczą raz na zawsze osiągniętą!... (Zresztą — kto z jego współczesnych mógłby uwierzyć w OSO?...) W innym miejscu tak on pisze: „mniejszy to błąd zmiłować się nad winnym, niż posłać na szafot niewinnego". O tak, tak, tak!

Przerosty krasomówstwa są chorobą nie tylko ząbkujących sądów, lecz także ogólniej — ugruntowanej już demokracji (ugruntowanej, ale jeszcze nie zorientowanej co do swoich celów moralnych). W takiej Anglii widzimy na przykład, jak leader opozycji, chcąc zapewnić swojej partii przewagę, nie waha się przed obarczeniem rządu odpowiedzialnością za stan kraju, przeczerniając sytuację bardziej, niż ona na to zasługuje.

Nadużywanie krasomówstwa — to niedobry zwyczaj. Ale jakiej nazwy użyć trzeba dla nadużyć w dziedzinie tajności? Dostojewski marzył o takim sądzie, w którym o s k a r ż y c i e l powie wszystko niezbędne dla OBRONY oskarżonego. Ileż to wieków musielibyśmy na to czekać? Nasze doświadczenie społeczne dostarczyło nam jak dotąd niezmiernego mnóstwa przykładów OSKARŻENIA podsądnych przez a d w o k a t ó w („jako uczciwy człowiek sowiecki, jako prawdziwy patriota nie mogę nie czuć wstrętu do tych zbrodni, które są tu przedmiotem rozprawy...").

I jakie to wygodne — te rozprawy przy drzwiach zamkniętych! Toga tu niepotrzebna, można spokojnie zakasać rękawy. Co za ułatwienie w pracy! — ani mikrofonów, ani korespondentów, ani publiczności. (Nie, dlaczego, publiczność tu bywa, ale to — f u n k c j o n a r i u s z e ś l e d c z y. Na przykład, do le-

ningradzkiego sądu okręgowego przychodzili oni we dnie, aby sprawdzić, jak też sprawują się ich wychowankowie — a później, w nocy, odwiedzali w więzieniu tych, którym trzeba było przemówić do sumienia[3]).

Druga z najważniejszych cech naszych sądów politycznych — to jasność perspektyw w robocie. Chodzi o to, że sentencje są z góry określone[4]. To znaczy, że człowiek wie zawsze czego chce od niego zwierzchność (toż w końcu istnieją telefony!). Wzorem OSO — bywają nawet sentencje z góry wypisane na maszynie, wystarczy tylko wpisać ręcznie nazwisko. A jeżeli — dajmy na to Strachowicz krzyknie podczas rozprawy: „Ależ jak mogłem być zawerbowany przez Ignatowskiego, skoro miałem wtedy raptem dziesięć lat!" — to przewodniczący kompletu sędziowskiego (trybunał Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, 1942) tylko huknie w odpowiedzi: „Nie szkalować sowieckiego wywiadu!" Bo wszystko już dawno postanowione: cała grupa Ignatowskiego ma być rozstrzelana, wszyscy pod rząd. Jest w tej grupie jeden tylko, niejaki Lipow, którego nikt z grupy nie zna i który także nie zna nikogo. No to dać mu tam dziesięć lat, już dobrze.

Jak bardzo ułatwia sędziom kroczenie po ciernistej drodze życia fakt, że wyroki są dane z góry! Nie tyle nawet chodzi o ułatwienie dla intelektu — bo nie trzeba wysilać mózgownicy — ile o ulgę moralną: człowiek nie dręczy się już, że wyda mylną sentencję i w rezultacie osieroci własne dzieci. Nawet tak zakamieniałego sędziego, jak Ulrych — kto z wybitniejszych rozstrzelanych nie z jego ust usłyszał wyrok? — skłania do pewnej dobroduszności fakt, że werdykt jest ustalony z góry. W 1945 roku Kolegium Wojskowe rozpatruje sprawę „estońskich separatystów". Przewodniczy — niziutki, krępy, dobroduszny Ulrych.

---

3. Grupa Cz-na.

4. Wspomniany już tom zbiorowy — *Od więzień...* sam daje nam do rąk sporo materiału, twierdząc, że nie nowa to sprawa, że już w latach 1924-29 wyroki były z góry przesądzone i podporządkowane ogólnym względom charakteru administracyjno-gospodarczego. Że poczynając od roku 1924 — z uwagi na bezrobocie, panujące w kraju, sądy zmniejszyły ilość wyroków skazujących na pracę poprawczą z pozostawieniem na wolności — a zwiększyły ilość krótkoterminowych kar więzienia (mowa, rzecz jasna, o przestępstwach pospolitych). W rezultacie nastąpiło przepełnienie zakładów karnych więźniami krótkoterminowymi (poniżej 6-ciu miesięcy) którzy nie mogli być w efektywny sposób wykorzystani do pracy w koloniach karnych. W początkach 1929 r. Ludowy Komisariat Sprawiedliwości ZSSR w okólniku Nr 5 POTĘPIŁ ferowanie tak małych wyroków, a 6. XI. 1929 (w wigilię 12-tej rocznicy Października, w momencie przystąpienia do budowy socjalizmu) na mocy decyzji CIK i Sownarkomu po prostu już ZABRONIONO skazywania na termin krótszy, niż jeden rok!

Nie traci okazji: żartuje nie tylko z kolegów, lecz również z podsądnych (to jest właśnie humanitaryzm! nowa cecha, gdzie to kto widział?). Dowiedziawszy się, że Suzi jest adwokatem, mówi z uśmiechem: „No i przyda się wam w końcu wasz zawód!". No bo o co tu wszczynać spory? Po co szarpać nerwy? Rozprawa toczy się zwykłym trybem: nie odchodząc od stołu sędziowskiego palą sobie, a w sposobnej chwili — zarządzają przyzwoitą przerwę obiadową. Gdy zaś się wieczór zbliży — sąd oddala się na n a r a d ę. Ale kto by tam naradzał się w nocy? Oskarżonych zostawia się na całą noc na ich ławie, sędziowie natomiast rozjeżdżają się do swoich domów. Następnego rana, skoro dziesiąta, przychodzą wyświeżeni, wygoleni: „Wstać, sąd idzie!" — i dają każdemu c z e r w o ń c a.

I jeśli kto powie z przekąsem, że OSO przynajmniej nie grzeszy hipokryzją, a tu — sam fałsz, choćby to udawanie, że się naradzają — to założymy stanowczy protest! Stanowczy!

No i wreszcie trzecia cecha — to d i a l e k t y k a (dawniej mówiło się po prostacku — d y s z e l niby na przedzie, a gdzie nim skręcisz, tam jedzie). Kodeks nie powinien być bezwładnym kamieniem na drodze sędziego. Artykuły kodeksu mają już po dziesięć, piętnaście, dwadzieścia latek, a życie biegnie szparko i — jak mawiał Faust:

„Świat cały zmienia się i ciągle naprzód mknie,
A ja mam trwać przy raz mu danym słowie?"

Wszystkie artykuły obrosły komentarzami, wskazaniami, instrukcjami. Jeśli czyn oskarżonego w ogóle nie jest przez kodeks przewidziany, to można jednak ukarać go:

— przez a n a l o g i ę (co za możliwości!);
— po prostu z a p o c h o d z e n i e (art.: § 35, przynależność do środowiska społecznie niebezpiecznego[5]);
— za k o n t a k t y z n i e b e z p i e c z n y m i o s o b n i k a m i[6] (tu dopiero otwiera się szerokie pole działania! Kto jest niebezpiecznym osobnikiem i na czym polega kontakt — ustala tylko sędzia).

Broń Boże czepiać się precyzji wprowadzanych w życie prawnych formuł. Na przykład — 13 stycznia 1950 roku wydany

5. W republice Południowej Afryki terror osiągnął ostatnio takie rozmiary, że każdego *podejrzanego* (SOE) Murzyna można bez śledztwa i sądu aresztować na trzy m i e s i ą c e! Zaraz widać ich słabość: dlaczego nie od trzech do dziesięciu lat?

6. A tego nawet nie wiedzieliśmy. To nam dopiero *Izwiestia* opowiedziały w lipcu 1957 roku.

został edykt o przywróceniu kary śmierci (wolno przypuszczać, że z lochów Berii nigdy nie znikała). Napisane tam było, że wolno skazywać na śmierć d y w e r s a n t ó w. Co to znaczy? Napisano i cześć. Josif Wissarionowicz tak właśnie lubi: nie dopowiedzieć, dać tylko wink. Czy tu mowa tylko o tych, którzy ze sztabką trotylu przychodzą wysadzać w powietrze tory? Nie mówi się o tym wyraźnie. Kto jest „dywersantem" to niby wiemy od dawna. Kto dopuścił do produkcji braków — ten jest dywersantem. Ale czy tylko to? A jeśli na przykład, jakimiś rozmówkami tramwajowymi podważał autorytet państwa? Albo — jeśli dzieweczka wyszła za cudzoziemca — czy to nie dywersja wobec naszej wielkiej ojczyzny?...

Ale przecież nie sędzia sądzi, sędzia tylko pensję pobiera, sądzi instrukcja! Instrukcja z 37-ego roku: dziesięć-dwadzieścia — rozstrzelanie! Instrukcja z 43-ego: dwadzieścia ciężkich robót — powieszenie. Instrukcja 45-ego: wszystkim pod rząd po dziesięć plus pozbawienie praw (siła robocza na trzy pięciolatki[7]). Instrukcja 49-ego: wszystkim pod rząd dwadzieścia pięć[8].

Maszyna sztancuje. Kto raz został aresztowany, ten traci wszystkie prawa wraz z guzikami, które mu obcinają na progu GB — i już nie może uniknąć WYROKU. I p r a c o w n i c y aparatu sprawiedliwości tak się do tego przyzwyczaili, że w 1958 roku doprowadzili do skandalu: opublikowali w gazetach projekt nowych „Zasad procedury karnej ZSSR" — i ZAPOMNIELI włączyć punkt przewidujący m o ż l i w o ś ć ferowania wyroków uniewinniających! Oficjalny organ[9] zareagował łagodną wymówką: „M o ż e p o w s t a ć w r a ż e n i e, że nasze sądy wydają jedynie wyroki skazujące".

Ale spójrzmy na rzecz okiem naszych jurystów: dlaczego właściwie sąd ma mieć p o d w ó j n y wybór, jeżeli przy wszystkich innych w y b o r a c h głosuje się u nas na j e d n e g o kandydata? Toć wyrok uniewinniający to bezmyślność, także z ekonomicznego punktu widzenia! Przecież to znaczy, że i konfidenci, i agenci, i funkcjonariusze śledczy, i prokuratura, i klucznicy, i konwojenci — wszyscy trudzili się na darmo!

Oto przykład prostej i typowej sprawy sądowej. W 1941

7. A Babajew tak im krzyknął, co prawda — pospolitak: „K a g a n i e c też mi możecie nałożyć, choćby na trzysta lat! I tak do samej śmierci za wami nie będę głosować, dobroczyńcy!"

8. W ten sposób autentyczny szpieg (Schulz, Berlin, 1948 roku) mógł dostać 10 lat, natomiast Günther Weschkau, który nigdy szpiegiem nie był — dwadzieścia pięć. Dlatego, że szła taka fala — 1949 rok.

9. *Izwiestia* z 10. IX. 1958 r.

roku, w naszej armii bezczynnej, tj. stacjonowanej w Mongolii, wydziały operacyjne miały obowiązek wykazania się aktywnością i czujnością. Felczer wojskowy Łozowski wyczuł pismo nosem, a miał właśnie pretensję do lejtnanta Pawła Czulpieniewa; rozeszło się o jakąś dziewczynę. Zadał mu więc w cztery oczy trzy pytania: 1) Jak ci się zdaje — dlaczego cofamy się przed Niemcami? (Czulpieniew: techniki mają więcej i zdążyli się wcześniej zmobilizować. Łozowski: nie, to tylko m a n e w r, my ich w c i ą g a m y w g ł ą b). 2) Czy wierzysz w pomoc aliantów? (Czulpieniew: wierzę, że nam pomogą, ale nie bezinteresownie. Łozowski: oszukują nas, wcale nie pomogą). 3. Dlaczego Woroszyłowa zrobili dowódcą frontu Północno-Zachodniego?

Czulpieniew zapomniał o całej rozmowie. Łozowski zaś napisał donos. Czulpieniewa wezwano do politoddziału dywizji, po czym wyrzucono go z komsomołu: za defetyzm, za bałwochwalstwo wobec niemieckiego wyposażenia technicznego, za niedocenianie strategii naszego dowództwa. Najgoręcej perorował organizator komsomolski Kaliagin (w czasie walk nad jeziorem Chałchyn-Goł zachował się on tchórzliwie, Czulpieniew to widział — i teraz tamten ma powód, aby raz na zawsze pozbyć się świadka).

Aresztowanie. Jedyna konfrontacja z Łozowskim. Ich fatalna rozmowa w ogóle NIE JEST ROZPATRYWANA w śledztwie. Tylko jedno pytanie: czy znacie tego człowieka? — Tak. — Świadek może odejść. (Śledczy boi się, że oskarżenie może się rozwiać[10]).

Złamany miesięcznym siedzeniem w jamie, Czulpieniew staje przed trybunałem 36-tej dywizji zmotoryzowanej. Obecni są — komisarz dywizji Lebiediew, naczelnik wydziału politycznego Sliesariew; świadek Łozowski nawet nie został wezwany na rozprawę. (Jednakże dla nadania fałszywym zeznaniom wagi urzędowej, już po rozprawie i Łozowski i komisarz Sieriogin będą musieli podpisać odpowiednie papiery). Sąd pyta: czy rozmawialiście z Łozowskim? O co was pytał? Jak mu odpowiedzieliście? Czulpieniew z całą prostotą mówi jak było, wciąż jeszcze nie wie, czym zawinił. „Przecież wielu mówi to samo!" — woła naiwnie. Sąd chętnie daje ucha takim oświadczeniom: „Kto mianowicie? Proszę wymienić". Ale Czulpieniew jest człowiekiem innego pokroju! Kolej na jego ostatnie słowo. „Proszę, aby sąd jeszcze raz poddał próbie mój patriotyzm, dał mi zlecenie związane z niebezpieczeństwem śmierci!" I — jak przystało na rycerskiego pros-

10. Łozowski jest teraz kandydatem wszechnauk medycznych, mieszka w Moskwie, powodzi mu się doskonale. Czulpieniew jest kierowcą trolejbusu.

taczka: „— a razem ze mną także temu, który mnie oczernił, wspólne zadanie!".

Co to, to nie, te rycerskie zapędy właśnie kazano nam karczować wśród naszych ludzi. Łozowski powinien wydawać proszki, Sierogin powinien wychowywać żołnierzy[11]. I czy to ważne — umrzesz, albo nie? Ważne, że m y ś m y byli czujni. Wyszli więc, popalili, wrócili na salę: dziesięć lat i trzy pozbawienia praw.

Takich procesów w każdej dywizji było podczas wojny na pewno więcej, niż dziesięć (inaczej nie opłacałoby się tworzenie trybunałów). A ile dywizji było — niech czytelnik sam policzy.

... Jedna sesja trybunału podobna jest do drugiej w dręczący sposób. Dręcząco nieczuli są też ci anonimowi sędziowie — gumowe rękawiczki. Sentencje — wszystkie jak z konwejera.

Każdy tu zachowuje powagę, ale każdy rozumie, że to szopka; najlepiej to rozumieją konwojenci, proste chłopaki. W nowosybirskim więzieniu tranzytowym w 1945 roku konwój robi apel aresztantów według s p r a w. „Taki a taki! — 58-1-a, dwadzieścia pięć lat!". Naczelnik konwoju jest zaciekawiony: „Za co tyle dali?" — „A za nic". — „Łżesz. Z a n i c — d a j e s i ę d z i e s i ę ć".

Kiedy trybunał się spieszy — „narada" trwa tylko minutę — byle wyjść i wrócić. Jeśli dzień roboczy trybunału ma trwać 16 godzin — to, gdy uchylą się drzwi do sali narad, widać biały obrus, zastawiony stół, wazy z owocami. Jeśli nic ich nie pili — lubią czytać sentencje „z psychologią": „ ... skazać na karę śmierci!..." Pauza. Sędzia patrzy skazanemu w oczy, bo to przecież ciekawe — jak to zniesie. Co też teraz czuje? „ ... Ale biorąc pod uwagę skruchę...".

Całe ściany sądowej poczekalni pokryte są napisami, wydrapanymi gwoździem i ołówkiem: „skazali na rozstrzelanie", „dali mi ćwiartkę", „dostałem dychę". Napisów nie usuwają: to działa wychowawczo. Drżyj ze strachu, pochyl głowę i nawet nie myśl, że można coś zmienić, choćbyś nie wiem co zrobił. Możesz wygłosić mowę, godną Demostenesa — w pustej sali, w obecności garści agentów śledczych (Olga Sliozberg, na rozprawie przed Sądem Najwyższym, 1936) — nic ci to nie pomoże. O, zamienić dychę na rozstrzelanie — to możesz, owszem; wystarczy krzyknąć im: „Faszyści! Wstyd mi, że kilka lat byłem w waszej partii!"

---

11. Sierogin Wiktor Andriejewicz jest teraz w Moskwie, pracuje w kombinacie usługowym przy Moskiewskiej Radzie Miejskiej. Powodzi mu się dobrze.

(Mikołaj Siemionowicz Daskal — kolegium specjalne regionu Azowsko-Czarnomorskiego, przewodniczący Cholik, miasto Majkop, 1937) — a zaraz wrobią cię w nową sprawę i już wtedy jesteś zgubiony.

Czawdarow opowiada, jak pewnego razu oskarżeni na rozprawie odwołali nagle wszystkie swoje fałszywe, wymuszone zeznania, złożone w czasie śledztwa. No i cóż? Nie dłużej niż parę sekund trwała niespokojna wymiana spojrzeń. Prokurator zażądał przerwy w rozprawie bez podania powodu. Z więzienia śledczego kłusem przybiegli oficerowie śledczy i ich pomocnicy, specjaliści od bicia. Wszystkich podsądnych naprzód zaprowadzili do boksów, a później znów zbili, jak należy i zapowiedzieli, że dobiją ich w trakcie następnej przerwy. Przerwa się skończyła. Sędzia ponowił swoje pytania — i wszyscy społem żwawo się przyznali.

Wyjątkowy spryt przejawił Aleksander Grigoriewicz Karetnikow, dyrektor instytutu badawczego przemysłu włókienniczego. Tuż przed początkiem sesji Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego doniósł przez konwojenta, że chce złożyć u z u p e ł n i a j ą c e zeznania. Wywołał tym, rzecz jasna, należne zainteresowanie. Został przyjęty przez prokuratora. Karetnikow pokazał mu swój gnijący obojczyk i oznajmił — że wszystko podpisał, bo go torturowano. Prokurator już przeklinał swoją łapczywość — po co też łasił się na jakieś „uzupełniające" zeznania! — ale było za późno. Każdy z nich jest odważny tylko dopóty, dopóki występuje jako anonimowa cząstka wielkiego mechanizmu. Ale gdy tylko na nim się skupi osobista odpowiedzialność, gdy tylko promień światła wydobędzie go z ciemności — jegomość blednie, bo rozumie, że on także jest niczym, że może pośliznąć się na byle łupinie. W ten sposób Karetnikow schwytał w potrzask prokuratora, a ten już nie ośmielił się zatuszować sprawy. Zaczęła się sesja Kolegium Wojskowego. Karetnikow tam również wszystko powtórzył... Tym razem Kolegium Wojskowe udało się na prawdziwą naradę! Ale mogło w tym wypadku wydać jedynie werdykt uniewinniający, a co za tym idzie — zaraz uwolnić Karetnikowa. I dlatego... NIE PODJĘŁO ŻADNEJ DECYZJI!

Jak gdyby nigdy nic, znów odwieziono Karetnikowa do więzienia, podleczono go, potrzymano trzy miesiące. Przyszedł nowy oficer śledczy, nadzwyczaj uprzejmy, wypisał nowy nakaz aresztowania (gdyby nie wykręty Kolegium, to przynajmniej te trzy miesiące mógł Karetnikow spędzić na wolności!) i powtórzył te same pytania, które zadał jego poprzednik. Karetnikow, mając nadzieję na zwolnienie, trzymał się mocno i nie przyznawał się do winy. I cóż?... OSO wlepiło mu 8 lat.

Przykład ten dość wymownie ilustruje różnicę między możliwościami więźnia, a możliwościami OSO. A Dzierżawin tak pisał:

Gorszy niż rozbój jest sąd stronny
Gdzie prawo śpi — tam katy sędzie.
Obywatela kark bezbronny
Na pastwę miecza wydan będzie.

Ale rzadko zdarzały się takie kłopoty Kolegium Wojskowemu Sądu Najwyższego. Zresztą nieczęsto przecierało ono swoje zamglone oczy aby uczcić spojrzeniem szeregowego, cynowego aresztancika. A.D.R., inżynier-elektryk, w 1937 roku wciągnięty został na górę przez dwóch konwojentów, wlokących go pod ręce, biegiem po schodach, aż na czwarte piętro (winda była chyba czynna, ale aresztanci napływali tak gęsto, że inaczej pracownicy sądowi nigdy by się nie dopchali). W drzwiach rozminął się z innym, już skazanym, i wpadł z konwojentami do sali. R. z trudem złapał oddech (toć sił mu w czasie długiego śledztwa nie przybyło) i powiedział, jak się nazywa, jak ma na imię i jak zwać było ojca. Coś tam bąknęli, wymienili spojrzenia i Ulrych — wciąż ten sam! — oznajmił: „Dwadzieścia lat!". I znów kłusem wywleczono R. z sali, do której już biegiem ciągnięto następnego.

To było, jak we śnie: w lutym 1963 roku zdarzyło mi się kroczyć w górę po tych samych schodach, ale w towarzystwie ugrzecznionego pułkownika-szefa organizacji partyjnej. I w kolumnowej, kolistej sali, gdzie chyba obraduje plenum Sądu Najwyższego Związku, z ogromnym podkowiastym stołem, w zatoce którego stoi jeszcze inny stół, okrągły, otoczony siedemdziesięcioma staroświeckimi krzesłami, słuchało moich słów siedemdziesięciu członków Kolegium Wojskowego — tego samego właśnie, które sądziło niegdyś Karetnikowa, i R., i innych, itp., itd... Powiedziałem im wtedy: „Bardzo znamienny to dzień! Byłem skazany z początku na obóz, później na dożywotnie zesłanie — a nigdy nie widziałem na oczy ani jednego sędziego. I oto teraz widzę was wszystkich zebranych tu razem!" (Oni też widzieli pierwszy raz żywego zeka, przejrzawszy nagle na oczy).

Ale okazało się, że to nie byli wcale — oni! Tak. Teraz mówili, że — to nie byli oni. Zapewniali mnie, że TAMTYCH — już tu nie ma. Niektórzy przeszli na emeryturę dla zasłużonych, tego i owego usunięto (Ulrych, jeden z najwybitniejszych katów, jak się okazuje usunięty został jeszcze za Stalina, w 1950

roku za... mięczakowatość!) Niektórych (na palcach policzyć) sądzono nawet za czasów Chruszczowa, a *ci* z ławy oskarżonych odgrażali się: „Dziś ty nas sądzisz, a jutro my ciebie będziemy, uważaj!". Ale jak wszystkie inicjatywy Chruszczowa, akcja ta, z początku bardzo energiczna, została przezeń wkrótce zapomniana, puszczona samopas i nie osiągnęła stopnia nieodwracalności, co znaczy, że wszystko pozostało tym, czym było.

Po kilku naraz weterani prawodawstwa snuli teraz swoje wspomnienia, podrzucając mi bezwiednie materiał do tego rozdziału (a gdyby zabrali się do publikacji, do wspominania? Ale idą lata, minęło ich jeszcze pięć, a nie robi się jaśniej). Wspominali, jak na sądowych sesjach sędziowie publicznie c h e ł p i l i s i ę, ż e u d a ł o s i ę im nie zastosować artykułu 51-ego KK o okolicznościach łagodzących i w ten sposób u d a ł o im się z kolei — dać dwadzieścia pięć zamiast dziesiątaka! Albo — w jak poniżający sposób były s ą d y p o d p o r z ą d k o w a n e O r g a n o m ! Pewien sędzia otrzymał do rozpatrzenia taką sprawę: oto pewien obywatel po powrocie ze Stanów Zjednoczonych utrzymywał oszczerczo, że tam są dobre drogi. I nic więcej. I w aktach s p r a w y — też nic więcej! Sędzia odważył się odesłać akta dla uzupełnienia śledztwa w c e l u otrzymania „poważniejszych antysowieckich materiałów" — to znaczy po to, aby tego więźnia mocniej przyciśnięto i pobito. Ale tych zbawiennych intencji sędziego nie wzięto pod uwagę i odpowiedziano mu z gniewem: „Co to ma być, nie macie zaufania do naszych Organów?" — i sędziego zesłano w randze sekretarza trybunału na Sachalin! (Za Chruszczowa postępowanie było łagodniejsze: „skompromitowanych" sędziów przenoszono... no, jak myślicie, dokąd?... do a d w o k a t u r y !* Równie ustępliwa wobec Organów była prokuratura. Gdy w 1942 roku głośne się stało krzyczące nadużycie władzy przez Riumina w kontrwywiadzie Floty Północnej, prokuratura nie ośmieliła się ingerować na mocy własnych uprawnień, lecz tylko uniżenie powiadomiła Abakumowa, że jego dziatki swawolą. Miał powody Abakumow, aby uważać Organy za sól ziemi! (Toteż wezwał Riumina tylko po to, aby go awansować — sobie samemu na zgubę).

Nie starczało po prostu czasu, bo opowiedzieliby mi dziesięć razy więcej. Ale i to dawało do myślenia. Jeżeli i sąd, i prokuratura były tylko pionkami dla ministra Bezpieczeństwa, to może nie warto poświęcać im oddzielnego rozdziału?

---

* *(Izwiestia,* 9. VI. 1964) Ciekawy to stosunek do obrony sądowej!... A w 1918 roku W. I. Lenin żądał, aby sędziów, ferujących zbyt łagodne wyroki, wyrzucać z partii.

Snuli swoje opowieści jeden przez drugiego, a ja rozglądałem się i nie mogłem się nadziwić: ależ to ludzie! normalni LUDZIE! Jak uśmiechają się! Jak szczerze mi klarują, że mieli tylko dobro na względzie. No, a jeżeli jeszcze tak się złoży, że znowu będą mnie musieli sądzić, — o, choćby w tej sali (pokazują mi właśnie główną salę)?

No i cóż, zasądzą.

Co było na początku, kura, czy jajko? Ludzie, czy system? Przez kilka wieków pokutowało u nas przysłowie: nie prawa się bój — tylko sędzi.

Ale zdaje mi się że prawo prześcignęło już ludzi, ludzie nie dorównują mu w okrucieństwie. I czas już odwrócić to przysłowie: nie sędzi się bój — tylko p r a w a.

Prawa Abakumowa, rzecz jasna.

Oto wstępują po kolei na trybunę, dyskutując o „Iwanie Denisowiczu". Oto mówią z radością, że ta książka ulżyła ich sumieniu (tak właśnie mówią...). Stwierdzają, że obraz, jaki narysowałem, jest jeszcze bardzo złagodzony, że k a ż d y z nich zna cięższe obozy. (A więc — zdawali sobie sprawę?...). Z tej siedemdziesiątki, siedzącej przy podkowiastym stole, kilku wykazuje dobrą znajomość literatury, są to nawet czytelnicy miesięcznika *Nowyj Mir,* pragną reform, z przejęciem mówią o naszych bolączkach społecznych, o zaniedbaniu, w jakim tonie wieś...

Siedzę tu i myślę: jeżeli pierwsza, maleńka kropla prawdy ma efekt bomby psychologicznej — to cóż się stanie w naszym kraju, gdy Prawda runie wodospadem?

A runie, to nieuniknione.

VIII.

DZIECIŃSTWO PRAWA

Wszystko potrafimy zapomnieć. Pamiętamy nie to, co było naprawdę, nie fakty historyczne, lecz tylko ten sztancowaty szablon, który chcieli utrwalić w naszej pamięci, wbijając go nam w głowy nieustannie.

Nie wiem, czy to cecha ogólnoludzka, ale że rosyjska — to już pewne. Niemiła to cecha. Może bierze się z poczciwości, ale — niemiła. Ona to wydaje nas na łup kłamcom.

Dlatego też — jeśli trzeba, abyśmy nie pamiętali nawet publicznych procesów sądowych — to ich nie zachowujemy w pamięci. Sądzono ludzi publicznie, pisano o tym w gazetach, ale nie wbito nam tego młotkiem do łba — więc nie pamiętamy. (Dziury w głowie drąży tylko codzienne powtarzanie przez radio). Nie mówię o młodzieży, ta nie może tego pamiętać, to jasne — ale o ludziach, którzy byli dorośli w trakcie tych procesów. Poproście przeciętnego obywatela, by wyliczył znane procesy publiczne — przypomni sobie sprawę Bucharina, Zinowiewa. Może jeszcze — proces Prompartii, to już z wysiłkiem. I to wszystko, więcej publicznych procesów nie było.

A tymczasem zaczęły się zaraz po Październiku. W 1918 roku było ich już mnóstwo, toczyły się przed wieloma sądami. Miały miejsce już wtedy, gdy nie było jeszcze ani praw, ani kodeksów, sędziowie mogli uważać za punkt odniesienia tylko potrzeby władzy robotniczo-chłopskiej. Myślano wtedy, że te procesy torują drogę nowej, śmiałej praworządności. Szczegółowe ich dzieje będą jeszcze kiedyś napisane, my nie zamierzamy porywać się na zreferowanie całej tej historii w tej książce.

Jednakże — nie sposób obejść się bez pobieżnego choćby przeglądu. Mamy obowiązek jakieś zwęglone resztki odszukać

po omacku, nawet w tej różowej, zwiewnej mgle dziejowego poranku.

W ciągu tych dynamicznych lat nie rdzewiały na rapciach szable wojny, ale też nie przysychały do pochew rewolwery kary. To dopiero później tak to urządzono, żeby rozstrzeliwać w sekrecie, nocami, żeby w piwnicach strzelać w karki. A w 1918 roku znany riazański czekista Stelmach rozstrzeliwał we dnie, na podworcu i to tak, żeby kolejni kandydaci mogli wszystko widzieć z okien więzienia.

Istniał wtedy oficjalny termin: w n i e s u d i e b n a j a r a s p r a w a*. Nie dlatego, iż nie było jeszcze sądów, lecz dlatego, że była już Czeka[1], dlatego, że tak było efektywniej. Sądy istniały, sądziły i skazywały na śmierć, ale trzeba pamiętać, że równolegle i niezależnie od nich istniały i biegły swoim torem owe represje pozasądowe. Jakie rozmiary przybrały? M. Łacis w swoim popularnym przeglądzie działalności Czeki[2] przytacza wykaz, dotyczący tylko półtorarocznego okresu (1918 i pierwsza połowa 1919) i dwudziestu tylko guberni centralnej Rosji („cyfry tu cytowane b y n a j m n i e j n i e s ą k o m p l e t n e"[3], co jest może po części wynikiem skromności): rozstrzelanych przez Czekę (tzn. bez rozprawy, w trybie pozasądowym) — 8.389 ludzi[4] (słownie: osiem tysięcy trzystu osiemdziesięciu dziewięciu), wykryto organizacji kontrrewolucyjnych — 412 (cyfra to fantastyczna, biorąc pod uwagę nasz brak talentu organizacyjnego, widoczny w ciągu całych dziejów, a nadto — ogólny rozgardiasz i ówczesny upadek ducha) aresztowano ogółem — 87.000[5]. (Ta cyfra wydaje się znów pomniejszona).

Jaką wielkość porównawczą znaleźć by można dla tych cyfr? W 1907 roku grupa lewicowych działaczy wydała zbiór artykułów zatytułowany „Przeciw karze śmierci"[6] gdzie przytacza się[7] imienny spis wszystkich skazanych od 1826 do 1906 roku. Autorzy książki zastrzegają się, że spis to jeszcze nie zakończony, że jest

* Karanie pozasądowe, represje pozasądowe.

1. Tego ptaszka, o twardniejącym z wiekiem dziobie, hołubił Trocki: „Zastraszanie jest potężną bronią polityczną i trzeba być hipokrytą, aby tego nie rozumieć". Także Zinowiew delektował się, nie przeczuwając własnego końca: „Litery GPU, podobnie jak WCzK należą do najpopularniejszych w świecie".
2. M. N. Łacis (Sudrabs), *Dwa lata walki na froncie wewnętrznym*, GIZ, Moskwa 1920.
3. Str. 74.
4. Str. 75.
5. *Ibidem*, str. 76.
6. pod redakcją Greneta, wyd. 2-gie.
7. Str. 385-423.

także niekompletny (chyba jednak nie bardziej ułomny, niż dane Łacisa, kompletowane w okresie wojny domowej). Wylicza się tam 1397 nazwisk. Od tej cyfry odliczyć należy 233 skazanych, którym karę śmierci zamieniono na inną, oraz 270-ciu ludzi, którzy uszli kary (przeważnie chodzi o polskich powstańców, którzy schronili się na Zachodzie). Pozostaje 894 ludzi. Cyfra ta, dotycząca okresu 80-cioletniego, nie wytrzymuje porównania z cyfrą przytoczoną przez Łacisa zebraną w ciągu półtora roku i to jeszcze nie na całym obszarze kraju. Co prawda, autorzy zbioru przytaczają także inną, przybliżoną statystykę, wedle której w ciągu jednego tylko 1906 roku skazano na śmierć (być może nie wszystkie wyroki zostały wykonane) 1.310-ciu ludzi, ogółem zaś w okresie 1826-1906 — 3.419-tu ludzi. Wszystko to w okresie sławetnej stołypińskiej reakcji — i mamy na podorędziu jeszcze inną cyfrę, dotyczącą tego okresu[8] — 950 egzekucji w ciągu 6-ciu miesięcy. (Stołypinowskie sądy polowe działały, owszem). Ta cyfra budzi zgrozę, ale nawet ona nie da rady naszym zahartowanym nerwom: jeśli weźmiemy pod lupę naszą cyferkę, to tak czy owak przekonamy się, że jest ona TRZYKROTNIE wyższa — przy tym pochodzi jedynie z 20 guberni i nie obejmuje ponadto działalności sądów ani trybunałów.

Sądy zaś sądziły swoją drogą od samego listopada 1917 roku. Przy całym nawale bieżących spraw, zdołano jednak wydać dla nich w 1919 roku „Dyrektywne zasady prawa karnego RSFSR" (nie czytaliśmy ich, dostać ich nie mogliśmy, ale wiemy, że było tam przewidziane „pozbawienie wolności na czas nieokreślony" to znaczy — do specjalnego rozporządzenia).

Były trzy rodzaje sądów: ludowe, okręgowe i rewtrybunały.

Sądy ludowe zajmowały się przestępstwami pospolitymi i kryminalnymi. Nie mogły orzekać rozstrzelania. Aż do lipca 1918 roku jeszcze panoszyły się w resorcie sprawiedliwości lewicowo-eserowskie tradycje: sądy ludowe, to zabawne, nie miały prawa dawać więcej, niż dwa lata. Tylko dzięki specjalnym interwencjom rządowym niektóre niedopuszczalnie łagodne wyroki, podwyższane były do dwudziestu[9] lat więzienia. W lipcu 1918 zezwolono sądom ludowym orzekać kary do lat pięciu. Gdy zaś ucichły już wojenne nawałnice, w 1922 roku sądy ludowe otrzymały prawo skazywania na dziesięć lat, straciły zaś prawo orzekania kar niższych, niż 6 miesięcy.

8. Czasopismo *Byłoje*, Nr 2/14, luty 1907 r.
9. Patrz cz. III, rozdział I.

Sądy okręgowe i rewtrybunały zawsze miały prawo orzekania kary śmierci przez rozstrzelanie, ale były okresy, gdy je tego prawa pozbawiano: sądy okręgowe w 1920, trybunały — w 1921. Dużo tu jakichś drobnych zazębień i tylko szczegółowe badania historyczne potrafią je wykryć.

Sumienny historyk odnajdzie może dokumenty, rozwinie przed nami zwój wyroków ferowanych przez rewtrybunały, przytoczy także statystyki. (Ale nie dojdzie chyba do tego. Czego nie zniszczył czas i wypadki, to zniszczyli już sami zainteresowani). Wiemy tylko, że rewtrybunały nie spały, że sądziły z ferworem. Że podczas wojny domowej w każdym zdobytym mieście nie tylko wykwitały zaraz dymki wystrzałów na podworcach Czeki, lecz również długo jeszcze zasiadały nie znające snu rewtrybunały. I po to by dostać kulę, nie trzeba było być koniecznie białym oficerem, senatorem, ziemianinem, zakonnikiem, kadetem, eserem, czy anarchistą. Wystarczyło mieć w tych latach białe, miękkie ręce bez odcisków, aby pójść pod mur. Ale łatwo odgadnąć że za bunty w Iżewsku, albo Wotkińsku, Jarosławiu albo Muromie, Kozłowie albo Tambowie drogo zapłaciły również spracowane ręce... W tych fascykułach wyroków — pozasądowych i trybunalskich — jeśli w ogóle kiedyś zostaną nam udostępnione — największe zdziwienie wzbudzi ilość nazwisk prostych chłopów. Bo niezliczone były chłopskie ruchawki i powstania między 18-tym a 21-tym, chociaż nie roztaczają one swoich barw na kolorowych stronicach „Historii wojny domowej", a nikt nie fotografował i nie uwieczniał aparatem filmowym tych ludzi zbrojnych w kłonice, widły i topory, gdy tłumem szli przeciw karabinom maszynowym, ani później, gdy ze związanymi rękoma — dziesięciu za jednego! — w długich szeregach czekali na rozstrzelanie. Sapożkowskie powstanie pamięta się do dziś tylko w Sapożku, pitelińskie — tylko w Pitelinie. Z tejże pracy Łacisa wiadomo, że w ciągu tych półtora roku na terenie tychże 20 guberni stłumiono 344 powstań[10]. Chłopskie ruchawki już w 1918 roku zaczęto nazywać „kułackimi", jak mogli bowiem zwykli chłopi buntować się przeciwko władzy robotniczo-chłopskiej! Ale czym wytłumaczyć wobec tego, że za każdym razem chwytały za broń nie trzy chaty we wsi, tylko cała wieś? Czemuż to masa biedoty wiejskiej nie brała się do takich samych wideł i toporów, aby pozabijać zbuntowanych „kułaków", tylko razem z nimi szła na cekaemy? Łacis: „innych chłopów (kułak) zmuszał obietnicami, szczuciem i groźbami do brania udziału

10. Łacis, str. 75.

w tych powstaniach"[11]. Ale jakież obietnice mogły mierzyć się ze sloganami komitetów biedoty! jakie groźby mogły być straszniejsze od cekaemów CZON![12]

A iluż jeszcze przypadkowych, no, zupełnie przypadkowych ludzi wpadało między te kamienie młyńskie; z takich właśnie składa się nieuchronnie połowa ofiar każdej strzelającej rewolucji.

Oto relacja naocznego świadka o sesji riazańskiego rewtrybunału w 1919 roku, na której rozpatrywano przypadek tołstojowca I. Je-wa.

Zaraz po proklamowaniu powszechnej, obowiązkowej mobilizacji do Armii Czerwonej (rok po hasłach: „Precz z wojną! Bagnet w ziemię! Wszyscy do domów!") w samej tylko guberni riazańskiej w okresie poprzedzającym wrzesień 1919 roku „wyłapano i odesłano na front 54.697 dezerterów"[13] (a iluż to zastrzelono na postrach na miejscu!) Je-w zaś wcale nie był dezerterem, tylko otwarcie odmówił pełnienia służby wojskowej z uwagi na swoje przekonania religijne. Zostaje przemocą wzięty do wojska, ale w koszarach wzbrania się przed wzięciem broni do ręki, nie chodzi na ćwiczenia. Oburzony komisarz jednostki przekazuje go do dyspozycji Czeki z meldunkiem, że „nie uznaje władzy sowieckiej". Przesłuchanie. Przy stole siedzi trzech czekistów, przed każdym leży nagan. „Znamy takich bohaterów, zaraz tu będziesz klękał przed nami! Zgódź się natychmiast, masz walczyć w szeregach, inaczej tu cię zastrzelimy!" Ale Je-w nie ustępuje, nie może walczyć bo jest wolnym chrześcijaninem. Jego sprawę przekazują do rewtrybunału.

Proces pokazowy, ze stu ludzi na sali. Stary obrońca o miłych manierach. Wykształcony oskarżyciel (słowo „prokurator" zabronione jest aż do 1922 roku) — Nikolski, również stary prawnik. Jeden z ławników stara się dowiedzieć od oskarżonego, jakie są jego przekonania („jak to się dzieje, że wy, przedstawiciel mas pracujących, uznajecie poglądy arystokraty, hrabiego Tołstoja?") przewodniczący trybunału przerywa i nie pozwala oskarżonemu na odpowiedź. Powstaje spór.

Ławnik: — Nie chcecie więc zabijać ludzi i namawiacie innych, żeby tego nie robili. Ale biali zaczęli tę wojnę, wy zaś przeszkadzacie nam się bronić przed nimi. No to poślemy was do Kołczaka, tam możecie głosić swoje hasła niesprzeciwiania się złu!

Je-w: — Gdzie mnie poślecie, tam pojadę.

---

11. *Ibidem*, str. 70.
12. Czasti Osobogo Naznaczenija = Oddziały Specjalne, jednostki bezpieczeństwa wewnętrznego.
13. Str. 74.

Oskarżyciel: — Trybunał powinien zajmować się rozpatrzeniem nie wszystkich działań przestępczych, lecz tylko skierowanych przeciw rewolucji. Ze względu na znamiona występku, który tu rozpatrujemy, żądam przekazania tej sprawy pod obrady sądu ludowego.

Przewodniczący: He! Znamiona! Ale prawnik — widział go kto! My kierujemy się nie paragrafami, tylko naszym rewolucyjnym sumieniem!

Oskarżyciel: — Domagam się, aby żądanie moje zostało zaprotokołowane.

Obrońca: — Przyłączam się do opinii oskarżyciela. Sprawa powinna być rozpatrywana przez sąd powszechny.

Przewodniczący: — A to stary dureń! Gdzieście takiego wytrzasnęli?

Obrońca: — Przez czterdzieści lat czynny jestem jako adwokat, ale takie obelgi słyszę po raz pierwszy. Proszę o wpisanie do protokołu.

Przewodniczący (ryczy ze śmiechu): — A wpiszemy! Wpiszemy!

Śmiech na sali. Sąd oddala się na naradę. Z sali narad dochodzą odgłosy kłótni. Wychodzą, wyrok gotów: r o z s t r z e l a ć!

Na sali hałas, ludzie są oburzeni.

Oskarżyciel: Zakładam protest przeciw sentencji i odwołam się do komisariatu sprawiedliwości!

Obrońca: — Podpisuję się pod słowami oskarżyciela!

Przewodniczący: — Usunąć wszystkich z sali!

Konwojenci prowadzą Je-wa do więzienia i pogadują: „Gdyby to wszyscy byli tacy, jak ty, bratku, dopiero by dobrze było! Nie byłoby żadnych wojen, nie byłoby ani białych, ani czerwonych!" Wrócili do swoich koszar, zwołali wiec żołnierski. Wiecujący potępili wyrok. Napisali protest, posłali go do Moskwy.

Oczekując z dnia na dzień śmierci i widząc przez okno, jak rozstrzeliwuje się innych, Je-w przesiedział tak 37 dni. Nadeszła w końcu rezolucja: 15 lat s u r o w e j i z o l a c j i.

Przykład to pouczający. Choć rewolucyjna praworządność częściowo zwyciężyła, ale ileż to wymagało starań ze strony przewodniczącego trybunału! Ileż jeszcze na świecie bałaganiarstwa, jak mało dyscypliny i uświadomienia! Oskarżyciel fraternizuje się z obrońcą, konwojenci wtykają palec między cudze drzwi, wysyłają jakieś rezolucje. Och, nie łatwo zdobywa sobie teren dyktatura proletariatu i nowe sądownictwo! Ma się rozumieć nie wszystkie rozprawy mają tak niechlujny przebieg, ale ta przecież też nie była jedyna! Ileż to lat jeszcze minie zanim ukształtuje się, wyjaśni i umocni słuszna linia, zanim obrona stanie na tej

samej pozycji, co prokurator i komplet sędziowski, zanim sam podsądny do nich się przyłączy, zanim masy poprą to jednolicie swoimi rezolucjami!

Przebadanie tego długiego szlaku — to szczytne zadanie przyszłych historyków. Co zaś do nas — to nie bardzo wiemy jak się poruszać w tej różowej mgle. Kogo pytać o dane? Rozstrzelani nie opowiedzą, rozproszeni nie zacytują. Ani podsądnych, ani adwokatów, ani konwojentów, ani obecnych na rozprawie — gdyby nawet ktoś z nich żył jeszcze — nie pozwolą nam przecież odszukać.

Cóż, jak widać, pomóc nam tu może tylko rzecznik os k a r ż e n i a.

Ktoś życzliwy udostępnił nam oto jeden z ocalałych egzemplarzy księgi przemówień oskarżycielskich płomiennego rewolucjonisty, pierwszego robotniczo-chłopskiego narkoma spraw wojskowych i dowódcy naczelnego, później — twórcy oddziału Sądów Specjalnych Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości (projektowano już osobiście dla niego specjalny tytuł Trybuna, ale Lenin to udaremnił[14]), słynnego rzecznika oskarżenia w najważniejszych procesach, w końcu zdemaskowanego, jako zaciekły wróg ludu, słowem — M. W. Krylenki[15]. Jeśli więc chcemy mimo wszystko przyjrzeć się choćby po krótce najważniejszym procesom publicznym, jeśli bierze nas chęć, by podyszeć powietrzem sali sądowej pierwszych lat porewolucyjnych — musimy wczytać się w tę książkę. Nie ma innych źródeł. Trzeba też nadrobić własnym domysłem wszystko, czego brak i wszystko, co partykularne.

Oczywiście, wolelibyśmy mieć przed oczyma stenogramy tych procesów, usłyszeć zamogilne, dramatyczne głosy tych pierwszych podsądnych i tych pierwszych adwokatów, rozlegające się w dniach, gdy nikt jeszcze nie mógł przewidzieć, jak nieubłagana lawina zacznie się toczyć, porywając także tych z rewtrybunału.

Jednakże, jak wyjaśniał Krylenko, wydanie stenogramów „było rzeczą niedogodną z uwagi na szereg przeszkód technicznych"[16], dogodną zaś rzeczą było wydanie tylko jego oracji oraz sentencji trybunałów, które już wtedy całkowicie były zgodne z postulatami oskarżyciela.

Ponoć w archiwach rewtrybunałów — moskiewskiego i najwyższego — panował wtedy (1923 r.) „bynajmniej nie idealny

14. Lenin, wyd. V, t. 36, str. 210.

15. N. W. Krylenko, *Tych pięć lat (1918-1922)*. Mowy oskarżycielskie wygłoszone w najważniejszych sprawach rozpoznanych przez moskiewski i Najwyższy trybunał rewolucyjny. GIZ, Moskwa-Piotrogród, 1923. Nakład 7.000 egzemplarzy.

16. Str. 4.

porządek... W przypadku wielu spraw stenogram... okazał się tak bardzo pogmatwany, że trzeba było albo wykreślać całe stronice, albo rekonstruować tekst z pamięci!". Szereg zaś „najpoważniejszych procesów" (w ich liczbie — sprawa buntu lewicowych eserów, sprawa admirała Szczastnego) „prowadzony był w ogóle bez żadnego stenogramu[17]".

Dziwne. Sąd nad lewicowymi eserami to nie była fraszka — po Lutym i Październiku to był trzeci z najistotniejszych punktów węzłowych naszej historii, oznaczał przejście do systemu jednopartyjnego w naszym kraju. Rozstrzelano też nie jednego. A stenogramu nikt nie pisał.

A znów „spisek wojskowy" z 1919 roku „zlikwidowany został przez WCzK w trybie represji pozasądowej[18]", czym w jeszcze większym stopniu „potwierdzało się jego istnienie[19]". (Aresztowano tam za jednym zamachem około 1.000 osób[20] — a co, może dla każdego z nich robić osobne sądy?).

No i spróbuj w tych warunkach dojść ładu z procesami sądowymi onych lat...

Ale pewnych ważnych zasad można się przecież doszukać. Na przykład super-oskarżyciel powiadamia nas, że WCIK* ma prawo ingerencji w każdą sprawę sądową. „WCIK ułaskawia i s k a z u j e n a ś m i e r ć wedle swego rozeznania — i to bez żadnych ograniczeń[21] (podkreślenia moje — A.S.). Na przykład, wyrok skazujący na 6 miesięcy zamieniony zostaje na 10 lat (i — jak to czytelnik chyba rozumie — nie zwołano w tym celu plenum WCIK, tylko wyrok został skorygowany, powiedzmy, przez Swierdłowa w jego gabinecie). Dzięki temu wszystkiemu — klaruje nam Krylenko — nasz system korzystnie się odróżnia od fałszywej teorii podziału władz[22], teorii o niezależności władzy sądowej. (Słusznie, boć sam Swierdłow już powiedział: „To dobrze, że u nas władze — ustawodawcza i wykonawcza nie są od siebie oddzielone, jak na Zachodzie, głuchym murem. Wszystkie „problemy można więc s z y b k o r o z w i ą z y w a ć". Zwłaszcza przez telefon).

Jeszcze bardziej otwarcie i jednoznacznie formułuje Krylenko w swoich przemówieniach sądowych o g ó l n e z a d a n i a s o w i e c k i e g o s ą d o w n i c t w a, w okresie, gdy sam sąd

17. Str. 4-5.
18. Krylenko, *Tych pięć lat...*, str. 7.
19. *Ibidem*, str. 44.
20. Łacis, *Dwa lata...*, str. 46.
* Wszechzwiązkowy Centralny Komitet Wykonawczy.
21. Krylenko, str. 13.
22. *Ibidem*, str. 14.

był „zarówno prawodawcą (podkreślenie Krylenki) ... jak narzędziem polityki[23] (podkreślenie moje — A.S.).

Prawodawcą — bo przez 4 lata nie było żadnego kodeksu: carskie odrzucono, swoich nie sporządzono. „I niech nikt mi nie mówi, że nasze sądy karne powinny opierać się wyłącznie na istniejących normach pisanych. Przeżywamy proces Rewolucji[24]...". „Trybunał — nie jest sądem, w którym mogłyby się odrodzić prawnicze wybiegi i kruczki... Jesteśmy twórcami nowego prawa i nowych norm etycznych[25]". Choćby nie wiem ile tu się gadało o wiecznotrwałych normach prawnych, sprawiedliwości i tak dalej — my już dobrze wiemy... jak drogo nas to wszystko kosztowało[26]".

(Ale jeśli WASZE wymiary kary porównać z NASZYMI, to może się okaże, że nie tak drogo? Może z tą wiecznotrwałą sprawiedliwością było jakoś przytulniej?...).

Właśnie dlatego nie są potrzebne prawnicze subtelności, że nie trzeba wcale wyjaśnień — czy podsądny jest winien, czy nie: pojęcie winy, to stare, burżuazyjne pojęcie, jest teraz potępione[27].

Tak więc, usłyszeliśmy od tow. Krylenki, że trybunał „nie jest sądem, w którym...". Innym razem dowiadujemy się od niego, że trybunał — to w ogóle nie jest sąd. „Trybunał jest organem walki klasowej robotników, z którego czyni się użytek dla pokonania ich wrogów", winien więc działać „w interesach rewolucji... dążąc do osiągnięcia najbardziej pożądanych dla robotniczych i chłopskich mas rezultatów[28]" (podkreślenia wszędzie tu pochodzą ode mnie — A.S.).

Ludzie nie są po prostu ludźmi, lecz „indywidualnymi wyrazicielami określonych idei[29]". „Niezależnie od cech osobistych (podsądnego), należy wobec niego stosować tylko jedno kryterium: oceniać go z punktu widzenia pożytku klasowego[30]".

To znaczy, że wolno ci istnieć, człowieku, tylko jeżeli to pożyteczne dla klasy robotniczej. Skoro zaś „sprawa tego pożytku wymagać będzie, by karzący miecz spadł na karki podsądnych, to żadne... argumenty słowne nie pomogą[31]". (No, wszelkie tam

23. Str. 3.
24. Str. 408.
25. Str. 22 (podkreślenie moje).
26. Str. 505.
27. Str. 318.
28. Str. 73.
29. Str. 83.
30. Str. 79.
31. Str. 81.

adwokackie wywody itd.). „W naszym rewolucyjnym sądownictwie nie kierujemy się paragrafami, nie dbamy o stopień okoliczności łagodzących; w trybunale musimy wychodzić z założeń celowości[32]".

W tych latach często tak bywało: żyli sobie ludzie, żyli, aż tu naraz okazywało się, że ich istnienie jest NIECELOWE.

Należy rozumieć to tak: nie to obciąża podsądnego, co już on uczynił, ale to, co MOŻE zrobić, jeśli go się zaraz nie rozstrzela. „Musimy bronić się nie tylko przed przeszłością — lecz także przed przyszłością[33]".

Deklaracje towarzysza Krylenki są jasne i wyczerpujące. Cały ten okres dziejów sądownictwa staje przed nami dzięki nim w pełnym świetle. Wiosenne opary ustępują nagle miejsca jesiennej przejrzystości. Może więc — nie trzeba drążyć dalej? nie trzeba kartkować jednego procesu po drugim? Te deklaracje będą wcielone w życie w sposób nieustępliwy.

Wystarczy zmrużyć oczy i wyobrazić sobie salkę sądową, jeszcze pozbawioną złoceń. Dociekliwych sędziów trybunalskich w skromnych frenczach, chuderlawych, z nienażartymi jeszcze gębami. Przedstawiciel zaś władzy oskarżającej (tak sam siebie tytułuje z lubością Krylenko) nosi cywilną, rozpiętą surducinę, spod której wygląda marynarska, pasiasta koszulka.

Język, którym operuje główny oskarżyciel ma taki kształt: „interesuje mnie kwestia faktu!"; „proszę skonkretyzować moment tendencji!"; „operujemy na płaszczyźnie analizy prawdy obiektywnej". Czasami strzeli znienacka łacińskim przysłowiem (co prawda, powtarza je przez kilka procesów z rzędu, dopiero po kilku latach dopracuje się drugiego). Ale też trzeba przyznać, że w trakcie tej rewolucyjnej bieganiny zdążył skończyć dwa fakultety. Co w nim ujmuje, to fakt, że o podsądnych wyraża się z całą bezpośredniością: „zawodowi nikczemnicy!". I nie bawi się w żadną hipokryzję. Nie podoba mu się na przykład uśmiech oskarżonej, więc jeszcze przed sentencją sądu, mówi złowrogo, kawa na ławę: „A co do was, obywatelko Iwanowa z tym waszym uśmiechem, to znajdziemy sposób, żeby już nigdy więcej się nie pojawił!".

Więc jak, ruszamy?

a) Sprawa gazety „Russkije Wiedomosti"

Był to jeden z pierwszych i najwcześniejszych wypadków

32. Str.524.
33. Str.82.

sądu nad słowem. 24 marca 1918 roku ta znana „profesorska" gazeta wydrukowała artykuł Sawinkowa „Z podróży". Najmilej byłoby im schwytać samego Sawinkowa, ale gdzie go tu szukać, kiedy tę podróż diabli nadali? Zamknęli więc gazetę i posadzili na ławie oskarżonych sędziwego redaktora P. W. Jegorowa, proponując, by wyjaśnił, jak w ogóle się ośmielił? toć Nowa Era trwa już 4 miesiące, czas byłby się przyzwyczaić!

Jegorow naiwnie się sumituje, że artykuł wyszedł spod pióra — „wybitnego działacza politycznego, którego opinie mają ogólniejsze znaczenie, niezależnie od tego, czy redakcja się z nimi zgadza". Dalej: nie wydaje się mu oszczerstwem twierdzenie Sawinkowa — „nie zapominajmy, że Lenin, Natanson i spółka przyjechali do Rosji via Berlin, to znaczy, że władze niemieckie okazały im pomoc przy organizacji powrotu do kraju" — ponieważ tak było w rzeczywistości: kajzerowskie Niemcy, znajdujące się w stanie wojny z Rosją, pomogły tow. Leninowi wrócić do kraju.

Krylenko woła, że wcale nie myśli wysuwać oskarżeń o oszczerstwo (dla czegóż to?...) gazeta jest sądzona za próbę wpływania na stan umysłów! (Bo to może gazeta mieć takie cele?!).

Nie zarzuca się też gazecie wydrukowania zdania Sawinkowa: „trzeba być szaleńcem i zbrodniarzem, aby poważnie twierdzić, że międzynarodowy proletariat nas poprze" — ponieważ poprze nas jeszcze na pewno...

Za próbę zaś wpływania na stan umysłów wyrok brzmi jak następuje: gazetę wychodzącą od 1864 roku, która przetrzymała wszystkie niesłychane nawroty reakcji za Loris-Melikowa, Pobiedonoscewa, Stołypina, Kasso i jeszcze tylu innych — teraz zamknąć raz na zawsze. Redaktora zaś Jegorowa... aż wstyd powiedzieć — prawie, jak w jakiejś Grecji... na trzy miesiące do izolatki. (Nie taki już wstyd, jeśli pomyślimy, że to dopiero 18-ty rok! że jeśli stary przetrzyma — to znów go wsadzą — i to ile razy jeszcze!).

Dziwne to, ale w ciągu tych lat sztormowych — łapówki brane były i dawane z tą samą serdecznością, jak bywało od dawien dawna w Rosji i jak po dziś dzień jest w Związku. Osobliwie zaś często obsypywano darami organy sprawiedliwości. I — aż strach powiedzieć — Czekę. Oprawne w safian ze złoceniami tomy historii milczą, ale starzy ludzie, naoczni świadkowie, przypominają sobie, że inaczej niż za czasów stalinowskich — losy więźniów politycznych w pierwszych latach rewolucji bardzo były zależne od łapówek: brano je bez krępacji i wypuszczano

za nie uczciwie. I oto Krylenko, który z dorobku pięciolecia wybrał tylko tuzin procesów, mówi nam o dwóch takich sprawach. Niestety, i moskiewski, i Najwyższy trybunał dążyły do doskonałości nie prostą drogą, grzęzły w rozmaitym paskudztwie.

b) Proces trzech funkcjonariuszy śledczych trybunału moskiewskiego (kwiecień 1918 roku)

W marcu 18-go roku aresztowany został niejaki Beridze za spekulację złotymi płytkami. Żona jego, jak to zwykle, zaczęła szukać sposobów, by męża wykupić. Udało jej się uchwycić ogniwko łańcucha znajomości, prowadzących do jednego ze śledczych, ten wciągnął jeszcze dwóch kolegów, podczas tajnego spotkania zażądali oni od kobiety 250.000, po dłuższych targach zgodzili się na 60.000, z czego połowa — tytułem zadatku. Ustalili też, że komunikować się będą przez adwokata Grina. Wszystko poszłoby gładko, jak setki innych takich interesów i sprawa nie trafiłaby do kroniki Krylenki, ani na te stronice (tym bardziej — na posiedzenie Sownarkomu!) gdyby żona aresztanta nie zaczęła żałować pieniędzy, gdyby nie przyniosła Grinowi tylko 15.000 zaliczki, zamiast trzydziestu, a najważniejsze gdyby — jak to płocha niewiasta — w ciągu nocy nie doszła do wniosku, że adwokat jest za mało solidny, co sprawiło, że rano popędziła do kogo innego — do rzecznika przysięgłego Jakułowa. Nie wiadomo dokładnie kto, ale zdaje się, że to Jakułow postanowił złapać za rękę śledczych.

Interesującą stroną tego procesu jest, że wszyscy świadkowie, poczynając od pechowej żony, starają się składać zeznania na korzyść podsądnych i bagatelizować dowody obciążające (na procesie politycznym nie jest to możliwe!). Krylenko tłumaczy, że to z uwagi na ich filisterski światopogląd, że czują się oni obcy naszemu Trybunałowi Rewolucyjnemu. (My zaś ośmielimy się zauważyć tu po filistersku: a może świadkowie nauczyli się s t r a c h u w ciągu półrocza dyktatury proletariatu? Przecież to trzeba dużej odwagi żeby oskarżać śledczych rewtrybunału. A co później z człowiekiem będzie?...).

Interesująca jest też argumentacja oskarżyciela. Przecież jeszcze przed miesiącem podsądni byli jego współpracownikami, współbojownikami, pomocnikami, byli ludźmi bez reszty oddanymi interesom Rewolucji, jeden zaś z nich, Leist, był nawet „surowym oskarżycielem, gotowym ciskać pioruny i błyskawice na każdego, kto się ośmieli podnieść rękę na nasze zasady" — i co teraz o nich powiedzieć? Skąd wziąć materiał do oskarżenia?

(bowiem łapówka sama przez się nie jest wystarczającym obciążeniem). A wiadomo skąd: przeszłość! ankieta!

„Jeśli się przyjrzymy" temu Leistowi, „to znajdziemy nadzwyczaj ciekawe dane". Jesteśmy zaintrygowani: czy to jakiś awanturnik z przeszłością? Nie, to syn profesora uniwersytetu Moskiewskiego! A sam profesor też nie zupełnie zwykły, lecz taki, który ocalał w trakcie dwudziestoletnich nawrotów reakcji z tego powodu, że odnosił się zupełnie obojętnie do wszelkiej polityki. (Ale nie bacząc na reakcję, Krylenko też zdał nieźle, jako ekstern). Co tu się dziwić, że syn jego został dwulicowcem?

A Podhajski — ten jest synem jakiegoś urzędnika sądowego, na pewno czarnosecińca, bo jakby mógł inaczej przez 20 lat wysługiwać się carowi? A synalek też szykował się do sądzenia innych. Przyszła rewolucja — więc zaszył się z rewtrybunale. Jeszcze wczoraj wyglądało to szlachetnie, dziś — to ohydne!

Najpodlejszy z całej trójki to, rzecz jasna, Gugel. Był wydawcą — i cóż to proponował robotnikom i chłopom w charakterze strawy duchowej? — „karmił szerokie masy literacką zgnilizną" — nie dziełami Marksa, tylko książkami burżuazyjnych profesorów, osławionych w całym świecie (tych profesorów też jeszcze zobaczymy na ławie oskarżonych).

Siedzi się i nie może się nadziwić Krylenko: co za typki zdołały wśliznąć się do kadry rewtrybunału! (My też nie możemy wyjść z podziwu: z kogóż to składają się robotniczo-chłopskie rewtrybunały? dlaczego proletariat kazał niszczyć swoich wrogów właśnie ludziom tego rodzaju?).

A dopiero ten adwokat Grin, „swój człowiek" w komisji śledczej, który może uzyskać zwolnienie dla nie wiedzieć kogo — to „typowy przedstawiciel tego podgatunku rodzaju ludzkiego, który Marks nazwał pijawkami ustroju kapitalistycznego", w skład którego wchodzą prócz wszystkich adwokatów, także wszyscy żandarmi, duchowni, a nadto... rejenci...[34]

Jak się zdaje Krylenko sił nie żałował, żądając bezlitośnie ostrego ukarania podsądnych — bez wdawania się w sprawę „indywidualnych odcieni i stopnia winy" — ale jakiś niedowład, jakieś odrętwienie padło na rzeźwy zwykle trybunał, tak, że ledwie zdołał wymamrotać: śledczym po sześć miesięcy więzienia, adwokatowi — grzywnę. (Jedynie korzystając z prawa WCIK do „nieograniczonych" kar, Krylenko osiągnął tam, w dawnym hotelu „Metropol" tyle, że śledczym wrzepiono 10 lat, a krwiopijcy adwokatowi — 5 z konfiskatą całego majątku. Krylenko

34. Krylenko, str. 500.

znów kazał mówić o swojej czujności i o mały włos, a dostałby tego swojego Trybuna).

Zdajemy sobie sprawę, że zarówno wśród ówczesnych rewolucyjnych mas, jak wśród naszych dzisiejszych czytelników, ten niefortunny proces może podkopać wiarę w nieziemską czystość trybunału. Z tym większym onieśmieleniem przechodzimy więc do następnego procesu, który dotyczy instytucji jeszcze jaśniejszą aureolą świętości otoczonej.

c) Sprawa Kosyriewa (15 luty 1919)

F. M. Kosyriew i jego kamraci, Libert, Rottenberg i Sołowiew służyli z początku w komisji zaopatrzenia Wschodniego Frontu (jeszcze w czasie walk z wojskami Konstytuanty, przed kampanią przeciw Kołczakowi). Stwierdzono, że na tych stanowiskach potrafili oni zagarniać od 70 tysięcy do miliona rubli jednorazowo, że rozjeżdżali kłusakami, że hulali z siostrami miłosierdzia. Ich komisja zdobyła dla siebie willę, automobil, ich magazynier urządzał libację w restauracji „Jar". (Nie tak sobie zwykle wyobrażaliśmy rok 1918, ale rewtrybunał takie daje nam świadectwo).

Zresztą, nie o to chodzi w tej s p r a w i e : nikogo z nich za sprawki na Wschodnim Froncie nie sądzono, ba, wszystko im zostało wybaczone. Ale dziw nad dziwy! Ledwie tylko zlikwidowano ich komisję zaopatrzenia — a już wszystkich czterech — na dodatek jeszcze — jakiegoś Nazarenkę, byłego włóczęgę z Syberii, koleżkę Kosyriewa z kryminalnej katorgi — powołano do utworzenia... Kolegium Kontrolno-Rewizyjnego WCzK!

Oto czym było to kolegium: *miało ono pełne prawo do kontrolowania prawomocności działań wszystkich pozostałych organów Czeki,* prawo odwołania i rewizji każdej sprawy w dowolnym stadium postępowania, oraz prawo anulowania decyzji wszystkich innych organów WCzK — z wyjątkiem tylko samego Prezydium tej instytucji[35]!!! Nie jest to mało! Druga z kolei instancja w WCzK, ustępująca tylko Prezydium! — Pierwszy szereg to Dzierżyński - Uricki - Peters - Łacis - Mienżynski i Jagoda — a zaraz potem oni!

Tryb życia naszych przyjaciół nie uległ przy tym zmianie, bynajmniej nie dali się opanować pysze i zarozumialstwu: z jakimś Maksymiczem, z jakimś Lońką, Rafailskim i Mariupolskim „nie mającym nic wspólnego z organizacjami komunistycznymi", w mieszkaniach prywatnych i w hotelu „Savoy" urządzają sobie

35. Str. 507.

„wystawne przyjęcia... królują tam karty (w puli jest po tysiąc rubli), wódka i kobiety". Kosyriew mebluje luksusowo dom (70.000) i nie gardzi wynoszeniem z WCzK srebrnych łyżek stołowych, srebrnych kubków (a skąd to się wzięło w WCzK?), a nawet zwyczajnych szklanek. „Oto gdzie kieruje on swą uwagę... bynajmniej nie w stronę spraw ideowych, oto czego mu potrzeba od ruchu rewolucyjnego". (Zarzekając się teraz pobranych łapówek, ten czołowy czekista nawet okiem nie mrugnie, łżąc, że ma... 200.000 rubli spadkowych w Chicago, w banku! Wyobraża sobie widać realnie taką możliwość — równolegle z rewolucją światową!).

Jak tu zrobić prawidłowy użytek ze swojego nadludzkiego prawa do aresztowania i do zwalniania każdego, kogo dusza zamarzy? Najlepiej chyba upatrzyć sobie tę rybkę, która złotą ikrę niesie, a takich rybek w 1918 roku niemało było w sieci. (Przecież rewolucję robiono zbyt pośpiesznie, nie dopilnowano tego i owego, ile też klejnotów, naszyjników, bransolet, obrączek, kolczyków zdążyły pochować te burżujskie damulki). A później nawiązać kontakty z rodzinami aresztowanych przez jakiegoś pośrednika.

Takie figury też widnieją na tym procesie. Jest wśród nich 22-letnia Uspienskaja; ukończyła petersburskie gimnazjum, na wyższe studia się nie dostała, nagle wybuchły Sowiety, więc wiosną 1918 roku Uspienskaja zjawiła się w WCzK, proponując swoje usługi w charakterze informatorki. Wygląd miała odpowiedni, więc ją wzięto.

O donosicielstwie Krylenko pisze, że samo przez się „nie jest ono w naszych oczach niczym godnym potępienia, uważamy to za nasz obowiązek... nie hańbi sam fakt zajmowania się tą czynnością; jeżeli tylko człowiek dochodzi do wniosku, że jest to czynność niezbędna dla interesów rewolucji — to powinien się jej podjąć[36]". Ale, niestety, Uspienskaja jak się okazuje, nie ma politycznego credo! — to jest najgorsze. Mówi sama: „zgodziłam się, by mi płacono określone procenty" od każdej sprawy" i jeszcze miała dzielić się po połowie z kimś, kogo trybunał chroni, nie pozwalając wymienić z nazwiska. Krylenko takiego oto używa języka: Uspienskaja „nie figurowała w spisach pracowników WCzK i pracowała od sztuki[37]". Zresztą oskarżyciel ma ludzkie podejście i tak wyjaśnia: przyzwyczaiła się dziewczyna do nieliczenia się z pieniędzmi, co znaczy dla niej nędzne 500 rubli miesięcznej pensji w Komitecie Gospodarki,

36. Krylenko, str. 513.
37. Str. 507.

kiedy jedno poparcie (popchnąć sprawę kupca, który chce żeby mu zdjęto plomby ze składu) daje jej 5 tysięcy rubli, a inne — chodzi o Mieszczerską-Grews, żonę aresztowanego — 17 tysięcy. Nadto Uspienskaja niedługo była szeregową konfidentką, z pomocą wybitnych czekistów już po kilku miesiącach została członkinią partii i funkcjonariuszką śledczą.

Ale wciąż jakoś nie możemy dojść do sedna sprawy. Uspienskaja zorganizowała Mieszczerskiej-Grews spotkanie w prywatnym mieszkaniu z niejakim Godelukiem, kamratem Kosyriewa, w celu ustalenia ceny za uwolnienie męża (zażądała od niej... 600.000 rubli!). Ale na nieszczęście, w jakiś niedocieczony dla sądu sposób, o tej tajnej schadzce znów dowiedział się rzecznik przysięgły Jakułow — ten sam, który już wsypał śledczych-łapowników i — jak widać — żywił klasową nienawiść do całego systemu proletariackiej procedury sądowej i pozasądowej. Jakubow doniósł o wszystkim moskiewskiemu rewtrybunałowi[38], a przewodniczący trybunału (pamiętając zapewne, jak sierdził się Sownarkom z powodu śledczych-łapowników?) też popełnił klasyczny błąd: zamiast po prostu uprzedzić towarzysza Dzierżyńskiego i wszystko załatwić w rodzinie — posadził stenotypistkę za kotarą. W ten sposób zastenografowane zostały wszystkie aluzje Godeluka do poparcia, jakie mu okazują Kosyriew, Sołowiew, inni komisarze, wszystkie jego opowieści o tym, k t o w WCzK b i e r z e i po ile tysięcy, a także uwiecznione zostało w stenogramie, jak Godeluk wziął 12.000 zaliczki i jak wydał Mieszczerskiej przepustki do WCzK, już wypisane przez Kolegium Kontrolno-Rewizyjne, przez Liberta i Rottenberga (bo tam, w WCzK miano się dalej targować). I wtedy został nakryty! I tak się stropił, że złożył zeznania! (A Mieszczerskaja zdążyła już odwiedzić, Kolegium Kontrolno-Rewizyjne i już zażądano stamtąd akt jej męża d l a k o n t r o l i).

Ale chwileczkę! Toż takie rewelacje plamią anielskie szaty Czeki! Czy aby przy zdrowych zmysłach jest ten przewodniczący moskiewskiego rewtrybunału? Czy to jego sprawa?

Otóż była taka c h w i l a, chwila, którą ukryto przed nami w zakamarkach naszej majestatycznej Historii! Okazuje się, że pierwszy rok działalności Czeki wywarł raczej odstręczające wrażenie nawet na partii proletariatu, która jeszcze nie do wszyst-

38. Aby uspokoić oburzonych czytelników zawiadamiamy, że tego Jakułowa, tę krwiożerczą gadzinę, w chwili, gdy Kosyriew stanął przed sądem, też już zdołano zamknąć, że znaleziono dla niego paragraf. Składał zeznania już pod konwojem, prowadzony z więzienia i wkrótce, mamy nadzieję, doczekał się rozstrzelania. (A teraz wciąż się dziwimy: jak mogło tak rozplenić się bezprawie? Dlaczego nikt z tym nie walczył?).

kiego się przyzwyczaiła. Zaledwie jeden rok, tylko pierwszy krok był zrobiony przez WCzK a już — jak to niezupełnie jasno pisze Krylenko — powstał „konflikt między sądem i jego funkcjami — a pozasądowymi funkcjami Czeki... konflikt, który podzielił w tym okresie partię i robotnicze środowiska na dwa obozy[39]". Dlatego też sprawa Kosyriewa mogła w ogóle być wszczęta (dotychczas wszystko uchodziło płazem) i mogła być rozdmuchana aż do rozmiarów ogólnopaństwowych.

Trzeba było ratować WCzK! Ratować WCzK! Sołowiow prosi trybunał o pozwolenie na wizytę u siedzącego w tagańskim więzieniu (niestety, nie na Łubiance!) Godeluka, aby z nim porozmawiać. Trybunał odmawia. Wówczas Sołowiow znajduje drogę do celi Godeluka także bez trybunału. Tu dziwnym trafem Godeluk od razu ciężko zapada na zdrowiu, a tak. („Trudno tu mówić o złej woli Sołowiowa" — składa grzeczny ukłon Krylenko). I — czując, że śmierć nadchodzi, Godeluk gorzko żałuje, iż mógł tak oszukać Czekę, prosi o papier i odwołuje na piśmie wszystko: nieprawdą jest to co kłamliwie mówił Kosyriewowi i innym komisarzom w WCzK, a także to, co zostało zastenografowane za kotarką — wszystko jest nieprawdą[40]!

„Ale kto te przepustki wypisał?" — nalega Krylenko, toć przepustki dla Mieszczerskiej nie wzięły się z powietrza? Nie, oskarżyciel „nie chce twierdzić, że Sołowiow jest zamieszany, bo tu... nie ma wystarczających danych, ale wyraża przypuszczenie, że „pozostali na wolności obywatele z masłem na głowie" mogli posłać Sołowiowa na Tagankę.

Byłby tu moment najwłaściwszy, by poddać przesłuchaniu Liberta i Rottenberga, nawet ich wezwano — ale się nie stawili! Po prostu nie przyszli, uchylili się. No to przepraszam, dawajcie tu Mieszczerską! Ale wyobraźcie sobie, że ta zahukana arystokratka też miała dość czelności, by nie zjawić się na wezwanie Rewtrybunału! I nie ma sposobu, by ją zmusić! A Godeluk odwołał — i jest konający. A Kosyriew do niczego się nie przyznaje! A Sołowiow jest w ogóle niewinny! I nie ma komu zadawać pytań...

Za to jacy świadkowie odwodowi z własnej woli zjawili się w Trybunale! — zastępca przewodniczącego WCzK, towarzysz

39. Krylenko, str. 40.

40. O, ile tematów! Gdzie jesteś, Szekspirze! Sołowiow przeniknął przez mury, cień pada na cele, Godeluk słabnącą ręką pisze swoje odwołanie — a nam w teatrach i w kinach pokazują lata rewolucji tylko przy dźwiękach „Czerwonej Warszawianki". — „Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę, choć burza wrogich żywiołów wyje..."

Peters — i nawet sam Feliks Edmundowicz przybył, zaniepokojony. Pociągłą, tchnącą żarem twarz ascety obrócił ku zastygłym sędziom i z przejęciem występuje w obronie niewinnego Kosyriewa, w obronie jego najwyższych moralnych, rewolucyjnych i zawodowych zalet. Zeznania te, niestety, nie zostały w książce przytoczone, lecz Krylenko pisze: „Sołowiow i Dzierżyński wynosili tu pod niebiosa wspaniałe zalety Kosyriewa[41]". (Ach, nieostrożny panie chorąży! — po 20 latach przypomną ci na Łubiance ten proces!). Łatwo się domyśleć, co mógł mówić Dzierżyński: że Kosyriew to żelazny czekista, bezlitosny wobec wrogów; że jest dobrym t o w a r z y s z e m. Gorące serce, chłodna głowa, czyste ręce.

Tak oto staje przed nami spiżowa, rycerska postać Kosyriewa, oczyszczona ze śmiecia oszczerstw. Prócz tego — biografia świadczy o jego nietuzinkowej sile woli: przed rewolucją był kilkakrotnie sądownie karany — i tak jakby przeważnie za morderstwa: za to, że w mieście Kostromie podstępem, w celu ograbienia przedostał się do mieszkania staruszki Smirnowej i z a d u s i ł j ą g o ł y m i r ę k o m a. Następnie — za próbę ojcobójstwa i za zabicie kolegi, mające na celu wykorzystanie jego paszportu. W reszcie wypadków Kosyriew odpowiadał za oszustwo, a w ogóle wiele lat spędził na katordze (zrozumiały jest jego pęd do wystawnego życia!) i tylko carskie amnestie go ratowały.

W tym miejscu surowe, słuszne głosy najwybitniejszych czekistów przerwały tok mowy oskarżycielskiej, przypominając, że te wszystkie poprzednie wyroki były dziełem burżuazyjno-ziemiańskich sądów i że nie mogą być brane pod uwagę przez nasze nowe społeczeństwo. Ale co to? Pan chorąży zagalopował się, z oskarżycielskiej trybuny Rewtrybunału wyrąbał w odpowiedzi tyradę tak dalece podejrzaną ideowo, że aż nie wypada nam jej przytaczać, w tym regularnym szyku trybunalskich procesów:

„Jeżeli w dawnym, carskim sądownictwie było w ogóle coś dobrego i godnego naszego zaufania, to był to jedynie sąd przysięgłych... Do sentencji sądu przysięgłych można było zawsze mieć zaufanie, odsetek omyłek sądowych był tam minimalny".

Tym boleśniej jest słyszeć podobne twierdzenia z ust towarzysza Krylenki, że trzy miesiące wcześniej, na procesie prowokatora R. Malinowskiego którego kierownictwo partii faworyzowało nie bacząc na to, że stawał już cztery razy przed sądem za kryminalne przestępstwa, człowieka, który mimo to, dokooptowany był do KC i został posłem do Dumy — rzecznik Władzy Oskarżającej zajął pozycję klasowo wyważoną:

41. Krylenko, str. 522.

„W naszych oczach każde przestępstwo jest produktem danego systemu społecznego i w tym sensie fakt, że ktoś był karany na podstawie praw społeczeństwa kapitalistycznego za carskich czasów — nie jest dla nas czymś, co plami człowieka raz na zawsze... Znamy wiele przykładów, gdy w naszych szeregach znaleźli się ludzie, mający w przeszłości podobne fakty, ale nigdy nie wyciągaliśmy z tego wniosku, że trzeba wyrzucić takiego człowieka z naszego środowiska. Człowiek, znający nasze zasady nie powinien obawiać się, że jakaś kara odbyta w przeszłości postawi go poza naszymi szeregami[42]...".

Widzicie jak partyjnie potrafił się wyrażać towarzysz Krylenko! A w tym wypadku — z winy jego błędnych wywodów — padł cień na rycerską postać Kosyriewa. I powstała taka sytuacja, że towarzysz Dzierżyński zmuszony był na rozprawie oznajmić: „Mignęła mi na sekundę (no, tylko na sekundę! — A.S.) myśl, czy aby obywatel Kosyriew nie jest tu ofiarą politycznych namiętności, które ostatnimi czasy rozgorzały wokół Komisji Nadzwyczajnej[43]?"

Krylenko połapał się w lot: „Nie chcę i nigdy nie chciałem, by ta sprawa przestała być procesem przeciw Kosyriewowi i Uspienskiej, stając się procesem przeciw WCzK. Nie tylko tego nie mogę pragnąć, lecz winienem ze wszystkich sił z tym walczyć!" — „Na czele Komisji Nadzwyczajnej zostali postawieni najbardziej odpowiedzialni, uczciwi i wypróbowani towarzysze, którzy wzięli na swoje barki ciężki obowiązek zadawania ciosów, wraz z ryzykiem, że mogą się omylić... Za to Rewolucja powinna im wyrazić wdzięczność... Podkreślam tę stronę sprawy, aby mi... nikt później nie mógł powiedzieć, że stałem się narzędziem politycznej zdrady[44]". (Powiedzą mu to!).

Główny oskarżyciel stąpał po ostrzu noża! Ale miał, jak widać, jakieś kontakty, jeszcze z czasów konspiracji, dzięki którym dowiadywał się, jaki obrót przyjmą sprawy jutro. Widać to z przebiegu paru procesów i tego również. Były jakieś powiewy w początkach 1919 roku — że już dosyć!, że czas już okiełznać WCzK! Tak, była taka chwila i „znakomicie jest to wyrażone w artykule Bucharina, tam, gdzie mówi on, że miejsce prawa rewolucji powinna zająć rewolucyjna praworządność[45]".

42. Krylenko, str. 337.
43. Str. 505.
44. Str. 509-510 — podkreślenia moje, A.S.
45. Str. 511.

Wszędzie ta dialektyka! I z ust Krylenki wyrywa się nawet: „Rewtrybunał powinien zająć miejsce nadzwyczajnych komisji". (ZAJĄĆ MIEJSCE?!...). Powinien on zresztą „budzić nie mniej strachu w sensie realizacji systemu odstraszania, terroru i gotowości do ciosu, niż budziła Komisja Nadzwyczajna".

B u d z i ł a ? . . . Więc już ją pochował? Chwileczkę — chcecie zająć jej miejsce, a czekiści gdzie się podzieją? Groźne chwile! Tu już warto nawet składać zeznania w długim do pięt szynelu.

Ale może źródła wasze kłamią, towarzyszu Krylenko?

Tak, niebo nad Łubianką zaćmiło się w tych dniach. I cała ta książka mogła była mieć inną treść. Ale myślę, że pokwapił się żelazny Feliks do Włodzimierza Iliicza, porozmawiał, wyjaśnił to i owo. I — mgły się rozproszyły. Chociaż po dwóch dniach, 17 lutego 1919 roku, WCzK pozbawiona została swoich sądowych uprawnień — „ale n i e n a d ł u g o[46]!".

A nasza jedniodniowa rozprawa jeszcze przez to się skomplikowała, że podła Uspienskaja zachowała się obrzydliwie. Nawet siedząc już na ławie oskarżonych „obrzuciła błotem" jeszcze innych wybitnych czekistów, wcale nie wplątanych w ten proces, nawet samego towarzysza Petersa! (Okazało się, że wykorzystała jego czyste nazwisko do swoich operacji szantażowych; całkiem bez ceregieli siadywała już w gabinecie Petersa przy jego rozmowach z innymi pracownikami wywiadu). Teraz robi ona aluzje do jakichś ciemnych spraw z przedrewolucyjnej przeszłości tow. Petersa w Rydze. Widzicie jaka żmija wyrosła z niej w ciągu 8 miesięcy, nie bacząc na to, że przez cały ten czas przebywała pośród czekistów! Co tu z taką począć? Ale tu Krylenko całkowicie jest zgodny z opinią czekistów: „póki nie umocni się nasz ustrój, a jeszcze do tego daleko (? czyżby?) ... w interesie obrony Rewolucji... nie ma i nie może być żadnej innej kary dla obywatelki Uspienskiej, jak l i k w i d a c j a jej". Nie — rozstrzelanie, powiedział wyraźnie: likwidacja! a to młoda jeszcze dziewczyna, obywatelu Krylenko! No, dajcie jej dziesiątaka, no, nawet ćwiartkę, przecież do tego czasu ustrój się chyba umocni? Niestety: „Innej odpowiedzi nie można oczekiwać w interesie społeczeństwa i Rewolucji — i nie można inaczej stawiać kwestii. Żadna izolacja w d a n y m w y p a d k u nie da skutku!".

Ale im dogodziła... Widać dużo wie...

A Kosyriewa też trzeba było spisać na straty. Rozstrzelany. Za to inni lepiej się uchowają.

I czy kiedykolwiek uda nam się przestudiować stare, łubiańskie archiwa? Nie, spalą je. Już je spalili.

---

46. Str. 14.

Jak czytelnik widzi, był to proces niezbyt ważny, można byłoby nie poświęcać mu dłuższej uwagi. Ale oto:

d) Sprawa „Klerykałów" (11-16 styczeń 1920 roku)

Zajmie ona — zdaniem Krylenki — „należne jej miejsce w kronikach rosyjskiej rewolucji". Nie gdzie indziej, tylko w kronikach. Dlatego to Kosyriewa załatwiono w ciągu jednego dnia, a tych tutaj maglowano pięć dni.

Oto główni podsądni: A. D. Samarin (znana w Rosji osobistość, były ober-prokurator Synodu, czynny zwolennik usamodzielnienia się cerkwi od władzy carskiej, wróg Rasputina, wygryziony przez niego ze stanowiska[47]); Kuzniecow, profesor prawa kanonicznego Uniwersytetu Moskiewskiego; moskiewscy protojereje Uspienski i Cwietkow. (O Cwietkowie mówi sam oskarżyciel: „wybitny działacz społeczny, przedstawiciel najlepszego z możliwych typów duchownych, filantrop").

A oto ich winy: utworzyli „Moskiewską Radę Zjednoczonych Parafii", ta zaś zorganizowała (spośród wiernych w wieku od 40 do 80 lat) dobrowolną obronę patriarchy (oczywiście, nieuzbrojoną), ustanawiając w jego domu dzienne i nocne dyżury, których zadanie polegało na tym, by w razie niebezpieczeństwa, grożącemu patriarsze ze strony władz — zwoływać ludzi biciem w dzwony, czy telefonicznie, a później całym tłumem iść w ślad za patriarchą, dokądkolwiek by go uprowadzono i p r o s i ć (to właśnie jest kontrrewolucja) Sownarkom o uwolnienie go!

Co za staroruski, świętoruski zamysł! — zbierać się na dźwięk dzwonów i prosić czołobitnie, a tłumnie!...

Oskarżyciel nie może się nadziwić: jakie to niebezpieczeństwo grozi patriarsze? Skąd ten pomysł, by go bronić?

No i rzeczywiście; tyle, że już od dwóch lat Czeka stosuje pozasądowe represje wobec tych, co jej zawadzają; tyle, że dopiero co, w Kijowie, czterech czerwonoarmistów zabiło metropolitę; tyle, że akta sprawy patriarchy „już są skompletowane, wystarczy tylko posłać je do Rewtrybunału", a „jedynie z uwagi na oględny stosunek do szerokich robotniczo-chłopskich mas, które znajdują się jeszcze pod wpływem klerykalnej propagandy, zostawiamy tych naszych wrogów klasowych c h w i l o w o w s p o k o j u[48]" — więc skąd ten cały lęk wiernych o los patriarchy? Przez te dwa lata patriarcha Tichon nie milczał —

47. Ale oskarżyciel uważa, że Samarin, czy Rasputin — to żadna różnica.
48. Krylenko, str. 61.

rozsyłał orędzia do komisarzy ludowych, do duchowieństwa i do swojej trzódki; te orędzia (oto pierwszy Samizdat!) nie przyjmowane przez drukarnie, przepisywane były na maszynach; piętnował w nich zgładzenie tylu niewinnych, rujnowanie kraju — po cóż więc teraz lękać się o los patriarchy?

A oto inna zbrodnia podsądnych. W całym kraju mają miejsce rejestracje i konfiskaty sprzętu cerkiewnego (to już po zamknięciu klasztorów, zabraniu gruntów i majątków, to już mowa o paterach, kielichach i kadzielnicach) — Rada zaś parafii rozesłała odezwę do wiernych: nie pozwalać na te rekwizycje, bić w dzwony. (To chyba naturalne. Przecież przed Tatarami też tak broniono świątyni!).

Trzecia zbrodnia: bezczelne, ciągłe składanie petycji do Sownarkomu w sprawie naigrawania się władz terenowych z cerkwi, wypadków otwartego bluźnierstwa i łamania prawa swobody sumienia. Petycje te nie miały skutku (poświadcza to Boncz-Brujewicz, szef kancelarii Sownarkomu), ale doprowadzały do dyskredytacji działaczy terenowych.

Gdy już znane są winy podsądnych, jakiego odwetu tu żądać za te okropne zbrodnie? Czy nie podpowie czytelnikowi odpowiedzi rewolucyjne sumienie? Ależ wyłącznie ROZSTRZEANIA! Tegoż też żądał Krylenko (dla Samarina i Kuzniecowa).

Ale podczas gdy borykano się z tą przeklętą praworządnością i słuchano zbyt długich przemówień licznych burżuazyjnych adwokatów (których nam nie zacytowano ze względów technicznych) stało się wiadome, że... skasowano karę śmierci! Masz ci los! Nie może być, jak to? Okazuje się — Dzierżyński wydał taki rozkaz WCzK. (Czeka ma się obejść bez rozstrzeliwania?...). A czy Sownarkom rozciągnął to na trybunały? Jeszcze nie. Więc Krylenko podniósł się na duchu. I dalej żądał rozstrzelania, tak to uzasadniając:

„Jeśli nawet założyć, że coraz pewniejsza sytuacja Republiki wyklucza bezpośrednie niebezpieczeństwo ze strony takich osób, jednak wydaje mi się bezprzeczne, że w tym okresie pracy od podstaw... uwolnienie się od dawnych działaczy-kameleonów jest postulatem rewolucyjnej konieczności". „Decyzja WCzK o rezygnacji z kary rozstrzelania jest przedmiotem dumy władzy sowieckiej". Ale — to „jeszcze nie zobowiązuje nas do przekonania, że kwestia skasowania tej kary jest rozwiązana raz na zawsze... że to dotyczy także przyszłych dziejów władzy sowieckiej[49]".

Trafne proroctwo! Przywrócą rozstrzelanie, przywrócą — i to nawet bardzo prędko! Toć jeszcze tylu czeka w kolejce na swoją

49. Krylenko, str. 81.

kulę! (Także — sam Krylenko i wielu jego klasowych braci...).

Cóż, trybunał był posłuszny, skazał Samarina i Kuzniecowa na rozstrzelanie, ale dopasował sentencję do amnestii: obóz koncentracyjny aż do ostatniego zwycięstwa nad światowym imperializmem! (Do dziś dnia powinniby siedzieć...). Przedstawiciel zaś „najlepszego z możliwych typów duchownych" — dostał 15 lat z zamianą na piątala.

Byli jeszcze inni podsądni, przyczepieni do procesu, aby mieć choć trochę namacalnych danych na podorędziu: zakonnicy i nauczyciele ze Zwienigorodu, oskarżeni w sprawie datującej się z lata 1918 roku, ale z nieznanych powodów nie sądzeni dotąd (a może już raz sądzeni, a teraz jeszcze raz, jako że to mogło być celowe). Tego lata u ihumena Jony[50] w zwienigorodskim klasztorze stawili się przedstawiciele władzy sowieckiej żądając („duchem, prędzej!") wydania relikwii błogosławionego Sawwy. Przedstawiciele urzędu nie tylko palili przy tym w cerkwi (przypuszczalnie — również przed ołtarzem) i — rzecz jasna — nie zdjęli czapek, ale ten, który miał w ręce czaszkę Sawwy miał ją opluć chcąc pokazać, że świętość to tylko pozór. Były też inne bluźnierstwa. W rezultacie — bicie w dzwony, bunt ludowy, ktoś z przedstawicieli władzy został zabity. Pozostali twierdzili później, że nie bluźnili i nie pluli, a Krylenko zadowolił się ich oświadczeniem[51]. Myślicie zatem, że teraz sądzono także... tych przedstawicieli? Bynajmniej, sądzono zakonników.

Prosimy, aby czytelnik nie tracił przez cały czas z oczu faktu, że już od 1918 roku ustaliło się w naszym sądownictwie, iż każda moskiewska rozprawa (oczywiście — prócz niesprawiedliwego procesu pracowników Czeki) nie była uważana za oderwany wypadek sądu nad przypadkowym zbiorem przestępczych działań, lecz rozumiana była jako kierunkowskaz dla polityki sądowniczej; za przykład orzecznictwa, obowiązujący dla prowincji, za wzór, podobnie jak w podręczniku arytmetyki na początku każdego rozdziału przytacza się typowe rozwiązanie, na którym uczniowie mają się opierać przy samodzielnych wypracowaniach.

Jeśli więc powiedziane zostało — „proces klerykałów", to

50. Były gwardzista-kawalergard Vierhof, który „później znienacka przeszedł duchową przemianę, wszystko rozdał biednym i poszedł do klasztoru — zresztą, powiada Krylenko — nie wiem, czy naprawdę miało miejsce to rozdawanie". Pewno, skoro założyć, że zdarzają się duchowe przemiany — to co zostanie z teorii przynależności klasowej?

51. Któż tych scen nie pamięta? Oto pierwsze wspomnienie w moim życiu: miałem zapewne trzy-cztery lata. Do kisłowodzkiej cerkwi wchodzą ostrogłowi (czekiści w sukiennych pikielhaubach — budionnówkach) przepychają się przez oniemiały tłum modlących się i nawet nie zdejmując swoich szyszaków, przerywają nabożeństwo, idąc prosto ku ołtarzowi.

powinniśmy tu zakładać istnienie liczby mnogiej. Zresztą, sam główny oskarżyciel chętnie nam wyjaśnia: „prawie przez wszystkie trybunały Republiki *przewaliły się*[52] (co za słówko!) podobne procesy. Całkiem niedawno toczyły się przed trybunałami w Północnym Dwińsku, Twerze, Riazaniu, w Saratowie zaś, Kazaniu, Ufie, Solwyczegodsku, Carewokokształjsku przed sądem stanęło samo duchowieństwo i psalmiści, słudzy cerkwi, której Październikowa rewolucja dała wolność".

Czytelnik zauważy tu sprzeczność: dlaczego wiele z tych procesów poprzedziło moskiewską rozprawę? Wynika to tylko z luk w naszej narracji. Sądowe i pozasądowe prześladowania wyzwolonej cerkwi zaczęły się jeszcze w 1918 roku i — sądząc ze sprawy zwienigorodskiej — już wtedy osiągnęły duży stopień ostrości. W październiku 1918 roku patriarcha Tichon pisał w orędziu do Sownarkomu, że nie ma wolności głoszenia słowa bożego, że „już krew męczeńską przelali za nią liczni odważni kaznodzieje cerkiewni... Położyliście rękę na majątku Cerkwi, zgromadzonym staraniami pokoleń wiernych i nie powstrzymaliście się przed pogwałceniem ich ostatniej woli". (Narkomowie, jasna rzecz, orędzi nie czytali, a kierownicy działów gospodarczych zrywali chyba boki: też wyrzut wymyślił — ostatnia wola! A gwizdać nam na przodków! — pracujemy dla potomności). „Kaźń spotyka prałatów, duchownych, zakonników i zakonnice, którzy nic nie zawinili, wyłącznie na mocy ogólnikowego zarzutu kontrrewolucyjności". To prawda, że na wieść o zbliżaniu się wojsk Denikina i Kołczaka wstrzymano te prześladowania, po to, by prawosławnym ułatwić obronę rewolucji. Ale zaledwie wojna domowa zaczęła przygasać, znów zabrano się do cerkwi i oto już zaczęło się toto *przewalać* przez trybunały, a w 1920 roku cios spadł nawet na Ławrę Trojce-Sergijewską: dobrano się do relikwii tego szowinisty Sergieja Radonieżskiego, i przerzucono je do muzeum moskiewskiego[53].

52. Krylenko, str. 61.

53. Patriarcha cytuje historyka Kluczewskiego: „Wrota ławry Błogosławionego zamkną się i lampy nad jego grobowcem pogasną dopiero wtedy, gdy roztrwonimy bez reszty cały zapas duchowy naszych moralnych sił, który przypadł nam w schedzie po wielkich budowniczych Rosji, takich, jak błogosławiony Sergiej". Kluczewski nie mógł przypuszczać, że to marnotrawstwo będzie mieć miejsce niemal jeszcze za jego życia.

Patriarcha prosił o audiencję u Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, aby przekonać go, że nie trzeba kłaść ręki na ławrze i relikwiach, bo przecież nastąpiło oddzielenie państwa od cerkwi! Otrzymał odpowiedź, że przewodniczący zajęty jest ważnymi sprawami i że audiencja nie może mieć miejsca w ciągu najbliższych dni.

Ani — w ciągu najpóźniejszych.

Wydany też był okólnik Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości (z 25 sierpnia 1920 roku) o likwidacji w ogóle wszystkich relikwii, właśnie bowiem one utrudniały nasz świetlany marsz ku nowemu, sprawiedliwemu społeczeństwu.

Wertując dalej wybór Krylenki przyjrzyjmy się z kolei rozpatrzonej przez N a j t r y b (taki to miły skrót był wśród nich w użyciu, tylko na nas, biednych robaczków, uroczyście pohukiwali: wstać! sąd idzie!).

e) Sprawie „Centrum taktycznego" (16-20. VIII. 1920) przeciwko 28 podsądnym i pewnej ilości osób sądzonych zaocznie, bo niedosięgłych.

Głosem jeszcze nie schrypniętym, na początku płomiennego przemówienia, cały w blasku klasowych analiz, powiada nam oskarżyciel naczelny, że prócz ziemian i kapitalistów, „istniała i kontynuuje swoje istnienie jeszcze jedna warstwa społeczna, nad której społeczną egzystencją o d d a w n a j u ż s i ę z a s t a n a w i a j ą przedstawiciele rewolucyjnego socjalizmu. (To znaczy — czy ma dalej istnieć, czy nie? — A.S.)... To warstwa t a k z w a n e j i n t e l i g e n c j i... Niniejszy proces to *sąd historii nad działalnością rosyjskiej inteligencji*[54]" i sąd rewolucji nad nią samą.

Bardzo ograniczone ramy naszej analizy nie dają nam możliwości wyjaśnienia w j a k i m t o s e n s i e ZASTANAWIALI SIĘ PRZEDSTAWICIELE rewolucyjnego socjalizmu nad losami tak zwanej inteligencji i co właściwie dla niej wymyślili? Pociesza nas jednak fakt, że materiały te są opublikowane, ogólnie dostępne i mogą być zgromadzone w sposób możliwie pełny. Tylko więc po to, by ogólna sytuacja w Republice stała się jaśniejsza, przypomnimy opinię ówczesnego Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, wyrażoną w latach, gdy wszystkie te rozprawy miały miejsce przed Rewtrybunałem.

W liście do Gorkiego z 15 września 1919 roku (już go cytowaliśmy) Włodzimierz Iliicz odpowiada na interwencje Gorkiego w sprawie aresztowań inteligentów (są wśród nich zapewne niektórzy oskarżeni z tego procesu). O nich i o głównej masie ówczesnej rosyjskiej inteligencji („kadetopodobnej") powiada, że „w istocie t o n i e m ó z g n a r o d u, l e c z j e g o ł a j n o[55]". Innym razem mówi Gorkiemu: „to jej (inteligencji) winą będzie,

54. Krylenko, str. 34.
55. Lenin, wyd. V, t. 51, str. 48.

jeśli rozbijemy zbyt wiele garnków". Jeśli szuka ona sprawiedliwości — to dlaczego nie idzie do nas?... „Kulę dostałem właśnie od inteligencji[56]" (ma na myśli zamach Fanny Kapłan).

Przy takim nastawieniu, jego wypowiedzi o inteligencji nacechowane są nieufnością, wrogością: zgniło liberalna; „bogobojna"; „ślamazarność, tak typowa dla 'wykształconych' osób[57]"; uważał, że inteligencja niczego nie potrafi przemyśleć do końca, że „z d r a d z i ł a s p r a w ę r o b o t n i c z ą". (Ale kiedyż to przysięgła ona na wierność s p r a w i e r o b o t n i c z e j, jeśli pod nią rozumieć dyktaturę proletariatu?).

To wyszydzanie inteligencji, tę pogardę dla niej przejęli później pewną ręką publicyści lat 20-tych i gazety lat 20-tych, i ludzie z ulicy i wreszcie — sami inteligenci, przeklinając swoją wieczną niekonsekwencję, wieczną dwoistość, wieczny b r a k k r ę g o s ł u p a i beznadziejne n i e n a d ą ż a n i e z a e p o k ą.

I słusznie! Oto grzmi pod sklepieniem Najtrybu głos Rzecznika Władzy Oskarżającej i każe nam wrócić na ziemię:

„Ta warstwa społeczna... poddana została w ciągu tych lat próbie ogólnego przewartościowania". Tak, tak,(przewartościowania, to wyrażenie często wtedy powtarzano. I jakże wypadło to przewartościowanie? Ot, jak: „Rosyjska inteligencja, która w ognisty krąg rewolucji wkroczyła pod hasłem ludowładztwa (a jednak coś tam było!) wyszła z niego jako sojuszniczka czarnych (nawet nie białych!) generałów, jako najemniczka i sojuszniczka europejskiego imperializmu. Inteligencja zdeptała własne sztandary (jak w armii, prawda?) i zbryzgała je błotem[58]".

No, jak tu nie kajać się w skrusze do siódmych potów? Jak tu nie rozdrapać sobie piersi pazurami?...

I tylko dlatego *„nie ma powodu dobijać* poszczególnych jej przedstawicieli", że „ta grupa społeczna już się przeżyła".

Mówi to na progu XX wieku! Co za siła przewidywania! O, naukowi rewolucjoniści! (D o b i j a ć jednak trzeba było. Przez całe lata dwudzieste nic, tylko dobijali).

Z uczuciem niechęci przyglądamy się fizjognomiom 20-miu sojuszników czarnych generałów, pachołków europejskiego imperializmu. Szczególnie bije w nos odór tego C e n t r u m — bo to było i Centrum Taktyczne, i Centrum Narodowe, i Prawicowe Centrum (a zaraz przypominają się z procesów tego dwudziestolecia inne Centra i same tylko Centra: inżynierskie, miensze-

56. „W. I. Lenin i A. M. Gorki" — wyd. Akademii Nauk, Moskwa, 1961, str. 263.
57. Lenin, wyd. IV, tom 26, str. 373.
58. Krylenko, str. 54.

wickie, trockistowsko-zinowiewowskie, prawicowo-bucharinowskie, a wszystkie rozgromione, wszystkie starte na proch — i tylko dzięki temu jeszcze wszyscy jesteśmy wśród żywych). A już gdzie Centrum, tam na pewno działa ręka imperializmu.

Co prawda, trochę lżej robi się na sercu, gdy słyszymy dalej, że Centrum Taktyczne, nad którym odbywa się właśnie sąd, nie było organizacją, że nie miało: 1) statutu, 2) programu, 3) składek członkowskich. A co miało? A miało spotkania (mrowie przechodzi). Przy spotkaniach członkowie jego zapoznawali się z poglądami rozmówcy (mróz po kościach).

Bardzo ciężkie oskarżenie, a nadto poparte dowodami rzeczowymi: na 28 oskarżonych 2 (słownie — dwa) dowody rzeczowe[59]. Są to dwa listy nieobecnych (znajdują się za granicą) działaczy: Miakotina i Fiodorowa. Są nieobecni, ale przed Październikiem należeli do tychże rozmaitych Komitetów, do których należeli obecni, co daje nam prawo utożsamiać nieobecnych z obecnymi. A czego dotyczą te listy? A różnicy zdań z Denikinem, co do takich drobnostek, jak kwestia chłopska (nie mówi nam się tego, ale jasne jest, że radzą oni Denikinowi, by oddał ziemię chłopom), kwestia żydowska (zapewne — żeby nie wracać do przedrewolucyjnych ograniczeń), problem federacyjno-narodowy (to już jasne), sprawa systemu administracyjnego (demokracja, nie zaś dyktatura) i inne. I jakież wnioski z tych dowodów? Bardzo proste: zostało dzięki nim wykazane, że korespondowali i byli całkowicie zgodni z Denikinem! (Wrr...hau, hau!).

Ale są też bezpośrednie zarzuty wobec oskarżonych: wymiana informacji ze znajomymi, mieszkającymi na peryferiach (na przykład w Kijowie), nie znajdującymi się w zasięgu centralnej władzy sowieckiej! To znaczy, powiedzmy, dawniej to była Rosja, ale później dla dobra rewolucji światowej odstąpiliśmy ten kawałek Niemcom, a tu ludzie dalej posyłają sobie liściki: jak tam się panu żyje, panie Iwanie?... Co do nas, to tak, a tak... I M. M. Kiszkin (członek KC partii konstytucyjnych demokratów) nawet na ławie oskarżonych bezczelnie próbuje się usprawiedliwiać: „człowiek nie chce być ślepy i usiłuje dowiedzieć się wszystkiego, co się wszędzie dzieje".

Dowiedzieć się WSZYSTKIEGO, co dzieje się WSZĘDZIE?... Nie chce być ślepym?... A więc słusznie kwalifikuje oskarżyciel ich czyny jako zdradę! zdradę w stosunku do Władzy Sowieckiej!!

59. Krylenko, str. 38.

Ale oto najokropniejsze ich występki: w samym wirze wojny domowej ci ludzie... pisali jakieś dzieła, układali memoranda, projekty. Tak, ci „znawcy prawa administracyjnego, nauk finansowych, stosunków gospodarczych, sądownictwa i systemu oświatowego" p i s a l i d z i e ł a ! (I, jak łatwo zgadnąć, wcale nie opierając się o znane prace Lenina, Trockiego i Bucharina...). Profesor S. A. Kotlarewski — o federacyjnym ustroju Rosji, W. J. Stępkowski — o kwestii rolnej (i zapewne — nie zakładał kolektywizacji), W. S. Muralewicz — o oświacie ludowej w przyszłej Rosji, N. N. Winogradski — o ekonomii. A (wiellki) biolog N. K. Kolcow (któremu kraj ojczysty nie dał dotąd nic, poza prześladowaniami i ciężkimi karami) pozwalał tym burżuazyjnym żubrom zbierać się na rozmowy w swoim instytucie. (Znalazł się w tym towarzystwie także N. K. Kondratiew, który w 1931 roku ostatecznie będzie skazany przy okazji sprawy T.K.P. — rzekomo istniejącej Chłopskiej Partii Pracy).

Oskarżycielskie instynkty grają nam już w piersi w przeczuciu wyroku. No, jaka spadnie kara na tych generalskich pachołków? Zasłużyli tylko na — rozstrzelanie! To już nie żądanie oskarżyciela, to już s e n t e n c j a trybunału! (Niestety, złagodzono ją później: obóz koncentracyjny do końca wojny domowej).

Na tym właśnie polega wina podsądnych, że nie siedzieli w swoim kątku, gryząc swoją ćwiartkę chleba, tylko „zmawiali się i porozumiewali między sobą co do tego, jaki ma być ustrój państwa, po upadku ustroju sowieckiego".

W języku współczesnej nauki nazywa się to badaniem rozwiązania alternatywnego.

Głos oskarżyciela jest grzmiący, ale jakieś słyszymy w nim pęknięcie, tak jakby chwilami szperał okiem po blacie swojej trybuny, jakby szukał papierka? Cytaty? Chwileczkę! Trzeba podrzucić! Z innego procesu? Nieważne! Może to, Mikołaju Wasiliewiczu, proszę bardzo:

„dla nas z n ę c a n i e m się jest już sam fakt trzymania więźniów politycznych za kratą...".

Oho! Trzymanie politycznych w więzieniu — to znęcanie się! I to mówi oskarżyciel! — co za szerokie poglądy! Wstaje słońce nowego prawodawstwa! Dalej:

„... Walka z carskim rządem była ich (politycznych) drugą naturą i n i e w a l c z y ć z caratem oni n i e p o t r a f i ą[60]!!

Podobnie, jak nie potrafili nie badać rozwiązań alternatywnych?... A może m y ś l e n i e — to po prostu druga natura inteligenta?

60. Krylenko, str. 17.

Ach, nie ten cytat podsunął mu ktoś, co za niezręczność! Aż wstyd! Ale Mikołaj Wasiliewicz już tokuje:

„I nawet gdyby oskarżeni tu, w Moskwie nie kiwnęli palcem — (wygląda na to, że tak właśnie było) — to wszystko jedno: ... w takiej chwili nawet rozmówki przy szklance herbaty o tym, jaki ustrój powinien zastąpić ginącą rzekomo władzę sowiecką — są aktem kontrrewolucyjnym. Podczas wojny domowej przestępstwem jest nie tylko działanie (przeciw władzy sowieckiej)... przestępstwem jest też bezczynność[61]".

No, teraz rozumiemy, teraz wszystko rozumiemy. Skażą ich na rozstrzelanie za bezczynność. I picie herbaty.

Albo na przykład — piotrogrodzcy inteligenci postanowili w wypadku wkroczenia wojsk Judenicza „przede wszystkim zatroszczyć się o zwołanie demokratycznej rady miejskiej" (to znaczy — bronić się przed generalską dyktaturą).

Krylenko: — Chce mi się krzyknąć: „Powinniście byli myśleć przede wszystkim o tym, żeby paść trupem, ale przegrodzić drogę Judeniczowi!!".

A ci nie padli.

(Zresztą — Mikołaj Wasiliewicz także nie padł).

A był jeszcze taki podsądny, który był świadom wszystkiego! a milczał. (Po naszemu — „wiedział, a nie powiedział").

A oto już nie bezczynność, tylko czynny występek: za pośrednictwem L. N. Chruszczowej, członkini politycznego Czerwonego Krzyża (też tutaj siedzi, na ławie oskarżonych) niektórzy podsądni wspomagali więźniów z Butyrek pieniędzmi (można wyobrazić sobie ten potok kapitałów — na rachunek kantyny więziennej!) i rzeczami (może nawet z czystej wełny?!).

Te zbrodnie nie mają kresu! Niech więc także proletariacki odwet nie zna granic!

Jak z padającej na ziemię kamery filmowej, skośnym, zmąconym łańcuszkiem miga przed nami dwadzieścia osiem męskich i kobiecych twarzy przedrewolucyjnego typu. Nie zdążyliśmy zobaczyć ich wyrazu! — czy są nastraszone? pogardliwe? dumne?

Toż nie ma ich wypowiedzi! Ani ostatniego słowa! — ze względów technicznych... Starając się nadrobić ten brak, oskarżyciel wywodzi nam swoje trele: „Było to bezustanne samobiczowanie i kajanie się za popełnione błędy. Polityczna niedojrzałość i międzywarstwowy charakter (a tak, to też na dodatek, międzywarstwowy charakter!) inteligencji... W tym wypadku cał-

61. Str. 39.

kowicie potwierdziła się marksistowska ocena inteligencji, jaką zawsze dawali jej bolszewicy[62]".

Nie wiem. Być może doszło do samobiczowania. A może nie. Może JUŻ ulegli pokusie, by zachować życie za wszelką cenę. Może JESZCZE zachowali tradycyjne inteligenckie poczucie godności. Nie wiem.

A cóż to za młoda kobieta tam mignęła?

To córka Lwa Tołstoja, Aleksandra. Pyta Krylenko — jaki był jej udział w tych spotkaniach? Odparła: „Nastawiałam samowar!" — Trzy lata obozu koncentracyjnego!

Taki był wschód słońca naszej wolności.

Tak to nabierało ciała swawolne dziecię, nasze młodziutkie prawo.

Już teraz zupełnie tego nie pamiętamy.

62. Krylenko, str. 8.

IX

PRAWO DORASTA

Nasz przegląd przedłuża się. A przecież jeszcześmy go na dobrą sprawę nie zaczęli. Do najważniejszych, najsłynniejszych procesów jeszcześmy nie doszli. Ale zasadnicze linie już się zarysowują.

Poasystujmy naszemu prawu także w jego wieku harcerskim. Przypomnijmy tu dawno zapomniany i nawet nie polityczny:

f) *proces Gławtopu* (maj 1921)* — ponieważ dotyczył inżynierów, albo specówów, jak się wtedy mówiło.

Właśnie minęła najsurowsza z czterech zim wojny domowej, gdy już w ogóle nie zostało żadnego opału, pociągi nie dojeżdżały do stacji przeznaczenia, w stolicach zaś panowały chłód, głód i fala strajków po fabrykach (teraz wykreślonych z historii). Kto był temu winien? — Znów to sławetne pytanie: KTO WINIEN?

No, to pewne, że nie Najwyższe Kierownictwo. Ale nawet nie terenowe! — a to najważniejsze. Jeżeli „towarzysze, niekiedy nie związani poprzednio z tą dziedziną" (komuniści-szefowie) nie byli wystarczająco kompetentni, to „określić właściwe podejście do sprawy" powinni byli za nich spece[1]! Znaczy to więc, że „nie kierownicy są winni... — winni są ci, którzy robili obliczenia, sprawdzali rachunki i układali plany" (jak nakarmić i ogrzać ludzi). Winni są nie ci od porachunków, tylko ci od rachunków! Plany okazały się lipne — winni są więc

* Naczelny Zarząd Materiałów Opałowych.

1. Krylenko, str. 381.

spece, że cyfry nie zgadzały się z rzeczywistością — „to wina nie Rady Pracy i Obrony" a nawet nie odpowiedzialnych kierowników Gławtopu[2]". Nie było ani węgla, ani drzewa, ani ropy — więc to wina speców, że „wytworzyła się sytuacja zawikłana i chaotyczna". Oni też są winni, że nie sprzeciwiali się pilnym telefonicznym żądaniom Rykowa — i na jego zlecenie wydawali i wysyłali różnym instytucjom opał poza planem.

Wszystkiemu winni s p e c e ! Ale sąd proletariacki nie jest wobec nich bezlitosny, wyroki są łagodne. Rzecz jasna, w proletariackiej piersi drzemie wewnętrzna nieufność, ci przeklęci spece to element obcy, ale bez nich nie można się wygrzebać z ogólnej ruiny. I Trybunał ich nie zaszczuwa, powiada nawet Krylenko, że poczynając od 1920 roku „nie może być mowy o sabotażu". Spece są winni, ale nie ze złej woli, po prostu to niedorajdy, nie potrafią lepiej, nie nauczyli się pracować przy kapitalizmie, albo zwyczajnie są egoistami i łapownikami.

Tak oto w początkach okresu rekonstrukcji wytyczona została szkicowo dziwna linia pobłażliwości wobec speców.

1922 rok, pierwszy rok pokoju. Obfitował w procesy publiczne, tak bardzo, że cały ten nasz rozdział poświęcony będzie temu jednemu rokowi. (Dziwne: wojna minęła, a tu tak wzmogła się ilość spraw sądowych? Ale przecież w 1945 i 1948 Smok też nadzwyczaj się ożywił. Czy to nie ta sama prosta prawidłowość?).

Nie zapomnijmy o mającej miejsce w początkach tego roku —

g) *sprawie samobójstwa inżyniera Oldenborgera* (Trybunał Najwyższy, luty 1922). Procesu tego nikt już nie pamięta, wydaje się on mało ważny i zupełnie nietypowy. Nietypowy, bo jego przedmiotem jest jedno tylko ludzkie życie, które przy tym dobiegło końca. Gdyby zaś nie dobiegło, to wspomniany inżynier, a z nim razem jakichś dziesięciu ludzi — składając się na nowe c e n t r u m, stanęliby przed Trybunałem Najwyższym — i wtedy proces byłby zupełnie typowy. Tymczasem na ławie oskarżonych zasiadł wybitny działacz partyjny, towarzysz Siedelnikow, obok niego zaś dwóch z izby kontroli i dwóch działaczy związkowych.

Ale — jak ta daleka, pęknięta struna u Czechowa, dźwięczy coś przejmującego w tej sprawie, będącej wczesną zapowiedzią procesów inżynierów z Szacht i „Prompartii".

W. W. Oldenborger pracował trzydzieści lat w moskiewskich

2. Str. 382-383.

wodociągach i został ich naczelnym inżynierem chyba jeszcze w początkach stulecia. Przeminął Srebrny Wiek sztuki, minęły cztery Dumy Państwowe, trzy wojny, trzy rewolucje — a cała Moskwa wciąż piła wodę Oldenborgera. Akmeiści i futuryści, reakcjoniści i rewolucjoniści, junkrzy i czerwonogwardziści, Sownarkom, Czeka i Inspekcja Robotniczo-Chłopska — wszyscy pili czystą, chłodną wodę Oldenborgera. Nie był żonaty, nie miał dzieci — w całym swoim życiu miał tylko ten wodociąg. W 1905 roku nie wpuścił do stacji pomp żołnierzy, którzy mieli go ochraniać — bo „żołnierze mogą niechcący uszkodzić przewody, albo maszyny". Drugiego dnia rewolucji lutowej powiedział swoim robotnikom, że rewolucja się skończyła, że dosyć, wszyscy na miejsca, woda powinna płynąć nieprzerwanie. W trakcie walk październikowych w Moskwie troszczył się tylko o jedno: żeby uchronić wodociąg od szkód. Jego pracownicy zastrajkowali w odpowiedzi na przewrót bolszewicki, zaprosili go do udziału. Odpowiedział: „W technicznym aspekcie, bardzo przepraszam, ale nie strajkuję. A w pozostałych... w pozostałych, no owszem, mogę strajkować". Przyjął od komitetu strajkowego pieniądze dla strajkujących, wystawił kwit i zaraz pobiegł, żeby znaleźć jakieś części wymienne do zepsutej rury.

Wszystko jedno, to wróg! Oto co powiedział jakiemuś robotnikowi: „Władza sowiecka nawet dwóch tygodni się nie utrzyma". (Wieją nowe, przednepowskie wiatry i Krylenko pozwala sobie na szczere tony wobec trybunału: „Tak myśleli wtedy nie tylko spece, t a k m y ś l e l i ś m y n i e r a z m y s a m i[3]".

Wszystko jedno, to wróg! Powiedział nam przecież towarzysz Lenin: do pilnowania burżuazyjnych specjalistów potrzebny nam jest czujny pies — RKI (Robotniczo-Chłopska Inspekcja).

Dwa takie czujne psy zostały posłane do pilnowania Oldenborgena. (Jeden z nich — to oszust, biuralista z Wodociągów, Makarow-Ziemlański, wydalony „za nielicujące z przyzwoitością postępki", zgłosił się do RKI „bo tam lepiej płacą", dostał się do Centralnego Komisariatu Ludowego, bo „tam zarobki jeszcze wyższe" — i stamtąd przyjechał, aby kontrolować swojego byłego zwierzchnika i zemścić się na nim z całego serca). No, a komitet miejscowy też nie spał — oczywiście, to będzie najlepszy obrońca robotniczych interesów. No i komuniści stanęli na czele wodociągów. „Tylko komuniści powinni kierować, tylko komuniści powinni mieć całą pełnię decyzji — słuszność tej zasady potwierdził także ten proces[4]".

3. Krylenko, str. 439, podkreślenie moje.
4. Krylenko, str. 433.

No, a miejska organizacja partyjna Moskwy też oka nie spuszczała z wodociągów. (A zza jej pleców, jeszcze Czeka). „N a z d r o w y m u c z u c i u w r o g o ś c i k l a s o w e j oparliśmy swego czasu organizację naszej armii; w imię tej samej zasady nie powierzamy żadnego odpowiedzialnego stanowiska ludziom nie należącym do naszego obozu — nie stawiając obok nich... komisarza[5]". Od razu więc zaczęli wszyscy korygować, poszturchiwać, pouczać naczelnego inżyniera tasując bez jego wiadomości personel techniczny („rozpędziliśmy całe gniazdo geszefciarzy").

I nawet to nie uratowało wodociągów! Robota poszła odtąd nie lepiej, tylko gorzej! — Szajka inżynierów umiała po cichu zrealizować swoje złowrogie zamiary. Doszło do tego, że — wbrew swojej niezdecydowanej inteligenckiej naturze, która nie pozwalała mu nigdy w życiu użyć ostrego słowa — Oldenborger ośmielił się nazwać pociągnięcia nowego naczelnika wodociągów Zeniuka („postaci dogłębnie sympatycznej" dla Krylenki „dzięki całej swojej wewnętrznej strukturze") — sobiepaństwem!

Wtedy to właśnie stało się jasne, że „inżynier Oldenborger świadomie zdradza interesy robotników oraz jest zdecydowanym i otwartym wrogiem dyktatury klasy robotniczej". Zaczęto więc wzywać na miejską stację pomp komisje kontrolne — jednakże stwierdzały one, że wszystko jest w porządku i że woda płynie normalnie. Ci z inspekcji robotniczo-chłopskiej nie pogodzili się z losem i posyłali meldunek za meldunkiem do swojej RKI. Oldenborger chciał ponoć „zrujnować, zepsuć, zniszczyć wodociągi w politycznych celach". No więc — gdzie tylko mogli przeszkadzali mu, sprzeciwiali się rozrzutnemu remontowi kotłów, albo zastąpieniu drewnianych pojemników betonowymi. Przywódcy robotników zaczęli głośno mówić na zebraniach o wodociągach, że ich naczelny inżynier jest „duszą zorganizowanego sabotażu technicznego", że nie wolno mu wierzyć i we wszystkim trzeba mu się sprzeciwiać.

I mimo to robota wcale się nie usprawniła, tylko poszła jeszcze gorzej!...

Co zaś szczególnie było dotkliwe dla „dziedzicznej proletariackiej psychologii" tych z RKI i związków zawodowych, to fakt, że większość robotników ze stacji pomp, „zarażonych drobnomieszczańską psychologią", opowiedziała się po stronie Oldenborgera i nie dostrzegała jego sabotażu. Na domiar złego — nadeszły wybory do moskiewskiego sowietu miejskiego i robotnicy wodociągów wysunęli w imieniu swojego przedsiębiorstwa kandydaturę Oldenborgera, której, rzecz jasna, przeciwstawiona została ze stro-

5. Str. 434.

ny komórki partyjnej kandydatura członka partii. Ta ostatnia jednak, jak się okazało, nie miała żadnych szans, a to z winy fałszywego autorytetu, jakim cieszył się inżynier naczelny wśród robotników. Nie mniej, komórka partyjna posłała do rejkomu, do wszystkich instancji, a także kazała odczytać publicznie na zebraniu ogólnym rezolucję, głoszącą, że „Oldenborger jest centralną postacią i duszą sabotażowych knowań i w sowiecie moskiewskim będzie on tylko naszym politycznym wrogiem!". Robotnicy odpowiedzieli wrzawą i krzykami „nieprawda!", „łżecie!" i wówczas to sekretarz komitetu partyjnego, towarzysz Siedelnikow powiedział prosto w oczy tysiącgłowemu proletariatowi: „z takimi czarnosiecińcami ja tu wcale nie będę gadał!", czyli że — pogadamy, owszem, ale w innym miejscu.

Podjęto następujące partyjne środki zaradcze: usunięto naczelnego inżyniera z... kolegialnego zarządu wodociągów, postawiono go w sytuacji permanentnego śledztwa, zaczęto wzywać go bezustannie na posiedzenia najrozmaitszych komisji i podkomisji, poddano przesłuchaniom — dając jednocześnie różne zlecenia do wykonania w trybie nagłym. Każdy wypadek jego niestawiennictwa wprowadzano do protokołów „w związku z ewentualnością przyszłego procesu sądowego". Poprzez Radę Pracy i Obrony (przewodniczący — tow. Lenin) osiągnięto wyznaczenie w przedsiębiorstwie wodociągów „Trójki Nadzwyczajnej" (RKI, rada związków zawodowych oraz tow. Kujbyszew).

Woda zaś czwarty już rok płynęła sobie rurami, mieszkańcy Moskwy ją pili i furt niczego nie mogli dostrzec...

Naówczas tow. Siedelnikow napisał artykuł do pisma „Życie ekonomiczne": „w związku z niepokojącymi opinię publiczną pogłoskami o katastrofalnym stanie wodociągów" zreferował on szereg nowych niepokojących pogłosek, wśród nich zaś także tę, że „wodociągi pompują wodę pod powierzchnię ziemi i świadomie rozmywają fundamenty całej Moskwy" (założone jeszcze przez księcia Iwana Kalitę). Wezwano komisję Sowietu moskiewskiego. Stwierdziła ona, że: „stan wodociągów jest zadowalający, a techniczne ich kierownictwo pracuje racjonalnie". Oldenborger obalił wszystkie oskarżenia. Wówczas Siedelnikow oznajmił beztrosko: „uważałem za swoje zadanie narobienie szumu dookoła tej sprawy, a już sprawą speców jest zorientowanie się, co tam jest naprawdę na rzeczy".

Cóż jeszcze mogli zrobić przywódcy mas? Mieli w ręku ostatni już, ale jakże skuteczny sposób! Donos do WCzK! Siedelnikow tak właśnie postąpił! „Widząc świadome rujnowanie wodociągów przez Oldenborgera" nie ma wątpliwości, że „w przedsiębiorstwie wodociągów, w samym sercu Czerwonej Moskwy, działa

kontrrewolucyjna organizacja". Zwraca w związku z tym uwagę również na katastrofalny stan Rublowskiej wieży miejskiej!

Ale tu Oldenborger pozwala sobie na krok fałszywy i skrajnie nietaktowny, na wypad będący dowodem inteligenckiej niekonsekwencji i braku kręgosłupa: otrzymuje negatywną odpowiedź na swój wniosek o zamówienie za granicą nowych kotłów (starych zaś nie sposób jeszcze naprawić w Rosji) — i popełnia samobójstwo. (Za wiele widać tego wszystkiego na jednego człowieka, brak było jeszcze wtedy ludziom treningu).

Sprawa wiele na tym nie ucierpiała, organizację kontrrewolucyjną można wykryć nawet gdy jej nie ma, panowie z RKI podejmują się jej zdemaskowania bez reszty. Dwa miesiące trwają jakieś głuche manewry. Ale duch rozpoczynającego się NEP-u wymaga aby „nauczyć rozumu i jednych i drugich" i stąd proces przed Trybunałem Najwyższym. Krylenko powściągliwie się sroży; Krylenko wykazuje powściągliwą nieustępliwość. Rozumie wszak, że „rosyjski robotnik, rzecz jasna, miał rację gdy w każdym o b c y m widział raczej wroga, niż przyjaciela[6]", ale — „przy dalszych zmianach w naszej praktycznej i ogólnej polityce będziemy musieli, być może, iść na jeszcze większe ustępstwa, cofać się i lawirować; partia, być może, będzie zmuszona do wybrania linii taktycznej, która wywoła sprzeciwy ze strony prymitywnej logiki u c z c i w y c h, o f i a r n y c h b o j o w n i k ó w[7]".

No, to prawda, że robotników i ludzi RKI, składających zeznania obciążające towarzysza Siedelnikowa i ludzi RKI, trybunał musiał „z lekka wziąć w karby". A podsądny Siedelnikow mężnie odpowiadał na groźby oskarżyciela: „Towarzyszu Krylenko! Znam te paragrafy; ale przecież tutaj sądzi się nie k l a s o w y c h w r o g ó w, a te paragrafy odnoszą się do wrogów naszej klasy".

Jednakże Krylenko też całkiem dzielnie mnoży zarzuty. — Świadomie kłamliwe donosy do instytucji państwowych... i to w okolicznościach zwiększających winę (zemsta prywatna, porachunki osobiste)... nadużycie stanowiska... brak poczucia odpowiedzialności politycznej... nadużycie władzy i autorytetu pracowników aparatu sowieckiego, członków partii... dezorganizacja pracy w przedsiębiorstwie wodociągów... przyprawienie o stratę Sowietu moskiewskiego i całej Sowieckiej Rosji, bo przecież mało mieliśmy takich specjalistów... zastąpić takiego człowieka nie sposób... N i e b ę d z i e m y t u m ó w i ć o s t r a c i e i n d y-

6. Krylenko, str. 435.
7. Krylenko, str. 438.

widualnej, o utracie człowieka... w naszej epoce, kiedy główną treścią naszego życia jest walka, przyzwyczailiśmy się już jakoś do tego, aby nie liczyć się z rozmaitymi niepowetowanymi stratami[8] najwyższy trybunał rewolucyjny powinien tu wypowiedzieć się dobitnie... skazujący wyrok powinien być wydany z całą surowością!... nie dla żartów tuśmy się zebrali!...

Rety, co też im teraz za to dadzą? Czy aby nie...? Czytelnik już się przyzwyczaił i gotów podpowiedzieć: WSZYSTKICH ROZ...

Bardzo słusznie. Wszystkich roz - śmieszyć: z uwagi na szczerą skruchę podsądnych, wymierzyć im karę... nagany publicznej!

Dwie prawdy...

A Siedelnikowa podobno — na jeden rok więzienia.

Pozwólcie, że to między bajki włożę.

O, bardowie lat dwudziestych, którzy opiewacie je jako jasną kipiel radości! nawet jeśli człowiek ledwie o nie się otarł, jeśli tylko dzieciństwem swoim je musnął — to też nigdy ich nie zapomni. Te ryła, te mordy, szczujące na inżynierów — w dwudziestych latach właśnie pęczniały.

Ale widzimy teraz, że zaczynały już w 18-tym...

◆

W trakcie dwóch następnych procesów odpoczniemy trochę od towarzystwa naszego ulubieńca, oskarżyciela naczelnego: zajęty jest on właśnie przygotowaniami do wielkiego procesu eserów[9]. Ogromny ten proces już zawczasu budził niepokój w Europie i Ludowy Komisariat Sprawiedliwości spostrzegł się w porę: już cztery lata sądzi się ludzi, a wciąż nie ma kodeksu karnego, ani starego, ani nowego. Zapewne zabiegi dookoła kodeksu też nie zostały oszczędzone Krylence: trzeba było w porę wszystko koordynować.

Cerkiewne zaś procesy, które miały się zacząć, należały do spraw wewnętrznych, nie interesowały postępowej Europy i można było nawet bez kodeksu przepuścić je przez magiel.

Widzieliśmy już, że rozdział cerkwi z państwem rozumiany był przez państwo w ten sposób, że i same świątynie i wszystko co w nich zostało niegdyś powieszone, postawione i narysowane — przechodzi na własność państwa, we władaniu cerkwi zaś

8. Str. 458.

9. **Procesy eserów na prowincji, na przykład w Saratowie w 1919 roku, zdarzały się także wcześniej.**

pozostaje tylko ta cerkiew, którą się nosi w sercach, zgodnie z Pismem Świętym. I w roku 1918, gdy wydawało się, że zwycięstwo polityczne zostało już osiągnięte, zabrano się do konfiskowania cerkiewnego majątku. Jednakże ten atak spowodował zbyt wielkie oburzenie mas. W czasie wojny domowej, która wkrótce rozgorzała, było rzeczą nierozsądną tworzenie jeszcze jednego, wewnętrznego frontu walki z wierzącymi. Trzeba było dialog komunistów z chrześcijanami chwilowo odroczyć.

Pod koniec zaś wojny domowej, jako naturalny jej skutek, wybuchł niebywały głód na Powołżu. Jako że nie bardzo zdobi on wieniec, który przypadł zwycięzcom w tej wojnie — to przebąkuje się o nim tu i ówdzie nie więcej niż po dwa wiersze. Tymczasem głód ten dochodził do ludożerstwa, do pożerania własnych dzieci przez rodziców. Był to głód, jakiego Ruś nie znała nawet za czasów Wielkiej Smuty (bowiem wtedy, jak świadczą historycy, po kilka lat stały pod śniegiem i lodem niezżęte zboża). Jeden film o tym głodzie mógłby może rzucić nowe światło na to wszystko, cośmy widzieli, i wszystko co wiemy o rewolucji i wojnie domowej. Ale nie ma ani filmów, ani powieści, ani studiów statystycznych — starają się o tym zapomnieć, bo to nie zdobi. Prócz tego p r z y c z y n ę każdego głodu widzimy z przyzwyczajenia w obecności k u ł a k ó w — a gdzież tu kułacy pośród tego powszechnego moru? W. G. Korolenko w „Listach do Łunaczarskiego[10]" (wbrew obietnicom tego ostatniego, nigdy u nas nie wydanych) tak nam tłumaczy ogólne zagłodzenie i pauperyzację kraju: to rezultat spadku wszelkiej wydajności pracy (bo robotne ręce dzierżyły broń) oraz zaniku wśród chłopów zaufania i nadziei, że drobną choćby część zbiorów będzie można zatrzymać dla siebie samych. Kiedyś zresztą ktoś tam policzy także te wielomiesięczne, wielowagonowe dostawy żywności, wysyłanej po pokoju Brzeskim z Rosji, która sama sobie odjęła możność protestu, ba, nawet z jej regionów, gdzie jutro miał wybuchnąć głód — do kajzerowskich Niemiec, kończących swoją wojnę z Zachodem.

Prosty i krótki jest łańcuszek przyczyn i skutków: dlatego ludzie z Powołża jedli własne dzieci, że brak nam było cierpliwości, aby cackać się z Demokratyczną Konstytuantą.

Ale geniusz polityka na tym polega, aby z ludowego nieszczęścia uczynić przesłankę sukcesu. To błysnęło jak objawienie: — n i e c h w i ę c t e r a z p o p y n a k a r m i ą P o w o ł ż e ! przecież są chrześcijanami, serduszko ich boli!

10. Paryż, 1922 i Samizdat — 1967.

1) Jeżeli odmówią — to obciążymy ich winą za głód, a zarazem będziemy mieć powód, aby dać łupnia cerkwi;

2) jeżeli się zgodzą — to wymieciemy świątynie do czysta;

3) w każdym zaś wypadku uzupełnimy nasz zapas waluty.

Zresztą, ten pomysł chyba podpowiedziała sama cerkiew swoimi akcjami. Jak świadczy patriarcha Tichon, jeszcze w sierpniu 1921 roku, w początkach głodu, cerkiew stworzyła diecezjalne i ogólnokrajowe komitety pomocy głodującym i rozpoczęła zbiórkę pieniędzy. Ale pozwolić na pomoc b e z p o ś r e d n i ą, pozwolić aby cerkiew podsuwała ją głodującym pod nos, równało się podkopywaniu dyktatury proletariatu. Komitety więc skasowano, a pieniądze odebrano na rzecz skarbu państwa. Patriarcha zwracał się o pomoc do papieża i do arcybiskupa Canterbury — ale temu też położono kres, wyjaśniając, że jedynie władza sowiecka ma prawo prowadzenia rozmów z obcymi. Zresztą nie ma powodów do takiego alarmu: pisały przecież gazety, że rząd ma wszystkie środki, aby we własnym zakresie uporać się z głodem.

A na Powołżu ludzie żarli już trawę, zelówki i gryźli framugi. I nareszcie w grudniu 1921 roku Pomgoł (państwowy komitet pomocy głodującym) zaproponował cerkwi, aby ofiarowała na rzecz głodujących część majątku cerkiewnego — tę tylko, która nie służyła dla celów liturgicznych. Patriarcha zgodził się, Pomgoł wydał instrukcję: wszelkie ofiary mogą mieć tylko dobrowolny charakter! 19 lutego 1922 roku patriarcha rozesłał orędzie: zezwala się komitetom parafialnym na składanie w ofierze sprzętu cerkiewnego nie mającego charakteru liturgicznego.

I tak oto wszystko mogło rozmydlić się w kompromisach osnuwających pajęczyną proletariacką wolę — podobnie jak to chcieli niektórzy zrobić z konstytuantą, podobnie jak to się dzieje w europejskich gadalniach parlamentarnych.

Myśl — piorun! Myśl — dekret! Dekret WCIK z 26 lutego: zarekwirować w s z y s t k i e kosztowności cerkiewne na rzecz głodujących!

Patriarcha napisał do Kalinina — ten nawet nie odpowiedział. Wówczas, 28 lutego, patriarcha ogłosił nowe feralne orędzie: z punktu widzenia cerkwi podobny akt jest świętokradztwem i dlatego nie możemy rekwizycji zaaprobować.

Z dystansu pół wieku łatwo teraz mieć pretensje do patriarchy. To jasne, że kierownicy chrześcijańskiej cerkwi nie powinni byli bawić się w rozważania — czy aby władza sowiecka nie ma już innych rezerw, albo k t o doprowadził Powołże do głodu; nie powinni byli tak trząść się nad tymi kosztownościami, wcale nie z nich miała się wziąć (jeżeli w ogóle wziąć się miała) nowa moc wiary. Ale trzeba też wyobrazić sobie sytuację tego nieszt-

częsnego patriarchy wybranego już po Październiku, od paru dopiero lat stojącego na czele cerkwi — już tylko uciskanej, szczutej, rozstrzeliwanej, a przecież powierzonej mu, aby jej bronił.

I tu — natychmiast zaczęła się w gazetach nagonka bez pudła przeciw patriarsze i wyższym dostojnikom cerkwi, duszącym Powołże kościstą łapą głodu! Im bardziej patriarcha się upierał, tym słabsza stawała się jego pozycja. W marcu rozpoczął się ruch wśród duchowieństwa, postulujący oddanie cennego sprzętu i znalezienie kompromisu z władzą. Obawom, jakie także w tej sytuacji pozostawały w mocy, dał wyraz wobec Kalinina biskup Antonin Granowski, dokooptowany do Centralnego Komitetu Pomgoła: „wierni obawiają się, że majątek cerkwi może być użyty dla innych, obcych ich sercu celów". (Znając ogólne założenia Przodującej Doktryny, doświadczony czytelnik zgodzi się, że było to bardzo prawdopodobne. Wszak Komintern i walczący o wyzwolenie Wschód mają potrzeby nie mniej pilne, niż ci z Powołża).

Także metropolita Piotrogrodu Beniamin dał się z całym przekonaniem porwać uniesieniu: „to wszystko — boskie i sami to wszystko oddamy". Nie trzeba rekwizycji, niechaj to będzie dobrowolna ofiara. Także chodziło mu o kontrolę ze strony duchowieństwa i wiernych: towarzyszyć tym sprzętom cerkiewnym aż do chwili, w której przekształcą się one w chleb dla głodujących. Nękała go przy tym myśl, aby jednocześnie nie sprzeciwić się tutaj patriarszemu potępieniu.

Wyglądało na to, że w Piotrogrodzie wszystko da się jakoś ułożyć. Na posiedzeniu piotrogrodzkiego Pomgołu, 5 marca 1922 roku, zapanował nawet, zdaniem pewnego świadka, różowy nastrój. Beniamin oznajmił: „Prawosławna cerkiew gotowa jest wszystko oddać, byle pomóc głodującym" i upatruje świętokradztwo tylko w rekwizycji przymusowej. Ale wobec tego rekwizycja nie będzie potrzebna! Przewodniczący piotrogrodzkiego Pomgołu, Kanatczykow oświadczył, że takie stanowisko zapewni cerkwi przychylność rządu sowieckiego. (A właśnie!) W porywie gorących uczuć wszyscy wstali. Metropolita oznjamił: „najcięższym naszym brzemieniem — jest waśń i wrogość. Ale nadejdzie czas — i pojednają się Rosjanie. Sam na czele modlących się wiernych zdejmę okładzinę z obrazu Matki Boskiej Kazańskiej, słodkimi łzami ją zroszę i oddam". Pobłogosławił bolszewików — członków Pomgołu, a ci z gołymi głowami odprowadzili go aż do bramy. „Piotrogrodzka Prawda" z 8, 9 i 10 marca[11] potwierdza,

11. Artykuły „Cerkiew i głód", „Jak będzie przeprowadzona konfiskata majątku cerkwi".

że pertraktacje toczyły się spokojnie i doprowadziły do zgody. Gazeta pisze o metropolicie z uznaniem: „Uzgodniono w Smolnym, że cerkiewne kielichy i okładziny w obecności wiernych będą przetopione na sztabki".

No i znów jakiś kompromis, jakieś klajstrowanie! Trujące opary chrześcijaństwa mają skazić rewolucyjną wolę. T a k a jedność i t a k i e oddawanie dobytku n i e s ą p o t r z e b n e głodującym na Powołżu ludziom! Cały skład Pomgołu zostaje zmieniony za brak charakteru, gazety podnoszą krzyk przeciwko „złym pasterzom" i „książętom cerkwi", przedstawicielom duchowieństwa wyjaśnia się: niepotrzebne nam żadne wasze o f i a r y ! Nie może być żadnych p e r t r a k t a c j i ! W s z y s t k o n a l e ż y d o w ł a d z y — i władza weźmie to, co uważa za potrzebne.

I tak samo jak wszędzie, również w Piotrogrodzie zaczęły się przymusowe rekwizycje, którym towarzyszyły starcia.

Były już teraz podstawy prawne do rozpoczęcia procesów przeciw cerkwi[12].

h) *Moskiewski proces przeciw cerkwi* (26 kwietnia - 7 maja 1922 roku). Miał miejsce w Muzeum Politechnicznym przed Moskiewskim Trybunałem Rewolucyjnym; przewodniczącym był Bek, prokuratorami Łunin i Łonginow. Podsądnymi było 17-tu protojerejów i świeckich, znaleźli się przed sądem za rozpowszechnianie apelu patriarchy. Oskarżenie to dotyczyło punktu ważniejszego niż samo oddanie, albo nieoddanie sprzętu cerkiewnego. Protojerej A. N. Zaozierski ODDAŁ WSZYSTKO, CO BYŁO CENNEGO W JEGO ŚWIĄTYNI, ale dla samej zasady broni apelu patriarszego uważając przymusową konfiskatę za świętokradztwo, stał się więc centralną postacią procesu i czeka go teraz ROZSTRZELANIE (co wykazało: nie chodzi o to, aby nakarmić głodujących, lecz o to, aby złamać cerkiew w tak dogodnej chwili).

5 maja trybunał wzywa w charakterze świadka patriarchę Tichona. Chociaż publiczność na sali jest już specjalnie dobrana, przysłana (rok 1922 nie bardzo się pod tym względem różni od 1937 i 1968), ale tak głęboko jeszcze wżarty jest stary zaczyn Rusi, a tak powierzchowna jest błonka nowego zaczynu Sowietów — że przy wejściu patriarchy więcej niż połowa sali podnosi się z krzeseł, aby przyjąć jego błogosławieństwo.

---

12. Materiały wziąłem ze „Szkiców z historii zamieszek cerkiewnych" A. Lewitina. Cz. I, Samizdat, 1962 r., oraz stenogram przesłuchań patriarchy Tichona, T. V akt jego sprawy sądowej.

Tichon bierze na siebie całą winę, polegającą na sporządzeniu i rozesłaniu apelu. Przewodniczący usiłuje dogrzebać się: ależ czy to możliwe?! Jakże to, własną ręką, od początku do końca? Ależ wyście to na pewno tylko podpisali, *kto* jednak *pisał?* za *czyją* radą? I następnie: czemu to wspominacie w tym apelu o jakiejś nagonce prowadzonej przez gazety przeciw wam? (Przecież to na *was* szczują, dlaczego więc *my* mamy tego słuchać...). Co chcieliście przez to powiedzieć?

Patriarcha: — Raczej należałoby zapytać tych, którzy wszczęli nagonkę — w jakim celu do tego się brali?

Przewodniczący: — Ale przecież to nie ma nic wspólnego z religią!

Patriarcha: — To ma swój historyczny charakter.

Przewodniczący: — Użyliście takiego wyrażenia, że podczas gdy prowadzone były pertraktacje z Pomgołem — z a p l e c a m i, chyłkiem wydany został dekret?

Tichon: — Owszem.

Przewodniczący: — Wobec tego jesteście zdania, że rząd sowiecki postąpił niesłusznie?

Jest to druzgoczący argument! Miliony razy powtórzą go nam oficerowie śledczy w swoich nocnych gabinetach! I nikt z nas nigdy nie ośmieli się odpowiedzieć na to z taką prostotą jak: Patriarcha: — Owszem.

Przewodniczący: — Czy istniejące w państwie prawa uważacie za obowiązujące również was, czy nie?

Patriarcha: — Tak, uważam, *o ile nie sprzeciwiają się one zasadom prawdy bożej.*

(Gdybyż tak każdy odpowiedział! Inaczej by wyglądały nasze dzieje!).

Pytają teraz o kwestie kanoniczne. Patriarcha wyjaśnia, że jeśli cerkiew sama oddaje swój majątek, to nie ma w tym świętokradztwa, ma zaś ono miejsce, jeśli dobytek cerkwi zabiera się wbrew jej woli. W orędziu nie jest powiedziane, żeby w ogóle nie oddawać, potępione zaś jest tylko zabieranie wbrew woli cerkwi.

(Ale przecież właśnie o to nam chodzi — żeby wbrew woli!).

Przewodniczący, towarzysz Bek nie może pojąć: — co jest w końcu dla was ważniejsze — kanony cerkiewne, czy punkt widzenia sowieckiego rządu?

(Oczekiwana odpowiedź brzmi: — ... sowieckiego rządu).

— Dobrze, niech już wedle kanonów to będzie świętokradztwo — woła oskarżyciel — ale przecież z punktu widzenia m i ł o s i e r d z i a ? ! . . .

(Po raz pierwszy i ostatni w ciągu 50-ciu lat wspomina się w trybunale to biedne m i ł o s i e r d z i e . . .).

Przeprowadza się również analizę filologiczną. „Świętokradztwo" — to znaczy święte — kraść.

Oskarżyciel: — To znaczy, że my, przedstawiciele władzy sowieckiej, jesteśmy złodziejami przedmiotów kultu?

(Długotrwała wrzawa na sali. Przerwa. Pracownicy działu gospodarczego zabierają się do sprzątania).

Oskarżyciel: — Tak więc, przedstawicieli władzy sowieckiej, WCIK-u, wy nazywacie złodziejami?

Patriarcha: — Ja tylko kanony przytaczam.

Następnie rozpatrzeniu podlega termin „bluźnierstwo". Przy rekwizycji, przeprowadzonej w cerkwi Wasylego z Cezarei, okładzina ikony nie chciała się zmieścić w skrzynce, wobec tego przydeptali ją nogami. Ale przecież samego patriarchy przy tym nie było?

Oskarżyciel: — Skąd wiecie o tym? W y m i e ń c i e n a z w i s k o tego duchownego, który wam to opowiedział (= a my już go zaraz zamkniemy!).

Patriarcha nie wymienia nikogo.

A więc kłamie!

Oskarżyciel drąży ze zwycięską miną: — Nie, mówicie k t o rozpowszechniał te ohydne oszczerstwa?

Przewodniczący: — Podajcie nazwiska tych, co deptali okładzinę nogami! (Bo przecież zostawiali przy tym swoje wizytówki). Inaczej trybunał nie może wam dać wiary!

Patriarcha nie potrafi podać nazwisk.

Przewodniczący: — A więc to gołosłowne twierdzenia!

Trzeba jeszcze tylko dowieść, że patriarcha chciał obalić władzę sowiecką. Oto jak się dowód przeprowadza: „Agitacja jest próbą doprowadzenia do zmiany n a s t r o j ó w, po to aby w przyszłości doprowadzić do o b a l e n i a).

Trybunał podejmuje decyzję wytoczenia sprawy karnej patriarsze.

7 maja zapada wyrok: na 17-tu podsądnych 11-tu skazano na rozstrzelanie. (Rozstrzelanych zostaje pięciu).

Jak mawiał Krylenko — nie dla żartów tuśmy się zebrali.

Mija jeszcze tydzień, a patriarcha zostaje złożony z urzędu i aresztowany. (Ale to jeszcze nie koniec. Chwilowo odwożą go do Dońskiego monasteru, gdzie będzie poddany surowej izolacji, która ma trwać dopóty, dopóki wierni nie przyzwyczają się do jego nieobecności. Pamiętacie, jak niedawno jeszcze dziwował się Krylenko: jakież to niebezpieczeństwo grozi patriarsze?...

I rzeczywiście, gdy teraz zagrozi, to już nie pomoże ani bicie w dzwony, ani telefon).

Po upływie następnych dwóch tygodni zostaje aresztowany w Piotrogrodzie metropolita Beniamin. Nie był on żadnym wysokim purpuratem, nie był nawet nominowany, jak wszyscy metropolici. Wiosną 1917 roku — po raz pierwszy od zmierzchu starodawnego Nowgorodu — nastąpił wybór metropolitów i w Moskwie, i w Piotrogrodzie. Przystępny, łagodnych obyczajów, często-gęsto bywający w fabrykach, popularny wśród ludności i niższego duchowieństwa — ich właśnie głosami został Beniamin wybrany. Nie rozumiejąc ducha czasów uważał za swoje zadanie oczyszczenie cerkwi od polityki, „bowiem w ciągu minionych lat bardzo cerkwi ten ciężar doskwierał". Tego właśnie metropolitę posadzono na ławie oskarżonych z okazji:

i) *piotrogrodzkiego procesu przeciw cerkwi* (9 czerwca - 5 lipca 1922 roku). Oskarżonych (o opór stawiany przy zaborze majątku cerkiewnego) było kilkudziesięciu. Byli wśród nich profesorowie teologii i prawa cerkiewnego, archimandryci, duchowni i świeccy parafianie. Przewodniczący trybunału Siemionow miał 25 lat (był podobno piekarzem). Głównym oskarżycielem był członek kolegium komisariatu sprawiedliwości P. A. Krasikow — rówieśnik i przyjaciel Lenina z czasów zesłania krasnojarskiego, a później — z pobytu na emigracji, ten sam, którego gry na skrzypcach tak lubił słuchać Włodzimierz Iliicz.

Już na Newskim Prospekcie i na skręcie z Newskiego codziennie stał tłum, a gdy metropolitę wieziono do sądu, wielu ludzi padało na kolana i śpiewało „Spasi Góspodi Liudi Twoja"! (Rozumie się, że i na ulicy, i w gmachu sądów brano do aresztu zbyt gorliwych wiernych). Na sali — większą część publiczności stanowili krasnoarmiejcy, ale nawet ci wstawali z miejsc za każdym razem, gdy wchodził metropolita w swoim białym kołpaku. Oskarżyciel zaś i trybunał używał wobec niego zwrotu wróg ludu (zauważmy, że słówko to było już wtedy stosowane).

Pogarszając się z procesu na proces, sytuacja adwokatów bardzo już wtedy była trudna. Krylenko nic nam o tym nie mówi, ale mamy tu przekaz pochodzący od naocznego świadka. Leadera grona obrońców — Bobriszczewa-Puszkina, spiorunował trybunał groźbą, że go samego każe wsadzić — i tak to już było zgodne z ówczesnymi obyczajami, tak było realne, że Bobriszczew-Puszkin czym prędzej złożył na ręce adwokata Górowicza swój złoty zegarek i portfel... a jednego ze świadków, profesora Jegorowa, trybunał postanowił *stante pede* aresztować za

wypowiedzi świadczące na korzyść metropolity. Okazało się zaraz, że Jegorow jest na to przygotowany: miał w ręku wypchaną tekę, a w niej — jedzenie, zmianę bielizny i nawet kocyk.

Czytelnik zwrócił zapewne uwagę, jak sąd stopniowo przybiera formy dobrze nam znane.

Metropolita Beniamin oskarżony został o to, że umyślnie zawarł porozumienie z... władzą sowiecką i że w ten sposób niecnie osiągnął złagodzenie dekretu o rekwizycji cerkiewnego majątku. Swoje orędzie do Pomgołu w przestępczy sposób rozpowszechniał wśród ludności (samizdat!) i że działał w porozumieniu ze światową burżuazją.

Pop Krasnicki, jeden z naczelnych przedstawicieli ruchu Żywej Cerkwi i współpracownik GPU, zeznał, że duchowni uknuli zmowę, aby wywołać na tle głodu powstanie przeciw władzy sowieckiej.

Udzielono głosu tylko świadkom oskarżenia, świadków zaś odwodowych w ogóle nie wysłuchano (no, jakie tu podobieństwa!... coraz ich więcej i więcej...).

Oskarżyciel Smirnow żądał „16-tu głów". Oskarżyciel Krasikow zawołał: „Cała cerkiew prawosławna jest organizacją kontrrewolucyjną. Właściwie należałoby wsadzić do więzienia całą cerkiew!".

(Program bardzo realny, wkrótce miał być prawie bez reszty wprowadzony w życie. I jaka to dobra podstawa do DIALOGU).

Korzystamy z rzadkiej okazji, mogąc przytoczyć kilka zachowanych zdań z przemówienia adwokata S. J. Górowicza, obrońcy metropolity:

— „Dowodów winy brak, brak faktów, brak więc podstaw do oskarżenia... co na to powie historia? (Ale nas postraszył! A zapomni i nic nie powie!). Konfiskata majątku cerkiewnego w Piotrogrodzie przeprowadzona była w zupełnym spokoju, ale piotrogrodzkie duchowieństwo siedzi na ławie oskarżonych i czyjeś ręce popychają tych ludzi ku śmierci. Naczelna zasada, na którą tu się powołujecie — to dobro władzy sowieckiej. Ale nie zapominajcie, że krew męczenników dodaje cerkwi nowych sił do rozrostu. (A u nas się nie rozrośnie!)... Więcej nie ma co mówić, ale trudno człowiekowi zaprzestać mówienia. Póki trwają te debaty — podsądni są jeszcze żywi. Gdy zakończy się rozprawa — dobiegnie też końca ich życie...".

Trybunał skazał na śmierć 10-ciu. Na tę śmierć czekali oni przeszło miesiąc, aż do końca procesu eserów (tak, jakby musiano ich rozstrzelać razem z eserowcami). Następnie WCIK ułaskawił sześciu z nich, czterech zaś (metropolitę Beniamina, archimandrytę Sergija — byłego członka Dumy Państwowej, profesora prawa

J. P. Nowickiego i rzecznika przysięgłego Kowszarowa) rozstrzelano w nocy z 12 na 13 sierpnia.

Bardzo prosimy, aby czytelnik nie zapominał o zasadzie prowincjonalnego uwielokrotnienia. Gdzie doszło do dwóch procesów przeciw cerkwi tam w istocie było ich dwadzieścia dwa.

◆

Bardzo starano się żeby kodeks karny zdążył przed procesem eserowców: czas już wykuć granitowe zręby Prawa! 12 maja — według wcześniejszych ustaleń — zainaugurowano sesję WCIK, ale projekt kodeksu wciąż nie był gotów — posłano go dopiero do Gorek, na ręce Włodzimierza Iliicza, do przejrzenia. Sześć artykułów kodeksu przewidywało rozstrzelanie jako najwyższy wymiar kary (na przykład także — z artykułu 69: propaganda i agitacja... między innymi — wzywanie do biernego oporu przeciw władzy, do masowej odmowy wykonania obowiązku służby wojskowej, albo do niepłacenia podatków[13]). I jeszcze jedna okazja do rozstrzelania: za powrót bez pozwolenia zza granicy (bo to niegdyś wszyscy socjaliści szwendali się to tu, to tam). Wprowadzono jeszcze jedną karę, równą rozstrzelaniu: wyrzucenie za granicę. (Włodzimierz Iliicz przewidywał, że już niedługo nadejdzie czas, gdy nie będzie można się opędzić od tych, co zechcą przenieść się do nas z Europy, natomiast nikt nie będzie chciał dobrowolnie wyjechać od nas na Zachód). Najważniejszy wniosek Iliicz tak sformułował w notatce do narkoma sprawiedliwości:

„Towarzyszu Kurski! Wydaje mi się, że trzeba poszerzyć stosowanie rozstrzelania... (zamieniając je na wyrzucenie za granicę) w stosunku do różnych rodzajów działalności mienszewickiej, eserowskiej itp.; znaleźć formułę, *wiążącą* tę działalność z międzynarodową burżuazją" (kursywa i rozstrzelony druk pochodzą od Lenina[14]).

Poszerzyć stosowanie rozstrzelania! — Chyba jasne? (Bo to wielu wysłano za granicę?) *Terror — to środek przekonywający*[15] — też chyba jasne!

Ale Kurski jakoś nie zrozumiał wszystkiego. Zapewne nie zupełnie zdawał sobie sprawy — jak to wszystko sformułować,

13. To znaczy — coś w rodzaju apelu Wyborgskiego, za który carski rząd wlepił trzy miesiące więzienia.
14. Lenin, *Dzieła zebrane*, wyd. V. tom 45, str. 189.
15. Lenin, *Dzieła zebrane*, wyd. V, tom 39, str. 404-405.

jak unaocznić to powiązanie. Następnego więc dnia przyjechał do przewodniczącego Sownarkomu po wyjaśnienia. Nie znany nam jest przebieg tej rozmowy. Ale 17 maja Lenin posłał w ślad za gościem następny list:

„Tow. Kurski! W charakterze uzupełnienia do naszej rozmowy posyłam wam szkic dodatkowego paragrafu kodeksu karnego... mam nadzieję, że zasadnicza myśl jest jasna, nie bacząc na wszystkie usterki brulionu: wystawić na widok publiczny zasadnicze i politycznie słuszne (a nie tylko wąsko-prawnicze) założenie, uzasadniające sens i usprawiedliwiające terror, jego niezbędność, jego granice.

Zadaniem sądu nie jest skasowanie terroru; podobne obiecanki byłyby oszukiwaniem samych siebie, albo łudzeniem innych. Sąd powinien terror uzasadnić i uprawomocnić w sposób pryncypialny, jasny, bez fałszu i upiększeń. Formuła powinna być jak najluźniejsza, bowiem tylko rewolucyjna świadomość prawna i rewolucyjne sumienie decydować będą o praktycznych warunkach stosowania tego w sensie mniej lub bardziej szerokim.

Z komunistycznym pozdrowieniem

Lenin[16]".

Nie podejmujemy się komentowania tego ważnego dokumentu. Jest to okazja do namysłu w skupieniu i w ciszy.

Dokument ten dlatego jest szczególnie ważny, że należy do ostatnich wydanych za życia rozporządzeń Lenina, jeszcze nie powalonego przez chorobę, jest ważną częścią jego politycznego testamentu. Dziewięć dni po wysłaniu tego listu Lenin przeżywa pierwszy udar mózgowy, z którego skutków zdołał się otrząsnąć tylko częściowo i nie na długo w ciągu miesięcy jesiennych 1922 roku. Oba listy do Kurskiego zostały być może napisane w tym samym jasnym, wykładanym białym marmurem gabinecie-buduarze, w tym narożnym pokoju drugiego piętra, gdzie stało już i czekało na przywódcę jego łoże śmierci.

Załącznikiem do listu jest ten właśnie brulion, dwa warianty dodatkowego paragrafu, z którego za lat kilka wykluje się i artykuł 59/4 i cały nasz rodzony Pięćdziesiąty Ósmy. Człowiek czyta i musi podziwiać: oto co znaczy formuła jak najluźniejsza! oto co znaczy sens mniej lub bardziej szeroki! Czyta człowiek i przypomina sobie, jak szeroko rozpościerał się nasz najmilszy artykuł...

16. Lenin, *Dzieła zebrane*, wyd. V, tom 45, str. 190.

„... propaganda, albo agitacja, albo udział w organizacji, albo poparcie (będące poparciem obiektywnym, albo mogące okazać się takim)... dla organizacji albo osób, działalność, która nosi charakter...".

Ależ dajcie mi tu świętego Augustyna, a też mu ten artykuł przypnę!

Wszystko zostało uwzględnione jak należy, przepisane na maszynie, możliwości stosowania rozstrzelania poszerzono i sesja WCIK w dwudziestych dniach maja zaaprobowała i postanowiła wprowadzić w życie Kodeks Karny z dniem 1 czerwca 1922 roku.

Teraz więc, w całkowitej zgodzie z prawem, mógł zacząć się dwumiesięczny:

j) *proces eserowców* (8 czewca - 7 sierpnia 1922 roku). Trybunał Najwyższy. Stały przewodniczący, towarzysz Karklin (niezłe nazwisko dla sędziego!* (zastąpiony został ze względu na odpowiedzialny charakter tej sprawy, przez obrotnego Gieorgija Piatakowa. Los nierychliwy lubi się pośmiać! — ale przecież zostawia ludziom sporo czasu do refleksji! Piatakowowi zostawił 15 lat**...). Adwokatów nie było — podsądni, wybitni eserowcy, sami podjęli się własnej obrony. Piatakow zachowywał się opryskliwie, nie pozwalał wypowiedzieć się podsądnym.

Gdybyśmy — wraz z naszymi czytelnikami — nie byli jeszcze wystarczająco obkuci, gdybyśmy nie wiedzieli, że najważniejszą rzeczą w każdym procesie sądowym jest nie tak zwana wina, nie zasadność zarzutów — lecz zasada celowości — to być może nie od razu pozbylibyśmy się wewnętrznych oporów w stosunku do tego procesu. Ale zasada celowości gra tu bez pudła: w przeciwieństwie do mienszewików, eserowcy byli uważani za jeszcze niebezpiecznych, jeszcze nie rozproszonych, jeszcze nie całkiem dobitych — i dla umocnienia nowopowstałej dyktatury (proletariatu) ich dobicie było celowe.

Nie znając zaś tej zasady, można by mylnie uznać cały ten proces za akt partyjnej zemsty.

Oskarżenia wysunięte na tej rozprawie muszą skłonić człowieka do zadumy, jeśli przymierzy się je do długiej, rozległej i wciąż dążącej tym samym torem historii państwa. Z wyjątkiem nielicznych demokracji parlamentarnych, których dzieje ograni-

* *Karkat'* — krakać.

** Piatakow był jednym z oskarżonych w procesie moskiewskim 1937 roku. Rozstrzelany.

czają się do niewielu dziesięcioleci — cała historia organizmów państwowych jest historią przewrotów i zagarniania władzy przemocą. I ten, komu się uda dokonać przewrotu w sposób zręczniejszy i sprawniejszy — w tejże chwili przywdziewa niepokalaną togę Obrońcy Prawa i każdy krok jego, zarówno dawny, jak skierowany ku przyszłości, uznany jest za pełnoprawny i godny eposu, każdy zaś dawny i przyszły krok jego niefortunnych przeciwników — uznany jest za przestępczy, podlegający sądowi i surowej karze.

Zaledwie przed tygodniem wprowadzony został kodeks karny — ale już całe 5 lat życia i porewolucyjnej historii upycha się w nim na siłę. Przed dwudziestu, przed dziesięciu, przed pięciu jeszcze laty, eserowcy byli partią sąsiedzką, z którą wspólnie obaliło się carat. Tą partią, na której barki padł (dzięki osobliwościom jej terrorystycznej taktyki) główny ciężar katorgi, którego bolszewicy prawie nie zaznali.

A oto teraz przeciw nim kieruje się pierwszy oskarżycielski zarzut: eserowcy, to inicjatorzy wojny domowej! Tak, zaczęli ją oni, to o n i ją rozpoczęli! Oskarża się ich o to, że już w trakcie przewrotu październikowego wystąpili przeciw niemu z bronią w ręku. Kiedy Rząd Tymczasowy, cieszący się ich poparciem i składający się częściowo z ich przedstawicieli, został w całym majestacie prawa zmieciony ogniem marynarskich cekaemów — eserowcy zupełnie bezprawnie próbowali go bronić[17], a nawet odpowiadali wystrzałem na wystrzał i doszło do tego, że skłonili do walki kadetów, co służyli w wojsku tego właśnie rządu, który miał być obalony.

Rozbici na polu walki, nie okazali jednak politycznej skruchy. Nie padli na kolana przed Sownarkomem, który uznał się za rząd. Upierali się nadal, że jedynym legalnym rządem był rząd poprzedni. Nie przyznali się z miejsca do bankructwa swojej politycznej linii, od dwudziestu lat kontynuowanej[18], tylko prosili, aby ich oszczędzono, puszczono na cztery wiatry i przestano uważać za partię[19].

A oto drugi zarzut: pogłębili oni otchłań wojny domowej przez to, że 5 i 6 stycznia 1918 roku urządzili demonstrację, co

17. Inna rzecz — że próbowali tego w sposób bardzo niemrawy, wahając się przy tym i zarzekając raz po raz. Ale w i n a ich nie jest przez to mniejsza.

18. A bankructwo, oczywiście, miało miejsce, chociaż nie od razu to się wyjaśniło.

19. Na tej samej zasadzie nielegalne są wszystkie terenowe i peryferyjne rządy — Archangielski, Samarski, Ufimski, Omski, Ukraiński, Kubański, Uralski, czy Zakaukaski, ponieważ uznały się one za samodzielne organy władzy już *po* proklamowaniu Sownarkomu.

równa się buntowi przeciw legalnej władzy rządu robotniczo-chłopskiego: urządzili ją dla poparcia swojej nielegalnej (choć wybranej drogą powszechnego, wolnego, równego, tajnego i bezpośredniego głosowania) Konstytuanty, występując przeciw marynarzom i czerwonogwardzistom, którzy w majestacie prawa rozpędzili i Konstytuantę, i demonstrantów. (A do czego właściwie mogły doprowadzić sesje Konstytuanty, gdyby nie zostały przerwane? — tylko do pożaru trzyletniej wojny domowej. Dlatego przecież zaczęła się wojna domowa, że nie cała ludność z miejsca i posłusznie podporządkowała się legalnym dekretom Sownarkomu).

Trzeci punkt oskarżenia: eserowcy nie uznali pokoju Brzeskiego — tego legalnego i zbawiennego pokoju Brzeskiego, który nie odrąbywał Rosji głowy, lecz tylko część tułowia. Mamy w ten sposób — powiada akt oskarżenia — „wszystkie znamiona z d r a d y s t a n u i działań przestępczych, których celem było narzucenie krajowi wojny".

Zdrada stanu! — to też zależy, kto i z której strony na to patrzy...

Stąd wypływa też czwarty, nader ciężki zarzut: latem i jesienią, kiedy w ostatnich miesiącach wojny kajzerowskie Niemcy ledwie już dotrzymywały placu aliantom, zaś rząd sowiecki — przestrzegając klauzul pokoju Brzeskiego — wspierał Niemcy w tych ciężkich zapasach transportami żywności i co miesięczną wypłatą kontrybucji w złocie — eserowcy zdradziecko szykowali się (nawet się nie szykowali, tylko swoim zwyczajem d e b a t o w a l i — a co, gdyby tak...) do wysadzenia w powietrze torów, by przegrodzić drogę jednemu z takich pociągów i nie pozwolić wywieźć złota z kraju — a to znaczy, że czynili przygotowania do zbrodniczego „niszczenia naszego ludowego majątku — kolei żelaznych".

(Wtedy jeszcze nie ukrywano wstydliwie, że owszem, że wywożono rosyjskie złoto do przyszłego imperium Hitlera i jakoś nie przyszło na myśl Krylence — absolwentowi dwóch fakultetów, historii i prawa — ani też nikt z pomocników mu nie podszepnął, że jeśli stalowe szyny są częścią narodowego bogactwa, to może również — sztaby złota?...).

Z czwartego punktu oskarżenia nieubłaganie wypływa piąty: materiały techniczne, potrzebne do tego zamachu, eserowcy zamierzali nabyć za pieniądze, otrzymane od przedstawicieli Ententy (aby n i e o d d a w a ć złota Wilhelmowi chcieli w z i ą ć pieniądze od aliantów) — a to już zdrada najwyższego rzędu! (Na wszelki wypadek Krylenko coś tam wymamrotał, że eserowcy byli

związani także ze sztabem Ludendorffa, ale kamień wpadł nie do właściwego ogródka, więc dali spokój).

Stąd już ręką było podać do szóstego zarzutu: że eserowcy w 1918 roku byli s z p i e g a m i Ententy! Wczorajsi rewolucjoniści — dzisiaj są szpiegami! — wówczas to chyba jeszcze dawało efekt eksplozji. Od tamtych czasów i po tylu procesach ten zarzut obrzydł tak, że gębę skręca.

No, a po siódme, po dziesiąte — współpraca z Sawinkowem, albo z Fiłonienko, albo z Kadetami, albo ze „Związkiem Odrodzenia" (pytanie jeszcze, czy istniał?...), albo nawet z carskimi dygnitarzami, czy wreszcie z białogwardzistami.

Ten powróz oskarżeń dobrze został skręcony przez prokuratora[20]. Czy przy medytacjach w gabinecie, czy dzięki nagłemu błyskowi natchnienia już na mównicy, ale znalazł on ten oskarżycielsko-poufały ton, w jaki w kolejnych procesach uderzy ze wzrastającą pewnością i mocą, a który w 1937 roku da efekty oszałamiające. Jest to ton apelu o jedność sądzących i sądzonych — jedność przeciw całej reszcie świata. Melodię tę wygrywa się na najczulszej strunie duszy podsądnego. Z mównicy oskarżycielskiej powiada się eserowcom: *toć my tu wszyscy jesteśmy rewolucjonistami!* (My! Wy i my — to razem my!) Jakże mogliście więc upaść tak nisko, by działać w porozumieniu z partią kadetów? (Toć wiemy, że serce wam przez to pęka!) z oficerami? Żeby uczyć białych waszej, tyle lat doskonalonej, znakomitej techniki konspiracji?

Nie znamy odpowiedzi podsądnych. Czy ktokolwiek z nich wskazał na szczególną cechę przewrotu październikowego: wypowiedziano wojnę wszystkim partiom naraz — i jednocześnie zabroniono im łączyć się w koalicję („to nie twój pogrzeb — czego się rypiesz?"). Ale odnosi się wrażenie, że niektórzy podsądni jakoś spuścili nos na kwintę, bo rzeczywiście ten i ów poczuł ukłucie w sercu: no, jak mogliśmy upaść tak nisko? Przecież takie wyrazy współczucia z ust prokuratora, w tej jasnej sali — to bardzo wstrząsa więźniem, zwłaszcza, gdy przywiozło się go z ciemnicy.

A tu jeszcze jeden, taki logiczny trop znajduje Krylenko (wykorzysta to w pełni Wyszyński przeciw Bucharinowi i Kamieniewowi): zawierając porozumienie z burżuazją, akceptowaliście również jej pomoc pieniężną. Z początku braliście pieniądze na konkretne a k c j e, tylko n a a k c j e, w żadnym razie nie dla potrzeb partii — dobrze, ale g d z i e g r a n i c a? Kto to r o z r ó ż n i? Przecież a k c j a, to też sprawa partyjna? W ten

20. Przywrócono mu ten tytuł.

sposób doigraliście się: wy, partia socjalistów-rewolucjonistów, jesteście na utrzymaniu burżuazji?! Gdzie wasza rewolucyjna godność?

Nagromadziło się tych oskarżeń do licha i trochę — trybunał mógłby już oddalić się na naradę i przysobaczyć każdemu zasłużoną karę — ale wciąż tu coś nie grało:

— wszystko, o co oskarżano partię socjal-rewolucjonistów odnosiło się do okresu sprzed roku 1919;

— 27 lutego 1919 roku ogłoszona została, specjalnie dla eserowców, amnestia, puszczająca w niepamięć całą ich dawną walkę przeciw bolszewikom, pod warunkiem, że już więcej nie będą;

— I TEŻ OD TEJ CHWILI NIE WALCZYLI JUŻ WIĘCEJ!

— a na dworze mamy rok 1922!

Jaką tu znaleźć radę?

Pomyślano o tym. Myślano wtedy — gdy Międzynarodówka Socjalistyczna prosiła sowiecki rząd o wstrzymanie akcji — o niestawianie pod sąd braci-socjalistów.

Bo istotnie, w początkach 1919 roku, z uwagi na zagrożenie ze strony Kołczaka i Denikina, eserowcy usunęli ze swego programu punkt dotyczący powstania i od tej chwili nie prowadzą walki zbrojnej przeciw bolszewikom. (Co więcej eserowcy z Samary o d s ł o n i l i przed komunistycznymi braćmi odcinek frontu kołczakowskiego, co było właśnie powodem amnestii). A nawet tu, na procesie podsądny Gendelman, członek KC S-R powiedział: „Dajcie nam możność korzystania z pełnej gamy tak zwanych swobód obywatelskich, a nie będziemy łamać żadnych praw!" (Dajcie no im, a jeszcze „pełną gamę"! Ale bajczarze!...).

Niedość, że nie toczą już walki, ale uznali władzę Sowietów (to znaczy, odcięli się od swojego Tymczasowego, a zresztą od Konstytuanty także). — I tylko proszą o przeprowadzenie nowych wyborów do tych Sowietów ze swobodą agitacji na rzecz różnych partii.

Słyszycie? Słyszycie? Tu ich macie! Oto skąd wysuwa się wrogi, burżuazyjny, zwierzęcy pysk! Jak to można? A p o w a ż n a s y t u a c j a? A w r o g i e o t o c z e n i e? (I za dwadzieścia, i za pięćdziesiąt, i za sto lat będzie tak samo). A wy byście chcieli swobodnej agitacji na rzecz różnych partii, sukine dzieci?!

Ludzie trzeźwi politycznie, powiada Krylenko, mogli w odpowiedzi tylko roześmiać się i wzruszyć ramionami. Zapadło przecież słuszne postanowienie: „natychmiast i z pomocą wszystkich represji będących w dyspozycji aparatu państwowego, uniemożli-

wić tym grupom prowadzenie agitacji przeciwrządowej[21]". W rezultacie: w odpowiedzi na wyrzeczenie się przez eserowców walki zbrojnej i na pokojowe ich propozycje — CAŁY KC PARTII S-R (kogo tylko udało się złapać) WSADZONO DO WIĘZIENIA!

O, to jest po naszemu!

Ale trzymając ich (czy nie od trzech już lat?) w więzieniu — trzeba było kiedyś ich sądzić. A o co ich oskarżyć? „Ten okres nie jest w należnej mierze spenetrowany przez śledztwo" — utyskuje prokurator.

Zresztą, jeden z punktów oskarżenia miał podstawę: wtedy właśnie, w lutym 1919 roku eserowcy uchwalili rezolucję (nie wprowadzili jej w życie, ale z punktu widzenia nowego kodeksu karnego, to wszystko jedno): prowadzić w Armii Czerwonej tajną agitację — aby skłonić żołnierzy do *odmawiania udziału w ekspedycjach karnych* przeciw chłopom.

Była to podła, podstępna zdrada rewolucji! — odradzać ludziom udział w karnych ekspedycjach.

Można było jeszcze zwalić na nich winę za to, co mówiła, pisała i robiła (przeważnie — mówiła i pisała) tak zwana „Zagraniczna delegatura KC S-R" czyli ci najważniejsi z eserowców, którzy zdołali unieść głowy na Zachód.

Ale wszystkiego tego było za mało. Oto więc, co wymyślono: „wielu z siedzących tu podsądnych nie trafiłoby na ławę oskarżonych, gdyby nie fakt, że zarzuca się im organizację a k t ó w t e r r o r y s t y c z n y c h!" Gdy proklamowano w 1919 roku amnestię, ponoć „nikomu z pracowników sowieckiego aparatu sprawiedliwości nie przychodziło do głowy", że eserowcy byli również organizatorami terroru przeciw działaczom państwa sowieckiego". (No i rzeczywiście, komu też mogło przyjść do głowy coś takiego? Eserowcy — i terror? Ależ gdyby coś takiego przyszło na myśl — to trzeba by to też obejmować amnestią! Albo nie korzystać z luki w kołczakowskiej linii frontu. To szczęście po prostu, że wówczas nic takiego do głowy nie przyszło. A przyszło dopiero wtedy, kiedy mogło się przydać). A teraz t e n punkt oskarżenia amnestii nie podlega i Krylenko zaraz go wysuwa!

A jakie tu rzeczy wyszły na jaw! Co też wyszło na jaw!

Przede wszystkim: co p o w i e d z i e l i wodzowie eserów w trakcie pierwszych dni po przewrocie Październikowym? Czernow (na IV zjeździe partii S.R.): że partia wszystkie swoje siły obróci przeciw wszelkim zamachom na prawa ludu (podob-

21. Krylenko, str. 183.

nie, jak to dawniej robiła). Goc: „Jeśli samodzierżcy ze Smolnego Instytutu podniosą rękę także (na Konstytuantę)... to partia S-R „przypomni sobie swoją dawną, wypróbowaną taktykę[22]...".

Może nawet sobie p r z y p o m n i a ł a, tylko na nic się nie zdecydowała. Ale pod sąd oddać jakby już można.

„W tej fazie dochodzeń — skarży się Krylenko — konspiracja sprawiła, że zeznań świadków... będzie mało". „To właśnie czyni moje zadanie nadzwyczaj trudnym... W tej dziedzinie (chodzi tu o terror) musimy w niektórych wypadkach poruszać się po omacku[23]".

Zadanie Krylenki jest tym trudniejsze, że terror przeciw władzy sowieckiej był przedmiotem *debat* KC S-R w 1918 roku, ale został o d r z u c o n y. Teraz zaś, po latach, trzeba wykazać, że eserowcy sami się okłamywali.

Eserowcy mówili wtedy: nie wcześniej, nim bolszewicy zabiorą się do skazywania na śmierć socjalistów. Albo w 1920: jeżeli bolszewicy targną się na życie zakładników-eserowców, to partia chwyci za broń[24].

Otóż: dlaczego tyle zastrzeżeń? Dlaczego nie odrzucili tych metod bez reszty? Jak śmieli w ogóle m y ś l e ć o chwytaniu za broń? „Dlaczego nie było wypowiedzi a b s o l u t n i e p o t ę p i a j ą c y c h?" (Towarzyszu Krylenko, a może terror — to ich „druga natura"?).

Żadnego terroru ta partia nie stosowała, to jasno wynika nawet z mowy Krylenki. Ale naciąga się następujące okoliczności: jeden z podsądnych nosił w głowie projekt wysadzenia w powietrze parowozu pociągu Sownarkomu przy okazji przenosin rządu do Moskwy — a więc ich KC winien jest zbrodni terroru. A Iwanowa z oddziału bojowego dyżurowała jednej nocy z JEDNĄ sztabką piroksyliny niedaleko dworca — co oznacza próbę zamachu na pociąg Trockiego i w rezultacie — ich KC winien jest zbrodni terroru. Albo: członek KC Donskoj uprzedził F. Kapłan, że zostanie wyrzucona z partii, jeśli będzie strzelać do Lenina. Ale — to za mało! Dlaczego nie zabronił kategorycznie? (Albo może — dlaczego nie doniósł na nią do Czeki?).

Tyle tylko naskrobał Krylenko z wyjedzonej miski, że eserowcy nie wprowadzili sankcji, mających przeszkodzić indywidualnym aktom terrorystycznym, przedsiębranym przez ich bezrobotnych, dręczących się bezczynnością bojowców. Do tego sprowadzał się cały terror. (Ale ci bojowcy niczego nie *zrobili.*

22. A czegóż te gaduły nie zdążyły w życiu powiedzieć!...
23. Str. 236 (a ten język!).
24. A innych zakładników mogą sobie nawet dorzynać...

Dwóch z nich, Konoplowa i Siemionow, z podejrzaną gorliwością swoimi dobrowolnymi zeznaniami wzbogacili w 1922 roku zapas informacji GPU, a teraz — Trybunału, ale ich zeznania jakoś nie imały się eserowskiego KC — i oto tę parę zajadłych terrorystów w sposób równie zagadkowy puszczają na wolność).

Wszystkie zeznania zresztą są takie, że wymagają podpórek. O jednym ze świadków Krylenko tak powiada: „Gdyby ktoś chciał w ogóle zmyślać, to niewiarygodne jest, aby zmyślił tak, żeby przypadkiem trafić akurat w sedno[25]". (Mocna rzecz! Tak można mówić o każdym spreparowanym zeznaniu). Albo — (o Donskim): czy to można „podejrzewać go o głęboką przenikliwość, która każe mu mówić to, na czym zależy oskarżycielowi?" O Konoplowej — na odwrót: wiarygodność jej zeznań polega właśnie na tym, że ona mówi n i e w s z y s t k o, na czym oskarżeniu zależy. (Ale wystarczająco wiele, by rozstrzelać podsądnych). „Jeżeli postawimy sprawę w ten sposób, że ta Konoplowa wszystko zmyśla... no to jasne: jak z m y ś l a ć, to już zmyślać (on to dobrze wie! — A.S.), jak obciążać, to już obciążać[26]! — a ona, uważacie, nie na cały regulator. Bywa też tak: „Wystawiać Konoplową ni stąd ni z owąd na niebezpieczeństwo rozstrzelania — Jefimow nie miał chyba potrzeby[27]". Bardzo słusznie, to mocny argument, albo jeszcze mocniejszy: „Czy spotkanie mogło mieć miejsce? Taka możliwość nie jest wykluczona". N i e w y k l u c z o n a? — a więc t o f a k t! Pleć, pleciugo!

Następnie — „grupa dywersyjna". Długo o niej się prawi i nagle: „zlikwidowana była za bezczynność". Więc po co było tyle w uszy kłaść? Było istotnie kilka ekspropriacji pieniężnych w sowieckich instytucjach (eserzy nie mieli środków na opędzenie potrzeb, na wynajem mieszkań, na przejazdy). Ale dawniej uważano to za wytworne i szlachetne e k s y, tak zwali je wszyscy rewolucjoniści. A teraz, przed sowieckim sądem? — „rabunek i ukrywanie łupu".

Materiał dowodowy tego procesu rzuca mętne, żółte światło niegasnącej lampy prawa — na całą niepewną, chwiejną, powikłaną historię tej patetycznie-rozgadanej, a w istocie zbłąkanej, bezradnej, nawet bezczynnej partii, która nigdy nie miała kierownictwa godnego tego miana. I każda jej decyzja, czy brak decyzji, każde wahanie, każdy poryw, każdy odwrót — teraz zmieniają sens i poczytywane są tylko za winę, za winę, za winę.

---

25. Krylenko, str. 251.
26. Str. 253.
27. Str. 258.

We wrześniu 1921 roku, 10 miesięcy przed procesem, osadzony już w Butyrkach, wyaresztowany Komitet Centralny eserowców zawiadomił tajnym listem nowoobrany KC, że nie godzi się na każdy sposób obalenia dyktatury bolszewickiej, a tylko — poprzez zespolenie mas pracujących i robotę agitacyjną (to znaczy, że nawet siedząc w więzieniu, nie godzi się na przywrócenie sobie wolności ani przez terror, ani przez spisek!) — ale nawet to obrócone zostało przeciw nim, uznane za winę: aha, to znaczy, że na obalenie dajecie zgodę!

No, a jeśli nawet nie są winni prób obalenia, nie są winni terroru, tych ekspropriacji — prawie nie było, a wszystko pozostałe zostało im wcześniej darowane? Nasz ulubieniec-prokurator wydobywa z zanadrza coś, co chował na tę chwilę: „Ostatecznie zaś — fakt niezłożenia doniesienia ma znamiona przestępstwa, które może być inkryminowane wszystkim bez wyjątku podsądnym i powinno być uznane za dowiedzione[28]".

Partia eserowców już przez to zawiniła, że NIE ZŁOŻYŁA NA SIEBIE DONOSU! To już cios bez pudła! To — równa się odkryciu doktryny prawnej, obecnej w nowym kodeksie, to — przetarcie drogi, którą pędzić a pędzić będą na Sybir tylu wdzięcznych potomków.

Rozsierdzony Krylenko rąbie zresztą całkiem po prostu, że podsądni — to „zaciekli, odwieczni wrogowie". A skoro tak, to bez żadnych tam procesów wiadomo, co z nimi zrobić.

Kodeks tak jeszcze jest świeży, że Krylenko nie zdążył zapamiętać numerów najważniejszych artykułów, mówiących o kontrrewolucji, ale jak ci to sypie tymi numerami! Jak przemyślnie je przytacza i komentuje! — Jakby przez całe już dziesięciolecia na tych numerach wisiało ostrze gilotyny. I oto, na czym polega ważne *novum:* rozróżnienia metod od środków, istniejącego w carskim kodeksie — u nas już nie ma! Ani na ocenę winy, ani na sankcję karną to nie wpływa! Zamiar — czy też czyn — to dla nas wszystko jedno! Uchwalono rezolucję? Za to właśnie sądzimy was. A czy tam „wprowadzono ją w życie, czy może nie, to żadnego istotnego znaczenia nie ma[29]". Czy facet szeptał żonie do ucha w małżeńskiej pościeli, że dobrze byłoby obalić rząd sowiecki, czy agitował przed wyborami, czy wreszcie rzucał bomby — to wszystko jedno! I kara — ta sama!!!

Podobnie, jak pod ręką wnikliwego artysty kilka kresek węglowych starczy za zarys wizerunku — tak też przed nami w tych

28. Krylenko, str. 305.
29. Str. 185.

szkicach z 1922 roku coraz wyraźniej rysuje się cała panorama 37-ego, 45-ego, 49-ego roku.

Ale nie, czegoś jeszcze brak! Jeszcze nie taki ma charakter ZACHOWANIE PODSĄDNYCH. To jeszcze nie tresowane barany, to jeszcze — ludzie! Mało, bardzo mało nam się o tym mówi, ale dorozumieć się można. Czasami Krylenko przez niedbalstwo przytacza ich słowa, wypowiedziane już tu, na rozprawie. Oto podsądny Berg „zrzucał na bolszewików winę za śmierć ofiar 5 stycznia" (gdy strzelano do tłumu, demonstrującego w obronie Konstytuanty). A oto zupełnie niedwuznaczne słowa Liberowa: „przyznaję się do winy, mianowicie do tego, że w 1918 roku pracowałem niedość wydajnie dla obalenia władzy bolszewików[30]". Jewgenia Ratner mówi to samo, i znów słyszymy Berga: „uważam się za winnego wobec pracującej Rosji, ponieważ nie potrafiłem z należną mocą walczyć z tak zwaną władzą robotniczo-chłopską, ale mam nadzieję, że znajdę jeszcze na to czas". (Już nie znajdziesz, kochaneńki, nie znajdziesz).

Jest w tym dawne zamiłowanie do dźwięcznych frazesów, ale jest także hart ducha!

Prokurator argumentuje: oskarżeni są niebezpieczni dla władzy sowieckiej, ponieważ wszystko, co robili, uważają za dobre. „Być może niektórzy z podsądnych znajdują pociechę w myśli, że kiedyś jakiś kronikarz będzie o nich o ich zachowaniu się na rozprawie mówić z aprobatą".

I uchwała WCIK zapadła już po rozprawie: ci ludzie nawet „na procesie przyznali samym sobie prawo kontynuacji" dawnej działalności.

A podsądny Gendelman-Grabowski (także prawnik) wyróżnił się na rozprawie dzięki swoim sporom w Krylenką na temat preparowania zeznań i „szczególnych metod stosowanych wobec świadków" — czytaj — niezamaskowanego nacisku na nich ze strony GPU. (Już to jest! Wszystko już jest! — niewiele brak do ideału). Okazało się, że dochodzenia wstępne prowadzone były pod okiem prokuratora (tegoż Krylenki) i przy tej okazji świadomie ulegały zaklajstrowaniu poszczególnie sprzeczności w zeznaniach. Są też zeznania po raz pierwszy złożone dopiero w trybunale.

No cóż, zdarzają się chropowatości. No, jakieś drobiazgi nie zostały dopracowane. Ale koniec końców „to musimy sobie z całą jasnością i zimną krwią powiedzieć... że nie absorbuje nas tu

30. Krylenko, str. 103.

wcale kwestia — jak sąd historii oceni to, co czynimy[31]".

A co do chropowatości — to weźmiemy pod uwagę, zeskrobiemy.

A tymczasem — wijąc się jak piskorz, Krylenko — chyba pierwszy i ostatni raz w sowieckiej jurysprudencji — wspomina o dochodzeniu! o wstępnym dochodzeniu poprzedzającym śledztwo! Oto jak zgrabnie to się u niego układa: to, co prowadzono bez kontroli prokuratora i co uważaliście za śledztwo, to było tylko dochodzenie. A to, co uważacie za super-śledztwo, prowadzone pod okiem prokuratora mające na celu zadzierżnięcie wszystkich węzłów i dokręcenie śrubek — to właśnie jest śledztwem! Chaotyczne „materiały, zebrane przez organa dochodzenia, nie sprawdzone podczas śledztwa, mają o wiele mniejszą wartość dowodową dla sądu, niż materiały śledztwa[32]", gdy jest ktoś, kto sprawnie nim kieruje.

Sprytny, nie da się zjeść w kaszy.

Mówiąc praktycznie, przykro było Krylence szykować się do tego procesu pół roku, ze dwa miesiące użerać się na nim, przez jakieś piętnaście godzin z rzędu wygłaszać swoje przemówienie oskarżycielskie, podczas gdy „wszyscy ci podsądni nie raz i nie dwa byli już w rękach organów nadzwyczajnych w okresie, gdy organy te miały wyjątkowe uprawnienia; ale dzięki takim, czy owym okolicznościom udało im się ujść cało[33]" — i oto teraz Krylenko sam ma odwalić całą robotę i zaprowadzić ich pod mur w majestacie prawa.

Bo oczywiście — „wyrok może być tylko jeden — wszyscy co do jednego mają być rozstrzelani[34]"! Ale — wspaniałomyślnie zastrzega się Krylenko — jako że świat jednak zwraca na proces uwagę — to, co prokurator powiedział „nie jest dla sądu dyrektywą", którą trybunał „zobowiązany jest bezpośrednio przyjąć do wiadomości albo i do wykonania[35]".

Niezły sąd, któremu takie rzeczy trzeba objaśniać!...

I trybunał w sentencji posuwa się aż do zuchwalstwa: orzeka rozstrzelanie nie „wszystkich co do jednego", lecz tylko czternastu podsądnych. Pozostałych skazuje na więzienie, obozy, a co do jeszcze jakiejś setki pociągniętych do odpowiedzialności, postanawia „odesłanie sprawy do osobnego rozpoznania". I proszę

31. Krylenko, str. 325.
32. Str. 238.
33. Str. 322.
34. Str. 326.
35. Str. 319.

pamiętać — czytelniku — proszę pamiętać: na Trybunał Najwyższy „patrzą uważnie wszystkie pozostałe sądy Republiki, bo on udziela im wskazówek[36], bo wyrok Najtrybu wykorzystywany jest „w charakterze dyrektywy kierunkowej[37]". Ilu jeszcze na prowincji zagarną — to już sami sobie możecie wyobrazić.

Ależ całego tego procesu warte jest chyba samo orzeczenie kasacyjne prezydium WCIK: zatwierdzić wyrok śmierci, ale wstrzymać jego wykonanie. Dalszy los skazanych będzie zatem zależeć od zachowania się eserowców, pozostałych na wolności (w domyśle — również zagranicznych). Jeżeli będą nam się sprzeciwiać — to tych tutaj rozwalimy.

Na polach Rosji drugi już raz zbierano żniwa pokoju. Nigdzie już — wyjąwszy podworce Czeki — nie strzelano (w Jarosławlu — Piechurowa, w Piotrogrodzie — metropolitę Beniamina. I na wieki wieków amen). Pod lazurowym nieboskłonem, po błękitnych falach płynęli za granicę nasi pierwsi dyplomaci i żurnaliści. CENTRALNY KOMITET WYKONAWCZY DEPUTATÓW ROBOTNICZYCH I CHŁOPSKICH trzymał zaś sobie za pazuchą wiecznych z a k ł a d n i k ó w.

Członkowie partii rządzącej przeczytali wszystkie sześćdziesiąt numerów *Prawdy* ze sprawozdaniami o procesie (byli pilnymi czytelnikami gazet) i wszyscy powiedzieli tylko TAK, TAK, TAK. Nikt z nich nie zdobył się na NIE.

I co ich później tak dziwiło w 37-ym? Na co właściwie się skarżyli? Czy wszystkie fundamenty tego bezprawia nie były już założone — czy nie złożyły się na nie naprzód pozasądowe represje Czeki, a następnie te oto pierwsze procesy i ten właśnie młodociany kodeks? Czy 1937-my nie był także czymś CELOWYM (zgodnym z celami Stalina, a może nawet samej Historii?).

Wyrwała się Krylence prorocza uwaga, że to nie przeszłość stoi tu przed sądem, ale przyszłość.

Przy kośbie tylko pierwszy pokos trudny.

◆

Około 20 sierpnia 1924 roku przekroczył granicę sowiecką Borys Wiktorowicz Sawinkow. Został natychmiast aresztowany i odwieziony na Łubiankę[38].

---

36. Str. 407.

37. Str. 409.

38. Ten powrót był przedmiotem wielu plotek i domysłów. Ale oto niedawno niejaki Ardamatski (wyraźnie mający związki z archiwami i z przedstawicielami KGB) opisał wersję zapewne zbliżoną do prawdy, mimo że pełną sztucznych, pretensjonalnych ozdóbek literackich (miesięcznik *Newa*, 1967,

Śledztwo sprowadziło się do jednego tylko przesłuchania — składały się na nie dobrowolne zeznania i ocena działalności. 23 sierpnia gotowe już było oskarżenie. (Szybkość zawrotna, ale to właśnie dało spodziewany efekt. Ktoś to dobrze wykalkulował: wyciskać mękami fałszywe i żałosne zeznania z takiego Sawinkowa — to mogłoby tylko podważyć wrażenie wiarygodności).

O co tylko nie oskarżano Sawinkowa we wniosku, sformułowanym w zwykły, szablonowy i przewrotny sposób: i że jest „konsekwentnym wrogiem chłopskiej biedoty"; i że „pomagał rosyjskiej burżuazji w urzeczywistnieniu jej imperialistycznych zamiarów" (to znaczy — że był zwolennikiem kontynuowania wojny z Niemcami); i że „miał kontakty z przedstawicielami alianckiego dowództwa" (kiedy był kierownikiem ministerstwa wojny!); i że „prowokacyjnie brał udział w działalności żołnierskich komitetów" (to znaczy, że żołnierze wybierali go jako swojego deputata); i — tu już koń by się uśmiał — że miał „sympatie monarchistyczne".

Ale to wszystko — starzyzna. Były zaś również nowe rzeczy — oskarżenia, które regularnie będą powtarzać się we wszystkich procesach w przyszłości: pieniądze brane od imperialistów; szpiegostwo na rzecz Polski (zapomnieli o Japonii!...) i — że cyjankiem potasu chciał wytruć całą armię czerwoną (jakoś nie otruł ani jednego krasnoarmiejca).

Już 26 sierpnia zaczął się proces. Przewodniczącym był Ulrych (tu spotykamy go po raz pierwszy), nie było zaś wcale ani oskarżyciela, ani obrońców.

Sawinkow nie wysilał się na obronę, mówił od niechcenia, nie starał się prawie podważyć poszlak. Ten proces był dla niego przeżyciem lirycznym: było to jego ostatnie spotkanie z Rosją i ostatnia możliwość wypowiedzenia się. Wyrażenia skruchy. (Nie za te grzechy, które mu przypisywano — ale za zupełnie inne).

(I bardzo tu wpadała w ucho, bardzo zbijała podsądnego z tropu, ta melodia: przecież i t y i m y — j e s t e ś m y R o s j a n a m i ! . . . Ty i my — to po prostu m y ! Kochasz Rosję, nie podajemy tego w wątpliwość, szanujemy tę twoją miłość — a czy my jej nie kochamy? Czy to nie my teraz jesteśmy

---

nr 11). Namówiwszy do zdrady część ludzi Sawinkowa, innych zaś — wprowadziwszy w błąd, GPU z ich pomocą zarzuciło haczyk z dobrą przynętą: tu, w Rosji, istnieje duża organizacja podziemna, cierpiąca na brak wybitnego przywódcy! Nie sposób było wymyśleć przynętę bardziej łakomą. Jak mogło zresztą burzliwe życie Sawinkowa zakończyć się w Nicei. Nie mógł sobie odmówić okazji do jeszcze jednej potyczki i dobrowolnie wrócił do Rosji, na własną zgubę.

siłą i sławą Rosji? A ty chciałeś walczyć z nami? Żałuj za grzechy!...

Ale najbardziej zadziwiający był sam wyrok: zastosowania najwyższego wymiaru kary nie wymagają tu koniecznie interesy obrony porządku rewolucyjnego, a ponadto, wychodząc z założenia, że świadomość prawna mas proletariackich nie może kierować się motywami zemsty — „zamienić rozstrzelanie na karę 10-ciu lat pozbawienia wolności".

To była sensacja, to wielu ludzi wówczas zbiło z pantałyku: złagodzenie reżymu? Metamorfoza? Ulrych... w *Prawdzie* nawet się sumitował i usprawiedliwiał, tłumacząc, dlaczego Sawinkowa ułaskawiono. No, bo przecież jakaż silna stała się teraz władza sowiecka po siedmiu latach — czyż powinna się bać jakiegoś tam Sawinkowa! (A po dwudziestu latach — jakoś widać osłabnie ta władza i wtedy, wybaczcie państwo, ale rozstrzeliwać będziemy setkami tysięcy).

W ten sposób — po pierwszej zagadce powrotu, następną byłby ten łagodny wyrok, gdyby w maju 1925 roku nie zdystansowała go trzecia zagadka: Sawinkow w chwili depresji wyskoczył z pozbawionego krat okna na wewnętrzny podworzec Łubianki, zaś anioły stróże z GPU jakoś nie potrafiły go uratować, przytrzymać za połę tego dużego i ciężkiego ciała. Jednakże, na wszelki wypadek, zostawił im Sawinkow pismo usprawiedliwiające wszystko (aby nie było później przykrości służbowych) rozsądnie i logicznie wyjaśniając, dlaczego właściwie decyduje się na samobójstwo, przy tym list był sporządzony tak przekonywająco, tak jasny był w nim styl i duch Sawinkowa, że syn jego, Lew Borysowicz, dał wszystkiemu wiarę i powtarzał w Paryżu, że nikt prócz jego ojca, nie mógł napisać takiego listu, że ojciec sam się zabił w poczuciu bankructwa politycznego[39].

---

39. A my, durnie, wiele późniejsi mieszkańcy Łubianki, powtarzaliśmy z papuzim przekonaniem, że metalowe siatki nad lukami łubiańskich klatek schodowych założone zostały właśnie po skoku Sawinkowa. Do tego stopnia poddajemy się urokom legendy, że zapominamy iż należy to do międzynarodowego repertuaru więziennego! Przecież takie siatki w amerykańskich więzieniach istniały już w początkach naszego stulecia — a jakże mogłaby sowiecka technika pozostawać tu w tyle?

W 1937 roku, konając w kołymskim łagrze, były czekista Artur Pruebel opowiadał komuś ze swego otoczenia, że był jednym z tych czterech, którzy wyrzucili Sawinkowa z okna 5-tego piętra na łubiański podworzec! (I wcale to nie przeczy wersji Ardamatskiego: ten niski parapet, prawie jak przy drzwiach balkonowych, nie jak w normalnym oknie — pokój był odpowiednio dobrany! Tylko według Ardamatskiego aniołkowie się zagapili, a według Pruebela — rzucili się kupą).

W ten sposób druga zagadka — ów niezwykle łagodny wyrok — znajduje chamskie rozstrzygnięcie w zagadce trzeciej.

A wszystkie inne, sławne procesy — wciąż jeszcze są sprawą przyszłości...

Głucha to pogłoska, ale doszła do moich uszu, i powtórzyłem ją w 1967 roku M. N. Jakubowiczowi, ten zaś z całym swoim, aż do starości zachowanym, młodzieńczym ferworem, z błyskiem w oku zawołał: „Chętnie wierzę! Zgadza się! A ja nie wierzyłem Blumkinowi, myślałem, że się przechwala". Oto co się wyjaśniło: w końcu lat dwudziestych w najgłębszym sekrecie Blumkin opowiedział Jakubowiczowi, że to on napisał tzw. ostatni list Sawinkowa i to na zlecenie GPU. W czasie pobytu Sawinkowa w więzieniu Blumkin — jak to teraz jest jasne — miał stałe prawo wstępu do jego celi — „bawił" go wieczorem rozmowami. (Czy Sawinkow wyczuł aby, że to śmierć składa mu te częste wizyty — przymilna, pełna braterskich uczuć śmierć, od której nie sposób dowiedzieć się, jaki rodzaj zguby człowieka oczekuje?). To właśnie dało Blumkinowi możność dokładnego zapoznania się ze stylem i sposobem myślenia Sawinkowa, spenetrowania kręgu jego ostatnich myśli.

Ktoś zapyta: a po co to okno? Czy nie prościej było go otruć? Przypuszczalnie musiano komuś pokazać zwłoki, albo liczono się z taką możliwością.

Gdzież, jeśli nie tu, dopowiedzieć do końca historię Blumkina, tego samego, z którym — bez cienia strachu — ścierał się Mandelsztam? Erenburg zaczął o nim mówić, ale nagle zacukał się i przerwał opowieść. A jest o czym pogadać. Po zdławieniu buntu lewicowych eserowców w 1918 roku, Blumkin — zabójca posła niemieckiego, Mirbacha — nie tylko nie został ukarany, nie tylko nie podzielił losu wszystkich swoich towarzyszy z partii S-R, ale został wzięty pod opiekę przez Dzierżyńskiego (podobnie, jak to miało być z Kosyriewem) i nawrócił się, przynajmniej z pozorów, na bolszewizm. Chciano go widać wykorzystać do mokrej roboty tam, gdzie potrzebny był odpowiedzialny wykonawca. Na przełomie lat trzydziestych posłano go do Paryża, aby tam zabić po cichu Bażenowa (zbiegłego za granicę pracownika sekretariatu Stalina); Blumkin zdołał wyrzucić go w nocy z pędzącego pociągu. Jednakże awanturnicze usposobienie — albo i podziw dla Trockiego — zawiodły Blumkina na Wyspy Książęce. Zapytał tam swego mistrza, czy nie da mu jakichś zleceń? Trocki dał mu pakiet dla Radka. Blumkin przywiózł pakiet, przekazał adresatowi i cała jego wizyta u Trockiego pozostałaby tajemnicą, gdyby błyskotliwy Radek już wtedy nie był delatorem. Radek s y p n ą ł Blumkina i ten znalazł się w paszczy potwora, którego sam karmił w niemowlęctwie pierwszą krwawą siarką.

X

PRAWA WIEK MĘSKI

Gdzie jednak są te tłumy pchające się, jak oszalałe z Zachodu na druty kolczaste naszej granicy, aby narazić się na rozstrzelanie zgodnie z artykułem 71-ym kodeksu karnego — za samowolny powrót do RSFSR? Wbrew wszelkim naukowym przewidywaniom, nie widać jakoś było tych tłumów i artykuł podyktowany Kurskiemu pozostał martwą literą. Jedynym takim w całej Rosji dziwakiem był Sawinkow, ale nawet w stosunku do niego nie potrafiono użyć zręcznie tego artykułu. Za to kara przeciwstawna — ekspulsja za granicę zamiast rozstrzelania — zastosowana została szeroko i bez zwłoki.

Jeszcze w trakcie tych dni, kiedy kodeks układano, Włodzimierz Iliicz — pomny na pomysł, który mu był zaświtał — napisał na gorąco, 19 maja:

„Towarzyszu Dzierżyński! W sprawie ekspulsji za granicę pisarzy i profesorów, okazujących pomoc kontrrewolucji. Rzecz trzeba jednak staranniej przygotować. Bez przygotowania narobimy głupstw... Sprawę trzeba postawić tak, żeby tych „szpiegów czasu wojny" wyłapać i wyłapywać stale i systematycznie, po czym wysyłać za granicę. Proszę pokazać to w zupełnym sekrecie, nie przepisując, członkom Biura Politycznego[1]".

Naturalna w tym wypadku dyskrecja tłumaczyła się wagą i przykładowością stosowanego środka. Olśniewająco jasny podział sił klasowych Sowieckiej Rosji mąciła tylko ta galeretowata, rozlana plama starej b u r ż u a z y j n e j inteligencji, która w dziedzinie ideologii odgrywała istotnie rolę s z p i e g ó w c z a s u w o j n y — i niczego lepszego nie można było wymyśleć, niż jak najszybsze zeskrobanie i wyrzucenie za granicę całej tej zastoiny myślowej.

1. Lenin, *Dzieła*, wyd. 5-te, str. 265-266.

Sam towarzysz Lenin był już obłożnie chory, ale członkowie Biura Politycznego wyrazili zapewne aprobatę i tow. Dzierżyński przeprowadził pomienione wyłapywanie w końcu 1922 roku. Około 300-tu najwybitniejszych rosyjskich przedstawicieli kultury i nauk humanistycznych wsadzono na... galary?... nie, na statek parowy i posłano na europejskie śmietnisko. (Oto kilka nazwisk ludzi, którzy tam zapuścili korzenie i zyskali sławę: filozofowie — N. O. Łosski, S. N. Bułhakow, N. A. Bierdiajew, F. A. Stepun, B. P. Wyszesławcew, L. P. Karsawin, S. L. Frank, I. A. Iliin; następnie historycy: S. P. Mielgunow, W. L. Miakotin, A. A. Kiesewetter, I. I. Łapszyn, i inni; literaci i publicyści: J. I. Eichenwald, A. S. Izgojew, M. A. Osorgin, A. W. Pieszechonow. Małe grupy wysyłane były w ślad za wymienionymi jeszcze w początkach 1923 roku — na przykład sekretarz Lwa Tołstoja W. F. Bułhakow. Niefortunne znajomości doprowadziły do tego, że trafiali tam również matematycy — jak D. F. Seliwanow).

Jednakże s t a l e i s y s t e m a t y c z n i e stosować się tego nie udało. Radosne krzyki emigracji, zadowolonej z tego „podarunku" dały do zrozumienia, że nawet ten sposób nie jest najlepszy, że niepotrzebnie wypuszcza się z rąk dobry materiał dla ewentualnych egzekucji, który na rzeczonym śmietnisku mógł rozkwitnąć trującymi kwiatami. Więc — tę metodę odrzucono. I cała dalsza akcja wyczesywania miała inny adres: albo d o s z t a b u D u c h o n i n a*, albo na Archipelag.

Zatwierdzony w 1926 roku (i aktualny aż do czasów Chruszczowa) ulepszony kodeks karny splótł ze wszystkich starych stryków swoich politycznych artykułów jeden mocny niewód artykułu 58-ego, przeznaczonego do tych właśnie połowów. Połowy szybko rozszerzone zostały na inteligencję inżynieryjno-techniczną, która była tym niebezpieczniejsza, że zajmowała mocną pozycję w gospodarce narodowej i że trudno było kontrolować ją z pomocą samej tylko Przodującej Doktryny. Wyjaśniło się teraz, że omyłką było wytoczenie procesu sądowego w obronie Oldenborgera (a jakież tam śliczne c e n t r u m już się zarysowało!) i że zbyt pochopnie, ze zbytnią pobłażliwością oznajmił Krylenko: „o sabotażu inżynierów nie było już mowy w latach 1920-1921[2]". Nie sabotaż, tylko coś gorszego, bo s z k o d n i c t w o (ten termin — *wreditielstwo* — odkryty został, jak się zdaje, przez szeregowego funkcjonariusza śledczego przy okazji procesu inżynierów z Szacht).

---

* Zwykła formuła posyłania na rozstrzelanie w okresie wojny domowej.
2. Krylenko, str. 437.

Ledwie się połapano, czego trzeba szukać: szkodnictwa — a natychmiast, nie bacząc na bezprzykładny w całej historii ludzkości charakter tego pojęcia — bez żadnego trudu zaczęto znajdować jego dowody we wszystkich gałęziach przemysłu i w każdym poszczególnym przedsiębiorstwie. Jednakże te drobne odkrycia nie dawały jeszcze pojęcia o spójnej całości sprawy, nie było w nich jeszcze perfekcji, a do niej właściwie miał z natury skłonność Stalin, o nią też chodziło oczywiście wnikliwej części naszego aparatu sprawiedliwości. A wreszcie, nasze prawo już zmężniało i mogło światu zademonstrować coś naprawdę bezbłędnego! — jakiś spójny, wielki, doskonale skoordynowany proces, tym razem — inżynierów. W ten sposób doszło do:

k) *Sprawy Szachtyńskiej* (18 maja - 15 lipca 1928 roku). Izba Specjalna Sądu Najwyższego ZSSR, przewodniczący A. J. Wyszyński (jeszcze jako rektor pierwszego Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego), główny oskarżyciel — M. W. Krylenko (znamienne spotkanie! — jest to jakby przekazanie pałeczki w sądowej sztafecie[3]), 53 podsądnych, 56 świadków. Monumentalne!!!

Niestety, monumentalność była jednocześnie piętą achillesową tego procesu: jeśli od każdego podsądnego do aktu oskarżenia przeciągnąć tylko trzy nitki, to będzie ich razem 159, Krylenko zaś ma tylko 10 palców i Wyszyński również 10. Oczywiście „podsądni czynili wysiłki, aby dać społeczeństwu wgląd w swoje ciężkie zbrodnie", ale nie wszyscy, tylko 16-tu z nich. Bo 13-tu usiłowało się wykręcać. A 24-rech w ogóle nie chciało się przyznać do winy[4]. Było to powodem niedopuszczalnego bałaganu, masy w ogóle nie mogły tego zrozumieć. Obok pozytywnych stron (osiągniętych już zresztą w poprzednich procesach) — mowa o bezbronności podsądnych i adwokatów, o ich niezdolności do odwalenia, albo przynajmniej odsunięcia głazu oskarżenia — biły w oczy ujemne cechy nowego procesu, a komu, jak komu, ale doświadczonemu Krylence nie wolno tego było wybaczyć.

Na progu społeczeństwa bezklasowego mogliśmy nareszcie pozwolić sobie na wytoczenie b e z k o n f l i k t o w e g o procesu sądowego (odzwierciedlającego wewnętrzną bezkonflikto-

3. Ławnikami zaś byli starzy rewolucjoniści Wasiliew-Jużyn i Antonow-Saratowski. Budziło sympatię już ludowe brzmienie ich nazwisk. Łatwo je było zapamiętać. I nagle w 1962 roku czytamy w *Izwiestiach* nekrologi zrehabilitowanych ofiar represji — a któż je firmuje? Długowieczny Antonow-Saratowski!

4. *Prawda*, 24 maja 1928, str. 3.

wość naszego systemu, w którym dążyliby zgodnie do wspólnego celu zarówno sąd i prokurator, jak obrona i podsądni).

Zresztą zasięg Sprawy Szachtyńskiej — samo tylko kopalnictwo węgla, przy tym tylko w Zagłębiu Donieckim — nie odpowiadał jednak wielkości epoki.

Chyba więc już od dnia zakończenia Sprawy Szachtyńskiej Krylenko zabrał się do kopania nowego, pojemniejszego dołu (wpadli do niego nawet jego dwaj koledzy z tej sprawy, oskarżyciele publiczni — Osadczy i Szejn). Nie trzeba nawet podkreślać, z jaką chęcią i z jaką wprawą pomagał mu w tym cały aparat OGPU, którego cugle brał już Jagoda w swoje twarde ręce. Zadanie polegało na tym, aby stworzyć i zdemaskować organizację inżynierów, ogarniającą cały kraj. Potrzeba było do tego kilku wybitnych szkodników o kwalifikacjach przywódczych. Kto w środowisku inżynierskim nie znał takiej właśnie silnej, pełnej drażniącej dumy postaci — Piotra Akimowicza Palczyńskiego? Inżynier-górnik, uznany za wybitnego specjalistę jeszcze na początku stulecia, podczas wojny światowej był już wiceprzewodniczącym Komitetu Przemysłu Wojennego, co znaczy, że kierował wysiłkiem wojennym całego rosyjskiego przemysłu, który potrafił już w trakcie działań wojennych nadrobić katastrofalne carskie zaniedbania. Po rewolucji lutowej został wiceministrem Handlu i Przemysłu. Za swoją działalność rewolucyjną prześladowany był przez carat; trzykrotnie zaś szedł za kraty po Październiku (1917, 1918, 1922); od 1920 roku był profesorem Instytutu Górnictwa oraz konsultantem Gosplanu. (Szczegółowo o nim się mówi w części trzeciej, rozdział X).

Tego właśnie Palczyńskiego wytypowano na głównego oskarżonego w nowym, monumentalnym procesie. Jednakże lekkomyślny Krylenko, stawiając pierwsze kroki w nieznanym sobie kraju inżynierii, nie tylko nie wiedział nic o wytrzymałości materiałów, ale także pojęcia nie miał o granicach wytrzymałości ludzkich dusz, nie bacząc na dziesięcioletnią już, gromką swoją działalność w roli prokuratora. Wybór, dokonany przez Krylenkę, okazał się mylny. Palczyński wytrzymał nacisk wszystkich środków, znanych OGPU — i nie poddał się. Umarł, nie podpisując przedtem żadnych idiotyzmów. Razem z nim wytrzymali tę próbę i też się najwidoczniej nie poddali N. K. von Meck i A. F. Wieliczko. Czy skonali oni w trakcie tortur, czy też ich rozstrzelano — tego tymczasem jeszcze nie wiemy, ale przecież dowiedli, że MOŻNA okazać opór i MOŻNA wytrwać — i tak oto został po nich płomienny odblask wyrzutu pod adresem wszystkich słynnych oskarżonych w następnych procesach.

Maskując swoją porażkę, Jagoda opublikował 24 maja 1929 roku krótki komunikat OGPU donoszący o rozstrzelaniu tych trojga za nadzwyczaj niebezpieczne szkodnictwo i o skazaniu jeszcze wielu innych, nie wymienionych z nazwiska[5].

A ileż tu czasu stracono nadaremnie! — prawie cały rok! Ile nocnych przesłuchań! ile fantazji śledczych! — i wszystko psu na budę. Krylenko musiał zaczynać wszystko od początku, szukać postaci i pełnej blasku, i silnej — a zarazem bardzo słabej, jak najbardziej podatnej na wpływy. Ale tak mało znał tych przeklętych inżynierów, że jeszcze cały rok zbiegł mu na nieudanych próbach. Od lata 1929 roku guzdrał się z Chrennikowem, ale również Chrennikow umarł, nie zgadzając się na odegranie podłej roli. Skręcili w pałąk starego Fedotowa, ale był zbyt sędziwy, zresztą — był to włókniarz, a to dziedzina mało atrakcyjna. Więc jeszcze jeden rok poszedł na marne! Cały kraj czekał na ogromny proces szkodników, czekał sam towarzysz Stalin, a Krylence ani rusz nie chciała wyjść karta[6]. I dopiero latem 1930 roku ktoś zrobił odkrycie i zaproponował: dyrektor Instytutu Techniki Cieplnej, Ramzin! — aresztowano go i w ciągu trzech miesięcy został przygotowany i zagrany wspaniały spektakl, prawdziwy majstersztyk naszej sprawiedliwości i niedościgły wzór dla światowej jurysdykcji:

1) *Proces „Prompartii"* (25 listopada - 7 grudnia), Izba Specjalna Sądu Najwyższego, tenże Wyszyński, tenże Antonow-Saratowski, znów ten sam nasz ulubieniec — Krylenko.

Nie ma już teraz „przyczyn technicznych", które by przeszkadzały w zaprezentowaniu czytelnikom pełnego stenogramu procesu — oto on[7]; nie było też powodu, aby zabronić wstępu zagranicznym korespondentom.

Ogrom samej koncepcji: na ławie oskarżonych zasiąść miał cały przemysł krajowy, wszystkie jego gałęzie i działy planowania. (Tylko oko samego organizatora dostrzec mogło szczeliny, w których zniknął przemysł górniczy i transport kolejowy). Jednocześnie — uderza oszczędność materiału: oskarżonych jest tylko ośmiu (wzięto pod uwagę błędy popełnione w sprawie Szachtyńskiej).

---

5. *Izwiestia*, 24 maja 1929.

6. Bardzo być może, zakarbował to sobie w swojej mściwej pamięci Wódz — i to zadecydowało o symbolicznej śmierci byłego prokuratora pod ostrzem tej samej gilotyny.

7. Proces „Prompartii" wyd. „Sowietskoje zakonodatielstwo", Moskwa, 1931.

Już słyszę okrzyk zdziwienia: i tych ośmiu ludzi miało reprezentować cały przemysł? Ależ nawet tych ośmiu to dla nas za dużo! Troje z nich — to włókniarze, jako przedstawiciele dziedziny nadzwyczaj ważnej dla obrony kraju. Wobec tego — chyba cały tłumy świadków? Wszystkiego siedmiu, takich samych szkodników i też już aresztowanych. Zatem — góry obciążających dokumentów? wykresy? projekty? dyrektywy? sprawozdania? opinie? donosy? prywatne notatki? Ani jednej! To jest — ANI JEDNEGO PAPIERKA! No i jakże to GPU mogło tak się zagapić — tylu aresztowało i ani jednego papierka nie zdołało znaleźć? „Było tego dużo" ale „wszystko zniszczyliśmy". Dlatego, że — „gdzie mieliśmy chować archiwa"? Na procesie podlega odczytaniu tylko kilka, wcale nie tajnych, artykulików gazetowych — z prasy emigracyjnej i z naszej. Więc jak tu oskarżać?!... Jakże, jest przecież Mikołaj Wasiliewicz Krylenko. Toć nie pierwszy raz. „W każdym wypadku najwymowniejszym dowodem jest przecież przyznanie się oskarżonych do winy[8].

Ale przyznanie nie byle jakie — nie wymuszone, lecz płynące z duszy, kiedy skrucha wyrywa z piersi całe monologi, gdy człowiek chciałby mówić a mówić, demaskować a biczować! Staremu Fedotowowi (66 lat) proponują, żeby już usiadł, że wystarczy — nie, Fedotow naprasza się, żeby jeszcze wyjaśniać, jeszcze coś naświetlić! Przez pięć dni rozprawy pod rząd nie trzeba wcale zadawać pytań: podsądni sami mówią i mówią, wyjaśniają, a potem jeszcze raz proszą o głos, aby dodać uzupełnienia. Metodą dedukcji serwują wszystko to, co niezbędne jest dla celów oskarżenia, nie czekając na żadne pytania. Ramzin po długich wyjaśnieniach daje jeszcze dla wszelkiej pewności krótkie *résumé*, jak dla studentów-żołtodziobów. Podsądni najbardziej się boją, że coś jeszcze zostanie nie dopowiedziane, że ktoś tam nie zostanie zdemaskowany, że czyjeś nazwisko nie zostanie ujawnione, że jakiś szkodniczy zamiar nie zostanie wyklarowany. A jak sami sobie wymyślają! — „jestem wrogiem klasowym!", „zostałem przekupiony", „nasza burżuazyjna ideologia". Prokurator: „czy to było omyłką z waszego punktu widzenia?" Czarnowski: „było także zbrodnią!" Krylenko nie ma po prostu nic do roboty!, przez pięć dni rozprawy popija herbatę z biszkoptami, jeśli mu to właśnie podawano.

Ale jak podsądni wytrzymują to napięcie emocji? Nagrania magnetofonowego nie ma, obrońca zaś, adwokat Ocep, tak relacjonuje: „Zeznania oskarżonych składane były w sposób rzeczowy, chłodny, z zawodowym spokojem". Masz ci los! Taka na-

8. Proces „Prompartii", str. 453.

miętność cechuje tę spowiedź — a tu rzeczowo? chłodno? Gorzej nawet, wydaje się, że swój pełen żalu i bardzo gładki tekst mamrotali oni tak ospale, że Wyszyński często musi ich prosić aby mówili głośniej, wyraźniej, że niczego nie słychać.

Przejrzystej konstrukcji procesu bynajmniej nie psuje obrona: zgadza się ona ze wszystkimi, zgłaszanymi na bieżąco, wnioskami prokuratora; przemówienie oskarżycielskie nazywa ona historycznym, swoje zaś argumenty — wąskimi i cytowanymi wbrew wewnętrznemu przekonaniu, bowiem „sowiecki obrońca — jest przede wszystkim obywatelem sowieckim" i „wraz ze wszystkimi ludźmi pracy doznawać może jeno oburzenia" w obliczu zbrodni swoich klientów[9]. W fazie dochodzeniowej procesu obrona zadaje nieśmiałe i skromne pytania, tylko po to, aby natychmiast je wycofać, gdy tylko Wyszyński się wtrąci. Adwokaci bronią właściwie tylko dwóch nieszkodliwych włókniarzy i nie wdają się w spory co do znamion przestępstwa, ani co do kwalifikacji czynu, troszczą się jedynie o to, czy ich podopieczny mógłby ewentualnie uniknąć rozstrzelania? Czy, proszę towarzyszy sędziów, „więcej korzyści da nam jego praca, czy jego śmierć"?

A jakież to ohydne zbrodnie popełnili ci burżuazyjni inżynierowie? Oto one. Planowali zmniejszenie tempa rozwoju (na przykład zakładali, że roczny wzrost produkcji ma wynosić zaledwie 20-22 %, podczas gdy masy pracujące gotowe są zapewnić 40 i 50 % wzrostu). Planowali zwolnienie tempa wydobycia torfu i węgla brunatnego. Niedostatecznie szybko rozbudowywali Zagłębie Kuźnieckie. Wykorzystywali spory techniczno-ekonomiczne (czy zaopatrywać Zagłębie Donieckie w elektryczność z Zapory Dnieprowskiej? Czy budować super-magistralę Moskwa-Zagłębie Donieckie?) dla opóźniania decyzji dotyczących ważnych problemów. (Inżynierowie sobie dyskutują, a tymczasem robota stoi!) Hamowali rozpatrzenie technicznych projektów (nie zatwierdzali ich bez namysłu). W swoich wykładach o wytrzymałości materiałów dawali wyraz antysowieckim tendencjom. Wprowadzali przestarzałe maszyny. Zamrażali kapitały (ładowali je w kosztowne i wymagające czasu konstrukcje). Przeprowadzali zbędne (!) remonty. Źle wykorzystywali metal (asortyment gatunków żelaza był niezupełny). Wytwarzali dysproporcje między oddziałami fabrycznymi, między zapasami surowca i możliwościami jego przerobu (przejawiało to się zwłaszcza w przemyśle włókienniczym, gdzie wybudowali o jedną-dwie fabryki więcej, niż wymagał tego aktualny zbiór bawełny). Dalej

9. Proces „Prompartii", str. 488.

— przeskakiwali od planów minimalistycznych do planów maksymalistycznych. Zaczęło się też wyraźnie szkodnicze przyśpieszone rozbudowanie pechowego przemysłu włókienniczego. I najważniejsze: planowali (ale ani razu i nigdzie nie doszło do realizacji) akty dywersji w energetyce. W ten sposób szkodnictwo nie sprowadzało się do łamania, czy psucia mechanizmów — tylko wkraczało w dziedzinę planowania i organizacji, co powinno było doprowadzić do ogólnego kryzysu i nawet paraliżu ekonomicznego w 1930 roku! Nie doszło zaś do tego jedynie dzięki kontr-zobowiązaniom mas w dziedzinie produkcji i jej wyników finansowych (podwojenie cyfr!).

— Ejże, ejże... — już słyszę sceptyczny głos czytelnika.

Jak to? Jeszcze wam tego mało? Ale jeżeli na rozprawie każdy z tych punktów powtórzymy i przemiędlimy po pięciokroć, po ośmiokroć — to może już nie będzie za mało?

— Ejże, ejże — kręci wciąż głową czytelnik lat 60-tych — a czy przyczyną tego wszystkiego nie mogły być właśnie te kontrzobowiązania produkcyjne i finansowe? Zawsze wyniknie dysproporcja, jeżeli na jakimś zebraniu związkowym, bez uzgodnienia z Gosplanem, można będzie dowolnie przekabacić wszystkie proporcje.

O, jaki gorzki jest chleb prokuratorski! Przecież postanowiono tym razem publikować każde słowo! To znaczy, że inżynierowie też to będą czytać. Słowo się rzekło — kobyłka u płotu! I Krylenko nieustraszenie zabiera się do roztrząsań i pytań dotyczących technicznych szczegółów! I całe kolumny, i dodatkowe stronice ogromnych gazet wypełniają się petitem specjalistycznych detali. Liczy się na to, że czytelnik od tego zgłupieje, że nie starczy na to ani wolnych wieczorów, ani dnia wychodnego, że nie zechce czytać wszystkiego, lecz zadowoli się tylko refrenami, powtarzającymi się co kilka akapitów: szkodnicy! szkodnicy! szkodnicy!

A jeżeli jednak zacznie czytać? I jeszcze wszystko po kolei?

Przekona się wtedy, przebijając się przez nudne samooskarżenia, wymyślone bardzo niemądrze i niezręcznie, że łubiański dusiciel nie do swojej roboty się zabrał, że nie daje rady, że wymyka się z grubej pętli skrzydlata i silna myśl XX wieku. Aresztanci — są tu, w kajdanach, pokorni, pognębieni, ale lotna myśl zdołała się wymknąć. Nawet skołczałe ze strachu, znużone języki podsądnych potrafią powiedzieć nam i nazwać po imieniu wszystko.

Oto w jakich warunkach musieli oni pracować. Kalinnikow: „U nas przecież zrodziła się nieufność do techniki". Łariczew:

„Czyśmy tego chcieli, czy nie, ale musieliśmy wydobyć te 42 miliony ton ropy naftowej (to znaczy, że otrzymali taki rozkaz z góry)... Ale wszystko jedno, 42-u milionów ton ropy nie można wydobyć pod żadnym pozorem[10]".

W cęgach dwóch takich niemożności tłukła się cała praca nieszczęsnego pokolenia naszych inżynierów. Instytut Techniki Cieplnej chlubi się efektami najważniejszej z jego prac badawczych — uległ bardzo znacznemu zwiększeniu współczynnik wykorzystania paliwa; dzięki temu do planu perspektywicznego można było wstawić mniejsze cyfry dotyczące przyszłego zapotrzebowania i wydobycia ropy i węgla — TO ZNACZY ŻE SZKODZILI, zaniżając cyfry bilansu paliwowego! — W planie rozwoju transportu przewidziano zaopatrzenie wszystkich wagonów w urządzenia do sprzęgania automatycznego — A WIĘC SZKODNICTWO! zamrożenie kapitału! (Bo przecież sprzęganie automatyczne dopiero po dłuższym czasie upowszechni się i opłaci, a my chcemy mieć efekty już jutro!) — Żeby lepiej wykorzystać jednotorowe szlaki kolejowe, postanowiono powiększyć wymiary parowozów i wagonów. A więc modernizacja? Nie, SZKODNICTWO! — bo przecież trzeba będzie wydać jakieś sumy na wzmocnienie mostów i torowisk! — Fedotow wyprowadził taki wniosek z poważnej ekonomicznej analizy faktu, że w Ameryce tani jest kapitał, droga zaś robocizna: nic nam teraz nie da zakup drogich amerykańskich urządzeń konwejerowych, w ciągu najbliższych dziesięciu lat lepiej nam się opłaci kupować tanio mniej doskonałe maszyny angielskie, zatrudniając przy nich większą ilość robotników, bo po dziesięciu latach tak czy owak maszynę trzeba będzie zmienić, choćby była nie wiem jaka, a wtedy będziemy już mogli kupić te droższe. To SZKODNICTWO — toć udając oszczędnego, ten facet nie chce żeby sowiecki przemysł rozporządzał najnowocześniejszymi maszynami? — Zaczęto budować nowe fabryki z żelazobetonu, stosując go zamiast tańszego, zwyczajnego betonu i wyjaśniając, że za sto lat będą one jeszcze jak znalazł — no to przecież SZKODNICTWO! zamrożenie kapitałów! zamrożenie deficytowej armatury! (Chciano ją może zachować do wyrobu sztucznych zębów?).

Siedząc na ławie oskarżonych Fedotow chętnie idzie na ustępstwa: — oczywiście, jeżeli dzisiaj liczy się każda kopiejka, to możecie to uznać za szkodnictwo. Anglicy powiadają: nie jestem tak bogaty, żeby kupować tanie rzeczy...

Próbuje łagodnie wyjaśnić twardogłowemu oskarżycielowi:

— Każde teoretyczne podejście prowadzi do ustalenia norm,

10. Proces „Prompartii", str. 325.

które w końcu okazują się (będą uznane za takie!) szkodliwymi[11]...

No jak tu jeszcze jaśniej może wypowiedzieć się zastraszony podsądny?... To, co dla nas jest teorią — to dla was — jest szkodnictwem! Przecież wy chcecie wszystko mieć już dzisiaj, zupełnie nie myśląc o dniu jutrzejszym...

Stary Fedotow próbuje wyjaśnić, gdzie przepadają setki tysięcy i miliony rubli, którymi się okupuje dziki pośpiech pięciolatki: bawełna nie jest już sortowana tam, gdzie się ją zbiera, tak żeby każda fabryka dostawała ten gatunek, który odpowiada jej profilowi, tylko wysyłają surowiec bezładnie, jak leci. Ale prokurator nie słucha! Z kamiennym, tępym uporem dziesięć razy w ciągu procesu wciąż wraca, wraca i wraca do innej, bardziej spektakularnej, z dziecinnych klocków ułożonej kwestii: dlaczego zaczęli budować „fabryki-pałace" — o wysokich kondygnacjach, szerokich korytarzach, ze zbyt wydajną wentylacją? Czy to nie wyraźne s z k o d n i c t w o ? Przecież to bezpowrotne zamrożenie kapitału?! Wyjaśniają mu burżuazyjni szkodnicy, że Ludowy Komisariat Pracy chciał w kraju proletariatu budować pomieszczenia dla robotników przestronne, ze świeżym powietrzem (to znaczy, że w Komisariacie Pracy też są s z k o d n i c y, zaprotokołować!). Że lekarze żądali kondygnacji wysokich na dziewięć metrów, Fedotow obniżył do 6-ciu metrów — a dlaczego nie do 5-ciu? Proszę, macie szkodnictwo! (A gdyby obniżył do 4,5 — to byłby już przykład szkodnictwa bezczelnego: chciałby może, żeby wolni, sowieccy robotnicy pracowali w koszmarnych warunkach kapitalistycznej fabryki). Tłumaczą Krylence, że w stosunku do ogólnych kosztów fabryki wraz z wyposażeniem chodzi tu w ogóle tylko o 3 % całej sumy — otóż nie, on znowu, znowu i znowu wraca do tej wysokości kondygnacji! I jeszcze — jak śmieli instalować takie potężne wentylatory? Bo brali pod uwagę najgorętsze dni lata... A dlaczego najgorętsze? W te najgorętsze dni niechby nawet robotnik trochę się spocił!

A tymczasem: „dysproporcje były w tych warunkach naturalne... Niedołęstwo organizacyjne spowodowało je jeszcze przed pojawieniem się na widowni „inżynierskiego centrum" (Czarnowski)[12]. „Żadne akty szkodnictwa nie są potrzebne... wystarczy postępować według p r z e p i s u— a wszystko stanie się samo przez się[13]". (Ten sam Czarnowski). Nie sposób wyrazić się jaśniej! I to po tylu miesiącach Łubianki — i z ławy oskarżonych.

11. Proces „Prompartii", str. 365.
12. Str. 204.
13. Str. 202.

Wystarczy według przepisu (to znaczy według wskazań niedołężnych zwierzchników) — a niedorzeczny plan sam się podkopie. — Oto ich całe szkodnictwo: „mieliśmy możliwość wyprodukować, powiedzmy, 1000 ton, a powinniśmy byli (to znaczy — zgodnie z głupim planem) — dać 3000 i nie postaraliśmy się, aby ta ilość została wyprodukowana".

Jak na oficjalny, przejrzany i wypucowany stenogram tych lat — to nie jest mało, przyznajcie.

Po wielokroć doprowadza Krylenko swoich aktorów do akcentów znużenia — bo muszą mleć ozorem bzdurę za bzdurą, bo muszą wstydzić się za swojego dramaturga, ale trzeba dalej grać dla kawałka życia.

Krylenko: — Więc zgadzacie się?

Fedotow: — Zgadzam się... chociaż właściwie nie sądzę[14]...

Krylenko: — Więc potwierdzacie?

Fedotow: — Właściwie... W pewnej mierze... W ogólnych zarysach... owszem[15].

Inżynierowie (mowa o tych, którzy są jeszcze na wolności, jeszcze nie aresztowani, o tych, którzy powinni teraz rzeźko pracować po osmarowaniu przez sąd całej ich warstwy) — nie mają wyjścia. Każde wyjście jest złe. Źle jest mówić tak, źle jest mówić nie. Iść naprzód jest źle i cofać się — źle. Gdy się spieszyli — to pośpiech był szkodnictwem, gdy pracowali bez pośpiechu — to szkodzili przez opóźnianie — to opóźniali umyślnie rozwój, to był sabotaż; gdy poddawali się kaprysom czyjejś fantazji — to szkodzili przez tworzenie dyproporcji. Remont, modernizacja, kapitalne prace przygotowawcze — to było zamrażanie kapitałów; gorączkowa praca aż do zużycia urządzeń — to była dywersja! (Przy tym funkcjonariusze śledczy wszystkiego tego dowiedzą się od nich samych w znany sposób: bezsenność — karcer — a teraz sami przytoczcie tu nam przekonywające przykłady waszej szkodliwej działalności).

— Jakiś wymowny przykład! Dajcie wymowny przykład waszego szkodnictwa! — poszturchuje podsądnych niecierpliwy Krylenko.

(Dadzą, oj dadzą wam wymowne przykłady! Ktoś przecież niedługo już napisze historię techniki tych lat! Przytoczy wam wszystkie przykłady i kontr-przykłady. Da należną ocenę wszystkich konwulsji waszej epileptycznej pięciolatki „w

14. Str. 425.
15. Str. 356.

cztery lata". Dowiemy się wtedy ile dobra narodowego i sił poszło na marne. Dowiemy się, jak wszystkie najlepsze projekty zostały utrącone, wykonano zaś — najgorsze i w najgorszy z możliwych sposobów. No, ale skoro hunwejbini dyrygują diamentowymi inżynierami — to co może z tego wyjść dobrego? Dyletanci-entuzjaści narobili jeszcze więcej nieszczęść niż tępe naczalstwo.

Wdawać się w szczegóły? — to może się okazać niezbyt wygodne. Im bardziej człowiek się wgłębia, tym jakoś trudniej znaleźć zbrodnie godne rozstrzelania.

Ale chwileczkę, toż to jeszcze nie wszystko! Jeszcze nie było mowy o najważniejszych przestępstwach! Tu je macie, tu są, wyłożone przystępnie, zrozumiałe nawet dla analfabetów!! Prompartia: 1) przygotowywała interwencję; 2) była na żołdzie imperialistów; 3) prowadziła działalność szpiegowską; 4) rozdzielała teki przyszłego gabinetu ministrów.

No i już! I wszystkie usta — jak zasznurowane. I wszyscy — co chcieli protestować — opuścili głowy. I słychać tylko szurgot przeciągających demonstracji i ryk za oknami: „ŚMIERĆ! ŚMIERĆ! ŚMIERĆ!".

Może jakieś szczegóły? — A na co komu szczegóły?... No, wszystkim kierował francuski sztab generalny. Bo wszak Francja nie ma swoich kłopotów, ani trudności, ani walki międzypartyjnej, wystarczy gwizdnąć — i już kroczą dywizje, żeby rozpocząć interwencję! Z początku wyznaczyli ją na rok 1928. Ale jakoś nie potrafili się dogadać, brak było koordynacji. W porządku, odroczyli ją do 1930 roku. Znów czegoś tam nie uzgodnili. Dobra, niech będzie 1931. Mówiąc ściślej — Francja sama nie będzie walczyć, tylko ma zabrać sobie (tytułem zapłaty za ogólną organizację) część Ukrainy na zachód od Dniepru.

Anglia tym bardziej nie będzie walczyć sama, ale obiecuje posłać na postrach swoją flotę na morza — Czarne i Bałtyckie (ma za to dostać kaukaską naftę). Wojować zaś miało przede wszystkim — 100.000 emigrantów (dawno już się rozproszyli, rozjechali, ale też wystarczy gwizdnąć, a w te pędy się zgromadzą). Następnie — Polska (też ma dostać pół Ukrainy). Rumunia (znane są jej olśniewające przewagi w I wojnie światowej). Łotwa! I Estonia! (te dwa małe kraje chętnie zapomną o kłopotach swoich młodych systemów państwowych, żeby hurmą rzucić się w wir wojny). Ale jeszcze straszniejszy jest wybór kierunku głównego natarcia. Jakto, już jest znany? A tak! Atak wyjdzie z Bessarabii i dalej, w oparciu o prawy brzeg Dniepru —

prościutko na Moskwę[16]! I w tej fatalnej chwili wszystkie trasy kolejowe... zostaną wysadzone w powietrze?? — nie, zostaną zatkane przez k o r k i ! I we wszystkich elektrowniach Prompartia też wykręci korki i cały Związek Sowiecki pogrąży się w ciemnościach, i wszystkie maszyny staną, w tym również — tkackie! rozszaleje się dywersja. (Uwaga, podsądni. Metody dywersji opisać dopiero na rozprawie przy drzwiach zamkniętych! Nie wymieniać fabryk! Nie wymieniać miejscowości! Nie wymieniać nazwisk — ani cudzoziemców, ani naszych rodaków!). Dodajcie do tego śmiertelny cios, który w tym czasie zostanie zadany przemysłowi włókienniczemu! Weźcie nadto pod uwagę, że dwie-trzy fabryki włókiennicze budowane są w dywersyjny sposób na Białejrusi po to, aby służyły za p u n k t y o p a r c i a d l a i n t e r w e n t ó w[17]! Mając już te zakłady włókiennicze, interwenci bez żadnej litości uderzą na Moskwę! Ale najbardziej zdradziecka intryga na tym polega, że ci szkodnicy chcieli (tylko nie zdążyli) osuszyć kubańskie moczary, poleskie bagna i trzęsawiska koło jeziora Ilmeń (Wyszyński zabrania wymieniania ścisłych nazw geograficznych, ale jeden ze świadków się wygadał) — i wówczas przed interwentami staną otworem najkrótsze szlaki, dzięki czemu, nie przemoczywszy nóg, ani końskich kopyt, zdołają dotrzeć do Moskwy. (Bo i dlaczego Tatarzy mieli takie trudności? Dlaczego Napoleon ani rusz nie mógł Moskwy znaleźć? Wszystko przez te poleskie oraz ilmeńskie moczary. A gdy zostaną osuszone — zaraz białokamienna stolica zostanie bez osłony!). A jeszcze, jeszcze trzeba dodać, że pod pozorem budowy tartaków zostały skonstruowane (nie wskazywać miejscowości — to tajemnica!) hangary, żeby samoloty interwentów nie mokły na deszczu, tylko miały gdzie się schronić. Zostały też pobudowane (nie wymieniać miejscowości!) p o m i e s z c z e n i a d l a i n t e r w e n t ó w ! (Gdzie też kwaterowali bezdomni okupanci w trakcie wszystkich wojen przeszłości?). Wszystkie instrukcje na ten temat otrzymywali podsądni od zagadkowych cudzoziemców K. i R. (nie wymieniać nazwisk w żadnym wypadku! Nie mówić nawet o jakie państwa chodzi[18]!). A ostatnio przystąpili wręcz do „przygotowania aktów zdrady w poszczególnych jednostkach Armii Czerwonej (nie wymieniać rodzaju wojsk! Nie wymieniać jednostek! Nie podawać nazwisk!). Żadnego z tych planów nie zdołali, co prawda, wykonać, ale za to mieli zamiar (też tego nie wykonali) w jakiejś centralnej instytucji wojskowej

16. Kto też narysował tę strzałkę Krylence na pudełku papierosów? Czy aby nie ten, co obmyślił całą naszą koncepcję obrony przed 1941 rokiem?

17. Proces „Prompartii", str. 356, ani myśleli o żartach.

18. Str. 409.

zorganizować komórkę specjalistów od zagadnień finansowych, złożoną z byłych oficerów białej armii. (Ach, białej armii? Zaprotokołujcie, przeprowadzić areszty!). Komórki antysowiecko nastawionych studentów... (Studentów? — zaprotokołować, wyaresztować).

(A zresztą, uważać na zakrętach. Żeby tylko masy pracujące nie wpadły w rozpacz, że teraz wszystko stracone, że sowieckie władze zdążyły wszystko przegapić. Naświetla się więc także tę stronę kwestii: chęci mieli duże ale zrobili niewiele! Ani jedna gałąź przemysłu nie poniosła poważniejszych strat!).

Dlaczego jednak w końcu nie doszło do interwencji? Z różnych skomplikowanych przyczyn. To Poincaré przegrał we Francji wybory, to znów nasi emigranci-przemysłowcy doszli do wniosku, że ich dawne przedsiębiorstwa jeszcze niewystarczająco dobrze zostały zrekonstruowane przez bolszewików — i że bolszewicy powinni jeszcze trochę nad nimi popracować! No i z tą Polską, czy z Rumunią nijak nie mogli się dogadać.

W porządku, interwencji nie było, ale Prompartia przecież była! Czy słyszycie ten szurgot? Słyszycie krzyki ludzi pracy: „ŚMIERĆ! ŚMIERĆ! ŚMIERĆ!". To kroczą „ci, którzy w przypadku wojny będą musieli swoim życiem, swoimi wyrzeczeniami i cierpieniami płacić za knowania tych osobników[19]".

(I rzeczywiście, jakbyś zgadł: właśnie swoim życiem, swoimi wyrzeczeniami i cierpieniami zapłacą w 1941 roku ci łatwowierni demonstranci za knowania TYCH OSOBNIKÓW! Ale twój palec, prokuratorze? Kogo wskazuje twój palec?).

A teraz — dlaczego nazywa się to *Prompartia,* „Promyszliennaja partia", partia przemysłu? Dlaczego — partia, nie zaś Centrum Inżynieryjno-Techniczne? Przecież przyzwyczailiśmy się, że ma być Centrum!

Było również Centrum, owszem. Ale postanowili przekształcić się w Partię. To solidniejsze. W ten sposób łatwiej będzie walczyć o teki w przyszłym rządzie. To „mobilizuje masy inżynierów i techników do walki o władzę". A z kim tu walczyć? A — z innymi partiami! W pierwszym rzędzie — z TKP, z Chłopską Partią Pracy, przecież mają 200.000 członków! Po drugie — z partią mienszewicką! A Centrum? Właśnie te trzy partie powinny były razem tworzyć Zjednoczone Centrum. Ale GPU je rozbiło. No i dobrze, że rozbito nas do szczętu! (Podsądni są bardzo radzi).

19. „Proces Prompartii", z przemówienia Krylenki, str. 437.

(Stalinowi pochlebia myśl, że rozbił jeszcze trzy p a r t i e ! A trzy „centra" niewiele by mu sławy przysporzyły!).

A skoro już jest partia — to musi być KC, tak jest, własny KC! Co prawda, żadnych konferencji, żadnych wyborów nie było ani razu. Kto chciał, tego przyjmowano, razem było ich pięciu. Jeden drugiemu ustępował miejsca. I stanowisko prezesa też jeden drugiemu chciał odstąpić. Nie odbywały się również posiedzenia — ani KC (nikt sobie nie przypomina, prócz Ramzina, on pamięta wszystko i wymieni po kolei!), ani grup specjalistycznych. Dziwna jakaś pustka... Czarnowski: „Toć formalne utworzenie Prompartii *nie miało miejsca*". A ilu było członków? Łariczew: „Ewidencja członków była trudna, nie znaliśmy dokładnej ilości". A w jaki sposób prowadziliście szkodniczą działalność? Jak przekazywaliście dyrektywy? Tak jakoś, jak człowiek kogoś spotkał w biurze — to przekazywał mu to i owo ustnie. A dalej to już każdy szkodził, zależnie od stopnia uświadomienia. (No, Ramzin z całą stanowczością wymienia liczbę dwóch tysięcy członków. Gdzie są dwa tysiące, tam aresztuje się pięć. W ogóle zaś w Związku Sowieckim — według danych sądu — jest 30-40 tys. inżynierów. To znaczy, ze co siódmy pójdzie za kraty, a sześciu się nastraszy). — A kontakty z Chłopską Partią Pracy? A no tak, spotka się kogoś czasem w Gosplanie, albo w Komitecie Gospodarki Narodowej i tam się „planuje systematyczne akty wymierzone przeciw komunistom wiejskim"...

Gdzieśmy to już widzieli? Ba — w „Aidzie". Radames wyrusza na wojnę, grzmi orkiestra, stoi ośmiu wojowników w szyszakach i z włóczniami, a dwa tysiące dorysowano na tylnym horyzoncie.

Tak samo jest z Prompartią.

Ale nie szkodzi, akcja się toczy, tak też da się zagrać! (Teraz nie chce się nawet wierzyć, jak groźnie i serio wszystko to wtedy wyglądało).

A jeszcze wykuwa się na blachę przez ciągłe powtarzanie, każdy epizod wałkuje się kilkakrotnie. Stąd wrażenie narastającego koszmaru. Wreszcie, żeby mniej to było jałowe, podsądni nagle „zapomną" czegoś na kopiejkę, próbują udzielić wymijającej odpowiedzi" — a wtedy od razu „biorą ich w krzyżowy ogień pytań" i spektakl w sumie jest żywy, jak w MCHAT-cie.

Ale w końcu Krylenko przesolił. Chciał Prompartię wychłostać z jeszcze jednej strony — pokazując jej bazę społeczną. A że tu powinien przemówić żywioł klasowy, że analiza gwarantuje wynik — więc pozwolił sobie Krylenko na odstępstwo od systemu Stanisławskiego, nie rozdał ról i zdał się na improwizację:

niech tam już każdy opowie o swoim życiu, o tym, jak odnosił się do rewolucji i jak się stoczył aż do szkodnictwa.

I to niebacznie zaprojektowane intermedium, ta jedna ludzka scena zepsuła nagle całe 5 aktów.

Pierwsza rzecz, o której dowiadujemy się ze zdumieniem to fakt, że te burżuazyjne rekiny, tych ośmiu inteligentów — wszyscy pochodzą z biednych rodzin. Syn chłopa, syn obarczonego mnóstwem dzieci biuralisty, syn rzemieślnika, syn wioskowego nauczyciela, syn domokrążcy... Wszystkich ośmiu uczyło się za wysupłany grosz, sami zarabiali na swoje wykształcenie i to od którego roku życia? — Od 12-go, 13-go, 14-go! Jeden dawał korepetycje, drugi pracował na kolei. Wychodzi na jaw rzecz monstrualna: nikt nie przeszkadzał im się kształcić! Wszyscy oni normalnie ukończyli gimnazja realne, następnie wyższe uczelnie techniczne i zostali wybitnymi, znanymi profesorami. (Więc jakto? A nam powtarzano, że za caratu... tylko dzieci ziemian i kapitalistów...? Bo to mogą kłamać nasze wyrocznie?...).

A tymczasem t e r a z w sowieckiej epoce, inżynierowie byli w wielkim kłopocie: prawie niemożliwością było dla nich zapewnienie wyższego wykształcenia własnym dzieciom (przecież dzieci inteligentów — to ostatni gatunek ludzi, przypomnijmy sobie te czasy!). Sąd nie polemizuje. Krylenko również nie dyskutuje. (Podsądni sami dodają skwapliwie, że gdy wziąć pod uwagę ogólne sukcesy — oczywiste nie ma to znaczenia).

Zaczynamy po mału odróżniać poszczególnych podsądnych (do tej chwili przemawiali oni w sposób prawie jednakowy). Granica wieku, dzieląca ich na dwie grupy — jest zarazem miedzą osobistej przyzwoitości. Wyjaśnienia tych, którzy mają koło sześćdziesiątki, albo i więcej — budzą współczucie. Natomiast 43-letni Ramzin oraz Łariczew i 39-cioletni Oczkin (to ten, który w 1921 roku był autorem donosu na Gławtop) są czelni i bezwstydni i wszystkie najważniejsze zeznania dotyczące Prompartii a także interwencji pochodzą właśnie od nich. Ramzin był człowiekiem tego typu (biorąc pod uwagę jego nadzwyczajne i bardzo wcześnie osiągnięte sukcesy), że cała brać inżynierska nie podawała mu ręki — ale zniósł to jakoś! Na rozprawie zaś w pół słowa pojmuje każdą aluzję Krylenki i odpowiedzi formułuje precyzyjnie. Całe oskarżenie wspiera się na jego pamięci. Odznacza się taką przytomnością umysłu i dynamizmem, że mógłby bodaj (na zlecenie GPU, rzecz jasna) prowadzić w Paryżu samodzielne pertraktacje w sprawie interwencji. — Człowiekiem sukcesu był również Oczkin: w wieku 29-ciu lat już „cieszył się bezgranicznym zaufaniem Rady Pracy i Obrony oraz Sownarkomu".

Nie można tego powiedzieć o 62-letnim profesorze Czarnow-

skim: anonimowi studenci prowadzili na niego nagonkę w gazetce ściennej; po 23-ech latach wykładów został wezwany na ogólne zebranie studenckie, aby tam „zdać sprawę ze swojej działalności" (nie stawił się).

A znów profesor Kalinnikow w 1921 roku kierował ruchem otwarcie zwalczającym władzę sowiecką! — chodziło mianowicie o strajk profesorów! Rzecz w tym, że Moskiewska Wyższa Szkoła Techniczna jeszcze w latach reakcji stołypinowskiej wywalczyła sobie autonomię akademicką (obieralność stanowisk, wybór rektora itd.). W 1921 roku profesorowie tej wyższej uczelni znów wybrali rektora Kalinnikowa na nową kadencję, a tymczasem Komisariat Ludowy nie zatwierdził go, nominując własnego kandydata. Ale profesorowie proklamowali strajk, a studenci ich poparli (jeszcze przecież nie było wtedy prawdziwych proletariackich studentów) — i przez cały rok Kalinnikow był rektorem wbrew woli sowieckiej władzy. (Dopiero w 1922 roku ukręcono łeb tej autonomii i chyba nie obeszło się bez aresztowań).

Fedotow ma 66 lat i fabrycznym inżynierem został 11 lat przed powstaniem Rosyjskiej Partii Socjal-Demokratycznej. Pracował we wszystkich przędzalniach i tkalniach Rosji (jaką nienawiść budzą tacy ludzie, jak bardzo chciałoby się najprędzej ich pozbyć!). W 1905 roku zrezygnował ze stanowiska dyrektora zakładów Morozowa, wzgardził wysokim uposażeniem — bo wolał wziąć udział w „czerwonym pogrzebie", wolał odprowadzić na cmentarz trumny robotników, których zastrzelili Kozacy. Teraz jest schorowany, niedowidzi, wieczorami nie mógł już wychodzić z domu, nawet do teatru.

I to ci ludzie chcieli sprowadzić na kraj interwencję? — chaos gospodarczy?

Czarnowski przez wiele lat z rzędu nie miał ani jednego wolnego wieczoru, tak zajęty był wykładaniem i studiami nad nowymi dyscyplinami naukowymi (organizacja produkcji, naukowe zasady racjonalizacji). Ówczesnych inżynierów-profesorów zapamiętałem z dzieciństwa, tacy właśnie byli: wieczorami nachodzili ich doktoranci, projektanci, aspiranci, wracali do swoich domów rodzinnych dopiero o 11-ej wieczór. Przecież w całym kraju jest ich tylko 30.000, a tu zaczyna się pięciolatka, toć są rozrywani!

I ci ludzie chcieli sprowadzić kryzys? i szpiegowali dla miłego grosza?

Jedną rzecz uczciwą powiedział Ramzin na rozprawie: „szkodnictwo jest czymś z gruntu obcym najgłębszej istocie fachu inżynierskiego".

W ciągu całego procesu Krylenko każe podsądnym poniżać się i sumitować, że są „ignorantami", „analfabetami" w polityce. Bo

wszak polityka — to coś znacznie trudniejszego i ważniejszego niż jakaś tam metalurgia albo konstrukcja turbin! Tu nie pomoże ci ani głowa, ani wykształcenie. Nie, proszę lepiej powiedzieć jak odnieśliście się do zwycięstwa Październikowej rewolucji? — Sceptycznie. — To znaczy— z wrogością? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Dopieka im Krylenko swoimi teoretycznymi pytaniami — i zwykłe ludzkie lapsusy, momenty, w których aktor wypada z roli pozwalają nam nagle zobaczyć prawdę, zorientować się O CO WŁAŚCIWIE CHODZIŁO, z jakiej kropli wydmuchano tę banię.

Pierwszą rzeczą, która inżynierów uderzyła po przewrocie październikowym była ruina. (I przez trzy lata rzeczywiście nie było nic, prócz ruiny). Następnie rzeczą, którą zobaczyli, była likwidacja swobód obywatelskich. (I swobód tych nigdy już nie przywrócono). Jak mogli oni NIE ŻYCZYĆ SOBIE republiki demokratycznej? Jak mogli inżynierowie aprobować bez zastrzeżeń dyktaturę robotników — podporządkowanych im, mniej wykwalifikowanych wykonawców, nie mogących ogarnąć myślą ani fizycznych, ani ekonomicznych praw produkcji — ale którzy zajęli oto najważniejsze stanowiska, aby kierować inżynierami? Dlaczego nie powinni byli inżynierowie uważać za bardziej naturalną takiej konstrukcji społeczeństwa, przy jakiej na jego czele staliby ci, którzy potrafiliby rozsądnie pokierować jego czynnościami? (I czy dzisiaj — pomijając tylko sprawę moralnego kierownictwa — czy nie do tego zmierza cała cybernetyka społeczna? Czy zawodowi politycy nie są tylko wrzodami na karku społeczeństwa, przeszkadzającymi mu swobodnie kręcić głową i poruszać rękoma?). I czemu to inżynierowie nie powinni mieć politycznych poglądów? Przecież polityka — to nawet nie jakaś szczególna dyscyplina naukowa, tylko dziedzina empirii, nie dająca się spenetrować z pomocą żadnej aparatury matematycznej, a nadto jeszcze podporządkowana egoizmowi ludzkiemu i ślepym namiętnościom. (Nawet na rozprawie tak powie Czarnowski: „Polityka powinna jednak w pewnym stopniu korzystać ze wskazań techniki").

Dziki impet komunizmu wojennego mógł tylko odstręczać inżynierów, inżynier nie może brać udziału w operacjach bezmyślnych — i oto aż do roku 1920 większość z nich oddaje się bezczynności, chociaż bieduje na modłę jaskiniową. Zaczyna się NEP — i inżynierowie z chęcią przystępują do pracy: NEP uznali oni za objaw świadczący, że władza poszła po rozum do głowy. Ale niestety, to już nie dawne czasy i warunki: stan inżynierski uznany jest nie tylko za warstwę socjalnie-podejrza-

ną, nie mającą nawet prawa do kształcenia własnych dzieci, ten stan nie tylko wynagradzany jest w sposób zupełnie nieproporcjonalny w stosunku do jego roli w produkcji, ale — wymagając od inżynierów sukcesów produkcyjnych i utrzymania dyscypliny produkcji — pozbawiono ich prawa egzekwowania tej dyscypliny. Teraz każdy robotnik może nie tylko nie wykonać rozporządzenia inżyniera, ale może bezkarnie go obrażać, a nawet uderzyć, przy tym — jako przedstawiciel klasy rządzącej robotnik w takich razach zawsze MA RACJĘ.

Krylenko oponuje: — A pamiętacie proces Oldenborgera? (to znaczy — jakeśmy to go bronili).

Fedotow: — Owszem. Aby zwrócić uwagę na sytuację inżynierów, trzeba było dopiero stracić życie.

Krylenko (z rozczarowaniem): — Problem nie tak się przedstawiał.

Fedotow: — On umarł — i nie on jeden zginął. Oldenborger zginął z własnej ręki, a wielu innych zabito[20].

Krylenko milczy. Więc to prawda. (Zajrzyjcie jeszcze raz do sprawy Oldenborgera, wyobraźcie sobie tę nagonkę i ten końcowy akcent: „wielu innych zabito").

Tak więc, inżynier winien jest wszystkiemu już wtedy, gdy nie ponosi jeszcze żadnej winy! A jeżeli zdarzy mu się gdzieś omyłka, przecież jest tylko człowiekiem — to go rozszarpią, jeżeli koledzy nie zatuszują sprawy. Bo to oni potrafią docenić szczerość?... Czy w ten sposób inżynierowie czasem nie czują się zmuszeni do okłamywania partyjnej zwierzchności?

Aby odzyskać autorytet i prestiż stan inżynierski rzeczywiście musi robić użytek z solidarności. Ci ludzie muszą sobie wzajemnie pomagać — bo wszystkim grozi to samo. Ale dla takiego zjednoczenia nie potrzebne są żadne konferencje, ani żadne legitymacje członkowskie. Jak to zawsze bywa wśród rozumnych i przyzwyczajonych do ścisłego myślenia ludzi, porozumienie wzajemne da się osiągnąć z pomocą niewielu cichych, a nawet przelotnie rzuconych słów, głosowania tu zupełnie nie są potrzebne. Tylko ograniczone umysły czują potrzebę rezolucji i partyjnej pałki. (Tego właśnie w żaden sposób nie zrozumie ani Stalin, ani oficerowie śledczy, ani nikt z tej kompanii! Nie znają stosunków międzyludzkich tego typu, czegoś *podobnego* nie widzieli nigdy w dziejach partii!). Ta jedność zresztą dawno już istnieje wśród rosyjskich inżynierów, żyjących w ogromnym, ciemnym kraju zarozumiałych sobiepanów, wytrzymała już próbę kilku dziesięcioleci — ale podpadła naszej władzy, która się jej zlękła.

20. „Prompartia", str. 228.

A tu nadchodzi rok 1927 — gdzież podział się rozsądny pragmatyzm NEP-u! — okazało się wręcz, że cały NEP był cynicznym oszustwem. Wysuwane są bałamutne, nierealne plany super-skoku industrialnego, ogłaszane są niedorzeczne plany i zadania. Co w tych warunkach może przedsięwziąć kolektywny mózg — inżynierska elita Gosplanu i Wszechzwiązkowego Komitetu Gospodarki Narodowej?! Ma skapitulować przed obłędem? Może usunąć się na bok? Dla nich osobiście to nie jest groźne, na papierze można napisać dowolne cyfry — ale „nasi towarzysze, wykonawcy praktyczni, nie będą mogli później podołać tym zadaniom". To znaczy, że trzeba postarać się te plany utemperować, poddać je rozsądnej regulacji, a najbardziej przesadne projekty w ogóle wyeliminować. Stworzyć coś w rodzaju własnego, fachowego Gosplanu dla korygowania głupstw narzuconych przez szefów — a najśmieszniejsze, że to w i c h interesie! W interesie całego przemysłu i całego ludu: zawsze ktoś będzie próbował zwekslować w bok rujnujące decyzje i podnieść z ziemi rozbryzgane i rozsypane miliony. Wśród powszechnych krzyków o i l o ś ć, nawoływań do wykonania i przekroczenia planów — trzeba bić się o „j a k o ś ć, bo to dusza techniki". I tak trzeba wychowywać studentów.

Oto macie cienką, zwiewną tkaninę prawdy. Tak, jak to było.

Ale powiedzieć to na głos w 1930 roku? — To już równało się rozstrzelaniu!

A dla rozwścieczonego tłumu — to zbyt blade, nie bije w oczy!

I dlatego milczą i zbawienną dla kraju zmowę inżynierów trzeba mleć na grubą kaszę interwencji i szkodnictwa.

Tak w formie wtrętu ukazała nam się nagle bezcielesna — i bezowocna! — świadomość prawdy. Reżyserska robota rozłaziła się w palacach. Już wyrwało się Fedotowowi zdanie o bezsennych nocach (!) w czasie ośmiomiesięcznego siedzenia; o jakimś wybitnym eksponencie GPU, który u ś c i s n ą ł mu rękę (?) niedawno (a więc istniała jakaś umowa? zagrajcie tylko swoje role, a GPU dotrzyma swojej obietnicy?). Ale już nawet świadkowie, chociaż role mają o wiele mniejsze, też zaczynają się sypać.

Krylenko: — Więc braliście udział w zebraniach tej grupy?

Świadek Kirpotenko: — Dwa, trzy razy, kiedy mowa była o problemie interwencji.

Właśnie tego potrzeba! Krylenko (tonem zachęty): — Mówcie dalej!

Kirpotenko (pauza): — P r ó c z t e g o n i c m i n i e j e s t w i a d o m e.

Krylenko zachęca, upomina.

Kirpotenko (całkiem otępiały): — Prócz tej interwencji, to nic mi więcej nie wiadomo[21].

A przy konfrontacji z Kuprijanowem myli nawet fakty. Krylenko sierdzi się i krzyczy na niepojętnych aresztantów:

— To trzeba się postarać, żeby odpowiedzi były zgodne[22]!

Ale w czasie przerwy, za kulisami, wszystko znów zostało podciągnięte do należnego standartu. Wszyscy podsądni — znów jak na sznurkach i każdy czeka tylko na pociągnięcie. I Krylenko szarpie od razu sznurki wszystkich ośmiu: przemysłowcy-emigranci opublikowali, wyobraźcie sobie, artykuł, że żadnych pertraktacji z Ramzinem i Łariczewem nie prowadzili — i żadnej „Prompartii" nie znają, zeznania zaś podsądnych uważają *za* najprawdopodobniej wymuszone przy pomocy tortur. No i co wy na to powiecie?...

Boże! Jak oburzeni są podsądni! Na wyprzódki proszą o głos! Gdzie się podział ten znużony spokój, z którym przed kilkoma dniami upokarzali oni samych siebie i swoich towarzyszy. Nie mogą wprost pohamować wrzącego gniewu, który budzą w nich emigranci! Płoną chęcią napisania oświadczenia do gazet — kolektywnego listu podsądnych w obronie metod GPU! (No, czy to nie klejnot, nie brylant?). Ramzin: „Że nie byliśmy poddawani żadnym torturom i mękom — tego wystarczającym dowodem jest nasza obecność tutaj!" (a cóż są warte tortury, których skutki widać potem na rozprawie!). Fedotow: „Aresztowanie przyniosło pożytek nie mnie jednemu... Ja nawet lepiej czuję się w więzieniu, niż na wolności". Oczkin: „Ja też, ja też!".

To po prostu wspaniałomyślność każe Krylence i Wyszyńskiemu zrezygnować z tego dzieła zbiorowego. A przecież tamci by podpisali! Podpisaliby!

Ale może jeszcze został jakiś cień podejrzenia? Towarzysz Krylenko rozproszy go blaskiem swojej logiki: „Gdyby przypuścić choćby na sekundę, że ci ludzie, mówią nieprawdę — to czym wytłumaczyć, że właśnie oni zostali aresztowani i dlaczego nagle ci ludzie złożyli takie zeznania[23]?

Co za potęga myśli! — W ciągu tysięcy lat oskarżyciele nie ośmielali się twierdzić, że sam fakt aresztowania jest już dowodem winy! Jeżeli podsądni są niewinni — to dlaczego ich miano

21. „Prompartia", str. 354.
22. Str. 358.
23. Str. 452.

aresztować? Skoro zaś są już aresztowani — to znaczy, że są winni!

No i rzeczywiście: DLACZEGO BY MIELI SKŁADAĆ TAKIE ZEZNANIA?

„Kwestię tortur możemy odrzucić!... ale postawmy pytanie psychologiczne: dlaczego więc przyznają się do winy? A ja na to odpowiem pytaniem: a c o i m i n n e g o z o s t a ł o[24]?".

No, jakie to słuszne! Jak psychologicznie trafne! Kto był gościem tej instytucji, niech wspomni: cóż innego człowiekowi zostało?...

(Iwanow-Razumnik pisze[25], że w 1938 roku siedział z Krylenką w jednej celi, w Butyrkach, i że Krylenko musiał leżeć na ziemi, pod narami. Bardzo dobrze to sobie wyobrażam (sam się tam wczołgiwałem): nary są tam tak niskie, że tylko po indiańsku można wpełznąć pod nie po brudnej, asfaltowej podłodze, ale nowicjusz z początku w żaden sposób nie może tej sztuki opanować i gramoli się na czworakach. Głowę udaje mu się tam wsunąć, ale wypięty zad przeszkadza i zostaje na zewnątrz. Myślę, że prokuratorowi naczelnemu było szczególnie trudno się przyzwyczaić i że jego — niewychudły jeszcze — tyłek długo tak sterczał ku chwale sowieckiego sądownictwa. Człowiek ze mnie grzeszny, nie bez złośliwej satysfakcji wyobrażam sobie ten zaklinowany tyłek i przy całym długim opisywaniu tych wszystkich procesów ten obraz jakoś przywraca mi spokój).

Niedość na tym — ciągnie prokurator — jeśliby to wszystko była prawda (mowa o torturach), to cóż właściwie zmusiło wszystkich podsądnych, aby z taką jednomyślnością, bez żadnych odstępstw i różnic przyznawać się do winy chórem?... Bo przecież — g d z i e mogłoby dojść do tak gigantycznej zmowy? — przecież oni nie komunikowali się ze sobą w czasie śledztwa?!

(Na jednej z następnych stronic ocalały świadek opowie nam — g d z i e . . .).

A teraz — nie ja czytelnikowi, ale niechże czytelnik mnie wyjaśni, na czym polega sławetna „zagadka procesów moskiewskich lat 30-tych". (Z początku ludzie nie mogli się nadziwić sprawie „Prompartii", później największą zagadką zaczęły się wydawać procesy partyjnych przywódców).

Przecież na ławie oskarżonych posadzono nie dwa tysiące wmieszanych w sprawę, nawet nie 200-300-tu, lecz tylko ośmiu ludzi. Dyrygować ośmioosobowym chórem nie jest tak już znowu beznadziejnie trudno. W y b i e r a ć zaś Krylenko mógł spośród

24. Str. 454.
25. Iwanow-Razumnik, *Więzienia i zesłania*, Wyd. Im. Czechowa.

tysiąca — i wybierał przez dwa lata. Palczynski się nie załamał — więc został rozstrzelany (a pośmiertnie awansowany na „szefa Prompartii"), tak właśnie nazywany jest w zeznaniach, chociaż ani słówka po nim nie zostało. Później spodziewano się, że da się wydusić, co potrzeba, z Chrennikowa, ale również Chrennikow nie ustąpił. Więc raz tylko mówi się petitem w odnośniku: „Chrennikow zmarł podczas śledztwa". Petitu możecie używać dla durniów, ale my już wiemy, my napiszemy największymi literami: ZADRĘCZONY NA ŚMIERĆ PODCZAS ŚLEDZTWA! (On również pośmiertnie uznany został za szefa „Prompartii". Ale gdzież choćby jeden fakcik, pochodzący od niego, chociażby jedno zeznanie w tym wspólnym chórze? Ani jednego. Dlatego, że ANI JEDNEGO NIE ZŁOŻYŁ!) I nagle odkryty zostaje — Ramzin! To dopiero energia, ten ma dopiero wzięcie! I wszystko zrobi, żeby ż y ć ! A co za talent! Aresztowany został w końcu lata, tuż przed procesem — a nie tylko wżył się w rolę, ale tak się zachowuje, jakby sam całą sztukę napisał, bo i opanował pamięciowo całą górę dodatkowego materiału, i wszystko, jak z igły, każde nazwisko, każdy fakt. Czasem leniwy prominent mówi z pokrętną gładkością: „Działalność Prompartii tak bardzo była rozgałęziona, że nawet na jedenastodniowej rozprawie nie ma możności wniknąć w jej szczegóły". (To znaczy: szukajcie! Szukajcie dalej!). „Jestem głęboko przekonany, że cienka warstwa antysowieckich elementów w c i ą ż j e s z c z e z a c h o w a ł a s i ę w środowisku inżynierskim". (Ciepło, ciepło, łapcie dalej!). I jakiż to zdolny człowiek: wie, że dookoła z a g a d k i, a zagadkę trzeba umieć rozwiązać z artystycznym wdziękiem. I — zazwyczaj nieczuły, jak pałka — nagle potrafi odkryć w sobie „cechy typowo rosyjskiego zbrodniarza, który zna tylko jeden rodzaj oczyszczenia — publiczną pokutę[26]".

Tak więc jedyną trudnością, jaką pokonać musiał Krylenko i GPU — był właściwy wybór osób dramatu. Ale ryzyko nie było duże: odpady śledztwa zawsze można było posłać prosto na cmentarz. Kto zaś przeszedł przez wszystkie sita i rzeszota — tego wystarczy podleczyć, dokarmić i śmiało pokazać na rozprawie!

Na czym więc polega zagadka? Jakiej o b r ó b c e trzeba było ich poddać? A takiej: czy chce pan ż y ć ? (Kto nie myśli już o sobie, ten chciałby żyć dla dzieci, dla wnuków). Czy rozu-

26. Rosyjska pamięć niezasłużenie lekceważy Ramzina. Sądzę, że zasłużył on w zupełności na to, aby stać się postacią przysłowiową, typem cynicznego, niezrównanego zdrajcy. Bengalski ogień zdrady. Nie on jeden w tej epoce — ale był figurą najbardziej rzucającą się w oczy.

mie pan, że nic nas nie kosztuje posłanie pana pod mur — i to nie wychodząc nawet za bramę GPU? (Tak jest na pewno. A kto tego jeszcze nie zrozumiał — tego wystarczy przepuścić przez łubiańską młockarnię). Ale i dla pana i dla nas będzie wygodniej, jeżeli zagra pan coś w rodzaju spektaklu, tekst którego napiszecie wy sami, jako specjaliści, my zaś, oskarżyciele, wykujemy i postaramy się zapamiętać techniczne terminy. (Na rozprawie Krylenko czasami popełnia błędy, oś parowozu myli mu się z osią wagonu). Występować w tym przedstawieniu — to nie będzie dla pana rzecz przyjemna, będzie wstyd, ale to trzeba znieść! Przecież najważniejsze to ż y ć ! — A jaką mam gwarancję, że mnie potem nie rozstrzelacie? — A za co mamy się na was mścić? Przecież jesteście znakomitymi specjalistami, nie popełniliście żadnej zbrodni i my was cenimy. Zresztą, proszę spojrzeć, już tyle było spraw szkodników — a wszyscy, którzy dobrze się sprawowali, zostali przez nas oszczędzeni, żyją. (Zachować przy życiu posłusznych podsądnych z poprzedniego procesu — to ważny warunek powodzenia następnej sprawy. Ten łańcuszek ciągnie się i ta nadzieja przekazywana jest sztafetą aż do samego Zinowiewa z Kamieniewem). Ale musi pan wypełnić w s z y s t k i e nasze warunki od A do Z! Proces powinien oddać ważną przysługę społeczeństwu socjalistycznemu.

I podsądni honorują w s z y s t k i e postawione im warunki...

Całą przemyślną ulotność intelektualnej opozycji inżynierskiej przedstawiają oni jako brudne szkodnictwo, tak żeby zrozumiał to ostatni z wczorajszych analfabetów. (Ale jeszcze nie ma mowy o tłuczonym szkle, sypanym do talerzy ludzi pracy! — Na ten pomysł jeszcze prokuratura nie wpadła).

Następnie — motyw ideowości. Dlaczego zabrali się do szkodzenia? — Z pobudek wrażych, ale ideowych; teraz zaś — dlaczego tak zgodnie przyznają się do winy? — Również z pobudek ideowych, ponieważ olśnił ich (za kratami) płomienny, hutniczy blask 3-go roku Pięciolatki! W ostatnim słowie proszą o darowanie życia, ale nie to jest dla nich najważniejsze. (Fedotow: „To, co zrobiliśmy jest niewybaczalne! Oskarżyciel ma rację!"). Najważniejszą rzeczą dla tych dziwnych podsądnych, stojących na progu śmierci jest przekonanie całego narodu i całego świata o nieomylności i dalekowzroczności sowieckiego rządu. Ramzin sławi pod niebiosa „rewolucyjną świadomość proletariackich mas oraz ich przywódców, którzy „potrafili wytyczyć nieporównanie słuszniejsze szlaki polityki ekonomicznej", niż uczeni i w znacznie lepszy sposób wyznaczyli tempo rozwoju gospodarki narodowej. Teraz „zrozumiałem, że koniecznie trzeba rzucić się na-

przód, że trzeba wykonać s k o k[27], że trzeba wziąć szturmem..." itd. Łariczew: „Związku Sowieckiego nie może pokonać umierający świat kapitalistyczny". Kalinnikow: „Dyktatura proletariatu jest nieuniknioną koniecznością". „Interesy ludu oraz interesy władzy sowieckiej są jednością, mającą wspólny cel". Zresztą również na wsi „okazała się słuszna generalna linia partii, zmierzająca do likwidacji klasy kułaków". W oczekiwaniu kaźni mają czas wygadać się na każdy temat... I nawet takie proroctwo przechodzi przez gardło tym skruszonym inteligentom: „W miarę rozwoju społeczeństwa zakres życia indywidualnego ulegnie zawężeniu... kolektywna wola jest formą o wiele wyższą[28]".

Tak oto osiągnięte zostały wszystkie cele procesu dzięki wysiłkom tego ośmiogłowego zaprzęgu:

1) Wszystkie nieszczęścia krajowe, i głód, i chłód, i brak przyodziewku, i bałagan, i oczywiste nonsensy — wszystko to przypisane zostało szkodnikom-inżynierom;

2) Społeczeństwo zastraszone zostało groźbą interwencji i gotowe jest do nowych ofiar;

3) Koła lewicowe na Zachodzie uczulone zostały na intrygi tamtejszych rządów;

4) Solidarność inżynierska doznała uszczerbku, cała inteligencja jest nastraszona i zdezintegrowana. I żeby nie było co do tego żadnych wątpliwości, ten cel procesu zostanie jeszcze raz wyraźnie wyakcentowany przez Ramzina:

„Chciałbym, aby w rezultacie niniejszego procesu Prompartii na ciemnej i haniebnej przeszłości całej inteligencji można było raz na zawsze postawić krzyżyk[29]".

Podobnie Łaryczew: „Ta kasta powinna być rozbita... nie ma i nie może być lojalności wśród inżynierów[30]!". I Oczkin: Inteligencja „to jakieś błoto, nie ma ona — jak powiedział oskarżyciel publiczny — kręgosłupa, to jest zupełny brak charakteru... O ileż wyżej sięga wyczucie proletariackie[31]...". I za co tu rozstrzeliwać takich gorliwców?...

W ten oto sposób pisana była przez całe dziesięciolecia historia naszej inteligencji — od anatemy w roku 20-tym (czytelnik przypomina sobie zapewne: „To nie mózg narodu, tylko jego

27. „Prompartia", str. 504. Oto, jak U NAS mówiło się o tych sprawach w 1930 roku, kiedy Mao uchodził jeszcze za żółtodzióba.

28. „Prompartia", str. 510.

29. Str. 49.

30. Str. 508.

31. Str. 509. I zawsze to, co proletariat ma najważniejszego, to w y c z u c i e... wszystko tylko przez nos.

łajno", „sojusznik czarnych generałów", najemny agent imperializmu") poprzez anatemę roku 30-ego.

I jak tu się dziwić, że termin „inteligencja" przybrał u nas charakter wyzwiska?

W ten oto sposób prowadzone są u nas publiczne procesy sądowe. Wnikliwa myśl stalinowska dosięgła wreszcie ideału. Dopieroż zazdrościć będą te niedojdy — Hitler i Goebbels, wstydu sobie tylko narobią tym podpaleniem Reichstagu...

Standart został osiągnięty — i teraz można go się trzymać przez wiele lat i powtarzać spektakl choćby w każdym sezonie — jeśli Główny Reżyser rozkaże. Życzy zaś sobie ów Główny, aby następna premiera odbyła się już po trzech miesiącach. Mało czasu na próby, ale to nic. Patrzcie i słuchajcie. Tylko w naszym teatrze! Jest to premiera:

ł) Procesu Związkowego Biura Mienszewików (od 1 do 9 marca 1931 roku). Izba Specjalna Sądu Najwyższego, przewodniczący — ni stąd, ni zowąd — Szwernik, poza tym — wszyscy ci sami — Antonow-Saratowski, Krylenko, jego pomocnikiem jest Rogiński. Reżyser pewien jest swoich sił (zresztą materiał również nie jest techniczny, tylko partyjny, więc dobrze znany) — i wprowadza na scenę 14-tu podsądnych.

Sprawa ma przebieg nie tylko gładki — lecz osłupiająco gładki.

Miałem wówczas 12 lat, już trzeci rok uważnie wyczytywałem wszystkie wiadomości polityczne z wielkich stronic *Izwiestii*. Stenogramy tych dwóch procesów przeczytałem też od deski do deski. Już w sprawie „Prompartii" uderzała serce chłopca przesada, fałsz, klimat inscenizacji, ale tam przynajmniej dekoracje były imponujące — potężna interwencja! paraliż całego przemysłu! rozdział tek ministerialnych! W procesie zaś mienszewików dekoracje zastosowano niby te same, ale już wyblakłe, aktorzy wypowiadali swoje kwestie bez ognia i przedstawienie nudne było że aż ziewać się chciało, ot, żałosna powtórka, robiona bez talentu. (Czyżby Stalin wyczuł to przez skórę mimo, że była grubsza niż u nosorożca? Jak wytłumaczyć inaczej, że odwołał sprawę TKP i że przez kilka lat nie było procesów?).

Nieciekawe byłoby tutaj trzymanie się stenogramu. Mam jednak pod ręką niedawne zwierzenia jednego z głównych podsądnych na tym procesie — Michała Piotrowicza Jakubowicza. Ostatnio jego podanie w sprawie rehabilitacji, wraz z wyliczeniem wszystkich umyślnych fałszerstw, przesączyło się do Samizdatu,

który jest naszą deską ratunku i już ludzie czytają sobie, jak to było[32]. Opowiadanie jego jest rzeczowym komentarzem do całego łańcucha moskiewskich procesów lat 30-tych.

Jak powstało nieistniejące „Związkowe Biuro"? GPU miało zadanie planowe: wykazać, że mienszewicy zdołali się wszędzie wcisnąć i opanować w kontrrewolucyjnych celach wiele ważnych stanowisk państwowych. Prawdziwy stan rzeczy nie pasował do tego schematu: autentyczni mienszewicy żadnych stanowisk nie zajmowali. Ale ci autentyczni wcale w tym procesie nie brali udziału. (W. K. Ikow podobno rzeczywiście należał do nielegalnego, siedzącego jak mysz pod miotłą i nie uprawiającego żadnej działalność moskiewskiego biura mienszewików — ale na procesie wcale to nie wyszło na jaw, Ikow należał tam do postaci drugoplanowych i dostał tylko 8 lat). GPU założyło sobie z góry taki schemat: żeby dwóch było z Komitetu Gospodarki Narodowej, dwóch — z Komisariatu Handlu Zagranicznego, dwóch — z Banku Państwa, jeden — ze spółdzielczości, jeden — z Komitetu Planowania. (Jakie to nudne i niewynalazcze! W 1920 roku też dyktowano oskarżonym z „Centrum Taktycznego", żeby dwóch było ze Związku Odrodzenia, dwóch z Rady Działaczy Społecznych, dwóch z...). Dlatego to ściągnięto na ławę oskarżonych tych, którzy nadawali się ze względu na swoje stanowisko. A czy byli oni rzeczywiście mienszewikami — tu polegano raczej na pogłoskach. Niektórzy w ogóle nic wspólnego z mienszewikami nie mieli, ale kazano im podawać się za takich. Prawdziwe polityczne poglądy oskarżonych w ogóle GPU nie interesowały. Nawet nie wszyscy skazani znali się wzajemnie. Świadkami byli również ludzie przypadkiem jako mienszewicy wyskrobani z różnych kątów[33]. (Wszyscy bez wyjątku świadkowie też dostali później swoje wyroki). Jako świadek — usłużny i gadatliwy — wystąpił również Ramzin. Ale GPU liczyło przede wszystkim na głównego oskarżonego — W. G. Gromana (liczyło,

32. Rehabilitacji mu odmówiono: przecież ten proces wszedł do skarbca naszej historii, przecież z jej sklepień nie można wyciągać ani kamyka, bo jeszcze wszystko runie. W ten sposób Jakubowicz należy dalej do słusznie ukaranych, ale na pociechę otrzymał personalną emeryturę za działalność rewolucyjną. Dużo u nas takich pokracznych sytuacji.

33. Jednym z nich był Kuźma A. Gwozdiew, człowiek, którego los nie był lekki — ten sam Gwozdiew, przewodniczący grupy robotniczej przy Komitecie przemysłu wojennego, który dzięki skrajnej głupocie rządu carskiego został aresztowany w 1916 roku i którego później rewolucja lutowa uczyniła ministrem pracy. Gwozdiew stał się jednym z męczenników, wiecznych więźniów GUŁagu. Nie wiem jak długo siedział przed 1930, od 30-go roku siedział bez przerwy i jeszcze w 52-gim moi przyjaciele widzieli go w Spasskim łagrze (Kazachstan).

że p o m o ż e skonstruować całą sprawę, za co miał być amnestiowany), tudzież na prowokatora Pietunina. (Powtarzam to za Jakubowiczem).

Przedstawmy teraz M. P. Jakubowicza. Zabrał się do robienia rewolucji tak wcześnie, że nawet nie ukończył gimnazjum. W marcu 1917 roku był już przewodniczącym smoleńskiego Sowietu Deputatów. Ponieważ przemawiał z przekonaniem (ono to wciąż go gdzieś popychało) został dobrym, wpływowym oratorem. Na zjeździe żołnierskich deputatów Zachodniego Frontu nieopatrznie nazwał w r o g a m i l u d u, tych dziennikarzy którzy nawołują do kontynuacji wojny — a był to dopiero kwiecień 17-go roku! Omal też nie został ściągnięty z trybuny, przeprosił obrażonych, ale w dalszym ciągu przemówienia zastosował takie chwyty i tak porwał słuchaczy, że pod koniec znów nazwał tamtych wrogami ludu, ale już tym razem otrzymał za to grzmiące oklaski i wybrany został członkiem delegacji, którą posłano do Piotrogradzkiego Sowietu. Ledwie przyjechał do stolicy, z łatwością, tak typową dla tych czasów, został dokooptowany do komisji wojskowej Sowietu Piotrogrodzkiego, miał wpływ na nominacje komisarzy wojskowych[34], a w końcu sam wyjechał jako komisarz armii na front Południowo-Zachodni i w Winnicy osobiście aresztował Denikina (po buncie generała Korniłowa); wyrażał później wielki żal (również na swoim procesie), że Denikin nie został wtedy rozstrzelany.

Jasnooki, zawsze bardzo otwarty i zawsze oddany jakiejś swojej idei, mniejsza, słusznej czy niesłusznej, w partii mienszewików uchodził za przedstawiciela młodzieży i zresztą był nim. Mimo to z całą śmiałością i zapałem podsuwał wciąż kierownictwu jakieś swoje projekty, na przykład takie: żeby wiosną 1917 roku sformować rząd wyłącznie mienszewicki, albo w 1919 roku — żeby mienszewicy weszli do Międzynarodówki Komunistycznej. (Dan oraz inni przywódcy niezmiennie odrzucali wszystkie jego projekty i to nawet z parteru). W lipcu 1917 roku przeżył ciężko i uznał za fatalną omyłkę, że socjalistyczny Sowiet Piotrogradzki uchwalił poparcie dla decyzji Rządu Tymczasowego o wezwaniu wojska do walki z innymi socjalistami, choćby nawet ci chwytali za broń. Natychmiast po przewrocie październikowym, Jakubowicz zaproponował swojej partii, aby udzieliła całkowitego poparcia bolszewikom, po to, aby przez swój wpływ i udział móc pozytywnie oddziaływać na tworzony przez nich ustrój pań-

34. Nie mylić z pułkownikiem sztabu Generalnego, Jakubowiczem, który w tym samym okresie i na tych samych posiedzeniach reprezentował Ministerstwo Spraw Wojskowych.

stwowy. W końcu został też wyklęty przez Martowa, w 1920 roku już ostatecznie odseparował się od mienszewików, przekonawszy się, że nie jest w jego mocy przeciągnięcie ich na stronę bolszewików.

Ja dlatego tak szczegółowo o tym wszystkim piszę, żeby stało się jasne, że Jakubowicz nie mienszewikiem, lecz bolszewikiem był w ciągu całej rewolucji — i to z pobudek całkowicie bezinteresownych. A w 1920 roku był jeszcze na dodatek smoleńskim gubernialnym komisarzem aprowizacji (jedyny to wypadek, że takim komisarzem został nie-bolszewik) i nawet ludowy komisariat aprowizacji wyróżnił go jako najlepszego (zapewnia, potrafił się obejść bez wojskowych ekspedycji karnych; nie wiem; na rozprawie napomknął, że wystawiał oddziały zaporowe). W latach 20-tych redagował *Gazetę Handlową*, zajmował również inne dość znaczne stanowiska. Gdy zaś w 1930 roku takich właśnie mienszewików, którzy potrafili się „wtrynić", trzeba było w myśl planu GPU dobrać do kolekcji — Jakubowicz został aresztowany.

I wtedy wezwał go na przesłuchanie Krylenko, który, co czytelnikowi jest już wiadome, zawsze umiał zorganizować składny materiał śledczy z chaosu zeznań. Okazało się, że są starymi, dobrymi znajomymi, bowiem w tamtych właśnie latach (w przerwach między pierwszymi procesami) Krylenko przyjeżdżał do okręgu smoleńskiego, dla aktywizacji roboty aprowizacyjnej. I oto, co mu teraz Krylenko powiedział:

— Michale Piotrowiczu, otwarcie wam mówię: uważam was za komunistę! (Bardzo to podniosło na duchu Jakubowicza i dodało mu otuchy). Nie wątpię, że jesteście niewinni. Ale przeprowadzenie tego procesu, to nasz wspólny obowiązek partyjny. (Krylence wydał rozkaz Stalin, Jakubowicz zaś odnosi się do idei z takim żarem, jak robotny koń, który nie może doczekać się chwili, gdy będzie mógł wsadzić łeb w chomąto). Proszę was zatem o wszechstronną pomoc, proszę was, abyście szli śledztwu na rękę. Zaś na rozprawie, w wypadku jakichś niespodziewanych trudności, w chwili najbardziej odpowiedzialnej będę prosił przewodniczącego, aby wam właśnie udzielił głosu.

!!!

I Jakubowicz — mu to obiecał. Obiecał z poczucia obowiązku. Tak odpowiedzialnego zadania chyba mu dotąd władza sowiecka nie powierzała!

I można było w trakcie śledztwa Jakubowicza nawet palcem nie tknąć! No, ale dla GPU byłaby to zbytnia już subtelność. Podobnie jak wszyscy, Jakubowicz trafił w ręce śledczych-rzeź-

ników, którzy zastosowali wobec niego całą g a m ę — i lodowaty karcer, i gorącą izolatkę, i bicie po genitaliach. Nękali go tak, że Jakubowicz i jego towarzysz z tej samej sprawy, Abram Ginzburg, z desperacji przecięli sobie żyły. Gdy trochę wrócili do zdrowia już ich nie torturowano i nie bito, zaaplikowano t y l k o bezsenność przez dwa tygodnie. (Jakubowicz mówi: „Żeby tylko móc zasnąć! Już nie zostało człowiekowi ani czci, ani sumienia..."). A tu jeszcze konfrontacje z innymi, co już skapitulowali, też skłaniają człowieka do uznania własnych win", do powtarzania wszelkich głupstw. W końcu sam śledczy (Aleksy Aleksiejewicz Nasiedkin) powiadał: „Ja wiem, ja wiem, że nic z tych rzeczy nie było! Ale przecież — od nas tego wymagają!".

Pewnego razu Jakubowicz wzięty jest na przesłuchanie i zastaje w gabinecie śledczego jakiegoś zadręczonego aresztanta. Śledczy mówi z uśmiechem: „Tu jest Mojżesz Isajewicz Teitelbaum, który prosi was, abyście przyjęli go do waszej organizacji antysowieckiej. Pogadajcie sobie tu sami swobodnie, ja wyjdę na chwilę". I wyszedł. Teitelbaum rzeczywiście prosi: „Towarzyszu Jakubowicz, błagam was, żebyście mnie przyjęli do waszego Związkowego Biura mienszewickiego! Oskarżają mnie o „przyjmowanie łapówek od firm zagranicznych", grozi mi rozstrzelanie. Ale wolę umrzeć jako kontra, niż jako kryminalista!" (A może mu obiecali, że jako kontrrewolucjonistę potraktują go łagodniej? Nie omylił się: dostał dziecinny wyrok, piątala). Jak trudno było GPU o tych mienszewików, jeżeli musiano przyjmować na ochotnika!... (A przecież Teitelbaum miał do zagrania poważną rolę! — kontakty z zagranicznymi mienszewikami i z II-gą Międzynarodówką! Ale umowa została wykonana uczciwie, dostał tego piątala). Z błogosławieństwa śledczego — Jakubowicz p r z y j ą ł Teitelbauma do Związkowego Biura.

Kilka dni przed procesem w gabinecie starszego śledczego Dymitra Matwiejewicza Dmitriewa zwołane zostało p i e r w s z e zebranie organizacyjne Związkowego Biura Mienszewików: aby wszystko uzgodnić i aby każdy lepiej zrozumiał swoją rolę. (O, w ten sam sposób zasiadał też KC „Prompartii"! Oto *gdzie* podsądni „mogli spotkać się", nad czym tak wydziwiał Krylenko). Ale tak wiele zdążono namotać łgarstw, zupełnie nie mieszczących się w głowie, że uczestnicy wciąż się mylili, nie potrafili opanować materiału w czasie jednej próby, więc musieli się spotkać jeszcze po raz wtóry.

Co czuł Jakubowicz, na procesie? Czy nie korciło go, aby za wszystkie przeżyte udręki, za wszystkie kłamstwa, którymi go nafaszerowano — urządzić na rozprawie gromki skandal? Ale przecież:

1) byłby to cios w plecy dla władzy sowieckiej! Byłoby to zaprzeczeniem słuszności tego celu, dla którego Jakubowicz żyje, całego tego szlaku, który przebył — od błędów, mienszewizmu do niezbitych prawd bolszewizmu;

2) po takim skandalu nie pozwolą człowiekowi umrzeć, nie rozstrzelają człowieka po ludzku, tylko zaczną znowu torturować, już przez zemstę, doprowadzą do obłędu, bo ciało już i tak udręczone jest torturami. Gdzież tu znaleźć podporę moralną, aby znieść te nowe męki? I skąd wziąć męstwo?

(Po gorącym tropie słów szedłem zapisując te jego argumenty — niezwykle rzadko zdarza się otrzymać jakby „pośmiertnie" wyjaśnienia od żywego uczestnika takiego procesu. I moim zdaniem całkiem tak samo wyjaśniałby nam przyczyny swojej zagadkowej potulności na rozprawie Bucharin, albo Rykow: ta sama szczerość, ta sama wierność partii, ta sama słabość ludzka, ten sam brak odskoczni moralnej dla wszczęcia walki, czego przyczyną jest fakt, iż podsądny nie zajmuje pozycji o d r ę b n e j ideowo).

I na rozprawie Jakubowicz nie tylko potulnie przeżuwał szary zakalec kłamstwa, takiego, na jakie stać było ubogą fantazję Stalina, jego czeladników i zadręczonych podsądnych, ale odśpiewał też swoją natchnioną arię, tak jak to obiecał Krylence.

Tak zwana Delegacja Zagraniczna Mienszewików (w istocie — całe kierownictwo ich KC) opublikowała w gazecie *Vorwaerts* deklarację, w której odcinała się od podsądnych. Deklaracja utrzymywała, że rozprawa jest haniebną komedią sądową, opartą na zeznaniach prowokatorów i nieszczęśników — oskarżonych, zmuszonych do zeznań metodami terroru. Że przygniatająca większość podsądnych opuściła partię już przeszło 10 lat temu i nigdy potem nie wracała w jej szeregi. I że sumy, o których mowa na procesie, są śmiesznie wysokie — bo takimi funduszami cała partia nie dysponowała nigdy w ciągu swoich dziejów.

Krylenko przeczytał na głos artykuł i poprosił Szwernika o udzielenie podsądnym głosu dla ustosunkowania się (to samo pociąganie za wszystkie sznurki na raz, jak na procesie „Prompartii") i wszyscy zabrali głos. I wszyscy bronili metod GPU przed insynuacjami mienszewickiego KC...

Ale co dzisiaj mówi Jakubowicz o tej swojej replice i o swoim ostatnim słowie? Że przemawiał wtedy nie tylko dlatego, iż obiecał to był Krylence; nie wstał wtedy po prostu z miejsca, tylko porwał go jak wiórek potok wymowy i rozdrażnienia. Skąd ta irytacja, przeciw komu? Doświadczywszy już tortur, próbując już przeciąć sobie żyły, nie jeden raz już bliski śmierci, on teraz płonął szczerym gniewem — nie na prokuratora! nie na

GPU! — nie! — tylko na Delegację Zagraniczną!!! Oto macie przykład psychologicznej zmiany znaków arytmetycznych! Żyjąc sobie bezpiecznie i opływając w przepychy (nawet ubóstwo emigranckie jest, rzecz jasna, przepychem w porównaniu z Łubianką), jak mogli ci zarozumialcy bez sumienia — nie ulitować się nad tymi tu, co znieśli tyle mąk i cierpień? jak mogli tak bezczelnie odciąć się i zostawić tych nieszczęśników na łasce losu? (Odpowiedź była mocna i reżyserowie procesu tryumfowali).

Nawet w 1967 roku, mówiąc mi o tym, Jakubowicz trząsł się z gniewu na Delegację Zagraniczną, na ich zdradę, na zaprzaństwo, na sprzeniewierzenie się rewolucji socjalistycznej — co im zarzucał jeszcze w roku 1917.

Co zaś do stenogramu tego procesu, to nie mieliśmy go wtedy w ręku. Później dostałem go i miałem powód do zdziwienia: pamięć Jakubowicza, zwykle tak wierna, gdy chodziło o byle drobnostkę, byle datę, o każde nazwisko — tu go zawiodła: powiedział był przecież na procesie, że Delegacja Zagraniczna na zlecenie II-giej Międzynarodówki kazała mu prowadzić działalność szkodniczą! — A teraz tego nie pamięta. Zagraniczni mienszewicy nie byli zarozumialcami bez sumienia w tym, co pisali, LITOWALI SIĘ właśnie nad nieszczęsnymi ofiarami procesu, lecz zarazem dowodzili, że ci ludzie dawno już nie są mienszewikami — co było prawdą.

Na cóż więc tak szczerze i tak długo oburzał się Jakubowicz? A jak w ogóle mogliby zagraniczni mienszewicy NIE zostawić tych nieszczęśników na łasce losu?

Bardzo lubimy wyładowywać nasz gniew na słabych, na bezradnych. Ma człowiek tę skłonność. I dowody naszej słuszności jakoś bardzo zręcznie same potrafią trafić nam do rąk.

Krylenko zaś w swojej mowie oskarżycielskiej oświadczył, że Jakubowicz jest fanatykiem idei kontrrewolucyjnej i że właśnie dlatego trzeba żądać dla niego rozstrzelania!

Jakubowicz nie tylko tego dnia poczuł w oku łzę wdzięczności, ale po dziś dzień, po wędrówce przez tyle izolatorów i obozów, jeszcze dzisiaj wdzięczny jest Krylence, że go nie upokorzył, że nie ubliżał mu, że nie wyśmiewał go, siedzącego na ławie oskarżonych, tylko słusznie nazwał fanatykiem (chociaż idei zupełnie przeciwstawnej) i zażądał zwykłego, wspaniałomyślnego rozstrzelania, kładącego kres wszystkim cierpieniom! Jakubowicz sam zresztą w ostatnim słowie udzielił zgody: „przestępstwa do których się przyznałem (przywiązuje on wielkie znaczenie tej udatnej formule „do których się przyznałem". Człowiek znający się na rzeczy powinien przecież zrozumieć: nie te, które popełniłem!), zasłużyły na najwyż-

szy wymiar kary i nie proszę o litość! Nie proszę o darowanie mi życia! (Siedzący obok na ławie oskarżonych Groman aż się przeląkł: „Chybaście oszaleli! Ze względu na towarzyszy nie macie prawa tak mówić!").

No, czy to nie prawdziwe odkrycie dla prokuratury?

I czy to nie tłumaczy procesów lat 1936-38?

I czy nie w związku z tym właśnie procesem Stalin zrozumiał wreszcie i uwierzył, że również i swoich głównych — tak wygadanych — przeciwników, doskonale uda mu się załatwić, że uda mu się świetnie przygotowanie z nimi podobnego spektaklu?

◆

Proszę łaskawego czytelnika o wyrozumiałość! Dotychczas piórem machałem bez lęku, serce mi nie truchlało i posuwaliśmy się naprzód beztrosko, bowiem przez całe 15 lat broniła nas skutecznie już to prawomocna rewolucyjność, już to — rewolucyjna praworządność. Ale teraz zacznie się bolesna operacja: bo — jak czytelnik pamięta i jak to nam dziesiątki razy — poczynając od Chruszczowa — wyjaśniano: „mniej więcej od 1934 roku zaczęło się łamanie leninowskich norm praworządności".

Więc mamy teraz rzucić się w te odmęty bezprawia? Mamyż jeszcze długo wlec się wzdłuż tych gorzkich brzegów?

Zresztą — ze względu na gromkie imiona podsądnych *te,* kolejne rozprawy znajdowały się w polu widzenia całego świata. Nie uszły niczyjej uwagi, pisano o nich, komentowano je. Komentować je będą również nadal. My zaś chcemy tu tylko dotknąć sprawy ich z a g a d k i.

Tu zastrzeżenie, co prawda niewielkie: wydane drukiem sprawozdania stenograficzne niezupełnie są zgodne z tym, co było naprawdę powiedziane na tych procesach. Pewien pisarz, jeden z wybrańców dopuszczonych na salę rozpraw, prowadził pobieżne notatki i przekonał się potem, że nie wszystko się zgadza. Obecni tam korespondenci zauważyli potknięcie, do którego doszło w czasie zeznań Krestińskiego, gdy trzeba było aż ogłosić przerwę, aby wprowadzić go znów na utartą drogę ustalonych zeznań. (Wyobrażam to sobie tak: przed procesem układano poradnik pierwszej pomocy przy ewentualnych awariach: pierwsza rubryka — nazwisko podsądnego, druga rubryka — chwyt, jaki ma być zastosowany w przerwie, jeśli na rozprawie odchyli się od ustalonego tekstu, rubryka trzecia — nazwisko czekisty odpowiedzialnego za przeprowadzenie operacji. I jeżeli jakiś Krestiński nagle się wychyli, to już wiadomo, kto jest na podorędziu i co ma robić). Ale dowolności w stenogramie nie zmieniają i nie

tłumaczą ogólnego obrazu. Ze zdumieniem przyglądał się świat trzem spektaklom pod rząd, trzem długim i kosztownym przedstawieniom, w których najwybitniejsi przywódcy nieustraszonej komunistycznej partii, co całym światem wstrząsnęła i całemu światu napędziła strachu — teraz pojawiali się na scenie jako pokorne kozły, becząc wszystko to, co im kazano, rzygając na siebie wzajem, uniżenie depcząc samych siebie i swoje przekonania oraz przyznając się do przestępstw, których żadną miarą popełnić nie mogli.

Jak długo pamięć ludzka sięga nikt nie widział niczego podobnego. Uderzało to szczególnie przez kontrast z niedawnym procesem Dymitrowa w Lipsku: lwim rykiem odpowiadał Dymitrow hitlerowskim sędziom, tu zaś jego towarzysze z nieugiętej kohorty, przed którą drżał cały świat, przy tym najwybitniejsi z nich, ci, których nazywano „gwardią Lenina" — teraz stawali przed sądem z pełnymi portkami.

I chociaż od tamtych czasów wiele rzeczy tak, jakby już zdołano wyjaśnić (szczególnie udatnie zrobił to Arthur Koestler), z a g a d k a wciąż tak samo wymyka się z rąk.

Pisano o tybetańskim korzeniu, niszczącym siłę woli, o stosowaniu hipnozy. Żadnego z tych przypuszczeń nie należy odrzucać przy rozpatrzeniu sprawy: jeśli NKWD miało w ręku takie środki, to nie rozumiem, JAKIE NORMY MORALNE mogły stać na przeszkodzie ich stosowaniu? Dlaczego by nie osłabić woli tych ludzi, nie zaćmić jej? Wiadomo zaś — że w 20-tych latach znani hipnotyzerzy zaprzestawali nagle swoich popisów na estradach i przechodzili do pracy w GPU. Wiadomo na pewno, że w latach 30-tych istniała przy NKWD szkoła hipnotyzerów. Żonie Kamieniewa zezwolono na widzenie się z mężem tuż przed procesem; zobaczyła człowieka jakby zdrewniałego, o zmienionej osobowości. (Zdążyła jeszcze o tym opowiedzieć, zanim ją samą aresztowali).

Dlaczego w takim razie Palczyńskiemu i Chrennikowowi nie dał rady ani tybetański korzeń, ani hipnoza?

Nie, bez wyjaśnienia głębszego, sięgającego w dziedzinę psychologii, tu się nie obejdziemy.

Zdumiewa ludzi szczególnie ta okoliczność, że to wszystko byli starzy rewolucjoniści, którzy nie skapitulowali ani razu w carskich lochach, że to — zahartowani, osmaleni, otrzaskani itd., bojownicy. Ale to zwykła omyłka. To n i e b y l i t a m c i starzy rewolucjoniści; tę sławę wzięli oni sobie w spadku, albo od sąsiadów — od narodników, eserowców, anarchistów. Tamci, miotacze bomb i konspiratorzy, znali katorgę, wiedzieli, co to wyrok — choć p r a w d z i w e g o, nieubłaganego ś l e d z-

t w a także tamci nigdy nie widzieli (ponieważ w ogóle w Rosji go przedtem nie znano). Ci zaś, o których mowa, nie mieli pojęcia ani o śledztwie, ani o wyrokach. Żadne szczególne „lochy", żaden Sachalin, żadna, specjalnie ciężka, jakucka katorga nigdy nie były udziałem bolszewików. Mówi się o Dzierżyńskim, że przypadł mu najcięższy los, że całe życie spędził w więzieniach. Według naszych zaś proporcji odsiedział on n o r m a l n ą d y c h ę, dostał w sumie zwykłego c z e r w o ń c a, jak prosty kołchoźnik za naszych czasów; co prawda — były w tym trzy lata katorżniczego centralniaka, ale i to nie takie już nadzwyczajne.

Przywódcy zaś partii, ci, których zobaczyliśmy na procesach lat 36-38 w swoim rewolucyjnym życiorysie doliczyć się mogli tylko krótkich i nie najsurowszych odsiadek po więzieniach, niezbyt długich zesłań, katorgi zaś nawet nie wąchali. Bucharin bywał wielokrotnie aresztowany, ale wszystko to były głupstwa; chyba nawet jednego roku ciurkiem nie odsiedział, był króciutko na zesłaniu nad jeziorem Oniega[35]. Kamieniew, nie bacząc na długi staż propagandysty i na rozjazdy po całej Rosji, z miasta do miasta — przesiedział 2 lata w więzieniu, oraz 2 i pół roku na zesłaniu. U nas zaś nawet szesnastoletni pętak dostawał od razu PIĘĆ. Zinowiew, aż śmiech zbiera, NIE PRZESIEDZIAŁ NAWET TRZECH MIESIĘCY! i nie miał ANI JEDNEGO WYROKU! W porównaniu z szarymi tubylcami naszego Archipelagu — to n i e m o w l ę t a, ci ludzie nie zaznali więzienia. Rykow i J. P. Smirnow aresztowani byli kilkakrotnie, przesiedzieli po pięć lat, ale jakoś te więzienia znosili lekko, ze wszystkich zesłań uciekali bez kłopotu, albo korzystali z amnestii. Nim poznali Łubiankę — w ogóle nie wyobrażali sobie ani co to jest prawdziwe więzienie, ani co to znaczy być w kleszczach niesprawiedliwego śledztwa. (Nie ma powodu sądzić, że gdyby Trocki znalazł się w tych kleszczach, to zachowywałby się mniej pokornie, że kark miałby twardszy; nie miał danych po temu. Znane mu były też tylko lekkie więzienia, nie miał żadnego poważnego dochodzenia śledczego, dwa lata był na zesłaniu w Ust'-Kut. Groza, która otaczała nazwisko Trockiego, gdy był przewodniczącym RewWojenSowietu zdobyta była tanim kosztem i nie jest dowodem prawdziwego hartu: kto wielu ludzi kazał rozstrzelać — ten jakże często załamuje się w obliczu własnej śmierci! To dwa rodzaje hartu nie są wcale ze sobą związane.

35. **Wszystkie te dane pochodzą z 41-ego tomu *Słownika Encyklopedycznego* „Granat", gdzie zebrane są dane biograficzne i życiorysy własne działaczy RKP(b).**

(A Radek — był prowokatorem, ale chyba nie jedynym w tych wszystkich trzech sprawach!). Jagoda zaś — to zdeklarowany kryminalista.

(Ten morderca — milioner nie mógł zrozumieć, że jeszcze wyżej nad nim stojący Morderca nie będzie wcale poczuwał się do solidarności, gdy przyjdzie czarna godzina. Dlatego Jagoda z takim uporem i naciskiem zwracał się wprost do niego, prosząc o litość, jakby Stalin siedział osobiście na sali sądowej: „Do Was kieruję tę prośbę! Przecież d l a W a s skonstruowałem dwa wielkie kanały!...". I opowiada ktoś, w czyjej przytomności to się działo, że w tej właśnie chwili, za wewnętrznym oknem pierwszego piętra sali, jakby za firanką, w ciemnościach zapłonęła zapałka i zamajaczył na chwilę cień fajki. — Kto był w Bakczysaraju, ten pamięta chyba to wschodnie, tajne urządzenie? — W piętrowej sali posiedzeń Rady Państwa, na poziomie górnej kondygnacji, jest rząd okien zasłoniętych żelaznymi żaluzjami, drobno podziurkowanymi, za którymi biegnie z kolei nieoświetlona galeria. Kto siedzi w sali, ten nigdy nie potrafi odgadnąć, czy jest tam ktoś, czy nie ma nikogo. Chan jest niewidzialny, ale rada zawsze zasiada tak, jakby obecny był własną osobą. Biorąc pod uwagę zdecydowanie wschodni charakter Stalina, chętnie zakładam, że był on widzem komedii, rozgrywającej się w Październikowej sali Domu Związków. Nie chce mi się wierzyć, by odmówił on sobie tego widowiska, tej uciechy).

A przecież cała nasza niezdolność zrozumienia tej zagadki związana jest z wiarą w nieprzeciętność tych ludzi. Przecież mając do czynienia z szarymi protokołami, dotyczącymi szeregowych obywateli, jakoś wcale nie zadręczamy się wątpliwościami: dlaczego właściwie tyle facet naplótł na siebie i na innych? — uważamy, że to zrozumiałe: słaby człeczyna, wolał się poddać. Tymczasem Bucharina, Zinowiewa, Kamieniewa, Piatakowa, I. N. Smirnowa z góry uznajemy za nadludzi — i tylko tym się objaśnia nasza rozterka.

Co prawda, wydaje się, że reżyserowie spektaklu mieli tu większe trudności z doborem wykonawców, niż w poprzednich procesach inżynierów: tam wybierać mogli z 40-tu saków, a tutaj trupa mała, głównych aktorów wszyscy znają i publiczność życzy sobie, żeby tylko oni grali.

Ale jednak jakaś selekcja miała miejsce! Najbardziej dalewzroczni i obdarzeni stanowczością z grupy upatrzonych do udziału — wcale nie dali się wziąć żywcem, zdołali odebrać sobie życie przed aresztowaniem (Skrypnik, Tomski, Gamarnik). Pozwolili się zaś aresztować ci, którzy c h c i e l i ż y ć. A takiego, co chce żyć, można owinąć dookoła palca!... Ale z tych także

niektórzy jakoś inaczej zachowywali się podczas śledztwa, opanowali się, wzięli na kieł, zginęli bez rozgłosu, ale także bez hańby. Była przecież jakaś przyczyna, dla której nie pokazano na procesach publicznych Rudzutaka, Postuszewa, Jenukidze, Czubara, Kosiora, a także naszego Krylenki, chociaż ich nazwiska mogły być świetną ozdobą tych procesów.

Wystawiono na widok publiczny najbardziej uległych! Jakaś selekcja jednak była.

Wybierano z mniejszego saka, za to wąsaty reżyser dobrze znał każdego. Wiedział także, że na ogół to słabeusze i znał na wylot słabości każdego z nich. Na tym polegała jego mroczna wyjątkowość, najważniejsze napięcie kierunkowe jego psychologii i największe osiągnięcie jego życia: umieć dostrzec denne słabości ludzkie.

Także tego, który z perspektywy lat wydaje się być postacią najbardziej światłą i świetlaną wśród wszystkich zmieszanych z błotem i rozstrzelanych przywódców (jemu to, jak się zdaje, poświęcił Koestler swoją znakomitą analizę) — N. I. Bucharina, jego także na tym dennym poziomie, gdzie człowiek najbliższy jest ziemi, Stalin widział na wskroś, potrafił skręcić w pałąk i nawet bawił się z nim, jak kot z myszą, wypuszczając go na chwilę z pazurów. Bucharin napisał własnoręcznie litera po literze naszą obowiązującą (wcale nie obowiązującą) konstytucję, tak piękną na oko — i tam, na podobłocznych wyżynach swobodnie sobie szybował, myśląc, że wyprowadził w pole towarzysza Kobę: że podrzucił mu konstytucję, która zmusi go do złagodzenia dyktatury. A tymczasem sam już był w jego łapach.

Bucharin nie lubił Kamieniewa i Zinowiewa. Gdy postawiono ich przed sądem po raz pierwszy, po zabiciu Kirowa, powiedział bliskim: „A co myślicie? Wiadomo, co to za ludzie. Może coś jest na rzeczy...". (Klasyczna formuła, powtarzana w tych latach przez mieszczuchów: „Coś w tym chyba jest... Bez powodu u nas człowieka nie wsadzą". W 1935 roku tak się wyraża naczelny teoretyk partii!...). Podczas drugiego zaś procesu Kamieniewa i Zinowiewa, latem 1936 roku, Bucharin był w górach Tiań-Szań, polował i o niczym nie wiedział. Zszedł z gór, znalazł się w mieście Frunze — dowiedział się o skazaniu tamtych obu na rozstrzelanie i przeczytał w gazetach artykuły, z których jasno wynikało, że Zinowiew i Kamieniew złożyli druzgoczące zeznania przeciw niemu. Może rzucił się z punktu żeby zapobiec kaźni? Może zaapelował do partii, wołając, że dzieje się coś monstrualnego? Nie, wysłał tylko telegram do Koby: Wstrzymać egzekucję Kamieniewa i Zinowiewa, żeby... Bucharin mógł przyjechać na kon-

frontację i wykazać swoją niewinność. Za późno! Kobie dość było samych protokołów, po diabła tam jakieś konfrontacje?

Mimo to, długo jeszcze Bucharin chodził na wolności. Stracił stanowisko redaktora *Izwiestii,* wszelką możliwość działania i wszelkie znaczenie w partii — i w swoim mieszkaniu w obrębie Kremla — w Pałacu Potiesznym Piotra I-ego przeżył pół roku, jak w więzieniu. (Zresztą jesienią wyjeżdżał na swoją daczę i kremlowscy wartownicy, jak gdyby nigdy nic, dalej mu salutowali). Nikt już ich nie odwiedzał, nikt nie telefonował. I w ciągu wszystkich tych miesięcy Bucharin nieustannie pisał listy: „Drogi Koba!... Drogi Koba!... Drogi Koba!...", z których żaden nie doczekał się odpowiedzi.

Wciąż jeszcze szukał kontaktu uczuciowego ze Stalinem!

A drogi Koba przymrużał tylko oczy i prowadził próby... Próby te Koba rozpoczął już przed wielu laty i wiedział, że Bucharczyk swoją rolę zagra doskonale. Już się przecież odżegnał od swoich skazanych i zesłanych wychowanków i zwolenników (nielicznych zresztą), gładko przełknął ich rozgromienie[36]. Zniósł też gładko rozgromienie i wyklęcie swoich propozycji teoretycznych, jeszcze zresztą niedonoszonych, nieukształtowanych. Teraz zaś, będąc jeszcze naczelnym redaktorem *Izwiestii* i członkiem Biura Politycznego, tak samo pogodził się z rozstrzelaniem Kamieniewa i Zinowiewa, uznając to za akt prawomocny. Nie wyraził oburzenia ani krzykiem, ani nawet szeptem. Toć to właśnie były próby jego własnego spektaklu!

A jeszcze wcześniej, dawno temu, kiedy Stalin groził, że wyrzuci go (tak, jak każdego z nich w różnych okresach!) z partii — Bucharin (podobnie jak wszyscy!) deklarował wyrzeczenie się własnych poglądów byle by tylko w partii pozostać! Toć i to była próba tej samej roli! Jeżeli tak potrafią się oni zachować jeszcze na wolności, jeszcze na szczytach chwały i władzy — to kiedy ich ciało, ich głód i sen będą w rękach łubiańskich suflerów — z pewnością zechcą podporządkować się logice dramatu.

Czego najbardziej obawiał się Bucharin w ciągu tych miesięcy poprzedzających aresztowanie? Wiadomo dokładnie, że najbardziej bał się, iż zostanie usunięty z Partii! że odetną go od Partii! że pozwolą mu żyć, ale z dala od Partii! Na tej właśnie jego (każdego z nich!) strunie po mistrzowsku grał drogi Koba — od chwili gdy sam zaczął uosabiać Partię. Bucharin — a także wszyscy oni! — nie mieli swojego ODRĘBNEGO PUNKTU WIDZENIA, nie mieli wcale swojej rzeczywiście opozycyjnej ideologii, dookoła której mogliby się skupić i która dałaby im

36. Udało mu się wybronić tylko Jefima Cejtlina, zresztą też nie na długo.

siły. Stalin obwołał ich opozycjonistami zanim jeszcze zdążyli stać się nimi — i tym samym pozbawił ich wszelkiej siły. I odtąd wszystkie ich wysiłki zmierzały do jednego celu, aby utrzymać się w Partii. I żeby przy tym jej przypadkiem nie zaszkodzić.

Zbyt wiele tu koniecznych uwarunkowań, aby zachować niezawisłość!

Dla Bucharina zarezerwowana była w istocie główna rola i nic nie mogło było być spartaczone ani pominięte w pracy Reżysera z aktorem, a także w tym, co zależało od czynnika czasu i od wżycia się samego wykonawcy w graną postać. Nawet wyjazd na Zachód poprzedniej zimy w celu odkupienia rękopisów Marksa, potrzebny był nie tylko z elementarnych powodów dla zadzierzgnięcia sieci oskarżeń, dotyczących niedozwolonych kontaktów. Czcza swoboda ruchów podczas zagranicznych rozjazdów jeszcze bardziej nieubłaganie uświadamiała mu potrzebę powrotu na główną scenę. I oto teraz, w czarnym cieniu oskarżeń — to długie, nie mające końca oczekiwanie na areszt, ta nużąca, domowa udręka — wszystko to skuteczniej niweczyło wolę ofiary, niż bezpośrednie naciski z Łubianki rodem. (A to go też nie minie, tego też zazna przez cały rok).

Pewnego dnia wezwał Bucharina Kaganowicz i w obecności wyższych szarż Czeki urządził mu konfrontację z Sokolnikowem. Sokolnikow złożył zeznania o „paralelnym Centrum Prawicowym" (to znaczy — paralelnym do trockistowskiego), o konspiracyjnej działalności Bucharina. Kaganowicz przeprowadził przesłuchanie z impetem, później kazał wyprowadzić Sokolnikowa i powiedział do Bucharina przyjaznym tonem: „Łże, kurwa, jak pies!".

Jednakże gazety wciąż publikowały wyrazy oburzenia mas. Bucharin dzwonił do KC. Bucharin słał listy: „Drogi Koba!..." — prosząc, aby zdementowano te oskarżenia publicznie. Wówczas właśnie opublikowane zostało mętne oświadczenie prokuratury: „Oskarżenia wysunięte przeciw Bucharinowi nie znalazły potwierdzenia w obiektywnych dowodach".

Radek zatelefonował do niego jesienią, proponując spotkanie. Bucharin wolał się wymówić: obaj jesteśmy obciążeni, po co dawać pretekst do nowych oskarżeń? Ale ich redaktorskie dacze sąsiadowały ze sobą i pewnego wieczoru Radek przyszedł w odwiedziny: „Niezależnie od tego co w przyszłości będę musiał powiedzieć — wiedz, że jestem niewinny. Zresztą — tobie nic się nie stanie: przecież nie byłeś związany z trockistami".

I Bucharin wierzył, że ocaleje, że z partii go nie wyrzucą — to przecież byłoby monstrualne! Do trockistów rzeczywiście odnosił się zawsze z wrogością: sami postawili się poza partią i

widzicie, czym to się skończyło! A trzeba zawsze być razem; jeśli popełniać omyłki — to też razem z partią. Gdy nadeszła rocznica rewolucji październikowej, Bucharin z żoną udał się na demonstrację i wszedł na trybunę dla gości, korzystając ze swojej redakcyjnej przepustki (miało to być jego pożegnanie z Placem Czerwonym). Nagle podchodzi do nich uzbrojony czerwonoarmista. Bucharin poczuł chłód! — Tutaj? W takiej chwili?... Nie, żołnierz salutuje: towarzysz Stalin jest zdziwiony, żeście sobie takie miejsce wybrali. Prosi, abyście zechcieli zająć swoje miejsce na trybunie mauzoleum.

I tak przez pół roku oblewano go to zimną, to gorącą wodą. 5 grudnia została tryumfalnie uchwalona bucharinowska konstytucja, otrzymując na wiek wieków nazwę stalinowskiej. Na grudniowe plenum CK sprowadzony został Piatakow; miał wybite zęby i zmieniony był nie do poznania. Za jego plecami stali niemi czekiści (ludzie Jagody, bo Jagoda też przecież przechodził egzamin i przygotowywał się do odegrania swojej roli). Piatakow w najokropniejszy sposób oskarżał Bucharina i Rykowa, którzy siedzieli tuż obok, w gronie przywódców. Ordżonikidze przyłożył dłoń do ucha (miał słuch przytępiony): „Powiedzcie no, czy aby wszystko to mówicie d o b r o w o l n i e?" (to sobie zapamiętamy! Ordżonikidze też dostał kulę). „Zupełnie dobrowolnie" — powiedział słaniając się Piatakow. A w przerwie Rykow mruknął do Bucharina: „O, Tomski, ten miał siłę woli, jeszcze w sierpniu zrozumiał wszystko i postawił kropkę. A my, durnie, wolimy żyć".

Złorzecząc i płonąc oburzeniem zabrał wtedy głos Kaganowicz (tak bardzo chciał wierzyć w niewinność Bucharczyka! Ale się zawiódł...), oraz Mołotow. Stalin natomiast! — co za serce! Jak pamięta człowiekowi jego dawne dobre uczynki! — „Mimo wszystko sądzę, że nie dowiedziono nam tu winy Bucharina. Rykow może jest winien, ale Bucharin nie". (Jakby ktoś wbrew woli Stalina gromadził zarzuty przeciw Bucharinowi!).

To zimny prysznic, to gorący. Tak zanika w człowieku wola. Tak się wchodzi w rolę straceńca.

Zaczęto mu wtedy przynosić do domu jeden protokół przesłuchań po drugim: dawnych wychowanków z Instytutu Czerwonej Profesury, Radka, potem wszystkich następnych — i wszyscy oni świadczyli dowodnie, że Bucharin jest najohydniejszym zdrajcą. Przynosili mu to do domu nie jako oskarżonemu, bynajmniej, lecz jako członkowi KC, do wiadomości!...

Najczęściej, po nadejściu takiej nowej poczty Bucharin mówił do swojej 22-letniej żony, która dopiero co, wiosną, urodziła mu syna: „Czytaj ty, ja nie mogę!" — a sam wciskał głowę pod

poduszkę. Miał w domu dwa rewolwery (i Stalin dał mu dość czasu!) — a nie odebrał sobie życia.

Czy nie wczuł się dobrze w wyznaczoną mu rolę?...

Odbył się jeszcze jeden proces pokazowy — jeszcze jedna paczka poszła pod mur... a Bucharina oszczędzono, a Bucharina nie tykano...

W początkach lutego 37-ego roku Bucharin postanowił proklamować domową głodówkę — aby skłonić KC do zbadania jego sprawy i do uwolnienia go od zarzutów. Zakomunikował o tym w liście Drogiemu Kobie — i dotrzymał uczciwie. Wówczas zwołano plenum KC z następującym porządkiem dnia: 1)o zbrodniach Prawicowego Centrum. 2) o antypartyjnym zachowaniu się towarzysza Bucharina, znajdującym wyraz w głodówce.

I Bucharin zawahał się: a może istotnie ubliżył czymś Partii?... Niegolony, wynędzniały, już całkiem przypominając aresztanta, przywlókł się on także na Plenum. „Co ty wyprawiasz?" — spytał go Drogi Koba z niekłamaną serdecznością. „No bo jakże, skoro takie oskarżenia? Przecież chcą mnie z partii wyrzucić...". Stalin skrzywił się na te nonsensy: „Ależ nikt cię z partii nie wyrzuci!".

I Bucharin uwierzył, ożywił się, pokajał się na plenum z całą ochotą, natychmiast też przerwał głodówkę. (W domu: „Ano, odetnij mi kawałek kiełbasy! Koba powiedział — że mnie nie wyrzucą"). Ale w trakcie plenum Kaganowicz i Mołotow (bezczelni! popatrz, wcale nie liczą się ze Stalinem![37]) wyzywali Bucharina od faszystowskich najemników i żądali, aby go rozstrzelano.

I znów Bucharin upadł na duchu i w trakcie ostatnich swoich dni zabrał się do układania „pisma do przyszłego KC". Znalazł się ktoś, kto nauczył się go na pamięć i tym sposobem zachowane, stało się ono niedawno znane całemu światu. Jednakże nie wstrząsnęło nim[38]. Cóż takiego bowiem postanowił ten błyskotliwy, bystry teoretyk przekazać przyszłym pokoleniom w swoim ostatnim słowie? Jeszcze jedną jękliwą prośbę o pozostawienie go w partyjnych szeregach (za tę wierność zapłacił drogo, zapłacił hańbą!). Jeszcze raz zapewnił, że „w pełni akceptuje" wszystko to, co zaszło — aż do 1937 roku włącznie. A więc — nie tylko poprzednie procesy, będące kpiną ze sprawiedliwości, lecz również — wszystkie cuchnące potoki naszej wspaniałej kanalizacji więziennej!

37. **Jakich wspaniałych zeznań sami się wyrzekamy w trosce o spokojną starość Mołotowa!**

38. **Podobnie jak „przyszłym KC".**

W ten sposób stwierdził własnym podpisem, że wart jest, aby sam w nich utonął...

I oto nareszcie dojrzał zupełnie do przejścia w ręce suflerów i reżyserskich asystentów — ten muskularny mężczyzna, myśliwy i zapaśnik! (Ileż to razy kładł Kobę na łopatki gdy dochodziło do żartobliwych zapasów w obecności innych członków KC! — zapewne tego też nie mógł mu Koba wybaczyć).

Przeszedł takie przygotowanie i był w stanie takiego wewnętrznego rozprzężenia, że żadne tortury już mu nie były potrzebne. Czy w tej sytuacji pozycja jego była silniejsza, niż to było z Jakubowiczem w 1931 roku? Co jeszcze mógł przeciwstawić tym samym dwom argumentom? Chyba był jeszcze słabszy, bo Jakubowicz pragnął śmierci, Bucharin zaś jej się bał.

Pozostawał jeszcze tylko jeden nietrudny dialog z Wyszyńskim według takiego oto schematu:

— Czy wszelka opozycja przeciw Partii nie jest w istocie walką z Partią? — W zasadzie — tak jest. Tak jest faktycznie. — Czy zatem walka z Partią nie przeradza się nieuchronnie w wojnę przeciw Partii? — Z logiki faktów wynika — że tak. — A więc, żywiąc opozycyjne przekonania, można było koniec końców dojść do popełnienia najpodlejszych zbrodni przeciw Partii (morderstwa, szpiegostwo, kupczenie ojczyzną)? — Ale przepraszam, te zbrodnie nie zostały popełnione. — Ale m o g ł y b y ć ? — No, mówiąc teoretycznie... (Przecież obaj są teoretykami!...). — Ale interesy Partii uważacie przecież za nadrzędne? — Tak, oczywiście, oczywiście! — Wobec tego dzieli nas już tylko całkiem mała różnica zdań: trzeba nadać kształt realny ewentualności, należy — w celu profilaktycznej dyskwalifikacji wszelkich przyszłych idej opozycyjnych — uznać za d o k o n a n e to, co teoretycznie było tylko m o ż l i w e. Bo przecież było m o ż l i w e ? — Było... — A więc, to co możliwe należy uznać za istniejące realnie, to wszystko. Niewielki przeskok filozoficzny. Zgoda?... Aha, jeszcze jedno! no, wam tego nie muszę nawet tłumaczyć: jeżeli na rozprawie wycofacie się i powiecie coś, czegośmy tutaj nie ustalili — to rozumiecie chyba, że oddacie tym przysługę jedynie międzynarodowej burżuazji, zaszkodzicie natomiast Partii. No i, rzecz jasna nie czeka was wtedy lekka śmierć. Jeśli zaś wszystko pójdzie, jak należy, to my, rzecz jasna, zostawimy was przy życiu: poślemy was potajemnie na wyspę hrabiego Monte Christo gdzie będziecie mogli pracować nad teorią gospodarki socjalistycznej. — Ale ci z poprzednich procesów, zdaje się, zostali rozstrzelani? — No, jak możecie robić takie porównania — o n i i w y ! A poza tym, nie jednemuśmy życie darowali, to tylko tak, dla gazet.

Więc może zagadka nie jest aż taka nieprzenikniona?

I wciąż ta sama zwycięska melodia, w tylu już procesach, czasem tylko tonacja się zmienia: m y w s z y s c y z w a m i r a z e m j e s t e ś m y k o m u n i s t a m i ! Jakże więc mogliście przystać na to — aby występować przeciw nam? Okażcie skruchę! Przecież wy i my razem — to tylko m y !

Powoli dojrzewa w społeczeństwie rozumienie historii. Ale kiedy już dojrzeje — wydaje się takie proste. Ani w 1922, ani w 1924, ani w 1937 nie mogli jeszcze podsądni z takim przekonaniem trzymać się swoich poglądów, aby w odpowiedzi na dźwięki tej hipnotyzującej, mrożącej krew melodii krzyknąć z podniesioną głową:

— Nie, Z WAMI do kupy — nie będziemy rewolucjonistami!... Nie, Z WAMI do kupy — nie będziemy Rosjanami!... Nie, Z WAMI do kupy — nie będziemy komunistami!

I zdaje się że wystarczy tylko krzyknąć! — a już rozpadły się dekoracje, już skruszyła się skorupa szminki, już uciekł tylnymi schodami reżyser, a suflerzy już czmychnęli do szczurzych nor. I niechby na dworze był — rok 1967!

◆

Ale nawet nadzwyczaj udane spektakle były drogie i pochłaniały wiele wysiłku. Postanowił więc Stalin nie urządzać już więcej pokazowych procesów.

Właściwie to już się sposobił w 37-ym roku do przeprowadzenia szerokiej akcji publicznych procesów w terenie, tak, aby masy gołym okiem zobaczyły jak czarna jest dusza opozycji. Ale zabrakło dobrych reżyserów, nie sposób było tak starannie wszystkiego przygotować, także sami oskarżeni nie byli tak bogatymi duchowo osobistościami — i skończyło się to dla Stalina wstydliwym niewypałem, tylko że niewielu o tym wie. Doszło do niepowodzeń przy paru procesach — i zaprzestano tej akcji.

O jednym z tych procesów warto tu jednak opowiedzieć — o *sprawie kadyjskiej;* szczegółowe sprawozdania o niej zaczęto już nawet drukować w iwanowskiej gazecie okręgowej.

W końcu 1934 roku, na głuchych peryferiach okręgu iwanowskiego, tam, gdzie styka się on z kostromskim i niżegorodzkim, utrworzono nowy rejon, którego ośrodkiem stało się stare, spokojne sioło Kadyj. Nowi administratorzy poprzyjeżdżali z różnych innych miejscowości i poznali się już w Kadyju. Oczom ich ukazała się głucha, smutna i biedna okolica, wyniszczona przez wywózki ziarna, podczas gdy potrzebna tu była raczej pomoc w postaci kredytów, maszyn i dobrej organizacji miejscowej gos-

podarki. Tak się złożyło, że pierwszy sekretarz komitetu rejonowego, Fiodor Iwanowicz Smirnow, był człowiekiem o mocnym poczuciu sprawiedliwości, zaś kierownik rejonowego wydziału rolnictwa, Stawrow — chłopem z dziada pradziada, jednym z tych chłopów — „intensywników" jak ich wtedy zwano, to znaczy — gospodarnych i światłych rolników, którzy w latach 20-tych prowadzili swoje gospodarstwa w zgodzie z zasadami agronomii (za co też sowiecka władza okazywała im poparcie! jeszcze nie było wtedy decyzji, by wszystkich tych „intensywników" powyławiać). Stawrow wstąpił do partii i dlatego nie spotkała go zguba przy likwidacji kułaków (a może sam brał udział w tej operacji?).

Na swoich nowych stanowiskach próbowali oni zrobić coś dla chłopów, ale z góry spadały, jak lawina, wciąż nowe dyrektywy i każda z nich przeciwstawna była ich inicjatywom; całkiem, jakby tam, na górze wymyślano je właśnie w tym celu, aby chłopom było coraz gorzej i trudniej. Pewnego razu kadyjcy posłali do okręgu raport, że trzeba koniecznie *zmniejszyć* — plan dostaw ziarna z rejonu, że nie można go wykonać, bo inaczej stopa życiowa w rejonie obniży się do niebezpiecznego poziomu. Trzeba sobie przypomnieć warunki panujące w latach 30-tych (czy aby tylko w 30-tych?), aby zrozumieć, jakie to było świętokradztwo w stosunku do Planu i jaki to był bunt przeciw władzy! Ale w tych czasach nie wszystko jeszcze przewidziane i nakazane było z góry, organy miejscowe mogły reagować według własnego widzimisię. Korzystając z nieobecności Smirnowa, który wyjechał na urlop, jego zastępca, 2-gi sekretarz, Wasyli Fiodorowicz Romanow doprowadził na plenum rejkomu do przegłosowania takiej rezolucji: „osiągnięcia rejonu byłyby jeszcze wspanialsze (?) gdyby nie trockista Stawrow". Taki początek miała „sprawa personalna" Stawrowa (Interesujący chwyt: i z o l o w a ć ! Smirnowa chwilowo nastraszyć, zneutralizować, zmusić do odcięcia się od atakowanych, do niego zabierzemy się później; była to — w mniejszych wymiarach — ta sama taktyka, którą Stalin stosował w KC). Na burzliwych zebraniach partyjnych rychło się jednak okazało, że Stawrow jest nie bardziej trockistą, niż, powiedzmy, biskupem. Kierownik rejonowego związku Spółdzielni Spożywców, Wasyli Grigoriewicz Własow, człowiek o wykształceniu raczej przypadkowym, wyrywkowym, ale obdarzony tymi swoistymi zdolnościami, które tak zadziwiają u Rosjan — urodzony spółdzielca, elokwentny, zręczny dysputant, zapalny, entuzjastyczny stronnik tego, co mu się wydaje słuszne — wygłosił na partyjnym zebraniu przemówienie, w którym domagał się, by — *usunąć* z partii — Romanowa, sekretarza rejkomu za potwarz! I zebranie udzieliło Romanowowi nagany! Ostatnie

słowo Romanowa bardzo jest charakterystyczne dla tego gatunku ludzi i dla ich znajomości sytuacji ogólnej: „Chociaż tu zostało wykazane, że Stawrow — nie jest trockistą, a l e jestem osobiście przekonany, że jest on nim. P a r t i a j u ż s i ę z m i a r k u j e, także — co do tej nagany". I Partia się zmiarkowała: prawie natychmiast rejonowe NKWD aresztowało Stawrowa, a po miesiącu — także przewodniczącego RIK — rejonowego komitetu wykonawczego, Estończyka Uniwera. Romanow objął jego stanowisko. Stawrowa przewieziono do okręgowego NKWD, gdzie przyznał się, że jest trockistą, że całe życie działał w porozumieniu z eserowcami, że w swoim rejonie należy do nielegalnej p r a w i c o w e j organizacji (bukiet godny tej epoki, brak tylko bezpośrednich kontaktów z Ententą). Być może zresztą — wcale się nie przyznał, ale nikt się tego nigdy nie dowie, bo w iwanowskim więzieniu wewnętrznym skonał w czasie tortur. A protokół został. Wkrótce aresztowano także sekretarza rejkomu Smirnowa, przywódcę domniemanej organizacji prawicowej, kierownika rejonowego wydziału finansowego Saburowa i jeszcze kilku.

Ciekawy jest dalszy los Własowa. Nowego przewodniczącego RIK'a — Romanowa chciał on niedawno usunąć z partii. Jak zaś ciężko obraził prokuratora rejonowego, Rusowa — już pisaliśmy, rozdział IV). Przewodniczącemu rejonowej delegatury NKWD, N. I. Kryłowowi, naraził się w ten sposób, że obronił przed aresztowaniem za rzekome szkodnictwo dwóch swoich obrotnych i roztropnych działaczy spółdzielczych, z haczykami w ankiecie: obaj byli niewyraźnego pochodzenia społecznego (Własow zawsze przyjmował do pracy rozmaitych „byłych ludzi" — zwykle dobrze znali się na rzeczy, a ponadto — byli gorliwsi w robocie; ci zaś z awansu społecznego nic nie umieli i — co ważniejsze — nic nie chcieli robić). Mimo to NKWD jeszcze gotowe było pójść na ugodę ze spółdzielczością! Zastępca Kryłowa, Sorokin sam przyszedł do zarządu spółdzielni rejonowych i zaproponował Własowowi, żeby wydać NKWD bezpłatnie („już tam później jakoś spiszesz na straty") tekstyliów na sumę siedmiuset rubli (szmaciarze! a dla Własowa to były dwie pensje miesięczne, Własow nawet kruszyny nie brał dla siebie na lewo). „Jak nie dasz — to sam pożałujesz". Własow go przepędził: „Jak śmiecie mnie, członkowi partii, proponować takie interesy!" — Następnego dnia w zarządzie spółdzielni pojawił się Kryłow, już jako przedstawiciel rejkomu partii (w tej maskaradzie i we wszystkich tych sposobikach jest dusza 37-ego roku!) i k a z a ł zwołać zebranie partyjne. Porządek dnia: „O szkodniczej działalności grupy Smirnowa-Uniwera w spółdzielczości" referent —

towarzysz Własow. Co chwyt, to perełka! Nikt chwilowo nie wysuwa przecież oskarżeń przeciw Własowowi! Ale wystarczy, że Własow powie dwa słowa o szkodnictwie, którym zajmował się były sekretarz rejkomu, w strefie, w której sam Własow jest czynny — aby zaraz przerwał mu ktoś z pracowników NKWD: „a w y gdzieście wtedy byli? Dlaczego nie przyszliście do nas zawczasu?". W takiej sytuacji niejeden dawał się zbić z tropu i już nigdy nie mógł się wygrzebać. Ale nie Własow! Odpowiedział z miejsca: „Nie będę referować. Niech referuje Kryłow — przecież to on aresztował Smirnowa i Uniwera i ma w ręku ich sprawę!". Kryłow odmówił, twierdząc, że nie jest zorientowany. A na to Własow: „Jeżeli nawet w y nie jesteście zorientowani — to znaczy, że tamtych aresztowano bezpodstawnie!". I zebranie po prostu nie zostało zwołane. Ale czy często ludzie śmieli się tak bronić? (Brak będzie w tej opowieści charakterystycznych cech 37-ego roku, stracimy z oczu wielu jeszcze silnych ludzi zdolnych do stanowczych decyzji, jeśli nie wspomnimy, że późnym wieczorem tegoż dnia do gabinetu Własowa przyszedł starszy księgowy Związku Spółdzielczego T. i jego zastępca N. przynosząc d z i e s i ę ć t y s i ę c y r u b l i: „Wasyli Grigoriewicz! Uciekajcie zaraz, jeszcze dziś w nocy! Dziś w nocy, inaczej — zginiecie!". Ale Własow był zdania, że nie przystoi komuniście uciekać). Następnego dnia rano już pojawiła się w rejonowej gazecie napastliwa korespondencja o pracy spółdzielni spożywców (trzeba podkreślić, że w 37-mym roku p r a s a zawsze działała ręka w rękę z NKWD), a wieczorem już zaproponowano Własowowi, aby zdał w rejkomie sprawę ze swojej działalności (co krok — to wzór do naśladowania!).

Był to rok 1937, drugi rok *„Mikojan-prosperity"* w Moskwie i w innych wielkich miastach; czytuje się teraz we wspomnieniach rozmaitych pisarzy i dziennikarzy, że już wtedy zaczynały się tłuste lata. Weszło to do historii i ryzykujemy, że już tam zostanie. A tymczasem — w listopadzie 1936 roku, dwa lata po zniesieniu kartek na chleb, w iwanowskim okręgu (a również w innych) wydane było tajne rozporządzenie z a k a z u j ą c e h a n d l u m ą k ą. W tych latach wiele jeszcze gospodyń w miasteczkach, a zwłaszcza w osadach i po wsiach — wypiekało chleb w domu. Zakaz sprzedaży mąki oznaczał: nie wolno jeść chleba! W rejonowym ośrodku, w Kadyju, potworzyły się ogromne, nigdy nie widziane ogonki za chlebem; zresztą — im też dano należną odprawę: w lutym 1937 zakazano w ośrodkach rejonowych wypieku razowego chleba, odtąd wolno było piec tylko drogi, biały. W rejonie kadyjskim nie było zaś innych piekarni prócz centralnej, rejonowej, więc ze wszystkich wsi walili ludzie

po razowiec do Kadyja. I mąki w składach spółdzielni spożywców było dość — tylko teraz dwa wspomniane zakazy nie pozwalały dać jej ludziom w żaden sposób!! Własow jednak znalazł sposób, żeby wbrew przemyślnym państwowym wytycznym nakarmić swój rejon tego roku: objechał okoliczne kołchozy i z ośmioma z nich dogadał się, że w stojących pustką „pokułackich" chatach otwarte zostaną uspołecznione piekarnie (to znaczy, że po prostu zwiezione będą drwa i zwołane baby — do roboty przy gotowych, ruskich piecach, tyle, że teraz nie prywatnych, tylko już wspólnych), rejonowa zaś spółdzielnia spożywców zobowiązuje się do zaopatrzenia ich w mąkę. Rozwiązanie zawsze wydaje się proste, gdy już ktoś na nie wpadł! Nie budując nowych zakładów piekarskich (nie miał na to środków), Własow pobudował je w ciągu jednego dnia. Nie prowadząc formalnie handlu mąką, bez przerwy dostarczał ją ze składów i żądał z okręgu nowych dostaw. Nie sprzedając w ośrodku rejonowym razowego chleba — dał razowy chleb ludności rejonu. Tak, litery rozporządzenia nie naruszył, ale wystąpił przeciw jego d u c h o w i — szczędzić mąkę, a ludzi morzyć głodem. Było więc za co k r y t y k o w a ć go na zebraniu rejkomu.

Po tej krytyce Własow jeszcze jedną noc spędził na wolności, następnego zaś dnia został aresztowany. Zadzierżysty, mały kogucik (jako że był niziutki, zachowywał się często z pewną arogancją, zadzierając przy tym głowę) nie chciał oddać legitymacji partyjnej (toć poprzedniego dnia, na posiedzeniu rejkomu, nie podjęto decyzji o usunięciu go z partii!), ani deputackiej (toć wybrany został przez lud i nie ma decyzji RIK'u o pozbawieniu go nietykalności deputackiej!). Ale milicjanci nie znali się na formalnościach, rzucili się na niego i odebrali dowody siłą. — Ze spółdzielni spożywców prowadzono go do NKWD środkiem miasteczkowej ulicy i pewien młody towaroznawca, jego podwładny, komsomolec, zobaczył to z okna rejkomu. Jeszcze nie wszyscy (zwłaszcza po wsiach, bo ludzie tam prostoduszni) nauczyli się wtedy mówić nie to, co myślą. Chłopak krzyknął: „Ale dranie! Mojego szefa też wzięli!". Natychmiast, nie dając mu nawet wyjść z pokoju, wyrzucono go i z rejkomu i komsomołu, po czym znanym szlakiem stoczył się chłopak do wspólnego dołu.

Własow aresztowany był późno w porównaniu z innymi współoskarżonymi, dochodzenie było prawie już zakończone i teraz tylko dawało mu się szlif przed procesem publicznym. Własowa przywieziono do iwanowskiego więzienia wewnętrznego, ale jako że był ostatni w kolejce, więc nie urządzono mu całej karuzeli z torturami, przeprowadzono tylko dwa krótkie przesłuchania, nie wzywano żadnych świadków, a skoroszyt jego akt śled-

czych zapełniono sprawozdaniami spółdzielni spożywców i wycinkami z rejonowej gazety. Własowa oskarżano: 1) o sprowokowanie kolejek po chleb; 2) o niezabezpieczenie wystarczającego asortymentu towarów (jak gdyby towary te były gdziekolwiek w należnym wyborze i jakby ktoś gwałtem je wmawiał kadyjskiej spółdzielni); 3) o sprowadzenie zbyt wielkiej ilości soli (chodziło tu o obowiązkowy „mobilizacyjny" zapas — bo przecież z dawnych lat w Rosji wszyscy się boją, że w razie wojny soli zabraknie).

W ostatnich dniach września zawieziono oskarżonych na proces publiczny do Kadyja. Nie bliska to była droga (porównać tylko niskie koszty OSO i tajnych sądów!): od Iwanowa do Kineszmy — stołypińskim wagonem, od Kineszmy do Kadyja — 110 km samochodem. Samochodów było ponad dziesięć i ten niesłychany wtedy, długi ich sznur, ciągnący pustynnym, starym traktem, siał we wsiach zdumienie, popłoch i przeczucie bliskiej wojny. Za bezbłędną i budzącą należny strach organizację całego procesu odpowiedzialny był Klugin (naczelnik supertajnego oddziału okręgowego NKWD, zajmującego się kontrrewolucyjnymi organizacjami). Ochrona składała się z 40-tu ludzi, wziętych z konnej rezerwy milicji. Oskarżonych, codziennie od 24 do 27 września, prowadzono przez Kadyj pod konwojem, kroczącym z szablami i naganami w ręku — od rejonowej delegatury NKWD, aż do niewykończonego budynku klubu i z powrotem. Prowadzono ich tak przez to samo sioło, w którym niedawno jeszcze oni byli rządem. Okna w klubie już był oszklone, natomiast scena nie była jeszcze wykończona, brak było elektryczności (w ogóle nie było jej w Kadyju) i wieczorami sąd zasiadał przy naftowych lampach. Publiczność przywożono z kołchozów według rozdzielnika. Także cały Kadyj pchał się na salę. Nie tylko siedziano na ławach i na oknach, lecz również gęsty tłum stał w przejściu, tak, że mieściło się w sali za każdym razem do 700 ludzi (lubią jednak na Rusi te widowiska). Przednie ławy były stale zarezerwowane dla członków partii, tak aby sąd zawsze mógł liczyć na życzliwe poparcie. Komplet sędziowski izby specjalnej sądu okręgowego składał się z wiceprezesa tegoż sądu Szubina, ławnikami byli zaś obywatele Bicze i Zaozierowa. Absolwent uniwersytetu w Dorpacie, prokurator okręgowy Karasik był rzecznikiem oskarżenia (mimo, że oskarżeni jak jeden mąż zrzekli się obrony, ale dano im celowo adwokata z urzędu, ponieważ tylko w ten sposób mógł być obecny również prokurator). Akt oskarżenia, solenny, groźny i długi sprowadzał się do tego, że w kadyjskim rejonie działała nielegalna prawicowo-bucharinowska grupa, zawleczona tam z Iwanowa (to znaczy — także tam

nastąpią teraz aresztowania), stawiająca sobie za cel obalenie — za pośrednictwem aktów szkodnictwa — ustroju sowieckiego we wsi Kadyj (kąta bardziej zapadłego p r a w i c o w c y już nie mogli znaleźć, jako odskoczni dla swoich planów!).

Prokurator składa wniosek, aby nie bacząc na zgon Stawrowa w więzieniu śledczym, jego zeznania przedśmiertne mogły być teraz odczytane i uznane za złożone na rozprawie. (A na zeznaniach Stawrowa trzymały się przecież wszystkie oskarżenia przeciwko całej grupie!). Sąd wyraża zgodę: zaprotokołować zeznania zmarłego tak, jakby wciąż jeszcze był wśród żywych (co ma tę zaletę, że już nikt z podsądnych nie potrafi świadkowi zaprzeczyć).

Ale nieuczeni kadyjscy chłopkowie nie wyznają się na takich subtelnościach i czekają co też będzie dalej. Zostają więc przeczytane i na nowo zaprotokołowane zeznania człowieka zabitego podczas śledztwa. Zaczyna się przesłuchanie podsądnych i — konsternacja! — WSZYSCY ONI ODWOŁUJĄ zeznania złożone na śledztwie.

Nie wiadomo, jaką taktykę obrano by w Sali Październikowej Domu Związków — tu zaś postanowiono kontynuować dalej, wcale się nie przejmując! Sędzia upomina oskarżonych: jakeście w ogóle mogli składać na śledztwie inne zeznania? Uniwer — wycieńczony, ledwie dosłyszalnie: „Jako komunista nie mogę na publicznej rozprawie rozwodzić się nad metodami śledztwa stosowanymi przez NKWD" (no i macie model procesu Bucharina! Oto co najbardziej wiąże im ręce: troszczą się przede wszystkim o to, żeby ludzie nie pomyśleli czegoś złego o partii. Ci, co ich sądzą, dawno już się o to nie kłopoczą).

W przerwie Klugin odwiedza cele podsądnych. Mówi do Własowa: „Słyszałeś, jak się skurwili Smirnow i Uniwer, te dranie?! Ty za to powinieneś przyznać się do winy i powiedzieć całą prawdę!" — Wyłącznie prawdę! — chętnie godzi się Własow, jeszcze pełen sił. — Wyłącznie prawdę, a mianowicie, że niczym nie różnicie się od niemieckich faszystów!". Klugin wpada w pasję: „Uważaj, kurwo, krwią za to zapłacisz[39]!". I od tej chwili Własow przestaje być na rozprawie postacią drugorzędną — dostaje rolę pierwszoplanową jako i d e o w y i n s p i r a t o r grupy.

Tłum, tłoczący się w przejściach, zaczyna rozumieć o co chodzi dopiero w pewnej chwili. Sąd ma odwagę podjąć kwestię

39. **Wkrótce już, wkrótce poleje się twoja własna! — Klugin znajdzie się w sieci razem z całą ławicą ludzi Jeżowa i w obozie zostanie zarąbany przez konfidenta Gubajdulina.**

ogonków chlebnych, a to każdemu tu dojadło do żywego (chociaż, co chyba jasne, przed procesem chleb sprzedawany był bez żadnych ograniczeń i dzisiaj kolejek nie ma). Sąd zadaje pytanie podsądnemu Smirnowowi: „Czy wiedzieliście o istnieniu ogonków za chlebem w rejonie?" — „Tak, ma się rozumieć, toż ciągnęły się od sklepu aż do samego budynku rejkomu". — „No i coście za radę znaleźli?". Nie bacząc na zadane mu męki, Smirnow zachował dźwięczny głos i spokojną pewność swojej racji. Ten grubokościsty blondyn o prostych rysach twarzy wcale się nie spieszy i sala słyszy każde słowo: „Ponieważ wszystkie nasze wnioski do okręgowych organizacji nie dały żadnego skutku, poleciłem Własowowi, aby napisał memoriał do towarzysza Stalina" — „No i dlaczegoście go nie napisali?" (Więc jeszcze nie wiedzą!... Więc przegapili!). „Napisaliśmy go i zaraz go wysłałem umyślnym prosto do KC, nad głową okręgu. Kopia została w aktach rejkomu".

Sala wstrzymuje oddech. Komplet sędziowski jest w strachu i lepiej byłoby nie zadawać chyba dalszych pytań, ale jednak ktoś to pytanie stawia:

— No i co?

Bo też to pytanie zawisło na wszystkich ustach: no i co dalej się stało?

Smirnow nie łka, nie leje łez nad utraconym ideałem (właśnie tego elementu brak moskiewskim procesom!) odpowiada głosem donośnym i spokojnym:

— A nic. N i e b y ł o o d p o w i e d z i.

Słychać w jego znużonym tonie: tego właśnie się spodziewałem.

NIE BYŁO ODPOWIEDZI! Ojciec i Nauczyciel nie dał odpowiedzi! Ten proces publiczny osiągnął już swoje apogeum! już dzięki niemu ten tłum na sali zobaczył czarne serce Ludojada! Już by się na tym mogła ta rozprawa skończyć. Nie, na to im nie starcza ani taktu, ani rozumu i jeszcze całe trzy dni trwać będzie dreptanie po podmokłej już łące.

Prokurator wychodzi ze skóry: to dwulicowcy! Patrzcie, jak to było: jedną ręką szkodzili, a drugą ręką śmieli pisać listy do towarzysza Stalina! I jeszcze czekać na odpowiedź!? Niech lepiej podsądny Własow odpowie — jak mógł dojść do tak potwornego szkodnictwa — żeby zaprzestać sprzedaży mąki? Żeby przerwać wypiek żytniego chleba w ośrodku rejonowym?

Kogucik Własow nie czeka, aż mu każą wstać, sam się podrywa i krzyczy przeszywająco, na cały głos:

— Gotów jestem ponieść za to pełną odpowiedzialność przed sądem, jeżeli prokurator Karasik zejdzie z oskarżycielskiej try-

buny i siądzie tu obok mnie, na ławie oskarżonych!

Nikt nic nie rozumie. Hałas. Krzyki. Przywołać do porządku! Co to takiego!?

Zdobywszy w ten sposób prawo głosu, Własow składa teraz chętnie wyjaśnienia:

— W sprawie zakazu sprzedaży mąki i zakazu wypieku chleba otrzymaliśmy rozporządzenia z prezydium okręgowego komitetu wykonawczego. Stałym członkiem tego prezydium jest prokurator okręgowy Karasik. Jeżeli to szkodnictwo — to dlaczego prokurator nie sprzeciwił się temu z urzędu? A jak tak, to byliście szkodnikiem naprzód wy, a dopiero potem ja!

Prokuratorowi aż dech zaparło, cios był nagły i celny. Sąd też nie potrafi się znaleźć. Sędzia mamrocze:

— Jeśli zajdzie potrzeba (?) oddamy pod sąd także prokuratora. A dzisiaj tylko was sądzimy.

(Dwie prawdy — zależnie od rangi!).

— No to ja żądam, żeby mu kto kazał zejść z tej prokuratorskiej trybuny! — Dalej żga w słabiznę niezmordowany, nie dający się uciszyć Własow.

Przerwa...

No, jakie też znaczenie wychowawcze dla mas ma podobny proces?

A tamci dalej za swoje. Po indagacji oskarżonych zaczynają się zeznania świadków. Księgowy N.

— Co wam wiadomo o szkodniczej działalności Własowa?

— Nic.

— Jak to być może?

— A siedziałem dotychczas w pokoju dla świadków i nie słyszałem co tu było mówione.

— Nie trzeba było nic słyszeć! Przez wasze ręce przechodziło mnóstwo dokumentów, nie mogliście nie wiedzieć.

— Dokumenty wszystkie były w porządku.

— Ale patrzcie — tu jest paczka gazet rejonowych, nawet tu mówi się o szkodnictwie Własowa. A wy nic nie widzieliście?

— To przesłuchujcie tych, co pisali w tych gazetach!

Kierowniczka sklepu z pieczywem.

— Niech świadek powie, czy sowiecka władza ma dużo chleba?

(A niechże ich! Co tu odpowiedzieć?... Kto by się ośmielił powiedzieć: ja tam nie liczyłem?).

— Dużo...

— A więc dlaczego są u nas ogonki?

— Ja tam nie wiem...

— A od kogo to zależy?

— Ja tam nie wiem...

— No jakże — nie wiecie? Kto był waszym szefem?

— Wasyli Grigoriewicz.

— Jaki tam Wasyli Grigoriewicz, do wszystkich diabłów! Podsądny Własow! Więc zależało to od niego.

Świadek milczy.

Przewodniczący dyktuje sekretarzowi sądu: „Odpowiedź. Na skutek szkodnictwa Własowa wytworzyły się ogonki za chlebem, nie bacząc na ogromne zapasy chleba będące w dyspozycji sowieckiej władzy".

Skrywając lęk o własną skórę, prokurator wygłosił długą mowę, pełną oburzenia. Obrońca w zasadzie bronił samego siebie podkreślając, że interesy ojczyzny są mu tak samo drogie, jak każdemu uczciwemu obywatelowi.

W ostatnim słowie Smirnow o nic nie prosił i niczego nie żałował. Trudno z dzisiejszej perspektywy przypuścić, aby człowiek tak nieustępliwy i prostolinijny mógł był ocaleć i przetrwać burze 37-go roku.

Kiedy Saburow poprosił o darowanie mu życia — „nie dla mnie, tylko dla moich małych dzieci" Własow szarpnął go z gniewem za połę: „Dureń z ciebie!".

Sam Własow nie przepuścił ostatniej okazji do zuchwałej wypowiedzi:

— Nie uważam was za sąd, tylko za aktorów, grających napisane z góry role w tym wodewilu. Jesteście narzędziem wstrętnej prowokacji zaplanowanej przez NKWD. Cokolwiek tu powiem — i tak skażecie mnie na rozstrzelanie. Ale wierzę, że nadejdzie czas — i wy właśnie zajmiecie nasze miejsca[40]!...

Od siódmej wieczór aż do pierwszej po północy sąd porał się z pisaniem sentencji, w klubowej sali paliły się naftowe lampy, podsądni siedzieli pod strażą gołych szabel a na sali nie ustawał gwar, bo ludzie nie chcieli się rozchodzić.

Wyrok czytano tak samo długo, jak był pisany. Pełen był fantazji na temat działań, kontaktów i planów, przypisanych naszym szkodnikom. Smirnowa, Uniwera, Saburowa i Własowa skazano na rozstrzelanie, dwom innym dano po 10 lat, jednemu — 8. Ponadto wnioski sądu wskazywały drogę do zdemaskowania w Kadyju również komsomolskiej organizacji szkodników (nie zwlekano z ich aresztowaniem; pamiętacie młodego towaroznawcę?), w Iwanowie zaś — centrum podziemnych organizacji, podporządkowanemu z kolei Moskwie, co rozumie się samo przez się (kopanie dołu pod Bucharinem).

---

40. Na ogół biorąc — tylko w tym jednym punkcie się pomylił.

Po wygłoszeniu uroczystym tonem słów „Na rozstrzelanie!" — sędzia zrobił pauzę na oklaski, ale w sali panowało tak ponure napięcie, tak dobrze słychać było westchnienia i płacz zupełnie obcych ludzi i krzyki mdlejących członków rodzin, że nawet na dwóch przednich ławach, gdzie siedzieli członkowie partii, nikt nie zaklaskał, a to już była zupełna nieprzyzwoitość. „Rany boskie, co wy robicie, ludzie?!" — krzyczano z sali do sędziów. Rozpaczliwie załkała żona Uniwera. W półmroku sali tłum zafalował. Własow krzyknął w stronę pierwszych ławek:

— No i dlaczego nie klaszczecie, wywłoki! Też komuniści!

Politruk plutonu straży podbiegł i zaczął wymachiwać mu rewolwerem przed oczyma. Własow omal mu nie wyrwał rewolweru, ale skoczył na czas milicjant i odepchnął swojego nieostrożnego politruka. Dowódca konwoju krzyknął „Do broni!" — i 13 karabinów straży oraz pistolety miejscowych enkawudzistów już wycelowały się w podsądnych i w tłum na sali (bo też zdawało się, że lada chwila dojdzie do odbicia podsądnych).

Sala oświetlona była kilkoma tylko lampami naftowymi, półmrok potęgował jeszcze chaos i popłoch. Tłum, który już wszystko zrozumiał, jeśli nie dzięki procesowi, to dzięki wycelowanym teraz w ludzi karabinom, w popłochu rzucił się nie tylko do drzwi, lecz także do okien. Trzasnęły deski, rozległ się brzęk bitych szyb. Omal nie stratowana na śmierć, bez zmysłów przeleżała pod krzesłami do białego rana żona skazanego Uniwera.

Żadnych oklasków nie było[41]...

Skazanych zaś nie tylko nie można było natychmiast rozstrzelać, ale teraz tym staranniej trzeba ich było pilnować, nie mieli bowiem już nic do stracenia, a dla wykonania wyroku musieli jeszcze być przewiezieni do miasta okręgowego.

Z pierwszą częścią tego zadania — przeprowadzeniem ich nocą po ulicy do NKWD — tak sobie dano radę: każdego skazańca konwojowało 5 ludzi. Jeden niósł latarnię. Drugi szedł przodem z pistoletem gotowym do strzału. Dwóch prowadziło skazanego pod ręce, ściskając pistolety w wolnej dłoni. Jeszcze

41. Niech mi wolno będzie poświęcić drobną notkę ośmioletniej dziewczynce, Zoi Własowej. Zoja kochała ojca aż do zapamiętania. Nie mogła potem już chodzić do szkoły (wciąż jej dokuczano: „Twój ojciec to szkodnik!" A ona krzyczała: „Mój tatuś jest dobry!"). Przeżyła po tej rozprawie tylko jeden rok (przedtem nigdy nie chorowała), w ciągu tego czasu ANI RAZU SIĘ NIE ZAŚMIAŁA, chodziła zawsze z opuszczoną głową i stare baby przepowiadały: „Patrzy w ziemię, długo nie pożyje". Umarła na zapalenie opon mózgowych i umierając wciąż wzywała ojca.

Kiedy bierzemy się do rachowania tych milionów, które zginęły w obozach, nie zapominajmy o pomnożeniu tej liczby przez dwa, przez trzy...

jeden szedł w ariergardzie z bronią wycelowaną w plecy więźnia. Reszta milicjantów rozstawiona była wzdłuż drogi, aby zapobiec atakom tłumu.

Teraz każdy rozsądny człowiek pewno się zgodzi, że gdyby dalej trwała ta mitręga z sądami publicznymi to NKWD nigdy nie zdołałoby wypełnić swoich wielkich zadań.

Oto dlaczego publiczne procesy polityczne jakoś się w naszym kraju nie przyjęły.

XI

KARA GŁÓWNA

Dzieje kary śmierci w Rosji biegły zygzakiem. W Statutach Aleksego Michajłowicza* kara śmierci przewidziana była w 50-ciu wypadkach, w regulaminie wojskowym Piotra I było już 200 takich paragrafów. Elżbieta Piotrówna zaś, nie kasując artykułów przewidujących karę główną, nie zastosowała jej jednak ani razu: powiadają, że po wstąpieniu na tron ślubowała ona, że nikogo nie pośle na szafot — i przez całe 20 lat swojego panowania nikogo też nie posłała. Prowadziła przy tym wojnę Siedmioletnią — i jakoś potrafiła się obejść. Jak na połowę XVIII stulecia, pół wieku przed jakobińską siekaniną — jest to przykład zadziwiający. Co prawda jesteśmy już bardzo biegli w sztuce wyśmiewania całej naszej przeszłości; nigdy w niej nie chcemy dostrzec żadnych dobrych uczynków ani zamiarów. Tak samo Elżbietę można z powodzeniem odsądzić od zasługi: zastąpiła bowiem karę śmierci — batożeniem, wyrywaniem nozdrzy, wypalaniem piętna „złodziej" i wiecznym zesłaniem na Syberię. Ale powiedzmy też coś na obronę carycy: jakże mogła jeszcze gwałtowniej obrócić hołoble — wbrew wszystkim panującym poglądom? a może nawet jakiś człowiek *dzisiaj* skazany na śmierć, chcąc tylko jednego: aby słońce dla niego nie zgasło, gotów byłby poddać się z dobrawoli całemu temu zespołowi kar, tylko że mu ich nie proponujemy, bośmy tacy humanitarni? i może w trakcie lektury tej książki dojdzie jeszcze czytelnik do wniosku, że 20 a nawet 10 lat naszych obozów, to kara cięższa od tamtych, elżbietańskich?

Używając naszej terminologii, Elżbieta miała do tych spraw podejście ogólnoludzkie, Katarzyna II-ga natomiast — klasowe

* Połowa XVII wieku.

(a zatem słuszniejsze). Żeby nikogo, ale to zupełnie nikogo nie poddawać karze śmierci — to wydawało się jej czymś potwornym i niebezpiecznym. I dla obrony własnej osoby, tronu i ustroju, a więc w wypadkach przestępstw politycznych (Mirowicz, moskiewski bunt podczas dżumy, Pugaczow), uznała ona karę śmierci za chwyt całkiem stosowny. Co zaś do kryminalistów, dla p o s p o l i t a k ó w — dlaczego by nie uznać tej kary za nieobowiązującą?

Za panowania cara Pawła kasacja kary śmierci została jeszcze raz potwierdzona. (Wojen zaś było wiele, mimo to — przy regimentach nie istniały trybunały). Także podczas całego długiego panowania Aleksandra I-ego kara śmierci groziła tylko wojskowym za przestępstwa popełnione w trakcie działań wojennych (rok 1812). (Już słyszę głos protestu: a nie smagano wyciorami na śmierć, nie kazano biec przez praszczęta? Owszem, ani słowa, zamaskowane morderstwa zdarzały się, w ten sposób doprowadzić można człowieka do śmierci nawet na zebraniu związku zawodowego! Ale jednak — oddać darowane ci przez Boga życie — ponieważ tak wypadło głosowanie kompletu sędziowskiego — taki los nie należał się w naszym kraju nawet zdrajcom stanu w ciągu całego półwiecza, od Pugaczowa do Dekabrystów).

Krew 5 dekabrystów podrażniła nozdrza naszego państwa. Od tej chwili już obowiązywała kara śmierci za przestępstwa o charakterze państwowym i nie zapominano o tej zasadzie aż do samej rewolucji lutowej. Znalazła potwierdzenie w Statutach 1845 i 1904 roku, rozbudowana też była w ustawodawstwie karnym wojsk lądowych i floty wojennej. Ilu też ludzi stracono w tym okresie w Rosji? Już przytaczaliśmy (rozdział VIII) cyfry zgromadzone przez działaczy liberalnych w latach 1905-1907. Posłużmy się tu dodatkowo danymi, sprawdzonymi przez znawcę rosyjskiego prawa karnego N. S. Tagancewa[1].

Aż do roku 1905 karę śmierci stosowano w Rosji tylko w nadzwyczajnych wypadkach. W ciągu trzydziestolecia między 1876 a 1905 rokiem (epoka narodowolców i aktów terrorystycznych, nie zaś z a m i a r ó w roztrząsanych we wspólnej kuchni; epoka strajków masowych i buntów chłopskich; epoka, podczas której zostały stworzone i rozrosły się wszystkie partie przyszłej rewolucji) posłano na szafot 486-ciu ludzi, to znaczy — około 17 ludzi rocznie biorąc pod uwagę całe terytorium kraju. (Ta cyfra obejmuje również wszystkich skazanych na śmierć kryminalistów[2]!). W latach pierwszej rewolucji (1905 rok) i jej tłu-

1. N. S. Tagancew, *Kara śmierci*. Sanktpetersburg, 1913 r.

2. W Szlisselburgu między 1884-1906 stracono trzynastu ludzi. Straszna cyfra... jak na warunki szwajcarskie.

mienia, liczba wyroków śmierci gwałtownie skoczyła w górę, siejąc zgrozę i oszołomienie wśród obywateli Rosji, zmuszając Tołstoja do łez, a Korolenkę i wielu, wielu innych — do oburzenia: między rokiem 1905 a 1908 wykonano 2.200 egzekucji (czterdzieści pięć miesięcznie!). Była to prawdziwa *epidemia straceń,* jak pisze Tagancew. (Zaraz też przyszedł jej kres).

Rząd Tymczasowy skasował w ogóle karę śmierci zaraz po objęciu władzy. W lipcu 1917 przywrócił ją tylko w stosunku do armii czynnej i tylko na terenach przyfrontowych — za przestępstwa wojskowe, morderstwa, gwałt, rozbój i rabunki (których wiele było na tych terenach). Był to jeden z tych najbardziej niepopularnych kroków, które doprowadziły w końcu do upadku Rządu Tymczasowego. Hasłem bolszewików w przeddzień powstania było: „Precz z karą śmierci, przywróconą przez Kiereńskiego!".

Zachowała się relacja, wedle której w Smolnym w nocy z 25 na 26 października rozgorzała dyskusja: czy jednym z pierwszych dekretów nie powinno być rozporządzenie, kasujące raz na zawsze karę śmierci? I Lenin wówczas słusznie wyśmiał utopijne zamiary swoich towarzyszy. Dobrze wiedział, że bez kary śmierci nie będą mogli zrobić ani kroku w stronę nowego społeczeństwa. Jednakże formując rząd koalicyjny z lewymi eserowcami i licząc się z ich błędnymi poglądami — poszedł na ustępstwa i w ten sposób 28 października 1917 roku kara śmierci została jednak skasowana. Niczego dobrego ta „dobrotliwość", rzecz jasna, dać nie mogła. Zresztą, co to była za kasacja? W początkach 1918 roku Trocki kazał oddać pod sąd Aleksego Szczastnoja, nowego admirała, za to, że odmówił zatopienia Floty Bałtyckiej. Przewodniczący Trybunału Najwyższego Karklin, kalecząc język rosyjski odczytał szybciutko sentencję: „Rozstrzelać w ciągu 24-ch godzin". Na sali rozpoczął się tumult: przecież skasowano! Prokurator Krylenko wyjaśnił: „Nie ma powodu do niepokoju. Kara śmierci jest skasowana, owszem. Ale Szczastnoj nie będzie poddany tej haniebnej karze — tylko rozstrzelany". (No i został rozstrzelany).

Jak wynika z oficjalnych dokumentów, kara śmierci została przywrócona w całej rozciągłości w czerwcu 1918 roku. To znaczy — nie „przywrócona", ale wprowadzona od nowa, jako symbol zupełnie nowego etapu. Jeśli założyć, że Łacis[3] nie zaniża danych, lecz tylko nie rozporządza pełnią informacji i że rewtrybunały odwaliły w trybie jawnym taką samą robotę, jaką Czeka

3. Już cytowany tom *Dwa lata walki...*, 1920 r., str. 75.

wykonała w trybie pozasądowym, to okaże się, że w 20 guberniach centralnej Rosji w ciągu 16 miesięcy (czerwiec 1918 - październik 1919) rozstrzelano ponad 16.000 osób, to znaczy — PRZESZŁO TYSIĄC OSÓB MIESIĘCZNIE[4] (dodajmy, że wśród rozstrzelanych był także przewodniczący pierwszego rosyjskiego (mianowicie — petersburskiego, 1905) sowietu deputatów, Chrustalew-Nosar, jak również ten grafik, który naszkicował projekt legendarnego munduru czerwonoarmisty, noszonego w ciągu całej wojny domowej).

Być może era egzekucji, która nastąpiła po 1918 roku, zmroziła i upoiła do drętwoty Rosję nie tymi — jawnie, czy nie jawnie orzekanymi — pojedynczymi rozstrzelaniami, które później dały w sumie tysiące.

Jeszcze straszniejsza nam się wydaje moda, która przyjęła się po obu stronach frontu wojny domowej, a potem wśród zwycięzców, polegająca na zatapianiu barek pełnych nie policzonych nigdy, nie spisanych, nawet nie spytanych o nazwisko setek ludzi. (Potopiono tak oficerów marynarki — w Zatoce Fińskiej, w morzach — Białym, w Kaspijskim i Czarnym, a jeszcze w 1920 roku — zakładników w jeziorze Bajkał). Nie należy to do naszej opowieści — trzymającej się wąskich ram wymiaru sprawiedliwości, ale należy do historii obyczajów, od których przecież wszystko zależy. Czy w całych naszych dziejach — od samego Ruryka — była jakaś faza takich okrucieństw i tylu mordów, która dałaby się porównać z popaździernikową wojną domową?

Pominęlibyśmy charakterystyczny zygzak, gdybyśmy nie zaznaczyli, że kara śmierci zniesiona została... w styczniu 1920 roku, a tak! Niejeden badacz może znaleźć się w kropce, widząc, jaką ufność i pacyfizm przejawia dyktatura odrzucając karzący miecz, w chwili gdy na Kubaniu stoi jeszcze Denikin, na Krymie — Wrangel, polska zaś kawaleria siodła już konie. Ale — po pierwsze — ten dekret był bardzo rozważnie zredagowany: jego moc nie rozciągała się na trybunały wojskowe (dotyczyła pozasądowych akcji Czeki i trybunałów na tyłach). Po drugie — był on poprzedzony profilaktyczną czystką więzień (szczodrze posyłano pod mur więźniów, którzy mogli później „podpaść pod dekret") i po trzecie, jest to fakt najbardziej pocieszający, obowiązywał on tylko krótko — przez 4 miesiące (póki więzienia znów się nie wypełniły). Dekretem

4. Jeśli już porównania, to macie jeszcze jedno: w ciągu 80-ciu szczytowych lat Inkwizycji (1420-1498) w całej Hiszpanii skazano na stos 10.000 ludzi, to jest około 10 osób miesięcznie.

z 28 maja 1920 roku WCzK znów otrzymała prawo do rozstrzeliwania.

Rewolucja stara się każdej rzeczy nadać czym prędzej nową nazwę, aby wszystko wydało się nowym. Tak samo „kara śmierci" została przechrzczona na najwyższy stopień i nie „kary", bynajmniej, lecz środków obrony społecznej. Zasady prawodawstwa karnego z 1924 roku wyjaśniają, że środek ten wprowadzony został *czasowo,* aż do odwołania go przez WCIK raz na zawsze.

I w 1927 roku zaczęto go rzeczywiście odwoływać: zachowano go wyłącznie do karania przestępstw przeciw państwu i armii (artykuł 58-my oraz dotyczące przestępstw przeciw obronności) — jak również, dodajmy dla ścisłości, bandytyzmu (ale wiadomo jak szeroko w sensie politycznym interpretowano pojęcie „bandytyzmu" w tych latach, a zresztą również dzisiaj: od „basmacza" do litewskiego partyzanta leśnego, każdy uzbrojony nacjonalista, nie zgadzający się z władzą centralną — jest „bandytą", jak tu więc wyrzec się takiego artykułu? I powstaniec łagrowy, i uczestnik jakichś tumultów miejskich — też jest „bandytą"). Skasowano natomiast w X rocznicę Października karę śmierci za przestępstwa z artykułów broniących mienia i życia osób prywatnych.

Na XV zaś rocznicę Października dodano karę śmierci za wykroczenia, omówione w ustawie z siódmego-ósmego: mowa o tej najważniejszej ustawie wschodzącego już socjalizmu, która obiecywała poddanemu kulę za każdy okruch państwowej własności.

Jak to zawsze na początku, rzucono się zewsząd do stosowania tej ustawy i w latach 1932/33 rozstrzeliwano na jej zasadzie z osobliwą gorliwością. W tych spokojnych latach (jeszcze za kadencji Kirowa...) w samych tylko leningradzkich Krestach w grudniu 1932 roku oczekiwało na swoją kolej JEDNOCZEŚNIE DWUSTU SZEŚĆDZIESIĘCIU PIĘCIU SKAZANYCH NA ŚMIERĆ[5] — a czy w ciągu całego roku ta cyfra nie przekroczyła w Krestach tysiąca?

I cóż to byli właściwie za złoczyńcy? Skąd wzięło się tylu spiskowców i wywrotowców? A na przykład: siedziało tam sześciu kołchoźników spod Carskiego Sioła, którzy tym zawinili, że po kołchozowych (ich własnymi rękoma robionych!) żniwach, przeszli się po polach i na nierównościach gruntu, ominiętych przy kośbie, wycięli resztkę kłosów dla swoich krów. ANI JED-

5. Jak świadczy B., kalefaktor, noszący jedzenie skazanym na śmierć.

NEGO Z TYCH SZEŚCIU CHŁOPÓW WCIK NIE UŁASKAWIŁ I WYROK ZOSTAŁ WYKONANY!

Jaka tam Sałtyczycha? Jaki — najpodlejszy nawet, najohydniejszy — feudał potrafiłby ZABIĆ sześciu chłopów pańszczyźnianych za parę nieszczęsnych kłosów?... To i niechby im tylko dał parę rózeg — dotąd byśmy o tym czytali i przeklinali jego imię na lekcjach w szkole[6]. A dziś — kamień w wodę i nie ma śladu. I tylko wolno żywić nadzieję, że kiedyś jeszcze dokumenty potwierdzą wyznanie mojego żywego świadka. Gdyby Stalin nigdy i nikogo poza tym nie zamordował — to za tych tylko sześciu carskosielskich mużyków też byłby wart ćwiartowania, tak uważam! A jeszcze mają czelność na nas pokrzykiwać (z Pekinu, z Tirany, z Tbilisi, zresztą — naszych podmoskiewskich knurów też wystarczy): „Jak śmieliście go demaskować?", „Zakłócać wieczny spokój wielkiego zmarłego?"..., „Po Stalinie tęskni cały światowy ruch komunistyczny!" — a ja myślę, że tylko kodeks karny. „Narody całego świata wspominają go z sympatią..." — ale nie te, które ujeżdżał, które ćwiczył knutem.

Postarajmy się jednak wrócić do relacji bezstronnej i beznamiętnej. Rzecz jasna, WCIK na pewno by zniósł raz na zawsze karę główną, skoro tak to było obiecane, ale sęk w tym, że w 1936 roku Ojciec i Nauczyciel „zniósł raz na zawsze" sam WCIK. Rada Najwyższa zaś, która zajęła jego miejsce, już z samej nazwy trąciła raczej epoką carycy Anny Joannowny. Wtedy właśnie „najwyższy stopień" stał się najwyższym wymiarem k a r y, nie zaś jakiejś tam niewyraźnej „obrony". Egzekucje lat 1937-38 nawet dla stalinowskiego ucha nie kojarzyły się już z „obroną".

Jaki znawca, jaki historyk prawa przytoczy nam dokładną statystykę tych egzekucji? Gdzie to archiwum specjalne, do którego można się zakraść, aby poznać te cyfry? Nie ma ich. Nigdy ich też nie będzie. Ośmielimy się dlatego powtórzyć tu jedynie cyfry z pogłosek, co po świeżym tropie, w 1939-40 latach snuły się pod powałami Butyrek, a które ronili czasem przed śmiercią pomocnicy Jeżowa, którzy przeszli niedawno przez te cele (już ci na pewno wiedzieli!). Mówili więc ludzie Jeżowa, że w ciągu tych dwóch lat rozstrzelano na terenie Związku PÓŁ MILIONA „politycznych" i 480.000 szemranych (z artykułu 59-3, rozwalano ich jako „podpory Jagody"; ta operacja podcięła istnienie „starej, złodziejskiej arystokracji").

6. Nie mówi się tylko uczniom, że Sałtyczycha na mocy wyroku (klasowego sądu) odsiedziała za swoje bestialstwa 11 lat w lochu iwanowskiego klasztoru w Moskwie. (Prugawin, *Monastyrskije tiurmy*, wyd. „Posrednik", str. 39).

Czy są to cyfry w jakimś stopniu niegodne wiary? Zakładając, że egzekucje były wykonywane nie w ciągu dwóch lat, lecz tylko przez półtora roku, powinniśmy przyjąć jako średnią miesięczną (dla artykułu 58) 28.000 rozstrzelanych. To dotyczy całości ZSSR. Ale ile było miejsc egzekucji? Licząc bardzo skromnie — półtora setki. (Było ich na pewno więcej. W samym tylko Pskowie w podziemiach wielu cerkwi, w dawnych celach pustelników, NKWD urządził izby tortur i punkty egzekucji. Jeszcze w 1953 roku do tych cerkwi nie wpuszczano zwiedzających: „bo archiwa"; a tymczasem pajęczyny tam nie zmiatano od dziesięciu lat, takie to „archiwa". Przed początkiem prac restauracyjnych kości stamtąd wywożono ciężarówkami). Skoro tak, to w każdym z tych miejsc, każdego dnia wyprowadzano na rozstrzelanie po 6-ciu ludzi. Czy to takie fantastyczne? To chyba nawet mniej, niż w rzeczywistości! (Inne źródła mówią, że przed 1 stycznia 1939 roku rozstrzelano 1 milion 700 tysięcy ludzi).

W latach Wojny Narodowej z rozmaitych powodów karę śmierci to stosowano szerzej (na przykład w związku z militaryzarycją kolei) to wzbogacano nowymi formami (kwiecień 1943 — ustawa o wprowadzeniu kary śmierci przez p o w i e s z e n i e).

Wszystkie te wydarzenia opóźniły nieco obiecane zniesienie raz na zawsze i na wieczne czasy kary śmierci, jednakże nasz naród zasłużył sobie w końcu swoją cierpliwością i wiernością na to dobrodziejstwo: w maju 1947 roku Józef Wissarionowicz przymierzył krochmalony żabot przed zwierciadłem, uznał że mu do twarzy i podyktował prezydium Rady Najwyższej dekret o zniesieniu kary śmierci w okresie pokoju (z jej zamianą, co było nowością, na 25 lat więzienia. Dobry pretekst do wprowadzenia ć w i a r t y).

Ale nasz naród jest niewdzięczny, ma skłonności przestępcze i nie potrafi docenić prawdziwej wspaniałomyślności. Dlatego męczyli się nasi władcy, męczyli bez kary śmierci przez dwa i pół roku i 12 stycznia 1950 roku wydana została ustawa zupełnie odmienna: „Biorąc pod uwagę wnioski napływające ze strony republik narodowych (Ukraina?...), związków zawodowych (udały się nam te związki, zawsze wiedzą, czego ludziom trzeba), organizacji chłopskich (to chyba przez sen podyktował, bo wszystkie organizacje chłopskie zostały przez Miłościwie Nam Panującego rozdeptane jeszcze w latach Wielkiego Przełomu), a także w imieniu działaczy kultury (o, to nawet prawdopodobne)... przywraca się karę śmierci w stosunku do „zdrajców ojczyzny, szpiegów i dywersantów" — a zebrało ich już się w zakładach karnych sporo. (Ale żeby skasować jednocześnie ć w i a r t ę — to zapomnieli, już została). I jak już zaczęto od nowa stoso-

wać naszą starą, poczciwą kosiarkę do głów, to łatwo było dać jej szersze pole do działania: 1954 — za morderstwo z premedytacją; maj 1961 — za zabór mienia państwowego; i za fałszowanie pieniędzy; a także za terror w miejscach odosobnienia (to dla tych, co ukatrupią szpicla, albo postraszą administrację obozu); lipiec 1961 — za wykroczenie przeciw przepisom o operacjach walutowych; luty 1962 — za targnięcie się (podniesienie ręki) na życie milicjantów i „drużynników"* a także — za dopuszczenie się gwałtu; i raptem — także za łapownictwo.

Ale to wszystko przecież — czasowo, aż do odwołania raz i na zawsze. Dziś również tak się pisze[7].

I okazuje się, że najdłużej udało nam się bez kary śmierci wytrzymać za Elżbiety Piotrówny.

◆

Wegetując pogodnie i po omacku, wyobrażamy sobie skazanych na śmierć jako jednostki naznaczone fatalnym piętnem i nieliczne. Jesteśmy instynktownie przekonani, że n a m się to nigdy zdarzyć nie może, że dla znalezienia się w celi śmierci trzeba — jeśli nie ciężkiej zbrodni, to w każdym razie jakichś wyjątkowych okoliczności życiowych. Trzeba by porządnie przemeblować nasze głowy, żebyśmy mogli sobie to wyobrazić: w celach śmierci siedziały tłumy najzupełniej szarych ludzi za zupełnie przyziemne uczynki i — zależnie od złej lub dobrej doli — bardzo często doczekiwali się oni nie ułaskawienia, tylko c z a p y (tak nazywają więźniowie „karę główną", nie znoszą oni pompatycznych terminów i starają się wszystkiemu dać miano jak najordynarniejsze i jak najkrótsze).

Agronom rejonowego Wydziału Rolnego dostał wyrok śmierci za omyłki popełnione przy analizie kołchozowych nasion (a może ta analiza nie dogadzała zwierzchności) — rok 1937.

Przewodniczący spółdzielni rzemieślniczej (wyrabiającej szpulki do nici!) Mielnikow, skazany został na śmierć za to, że w warsztacie wybuchł pożar od iskry z lokomobili! — rok 1937 (co prawda, ułaskawiono go i dano 10 lat).

We wspomnianych już Krestach w 1932 roku czekali na śmierć: Feldman — za to, że znaleziono u niego walutę; Fajtelewicz z konserwatorium — za to, że sprzedał kawałek taśmy metalowej do wyrobu stalówek. Handel, od wieków — chleb

* Ich odpowiednikiem są w Polsce Ludowej Ormowcy.

7. *Wiedomosti Wierch. Sowieta SSSR*, 1959, nr 1 — Podstawy prawa karnego ZSSR, str. 22.

i pociecha całych żydowskich pokoleń — też stał się czymś zasługującym na karę śmierci!

Czy trzeba się więc dziwić, że dostał karę śmierci wiejski chłopak spod Iwanowa, Gieraśka: na wiosennego świętego Mikołaja poszedł na zabawę do sąsiedniej wsi, wypił sobie tęgo i trzepnął kijaszkiem po kłębach — nie milicjanta, nie! — ale milicyjnego konia! (To prawda, że chcąc zrobić tejże milicji na złość, wyrwał deskę z parkanu rady gromadzkiej, później zerwał druty telefonu rady i wrzeszczał: „Chłopaki, bić to diabelskie nasienie!"...).

Czy nam pisana jest cela śmierci — nie od tego zależy, cośmy zrobili, albo czegośmy nie zrobili. Zależy od obrotów znacznie większego koła, od biegu zewnętrznych okoliczności ogromnej wagi. Na przykład — Leningrad jest oblężony, trwa blokada. Co pomyśli sobie najwyższy przedstawiciel władzy w mieście, towarzysz Żdanow, jeżeli wśród s p r a w leningradzkiej służby bezpieczeństwa, w ciągu tych surowych miesięcy nie będzie żadnej, wymagającej kary śmierci? Że Organy leniuchują, wszak prawda? Powinny przecież być wykryte jakieś wielkie spiski, kierowane z zewnątrz przez Niemców? Dlaczego za bytności Stalina, w 1919, takie spiski zostały wykryte, a za Żdanowa — w 1943 — nie ma ich? Skoro tak, to już się robi: Natychmiast wykrywa się kilka spisków o szerokim zasięgu! Człowiek śpi w swoim lodowatym, leningradzkim pokoju, a już pazurzasta, czarna ręka sięga po niego. I nic tu od człowieka nie zależy. Wytypowany zostaje, powiedzmy, generał-lejtnant Ignatowski — okna jego mieszkania wychodzą na Newę, wyjął kiedyś z kieszeni białą chusteczkę, wysiąkał nos — toż to sygnał! Na domiar złego Ignatowski, jako inżynier, lubi rozmawiać z marynarzami o sprawach technicznych. Zakarbujmy to sobie! Ignatowski zostaje aresztowany. No, teraz się porachujemy! — Proszę wymienić 40-tu członków waszej organizacji. Ignatowski wymienia ich. Otóż — jeżeli jesteś bileterem Teatru Aleksandryńskiego, to istnieje bardzo nieduże prawdopodobieństwo, że znajdziesz się w tym spisie, jeśli jednak jesteś profesorem Instytutu Technologii — to znajdziesz się w spisie na pewno (znów ta przeklęta inteligencja!) — i czy coś tu od ciebie zależało? A wszyscy, którzy w takim spisie się znajdą — muszą być rozstrzelani.

Istotnie, wszyscy zostają rozstrzelani. Zostaje przy życiu tylko Konstanty Iwanowicz Strachowicz, jeden z najznakomitszych rosyjskich specjalistów w dziedzinie hydrodynamiki — i oto dlaczego: jakieś jeszcze wyższe szarże bezpieczeństwa państwowego są niezadowolone, że spis był zbyt szczupły i że tak niewielu rozstrzelano. I Strachowicz zostaje wytypowany jako człowiek

najlepiej nadający się na centralną figurę nowej organizacji, która ma być wykryta. Wzywa go kapitan Altszuler: „No i co? Celowo tak prędko przyznaliście się do wszystkiego i już mieliście nadzieję, że przeniesiecie się na tamten świat, nie mówiąc przedtem ani słowa o waszym podziemnym rządzie? Jakie stanowisko mieliście w nim?". Tak oto, dalej siedząc w celi śmierci, Strachowicz wkracza w nowy krąg śledztwa. Sam proponuje, aby uznać go za ministra oświaty (chciałby skończyć z tym wszystkim co prędzej!), ale dla Altszulera tego jeszcze za mało. Śledztwo trwa, grupa Ignatowskiego tymczasem idzie pod mur. Na jednym z przesłuchań Strachowicza nagle ogarnia gniew: nie, żeby chciał żyć, ale już go znużyło umieranie, a najbardziej uprzykrzyło mu się to całe łgarstwo. I podczas gdy przesłuchują go krzyżowym sposobem w obecności jakiegoś dygnitarza, Strachowicz wali pięścią w stół: „To w a s w końcu wszystkich rozstrzelają! Nie chcę więcej kłamać! Ja w ogóle odwołuję wszystkie moje zeznania!". I ten wybuch pomaga! Nie tylko że przestają go poddawać dalszym przesłuchaniom, ale na długo zapominają o nim, siedzącym w celi śmierci.

Wolno sądzić, że — na tle powszechnej potulności — wybuch desperacji zawsze pomaga.

Rozstrzelano więc takie mnóstwo — z początku tysiące, później setki tysięcy. Dzielimy, mnożymy, wzdychamy, przeklinamy. Ale to w końcu cyfry. Naprzód człowiek słupieje, później zapomina. Gdyby zaś kiedyś krewni rozstrzelanych złożyli w jednym jakimś wydawnictwie fotografie swoich pozabijanych bliskich, i gdyby później wydany został album tych zdjęć, kilka tomów takiego albumu — to wertując go i darząc ostatnim spojrzeniem te zgasłe oczy, moglibyśmy nie byle jak wzbogacić resztę naszego życia. Taka lektura, prawie bez słów, osnułaby serce nową otoczką już na zawsze.

W pewnym znanym mi domu byłych zeków odprawiano taki ceremoniał: 5 marca, w rocznicę śmierci Naczelnego Mordercy, stawia się na stołach fotografie rozstrzelanych i zmarłych w obozie — parędziesiąt zdjęć, jakie udało się zebrać. I cały dzień trwa w mieszkaniu ten obrzęd — na poły cerkiewny, na poły muzealny. Żałobna muzyka. Przychodzą przyjaciele, patrzą na fotografie, milczą, słuchają, prowadzą ciche rozmowy, wychodzą bez pożegnania.

A gdyby tak wszędzie... Zostałaby nam wtedy chociaż mała szrama na sercu po tych zgonach.

Żeby to chociaż NIE BYŁO NA DARMO!...

Ja też mam trochę zdjęć zebranych zupełnym przypadkiem. Chociaż okiem więc rzućcie.

Pokrowski Wiktor Pietrowicz — rozstrzelany w Moskwie w 1918.

Sztrobinder Aleksander, student — rozstrzelany w Piotrogrodzie w 1918.

Aniczkow Wasyli Iwanowicz — rozstrzelany na Łubiance w 1927.

Swieczyn Aleksander Andriejewicz, profesor akademii sztabu generalnego — rozstrzelany w 1935.

Reformatski Michał Aleksandrowicz, rozstrzelany w 1938, w Orle.

Aniczkowa Jelizawieta Jegeniewna, rozstrzelana w obozie nad Jenisejem, w 1942.

Jak się teraz t o w s z y s t k o odbywa? Jak ludzie na to c z e k a j ą? O czym myślą? Do jakich wniosków dochodzą i jak ich stamtąd w y p r o w a d z a j ą? I co czują oni w ostatnich swoich chwilach? I jak właściwie... ich... no... jak ich...?

Naturalna i bolesna jest chęć ludzka, aby zobaczyć, co jest za tą zasłoną (chociaż nikogo z NAS, oczywiście to nigdy nie spotka). Naturalne jest także to, że ci, którzy ocaleli, nie opowiadają o tym, co się dzieje na końcu, bo przecież darowano im życie.

Co d a l e j — to wiedzą tylko oprawcy. Ale oprawcy nic nie powiedzą. (Ten słynny w u j e k L o s z a z Krestów, który wykręcał skazańcom ręce do tyłu, nakładał kajdany, a jeżeli prowadzony na śmierć krzyknął w nocnym korytarzu „Żegnajcie, bracia!", to nawet usta mu kneblował — po cóż miałby się wam spowiadać? On pewno i teraz spaceruje sobie po Leningradzie. Ubrany jest przyzwoicie. Jeśli zdarzy się wam go spotkać w piwiarni na wyspach, albo na meczu — to jednak go zapytajcie!).

Ale nawet kat nie wie wszystkiego aż do końca. Pakując w karki nieme kule przy wtórze specjalnie zapuszczonego silnika, nie może jednak zrozumieć tego, co sam czyni; to sprawa jego przeznaczenia i jego tępego znieczulenia. Do samego k o ń c a on też nie sięga myślą! Do końca wiedzą wszystko tylko zabici — czyli nie wie nikt.

Prawda, jeszcze artysta — choć w sposób niejasny i nieoczywisty — może sięgnął wyobraźnią aż do samej kuli, do samego stryczka. To ułaskawieni, oraz pisarz dostarczyli nam elementów do naszych pojęć o celi śmierci. Wiemy, na przykład, że skazańcy w nocy nie śpią, tylko c z e k a j ą. I że uspokojenie przychodzi dopiero nad ranem.

Narokow (Marczenko) w powieści „Wielkości pozorne[8]" mocno zepsutej przez z góry założoną tezę — żeby wszystko było, jak u Dostojewskiego, a nawet bardziej wzruszająco i rozdzierająco — samą jednak scenę rozstrzelania opisał, moim zdaniem, bardzo dobrze. Sprawdzić nie sposób, ale jakoś człowiek temu wierzy.

Domysły pisarzy wcześniejszej epoki, na przykład Leonida Andriejewa, teraz już mimowiednie trącą baśniami Kryłowa. Bo i kto, jaki fantasta mógł wtedy wyobrazić sobie cele śmierci z 37-ego roku? Zacząłby, oczywiście, dziergać swoją psychologiczną włóczkę: jak oni czekają? jak przysłuchują się?... Kto zaś mógł przewidzieć i opisać nam takie oto nieoczekiwane doznania skazańców:

1. Skazani na śmierć m a r z n ą. Spać muszą na cementowej podłodze, pod oknem — równa się to trzem stopniom poniżej zera (Strachowicz). Można zmarznąć na kość, zanim się człowiek doczeka rozstrzelania.

2. Skazani na śmierć cierpią z powodu c i a s n o t y i z a d u c h u. W pojedynczej celi upycha się siedmiu (to już CO NAJMNIEJ), dziesięciu, piętnastu, albo i DWUDZIESTU OŚMIU skazańców (Strachowicz, Leningrad, 1942). I tak siedzą w ścisku tygodniami i MIESIĄCAMI! Co im tam koszmarne przeżycia siedmiu powieszonych*! Ludzie już się nie boją egzekucji, już nie drżą przed rozstrzelaniem, tylko myślą: jakby tu nogę wyciągnąć, jak obrócić się na drugi bok? jakby złapać trochę powietrza?

W 1937 roku, kiedy w iwanowskich więzieniach — Wewnętrznym, Nr 1, Nr 2 i Śledczym — siedziało jednocześnie prawie 40.000 ludzi, chociaż obliczone one były na nie więcej, niż 3-4 tysiące — w więzieniu nr 2 zmieszano razem: więźniów śledczych, skazanych na obóz, skazanych na karę śmierci, ułaskawionych, i jeszcze na dodatek — drobnych złodziejaszków. Wszyscy oni przez KILKA DNI w dużej celi STALI w takim ścisku, że nie sposób było podnieść albo opuścić ręki, a człowiek przyciśnięty do nar ryzykował złamaniem kolana. Było to zimą i więźniowie wytłukli szyby w oknach, aby się nie udusić (w tej celi czekał na śmierć skazany już na rozstrzelanie, siwy jak gołąb Ałałykin, od 1898 roku członek RSDRP; z partii bolszewickiej wystąpił w 1917, po opublikowaniu tez kwietniowych).

3. Skazani na śmierć cierpią g ł ó d. Po wyroku śmierci czekają na jego wykonanie tak długo, że najważniejszym uczu-

8. Wydawnictwo im. Czechowa.

* Chodzi o *Opowieść o siedmiu wisielcach* Leonida Andriejewa.

ciem, które nimi miota, nie jest strach przed rozstrzelaniem, lecz męka głodu: jakby tu coś zjeść? Aleksander Babicz w 1941 roku spędził w celi śmierci krasnojarskiego więzienia 75 dni! Już zupełnie pogodził się z losem i czekał na rozstrzelanie jako na jedyne i logiczne zakończenie swojego nieskładnego życia. Ale tymczasem spuchł z głodu — i tu zamieniono mu wyrok śmierci na 10 lat, a potem zaczęła się jego tułaczka po obozach.

A kto w ogóle najdłużej przebywał w celi śmierci? Czy ktoś zna ten rekord?... Wsjewołod Pietrowicz Golicyn, starosta (!) celi śmierci przesiedział w niej 140 dni (1938) — ale czy to cyfra rekordowa? Chluba naszej nauki, profesor N. I. Wawiłow czekał na rozstrzelanie przez kilka miesięcy, omal czy nie CAŁY ROK. W charakterze skazanego na śmierć został ewakuowany do Saratowa, w miejscowym więzieniu siedział w podziemnej celi bez okna, i kiedy latem 1942 roku doczekał się ułaskawienia, i przeniesienia do celi ogólnej, nie mógł już chodzić i na spacery wynosili go współwięźniowie na rękach.

4. Skazani na śmierć pozbawieni są pomocy lekarskiej. Przebywając długo w celi śmierci (1938) Ochrymenko ciężko się rozchorował. Niedość, że nie przeniesiono go do szpitala, ale nawet lekarka nie zjawiała się przez dłuższy czas. Gdy zaś przyszła nareszcie — to wcale nie weszła do celi, lecz przez kratę w drzwiach, nie badając chorego, ani o nic go nie pytając, dała mu jakieś proszki. U Strachowicza zaczęła się wodna puchlina nóg, zameldował o tym klucznikowi — i w końcu przysłano do niego... dentystę.

Kiedy zaś lekarz w końcu się zjawi, to powstaje dylemat, czy powinien w ogóle leczyć skazanego, to znaczy — przedłużać jego oczekiwanie na śmierć? Czy humanitaryzm lekarski nie powinien go skłonić do żądania szybszego wykonania wyroku? Oto jeszcze jedna scenka, zapamiętana przez Strachowicza: wchodzi lekarz i w trakcie rozmowy z dyżurnym wytyka palcem skazańców: „to już trup!... trup!... trup!...". (W ten sposób wskazuje dyżurnemu cierpiących na dystrofię, nalegając, że nie wolno przecież tak ludzi dręczyć, że czas ich już nareszcie rozstrzelać!).

A dlaczego właściwie tak długo ich trzymano? Czy brak było oprawców? Trzeba wziąć pod uwagę, że bardzo licznym skazanym proponowano — a nawet proszono ich — aby podpisali prośbę o ułaskawienie, a gdy ci bardzo już się wzdrygali, nie chcąc więcej żadnych kompromisów — to podpisywano w ich imieniu. No, a urzędowy bieg papierków przez wszystkie tryby maszyny nie mógł być krótszy, trwał całe miesiące.

Chodziło zapewne o to, że zbiegały się tu kompetencje dwóch różnych resortów. Resort śledczo-sądowy (jak to słyszeliśmy z ust członków Kolegium Wojskowego — była to jedna całość) dążył do wykrycia jak największej ilości koszmarnie niebezpiecznych zbrodni i nie mógł nie wymierzać zbrodniarzowi należnej kary — to znaczy rozstrzelania. Ale skoro już kara śmierci została orzeczona, zaprotokołowana i uznana za osiągnięcie zarówno aparatu śledczego jak sądu — wszystkie te słomiane chochoły, zwane skazanymi, panów sędziów więcej nie interesowały: toć w istocie żadnych rebelii nie było i nic w życiu państwa nie mogło zależeć od tego czy skazani umrą, czy też dalej będą żyć. W ten sposób los skazanych zależał już tylko od widzimisię resortu więziennictwa. Ten zaś resort, sąsiadujący z GUŁagiem patrzył na więźniów już z innego, gospodarczego punktu widzenia. Jego zadania ilościowe polegały nie na tym, aby jak najwięcej ludzi rozstrzelać, lecz na tym, aby jak najwięcej siły roboczej dostarczyć na Archipelag.

Naczelnik wewnętrznego więzienia Wielkiego Domu — Sokołow, z tego punktu widzenia spojrzał też raz na Strachowicza, który w końcu zaczął się nudzić w celi śmierci więc poprosił o papier i ołówek, aby móc pracować naukowo. Z początku napisał rozprawki: „O zależnościach między płynami i ciałami stałymi poruszającymi się w nich", „Mechanika kusz, resorów i amortyzatorów", następnie — „Zarys teorii statyczności", przenieśli go już do oddzielnej „naukowej" celi, otrzymywał lepszy wikt, a tu już zaczęły przychodzić zamówienia z Frontu Leningradzkiego; opracował dla nich problem „przestrzennego wstrzeliwania się w cele latające" — i skończyło się na tym, że Żdanow zamienił mu karę śmierci na 15 lat (ale poczta z Wielkiej Ziemi szła po prostu bardzo powoli: wkrótce nadeszło zwykłe ułaskawienie z Moskwy, przy tym było lepsze niż to od Żdanowa: dano mu tylko d y c h ę[9]).

A. N. P., docenta matematyki, siedzącego w celi śmierci, postanowił wykorzystać dla swoich prywatnych celów śledczy Krużkow (a tak, tak, ten złodziejaszek): szło o to, że studiował na wydziale zaocznym! I oto WZYWAŁ P. z celi śmierci — i dawał mu do rozwiązania zadania z teorii funkcji zmiennych w swoich (a najpewniej — nie tylko w swoich) zadaniach domowych.

Co wiedziała więc literatura światowa o przedśmiertnych mękach?...

---

9. **Wszystkie te więzienne rozprawki Strachowicz zachował do dziś dnia. Jego „kariera naukowa" za kratami od tego się dopiero zaczęła: miał w przyszłości stanąć na czele jednego z pierwszych w ZSSR zespołów projektujących silniki turbo-odrzutowe.**

Wreszcie (relacja Cz-wa) cela śmierci może być wykorzystana jako element śledztwa, jako środek nacisku. Dwóch więźniów, uporczywie nie przyznających się do winy (Krasnojarsk), nagle wezwano na „rozprawę", „skazano" na karę śmierci i przeniesiono do celi śmierci. (Cz-w używa mylącej formuły: „zainscenizowano dla nich komedię sądową". Ale kiedy każdy sąd — jest inscenizacją komedii, jaki termin znaleźć dla tej imitacji sądu? Teatr w teatrze, przedstawienie w trakcie przedstawienia). Kazano im zakosztować do syta tego przedśmiertnego bytowania. Wpuszczono do ich celi parę „kwok", rzekomo również skazanych na śmierć. Ci zaś nagle oznajmili, że zdjęła ich skrucha i żal, iż tak uparci byli w czasie śledztwa, prosząc kluczników, aby zawiadomili śledczego, że gotowi już są wszystko podpisać. Dano im do podpisu odpowiednie deklaracje i wyprowadzono z celi w dzień — a więc nie na rozstrzelanie. A ci naprawdę skazani na śmierć, siedzący w tej samej celi, którzy byli tylko tłem tej śledczej maskarady — też chyba coś czuli, gdy inni „okazywali skruchę" i dostawali za to ułaskawienie. No, ale to tylko koszta własne reżyserskiej pomysłowości.

Podobno Konstanty Rokossowski, przyszły marszałek, w 1939 roku dwukrotnie wywożony był do lasu na rozstrzelanie. Widział już wycelowane lufy, ale komenda „pal!" nie padała i odwożono go do więzienia. To też rodzaj kary głównej, stosowanej jako zabieg śledczy. No i nic takiego, jakoś się obeszło, marszałek żył sobie śpiewająco i do nikogo nie miał pretensji.

A zabić się pozwala człowiek prawie zawsze bez sprzeciwu, potulnie. Dlaczego kara śmierci tak człowieka hipnotyzuje? Ułaskawieni prawie nigdy nie wspominają o wypadkach oporu w ich celi śmierci. Ale to się także zdarza. W leningradzkich Krestach w 1932 roku skazani na śmierć wyrwali strażnikom rewolwery i zaczęli się ostrzeliwać. Po tym wypadku wprowadzono nową metodę: naprzód zaglądano przez lipko, żeby dobrze rozpoznać upatrzonego, później wdzierało się do celi od razu pięciu nieuzbrojonych strażników i rzucało się na niego. Skazańców w celi było osiemdziesięciu, ale przecież każdy z nich podał odwołanie do Kalinina, każdy czekał na ułaskawienie i dlatego mówili sobie: „ja umrę jutro, ale ty już dzisiaj". Rozchodzili się więc na boki i obojętnie się przyglądali, jak zakuwają w kajdany człowieka, jak woła on o pomoc i jak mu wpycha się do ust dziecinną pieluszkę. (Czy kto pomyślał kiedy, widząc taką pieluszkę, jak różne może mieć zastosowania?... Cóż to za świetny przykład dla lektorów, ilustrujących zasady dialektyki!).

Nadziejo! Czy więcej sił dodajesz, czy ich odbierasz? Gdyby w każdej celi skazani na śmierć rzucali się hurmą na wchodzących oprawców — to czy nie bardziej by to się przyczyniło do przerwania łańcucha egzekucji, niż wszystkie odwołania do WCIK razem wzięte? Nie lepiej to bronić się, gdy stoisz już na skraju mogiły?

Ale czy przy aresztowaniu nie było już wszystko tak samo przesądzone? Jednakże wszyscy aresztowani — na kolanach, jakby im nogi odcięło — pełzli chwalebnym szlakiem nadziei.

◆

Wasyli Grigoriewicz Własow wspomina, że tej nocy — po wyroku, kiedy prowadzono go przez ciemny Kadyj i czterema pistoletami grożono mu z czterech stron — myślał tylko o jednym: żeby tylko nie zastrzelono mnie tutaj, po prowokatorsku, przy rzekomej próbie ucieczki. To znaczy, że jeszcze nie uwierzył w swój wyrok! Wciąż miał nadzieję, że zachowa życie...

Zamknięto go teraz w biurze milicji. Kazano mu się położyć na stole kancelaryjnym, a dwóch-trzech milicjantów dyżurowało bez przerwy, nie gasząc naftowej lampy. Jeden mówił drugiemu: „Cztery dni słuchałem i słuchałem, a jakoś nie bardzo wiem, za co ich skazano?" — „E, to nie na nasz rozum!".

W tym biurze przesiedział Własow pięć dni i nocy: czekano na zatwierdzenie wyroku, aby móc przeprowadzić egzekucję w samym Kadyju, jako że bardzo trudno było konwojować skazańców gdzieś dalej. Ktoś wysłał w jego imieniu telegram z prośbą o ułaskawienie. „Nie uważam się za winnego, proszę o darowanie życia". Odpowiedź nie nadchodziła. W ciągu wszystkich tych dni Własowowi tak się trzęsły ręce, że nie mógł posługiwać się łyżką i siorbał prosto z talerza. Wpadał czasem Klugin, żeby ponaigrawać się nad nimi. (Wkrótce po tej sprawie miał być przeniesiony z Iwanowa do Moskwy. Był to rok gwałtownych wschodów i zachodów dla GUŁagowskich gwiazd. Zbliżał się jednak czas ich otrzęsin — do tego samego wspólnego dołu, tylko że tego oni nie wiedzieli).

Ani zatwierdzenie wyroku, ani ułaskawienie jakoś nie nadchodziły i trzeba było jednak odwieźć do Kineszmy skazańców. Odwieziono ich czterema półtoratonówkami, każda z nich wiozła jednego skazanego i siedmiu milicjantów.

W Kineszmie — znaleźli się w klasztornych piwnicach (klasztorna architektura, oczyszczona z klasztornej ideologii, bardzo nam się przydawała!). Tam przyłączono do nich jeszcze innych

skazanych na śmierć i odwieziono aresztanckim wagonem do Iwanowa.

Na dworcu towarowym w Iwanowie odprowadzono na bok trzech z nich: Saburowa, Własowa i jednego z tej nowej grupy, pozostałych zaś od razu zabrano — bez wątpienia — na rozstrzelanie, żeby nie przeciążać więzienia. Tu nastąpiło pożegnanie Własowa ze Smirnowem.

Trzech pierwszych odstawiono na podworzec więzienia nr 1 i kazano moknąć na lodowatej, październikowej plusze przez cztery godziny; przez ten czas wyprowadzano, przyprowadzano i rewidowano inne transporty. Właściwie nie było żadnego dowodu, że nie zostaną jeszcze dzisiaj rozstrzelani. Jeszcze te cztery godziny trzeba przesiedzieć na ziemi, bijąc się z myślami. Była taka chwila, gdy Saburowowi zdawało się, że go biorą, aby zaprowadzić pod mur (tymczasem — miał iść do celi). Nawet nie krzyknął, ale tak się wpił w ramię sąsiada, że to sąsiad wrzasnął z bólu. Eskorta powlokła Saburowa, jak wór, popędzając go dźgnięciami bagnetów.

W tym więzieniu były cztery cele śmierci — na tym samym korytarzu gdzie izolatki dla chorych i cele dla dzieci! Cele śmierci miały podwójne drzwi: zwykłe, drewniane z judaszem — i żelazne, z krat; każde drzwi miały dwa zamki (klucz od jednego miał strażnik, od drugiego — dyżurny oddziału, aby nie można było otwierać inaczej, niż we dwójkę). 43-cia cela sąsiadowała z gabinetem śledczym i nocami, kiedy skazańcy czekali na rozstrzelanie, rozdzierały im uszy krzyki torturowanych.

Własow znalazł się w 61-szej celi. Była to pojedynka: pięć metrów wzdłuż, nieco więcej niż metr — wszerz. Dwie żelazne kojki przykute były raz na zawsze grubymi sztangami do podłogi. Na każdej z nich leżało na waleta po dwóch skazańców. A jeszcze czternastu leżało poprzecznie na cementowej podłodze.

Na każdego więc oczekującego śmierci przypadał niespełna łokieć kwadratowy powierzchni! Chociaż dawno wiadomo, że nawet umarły ma prawo do t r z e c h ł o k c i ziemi — a Czechow powiadał, że to jeszcze przymało...

Własow zapytał, czy rozstrzeliwuje się tutaj od razu. „My już dawno siedzimy, a jakoś wciąż żyjemy...".

I zaczęło się oczekiwanie właśnie takie, jak w opisach: nikt nie śpi przez całą noc, w zupełnym przygnębieniu ludzie czekają, aż ich się wyprowadzi na stracenie, przysłuchują się każdemu szmerowi, dochodzącemu z korytarza (to długie oczekiwanie również obniża zdolność człowieka do wszelkiego oporu!). Szczególnie niespokojne są noce, następujące po dniu, gdy ktoś z celi dostał wiadomość o ułaskawieniu: wyszedł z rykiem radości,

w celi zaś strach się zagęścił — przecież razem z ułaskawieniem nadeszły dzisiaj skądś, z wysoka, również odpowiedzi odmowne i tej nocy na pewno po kogoś przyjdą...

Czasem w nocy zgrzytnie zamek i ścisną się wszystkie serca — po mnie? Nie po mnie?! A to tylko klawisz odemknął drewniane drzwi, żeby powiedzieć byle co, na przykład: „Zdjąć te rzeczy z parapetu!" Przez to jedno otwarcie drzwi wszystkich czternastu zbliżyło się o rok do własnej śmierci; wystarczy tak drzwi otworzyć pięćdziesiąt razy — i już nie trzeba będzie marnować kul! A jednak wszyscy wdzięczni są klawiszowi, że tylko o to chodziło: „Zaraz się zdejmie, obywatelu naczelniku!".

Po rannym wyjściu do wychodka, wolni już od strachu, zapadali w sen. Później strażnik wnosił kubeł z sałamachą i mówił: „Dzień dobry!". Regulamin nakazywał, aby drugie, żelazne drzwi otwierane były tylko w obecności dyżurnego starszego nadzorcy. Ale wiadomo, że ludzie lepsi są i bardziej leniwi od własnych instrukcji i rozporządzeń — więc też klucznik wchodził rano do celi bez dyżurnego i zupełnie po ludzku — nie, to było coś więcej! — mówił: „Dzień dobry!".

Dla kogóż jeszcze na świecie był to dzień lepszy, niż dla nich! Pełni wdzięczności za ciepło tego głosu i ciepło tej bryji, zasypiali teraz aż do południa. (Tylko rankami przechodziło im jedzenie przez gardło! Po przebudzeniu, jeszcze za dnia, przeważnie nie mogli już jeść. Ktoś dostawał nawet paczki — krewni mogli wiedzieć, choć mogli też nie wiedzieć o wyroku śmierci — więc paczki te stawały się wspólną własnością celi, ale leżały i gniły w zatęchłej wilgoci).

Zdarzała się także we dnie chwila lekkiego ożywienia. Przychodził naczelnik oddziału — ponury Tarakanow, albo bardziej życzliwy Makarow — i proponował papier do pisania podań, pytając, czy ci, którzy mają pieniądze nie chcą wypisać sobie z kantyny czegoś do palenia. Takie pytania, brzmiały dla nich albo zbyt cudacznie, albo nazbyt humanitarnie: co to, udają, że nie jesteśmy skazani na śmierć?

Skazańcy wyłamywali denka z pudełek do zapałek, robili na nich znaczki, jak na kostkach i grali w domino. Własow szukał ulgi w snuciu opowieści ze świata spółdzielczego, które zawsze przybierały u niego odcień komiczny[10]. Jakub Pietrowicz Kołpakow, przewodniczący sudogskiego rejonowego komitetu wykonawczego, bolszewik od wiosny 1917 roku, jeszcze z frontowych czasów, dziesiątki dni pod rząd siedział, bez ruchu, ściskając głowę

10. Jego opowiadania o spółdzielczości są znakomite i godne osobnego opisu.

dłońmi, a łokcie kolanami i wciąż patrzał w ten sam punkt na ścianie. (Jak wesoła i łatwa musiała się wydawać mu we wspomnieniach wiosna 17-tego roku!...). Gadatliwość Własowa drażniła go: „Jak ty możesz?" — „A ty szykujesz się do rajskiego żywota?" — odgryzał się Własow, zachowując swój wołżański akcent nawet gdy mówił szybko. — „Jedno tylko chcę zrobić — powiem temu katu: pamiętaj — tylko ty! nie sędziowie, nie prokuratorzy — ty jeden jesteś winien mojej śmierci — i żyj sobie teraz z tą myślą! Gdyby nie było was, dobrowolnych katów, to nie byłoby żadnych wyroków śmierci! I niech mnie sobie zabija, gad!".

Kołpakowa rozstrzelano. Rozstrzelano też Konstantego Siergiejewicza Arkadiewa, byłego kierownika wydziału rolnego w Aleksandrowsku, w okręgu Władimirskim. Pożegnanie z nim było szczególnie ciężkie. W środku nocy przyszło po niego sześciu strażników, tupiąc buciorami. Zaczęli go poganiać, on zaś, łagodny, grzeczny, długo obracał i miął czapkę w ręku, starając się odwlec chwilę odejścia — odejścia od ostatnich żywych ludzi. I kiedy ostatni raz powiedział: „Żegnajcie" był już prawie bez głosu.

W pierwszej chwili, gdy okazuje się, kto ma być ofiarą, pozostali czują ulgę („to nie ja!") ale zaraz po wyprowadzeniu człowieka, tym co zostali nie jest chyba wiele lżej, niż temu, kogo zabrano. Przez cały następny dzień nie mogą mieszkańcy celi ani rozmawiać, ani jeść.

Zresztą, Gieraśka, ten co to chciał rozwalić radę gromadzką, jadł dużo i dobrze spał, umiejąc się po chłopsku urządzić nawet tutaj. Zdawało się, że wcale nie może uwierzyć, iż zostanie rozstrzelany. (Nie rozstrzelano go też, zamieniono mu karę na dychę).

Niektórzy siwieli w oczach współtowarzyszy w ciągu trzech, czterech dni.

Kiedy tak długo czeka się na śmierć — dążą człowiekowi odrosnąć włosy, więc prowadzono całą celę do strzyżenia, do kąpieli. Więzienny dzień powszedni ma swoje prawa i nie dba o żadne wyroki. Niejeden tracił dar mowy, tracił rozum — ale nie bacząc na to musiał dalej czekać w celi na swoją kolej. Kto oszalał w celi śmierci, tego w tym stanie rozstrzeliwano.

Dość często nadchodziły zawiadomienia o ułaskawieniu. Akurat tej jesieni 1937 roku po raz pierwszy po rewolucji wprowadzono kary 15-to- i 20-toletnie, one też zastąpiły sporą część wydanych już wyroków śmierci. Zamieniali także na 10 lat. Zdarzała się też czasem zamiana na 5 lat, w krainie cudów możliwe są również takie wypadki: wczoraj jeszcze człowiek był godzien

tylko śmierci, a dzisiaj dostał dziecinny wyrok, jest lekkim przestępcą i w obozie może nawet liczyć na poruszanie się bez eskorty.

Siedział w ich celi W. N. Chomenko, 60-letni kubański Kozak, były esauł, „dusza celi" jeżeli cela śmierci może mieć duszę: dowcipkował, uśmiechał się pod wąsem, nie pokazywał, jak mu ciężko. Jeszcze pod koniec japońskiej wojny przestał być zdolny do służby liniowej i wyspecjalizował się w hodowli koni. Pracował w gubernialnym zarządzie rolnictwa, a w latach 30-tych był już w iwanowskim okręgowym wydziale rolnym „inspektorem remontów Czerwonej Armii", to znaczy, że dawał baczenie aby najlepsze konie przypadały właśnie wojsku. Aresztowany został i skazany na rozstrzelanie za to, że — jak to szkodnik — polecił miszkować ogierki nie później niż w trzecim roku życia, czym „poderwał siłę bojową Czerwonej Armii". Chomenko złożył prośbę o kasację wyroku. Po upływie 55 dni zjawił się w celi oddziałowy i zawiadomił go, że skarga skierowana była do niewłaściwej instancji. Zaraz więc — na ścianie celi, ołówkiem oddziałowego — Chomenko wykreślił w adresie jedną nazwę i wpisał zamiast niej inną, jakby podanie dotyczyło paczki papierosów. Z tą kulfoniastą poprawką w adresie skarga wędrowała jeszcze 60 dni, tak, że Chomenko czekał na śmierć już w sumie 4 miesiące. (A czekaj sobie i rok, i dwa, toć my wszyscy na nią, na kostuchę, latami czekamy! Czy cały nasz świat nie jest w końcu celą śmierci?...). I w końcu nadeszła całkowita rehabilitacja! (Bo tymczasem Woroszyłow zalecił, aby kastrować przed upływem trzeciego roku). To grób se kop — to wódkę żłop!

Ułaskawień było więc dość sporo, ten i ów liczył na to coraz bardziej. Ale Własow, porównując swoją sprawę z innymi i — co najważniejsze — pomny na swoje zachowanie się na rozprawie, był przekonany, że jego wypadek jest cięższy. Bo i kogo tu w takim razie posyłać pod mur? Przynajmniej połowy skazanych to tak czy owak nie minie? Był więc pewien, że go rozstrzelają. Jednego tylko chciał — iść na śmierć z podniesioną głową. Właściwe mu zawadiactwo uległo w nim przez ten czas jakby stężeniu i postanowił być zuchwały aż do samego końca.

Zdarzyła się też odpowiednia okazja. Robiąc obchód więzienia, Czynguli — naczelnik oddziału śledczego iwanowskiego bezpieczeństwa — nie wiedzieć czemu (chyba po to, by poczuć ekscytujący dreszczyk) kazał otworzyć drzwi celi śmierci i stanął na jej progu. Zaczął coś mówić i w końcu zapytał:

— A jest tu kto z kadyjskiej sprawy?

Miał na sobie jedwabną koszulkę z krótkimi rękawami. Pojawiły się one u nas dopiero co i wciąż jeszcze wydawały się

babskim strojem. Czy ta koszula, czy też on sam skropiony był słodkawymi perfumami, którymi zapachniało nawet w celi.

Własow żwawo wskoczył na kojkę i krzyknął na cały głos:

— A co to znów za kolonialny oficer?! Won stąd, morderco! — I z wysokości nar, co miał ducha w piersi i gęstej śliny w ustach, plunął naczelnikowi w twarz.

I — trafił!

Ten otarł gębę i wycofał się. Wejść bowiem do tej celi miał prawo tylko w towarzystwie sześciu strażników, zresztą nie wiadomo nawet, czy mu to prawo przysługiwało.

Prawomyślny królik nie powinien robić takich rzeczy. A co, jeżeli właśnie u tego Czynguli leżą twoje akta i właśnie od niego zależy wiza na twoim podaniu o ułaskawienie? Przecież chyba nie bez powodu pytał: „A jest tu kto z kadyjskiej sprawy?". Pewno właśnie dlatego się zjawił.

Ale jest pewna granica, poza którą już się nie chce, już przykrzy się być prawomyślnym królikiem. Jest to chwila, w której królik doznaje olśnienia: wszystkie króliki są tylko dostarczycielami mięsa i futra, a dlatego jedyne co mogą zyskać, to tylko zwłoka, nie zaś prawo do życia. Jest to chwila, gdy chce się wołać: „A niechże was diabli, strzelajcie już prędzej!".

W ciągu 41 dni oczekiwania na rozstrzelanie właśnie to uczucie rozjątrzenia narastało we Własowie. W iwanowskim więzieniu dwa razy podsuwano mu do podpisu podanie o łaskę — lecz wciąż odmawiał.

Ale 42-go dnia wezwano go do boksu i oznajmiono, że Prezydium Rady Najwyższej zamieniło mu karę śmierci na 20 lat pozbawienia wolności z zesłaniem do obozów pracy poprawczej i z pozbawieniem praw obywatelskich na przeciąg następnych lat 5.

Pobladły Własow uśmiechnął się krzywo i nawet w takiej chwili zdobył się na koncept:

— Dziwne. Skazano mnie za niewiarę w zwycięstwo socjalizmu w jednym kraju. Ale czy sam Kalinin w to wierzy, jeżeli sądzi, że jeszcze za dwadzieścia lat potrzebne będą u nas obozy?...

Wydawało się to wtedy nie do pojęcia — jeszcze za 20 lat! Cóż, uznano je za potrzebne nawet po 30-tu latach...

XII

KARA WIĘZIENIA

Ach, to poczciwe rosyjskie słowo — o s t r o g, oznaczające więzienie! Jakież ono jędrne, jakie krzepkie! Ma się wrażenie, że jest w nim cała krzepa i moc tych ścian, spoza których nie sposób się wyrwać, a wszystko skupione jest w tych sześciu literach — i srogość, i ostrość (ta ostrość, co się wpija jeżowymi igłami w mordę, co smaga śniegiem oczy i skuwa mrozem gębę, ostrość ciosanych kołów zewnętrznej zony obozu i ostrość zasieków z kolczastego drutu), i ostrożność więźniarska też bokiem się o to słowo ociera — no, a r o g, ten róg w zakończeniu? Toć róg sterczy tu widomie, grozi! wprost w nas jest wymierzony! A jeśli objąć spojrzeniem całe rosyjskie życie więzienne i obyczaje, no, całą tę instytucję w trakcie ostatnich, powiedzmy, 90-ciu lat, to widać już nie jeden róg, lecz całe dwa: narodowolcy nadziali się na samo ostrze tego rogu, na ten czubek, który bodzie najdotkliwiej, tak, że nie sposób go odbić gołą piersią — ale przecież stopniowo przytępił się on, zaokrąglił przytarł, aż opłynął całkiem i stał się jakby już nawet nie rogiem, ale guzkiem wśród sierści (w pierwszych latach XX wieku). Lecz oto później (po 1917) rychło zaczęły się przebijać pierwsze szpice nowej tyki, i dalej, i dalej, już się formują groty, już słychać „wara!", już się toto znów pnie w górę, zaostrza, twardnieje, rogowacieje — i gdzieś koło 38-ego roku wbija się człowiekowi ot, choćby w tę pulsującą jamkę nad obojczykiem, pod szyją. Powstaje oficjalny termin: t i u r z a k, „tiuriemnoje zakluczenije", izolacja więzienna. I jak dzwon na trwogę, bijący daleko, w nocy, raz do roku — wtóruje mu skrót: TON! — Tiurma Osobogo Naznaczenija, więzienie specjalne.

Jeśli tę parabolę przymierzyć do losu któregoś z więźniów

carskiego Szlisselburga[1] to z początku aż straszno: więzień ma tylko numer,nigdy się jego nazwiska nie wymienia; żandarmi — jakby musztrowani na Łubiance: ani słowa własnego nie powiedzą. Spróbuj zająknąć się — „my..." — zaraz: „mówcie tylko w swoim imieniu!". Grobowa cisza. Cela wiecznie pogrążona w półmroku, szyby nieprzejrzyste, podłoga asfaltowa, lufcik otwiera się tylko na 40 minut dziennie. Do jedzenia — tylko postny kapuśniak i kasza. Nie wydają z biblioteki dzieł naukowych. Widzenie — tylko raz na dwa lata. Dopiero po trzech latach więzień otrzymuje ponumerowane arkusiki papieru do pisania[2].

Ale później — pomalutku — robi się luźniej, kanty się ścierają: jest już biały chleb, wydają także więźniowi herbatę i cukier; jak masz pieniądze — to możesz sobie to i owo dokupić; palenia też się już nie zabrania; wstawiono już przejrzyste szyby, lufcik może być stale otwarty, ściany pomalowano jaśniejszą farbą; patrzeć — a są też już książeczki, abonowane w miejskiej bibliotece; poszczególne działki więziennego warzywnika przegrodzone są siatką, można rozmawiać i nawet prowadzić przez nie wykłady. I już się wyciągają aresztanckie ręce: dajcie nam jeszcze trochę ziemi! I już dwa duże więzienne dziedzińce zostają pocięte na działki uprawne. I wkrótce mamy już czterysta pięćdziesiąt gatunków kwiatów i warzyw! Są już kolekcje eksponatów naukowych, stolarnia, kuźnia, już zarabiamy trochę, kupujemy książki, nawet rosyjskie publikacje polityczne[3] i zagraniczne czasopisma. Wolno korespondować z bliskimi. Spacer? — choćby nawet przez cały dzień.

I po jakimś czasie — pisze Wiera Figner — „już nie nadzorca krzyczał na nas, tylko my na niego". A gdy w 1902 roku odmówił przekazania wyżej jej skargi — Figner z e r w a ł a z a t o n a d z o r c y e p o l e t y ! A oto skutki: przyjechał w o j s k o w y s ę d z i a ś l e d c z y i na wszelki sposób p r z e p r a s z a ł Wierę Figner za grubiaństwo nadzorcy!

Jak doszło do tego przesunięcia, do tego zelżenia — Wiera Figner wyjaśnia, że częściowo było to wynikiem ludzkich zalet poszczególnych komendantów, częściowo zaś, „żandarmi zżyli się z tymi, których pilnowali", przyzwyczaili się. Niemało zapewne zawdzięczali więźniowie własnej nieustępliwości, poczuciu god-

1. *Pamięć pracy* („Zapieczatlionnyj trud") — Wiery Figner.

2. Jak wyliczył M. Noworusskij, między rokiem 1884-1906 w Szlisselburgu trzech więźniów popełniło samobójstwo, pięciu zaś oszalało.

3. P. A. Krasikow, ten sam, który skaże później na śmierć metropolitę Beniamina, czytał w twierdzy Piotra i Pawła „Kapitał" (ale tylko przez rok, bo go wypuścili).

ności i samoopanowaniu. Ale ja sądzę, że zadecydował klimat tych lat, świeże, wilgotne podmuchy wyprzedzające nawałnicę, ten wietrzyk wolności, który już snuł się nad społeczeństwem! Gdyby nie on, to można by najwyżej wkuwać co poniedziałek z żandarmami krótki kurs, musztrować i dbać o dyscyplinę. I zamiast „ Pamięci pracy" doczekałaby się Wiera Nikołajewna za zerwanie epoletów — dziewięciu gramów w lochu.

Do rozchwierutania i osłabienia carskiego systemu więziennego doszło, rzecz jasna, nie samo przez się — tylko dlatego, że całe społeczeństwo razem z rewolucjonistami starało się go podważyć i wyśmiać. Carat przegrał własną głowę nie w Lutym, w czasie ulicznej strzelaniny, tylko o kilka dziesięcioleci wcześniej: w momencie, gdy młodzież z zamożnych rodzin zaczęła uważać pobyt w więzieniu za zaszczyt, liniowi zaś oficerowie (a nawet gwardziści) podanie ręki żandarmowi — za dyshonor. Im bardziej też wiotczał system więzienny, tym ostrzej rysowały się kontury zwycięskiej etyki więźniów politycznych i tym wyraźniej członkowie partii rewolucyjnych zdawali sobie sprawę z siły własnej i swoich własnych — nie zaś państwowych — praw.

I wtedy to nadszedł rok Siedemnasty, a na jego karku wjechał Osiemnasty. Przejdźmy od razu do 18-tego. Przedmiot naszej analizy nie pozwala nam zajmować się dłużej 17-tym: po lutym wszystkie więzienia polityczne, karne i śledcze, a także wszystkie miejsca ciężkich robót — opustoszały i jak właściwie przeżyli ten rok więzienni klucznicy i nadzorcy z katorgi — to zagadka; zapewne psim swędem uchowali się na ogródkach działkowych, pomagając sobie uprawą ziemniaczków. (Po 1918 — już im było znacznie lżej, a w więzieniu na Szpalernej jeszcze w 1928 roku dosługiwali się do emerytury przy nowym reżymie; jakoś to leciało).

Już w ostatnim miesiącu 1917 zaczęło stawać się jasne, że bez więzień jednak nie można się obejść, że niektórych ludzi nie można trzymać gdzie indziej, jak za kratą (patrz rozdział II) — po prostu dlatego, że nie ma dla nich miejsca w nowym społeczeństwie. W ten sposób rozłogę między rogami przebyto jednym skokiem, na oślep — i zaczęto domacywać się drugiego rogu.

Oczywiście, powiedziane zostało z punktu, że okropności carskich więzień nigdy więcej już się nie powtórzą: że nie ma mowy o stosowaniu dolegliwości w charakterze środków wychowawczych, że nie będzie w więzieniach ani milczenia, ani cel pojedynczych, ani izolowanych spacerów z jakimś tam obo-

wiązkiem chodzenia gęsiego, że nie będzie nawet zamykania cel[4]! — drodzy goście, kontaktujcie się ze sobą, rozmawiajcie, ile dusza zamarzy, skarżcie się jeden drugiemu na bolszewików. Nowe władze więzienne skupiły zaś uwagę na przygotowaniu bojowym straży zewnętrznej i zajęte były przejmowaniem masy spadkowej po caracie w postaci więziennych budynków i zasobów (nie była to ta część machiny państwowej, którą należało rozwalić, a później zbudować od nowa). Okazało się na szczęście, że wojna domowa nie doprowadziła do zburzenia żadnego z głównych więzień centralnych. Konieczne było tylko odcięcie się od tych starych, zaszarganych terminów. Teraz nazywano je politizolatorami; wykazując tą dwudzielną nazwą, że członkowie byłych rewolucyjnych partii uznani są za politycznych przeciwników i że kraty mają już nie charakter represyjny lecz, iż ich zadaniem jest tylko izolacja (i to zapewne tymczasowa) tych staromodnych rewolucjonistów od nowego społeczeństwa w fazie niepowstrzymanego rozwoju. W tej właśnie intencji pod sklepieniami starych centralniaków (w Suzdalu — zdaje się już od czasów wojny domowej) znaleźli się eserowcy, esdecy i anarchiści.

Wszyscy oni wrócili do więzień świadomi swoich aresztanckich praw i pamiętając o dawnej tradycji ich obrony. Uważali, że mają pełne prawo (wywalczone za czasów caratu i potwierdzone przez rewolucję) do specjalnej politycznej racji żywnościowej (wliczając w to również pół paczki papierosów dziennie); do zakupów na rynku (twaróg, mleko); do nieskrępowanych spacerów po wiele godzin dziennie; do używania przez więzienną administrację formy „wy" w rozmowach z nimi (sami zaś w obecności kogoś z administracji nie wstawali); dalej wspólne celki dla męża i żony; gazety, czasopisma, książki, przybory piśmienne i przedmioty osobistego użytku z brzytwami i nożycami włącznie — wszystko to w celi; trzy razy miesięcznie wysyłanie i otrzymywanie korespondencji; raz na miesiąc widzenie; oczywiście — okna muszą być przejrzyste (nie było jeszcze wtedy pojęć „kaganiec", „blinc"); żadnych przeszkód przy odwiedzaniu innych cel: spacerniki — z trawnikiem i krzakami bzu; wolny wybór towarzystwa w czasie spacerów i prawo do przerzucania woreczka z pocztą z jednego spacernika na drugi; ekspediowanie kobiet w ciąży z więzienia na zesłanie — dwa miesiące przed porodem[5].

Ale to wszystko wchodzi dopiero w zakres politreży-

4. Tom zbiorowy *Od więzień...*

5. Od 18-tego roku już się wcale nie krępowano i zamykano w więzieniach również eserki w odmiennym stanie.

mu. Polityczni więźniowie lat dwudziestych dobrze jeszcze pamiętali coś idącego znacznie dalej: *samorząd więźniów politycznych* — i płynące stąd poczucie, że jest się w więzieniu cząstką całości, ogniwkiem gromady. Samorząd (wolne wybory starostów, dbających wobec administracji o wszystkie interesy wszystkich więźniów) osłabiał presję wiezienia na poszczególnych skazanych — bo brał ją na wspólne barki i potęgował każdy protest — bo dawał mu siłę chóru.

Tego to wszystkiego zaczęli oni bronić! Władze zaś więzienne wszystko postanowiły im odebrać! Zaczęła się tedy głucha walka, bez salw artyleryjskich; tylko czasem rozlegały się wystrzały karabinowe, a brzęk wybijanych szyb słychać przecież nie dalej niż o pół wiorsty. Toczyła się głucha walka o resztki wolności, o resztki prawa do własnych opinii, trwała ta głucha walka prawie 20 lat, ale nie poświęcono jej pięknie ilustrowanych foliałów. I wszystkie jej przypływy i odpływy, rejestry zwycięstw i klęsk, są dla nas dzisiaj niedostępne, ponieważ Archipelag nie ma własnego piśmiennictwa, a tradycja ustna kończy się wraz z ludzkim życiem. I czasem tylko przypadkowo odłamki tej bitwy dolatują do nas, oświetlone księżycowym, wtórnym i niewyraźnym blaskiem.

Ale myśmy też nieźle przez ten czas zhardzieli! — znamy już bitwy oddziałów pancernych, znamy już eksplozje atomowe — więc co to dla nas w ogóle za bitwa, przy której — całej parady — zamyka się ludzi na klucz, a więźniowie, pragnąc wprowadzić w życie swoje prawo do wzajemnych kontaktów, pukają głośno w mury, przerzucają się okrzykami z okna do okna, spuszczają grypsy na nitkach z piętra na piętro i domagają się żeby przynajmniej starostowie frakcji partyjnych mogli swobodnie chodzić z celi do celi? Czy to dla nas prawdziwa walka, jeżeli naczelnik więzienia łubiańskiego wchodzi do celi, zaś anarchistka Anna G-wa (1926) lub eserka Katia Olicka (1931) odmawiają wstawania przy jego wejściu? (A ten dzikus za karę pozbawia je prawa... wychodzenia z celi za potrzebą). To ma być walka, jeżeli dwie dziewczyny, Szura i Wiera (1925) — protestując przeciw poniżającemu, łubiańskiemu zakazowi prowadzenia rozmów inaczej niż szeptem — zaczynają głośno śpiewać w celi (nic szczególnego, tylko o wiośnie i bzach) — a wówczas naczelnik więzienia, Łotysz Dukes wlecze je za włosy korytarzem do wychodka? Albo jeżeli (1924) w stołypińskim wagonie leningradzcy studenci śpiewają rewolucyjne pieśni, a eskorta pozbawia ich za to wody do picia? Studenci krzyczą: „Nawet carscy konwojenci nie zrobiliby tego!" — więc eskorta bierze się do bicia? Albo — gdy eserowiec Kozłow w trakcie wysyłki etapem do

Komi głośno wyzywa straż od oprawców — i gdy za to włóczony jest po ziemi i bity?

Przecież przyzwyczailiśmy się uważać za odwagę tylko ten jej rodzaj, który przejawia się na wojnie (no — i jeszcze, ten od lotów kosmicznych), co to dzwoni orderami. Zapomnieliśmy o innej odwadze — cywilnej — a tylko ona! tylko ona! tylko ona potrzebna jest naszemu społeczeństwu! tylko jej u nas nie widać...

W 1923 roku w wiatskim więzieniu eser Stróżyński i towarzysze (ilu ich było? jak się nazywali? przeciw czemu protestowali?) zabarykadowali się w celi, oblali materace naftą i sami się spalili — w zupełnej zgodzie z tradycjami Szlisselburga, żeby już nie sięgać głębiej. Ale ile podobny gest robił hałasu wtedy, jakie to poruszenie wywoływało w całym rosyjskim społeczeństwie! teraz zaś nie dowiedziała się o tym ani Wiatka, ani Moskwa, ani historia. A tymczasem mięso ludzkie skwierczało na ogniu zupełnie tak samo!

Pomysł zamiany wysp Sołowieckich na miejsce zesłania wziął się ze spostrzeżenia, że to bardzo odpowiedni punkt, ponieważ przez pół roku nie ma on łączności ze światem zewnętrznym. Żaden krzyk stamtąd nie dojdzie, możesz tam spokojnie bawić się w całopalenie. W 1923 roku przywieziono tam przeto z Pertominska (półwysep Onieżski) grupę aresztowanych socjalistów i rozmieszczono w trzech odległych pustelniach klasztornych.

Oto pustelnia Sawwatiewska — dwa oddziały byłego hospicjum dla pątników, część jeziora należy do zony obozowej. Przez pierwsze miesiące wydaje się, że wszystko jest w porządku: przestrzegany jest politreżym, niektórym krewnym udaje się dotrzeć aż tu na widzenia, a wszystkie pertraktacje z administracją więzienną prowadzone są przez starostów trzech partyjnych grup. Cała zona pustelni — jest zoną wolną, wewnątrz niej więzień może i rozmawiać, i rozmyślać, i robić wszystko bez przeszkód.

Ale już wtedy, o świcie epoki Archipelagu, rozpełzły się uporczywe pogłoski: politreżym będzie zlikwidowany... likwidują politreżym...

I rzeczywiście, doczekawszy się połowy grudnia — gdy kończy się nawigacja i wszelka łączność ze światem — naczelnik sołowieckiego obozu Eichmans[6] obwieścił: owszem, wydana została nowa instrukcja w sprawie reżymu więziennego. Nie wszystko zostaje skasowane, bynajmniej! — ograniczone będzie prawo korespondencji i coś tam jeszcze, a najważniejsze, że z dniem

6. **Jak przypomina Eichmanna, co?...**

20 grudnia 1923 roku zabrania się wychodzenia z mieszkalnych budynków po 6-tej wieczorem.

Frakcje partyjne decydują się na protest, eserowcy i anarchiści wyłaniają grupę ochotników, którzy właśnie 20 grudnia mają wyjść na spacer demonstracyjnie, po szóstej wieczór. Ale naczelnik Sawwiatiewskiej pustelni Nogtiew taką ma chęć postrzelać sobie, że jeszcze p r z e d fatalną 6-tą godziną (a może nie nastawił dobrze zegarka? jeszcze wtedy nie sprawdzało się według radia), uzbrojeni konwojenci weszli w obręb zony i otworzyli ogień do więźniów, spacerujących spokojnie i w zgodzie z regulaminem. Trzy salwy. Sześciu zabitych, trzech ciężko rannych.

Następnego dnia przyjechał Eichmans: to godne pożałowania nieporozumienie. Nogtiew zostanie usunięty (dostał przeniesienie i awans). Pogrzeb zabitych. Chór śpiewa w sołowieckim pustkowiu stary, rewolucyjny marsz żałobny. (Czy aby nie po raz ostatni zezwala się na to zawodzenie po dopiero co zabitych?). Przywalili ich mogiłę wielkim głazem morenowym i wyryli na nim nazwiska[7].

Nie sposób powiedzieć, aby prasa ten wypadek przemilczała. W *Prawdzie* pojawiła się wzmianka petitem: więźniowie n a p a d l i na strażników i sześciu ludzi zginęło. Uczciwa gazeta *Rote Fahne* pisała zaś o b u n c i e na Sołówkach[8].

Ale politreżym został uratowany! I przez cały rok nikt nie zająknął się o nowych zmianach.

Przez cały 1924 rok, owszem. Ale pod jego koniec rozpełzły się uporczywe pogłoski, że w grudniu znów zacznie się wprowadzanie nowego regulaminu. Smok już poczuł głód, potrzebne mu były nowe ofiary.

I oto trzy pustelnie socjalistyczne — Sawwiatiewska, Troicka i Muksałmska, leżące na trzech rozmaitych wyspach, potrafiły jednak nawiązać konspiracyjną łączność — i tego samego dnia wszystkie partyjne frakcje ze wszystkich trzech pustelni złożyły oświadczenia z ultymatywnymi żądaniami wobec Moskwy i administracji wysp Sołowieckich: albo przed końcem nawigacji wszyscy więźniowie będą stąd wywiezieni, albo też dotychczasowy regulamin ma pozostać w mocy. Termin ultimatum ozna-

7. W 1925 roku głaz został odwrócony, przez co napisy zniknęły z oczu. Kto bywa na Sołówkach — niech poszuka i sam popatrzy!

8. Wśród eserowców siedzących w Sawwatiewskiej pustelni był również Jurij Podbielski. Zgromadził on świadectwa lekarskie dotyczące sołowieckiej masakry, pragnąc je w przyszłości gdzieś opublikować. Ale po upływie roku, podczas rewizji w Swierdłowskim więzieniu tranzytowym, wykryto dokumenty w podwójnym dnie jego kuferka. Tak oto potyka się rosyjska Historia...

czono na dwa tygodnie, grożąc, że inaczej we wszystkich pustelniach rozpocznie się głodówka. Taka jedność zasługiwała na uwagę. Takiego ultimatum nie można puścić mimo uszu. Dzień przed upływem terminu przyjechał Eichmans kolejno do każdej pustelni i oświadczył, że Moskwa odpowiedziała odmownie. Następnego więc dnia we wszystkich trzech pustelniach (łączność między nimi też miała ulec przerwaniu) rozpoczęto głodówkę z tym, że wolno było pić wodę. W Sawwatiewskiej głodowało około 200 ludzi. Sami podjęli postanowienie, aby chorych od tego obowiązku uwolnić. Lekarz-aresztant — codziennie badał głodujących. Głodówka kolektywna zawsze trudniejsza jest do przeprowadzenia niż indywidualna; decyduje przecież wytrzymałość nie najsilniejszych, lecz najsłabszych uczestników. Głodówka ma sens tylko wtedy, gdy wszyscy decydują się na nią stanowczo, gdy każdy zna innych osobiście i jest ich zupełnie pewien. Kiedy udział bierze kilka różnych frakcji partyjnych, gdy uczestników jest kilkuset — nieuniknione są rozbieżności i rozterka moralna podsycana jeszcze przez innych. Po piętnastu dobach głodu w Sawwatiewskiej pustelni trzeba było przeprowadzić tajne (urny przenoszono z izby do izby) głosowanie: trzymać się dalej, czy przerwać głodówkę?

A Moskwa i Eichmans czekali sobie: sami przecież głodu nie czuli, stołeczne gazety nie rozwodziły się nad głodówką, nie było też studenckich wieców pod soborem Kazańskim. Głucha t a j n o ś ć nadawała już śmiało żądany kształt naszej historii.

Pustelnie postanowiły zakończyć głodówkę. Nie wygrały jej. Ale, jak się okazało, nie przegrały jej również: regulamin w czasie tej zimy nie uległ zmianie, dodano tylko obowiązek wyrębu i dowozu drzewa z lasu; to już było logiczne. Wiosną zaś 1925 roku okazało się, że głodówka przyniosła w rezultacie wygraną: aresztantów ze wszystkich trzech pustelni ewakuowano z wysp Sołowieckich! Na stały ląd! Dosyć już polarnych nocy i półrocznej izolacji! Tylko że eskorta i warunki wyżywienia w drodze były (jak na owe czasy) jakieś bardzo surowe. Wkrótce zaś okazało się, że więźniowie padli ofiarą podstępu: pod pretekstem, że starszyzna powinna korzystać z pewnych wygód, ulokowano starostów w „sztabowym" wagonie, razem ze sprzętem gospodarczym. W ten sposób grupa została jakby bez głowy. Wagon ze starostami odczepiono w Wiatce i posłano do Tobolskiego izolatora. Dopiero wtedy wyjaśniło się, że zeszłoroczna głodówka zakończyła się klęską: silną i wpływową starszyznę odcięto od reszty po to, aby przykręcić śrubę. Jagoda i Katanian osobiście kierowali operacją rozmieszczenia byłych wyspiarzy w dawno już gotowym, lecz aż do tej chwili stojącym pustką budynku wię-

ziennym Górno-Uralskiego izolatora, który w ten sposób został przez nich „zainaugurowany" wiosną 1925 roku (naczelnikiem został niejaki Dupper) — aby zasłynąć w przyszłości i budzić potem przez całe dziesięciolecia zasłużony strach.

W izolatorze przybyszom z Sołówek od razu odebrano swobodę ruchów: cele zamknięte zostały na klucz. Udało się mimo wszystko wybrać nowych starostów, nie mieli oni jednak już prawa do odwiedzania cel. Wzbronione zostało przekazywanie bez ograniczeń pieniędzy, rzeczy i książek z jednej celi do drugiej, jak to bywało dawniej. Gdy pewnego razu któryś z więźniów zaczął wołać drugiego — stojący na wieży wartownik strzelił w okno celi. W odpowiedzi urządzono raban — powybijano szyby, poniszczono więzienne sprzęty. (A w naszych więzieniach warto dobrze się namyśleć nad podobnym gestem — jak wybijesz w celi szybę, to mogą jej wcale na zimę nie wstawić, nic nadzwyczajnego. To za caratu szklarz musiałby przybiec duchem). Walka trwała dalej, ale już z desperacją i w warunkach niekorzystnych dla skazańców.

W roku 1928 (według relacji Piotra Piotrowicza Rubina) z jakiejś tam przyczyny nowa powszechna głodówka ogarnęła cały Górno-Uralski izolator. Ale teraz już nie było dawnej solennej atmosfery ani własnego lekarza i przyjacielskiej zachęty. Któregoś dnia głodówki strażnicy zaczęli wdzierać się do cel w przeważającej liczbie — i po prostu b i ć wynędzniałych ludzi pałkami i buciorami. Pobili ich więc — i głodówka się skończyła.

◆

Naiwną wiarę w skuteczność głodówek zawdzięczamy dawnym doświadczeniom i starym książkom. Głodówka zaś jest bronią wyłącznie moralną, kto po nią sięga, ten zakłada, że jego strażnik nie wyzbył się jeszcze resztek sumienia. Albo, że boi się on głosu opinii. I tylko wtedy głodówka ma znaczenie.

Carscy strażnicy więzienni byli jeszcze zieloni: jeśli więzień zaczynał głodówkę — przejmowali się, wzdychali, troszczyli się o niego, przenosili do szpitala. Przykładów jest mnóstwo, ale nie im jest poświęcona ta praca. To wręcz śmieszne, ale wystarczyło, że Walentynow głodował przez 12 dni — i uzyskał nie jakąś tam ulgę, lecz BEZWARUNKOWE WYPUSZCZENIE NA WOLNOŚĆ w okresie śledztwa (i wyjechał do Szwajcarii, do Lenina).

Nawet w orłowskim centralniaku katorżniczym każda głodówka kończyła się niezmiennie sukcesem. Więźniowie z pomocą głodówki uzyskali złagodzenie reżymu w 1912, a w 1913 — dalsze ustępstwa, w ich liczbie prawo do wspólnych spacerów

wszystkich katorżników politycznych. Spacery te tak mało były widocznie zakłócane przez nadzorców, że więźniom udało się dzięki temu skompilować i przesłać za mury swój apel „Do ludu rosyjskiego" (podkreślam — chodzi o apel wystosowany przez więźniów skazanych na ciężkie roboty!), który został OPUBLIKOWANY! (tu już człowiek rozdziawia gębę! kto tu zwariował?). W 1914 roku w numerze 1-szym czasopisma „Wiestnik katorgi i ssyłki"[9] (a sam ten W i e s t n i k to mało? może by też u nas spróbować podobnej publikacji?). W 1914 roku kosztem p i ę c i u dni głodówki — co prawda — bez wody, Dzierżyński i czterech jego towarzyszy uzyskali zaspokojenie w s z y s t k i c h swoich licznych żądań, dotyczących warunków pobytu w więzieniu[10].

Prócz cierpień sprawianych przez sam głód, głodówka nie groziła aresztantowi żadnymi innymi kłopotami. Nie można go było za głodówkę pobić, postawić drugi raz przed sądem, powiększyć mu wyrok, rozstrzelać, ani wysłać etapem. (Wszystko to poznali więźniowie w późniejszym okresie).

Podczas rewolucji 1905 roku i w latach następnych aresztanci poczuli się w takim stopniu gospodarzami więzień, że nie fatygowali się nawet aby proklamować głodówkę, lecz albo niszczyli więzienne sprzęty (tzw. obstrukcja), albo posuwali się do tego by ogłaszać s t r a j k, chociaż wydawałoby się, że nie ma to w ich wypadku sensu. Tak na przykład w mieście Nikołajew w 1906 roku 197-miu aresztantów z miejscowego więzienia „proklamowało strajk" uzgodniony, oczywiście, z towarzyszami z zewnątrz. Z okazji tego strajku ci towarzysze wydrukowali ulotki i zaczęli zwoływać codziennie wiece pod bramami więzienia. Wiece te (aresztanci zaś — rozumie się samo przez się — asystowali przy nich, bo okna niczym nie były zasłonięte) miały zmusić administrację do przyjęcia żądań „strajkujących". Następnie — ci z ulicy, i ci stojący przy okiennych kratach — śpiewali chórem rewolucyjne pieśni. Ciągnęło się to (bez żadnych przeszkód! a był to rok porewolucyjnej reakcji) przez o s i e m dni pod rząd! Dziewiątego dnia wszystkie żądania aresztantów zostały przyjęte! Podobne akcje miały wówczas miejsce również w Odessie, Chersoniu i Jelizawietgradzie. Zwycięstwa były wtedy łatwe!

Dobrze byłoby sprawdzić przy okazji jak przebiegały głodówki za czasów Rządu Tymczasowego, ale cóż, tych kilku bolszewików, którzy między wypadkami lipcowymi, a rebelią Korniłowa

9. Gernet, *Historia carskich więzień*, Moskwa 1963, tom V, rozdz. 8.
10. *Ibidem*.

siedziało w więzieniu (Kamieniew, Trocki, trochę dłużej — Raskolnikow) nie miało widać powodu do proklamowania głodówek.

W latach dwudziestych na budującą historię głodówek pada cień (oczywiście — zależy z czyjego punktu widzenia...). Ten szeroko znany i, zdawałoby się, tak skuteczny sposób walki zaczyna być stosowany, co byłoby zrozumiałe, nie tylko przez oficjalnie uznanych „politycznych", lecz również przez nieuznanych za takich „kaerów" (artykuł 58) i przez rozmaite przypadkowe elementy. Jednakże — jakoś stępiły się te strzały, tak niegdyś głęboko drążące, albo może przechwytywała je zaraz w locie jakaś żelazna ręka. Co prawda, przyjmowane są jeszcze pisemne deklaracje o rozpoczęciu głodówki i niczego wywrotowego w nich się tymczasem nie widzi. Ale wprowadzane są w życie nieprzyjemne nowe zasady: głodujący powinien być odizolowany w specjalnej pojedynce (w Butyrkach — w baszcie Pugaczowa); o głodówce nie powinien wiedzieć nie tylko, skory do wiecowania, świat zewnętrzny, nie tylko sąsiednie cele, ale nawet ta cela, w której protestujący siedział aż do tej chwili — wszak to również jakaś społeczność i od niej też powinien być odcięty. Przepis znajduje uzasadnienie w tym, że administracja powinna mieć pewność, iż głodówka przeprowadzana jest w sposób rzetelny — że towarzysze z celi nie dokarmiają cichcem głodującego. (A jak to było sprawdzane dawniej? Wierzono na słowo honoru?...).

Mimo to, można było jeszcze w tych latach osiągnąć drogą głodówki uznanie jakichś osobistych żądań.

W początkach lat 30-tych zaznacza się nowy zwrot myśli państwowej w stosunku do problemu głodówek. Bo i na co zdały się państwu nawet takie osłabione, izolowane, na poły zduszone głodówki? Czy nie bliżsi będziemy ideału jeśli założymy, że aresztanci w ogóle nie mają własnej woli ani możności podejmowania własnej decyzji, bo wszak myśli za nich i decyduje administracja? Tak, chyba tylko tacy więźniowie mogą mieć prawo do istnienia w nowym społeczeństwie. W początkach trzydziestych lat przestano zatem przyjmować — uzasadnione nawet — deklaracje o rozpoczęciu głodówki. „Głodówka, jako sposób walki w i ę c e j n i e i s t n i e j e!" — oznajmiono w 1932 roku Katarzynie Olickiej i wielu jeszcze innym. Władze skasowały głodówki! I basta. Ale Olicka nie podporządkowała się i głodówkę rozpoczęła. Pozwolono jej głodować w pojedynczej celi p i ę t n a ś c i e d n i i n o c y. Następnie zabrano ją do szpitala gdzie celowo stawiano przed nią mleko i suchary. Jednakże nie poddała się pokusie i d z i e w i ę t n a s t e g o dnia odniosła zwycięstwo: otrzymała prawo do dłuższych spacerów, czytania gazet i paczek — politycznego Czerwonego Krzyża.

(Nieźle trzeba się było wysilić, żeby dostać te, dozwolone przez prawo, paczki!). A w ogóle — był to sukces drobniutki i zbyt wielkim kosztem osiągnięty. Olicka wspomina równie bezmyślne głodówki, przeprowadzane przez innych więźniów: niektórzy głodowali po 20 dni, aby dostać zatrzymaną w administracji paczkę, albo po to, aby móc sobie dobrać innego towarzysza spacerów. Czy to warto? Przecież w więzieniu nowego typu nie może człowiek odzyskać raz utraconych sił. Prawosławny sekciarz Kołoskow zabrał się do głodówki i 25-tego dnia umarł. Czy w ogóle można pozwolić sobie na głodówkę w Więzieniu Nowego Typu? Przecież Strażnicy Nowego Typu — korzystając z przywilejów sekretu i tajności — prowadzili takie oto potężne środki przeciw głodówkom:

1. Bezgraniczną cierpliwość administracji. (Poznaliśmy ją już przy omawianiu poprzednich przykładów).

2. Wprowadzanie w błąd. To także konsekwencja tajności. Kiedy każdy krok staje się wiadomy korespondentom, wprowadzanie w błąd wcale nie jest łatwe. W naszych zaś warunkach — dlaczego właściwie nie uciekać się do oszustwa? W 1933 roku, w chabarowskim więzieniu S. A. Czebotariow głodował przez 18 dni żądając, aby zawiadomiono rodzinę o miejscu jego pobytu (przyjechali z KWŻD, on nagle „zaginął" i niepokoił się o żonę, która o niczym nie wiedziała). 17-tego dnia odwiedził go zastępca naczelnika OGPU Kraju Chabarowskiego — Zapadnyj oraz chabarowski prokurator naczelny (już ze samych rang widać, że długie głodówki nie były zjawiskiem tak znowu częstym). Pokazali mu oni kwit telegraficzny: widzicie, żona zawiadomiona! przez co skłonili go do zjedzenia bulionu. Kwit zaś był fałszywy! (Dlaczego jednak zajęły się sprawą aż tak wysokie szarże? Nie o życie Czebotariowa im chodziło. Najwidoczniej w pierwszej połowie lat 30-tych istniała jeszcze jakaś osobista odpowiedzialność władz za przeciągające się głodówki).

3. Sztuczne odżywianie przemocą. Chwyt ten z pewnością zapożyczono ze zwierzyńca. Stosowany być może też tylko tam, gdzie wszystko jest tajne. W 1937 roku sztuczne odżywianie było już, jak się zdaje, szeroko stosowane. Na przykład — w czasie grupowej głodówki socjalistów w jarosławskim więzieniu centralnym, 15-tego jej dnia zastosowano sztuczne odżywianie wobec wszystkich uczestników.

Zabieg ten pod wieloma względami przypomina zgwałcenie — zresztą nie jest niczym innym: czterech mocnych chłopów rzuca się na słabą ludzką istotę po to, aby pokonać jej opór, pokonać tylko raz — i nie jest ważne, co dalej będzie z tym człowiekiem. Występuje tu — tak samo, jak przy gwałcie —

element łamania woli: nie tak będzie, jak ty chcesz, tylko tak, jak ja chcę, leż i nie sprzeciwiaj się. Usta otwiera się specjalną szpatułką, rozszerza się otwór między zębami, wprowadza się szlauch: „łykajcie!". Jeśli zaś człowiek nie chce łykać, szlauch wsuwa się głębiej i płynny roztwór pompuje się wprost do przełyku. Następnie robi się masaż brzucha, aby więzień nie mógł zwymiotować. Łączne wrażenie zbrukania moralnego, ckliwej słodyczy w ustach i błogiej pełni w żołądku jest rozkosznie miłe.

Nauka nie zasypiała gruszek w popiele i opracowane były wkrótce także inne metody karmienia: przez odbytnicę, kroplówką przez nos.

4. Nowy pogląd na głodówki. Głodówka jest kontynuacją działalności kontrrewolucyjnej w murach więzienia, stanowi przeto podstawę do wymierzenia nowej kary. To nowe nastawienie stwarzało możliwość narodzin zupełnie nowej gałęzi działalności praktycznej Więzienia Nowego Typu, ale pozostało raczej w dziedzinie pogróżek. I, rzecz jasna, nie poczucie humoru przeszkodziło ich realizacji, lecz chyba tylko lenistwo: po co to wszystko, skoro wystarczy cierpliwie odczekać? Cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość sytego wobec głodnego. Gdzieś w środku 1937 roku nadeszła dyrektywa: administracja więzienia już więcej zupełnie nie odpowiada za wypadki śmierci podczas głodówki! Zniknął ostatni ślad osobistej odpowiedzialności! (Teraz by już nie przyszedł żaden naczelny prokurator do Czebotariowa!...). Co więcej: aby również funkcjonariusze śledczy nie doznawali żadnych cierpień dusznych, zalecono, aby dni głodówki wszczętej przez więźnia śledczego nie były zaliczane do przewidzianych terminów śledztwa, to znaczy: — należy nie tylko uważać, iż żadna głodówka nie miała miejsca, ale nawet traktować te dni jako spędzone na wolności! Niech jedynym uchwytnym skutkiem głodówki będzie wycieńczenie aresztanta!

Innymi słowy: chcesz zdychać? To zdychaj!!

Arnold Rappoport miał nieszczęście podjąć głodówkę w archangielskim więzieniu wewnętrznym akurat w momencie nadejścia tej dyrektywy. Była to głodówka szczególnie ciężka, więc — zdawałoby się — tym większe powinna była zrobić wrażenie — mianowicie „sucha", bez wody, trwała 13 dni (porównać tylko te 5 dni przez które w ten sam sposób głodował Dzierżyński, zresztą — nie w samotnej celi — i zakończone zwycięstwem). I w ciągu tych trzynastu dni do pojedynki, gdzie go przeniesiono, wpadał tylko czasem felczer, nie przyszedł zaś ani lekarz, ani też nikt z administracji, choćby po to, aby zapytać: o co chodzi, co chce on osiągnąć tą głodówką?

Aż do końca nikt go o to nie spytał... Jedynym przejawem zainteresowania ze strony straży, było przeprowadzenie starannej rewizji w pojedynce, przy której zabrano mu schowaną szczyptę machorki i kilka zapałek. Tymczasem Rappoport protestował w ten sposób przeciw pastwieniu się nad nim śledczego. Do swojej głodówki przygotowywał się naukowym sposobem: otrzymawszy wcześniej paczkę, jadł tylko masło i obwarzanki, czarnego zaś chleba nie brał do ust już od tygodnia. Doprowadził się głodówką do takiego stanu, że dłonie miał niemal przejrzyste. Przypomina sobie, że miał poczucie lekkości i jasności myśli. Poczciwa, zawsze uśmiechnięta strażniczka Marusia weszła któregoś dnia do jego pojedynki i szepnęła: „Przerwijcie głodówkę, i tak nie pomoże, dadzą wam umrzeć! Trzeba było tydzień wcześniej zacząć...". Posłuchał rady i przerwał głodówkę nic nie osiągnąwszy.

Dano mu przynajmniej grzanego czerwonego wina z bułką, po czym strażnicy przenieśli go na rękach do celi ogólnej. Po kilku dniach znów zaczęły się przesłuchania. (Jednakże, głodówka nie była zupełnie daremna: śledczy zrozumiał, że Rappoport ma dość siły woli i że nie boi się śmierci, więc też śledztwo zelżało. „Patrzajcie, to z ciebie taki wilk!" — powiedział mu śledczy. „A wilk" — przytaknął Rappoport. — „I waszym psem nigdy nie będę").

Rappoport jeszcze raz później rozpoczął głodówkę, tym razem w kotłasskim więzieniu tranzytowym, lecz miała ona odcień raczej komiczny. Oznajmił, że żąda wznowienia śledztwa, i że nie pójdzie dalej z transportem. Na trzeci dzień przyszli po niego: „Zbieraj się, etap rusza!" — „Nie macie prawa! Ja głoduję". Wówczas czterech zuchów podniosło go z ziemi, zaciągnęło do łaźni i wrzuciło tam jak wór. Po łaźni, tym samym sposobem odnieśli go na wachtę. Trudna rada, Rappoport dźwignął się jakoś i powlókł się za maszerującym etapem — przecież za plecami miał już psy i bagnety.

W ten sposób Więzienie Nowego Typu odniosło zwycięstwo nad burżuazyjnymi głodówkami.

Silny nawet człowiek nie miał już żadnej innej możności przeciwstawienia się machinie więziennej — prócz samobójstwa. Ale czy samobójstwo — to sposób walki? Czy to nie kapitulacja?

Eserka Katia Olicka uważa, że znaczenie głodówek, jako metody walki, poderwane zostało poważnie przez trockistów i komunistów, idących ich śladem do więzień: Ze zbytnią łatwością proklamowali je — i ze zbytnią łatwością je przerywali. Nawet I. N. Smirnow, ich przywódca — jak twierdzi Olicka — przed moskiewskim procesem 4 dni głodował, ale szybko się poddał

i przerwał głodówkę. Podobno przed rokiem 1936 trockiści z zasady odrzucali wszelki rodzaj głodówek przeciw władzy sowieckiej i nigdy nie udzielali poparcia głodującym eserom i esdekom[11].

Niechaj historia oceni, czy słuszny to zarzut, czy też niesłuszny. Skądinąd — nikt ciężej nie zapłacił za głodówki, niż trockiści (do ich głodówek i strajków w obozach przejdziemy jeszcze w części III).

Łatwe proklamowanie i przerywanie głodówek jest zapewne w ogóle charakterystyczne dla natur zapalnych, emocyjnych. Ale takie natury zdarzały się również wśród starych rosyjskich rewolucjonistów, częste są i we Włoszech i we Francji — ale przecież nigdzie — ani w Rosji, ani we Włoszech, ani we Francji nie potrafiono ludzi tak głodówek oduczyć, jak to zrobiono z nami w Związku Sowieckim. Zapewne wcale nie mniej ludzi padło ofiarą i nie mniej hartu duchowego przejawiono w związku z głodówkami w drugiej połowie naszego wieku, niż w pierwszej. Jednakże zabrakło w kraju opinii publicznej! — i dlatego właśnie mogło zapuścić korzenie Więzienie Nowego Typu, a zamiast łatwych zwycięstw, udziałem więźniów stały się ponoszone w pocie czoła klęski.

Mijały dziesięciolecia — i czas robił swoje. Głodówka — pierwsze i najbardziej naturalne prawo aresztanta — stawała się już dla samych więźniów rzeczą obcą i nie zrozumiałą, coraz mniej było jej amatorów. Strażnikom więziennym zaś zaczęło się wydawać, że głodówka to albo idiotyzm, albo złośliwe wykroczenia.

Kiedy w 1960 roku Gennady Smiełow, pospolitak, rozpoczął w leningradzkim więzieniu swoją długą głodówkę, wszedł jednak pewnego dnia do jego celi prokurator (a może robił tylko obchód ogólny) i zapytał: „No i po co się tak męczycie?". Smiełow odparł:

— Prawda milsza mi jest, niż życie!

Słowa te uderzyły prokuratora i wydawały mu się tak bezmyślne, że następnego dnia Smiełow został odwieziony do leningradzkiego spec-szpitala (domu wariatów) dla aresztantów. Lekarka powiedziała mu wprost:

— Istnieje przypuszczenie, że cierpicie na schizofrenię.

---

11. Na odwrót zaś zawsze żądali dla siebie poparcia od eserowców i esdeków. W 1936 roku, w transporcie kałagańsko-kołymskim nazywali „zdrajcami i prowokatorami" tych, którzy odmawiali podpisu pod ich telegramem do Kalinina z protestem „przeciw wysłaniu awangardy rewolucji (to znaczy ich) na Kołymę". (Relacja Makotińskiego).

Blisko grotów rogu, tam gdzie się tyka już zwęża, sterczały byłe centralniaki, zwane od 1937 roku spec-izolatorami. Tłamszono tam wątłe ludzkie resztki, odbierano ostatni szczęt powietrza i światła. I głodówka zdziesiątkowanych, znużonych socjalistów w obostrzonym jarosławskim izolatorze w początkach 1937 roku, był to już jeden z ostatnich rozpaczliwych porywów.

Wciąż jeszcze żądali oni wszystkiego tego co dawniej — i prawa wyboru starostów, i swobodnego kontaktu między celami, żądali — ale chyba już nie wierzyli, że to osiągną. Piętnastodniowa głodówka, chociaż zakończona przymusowym karmieniem przez odbytnicę — doprowadziła jednak do odwojowania jakiejś cząstki ich praw: godzinnego spaceru, okręgowej gazety, zeszytów do notatek. Zdołali to sobie wywalczyć, ale jednocześnie zabrano im ich własne rzeczy i wrzucono do cel jednakowe, aresztanckie drelichy, uniform spec-izolatora. A po niedługim czasie — obcięto pół godziny spaceru, później odebrano dalszych 15 minut.

Byli to wciąż ci sami ludzie, włóczeni po wszystkich więzieniach i zesłaniach w myśl reguł Wielkiego Pasjansa. Niektórzy już od 10-ciu, niektórzy od 15-tu lat nie wiedzieli co to zwyczajne ludzkie życie, znali tylko nędzne więzienne żarcie, albo głodówki. Nie wymarli jeszcze wszyscy z tych, którzy przed rewolucją potrafili odnosić zwycięstwa nad więzienną strażą. Jednakże wówczas ich sojusznikiem był Czas, przeciwnik zaś z każdym dniem był słabszy. Teraz natomiast mieli przeciw sobie i Czas i sprzymierzonego z nim, coraz mocniejszego przeciwnika. Byli wśród nich również ludzie młodzi (brzmi to dla nas dzisiaj dziwnie) — ci, którzy zaczęli uważać się za eserów, esdeków, albo anarchistów już po unicestwieniu tych partii i jedynym przeznaczeniem tych neofitów było tylko siedzenie po więzieniach.

Cała więzienna walka socjalistów, z każdym rokiem coraz bardziej beznadziejna, toczyła się w samotnej próżni, prawie już bezpowietrznej. To było co innego, niż za carskich czasów, gdy wydawało się, że wystarczy tylko odemknąć więzienne wrota, a społeczeństwo obrzuci więźniów kwiatami. Rozkładali stronice gazet i widzieli, jak się ich obrzuca wyzwiskami, jak ich się nawet pomyjami oblewa (przecież właśnie socjaliści wydawali się Stalinowi elementem najbardziej niebezpiecznym dla jego socjalizmu) — a lud milczał i co właściwie pozwalało przypuszczać, że współczuje tym, za których nie tak dawno głosował przy wyborach do Konstytuanty? Ale już nawet gazety przestały ich wyklinać — bo tak nikłym wydawało się niebezpieczeństwo, grożące ze strony rosyjskich socjalistów, tak mało ważną, tak iluzoryczną

sama ich obecność. Na wolności wspominano o nich już tylko w czasie przeszłym i zaprzeszłym, a młodzieży nawet na myśl nie przychodziło, że są jeszcze gdzieś żywi eserzy i żywi mienszewicy. I na czymkentskim, albo czerdyńskim zesłaniu w izolatorze Wierchnie-Uralskim, czy Władimirskim, jak mogli ci ludzie nie wpaść w rozterkę — w ciemnej pojedynce, już opatrzonej w kaganiec, jak mogli nie pomyśleć, że i program ich i przywódcy — mylili się tylko, że błędna była cała ich taktyka i praktyka? I zaczęło im się wydawać, że wszystkie ich akcje niczym się od bezczynności nie różniły. I życie, strawione na samych tylko cierpieniach — zaczęło im się rysować jako fatalny błąd.

W swojej więziennej samotności walczyli oni w istocie o nas wszystkich, o przyszłych więźniów (chociaż sami mogli myśleć inaczej, albo nie rozumieć tego) o to, j a k będziemy później siedzieć i jak będziemy traktowani. I gdyby oni zwyciężyli swego czasu, to chyba nie zdarzyłoby się z nami to wszystko, co później zdarzyć się miało i czemu poświęcona jest ta książka, jej wszystkie siedem części.

Wszyscy oni zostali rozbici, nie uratowawszy ani siebie, ani nas.

Cień samotności rozpostarł się nad nimi częściowo także dlatego, że w trakcie najpierwszych lat porewolucyjnych, w naturalny sposób przyjąwszy z rąk GPU zasłużony tytuł w i ę ź n i ó w p o l i t y c z n y c h, tak samo w naturalny sposób zgodzili się oni z GPU, że wszyscy, stojący „na prawo" od nich[12], poczynając od konstytucyjnych demokratów — nie są to więźniowie polityczni, lecz tylko k a e r z y, k o n t r a, nawóz dziejów. I ci, co brali na siebie krzyż za wiarę Chrystusową — także zaliczani byli do k a e r ó w. Ten kto nie chce znać ani „prawicy" ani „lewicy" (a to w przyszłości my, my wszyscy!) — też jest uznany za k a e r a. W ten sposób — częściowo dobrowolnie, częścią zaś bezwiednie, odcinając się od innych, bocząc się, dokonali oni konsekracji przyszłego artykułu 58, w którego jamę także i oni mieli jeszcze wpaść.

Przedmioty i ludzkie działania wyglądają zdecydowanie inaczej, zależnie od punktu, z którego się je rozpatruje. W tym rozdziale opisujemy więzienną kalwarię socjalistów z i c h punktu widzenia — i oto staje ona przed nami w czystym blasku tragedii. Ale ci k a e r z y, których p o l i t y c z n i traktowali na Sołówkach z lekceważeniem, ci kaerzy tak o tej sprawie mó-

12. Nie lubię tych pojęć „lewica", „prawica"; są umowne, wymienne i pozbawione treści.

wią: „Polityczni? Byli jacyś niesympatyczni: do wszystkich odnosili się z pogardą trzymali się osobno, zawsze tylko ze swoimi, wciąż się domagali tych swoich ulg i przydziałów. A między sobą — wciąż się kłócili". — Trudno, ale w tych słowach też słyszy się akcent prawdy. I te bezpłodne, nieskończone, śmieszne wręcz dyskusje. A te żądania dodatkowych przydziałów w obecności tłumu głodnych i biednych współwięźniów? W epoce sowieckiej honorowy tytuł więźnia politycznego okazał się darem zatrutym. I nagle pojawia się jeszcze taki zarzut: a czemu to socjaliści, tak beztrosko uciekający z katorgi za cara — zmiękli nagle w sowieckim więzieniu? Gdzie ich ucieczki? Ucieczki w ogóle zdarzały się często — ale kto przypomina sobie ucieczkę socjalisty?

Ci zaś więźniowie, którzy uważali się za stojących jeszcze bardziej na lewo od socjalistów — trockiści i komuniści — ci z kolei patrzyli wilkiem na socjalistów, jako na kaerów, nie lepszych, niż inni — i w ten sposób krąg samotności się zamykał.

Trockiści i komuniści uważający swoje poglądy za najczystsze i najdoskonalsze, darzyli pogardą, a nawet nienawiścią socjalistów (a także siebie wzajem), siedzących za tymi samymi kratami, spacerujących po tych samych więziennych podworcach. Olicka pisze w swoich wspomnieniach, że w tranzytowym więzieniu w zatoce Wanino (1937), kiedy socjaliści z męskiej zony usiłowali krzykami porozumieć się i podzielić się nowościami z towarzyszkami z żeńskiej zony, odgrodzonej parkanem — komunistki Liza Kotik i Maria Krutikowa nie posiadały się z oburzenia, że to nieodpowiedzialne zachowanie się socjalistów może wszystkich narazić na administracyjne kary. Powtarzały: „Wszystkie nasze nieszczęścia — przez tych socjalistycznych gadów. (Wyjaśnienie głębokie i jakże zgodne z dialektyką!) — Wszystkich ich wartałoby wydusić!" — A tamte dwie dziewczyny z Łubianki śpiewały w 1935 roku tylko o bzach, bo jedna z nich była eserką, a druga — komunistką z opozycji i dlatego nie miały wspólnego politycznego repertuaru, a zresztą w ogóle opozycjonistka nie powinna była wspólnie z eserką bawić się w protesty.

I podczas gdy w carskim więzieniu rozmaite partie często łączyły się dla wspólnych akcji (przypomnijmy tylko ucieczkę z centralniaka w Sewastopolu), to w sowieckim więzieniu każda frakcja uważała, że czystość jej sztandaru wymaga by nie łączyć się nigdy z innymi. Trockiści walczyli osobno, izolując się od socjalistów i komunistów, komuniści zaś w ogóle nie walczyli, jak bowiem można pozwolić sobie na walkę przeciw własnej władzy i własnemu więzieniu?

I właśnie dlatego komuniści w izolatorach i więzieniach karnych zostali całkowicie ujarzmieni wcześniej i w surowszy sposób, niż inni. Komunistka Nadieżda Surowcewa w 1928 roku w jarosławskim centralniaku musiała chodzić na spacery tylko gęsiego, szeregiem, bez prawa rozmowy, podczas kiedy socjaliści gadali sobie swobodnie, chodząc całą gromadą. Nie wolno jej było już pielęgnować kwiatów na dziedzińczyku — a kwiaty zostały po dawnych aresztantach, tych, co o swoje walczyli.

Gazet też już jej wtedy pozbawiono. (Za to Tajny Oddział Polityczny GPU pozwolił jej na trzymanie w celi dzieł zebranych Marksa, Engelsa, Lenina i Hegla). Widzenia z matką jej udzielono w zupełnych prawie ciemnościach i zgnębiona matka wkrótce umarła (co mogła pomyśleć sobie o warunkach, w których siedzi córka?).

Utrzymujące się wiele lat różnice zachowań miały swoje jeszcze dalsze i głębsze konsekwencje w więziennym życiu: w latach 37-38 socjaliści przecież również siedzieli i też dostawali swoje d y c h y. Ale regułą było, że nie zmuszano ich do oczerniania samych siebie: przecież nie ukrywali oni swoich o d m i e n n y c h poglądów, zupełnie wystarczających dla wyroku skazującego! Komunista zaś z zasady nie ma poglądów o d m i e n n y c h — więc za co tu go sądzić, jeżeli się przedtem go nie zmusi, aby sam siebie oczernił?

◆

Chociaż ogromny Archipelag szeroko już się rozprzestrzenił — lecz wcale nie zanikały zwyczajne miejsca odsiadek. Stara więzienna tradycja kontynuowana była gorliwie. Wszystko to, co wniósł Archipelag do sprawy wychowania mas — choć były to zdobycze nowe i nie mające wprost ceny — jednak nie dawało jeszcze wrażenia pełni. Koniecznym uzupełnieniem były dopiero TON-y i w ogóle — system więzień karnych.

Nie każdy, wessany przez wielką Machinę miał ulec zmieszaniu z masą tubylców Archipelagu. Znakomici przybysze z zagranicy, osobistości zbyt znane, więźniowie, których aresztowanie powinno było pozostać tajemnicą, a także zdegradowani bezpieczniacy — żadną miarą nie powinni byli wypływać na obozową powierzchnię: ich robota przy taczkach nie wynagrodziłaby ani niepotrzebnego rozgłosu, ani uszczerbku m o r a l n o - p o l i t y c z n e g o[13]. Podobnie też socjaliści — stale walczący o swoje prawa — w żaden sposób nie powinni byli mieszać się z tłu-

13. Istnieje taki termin!... Kolorek błękitno-błotnisty.

mem — toteż trzymano ich osobno, pod pozorem zapewnienia im w ten sposób przywilejów i praw. Znacznie później, w latach 50-tych, jak jeszcze się przekonamy, TON-y, Więzienia Specjalne przydadzą się również dla izolowania obozowych buntowników. W ostatnich latach swego życia, rozczarowawszy się co do możliwości „reedukacji" złodziei, Stalin rozkaże również rozmaitych p a c h a n ó w skazywać nie na obóz, tylko na więzienie. I wreszcie — trzeba było zapewnić darmowy państwowy wikt również takim więźniom, którzy mogliby od razu na skutek słabego zdrowia — umrzeć w obozie, nie odcierpiawszy kary, albo takich jeszcze, których w żaden sposób nie można było zaprząc do zwykłych robót — jak ślepy Kopiejkin, 70-letni starzec, który siadywał stale na rynku w miasteczku Juriewiec nad Wołgą. Jego pieśni i powiedzonka przyniosły mu w nagrodę 10 lat za KRD, ale trzeba mu było zamienić obóz na więzienie.

Stosownie do nowych zadań, podlegał konserwacji, renowacji, konsolidacji i doskonaleniu stary majątek nieruchomy więzień, otrzymany w spadku po dynastii Romanowów. Niektóre więzienia centralne, na przykład Jarosławskie, urządzone były tak solidnie i wygodnie (drzwi obite żelazem, w każdej celi przymocowany do podłogi stół, taboret oraz prycza), że konieczne okazało się tylko założenie kagańców na oknach i podzielenie spacerników na działki wielkości celi (mniej więcej w 1937 roku zrąbane zostały w więzieniach wszystkie drzewa, oraz przekopane warzywniki i trawniki, które później zalano asfaltem). Inne, jak dawny klasztor w Suzdalu, wymagały adaptacji, ale wszak zamknięcie cielesnej istoty człowieka w murach klasztornych — i zamknięcie istoty ludzkiej na mocy obowiązującego prawa w więzieniu, mają w końcu cele materialnie zbliżone i dlatego też budynki podobne dają się łatwo adaptować. Tak samo przerobiony był na więzienie karne jeden z oddziałów klasztoru Suchanowskiego — bo przecież trzeba było nadrobić straty: forteca Piotra i Pawła, oraz Szlisselburg stały się obiektami muzealno-turystycznymi. Władimirski centralniak został rozszerzony i rozbudowany (wielki nowy oddział powstał za kadencji Jeżowa), chętnie był wykorzystywany i cieszył się znaczną frekwencją w ciągu tego dziesięciolecia. Wspominaliśmy już, że czynny był centralniak w Tobolsku, od 1925 zaś roku otwarty został do stałego i bardzo intensywnego użytku centralniak Wierchnie-Uralski. (Wszystkie te izolatory wciąż, niestety, istnieją i czynne są w chwili, gdy piszemy te słowa). Z poematu Aleksandra Twardowskiego „Za dalą dal" można wnieść, że za Stalina nie ział pustką również centralniak Aleksandrowski. Niewiele mamy danych natomiast o więzieniu w Orle: istnieje obawa, że bardzo

ucierpiało podczas Wojny Narodowej. Ale przecież zawsze uzupełniało je w potrzebie doskonale wyposażone więzienie karne w Dmitrowsku Orłowskim.

W latach 20-tych w polit-izolatorach wikt był bardzo przyzwoity, na obiad zawsze było mięso, do gotowania używano świeżych jarzyn, a w kantynie można było dokupywać mleko. Znacznie pogorszył się wikt w latach 31-33, ale przecież nie lepiej jadało się wtedy na wolności. W tym okresie szkorbut i omdlenia z głodu nie były wcale rzadkością w polit-izolatorach. Później jedzenie znów się polepszyło, ale to już było zupełnie co innego. W 1947, siedzący we Władimirskim TON-ie I. Korniejew stale czuł głód: 450 gramów chleba, 2 kostki cukru, dwie miseczki gorącej, ale nie treściwej zupy — i tylko wrzątku było „ile chcąc" (znów ktoś może powiedzieć, że był to rok nie typowy, że również ludziom wolnym dawał się wtedy we znaki głód. Za to pozwolono wspaniałomyślnie w tamtym roku dokarmiać więźniów z zewnątrz: paczki można było przysyłać bez ograniczeń).

Ś w i a t ł o było w celach zawsze racjonowane — i w latach 30-tych i 40-tych kagańce i blince ze zbrojonego, mętnego szkła sprawiały, że w celach panował wieczny półmrok (ciemność walnie się przyczynia do pognębienia człowieka!). Górna szpara kagańca była jeszcze często zaciągnięta drobną siatką, zimą osiadał na niej śnieg i odcinał ostatnie źródło światła. Próby czytania prowadziły tylko do psucia sobie wzroku i bólu oczu. We Władimirskim TON-ie, w zamian za to, przez całą noc płonęły w celach jaskrawe lampy, nie dając spać. W Dmitrowskim zaś więzieniu (N. A. Kozyriew) w 1938 roku wieczorami i nocami jedynym źródłem światła był kaganek na półeczce pod sufitem, wypalający ostatki tlenu; w 30-ym roku wprowadzono obniżenie natężenia w sieci, tak że lampy ledwie się żarzyły.

P o w i e t r z e też podlegało normowaniu: lufciki zamykane były na klucz i otwierano je tylko w czasie, gdy cela szła do wychodka, jak o tym piszą byli mieszkańcy więzienia w Dmitrowie i Jarosławiu. (Eugenia Ginzburg: między rankiem a porą obiadu chleb dążył już zarość pleśnią, bielizna pościelowa była wilgotna, ściany — pokryte zielonym nalotem). We Władimirze zaś w 48-mym roku powietrza już nie normowano, okno stale było uchylone.

S p a c e r y w rozmaitych więzieniach i w różnych okresach trwały od 15 do 45 minut. Nie było już żadnego Szlisselburskiego, albo Sołowieckiego kontaktu z ziemią, wszystko, co rosło, zostało wyrwane, zadeptane, zalane betonem i asfaltem. Zabraniano nawet podnoszenia głowy ku niebu podczas spacerów

— „patrzeć tylko pod nogi!" — jak to wspominają Kozyriew i Adamowa (więzienie w Kazaniu).

Widzenia z krewnymi skasowane zostały w 1937 roku i już ich nie przywrócono. Listy do bliskich krewnych wolno było pisać i otrzymywać od nich — dwa razy na miesiąc w ciągu całego prawie tego okresu (ale w Kazaniu po przeczytaniu trzeba było następnego dnia zwrócić list administracji); to samo dotyczy kantyny, z której można było korzystać w miarę otrzymywania z zewnątrz ograniczonych sum.

Ważną rolę grała sprawa urządzenia celi. Adamowa sugestywnie pisze o radości, jaką odczuła, gdy, zamiast podnoszonych prycz i przyśrubowanych do podłogi stołków, zobaczyła w suzdalskiej celi zwyczajne drewniane łóżko z siennikiem i zwykły stół.

We Władimirskim TON-ie I. Korniejew przeżył kolejno dwa rozmaite rodzaje więziennego reżymu: w latach 1947-48 siedzącym w celach nie odbierano własnej odzieży, wolno było wylegiwać się we dnie i klucznik rzadko zaglądał przez lipko. A później (1949-53) cela zamykana była na dwa rygle (jeden klucz miał strażnik, drugi zaś dyżurny), leżeć we dnie zabraniano, nie wolno było też rozmawiać na głos (w Kazaniu — zawsze tylko szeptem!), rzeczy własne — wszystkie poodbierane, więźniowie poubierani w pasiaste ubrania; listy — tylko dwa razy rocznie i tylko wtedy, kiedy nagle przyjdzie to naczelnikowi więzienia do głowy (kto przepuści taki dzień, ten musi już czekać na następny), a nadto wyłącznie na arkusikach dwukrotnie mniejszych od pocztówki; coraz częstsze się stawały niezwykle surowe rewizje, robione naskokami, z wyprowadzaniem ludzi z cel i rozbieraniem do naga. Kontakty między celami tępione były do tego stopnia, że po każdym pójściu do wychodka strażnicy myszkowali po klozetach z ręcznymi latarkami i zaglądali do każdego oczka. Za zostawienie napisu na ścianie cała cela obrywała karcer. Karcery były plagą Więzień Specjalnych. W karcerze można było znaleźć się za kaszel („schowajcie głowę pod koc, tam możecie sobie kaszleć"); za chodzenie po celi (Kozyriew; nazywało się to, że „jest nieopanowany"); za szuranie butami (więzienie Kazańskie, a kobietom wydano tam męskie trepy nr 44). Zresztą Eugenia Ginzburg słusznie podkreśla, że karcer dawano nie za wykroczenia, lecz według planu: wszyscy po kolei powinni byli posiedzieć w nim trochę i wiedzieć, czym to pachnie. W regulaminie był jeszcze inny punkt nadający się do szerokiej interpretacji: „W przypadku przejawienia w karcerze niezdyscyplinowania (?) naczelnik więzienia ma prawo przedłużyć więźniowi termin przebywania w nim

do dwudziestu dni". A czym jest to „niezdyscyplinowanie"?... Oto relacja Kozyriewa (opisy karceru i wielu szczegółów regulaminu tak są podobne we wszystkich relacjach, że wyczuwa się wszędzie tę samą rękę władzy). Za chodzenie po celi wlepiono mu 5 dni karceru. Jesień, karcer nie jest ogrzewany, ziąb. Zostawiają człowieka w samej bieliźnie, bez butów, zamiast podłogi — klepisko, pełno kurzu (zdarza się też błoto, a w Kazańskim więzieniu — warstwa wody). Kozyriew miał przynajmniej taboret (Eugenia Ginzburg nawet tego nie miała). Z początku zdawało mu się, że zamarznie, że zginie. Ale stopniowo poczuł jakieś wewnętrzne tajemnicze ciepło a to go uratowało. Nauczył się spać na siedząco. Trzy razy dziennie dawano mu kubek wrzątku, po którym czuł się, jak pijany. W trzystugramową kromkę chleba pewnego razu jeden z dyżurnych wcisnął mu potajemnie kostkę cukru. Kozyriew liczył dni według tych kromek i rytmu zmian oświetlenia w jednym z okienek wewnętrznego labiryntu. Wiedział, że jego piąta doba dobiegła już końca, ale wciąż go nie wypuszczano. Wyczulony jego słuch uchwycił jakiś szept dochodzący z korytarza na temat szóstego dnia, czy też jeszcze sześciu dalszych dni. Na tym właśnie polegała prowokacja: chciano, aby zaczął wołać, że 5 dni już się skończyło, że czas już go zwolnić i wtedy za niezdyscyplinowanie można by przedłużyć karcer. Ale Kozyriew pokornie i w milczeniu odsiedział jeszcze całą dobę, więc zwolniono go wtedy, jak gdyby nigdy nic. (Być może naczelnik więzienia poddawał takiej próbie pokory wszystkich po kolei? Karcer przeznaczony jest dla tych, co jeszcze nie spokornieli).

Po powrocie z karceru cela wydała mu się pałacową komnatą. Kozyriew ogłuchł na pół roku i zaczęły mu się robić wrzody w gardle. Pewien zaś jego towarzysz z celi zwariował na skutek częstego siedzenia w karcerze i Kozyriew przeszło rok siedział we dwójkę z wariatem. (Wiele wypadków obłędu w polit-izolatorach wylicza Nadieżda Surowcewa — ona jedna wymienia ich nie mniej, niż wykrył ich Noworusski w kronikach Szlisselburga).

Może zgodzi się teraz czytelnik, że stopniowo doszliśmy aż do czubka drugiego ze wspomnianych rogów — i że jest on chyba dłuższy, niż ten pierwszy? i chyba ostrzejszy?

Nie wszystkie relacje pokrywają się. Starzy łagrowcy twierdzą jednogłośnie, że Władimirski TON lat 50-tych przypominał im sanatorium. Takiego zdania był Włodzimierz Borysowicz Zeldowicz, który przybył tam ze stacji Abeź i Anna Piotrowna Skrypnikowa, którą dostawiono (1956) z kemerowskich obozów. Skrypnikowa była szczególnie zaskoczona faktem, że re-

gularnie co 10 dni wysyła się podania więźniów (zaczęła je pisać do... Organizacji Narodów Zjednoczonych), a także możnością korzystania z doskonałej biblioteki, zaopatrzonej również w obcojęzyczne dział: do celi przynoszą pełny katalog i można wypisywać zamówienia na cały rok.

Nie zapomnijmy też o elastyczności naszego Prawa: skazano tysiące kobiet („za męża") na więzienie. Nagle ktoś gwizdnął — wszystkim zamienić więzienie na obóz (groziło widać niewykonanie planu wydobycia złota na Kołymie)! No i zmieniono. Bez żadnych tam sądów.

Więc czy istnieje w ogóle więzienie jako takie? Czy to może tylko poczekalnia obozu?

◆

I oto dopiero tutaj — właśnie tutaj! powinienby na dobrą sprawę rozpocząć się niniejszy rozdział. Należałoby w nim przypatrzyć się temu drżącemu światłu, które z upływem czasu promieniować zaczyna na kształt aureoli z duszy samotnego więźnia. Oderwany od marności powszedniego życia w sposób tak zupełny, że nawet liczenie mijających minut pozwala mu na intymne obcowanie ze Wszechświatem — samotny więzień powinien uwolnić się od całego tego balastu niedoskonałości, który przeszkadzał mu dawniej, nie pozwalając sklarować się życiu aż do przejrzystości. Jak szlachetnym gestem wyciąga on palce, aby spulchnić i przesiać grudki ziemi ogrodowej (ach, przecież ten asfalt!...). Jak głowa mu się sama podnosi ku Wiecznym Niebiosom (ach, prawda, to zabronione!...). Z jaką tkliwą uwagą przygląda się skaczącemu po parapecie ptaszkowi (ach, prawda, kaganiec, siatka i zamknięty lufcik...). I jakież jasne myśli, jak uderzające nieraz spostrzeżenia zapisuje on na przydzielonym mu papierze (ach, prawda, trzeba naprzód móc go kupić w kantynie, a później oddać notatki na zawsze do więziennej kancelarii...).

Ale te nasze zrzędliwe komentarze zbijają nas tylko z tropu. Trzeszczy w szwach i pęka plan tego rozdziału, bo nie wiemy już właściwie: czy w Więzieniu Nowego Typu, w Więzieniu Specjalnym (a jakim jeszcze?) — czy więc dusza ludzka ulega tam oczyszczeniu? czy może spotyka ją ostateczna zagłada?

Jeżeli co dzień rano pierwszą rzeczą, którą widzisz, są oczy twego oszalałego w celi towarzysza — to czym sam siebie poratujesz w ciągu nadchodzącego dnia? Mikołaj Aleksandrowicz Kozyriew, którego świetną karierę astronoma przerwało aresztowanie, ratował się tylko myślami o rzeczach wiecznych i nieskończonych: o materii, z której zbudowany jest wszechświat — i

o Duchu Najwyższym, który ją ożywia; o ciałach niebieskich; o ich wewnętrznej budowie; a także o tym — czym jest Czas i bieg tego Czasu. I w ten sposób otworzyła się przed nim nowa dziedzina fizyki. Tylko dzięki tym rozmyślaniom wytrzymał w Dmitrowskim więzieniu. Ale myśli jego potknęły się o cyfry, których nie mógł był zachować w pamięci. Nie potrafił iść dalej w swoich rozważaniach — potrzebne mu były liczne dane liczbowe. Skąd wziąć je w tej pojedynce, rozjaśnionej tylko kagankiem, do której nawet ptak wlecieć nie może? Zaczął się modlić: Panie! zrobiłem wszystko, com mógł. Ale musisz mi pomóc! Pomóż mi iść dalej.

W tym okresie miał prawo do jednej tylko książki w ciągu 10-ciu dni (był już sam w swojej celi). W ubogiej bibliotece więziennej było kilka edycji tomu wierszy Demiana Biednego „Czerwony koncert" i książkę tę co i rusz przynoszono mu do celi. Minęło pół godziny od chwili, gdy zaczął się modlić — przyniesiono książki do zmiany i — nie pytając o nic, jak zwykle — ciśnięto mu „Kurs astrofizyki"! Skąd się wziął? Nawet wyobrazić sobie nie można było, że jest taka książka w bibliotece! Przeczuwając, że ma ją tu nie na długo, Kozyriew rzucił się na tekst i zaczął wkuwać na pamięć, wkuwać wszystko, co potrzebne było mu dziś i co mogło mu się przydać później. Minęły tylko dwa dni — mógł korzystać z książki jeszcze przez dni osiem — i nagle naczelnik więzienia przeprowadza obchód. Od razu zobaczył, co trzeba. „Toć jesteście z zawodu astronomem?" — „Owszem". — „Zabrać mu tę książkę!". Ale już jej iście mistyczne pojawienie się sprawiło, że przetarły się drogi do dalszej pracy, którą Kozyriew kontynuował w Norylskim obozie.

Tak więc, dopiero teraz powinniśmy rozpocząć rozdział o zmaganiu się duszy z kratami.

Ale cóż to?... Brutalnie skrzypnął w zamku klucz strażnika. Ponury oddziałowy z długą listą w ręku: „Nazwisko? Imię, imię ojca? Rocznik? Artykuł? Wyrok? Kiedy termin?... Zabierać r z e c z y ! Prędzej!"

No, braciszkowie, to etap! Etap!... Jedziemy! Pobłogosław Panie! Czy uniesiemy aby głowy?...

Więc to tak: jeśli głowy uniesiemy — to opowiemy resztę innym razem. W czwartej części. Jeśli tylko uniesiemy głowy.

Koniec pierwszej części.

CZĘŚĆ DRUGA

WIECZNY RUCH

Koła w miejscu też nie stoją
Wciąż się toczą...
Żarna kręcą się, wirują
W ciągłym pląsie...

W. Müller

I

OKRĘTY ARCHIPELAGU

Od cieśniny Beringa do samego niemal Bosforu rozsiane są tysiące wysp zaklętego Archipelagu. Są niewidzialne, ale istnieją, a z wyspy na wyspę trzeba w sposób tak samo niedostrzegalny ale regularny, przewozić niewidzialnych niewolników, mogących się przecież wykazać posiadaniem ciała, określonej objętości i ciężaru.

Którędyż więc ich wozić? I czym?

Istnieją w tym celu duże porty — więzienia tranzytowe, a także porty drobniejsze — obozowe punkty etapowe. Istnieją też stalowe szczelnej konstrukcji — wagony aresztanckie. Na redzie zaś, zamiast szalup i motorówek — już oczekują tak samo stalowe, zamczyste, zwrotne s u k i. Aresztanckie wagony jeżdżą według rozkładu. W razie potrzeby zaś, z portu do portu, przelotowymi trasami Archipelagu wysyłane są całe karawany — składy kolejowe czerwonych, towarowych wagonów do przewozu bydła.

Jest to cały starannie opracowany system! Tworzono go przez dziesiątki lat — i to nie na łapu-capu. Tworzyli go syci, dobrze umundurowani, stateczni ludzie. Eskorta z Kineszmy w dni nieparzyste o 17.00 przyjmuje na moskiewskim dworcu Północnym transporty, dostarczane z zakładów karnych — butyrskiego, presnieńskiego i tagańskiego. Konwojenci z Iwanowa w dni parzyste o 6.00 rano znajdować się mają na dworcu, odbierać z wagonów i trzymać w swojej dworcowej izbie zatrzymań więźniów tranzytowych, kierowanych w stronę Nierechty, Bieżecka i na Bołogoje.

Wszystko to dzieje się w waszym sąsiedztwie, pod waszym boczkiem, ale nikt z was tego nie widzi (można również przymknąć oczy). Na wielkich dworcach wyładowanie i załadowanie tych smoluchów odbywa się z dala od peronów pasażerskich,

widzą je tylko ci od zwrotnic i sprawdzania torów. Na mniejszych stacjach obiera się najchętniej jakiś ślepy peron, między dwoma magazynami, gdzie suka może podjechać tyłem, podsuwając otwarty swój zad pod same stopnie aresztanckiego wagonu. Aresztantowi nie dają czasu na obejrzenie dworca, nie dąży rzucić nawet okiem na was, czy wzdłuż pociągu, widzi tylko stopnie (czasem najniższy sięga mu do pasa i brak sił, żeby się podciągnąć), konwojenci zaś stojący z obu stron wąskiego przesmyka między suką, a wagonem, ryczą i krzyczą: „Prędzej! Prędzej!... Dalej! Dalej!...". Albo nawet bagnecikami wywijają.

Wy zaś, kroczący spiesznie po peronie, z dziećmi walizkami i torbami, nie macie jakoś czasu, aby przyjrzeć się: po co dołączono do pociągu drugi wagon bagażowy? Brak na nim jakichkolwiek napisów i bardzo podobny jest do bagażowego — te same skośne kratki i ciemność za nimi. Tylko dlaczego właściwie jeżdżą nim żołnierze, nasi obrońcy ojczyzny, na przystankach zaś dwóch z nich, pogwizdując sobie, przechadza się z obu stron wagonu, wciąż zerkając między koła?

Pociąg ruszy — i setka stłoczonych losów aresztanckich, setka udręczonych serc — pomknie tymi samymi krętymi torami, w ślad za tym samym dymkiem, wzdłuż tych samych pól, słupów i stogów, mijając je nawet kilka sekund przed wami, ale w powietrzu za szybami waszych wagonów niklejszy jeszcze ślad zostawi nieszczęście, które właśnie przemknęło, niż palec, co musnął wodę. I biorąc udział w tak dobrze znanym, zawsze jednakowym życiu pociągu dalekobieżnego — z bielizną pościelową w specjalnej paczce, z herbatą, roznoszoną w szklankach z uchwytami — czy jesteście w stanie pojąć, jaka czarna, napięta zgroza przemknęła trzy sekundy przed wami przez ten sam odcinek euklidesowej przestrzeni? Wy, niezadowoleni, że w przedziale ciasno, bo jest was aż czworo — czy moglibyście w ogóle uwierzyć, czy wierzycie teraz, czytając nawet te słowa, że w takim samym przedziale chwilę przed wami przemknęło — 14 ludzi? Albo i — 25-ciu? A nawet — 30-tu?...

Wagon aresztancki, w a g o n - z a k, jaki to wstrętny skrót! Zresztą, jak wszystkie skróty, robione przez tych, co skracają o głowę. Chcieli powiedzieć — że to wagon dla z a k l u c z o n n y c h, dla aresztantów. Ale nigdzie, prócz więziennych papierków, skrót ten się nie przyjął. Aresztanci zwykli nazywać ten wagon s t o ł y p i ń s k i m, albo po prostu s t o ł y p i n k ą.

W miarę rozwoju kolei żelaznych w naszej ojczyźnie zmieniał się również charakter aresztanckich transportów, etapów. Aż do lat 90-tych XIX wieku skazańcy na Sybir ciągnęli pieszo, albo konno. Lenin w 1896 roku jechał na syberyjskie zesłanie

już zwyczajnym wagonem III-ciej klasy (razem z wolnymi) i krzyczał na brygadę kolejarską, że strasznie ciasno. Wszystkim znany jest obraz Jaroszenki „Żyć można wszędzie", gdzie pokazany jest wagon pasażerski IV-tej klasy, zaadaptowany jeszcze bardzo naiwnie — do przewozu więźniarskich ładunków: wszystko zostawiono bez zmiany i aresztanci jeżdżą zwyczajnie, jak ludzie, jedynie w okna wstawiono dwustronne kraty. Wagony takie długo jeszcze krążyły po rosyjskich torach, niektórzy pamiętają, jak ich w 1927 roku transportowano właśnie nimi, rozdzieliwszy tylko obie płcie. Z drugiej strony — eser Truszyn wspomina, że już za carskich czasów transportowany był „stołypinką", było ich jednak tylko sześciu w przedziale, jak to w bajkach Kryłowa.

Zapewne wagony takie rzeczywiście puszczone były w ruch po raz pierwszy za czasów Stołypina, to znaczy, jeszcze przed rokiem 1911 — i panujące wtedy kadecko-rewolucyjne zacietrzewienie sprawiło, że zaraz przylgnęło do nich to przezwisko. Jednakże ulubionym środkiem transportu stał się ten wagon na dobrą sprawę dopiero w latach 20-tych, a znalazł powszechne i wyłączne zastosowanie po roku 1930, kiedy wszystko w naszym życiu podległo ujednoliceniu; dlatego byłoby sprawiedliwiej nadać mu imię nie Stołypina lecz Stalina. Ale nie toczmy sporów z językiem.

Stołypinka — jest to zwykły wagon podzielony na 9 przedziałów z tą różnicą, że 5 z nich, przeznaczonych dla aresztantów (tu również, jak wszędzie na Archipelagu, z obsługą trzeba dzielić się wszystkim po połowie!), oddziela od korytarza nie ścianka, lecz krata, pozwalająca widzieć wszystko, co dzieje się w środku. Krata zrobiona jest z biegnących ukośnie prętów, przez co przypomina ogrodzenie dworcowych trawniczków. Krata sięga aż do samej góry, do dachu, dlatego też nie ma półek bagażowych, biegnących wzdłuż korytarza po stronie przedziałów. Okna korytarza są normalne, ale zabezpieczone z zewnątrz taką samą skośną kratą. W aresztanckim zaś przedziale nie ma okna, jedynie okratowany, ślepy wywietrznik na poziomie drugiej półki (właśnie dzięki temu, że okien brak, wagon miał wygląd bagażowego). Drzwi do przedziału są nie uchylone, lecz przesuwane: żelazna rama, również wypełniona kratą.

Gdy się na to patrzy z korytarza, wszystko przypomina zwierzyniec: za kratami, na podłodze i na półkach leżą zwinięte w kłębek jakieś nędzne istoty, przypominające nieco ludzi, które żałosnym tonem wciąż skomlą o picie i jedzenie. Ale w żadnym ZOO zwierzęta nie są stłoczone tak ciasno.

Według projektów, opracowanych przez inżynierów, pozostających z resortem w stosunkach wolnego najmu — w stołypinow-

skim *coupé* sześciu może siedzieć na dolnych ławkach, trzech ludzi — leżeć na środkowej półce (sięga ona od ściany do ściany, jak nary i jedynie przy drzwiach ma wyimkę, umożliwiającą przechodzenie w górę i na dół), dwóch zaś może leżeć na górnych półkach bagażowych. Jeśli teraz tym 11-tu wepchnąć dla towarzystwa jeszcze 11-tu (przy zamykaniu drzwi konwojenci upychają ostatnich nogami) — to będziemy mieli do czynienia z zupełnie normalnym załadunkiem aresztanckiego przedziału. Po dwóch skurczy się w półsiedzącej pozycji na dwóch półkach bagażowych, pięciu położy się na szerokiej środkowej (tym się najlepiej powiodło, o te miejsca trzeba walczyć i jeżeli w przedziale są szemrani, to właśnie oni tam leżą), a jeszcze trzynastu musi się zmieścić na dole: po pięciu siedzi na ławkach, a trzech — w przejściu między ich nogami. Gdzieś tam, wśród ludzkich ciał, pod nimi i na nich — jadą bagaże. I tak oto, z podkurczonymi, przywalonymi ciężarem nogami, jadą więźniowie doba za dobą.

Nie, nie robi się tego specjalnie po to, aby ludzi męczyć! Skazaniec jest to żołnierz socjalistycznej pracy, po cóż go męczyć, toż ma być wykorzystany na jakiejś budowie. No, ale zgódźmy się, że nie jedzie on przecież do cioci na imieniny, że nie powinien mieć takich udogodnień, których mógłby mu ktoś jeszcze na wolności pozazdrościć! Nasza kolej pracuje w trudnych warunkach; jakoś dojedzie, nie zdechnie.

Poczynając od lat 50-tych, kiedy pociągi zaczęły już chodzić regularnie, aresztanci nie musieli długo podróżować w takich warunkach — no, półtorej doby, no, dwie. Podczas wojny i zaraz po niej bywało gorzej: od Petropawłowska (Kazachskiego) do Karagandy (leżącej w tej samej republice) — stołypinka mogła wędrować także s i e d e m d n i i n o c y (a w przedziałach było po 25-ciu ludzi!), od Karagandy do Swierdłowska — o s i e m dni i nocy, (a w przedziałach było już po 26-ciu). Nawet z Kujbyszewa do Czelabińska w sierpniu 1945 roku Suzi jechał stołypinką kilka dni — i było ich w przedziale TRZYDZIESTU PIĘCIU, ludzie leżeli po prostu jeden na drugim, miotając się i walcząc ze sobą[1]. Jesienią zaś 1946 roku N. W. Timofiejew-Ressowski jechał z Piotropawłowska do Moskwy w przedziale, gdzie znajdowało się TRZYDZIESTU SZEŚCIU ludzi! Przez kilka dni i nocy WISIAŁ wręcz między nimi, nie dotykając nogami ziemi. Po jakimś czasie ludzie zaczęli umierać — straż wyciągała więc trupy spod nóg żyjących (co prawda, nie od

1. Piszę to dla zaspokojenia ciekawości tych, którzy wciąż dziwią się i pytają z pretensją: d l a c z e g o ś c i e n i e w a l c z y l i ?

razu, dopiero na drugi dzień) i dzięki temu zrobiło się luźniej. Ta podróż do Moskwy trwała t r z y t y g o d n i e[2].

Czy 36-ciu — to już górna granica? Nie mamy wprawdzie relacji o 37-miu pasażerach, ale posługując się jedyną, prawdziwie naukową metodą i wychowani w walce ze zwolennikami „górnych granic", i „nieprzekraczalnych norm", odpowiadamy śmiało: nie, o nie! To jeszcze nie pułap! Może dla innych byłby to pułap, ale nie dla nas! Póki jeszcze w przedziale zostają pod półkami, między barkami, nogami i głowami ludzkimi jakieś nie wykorzystane decymetry kubiczne przestrzeni — przedział gotów jest do przyjęcia dodatkowych pasażerów! Umownie można uznać za wielkość nieprzekraczalną ilość zwłok ludzkich, które można by upchać porządnie, jedne na drugich, wykorzystując przy tym całą przestrzeń naszego *coupé*.

W. A. Korniejewa jechała z Moskwy w przedziale razem z t r z y d z i e s t o m a kobietami, a większość z nich były to niedołężne staruszki, jadące na zesłanie za gorliwość w wierze (po przyjeździe WSZYSTKIE te kobiety, poza dwoma, od razu poszły do szpitala). Nie było w czasie podróży wypadków śmierci, ponieważ było tam także kilka młodych, rozgarniętych i ładnych dziewczyn, siedzących „za cudzoziemców". Dziewczęta te zaczęły robić wymówki konwojentom: „Jak wam nie wstyd wieźć je w takich warunkach? Przecież to są wasze matki!". Nie tyle zapewne umoralniające argumenty, ile uroda petentek przyczyniła się do jakiejś reakcji ze strony eskorty — i kilka staruszek przeniesiono do k a r c e r u. Karcer zaś w stołypince, to nie kara, lecz błogosławieństwo. Z pięciu przedziałów aresztanckich tylko cztery wykorzystane są w charakterze pomieszczeń ogólnych, piąty zaś jest przepołowiony: są to dwa półprzedziały z jedną górną i jedną dolną półką, jak w konduktorskim *coupé*. Karcery te służą dla izolacji: podróżuje się w nich w trójkę czy w czwórkę wygodnie i bez ciasnoty.

Nie, wcale nie po to, aby celowo dręczyć więźniów pragnieniem przez wszystkie te dni, spędzane w odbierającym siły tłoku, karmi się ich tylko śledziami, albo suszoną rybą (tak było przez WSZYSTKIE LATA trzydzieste i pięćdziesiąte. Zimą i latem — na Syberii i Ukrainie, tu nie trzeba nawet przykładów przytaczać). Nie po to, żeby dręczyło ich pragnienie, tylko — sami powiedzcie — czym karmić w drodze tę hołotę? Nie należy im się w czasie podróży gorące jedzenie (w jednym z przedziałów

2. W Moskwie natomiast, jako że mieszkamy w kraju cudów, Timofiejewa-Ressowskiego wynieśli z wagonu na rękach *oficerowie* i odwieźli osobowym samochodem: toć miał pracować dla rozkwitu nauki!

stołypinki jest, co prawda, kuchnia, ale tylko dla eskorty) suchej kaszy nie ma im co dawać, surowego dorsza też nie, a konserwami mięsnymi jeszcze by się zanadto upaśli. Śledź — nie ma nic lepszego, no i kawał chleba — czego trzeba więcej?

Więc bierz, bierz swoje pół śledzia, póki ci dają — i ciesz się! Jeżeli masz rozum — to nie jedz tego śledzia, miej cierpliwość, schowaj go do kieszeni, zdążysz zeżreć na punkcie tranzytowym, gdzie jest już woda. Gorzej, jeżeli dają azowskie drobne rybki, mokre, przesypane grubą solą. W kieszeń tego nie da się schować, nadstaw więc od razu połę kurtki, albo chustkę do nosa, albo dłoń — i jedz, jak leci. Dzielą te rybki na czyjejś kurtce, suszone zaś ryby eskorta wysypuje wprost na podłogę przedziału i ludzie rozdzielają je później na ławkach, na własnych kolanach[3]. Ale jeżeli już dali ci ryby — to chyba nie odmówią chleba, albo może nawet cukru też dadzą. Gorzej, jeśli konwojent przychodzi z komunikatem: dziś jedzenia nie będzie, bo nam n i e w y d a l i. Może naprawdę nie wydali, tak bywa: w jakiejś więziennej księgowości postawiono cyferkę nie tam, gdzie należy. Ale może być i tak, że przydział dano, ale konwojentom własnych racji nie wystarcza (im też się przecież nie przelewa), postanowili więc chlebuś sobie zaharapczyć, a dawać więźniom gołe pół śledzia — to byłoby podejrzane.

I oczywiście, nie po to, żeby więźnia męczyć, nie dają mu po tym śledziu ani wrzątku (to już nigdy), ani nawet surowej wody. Trzeba przecież zrozumieć, że ilość konwojentów jest ograniczona: stoją w korytarzu na warcie, pełnią straż w tamburze, na stacjach muszą zaglądać pod wagony, na dach — dają baczenie, czy ktoś aby sobie dziurki nie zrobił. Inni znów czyszczą broń, a w końcu trzeba zająć się kiedyś szkoleniem politycznym i bojowym. Trzecia zmiana śpi; bo osiem godzin należy im się według prawa, toć wojna dawno skończona. Następnie: nosić wodę wiadrami — to kawał drogi, przy tym przykro jakoś: czemu to sowiecki żołnierz ma jak juczny osioł dźwigać wodę dla wrogów ludu? Czasami na stacjach przetokowych, albo przy zmianie składów zapchną stołypiński wagon — i to nieraz na cały dzień — tak daleko od stacji (żeby nie wpadał w oko), że trudno wody przynieść nawet dla potrzeb własnej, wojskowej kuchni.

3. P. F. Jakubowicz *(W świecie wyklętych,* Moskwa 1964, tom I), pisze o latach 90-tych zeszłego wieku, że w tej strasznej epoce w syberyjskich punktach tranzytowych przeznaczano dziesięć kopiejek dziennie strawnego na aresztanta, przy tym bochen pszenicznego chleba — 3 kilo? — kosztował 5 kopiejek, a dzbanek mleka — ze dwa litry? — 3 kopiejki. „Aresztanci opływają w dostatki" — pisze. Ale już w Irkuckiej guberni ceny są wyższe, funt mięsa kosztuje 10 kopiejek i „aresztanci po prostu biedują". Funt mięsa dziennie na człowieka — to nie pół śledzia, prawda?...

No, jest wprawdzie wyjście: można zaczerpnąć wody z tendra lokomotywy — żółta, mętna, z oczkami smaru, ale zeki chętnie piją również taką wodę, nie szkodzi, w półmroku przedziału i tak nie widać, toć nie ma okna, nie ma lampy, światło — tylko z korytarza. A ponadto: tę wodę trzeba by rozdzielać strasznie długo — własnych kubków więźniowie nie mają, kto miał, temu już dawno zabrali — to znaczy, że trzeba by poić ich tymi dwoma co są w inwentarzu, a zanim się wszyscy napiją, ty stój, człowieku, cały czas, jak głupi, nabieraj i podawaj, nabieraj i podawaj. (A jeszcze jak ci zaczną między sobą wydziwiać: naprzód niech zdrowi piją, dopiero potem — gruźlicy, a na końcu syfilitycy! Tak, jakby w sąsiednim przedziale nie miało się zacząć od nowa: naprzód zdrowi...).

Ale wszystko to eskorta jeszcze by zniosła, nosiłaby wodę i poiła ich, gdyby te świnie, nachlawszy się wody, nie zaczynały od razu skamleć, że chcą do wychodka. A wychodzi na to, że jak im się nie da wody przez jakąś dobę — to w ogóle się nie napierają. Jak im się da pić raz na dobę — to jeden raz chcą iść za potrzebą. A jak się człowiek nad nimi ulituje i da pić dwa razy — to napierają się dwa razy. Prosty rachunek wykazuje, że najlepiej wcale nie dawać pić.

I nie dlatego żałują więźniom tego chodzenia za potrzebą, że szkoda wychodka — tylko dlatego, że jest to operacja odpowiedzialna, a w istocie — bojowa: wymaga przez czas dłuższy obecności podoficera i dwóch żołnierzy. Stawia się dwa posterunki — jeden koło drzwi klozetu, drugi w korytarzu, w jego przeciwległym końcu (żeby się który tam nie rzucił), zaś podoficer musi raz po raz odsuwać i zasuwać drzwi przedziału nasamprzód wpuszczając powracającego, a dopiero później wypuszczając następnego.

Regulamin zezwala na wypuszczanie tylko po jednym więźniu na raz, aby zapobiec grupowej napaści na konwój, aby nie mogli wszcząć buntu. I w rezultacie — ten jeden wypuszczony do klozetu facet absorbuje trzydziestu więźniów ze swojego przedziału, studwudziestu w całym wagonie i specjalną grupę eskorty! Wobec tego „Dalej! Dalej! Dalej! Prędzej! Prędzej" — musi popędzać go po drodze podoficer i wartownik, więzień spieszy się więc i potyka, jakby kradł państwu to oczko w klozecie. (W 1949 roku w stołypince na trasie Moskwa-Kujbyszew jednonogi Niemiec Schulz, rozumiejący już rosyjskie przynaglenia, skakać musiał na swojej nodze do klozetu i z powrotem, eskorta zaś miała z tego uciechę i domagała się szybszego skakania. Przy jednej z takich wycieczek, konwojent popchnął Niemca, nie dochodząc do klozetu. Schulz upadł. Konwojent rozsierdził się, za-

brał się do bicia i bity Schulz, nie mogąc poderwać się, musiał wpełznąć do wychodka po pokrytej fekaliami podłodze. Konwojenci pokładali się ze śmiechu[4]).

Żeby w ciągu tych chwil, spędzanych w klozecie, aresztant nie zorganizował sobie ucieczki, a także ze względu na przelotowość i pośpiech, drzwi do wychodka nie są zamykane i — obserwując czynności więźnia — konwojent zachęca go: „Ruszaj się, ruszaj!... No dosyć, dosyć już!". Czasem zaraz na wstępie pada rozkaz: „Tylko za małą potrzebą!" — i wtedy już ten z tambura na nic więcej ci nie pozwoli. No i rąk, rzecz jasna, nikt nigdy nie myje: nie starczyłoby wody w zbiorniku i czasu też brak: jeśli tylko aresztant dotknie kranu, konwojent ryczy: „Ani się waż, wychodzić!". Jeżeli ktoś ma w plecaku mydło, albo ręcznik, to nie wyjmuje już z samego wstydu: byłoby to bardzo po f r a j e r s k u. Wychodek zaś cały jest uświniony. Prędzej, prędzej! I wnosząc rzadką tę maź na butach, aresztant wciska się do przedziału. Depcząc po czyichś rękach i barkach pnie się w górę, a później jego ociekające gnojem buty zwisają z trzeciej półki.

Gdy załatwiają się kobiety, regulamin służby wartowniczej i zdrowy rozum również wymagają, aby nie zamykać drzwi wychodka, ale nie wszystkim konwojentom na tym zależy, niektórzy skłonni są do ustępstw: już dobrze tam, można zamknąć. (Jeszcze później kobiety muszą szorować ten wychodek — no i znowu musi człowiek sterczeć koło takiej baby, żeby nie uciekła).

Ale nawet przy tak szybkim tempie, załatwienie tych prostych potrzeb przez 120 osób zabiera więcej, niż dwie godziny — a więc więcej niż ćwierć szychty trzech konwojentów! I tak, czy owak — niczym im nie dogodzisz! — wszystko jedno — po pół godzinie jakiś stary, z którego piach się sypie, znów skamle, że chce iść do wychodka; rzecz jasna, że nikt mu na to nie może pozwolić, więc wali ci wprost u siebie w przedziale — i znów podoficer ma robotę: żeby go zmusić do zebrania własnymi rękami tego łajna i wyniesienia.

Wniosek prosty: jak najrzadziej puszczać do wychodka! A to znaczy — wydawać jak najmniej wody. I jedzenia też jak najmniej. Nie będą skarżyć się na rozwolnienie i zatruwać powietrza, bo to już wprost nie podobna — w wagonie nie ma czym oddychać!

Jak najmniej wody! A śledzie wydawać zgodnie z przepisami!

---

4. Objęto to u nas, zdaje się, nazwą „kult jednostki"?

Nie wydawanie wody — jest rozsądnym pociągnięciem, nie wydanie śledzi — byłoby służbowym wykroczeniem.

Nikt, ale to nikt nie miał na celu pastwienia się nad nami! Wszystkie kroki eskorty były zupełnie racjonalne! Jednak — wzorem pierwszych chrześcijan siedzimy w klatce i na pokryte ranami nasze języki sypana jest sól.

Tak samo wcale nie umyślnie (czasem umyślnie) konwojenci etapowi wsadzają do jednego przedziału Pięćdziesiąty Ósmy razem z szemranymi i pospolitakami — tylko po prostu: aresztantów jest zbyt wielu, wagonów i przedziałów — zbyt mało, czasu w ogóle nie starcza, będzie się tam człowiek z nimi wodził? Jeden z czterech przedziałów rezerwuje się dla kobiet, a co do trzech pozostałych — to jeśli już w ogóle segregować, to według stacji docelowych, żeby łatwiej szedł później wyładunek.

I czy to dlatego ukrzyżowano Chrystusa między dwoma łotrami, że Piłat koniecznie chciał go upokorzyć? Po prostu dzień taki wypadł, przyszła kolej, żeby krzyżować, Golgota — jest tylko jedna, czasu mało. I ZE ZŁOCZYŃCAMI JEST POLICZON.

◆

Boję się nawet pomyśleć o tym co musiałbym przeżyć, gdybym znalazł się w sytuacji zwykłego aresztanta... Konwojenci i oficerowie etapowi odnosili się do mnie i do moich towarzyszy w sposób wyszukanie uprzejmy... Będąc więźniem politycznym, jechałem na katorgę ze względnym komfortem — na etapach korzystałem z osobnego pomieszczenia, z dala od grupy kryminalistów; miałem swoją podwodę, którą jechał również pud moich rzeczy...

... W akapicie tym opuściłem celowo cudzysłów, po to, aby czytelnik mógł lepiej w te słowa się wmyśleć. Przecież cudzysłów zawsze oznacza jeżeli nie ironię, to przynajmniej dystans. A bez cudzysłowu ten akapit brzmi zaskakująco, prawda?

Pisze tak P. F. Jakubowicz o 90-tych latach ubiegłego wieku. Książka doczekała się teraz reedycji, abyśmy dowiedzieli się czegoś o tych ponurych czasach. Dowiadujemy się, że nawet na galarze polityczni mieli swoją osobną kajutę i część pokładu wydzieloną specjalnie dla ich spacerów. (To samo — czytamy w „Zmartwychwstaniu" Tołstoja i kniaź Niechludow, człowiek w końcu postronny, może odwiedzać politycznych, aby toczyć z nimi dyskusje). I tylko dlatego, że na liście przy nazwisku Jakubowicza „opuszczono magiczne słówko — polityczny" (sam on tak pisze) — po przybyciu do więzienia Ust'

Kara został on „powitany przez inspektora katorgi... jak zwyczajny więzień kryminalny — po grubiańsku, z arogancją i surowością". Dodajmy, że nieporozumienie wyjaśniło się na szczęście szybko.

Co za nieprawdopodobne czasy! Trzymać razem politycznych z kryminalnymi wydawało się niemal przestępstwem! Kryminalistów ekspediowano na dworce, karząc im dla większego wstydu maszerować w szyku po jezdni, polityczni zaś mogli dojeżdżać w karecie (Olmiński — 1889). Polityczni nie pobierali wiktu ze wspólnego kotła, wydawano im strawne i przynoszono obiady z jadłodajni. Bolszewik Olmiński nie chciał jeść nawet szpitalnego jedzenia — uznał je za zbyt ordynarne[5]. Oddziałowy z Butyrek przepraszał za nietakt jednego ze strażników, który zwrócił się do Olmińskiego per „ty": „bo proszę wziąć pod uwagę, że u nas rzadko zdarzają się polityczni i strażnik nie zdawał sobie sprawy...".

W Butyrkach r z a d k o z d a r z a j ą s i ę p o l i t y c z n i!... Czy to sen? Gdzie więc są? Przecież Łubianki i tym bardziej Lefortowa jeszcze wtedy nie było!...

Radiszczewa wysłano etapem w kajdanach, a jako że było zimno, narzucono na niego „ohydny, surowy kożuch" wzięty od stróża. Jednakże Katarzyna zaraz posłała w ślad za nim rozkaz: zdjąć kajdany i dostarczyć wszystkiego, co przydać się może w drodze. Annę Skrypnikową natomiast w listopadzie 1927 roku wysłano z Butyrek etapem na Sołówki w słomkowym kapeluszu i w letniej sukience (tak, jak została latem aresztowana, jej pokój zaś był od tej chwili już opieczętowany i nikt nie chciał udzielić pozwolenia na wzięcie stamtąd jej ciepłych rzeczy).

Odróżniać politycznych od kryminalistów — znaczyłoby to, że uważa się ich za równych sobie rywali, znaczyłoby to, że uznaje się, iż ludzie mogą mieć swoje p o g l ą d y. W ten sposób — nawet a r e s z t o w a n y polityczny korzystałby z politycznej w o l n o ś c i!

Ale od chwili, gdyśmy wszyscy zostali k a e r a m i — a socjaliści nie utrzymali przecież swoich politycznych praw — więc od tej chwili jedynie śmiech współwięźniów i zdumienie strażników wzbudzić mogłeś, protestując przeciw trzymaniu ciebie, p o l i t y c z n e g o razem z kryminalistami. „U nas wszyscy są kryminalni" — ze szczerym przekonaniem odpowiadali strażnicy.

---

5. Co prawda, za to wszystko ferajna (zasadnicza masa kryminalistów) nazywała zawodowych rewolucjonistów „parszywą szlachtą" (P. F. Jakubowicz).

To wymieszanie, to pierwsze zaskakujące spotkanie ma miejsce albo w suce, albo w stołypince. Aż do tej chwili — cokolwiek by z tobą robiono, jakkolwiek by cię gnębiono — męczono i zadręczano dochodzeniami — wszystko to było dziełem błękitnych czapek, wyodrębniałeś tych ludzi z reszty ludzkości, widziałeś w nich tylko czyichś bezczelnych pachołków. Natomiast twoi towarzysze z celi — choćby nawet bardzo różnili się od ciebie stopniem świadomości i rodzajem doświadczenia, choćbyś nawet musiał sprzeczać się z nimi, choćby nawet robili na ciebie donosy — jednak należeli oni do tego znanego ci, grzesznego i bezpretensjonalnie powszedniego rodzaju ludzi, wśród których spędziłeś całe życie.

Wciskając się do stołypinskiego przedziału spodziewasz się także tutaj spotkać towarzyszy niedoli. Wszyscy twoi wrogowie i gnębiciele zostali p o t a m t e j stronie kraty, tutaj już ich nie oczekujesz. I nagle podnosisz głowę ku kwadratowej wyimce środkowej półki, ku twojemu jedynemu niebu — i widzisz tam trzy-cztery — nie, nie twarze! Nie, nawet nie małpie pyski, bo nawet w małpim pysku jest coś ludzkiego! widzisz okrutne, obrzydliwe mordy, nacechowane chciwością, urągliwe. Każda z nich wpatruje się w ciebie, jak pająk wiszący nad muchą. Ich pajęczyną jest ta krata. Już cię mają! Wykrzywiają gęby, jakby zaraz mieli cię ukąsić znienacka, mówią syczącym głosem, delektując się tymi sykami bardziej, niż artykułowanymi głoskami mowy — i sam ich język tylko zakończeniami czasowników czy rzeczowników przypomina ruszczyznę, jest to szwargot.

Te dziwne goryloidy noszą chyba jakieś koszulki gimnastyczne — przecież w stołypince jest duszno; ich żylaste, purpurowe szyje, ich szerokie, rozdęte jakby bary, ich tatuowane, ogorzałe piersi nigdy nie znały więziennego wycieńczenia. Kim są oni? Skąd się wzięli? Widzisz nagle, że na jednej z tych piersi wisi krzyżyk! Tak, aluminiowy krzyżyk na sznurku. Czujesz zaskoczenie i pewną ulgę: są wśród nich ludzie wierzący, jakie to wzruszające; nic strasznego więc stać się nie może. Ale właśnie ten „wierzący" nagle chluśnie całym stekiem bluźnierstw (klną w języku przypominającym rosyjski) i zacznie pchać ci dwa rozwidlone palce prosto w oczy „rohatyną" — wcale nie grożąc, tylko od razu zabierając się do wydłubywania. W tym geście „bo ci oczy wykolę, ścierwo!" — jest ich cała filozofia i wiara! Skoro gotowi są oko ci rozgnieść, jak purchawkę, to co mogą uszanować z tego, co masz na sobie, czy przy sobie? Krzyżyk się majda, patrzysz jeszcze nie wyłupionymi oczyma na tę dziką maskaradę i tracisz orientację: kto tu już zwariował? kto dopiero wariuje?

W jednej chwili pękają i walą się w gruzy wszystkie zasady ludzkich stosunków wzajemnych, do których przyzwyczaiłeś się w życiu. W ciągu całego twego minionego życia — szczególnie przed aresztowaniem, ale także później, a nawet częściowo w trakcie śledztwa — mówiłeś ludziom jakieś s ł o w a, oni zaś odpowiadali ci również s ł o w a m i i słowa te oddziaływały w jakiś sposób — można było przekonać nimi kogoś, zaprzeczyć czemuś, albo z czymś się zgodzić. Pamiętasz rozmaite przejawy ludzkich postaw — prośbę, rozkaz, wyrazy wdzięczności — ale to, co cię tu raptem spotkało, jest poza kręgiem tych słów i tych postaw. Jako wysłannik zwierzęcych mord ześlizguje się w dół jakaś postać, najczęściej jest to plugawy małolatek, przez co jego chamstwo i bezczelność są trzykroć bardziej obrzydliwe i drobny ten bies szpera w twoich kieszeniach — nie myszkując ukradkiem, lecz tak, jakby to było jego! Od tej chwili nic twojego nie jest już twoje, sam zaś jesteś już tylko gumową kukłą, na której ponawieszane są różne rzeczy, ale te rzeczy można zdjąć. Ani temu małemu, złośliwemu gryzoniowi, ani tym mordom na górze, nie sposób niczego wyjaśnić słowami, ani odmówić, ani zabronić, niczego u nich nie wyprosisz! To nie są ludzie, zrozumiałeś to w jednej chwili. Można ich tylko — b i ć ! Nie czekając ani chwili, nie tracąc czasu na gadanie — bić! — albo tego szczeniaka, albo te wielkie bestie na górze.

Ale jak tu uderzyć, kiedy oni na górze, a ty w dole? A chłopca, chociaż to wstrętny szczurek, też jakby nie bardzo bić wypada? Może go tylko odepchnąć?... Ale odepchnąć też nie można, bo zaraz odgryzie ci nos, albo tamci z góry natychmiast rozbiją ci łeb (zresztą noże też mają, ale nie warto im sięgać po nie, żeby je brudzić juchą takiego jak ty). Rozglądasz się za sąsiadami, za towarzyszami — brońmy się, czy co, protestujmy chociaż! Ale wszyscy twoi towarzysze, twoja Pięćdziesiąta Ósma, ograbieni pojedynczo jeszcze przed twoim przyjściem, siedzą potulnie skuleni i patrzą — dobrze jeszcze, jeżeli nie gdzieś w inną stronę, patrzą na ciebie obojętnie, jakby to nie był gwałt, nie rabunek, tylko zjawisko natury: jakby trawa sobie rosła, albo deszczyk padał.

A wszystko dlatego — że teraz już za późno, panowie, towarzysze i bracia! Przypomnieć sobie kim właściwie jesteście, trzeba było wtedy, kiedy Stróżyński oblał się naftą i spłonął we wiatskiej celi, albo nawet jeszcze wcześniej, kiedy was uznano za „kaerów".

Tak więc, pozwalasz ściągnąć z siebie palto, a w twojej marynarce już została wymacana i wyrwana z kawałem sukna zaszyta tam dwudziestorublówka, twój plecak został już przerzucony na

górę, zrewidowany, i wszystko, co twoja sentymentalna żona zgromadziła dla ciebie po wyroku i dała na daleką drogę, wszystko zostało tam na górze, a na dół zrzucają ci tylko woreczek ze szczotką do zębów...

Chociaż nie każdy tak łatwo się poddawał w 30-tych i 40-tych latach, ale było takich 99-ciu na stu[6]. Jak to się mogło zdarzyć? Mężczyźni! oficerowie! żołnierze! frontowcy!

Żeby śmiało walczyć, człowiek musi być do walki gotów, musi jej oczekiwać i pojmować jej cel. Tu zaś nie mógł być spełniony żaden z tych warunków: nie znając nigdy przedtem tej ferajny, człowiek nie oczekiwał z góry tego starcia, a co najważniejsze — nie zdawał sobie sprawy z jego nieuchronności, bo wyobrażał sobie dotąd (niesłusznie), że jego jedyni wrogowie — to błękitne czapki. Długo jeszcze będzie musiał nabierać rozumu, zanim sobie uświadomi, że tatuowane piersi i machy — to tylki błękitnych czapek, że to pomiot zrodzony z tego zaklęcia, którego nigdy głośno nie powtórzą tamci, z pagonami: „Ja zdechnę jutro, ale ty już dzisiaj!" Aresztant — nowicjusz pragnie uważać się za więźnia politycznego, to znaczy: on broni ludu, państwo zaś jest wspólnym wrogiem. A tymczasem — znienacka, z tyłu i z boku dopada go jakaś szczwana hołota i wszystkie podziały nagle się mącą, a to, co było jasne, poszło w drzazgi (i nie prędko więzień zbierze się do kupy, nie prędko się zorientuje, że ta hołota — w istocie trzyma ze strażnikami).

Aby walczyć śmiało, człowiekowi potrzebne jest poczucie, że ma osłonę z tyłu, pomoc z boku i grunt pod nogami. Żaden z tych warunków dla Pięćdziesiątki Ósemki nie istnieje. Po przejściu przez śledczą maszynkę do mięsa, człowiek jest fizycznie zrujnowany: cierpiał głód, nie spał, marzł w karcerach, leżał plackiem gdy go stłukli. Ale gdyby tylko o ciało tu chodziło! — duszę też mu roztłukli na miał. Wbili mu do głowy i dowiedli, że i jego poglądy, i zachowanie się, i stosunek do innych ludzi — wszystko to było błędne, ponieważ doprowadziło go do klęski. W tym nędznym strzępie, który z maszynowni sądowej wyrzucony został na śmietnisko etapu, telepie się jeszcze tylko pragnienie życia i nie ma już śladu żadnych koncepcji. Zmiażdżyć ostatecznie i aż do końca zdezintegrować człowieka — oto zadanie śledztwa politycznego, gdy wchodzi w grę artykuł 58. Skazani na jego podstawie powinni zrozumieć, że ich największą winą

6. Wśród niewielu relacji na ten temat znam historię trzech solidarnych (młodych i zdrowych) ludzi którzy potrafili przeciwstawić się szemranym — nie broniąc jednak sprawiedliwości, ani współtowarzyszy, których dalej grabiono tuż obok — lecz występując tylko we własnej obronie. Rodzaj zbrojnej neutralności.

w poprzednim życiu była próba porozumienia się, albo zbliżenia z innymi ludźmi ponad głową sekretarza partyjnego, delegata związkowego i administracji. W zakładzie karnym doprowadza to do lęku przed każdym objawem tak zwanej k o l e k t y w k i: ludzie boją się złożyć tę samą skargę do spółki z kim innym, albo ten sam papierek opatrzeć dwoma podpisami. Oduczeni teraz na długo od wszelkich związków wzajemnych, więźniowie niby-polityczni nie zdradzają ochoty do łączenia się z innymi, nawet dla obrony przeciw szemranym. Tak samo nie przychodzi im do głowy, żeby w wagonie albo na etapie mieć przy sobie jakąś broń — nóż, albo pałkę. Po pierwsze — po co to? Przeciw komu? Po drugie, jeżeli złapiesz za nóż ty, na którym ciąży złowieszczy 58-my artykuł to — idąc drugi raz pod sąd — możesz zostać nawet rozstrzelany. Po trzecie, jeszcze zanim dojdzie co do czego, przy byle rewizji będziesz za ten nóż ukarany całkiem inaczej, niż jakiś szemrany: nóż w jego rękach — to swawola, tradycja, brak uświadomienia. W twoich zaś — to narzędzie terroru.

I wreszcie, większa część skazanych z 58-ego artykułu — to ludzie spokojni (często — starzy albo chorzy), którzy przez całe życie używali raczej słów, niż pięści — i teraz nie bardziej, niż dawniej palą się do ich użycia.

Knajacy zaś nie przechodzili przez takie śledztwo. Całe śledztwo sprowadzało się dla nich do dwóch przesłuchań — potem — łatwy sąd, lekki wyrok, a nawet tego lekkiego wyroku też nie będą musieli odsiedzieć do końca, prędko ich wypuszczą — albo zrobi to administracja, albo sami uciekną[7]. Nikt nie odbierał knajakowi prawa do paczek nawet w czasie śledztwa, a kumple zza murów posyłają im dobre paczki. Nie schudł ani o gram, nie opadł z sił — i oto teraz w drodze dokarmia się kosztem frajerów[8]. Artykuły odnoszące się do kradzieży i bandytyzmu nie tylko nie są ciężarem dla szemranego, lecz są przedmiotem dumy — i dumę tę podsycają w nim wszyscy panowie z błękitnymi naramiennikami i wypustkami: „Nie szkodzi, chociaż z ciebie bandyta i morderca, ale za to nie jesteś zdrajcą ojczyzny, jesteś n a s z, jeszcze się poprawisz". Artykułom tym nie towarzyszy żaden paragraf j e d e n a s t y — mówiący o organizacji. Knajakom wolno się organizować — dlaczego nie? — organizacja

7. W. I. Iwanow (obecnie mieszkający w Uchcie) dziewięć razy miał wyroki z artykułu 162 (kradzież), pięć razy z 82-ego (ucieczka) — w sumie 37 lat więzienia, a „odsiedział" je w ciągu 5-6 lat.

8. F r a j e r — to każdy, który nie jest złodziejem, czyli Człowiekiem (z dużej litery). Albo prościej: frajerzy — to cała ludzkość, poza złodziejami.

taka sprzyja rozwojowi uczuć kolektywnych, tak cennych dla naszego społeczeństwa. I jeśli znajdą przy którymś broń — to głupstwo, za posiadanie broni nikt ich nie karze, trzeba szanować ich wewnętrzne prawa („oni nie potrafią inaczej"). I nowy mord, popełniony w celi nie prowadzi do przedłużenia kary lecz tylko wieńczy zabójcę nowymi laurami.

(Ma to swoje bardzo głębokie korzenie. W pracach, pisanych w minionym stuleciu lumpenproletariatowi zarzucano najwyżej pewną niekonsekwencję i niestałość. Stalin zaś zawsze miał słabość do szemranych — któż inny grabił na jego zlecenie carskie banki? W 1901 roku jego towarzysze partyjni i współwięźniowie oskarżyli go o wykorzystywanie kryminalistów w walce z przeciwnikami politycznymi. W latach 20-tych zjawił się też bardzo poręczny termin: elementy *socjalnie-bliskie*. W tym aspekcie rozpatrywać też trzeba doktrynę Makarenki: CI ludzie poddają się reedukacji. (Według Makarenki[9] glebą dla przestępczości jest tylko „podziemie kontrrewolucyjne"). Nie nadają się natomiast do reedukacji TAMCI — inżynierowie, duchowni, eserowcy, mienszewicy).

Dlaczego właściwie nie rabować, jeżeli nikt nie łapie za rękę? Trzech-czterech zgranych ze sobą i zuchwałych typków z ferajny trzyma w szachu kilkudziesięciu zastraszonych i przygnębionych niby-politycznych.

Z aprobatą zwierzchności. W zgodzie z Przodującą Doktryną.

Dobrze — ofiary nie walczą. Dlaczego przynajmniej się nie skarżą? Przecież każdy dźwięk słychać na korytarzu, po którym wolnym krokiem spaceruje konwojent, o, właśnie go widać.

Tak, to jest pytanie. Słychać jęk i żałosny charkot, konwojent zaś wciąż się przechadza — dlaczego więc sam się nie wtrąci? O metr od niego, w mrocznej pieczarze przedziału obrabowują człowieka — dlaczego nie bierze go w obronę ten mundurowy rycerz z oddziałów ochronnych?

A z tej samej przyczyny. Jego też tak nauczono.

Więcej nawet: po tylu latach pobłażliwości sama eskorta przeszła na stronę złodziei. Eskorta SAMA ZACZĘŁA KRAŚĆ.

Nikt nie potrafi sobie przypomnieć, aby w okresie między środkiem lat 30-tych a środkiem lat 40-tych, więc w dziesięcioleciu najdzikszego rozpasania szemranych i największego poniżenia politycznych, choćby jeden jedyny raz eskorta przeszkodziła w ograbieniu politycznego więźnia w celi, w wagonie, w suce. Ludzie potrafią natomiast przytoczyć mnóstwo wypadków, gdy eskorta przyjmowała od złodziei zagrabione przedmioty, i przy-

9. *Chorągwie na wieżach.*

nosiła im w zamian za nie wódkę, wiktuały (smaczniejsze od przydziałowych), tytoń. Są to sprawy już banalne.

Taki sierżant z konwoju też przecież nie ma nic własnego: broń, szynel w trokach, menażka, żołnierski prowiant. Okrucieństwem byłoby żądać od niego, aby eskortował wroga ludu, podróżującego w drogim futrze, albo chromowych butach, albo z całym tobołem miejskich, zbytkownych rzeczy — i żeby pogodził się z tak krzyczącą nierównością. Przecież wywłaszczenie go z tych zbytków — też jest formą walki klasowej? A jakie tu w ogóle normy być mogą?

W latach 1945-46, kiedy rzeka więźniów płynęła nie z byleskąd, tylko z Zachodu i pełno było na tych ludziach i w ich plecakach niezwykłych zachodnich wyrobów — nie potrafili oprzeć się pokusie nawet oficerowie eskorty. Służba w tych oddziałach oszczędziła im pójścia na front, pod koniec zaś działań oszczędziła im również łupów wojennych — czy to było sprawiedliwe?

A więc nie przypadkiem, nie przez pośpiech, nie z uwagi na brak miejsca, tylko we własnym interesie konwojenci pakowali szemranych razem z politycznymi do przedziałów swojej stołypinki. I ferajna nie sprawiała im zawodu: wydzierała j e l e n i o m[10] rzeczy, które w końcu trafiały do kuferków eskorty.

Ale co robić jeżeli wagon pełen już jest j e l e n i, pociąg dawno już jedzie, a złodziei — nie ma ani na lekarstwo, po prostu — jakoś ich dzisiaj nie dostarczono, nie ma tego towaru na żadnej stacji? Było również kilka takich wypadków.

W 1947 roku wieziono z Moskwy do Władimira, do karnego centralniaka, grupę cudzoziemców. Mieli dużo pysznych ciuchów, co łatwo dało się stwierdzić już przy pierwszym otwarciu walizek. Wówczas eskorta s a m a zabrała się w wagonie do systematycznej rekwizycji tych rzeczy. Aby niczego nie przeoczyć, rozebrano więźniów do naga, kazano im siąść na podłodze wagonu obok wychodka, a tymczasem przeglądano i zabierano ich rzeczy. Ale eskorta nie wzięła pod uwagę, że wiezie ich nie do żadnego obozu, tylko do więzienia serio. Po przybyciu na miejsce, I. A. Korniejew złożył na piśmie skargę, w której opisał wszystko. Odnaleziono tych konwojentów i poddano — ich z kolei — rewizji. Część rzeczy jeszcze odnaleziono i zwrócono je właścicielom. Za resztę dano im odszkodowanie pieniężne. Podobno konwojenci dostali po 10 i 15 lat. Zresztą — trudno to sprawdzić, ponadto skazano ich ze złodziejskiego artykułu, więc odsiadka nie mogła być długa.

10. J e l e ń — bogaty zek, zaopatrzony w ciuchy i wałówkę.

Był to jednak wypadek wyjątkowy i naczelnik eskorty powinien był w porę powściągnąć swoją chciwość, boć łatwo było się połapać, że tu lepiej trzymać się z dala. A oto wypadek mniej skomplikowany — i dlatego chyba nie tak rzadki. W stołypince Moskwa-Nowosybirsk, w sierpniu 1945 roku (jechał w niej A. Suzi) też jakoś nie było złodziei. A droga zapowiadała się długa, stołypinki wlokły się w tych latach wolniutko. Naczelnik eskorty bez zbędnego pośpiechu zarządził w odpowiedniej chwili rewizję, każąc więźniów wyprowadzać na korytarz pojedynczo, z rzeczami. Wezwanych rozbierano według więziennego rytuału, ale nie na tym polegał sens rewizji, bo ludzie wracali do tego samego swojego przedziału i jakiś nóż, albo inną rzecz zakazaną można było przekazywać sobie z rąk do rąk. W istocie chodziło o przegląd wszystkich rzeczy osobistych — zarówno tych, jakie więzień miał na sobie, jak tych, co były w plecaku. Przy tych plecakach przez cały długi czas rewizji, wcale się nie nudząc, stał z wyniosłą, nieprzystępną miną naczelnik eskorty, oficer i jego pomocnik, sierżant. Grzeszna chciwość szukała ujścia, ale oficer trzymał ją na uwięzi, udając obojętność. Był w sytuacji starego rozpustnika, podglądającego dziewczęta, który nie wie, jak zbliżyć się do nich, bo krępują go spojrzenia osób trzecich, a także samych dziewcząt. Ach, jakby tu się przydało paru złodziei! Ale nie było ich w tym transporcie.

Nie było więc złodziei, ale było paru, których okadziło już i zakaziło złodziejskie tchnienie więzienia. Przecież przykład dawany przez szemranych jest pouczający i budzi chęć naśladownictwa: dowodzi on, że istnieje sposób na ułatwienie sobie życia w więzieniu. W jednym z przedziałów jechało dwóch niedawnych oficerów — Sanin (marynarz) i Mierežkow. Obaj trafili tu z 58-go artykułu, ale już rozpoczął się w nich proces *adaptacji*. Sanin przy poparciu Mierežkowa ogłosił się starostą przedziału i przez konwojenta poprosił o posłuchanie u naczelnika eskorty. (Odgadł sekret tej wyniosłości i jej tęsknotę za rajfurem!). Rzecz niebywała, ale Sanin został wezwany i gdzieś tam doszło do rozmowy. Idąc za przykładem Sanina, poprosił o to samo również ktoś z drugiego przedziału. Ten też został przyjęty.

Rankiem zaś chleba wydano nie 550 gramów, jak wymagała tego norma tranzytowa, lecz tylko — 250.

Racje rozdano i zaczęły się szemrania. Utyskiwano, ale bojąc się oskarżenia o „kolektywne akcje", ci polityczni nie wystąpili otwarcie. Znalazł się tylko jeden, który głośno spytał rozdającego chleb żołnierza:

— Obywatelu naczelniku! A ile ta porcja waży?

— Tyle, ile się należy.

— Domagam się zważenia, inaczej nie wezmę! — głośno oznajmił straceniec.

Cały wagon zamarł. Wielu nie tykało chleba, czekając, czy aby im też nie zważą porcji. Wtedy właśnie wkroczył oficer w blasku swojej nieskazitelności. W ogólnej ciszy i tym cięższe, tym bardziej nieodwracalne wydały się wszystkim jego słowa:

— Kto tu wystąpił przeciw sowieckiej władzy?

Wszystkim zamarły serca. (Powie ktoś, że jest to chwyt stosowany powszechnie, że również na wolności byle kierowniczek uznaje się za wcielenie władzy sowieckiej — i spróbuj z nim się sprzeczać, człowieku. Ale dla sterroryzowanych, dla dopiero co skazanych za działalność antysowiecką — to coś znacznie straszniejszego).

— Kto tu wszczął BUNT z powodu przydziału? — nalegał oficer.

— Obywatelu lejtnancie, ja tylko chciałem... — już próbował się sumitować sprawca rebelii.

— Ach, to ty, bydlaku? To tobie nie podoba się władza sowiecka?

(I na co zdały się bunty, co dają sprzeciwy? Czy nie łatwiej zjeść tę małą porcyjkę, pogodzić się z losem, milczeć?... Bo inaczej — widzicie, co ten wyprawia...).

— ... Ty ścierwo śmierdzące! Kontra! Samemu by ci odważnikiem łeb rozbić, a nie chleb nim ważyć! Ciebie, gadzie, sowiecka władza karmi i poi — a ty jeszcze nosem kręcisz? Wiesz, co się za to należy?...

Pada rozkaz: „Zabrać go!". Zgrzyt zamka. „Wychodzić, ręce do tyłu!". Nieszczęśnik zostaje wyprowadzony.

— Kto jeszcze niezadowolony? Zważyć komu porcję?

(Czy tu w ogóle można coś zwojować? Czy gdzieś można poskarżyć się, że było tylko 250 — i czy uwierzą ci, nie uwierzą zaś lejtnantowi, że było całe 550?).

Bitemu psu wystarczy bat pokazać. Wszyscy pozostali okazali zupełne zadowolenie i w ten sposób wyprowadzony został karny przydział NA CAŁY OKRES długiej podróży. Cukier też zniknął — eskorta go sobie zabierała.

(Było to tego lata, gdy odniesiono dwa epokowe zwycięstwa — nad Niemcami i nad Japonią, zwycięstwa, które opromienią blaskiem dzieje naszej Ojczyzny, o których uczyć się będą wnuki i prawnuki).

Pościli tak dzionek, pościli drugi, rozumu trochę im przybyło, więc Sanin oświecił w końcu ludzi ze swojego przedziału: „Wiecie, chłopaki, długo tak nie pociągniemy. Jeżeli kto ma jakieś porządne rzeczy — to niech wykłada, ja im je zaniosę i przyniosę

wam żarcia". Z wielką znajomością rzeczy zaczął jedne przedmioty wybierać, inne odrzucać (nie wszyscy zresztą się zgadzali, ale przecież nikt ich nie zmuszał!). Następnie poprosił o pozwolenie wyjścia razem z Mierężkowem i — dziwna rzecz — konwój wypuścił ich. Poszli z ciuchami w stronę przedziału eskorty i wrócili z bochnami chleba, pięknie pociętymi na kromki i z zapasem machorki. Były to te same bochenki — te siedem kilogramów, których nie dawano co dzień przedziałowi, tylko że teraz przypadły one nie wszystkim, lecz tym jedynie, którzy zapłacili ciuchami.

To było całkiem sprawiedliwe: wszyscy przecież oznajmili, że zupełnie im wystarcza zmniejszona racja. Było to sprawiedliwe także dlatego, że ciuchy mają swoją wartość i trzeba przecież za nie płacić. I na dłuższą metę — też jest sprawiedliwe: przecież to za dobre rzeczy dla obozu, tak czy owak byłyby im tam zabrane, albo ukradzione.

Machorka zaś pochodziła z zapasów eskorty. Żołnierze dzielili się z więźniami swoją najrodzeńszą machorą, ale to też było sprawiedliwe — ponieważ także oni jedli chleb więźniów oraz ich cukier, skądinąd zbyt dobry, aby zostawić go wrogom. I wreszcie — było sprawiedliwie, że Sanin i Mierężkow, którzy żadnych ciuchów swoich nie oddali — przydzielili sobie więcej, niż ofiarodawcom, ponieważ bez nich nie doszłoby do tej transakcji.

I tak siedzieli sobie w tłoku i w ciemnościach, a jedni żuli chleb, który należał się sąsiadom, drudzy zaś przyglądali im się tylko. Konwojenci nie dawali przypalać pojedynczo, tylko raz na dwie godziny i wtedy cały wagon zasnuwał się dymem, jakby stał już w ogniu. Ci, którzy z początku swoich ciuszków żałowali, teraz robili sobie wyrzuty i prosili Sanina, żeby je przyjął, ale Sanin powiedział, że jak już, to później.

Operacja ta nie dałaby się przeprowadzić tak sprawnie i konsekwentnie, gdyby nie długie trasy i powolne stołypinki pierwszych lat powojennych, kiedy nie doczepiano ich na czas i przetrzymywano na stacjach — ale za to bez tych powojennych warunków nie byłoby również tych ciuszków, na których tak ludziom zależało. Do Kujbyszewa jechali cały tydzień — i cały ten tydzień dostawali od państwa tylko 250 gramów chleba (było to zresztą dwa razy więcej, niż podczas blokady w Leningradzie), suszone ryby i wodę. Resztę chleba trzeba było wykupywać kosztem własnych rzeczy. Wkrótce podaż okazała się większa, niż popyt i eskorta przyjmowała już ciuchy bardzo niechętnie przebierając, jak w ulęgałkach.

Na kujbyszewskim punkcie etapowym zawieziono ich do łaź-

ni, wykąpano i w tym samym składzie odwieziono do tego samego wagonu. Eskorta była już inna, ale sztafetą przekazano jej zapewne informacje, jak można zdobyć ciuchy — więc ta sama zasada zakupu własnej racji dziennej przestrzegana była aż do Nowosybirska. (Łatwo wyobrazić sobie, że zaraźliwe to doświadczenie udzielało się innym oddziałom eskorty łatwo i szeroko).

Kiedy w Nowosybirsku zeszli z wagonów na ziemię między torami i jakiś nowy oficer podszedł do nich z pytaniem: „Są jakieś skargi na eskortę?" — bardzo się stropili i nikt mu jakoś odpowiedzi nie udzielił.

Dobrze to sobie wykalkulował ten pierwszy naczelnik eskorty — ten kraj, to Rosja!...

◆

Pasażerowie stołypinki różnią się od pasażerów reszty wagonów także pod tym względem, że nie wiedzą, dokąd pociąg jedzie i na jakiej stacji będą musieli wysiąść: biletów przecież nie mają, a wywieszek z marszrutą na wagonach nie czytują. W Moskwie załadowują ich czasem do pociągu w takiej odległości od peronów, że nawet urodzeni w tym mieście nie wiedzą jaki to właściwie dworzec, a jest ich osiem. Przez kilka godzin aresztanci siedzą w smrodliwym zaduchu i ciasnocie, czekając na parowóz manewrowy. Oto nadjeżdża i dowozi wagon aresztancki do czekającego już składu. Jeżeli to lato, dworcowe megafony wykrzykują: „Moskwa-Ufa odchodzi z trzeciego peronu"... Na peronie pierwszym oczekuje na sygnał odjazdu pociąg relacji „Moskwa-Taszkient...". A więc jesteśmy na dworcu Kazańskim i znawcy geografii Archipelagu oraz jego tras mogą teraz objaśnić kolegów: Workuta i Pieczora — to odpada, tam się jedzie z Jarosławskiego dworca; nie wchodzą też w grę obozy Kirowskie i Gorkowskie[11]. Na Białoruś, na Ukrainę, na Kaukaz — z Moskwy nigdy się więźniów nie wysyła, bo tam swoich własnych nie mają gdzie podziać. Słuchamy dalej. Pociąg do Ufy już odszedł — nasz ani drgnie. Do Taszkientu też już odjechał — a my stoimy. „Odjeżdża pociąg relacji Moskwa-Nowosybirsk... Prosi-

11. Tak ziarno sławy miesza się z plewą. Ale — czy to plewa? Nie ma przecież obozów puszkinowskich, gogolowskich, tołstojowskich — gorkowskie zaś są i to jakie gniazdo! A prócz miasta Gorki jest jeszcze katorżnicza kopalnia „im. Maksyma Gorkiego" (40 km. od Elgen)! Tak, Aleksy Maksymiczu, ... „Waszym, towarzyszu, sercem i imieniem"... „Jeśli wróg się nie poddaje, to musi być unicestwiony...". Wypsnie się człowiekowi zręczne powiedzonko, i ani się obejrzy, a już go nie ma w literaturze.

my odsunąć się od toru... Bilety należy okazywać na każde żądanie...". Wagon drgnął, rusza. To nasz! Ale czego to dowodzi? Chwilowo niczego. Nasze jest całe środkowe dorzecze Wołgi, nasz jest też południowy Ural. Nasz jest cały Kazachstan z kopalniami miedzi w Dżezkaganie. Do nas należy Tajszet ze swoim zakładem impregnacji podkładów kolejowych (gdzie kreozot podobno przesącza się przez skórę, aż do kości, parami jego przesycają się płuca — a to już śmierć). Cała Syberia jest jeszcze nasza, aż do samej Sowgawani. I do nas należy — Kołyma. I Norylsk — też jest nasz.

Jeżeli to dzieje się zimą — to wagon zamknięty jest szczelnie i nie słychać megafonów. Jeżeli eskorta przestrzega ściśle regulaminu — to od nich też nie dowiesz się ani słówka o marszrucie. Tak oto ruszymy w drogę, zapadniemy w sen w rojowisku cudzych ciał, przy rytmicznym wtórze kół — nic nie przeczuwając, nie wiedząc, czy jutro przez okno mignąnam lasy, czy stepy. Mignąnam — przez okno w korytarzu, ze środkowej półki przez kratę, korytarz, dwie szyby i jeszcze jedną kratę zewnętrzną widać jednak jakieś perony i jakieś skrawki przestrzeni, zostającej za pociągiem w tyle. Jeśli zamróz szyb nie pokrywa, można czasem przeczytać nawet nazwę stacji — jakieś Awsiunino, albo Undoł. Gdzie to może być?... Nikt w przedziale nie wie. Czasem można zorientować się według słońca, czy wiozą na północ, czy na wschód. Albo w jakimś Tufanowie wepchną wam do przedziału obszarpanego pospolitaka, który się zwierzy, że wiozą go do Daniłowa na rozprawę, a boi się, bo mogą mu dać jakieś dwa latka. W ten sposób dowiecie się, że w nocy minęliście Jarosławl, z czego wynika, iż pierwsze więzienie tranzytowe po drodze będzie w Wołogdzie i zaraz znajdą się w przedziale znawcy przedmiotu, którzy tonem przestrogi zacytują znane powiedzonko: „Wołogodzka eskorta — gorsza od czorta!"

Ale nawet znając już kierunek — jeszczeście się niczego nie dowiedzieli: więzienia tranzytowe zadzierzgnięte są na kształt węzełków na waszej niteczce, jedno za drugim — i z każdego mogą was odesłać gdzieś w bok. Ani do Uchty, ani do Inty, ani do Workuty nic cię nie ciągnie. Może myślisz, że budowa numer 501, to coś lepszego? Kolej żelazna w tundrze, na samej północy Syberii? Tyle warta co tamte.

Jakieś pięć lat po wojnie, kiedy rozlane rzeki aresztantów ujęte zostały jednak w koryta (albo może w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zwiększono ilość etatów?) w resorcie poddano w końcu segregacji milionowe sterty a k t i odtąd każdemu skazańcowi towarzyszyła w drodze koperta z jego więziennymi

papierami. Koperta miała wycięcia, w które wpisywana była marszruta — do wiadomości eskorty (bo po co mają więcej wiedzieć, zawartość akt może mieć wpływ demoralizujący). I oto — jeżeli leżysz na średniej półce, a sierżant zatrzymał się akurat koło ciebie, jeśli nadto potrafisz czytać do góry nogami — to może ci się udać odcyfrować napis, z którego wynika, że kogoś tam kieruje się do Kniaż-Pogostu, ciebie zaś — do Kargopołłagu.

No, teraz denerwujesz się jeszcze bardziej — co to znów za Kargopołłag? Kto słyszał o nim?... Jakiego typu są tam roboty o g ó l n e ? (Bywają ogólne roboty zabójcze, zdarzają się też jakieś lżejsze). Trupiarnia, czy nie?

I jak mogło dojść do tego, jak mogło! że w pośpiechu, przed wyjazdem, nie dałeś znać o niczym swoim krewnym — i wciąż im jeszcze się zdaje, że siedzisz w stalinogorskim obozie pod Tułą. Jeżeli ten niepokój bardzo cię nęka i jeśli należysz do ludzi pomysłowych, to może uda ci się rozwiązać także to zadanie: znajdzie się u kogoś centymetrowy kawałek grafitu z ołówka, kto inny ma jakiś wymięty papierek. Oglądając się wciąż, czy konwojent z korytarza nie widzi (a nie wolno kłaść się nogami w stronę kraty, tylko głową), w niewygodnej pozie, odwrócony, między jednym szarpnięciem wagonu a drugim, piszesz krewnym, że zabrano cię bez uprzedzenia spod tego starego adresu, że teraz jesteś w drodze, że z nowego miejsca pobytu można będzie pisać tylko raz do roku, niech na to będą przygotowani. Złożony w trójkącik list trzeba teraz mieć przy sobie przy wyjściu do wychodka: a nuż się uda, może puszczą cię tam — akurat niedaleko jakiejś stacji, może konwojent w tamburze zagapi się — naciśnij wtedy czym prędzej na pedał, niech się spust odemknie, wrzuć tam list, póki cię nie widzą! List się zamoczy i pobrudzi, ale może przelecieć i upaść między szyny. Może się uratuje, wiatr spod kół zakręci nim, list wleci pod koła, ale może też je minie i opadnie na zbocze nasypu. Może będzie tam leżał aż do pory deszczowej, może doczeka się śniegu i zatraty, ale może ręka ludzka go podniesie. I jeśli przypadkiem nie będzie to ręka jednostki ideowej — to poprawi adres, sama dopisze jakieś litery, albo włoży do koperty — i może jednak list twój jeszcze dotrze do celu. Czasem takie listy dochodzą — z dopłatą, z adresem zatartym, albo rozmazanym, wymięte, ale jako znak niedoli — wystarczająco czytelne...

◆

Ale najlepiej dla ciebie, jeśli przestaniesz już być f r a j e r e m, śmiesznym nowicjuszem, ofermą i ofiarą. W dziewięćdzie-

sięciu pięciu przypadkach na sto — twój list nigdzie nie dotrze, ale jeśli nawet nadejdzie, to nikomu radości nie przysporzy. Bo i po co ten krótki oddech, to liczenie godzin i dni, podczas gdy znalazłeś się w krainie eposu? Od przyjazdu do wyjazdu mijają tu dziesięciolecia, czas mierzy się ćwiartkami wieku. NIGDY NIE WRÓCISZ do dawnego twego świata. Im prędzej odzwyczaisz się od swoich bliskich, a twoi bliscy od ciebie — tym lepiej. Tym lżej ci będzie.

I własnych rzeczy trzeba mieć jak najmniej, żeby później nie drżeć o nie! Nie trzeba mieć walizki, aby eskorta nie musiała zgnieść jej na miazgę przy wejściu (skoro w przedziale jest 25 ludzi, to co innego w ogóle zrobić mogła?), nie trzeba też mieć nowych butów, ani modnych półbucików, ani wełnianego garniturku: w stołypince, albo w suce, przy przejściu przez więzienie tranzytowe — i tak ukradną, odbiorą, zamienią, każą oddać. Jeśli oddasz bez sprzeciwu — to upokorzenie długo będzie zatruwać ci serce. Jeśli zabiorą ci siłą — to za twoje myto jeszcze cię obito. Obrzydzenie budzą w tobie te bezczelne machy, te urągliwe tony, cała ta dzicz dwunoga — ale mając coś własnego i trzęsąc się nad tym — czy nie tracisz rzadkiej okazji do obserwacji i wyniknięcia w głąb tego zjawiska? Może myślisz, że filibustierzy, piraci, korsarscy kapitanowie, tak ozdobnie opisani przez Kiplinga czy Gumilowa — byli inni, nie należeli do tej samej ferajny? Zaliczali się do tego samego gatunku... Zachwycali cię w romantycznych filmach — czemuż to tutaj wstręt w tobie budzą?

Ich też trzeba zrozumieć. Więzienie jest ich d o m e m r o d z i n n y m. Władza stara się zjednać ich sobie, łagodzi im kary, amnestionuje, wszystko to prawda — ale fatalny los wciąż na nowo każe im tutaj wracać... Czy to nie oni są pierwszymi prawodawcami Archipelagu? Przez pewien czas także n a w o l n o ś c i prawo własności u nas z takim sukcesem było zwalczane (później ci, którzy to robili, sami już chcieli mieć to i owo) — dlaczegóż więc powinno być ono tolerowane w więzieniu? Zagapiłeś się, nie zjadłeś na czas swojej słoniny, nie podzieliłeś się z przyjaciółmi cukrem i tytoniem — więc teraz knajacy bobrują w twoim worku, aby naprawić twoje uchybienie. Dają ci jakieś żałosne o k u l a k i, zamiast twoich pasowanych butów, brudną fufaję — zamiast twojego swetra, ale nie długo będą mieć te rzeczy w swoim ręku: twoje buty będą jeszcze pięciokrotnie przegrane — albo wygrane w karty, sweter zaś już jutro o p y l ą za litr wódki i za pęto kiełbasy. Minie doba — i tak samo nie będą ich mieć, jak ty ich nie masz.

Działa tu drugie prawo termodynamiki: poziomy i różnice ulegają wyrównaniu...

Żadnego mienia! Nie mieć niczego! uczył nas Budda i Chrystus, stoicy i cynicy. Dlaczegóż to nie chcemy wmyśleć się, opętani chciwością, w sens tego przesłania? Czy nie rozumiemy, że posiadanie gubi nasze dusze?

No, niech już tam będzie jakiś śledź, ale grzej go w kieszeni aż do przybycia na etap, żebyś nie musiał błagać o coś do popicia. A chleb i cukier wydali na dwa dni — zjedz je od razu. Wtedy nikt ci ich nie ukradnie. I nie ma kłopotu. I bądź, jak ptaki niebieskie!

Miej tylko tyle, co zawsze można zabrać ze sobą: poznaj języki, poznaj obce kraje, poznaj ludzi. Niech pamięć będzie twoją sakwą podróżną. Zapamiętuj! Zapamiętuj! Tylko te gorzkie ziarna może kiedyś wzejdą.

Rozejrzyj się dokoła — otaczają cię ludzie. Może któregoś z nich będziesz potem wspominał całe życie i palce gryźć będziesz, żeś go nie wypytał. I mów mniej — a więcej usłyszysz. Między wyspami Archipelagu rozsnute są cienkie nici żywotów ludzkich. Przędą się, stykają się ze sobą — choćby w takim półciemnym, turkoczącym wagonie, później znów rozchodzą się na wieki, ty zaś nastaw ucha na ciche ich brzęczenie i na równy stukot, co dochodzi spod podłogi. To postukuje przecież — wrzeciono życia.

Jak dziwacznych historii tu się człowiek nasłucha, jakie miewa tutaj powody do śmiechu!

Na przykład ten ruchliwy Francuzik, siedzący przy samej kracie — czemu ciągle się kręci? Co go tutaj tak dziwi? Czego jeszcze dotychczas nie zrozumiał? Niechże mu to ktoś wyjaśni! A przy okazji — warto także spytać: jak się tu dostał? Znalazł się ktoś, znający francuski język i dowiadujemy się, że to Max Santerre, francuski żołnierz. Taki sam wścibski i zwinny był wtedy, gdy jeszcze był wolny w swojej *douce France*. Mówili mu życzliwi ludzie, żeby się tam nie wiercił, on zaś wciąż się uwijał w pobliżu punktu repatriacyjnego dla Rosjan. Wówczas jacyś nasi ziomkowie wypili z nim jednego — i od tej chwili niczego już on więcej nie pamięta. Wrócił do przytomności dopiero w samolocie, na podłodze. Stwierdził, że ma na sobie bluzę czerwonoarmiejca i mundurowe spodnie, nad sobą zaś ujrzał długie buty konwojenta. Teraz mu powiedziano, że dostał 10 lat obozu, ale to chyba tylko złośliwy żart, to się wszystko wyjaśni?... A pewno, wyjaśni się, kochaneńki, możesz długo cze-

kać[12]! (No, ale w latach 45-46 takie wypadki nikogo nie dziwiły).

To był temat francusko-rosyjski. A oto macie rosyjsko-francuski. Zresztą nie — chyba czysto rosyjski, bo kto jeszcze prócz Rosjanina potrafi tyle mieszać i namotać? W każdej epoce zdarzali się u nas ludzie, którzy w niej się nie mieścili, jak Mienszykow na obrazie Surikowa w chłopskiej chacie.

Także Iwan Kowierczenko — chociaż szczupły i średniego wzrostu, ale jakoś się nie mieścił. A to dlatego, że chłopczyna był z niego krew z mlekiem, tylko że dodał diasek gorzałki do tej mieszaniny. Kowierczenko sam o sobie mówi chętnie i nie bez humoru. Opowieści takie — to prawdziwy skarb — tylko słuchać. Co prawda, dłuższy czas trudno zgadnąć, za co go w ogóle aresztowano i dlaczego uchodzi za politycznego. Ale żeby otrzymać tę godność nie trzeba mieć żadnych odznaczeń. Nie wszystko jedno jakimi grabiami cię wyczesali?

Jak wszyscy dobrze wiedzą, do wojny chemicznej szykowali się podstępnie Niemcy, nie zaś my. Dlatego bardzo to było nieprzyjemne, że przy odwrocie z Kubania, z winy jakichś niedorajdów od amunicji, zostawiliśmy na pewnym lotnisku kilka sągów bomb chemicznych — i Niemcy mogli mieć potem okazję do międzynarodowego skandalu. Wówczas to dano starszemu lejtnantowi Kowierczence, rodem z Krasnodaru, koło dwudziestu spadochroniarzy i przerzucono go na tyły niemieckie, zlecając, aby te pechowe bomby dobrze tam zakopał. (Czytelnicy już domyślają się reszty i zabierają się do ziewania: Kowierczenko znalazł się w niewoli i jest teraz zdrajcą ojczyzny. Kulą w płot — nic podobnego!). Kowierczenko wykonał rozkaz co do joty, nie poniósł żadnych strat w ludziach, przebił się z powrotem przez front i na wniosek swego dowódcy miał otrzymać tytuł Bohatera Związku Sowieckiego.

Ale przecież taki wniosek załatwiany jest miesiąc — drugi. A co, jeśli przez ten czas się wyjaśnia, że człowiek nie mieści się nawet w skórze Bohatera? Tytuł ten dają potulnym chłopaczkom, przodownikom wyszkolenia bojowego i politycznego — a tymczasem człowieka aż rozpiera, suszy go, że wprost nie podobna, a tu nie ma czego wypić. Ale jak już jesteś tym Bohaterem całego Związku — to jakim prawem skąpią ci litra wódki te gady? Iwan Kowierczenko skoczył więc na konia i — chociaż mówiąc prawdę, nic nie wiedział o Kaliguli — jednak wjechał konno po schodach, na piętro, do wojskowego komisarza, czy

12. Miał złapać jeszcze w obozie drugi wyrok, 25 lat i zwolniony został z Ozierłagu dopiero w 1957 roku.

tam komendanta tego miasta: dawaj, powiada, zlecenie na wódkę! (Wykalkulował sobie, że tak będzie jakoś okazalej, w sam raz, jak na Bohatera i że trudniej będzie odmówić). Za to go wsadzili? — Nie, też wymyślił! Za to zjechał tylko z Bohatera do Kawalera Orderu Czerwonego Sztandaru.

Kowierczenkę wciąż bardzo suszyło, a nie zawsze była okazja i trzeba było nieraz tęgo się wysilić, żeby coś wykombinować. W Polsce zapobiegł on wysadzeniu pewnego mostu przez Niemców — i uznał, że ten most jest niejako jego własnością, więc chwilowo, póki nie zjawiły się nasze władze, nałożył na Polaków coś w rodzaju rogatkowego za używanie tego mostu: przecież beze mnie w ogóle byście go nie mieli, cholery! Całą dobę inkasował to rogatkowe (wszystko na wódkę), znudziło mu się jednak, zresztą — po co tu w ogóle sterczeć? — i zaproponował nasz kapitan Kowierczenko okolicznym mieszkańcom bardzo uczciwe wyjście z sytuacji: żeby ten most od niego k u p i l i. (Czy za to poszedł siedzieć? — Nieee!). Za bardzo nie nalegał, zresztą Polacy nie kwapili się, widać sknery. Dał więc pan kapitan spokój tej historii z mostem, czort z wami, chodźcie sobie bezpłatnie.

W 1949 roku służył on w Połocku jako szef sztabu pułku spadochroniarzy. Bardzo nie kochał majora Kowierczenki wydział polityczny dywizji, za to, że szkolenie polityczne miał on, powiedzmy, w nosie. Poprosił raz o wydanie mu charakterystyki, bo chciał wstąpić na Akademię Sztabu, ale gdy mu ją dali — ledwo rzucił okiem, zaraz im ją cisnął na stół: „Z taką charakterystyką to mogę iść nie na wyższą uczelnię, tylko do banderowców!". (Może za to?... — za to mogli dać z powodzeniem dziesiątaka, ale jakoś uszło mu na sucho). Dodajmy jeszcze do tego, że puścił na urlop bez podstaw służbowych pewnego swojego żołnierza. I że jeszcze po pijanemu prowadził ciężarówkę, przez co ją rozbił. Dano mu więc 10... dni odwachu. Zresztą — pilnowali go tam żołnierze z jego własnej jednostki, przepadali za nim i z tego odwachu wypuszczali go na zabawy do wsi. W ten sposób jakoś by ten odwach przetrzymał, gdyby nie to, że polit-wydział zaczął grozić mu sądem! Te groźby dotknęły najbardziej Kowierczenkę, wstrząsnęły nim po prostu: więc kiedy bomby zakopywać — to Iwan dobry? a za jakiś nędzny gruchot — to niech idzie do więzienia? W nocy wyskoczył przez okno, pobiegł nad Dźwinę, gdzie jeden z jego przyjaciół miał schowaną motorówkę i odpłynął nią w siną dal.

Okazało się, że nie był zwyczajnym pijaczyną o krótkiej pamięci: chciał teraz zemścić się za wszystko, czym dokuczył mu polit-wydział. Gdy znalazł się już na Litwie, porzucił moto-

rówkę i zaproponował miejscowym Litwinom: „Chłopaki kochane, zaprowadźcie mnie do waszych partyzantów! jak mnie przyjmiecie, nie będziecie żałować, dopiero im zadamy bobu!". Ale Litwini byli przeświadczeni, że to człowiek nasłany.

Iwan miał zaszytą w ubraniu akredytywę bankową. Kupił za nią bilet aż na Kubań, jednakże gdy przejeżdżał przez Moskwę uraczył się nieźle w dworcowej restauracji. Dlatego, ledwo wyjrzał z dworca i rzucił okiem na panoramę Moskwy, skinął na taksówkarza: „Zawieź no mnie do ambasady!" — „A do jakiej?" — „A wszystko jedno, urwana nać, do byle jakiej". Więc go szofer zawiózł. — „A jaka to?" — „A francuska". — „Może być".

Być może myśli mu się jakoś po drodze rozpierzchły, może z początku miał jakieś inne zamiary w związku z tą ambasadą, a teraz stracił cel z oczu, ale mimo to, siła i spryt wcale go nie opuściły: nie chcąc widać straszyć stojącego przy wejściu milicjanta, spokojnie skręcił w zaułek i przeskoczył gładkie, lite ogrodzenie wysokie na dwóch chłopów. Na dziedzińcu ambasady poszło już lżej, nikt go nie zauważył, ani nie zatrzymał, wszedł więc do wnętrza gmachu, minął jeden pokój, potem drugi i wreszcie w trzecim zobaczył nakryty stół. Stół zastawiony był obficie, ale największe wrażenie zrobiły na Iwanie gruszki, dawno jakoś ich już nie jadł, napchał więc sobie teraz nimi wszystkie kieszenie frencza i bryczesów. A właśnie weszli gospodarze, bo była to pora kolacji. „Ej, panowie Francuzi!" — krzyknął na nich Kowierczenko, sam przystępując do natarcia. Doszedł do wniosku, że Francja w ciągu ostatniego stulecia niczego dobrego nie zdziałała nie mógł dłużej znieść tej sytuacji. — „Dlaczego właściwie nie robicie rewolucji? Dlaczego pomagacie De Gaulle'owi dojść do władzy? A my was mamy za to karmić kubańską pszeniczką? Nic z tego!!!". — „Kim pan jest? Skąd się pan wziął?" — zdumieli się Francuzi. Uderzając z punktu we właściwy klawisz, Kowierczenko odparł: „Major MGB!". Francuzi okazali pewne zaniepokojenie: „Dobrze, ale mimo to nie powinien pan tu się wdzierać gwałtem. W jakiej pan właściwie sprawie?". — „A w tej, że ja was w tę, i w tamtą, i na wylot!..." — oznajmił im Kowierczenko już bez ogródek, z całej duszy. Jeszcze chwilę tak przed nimi grał zucha, ale spostrzegł się, że ktoś w sąsiednim pokoju już mówi o nim przez telefon. Dość był jeszcze trzeźwy aby rozpocząć odwrót, ale tu gruszki zaczęły mu sypać się z kieszeni! i wybuch szyderczego śmiechu towarzyszył tej rejteradzie...

Starczyło mu zresztą sił nie tylko na pomyślną ucieczkę z poselstwa, lecz na to, żeby zrobić jeszcze kawał drogi. Następnego

ranka obudził się na dworcu kijowskim (czy nie wybierał się aby na Ukrainę Zachodnią?) — i tu go dopiero przymknięto.

W czasie śledztwa bił go osobiście Abakumow, na grzbiecie miał pręgi od razów grubości ramienia. Minister bił go, rzecz jasna, nie za te gruszki i nie za słuszne uwagi pod adresem Francuzów, tylko pragnął dowiedzieć się — czyim agentem jest Iwan i kiedy został zwerbowany? I wrzepiono mu, rzecz prosta, 25 lat.

Opowiadań takich można usłyszeć sporo, ale — podobnie, jak każdy inny wagon — stołypinka milknie, gdy nadchodzi noc. W nocy nie ma ani ryb, ani wody, ani wycieczek do wychodka.

Wtedy też, jak każdy inny wagon, wypełnia stołypinkę rytmiczny stukot kół, nie mącący wcale ciszy. Wówczas to, jeżeli konwojent poszedł już sobie z korytarza, można prowadzić ciche rozmowy między trzecim przedziałem męskim, a czwartym — kobiecym.

Rozmowa z kobietą w więzieniu — to rzecz zawsze osobliwa. Jest w niej coś podniosłego, nawet jeśli mowa tylko o paragrafach i wyrokach.

Jedna z takich rozmów trwała całą noc w dość szczególnych okolicznościach. Było to w lipcu 1950 roku. Przedział kobiecy zajęty był przez jedną zaledwie pasażerkę. Była nią młoda dziewczyna, córka moskiewskiego lekarza, skazana z artykułu 58-10. Z męskich przedziałów dochodził zgiełk: eskorta przeprowadziła zagęszczenie: zeków z trzeciego przedziału przeniesiono do dwóch pozostałych (lepiej nie pytać, ilu się tam musiało teraz zmieścić).

Następnie wprowadzono jakiegoś przestępcę, zupełnie nie przypominającego innych aresztantów. Przede wszystkim — nie był ostrzyżony i faliste, płowe włosy, prawdziwe loki, dumnie jaśniały na jego kształtnej, dużej głowie. Był młody, przystojny, w mundurze angielskiego kroju. Prowadzono go przez korytarz jakby z szacunkiem (eskorta stropiła się aż, przeczytawszy instrukcję, napisaną na obłożce jego akt) — i dziewczyna zdążyła to wszystko zobaczyć. On zaś nie przyjrzał się jej (i jak bardzo tego później żałowali!).

Hałas i szurgot pozwoliły jej się zorientować, że dla przybysza zwalniają osobny przedział — właśnie obok niej. Było jasne, że nie powinien był on stykać się z nikim. Tym większą miała chęć na rozmowę. W stołypince nie sposób zobaczyć tego, kto siedzi w sąsiednim przedziale, ale usłyszeć go można, gdy zapanuje cisza. Późnym wieczorem, gdy gwar zaczął już milknąć, dziewczyna usiadła na skraju swojej półki, zbliżyła twarz do kraty i cicho zagabnęła sąsiada (a może z początku zanuciła coś. Za to wszystko eskorta powinna ją była ukarać, ale żołnierze

byli pomęczeni i w korytarzu nie było nikogo). Nieznajomy nadstawił ucha i za przykładem dziewczyny tak samo przysunął się do kraty. Siedzieli teraz obróceni ku sobie plecami oparci o tę samą trzycentymetrową deskę, mówili zaś cicho przez kratę, omijając głosem przeszkodę. I głowy i usta dzieliła przestrzeń nie większa, niż przy pocałunku, nie mogli jednak nie tylko dotknąć się, ale nawet spojrzeć na siebie.

Eryk Arwid Andersen rozumiał po rosyjsku już całkiem nieźle, i choć mówił jeszcze z licznymi błędami, jednak w końcu zrozumiale. Opowiedział dziewczynie swoją zadziwiającą przygodę (jeszcze poznamy ją, gdy zatrzymamy się na punkcie tranzytowym), ona zaś jemu — prostą historię moskiewskiej studentki, która dostała 58-10. Ale Arwid był tym bardzo przejęty, zaczął wypytywać ją o sowiecką młodzież, o życie sowieckie — dowiadując się rzeczy zupełnie odmiennych od tych, które znał dawniej z lektury lewicowych gazet zachodnich i z czasów swojej oficjalnej wizyty w ZSSR.

Przegadali tak całą noc — i dla Arwida wszystko tej nocy splotło się w jeden węzeł: niezwykły wagon dla aresztantów w nieznanym mu kraju; i śpiewny stukot nocnych kół, zawsze znajdujący odzew w sercach; i melodyjny głos, szept, oddech dziewczyny przy uchu — przy samym jego uchu, a nie mógł jej nawet zobaczyć! (I kobiecego głosu nie słyszał już w ogóle od półtora roku).

I po raz pierwszy zobaczył Rosję, jako sprawę nieoddzielną od tej niewidzialnej (a na pewno, niechybnie, niewątpliwie pięknej) dziewczyny — i głos Rosji przez całą noc mówił mu samą prawdę. Można zawrzeć pierwszą prawdziwą znajomość z krajem także w taki sposób... (Rano miał jeszcze zobaczyć przez okno pociemniałe, słomiane strzechy Rosji — przy wtórze smutnego szeptu jego tajnej przewodniczki).

Przecież to wszystko Rosja: i wędrujący aresztanci, nie chcący składać zażaleń i dziewczyna za ścianą przedziału stołypinki; i eskorta zmorzona snem; gruszki, sypiące się z kieszeni, zakopane bomby i koń, sadzący susami po schodach.

◆

— Żandarmi! żandarmi! — krzyczeli uradowani więźniowie. Cieszyli się, że konwojować ich dalej będą żandarmi, nie zaś policyjna eskorta.

Znów zapomniałem o cudzysłowie. Są to słowa samego Korolenki[14]. Prawdę mówiąc, nie bardzośmy się radowali na widok

14. *Historia mego rówieśnika*, Moskwa, 1955, tom VII, str. 166.

błękitnych czapek. Ale nawet ten widok może sprawić ci radość, jeżeli razem ze swoją stołypinką wpadłeś w ruch wahadłowy.

Zwykły pasażer na małych przystankach ma kłopoty z WSIADANIEM, ale wysiąść z pociągu — dlaczego nie? to łatwe, wyrzuć tylko rzeczy i skacz. Inaczej bywa z aresztantem. Jeżeli miejscowa straż więzienna, albo milicja nie wyślą kogoś po niego, albo ów ktoś spóźni się o dwie minuty — fiu, fiu! — pociąg już ruszył i teraz nieszczęsny grzesznik musi jechać aż do następnego etapu. Z Bogiem sprawa, jeżeli tylko do więzienia tranzytowego — tam znów ci dadzą jeść. Ale czasem trzeba jechać aż do końca marszruty, tam przetrzymają cię półtorej doby i każą jechać z powrotem dopiero, gdy zbierze się nowy komplet. A może tak się zdarzyć, że nikt do ciebie nie zajrzy i znów ślepy tor, i znów trzeba czekać, i przez ten czas przecież zupełnie NIE DAJĄ JEŚĆ! Przecież racje żywnościowe wypisali ci tylko do twojej stacji docelowej, księgowość nic nie jest winna, że miejscowe więzienie przegapiło, już przecież jesteś formalnie na ich wyżywieniu. Eskorta zaś nie ma żadnego obowiązku, żeby dzielić się z tobą swoim przydziałem. I SZEŚĆ RAZY POD RZĄD (bywało i tak!) musisz zapychać trasą: Irkuck-Krasnojarsk, Krasnojarsk-Irkuck, Irkuck-Krasnojarsk, więc gdy zobaczysz na peronie twojego przystanku Tułun błękitnego, gotów jesteś rzucić się mu na szyję: dzięki serdeczne, kochasiu, żeś mnie poratował!

W stołypince wystarczą dwie doby, żeby człowieka tak znużyć, zadręczyć zaduchem, pozbawić sił, że w pobliżu większego miasta sam już nie wiesz, czy lepiej jeszcze trochę się pomęczyć, a dojechać wreszcie do celu, czy też rozprostować nogi na etapie.

Ale już eskorta zaczęła się krzątać i uwijać. Już wdziali szynele, już postukują kolbami. To znaczy, że cały wagon ma być wyładowany.

Zaczyna się od tego, że eskorta staje półkolem przy stopniach wagonu i ledwie człowiek z nich się stoczy, zwali się, zleci — konwojenci chórem i wielkim głosem ryczą ze wszystkich stron (tak ich nauczono): „Siadać! Siadać! Siadać!". To robi duże wrażenie, gdy krzyczy ich kilku na raz i kiedy nie wolno ci podnieść oczu. Kulisz się bezwiednie, jakby szrapnele nad tobą wybuchały, pośpiesznie (dokąd właściwie tak się śpieszysz?) przypadasz do ziemi i w końcu sadowisz się na niej obok tych, którzy wysiedli już wcześniej.

„Siadać!" — jest to rozkaz bardzo jasny, lecz jeśli jesteś początkującym aresztantem, to jeszcze go nie rozumiesz jak należy. W Iwanowie, na ślepym peronie, usłyszawszy ten rozkaz i ściskając w objęciach walizkę (jeżeli walizka nie jest obozowej roboty,

tylko kupiona w sklepie, to zawsze uchwyt w niej się urywa — i to w najmniej odpowiedniej chwili) pobiegłem we wskazanym kierunku, postawiłem walizkę na ziemi dłuższym bokiem i nie przyjrzawszy się, jak siedzą ci, co byli przede mną — siadłem spokojnie na walizce — bo nie mogłem przecież w moim płaszczu oficerskim, nie tak bardzo jeszcze utytłanym, z nieobciętymi jeszcze połami — siąść wprost na podkładach, na czarnym, przesyconym smarami piachu! Naczelnik eskorty — czerwone pyski, wystawowa rosyjska gęba, rozpędził się — nawet nie zdążyłem zorientować się o co mu chodzi? dokąd zmierza? — i chciał, jak się zdaje, świętym swoim butem rypnąć w te przeklęte plecy, ale coś go powstrzymało — więc nie pożałował błyszczącego noska, i kopnął walizkę, że aż zrobiła się w niej dziura. „Siadać!" — wyjaśnił. I dopiero w tym momencie zobaczyłem nagle, że sterczę jak baszta wśród otaczających mnie zeków. Zanim zdążyłem zapytać: „A jak mam właściwie siedzieć?" już znałem odpowiedź i nie dbając więcej o szynel, usiadłem jak wszyscy, jak siedzą psy u wrót, jak siedzą koty pod drzwiami.

(Ten kuferek mam do dziś dnia, ile razy trzymam go w ręku — przesuwam palcami po rwanych brzegach tej rany. Nie może przecież zagoić się, jak goją się rany na ciele, na sercu. Przedmioty są bardziej od nas pamiętliwe).

Ten rozkaz siedzenia — to także rzecz przemyślana. Jeżeli siedzisz tyłkiem na ziemi, tak, że masz przed nosem własne kolana, to twój środek ciężkości jest z tyłu, trudno się podnieść, nie sposób się poderwać. Ponadto, każą wam siadać jak najbliżej siebie, tak, abyście sobie wzajemnie jak najbardziej przeszkadzali. Załóżmy, że chcemy wszyscy naraz wstać, aby rzucić się na eskortę — otóż zanim byśmy się wygramolili, już by nas wszystkich wystrzelano.

Siedzimy w oczekiwaniu na więzienną karetkę (przewozi ona ludzi grupami, wszyscy i tak się nie pomieszczą), albo na rozkaz pieszego odmarszu. Starają się, abyśmy siedzieli w miejscu mało widocznym, aby nie wpadać wolniakom w oko, ale czasem posadzą ludzi bez pojęcia, wprost na peronie, albo na otwartym placu (na przykład w Kujbyszewie) i tu zaczyna się coś w rodzaju egzaminu dla wolniaków: my im się przyglądamy, czując się w swoim prawie, otwarcie i uczciwie — a jak też oni na nas będą patrzeć? Z nienawiścią? — sumienie im nie pozwoli (przecież tylko Jermiłow* i jemu podobni wierzą, że ludzie siedzą „bo zasłużyli"). Ze współczuciem? z wyrazem litości? — a jak

* Krytyk współczesny, jeden z oskarżycieli autora tej książki, wsławiony swoimi atakami na Majakowskiego w ostatnim okresie życia poety.

wylegitymują? zapiszą nazwisko? i zaraz wyrok, to prosta rzecz. I dumni, wolni nasi obywatele („czytajcie, zazdrośćcie, bom ja obywatel**") opuszczają kornie głowy i starają się wcale nas nie widzieć, jakby tu było puste miejsce. Staruchy są śmielsze: już ich nie da się zepsuć, one wierzą w Boga — i odłamując kawałek od nędznego bocheneczka, rzucają go nam. Nie boją się również byli łagrowcy, rzecz prosta, pospolitacy. Łagrowcy wiedzą, że: „kto nie był — ten jeszcze będzie, kto był — ten nie zapomni" — i patrzeć, a rzucą paczkę papierosów, po to, aby im także ktoś rzucił, gdy znowu wpadną. Chleb, rzucany słabą ręką przez starowinę, często nie dolatuje, pada na ziemię, paczka śmignie w powietrzu prosto nam pod nogi, eskorta zaś już zaczyna szczękać zamkami karabinów — na staruszkę, na dobroć, na chleb: „ej, zmykaj stąd, babo!".

I ten święty, ułamany kawałek chleba leży w pyle jeszcze w chwili, gdy każą nam powlec się dalej.

W ogóle zaś te chwile — na ziemi, na stacji — należą do najlepszych w naszym tutejszym życiu. Pamiętam, jak w Omsku posadzono nas tak na podkładach między dwoma długimi pociągami towarowymi. Nikt tędy nie chodził (widocznie wystawiono z obu stron warty: „Nie wolno, nie ma przejścia!". Nasi ludzie zaś — nawet na wolności — wychowani są w posłuszeństwie dla ludzi w szynelach). Nadchodził zmrok. Było to w sierpniu. Kolejowy, usmolony żwir nie zdążył ostygnąć jeszcze od dziennego ciepła i grzał nam tyłki. Nie widzieliśmy dworca, ale czuło się jego obecność gdzieś za wagonami, całkiem blisko. Hałasował tam miejscowy nadajnik, jakieś wesołe płyty i słychać było jednostajny gwar tłumu. I nie wiedzieć czemu, ale nie upokarzało siedzenie w zbitej grupie brudasów, na gołej ziemi, w jakimś ciemnym kącie; nie słyszało się tonu szyderstwa w melodiach tanecznych, granych dla obcej młodzieży, których my nigdy już nie zatańczymy; ani w myślach o tym, że ktoś teraz na peronie wita kogoś, albo odprowadza, może nawet kwiaty przyniósł. Było to dwadzieścia minut prawie-wolności: zmierzch gęstniał, zapalały się pierwsze gwiazdy, czerwone i zielone światła na torach, dźwięczała muzyka. Życie toczy się dalej bez nas — i to już prawie nie boli.

Jeżeli zdołasz polubić takie chwile — w więzieniu będzie ci lżej. Bo inaczej złość może człowieka rozsadzić.

Jeżeli prowadzić zeków do karetki jest niebezpiecznie — bo obok droga publiczna, albo ludzie blisko — to wydać można inny jeszcze rozkaz, przewidziany w regulaminie eskorty: „Brać

** „Wiersz o sowieckim paszporcie" — W. Majakowskiego.

się pod ręce!". Niby nic w tym niezwykłego — wziąć sąsiada pod rękę i tyle! Brać się tak mają starcy i wyrostki, dziewczęta i staruszki, zdrowi i kalecy. Jeżeli jedną rękę masz zajętą pakunkiem — to sąsiad weźmie cię pod tę rękę, ty zaś drugą ręką przygarniesz kogo innego. I teraz skupieni jesteście dwa razy ściślej, niż w zwykłym szeregu, od razu ciężej wam jest się ruszać, wszyscy kusztykacie, bo pakunki ciążą, bo jeszcze trudniej je teraz utrzymać i zataczacie się przy każdym kroku. Brudne, szare, niezgrabne istoty, kroczące, jak ślepcy, przytuleni do siebie z pozorną czułością — istna karykatura ludzkości!

A karetki — może wcale nie ma. A naczelnik eskorty — może podszyty jest tchórzem i boi się, że mu kto ucieknie, więc tak oto spleceni, obciążeni pakunkami, kołysząc się i zataczając, potykając się o pakunki, musicie wlec się przez całe miasto aż do samego więzienia.

Istnieje też inny rozkaz, ale to już karykatura na gęsi: „Brać się za pięty!". Znaczy to, że kto ma dłonie wolne, powinien pochylić się i złapać się za własną nogę w łydce. I teraz pada rozkaz do marszu. (Ano, czytelniku, spróbuj odłożyć książkę, przejdź się tak po pokoju!... No i jak? Jak szybko mogłeś się poruszać, co mogłeś przed sobą zobaczyć? A jak tam z możliwością ucieczki? Wyobrażasz sobie, jak wygląda z boku 30-40 takich gęsi? Rzecz miała miejsce w Kijowie, w 1940 roku).

Na dworze niekoniecznie mamy sierpień, może to być też grudzień 1946 roku, a tu pędzą was bez żadnych karetek przy 40-stostopniowym mrozie do Pietropawłowskiego więzienia tranzytowego. Jak łatwo zgadnąć, w ciągu kilku ostatnich godzin przed przyjazdem do miasta, eskorta stołypinki wcale nie kwapiła się do prowadzenia was za potrzebą, bo i po co się brudzić. Osłabieni śledztwem, przemarznięci na kość, nie możecie już się prawie powstrzymać, dotyczy to zwłaszcza kobiet. No to co? Konia trzeba zatrzymać, żeby mógł sobie ulżyć, pies ma prawo podbiec do płotu, żeby zadrzeć nogę. Ale z was przecież ludzie, możecie więc robić to w marszu, kogo mamy się krępować w naszej własnej ojczyźnie? Na miejscu, w więzieniu, zdąży wyschnąć... Wiera Korniejewa pochyliła się, żeby poprawić but na nodze, została parę kroków w tyle — a konwojent zaraz naszczuł na nią psa i kły wilczura wpiły jej się w pośladek nie bacząc na to, że miała na sobie grubą odzież. Nie marudź! Tam znów jakiś Uzbek upadł — już go walą kolbami i obcasami.

Nie szkodzi, nikt tego nie sfotografuje dla *Daily Express*'u i naczelnika eskorty aż do najpóźniejszych jego lat nikt i nigdy za to nie pozwie do sądu.

A s u k i też przyszły z głębi dziejów. Kareta więzienna, opisana przez Balzaka — toż to właśnie suka. Tyle, że wlokła się wolniej i nie była tak zatłoczona.

Co prawda, jeszcze w latach dwudziestych aresztantów prowadzono przez miasto pieszymi kolumnami. Zdarzało się to nawet w Leningradzie (tamowali czasem ruch na skrzyżowaniach). „Doigraliście się, złodzieje?" — pokrzykiwano na więźniów z trotuarów. Nikt jeszcze nie znał wtedy wielkiego projektu kanalizacji...).

Ale — wielce wrażliwy na postęp techniki — Archipelag w porę przejął i zastosował wynalazek karetki samochodowej, zwanej pieszczotliwie suczką. Na brukowanych kocimi łbami jezdniach naszych ulic pierwsze suki pojawiły się jednocześnie z pierwszymi ciężarówkami. Resory miały marne, trzęsło w nich jak się patrzy, więźniowie jednak też nie byli z kryształu. Sprawa szczelności była jednak już wtedy, w 1927 roku, postawiona na dobrym poziomie: ani jednej szczelinki, więc — przy braku oświetlenia — nie sposób było ani odetchnąć, ani zobaczyć czegokolwiek. I już wtedy ładowano ludzi do karetek na stojąco i do pełna. Nie dlatego by ktoś specjalnie tak zaplanował, tylko po prostu zawsze brak było środków transportu.

Przez wiele lat były to wozy stalowo-szare, otwarcie więzienne. Ale po wojnie ktoś w stolicy poszedł po rozum do głowy — i zaczęto z wierzchu pokrywać je wesołymi kolorami oraz ozdabiać napisami: „Chleb" (więźniowie istotnie byli chlebem budownictwa), „Mięso" (powinni byli raczej dać napis „Kości"), albo nawet „Pijcie sowieckiego szampana".

Karetka może być od wewnątrz zupełnie pustym, pancernym pudłem. Może mieć ławki dookoła ścian. To nie jest żadna wygoda, to pogarsza sprawę, bo upychają zawsze tylu, ilu mieści się na stojąco, tak że walą się na siebie, jak bagaż, jak toboły. Suki mogą mieć z tyłu b o k s — wąską, stalową, jednoosobową szafkę. Mogą też być całe podzielone na boksy: rząd jednakowych, pojedynczych szafek z prawej i z lewej strony; zamykają się one jak cele, środkowy korytarzyk służy dla klawisza.

Tak zawiłej konstrukcji, przypominającej ul pszczeli, nie sposób sobie wyobrazić z zewnątrz, patrząc na uśmiechniętą dziewczkę z pucharem: „Pijcie sowiecki szampan".

Do suki wpędzają cię przy wtórze tych samych ponagleń, wykrzykiwanych ze wszystkich stron: „Dalej! Szybciej! Prędzej!", abyś nie miał czasu nawet rozejrzeć się i pomyśleć o ucieczce; upychają cię siłą, żebyś musiał uwięznąć w wąskich drzwiach, żebyś musiał huknąć łbem o framugę.

Zatrzaskują z trudem tylne drzwi stalowe — i dalej w drogę!

Rzecz jasna, jazda suką rzadko ciągnie się godzinami, najczęściej dwadzieścia, trzydzieści minut. Ale tak człowiekiem rzuca, tak roztrzęsie mu gnaty, tak mu żebra ściśnie przez te pół godziny, tak łeb zegnie, jeśli kto wysoki, że stołypinka wyda mu się chyba szczytem wygody.

Nadto suka — to okazja do nowych układów ludzkich, nowych spotkań, z których najbardziej wbijają się w pamięć — oczywiście, spotkania z knajakami. Być może nie zdarzyło ci się jeszcze jechać z nimi w tym samym przedziale, może los nie kazał ci na etapie dzielić z nimi celi — ale tu jesteś zdany na ich łaskę.

Czasem tak ciasno bywa, że nawet knajakom nieporęcznie jest grabić. Cudze ciała i bagaż ściskają twoje kończyny, jak dyby. Tylko na wybojach, kiedy wóz tak skacze, że patrochy w człowieku się przewracają, można ruszyć ręką, albo nogą.

Czasem zaś, gdy jest nieco luźniej, szemrani dążą w ciągu pół godziny spenetrować zawartość wszystkich tobołków, zabrać sobie wszystkie zapasy tłuszczów i co najlepsze rzeczy. Wdać się z nimi w bójkę nie pozwolą ci tchórzowskie i nader racjonalne skrupuły (ty też zaczynasz już szczypta po szczypcie tracić swoją duszę nieśmiertelną, wciąż sobie powtarzając, że najgroźniejsi wrogowie i najgorsze przejścia dopiero cię czekają, więc trzeba dla nich się oszczędzać). Może nawet podniesiesz w obronie rękę i wsadzą ci nóż między żebra (śledztwa nie będzie, jeśli zaś będzie, to szemranym nic nie grozi: trochę tylko dłużej potrzymają w tranzytowym, nie poślą do dalekiego obozu. Trudno i darmo, ale w sporze między elementami socjalnie bliskimi, a socjalnie obcymi, państwo nie może nie ujmować się za te ostatnie).

Pułkownik w stanie spoczynku, Dunin, jeden z szefów ligi obrony przeciwlotniczej, siedząc w celi butyrskiej w 1946 roku opowiadał, jak w jego obecności, w dniu kobiet, to jest ósmego marca, w suce jadącej z sądów grodzkich do więzienia na Tagance — szemrani po kolei zgwałcili panienkę (a nikt nawet się nie odezwał). Panienka ta, tego samego dnia, przyodziawszy się, jak mogła najlepiej, przyszła do sądu, aby odpowiadać z wolnej stopy (sądzona była za samowolne porzucenie pracy — zresztą wszystko było skutkiem nikczemnej intrygi jej naczelnika, który mścił się, bo nie chciała z nim spać; miała zresztą narzeczonego). Pół godziny przed wejściem do karetki panienka dostała pięć lat na podstawie Ustawy Specjalnej, następnie wepchnięto ją do suki i oto teraz, gdzieś na ulicy Sadowej („Pijcie sowieckiego szampana!") przekształcono ją w obozową prostytutkę. Czy wy-

starczy powtarzać, że to robota knajaków? A może strażników też? A może również tego jej naczelnika?

Knajackie czułości! — zgwałconą dziewczynę knajacy jeszcze obrabowali: zdarli z niej bluzkę, ładne pantofelki, którymi chciała olśnić sędziów, dali rzeczy konwojentom, ci zatrzymali wóz, skoczyli po wódkę, podali ją zleceniodawcom i knajacy jeszcze popili sobie tęgo na rachunek ofiary.

Gdy przyjechali w końcu na Tagankę, dziewczyna, zanosząc się od łkań, złożyła skargę. Oficer wysłuchał jej, ziewnął i oznajmił:

— Państwo nie jest w stanie transportować każdego oddzielnie.

Takich możliwości jeszcze nie mamy.

Tak, karetki — to „wąskie gardło" gospodarki Archipelagu. Jeśli w stołypinkach nie ma możności separowania politycznych od kryminalnych — to suki nie dają możliwości separacji obu płci. I jak w tych warunkach, między jednym więzieniem, a drugim, knajacy nie mają spróbować „pełni życia"?

No, ale gdyby nie było knajaków, to trzeba by wspomnieć dobrym słowem te karetki za owe krótkie spotkania z kobietami! Gdzież jeszcze, jeśli nie tu, można w życiu więziennym zobaczyć je, usłyszeć je, dotknąć się ich?

Pewnego razu, w 1950 roku, wieziono nas z Butyrek na dworzec. Było luźno — czternastu ludzi w suce z ławkami. Miejsc siedzących starczyło dla wszystkich — i nagle, na ostatku, wepchnięto do wozu samotną kobietę. Usiadła koło samych tylnych drzwi, z początku bojaźliwie — czternastu chłopa w jednym ciemnym pudle, toż tu nie ma mowy o obronie. Ale po kilku słowach było już jasne, że tu sami swoi, Pięćdziesiątka Ósemka.

Wymieniła swoje nazwisko: Riepinowa, żona pułkownika, poszła za kraty w ślad za nim. I nagle jakiś małomówny wojskowy, tak młody i szczupły, że mógłby najwyżej być lejtnantem, zapytał: „Przepraszam, czy nie siedziała pani z Antoniną I.?" — „Jakto? To pan jest jej mężem? Oleg?" — „Podpułkownik I.??... Z Akademii imienia Frunze?" — „Tak!".

Cóż to było za „tak"! — wydobywało się ze ściśniętej krtani i więcej w nim było lęku przed PEWNOŚCIĄ, niż radości. Usiadł teraz obok niej. Przez dwa malutkie, okratowane okienka w tylnych drzwiach — przenikały płynne, przejrzyste cienie letniego zmierzchu i przy każdej zmianie kierunku przesuwały się, przesuwały po twarzach tej kobiety i podpułkownika. „Siedziałam z nią w śledztwie, cztery miesiące w tej samej celi". — „Gdzie jest teraz?" — „Cały czas żyła tylko myślami o panu!

Bała się tylko o pana! O siebie wcale. Z początku, żeby pana nie aresztowano. Później, żeby dostał pan wyrok jak najlżejszy". — „Ale co się z nią teraz dzieje?". — „Wciąż nie mogła sobie darować, że to przez nią pana zabrali. Tak jej było ciężko!". — „Ale gdzie jest teraz?!". — „Niech się pan tylko nie lęka". — Kobieta położyła mu rękę na piersi, jak komuś już bliskiemu. — „Nie wytrzymała tego napięcia. Zabrano ją z naszej celi. Ona jest troszkę... no... pomieszana... Rozumie pan?...".

A mała łupinka ,obita stalową blachą, płynie tak spokojnie w sześciopasmowym ordynku aut, grzecznie staje przed światłami, błyska sobie kierunkowskazami!

Z tym Olegiem I. poznaliśmy się dopiero przed chwilą w Butyrkach. Spędzono nas do boksu dla odjeżdżających i przyniesiono z depozytu rzeczy. Wywołano do odbioru jednocześnie mnie i jego. Za progiem boksu, na korytarzu, strażniczka w szarym kitlu, rozgrzebując zawartość jego walizki, wytrząsnęła na ziemię pojedynczy złoty epolet, który nie wiadomo jak się uchował. Nawet go nie zauważyła i nastąpiła obcasem na jego dwie duże gwiazdy.

Deptała naramiennik butem, jak w scenie filmowej.

Zwróciłem mu na to uwagę: „Spójrzcie tylko, towarzyszu podpułkowniku!".

I. pociemniał na twarzy. Wciąż jeszcze coś znaczyło dla niego pojęcie nienagannej służby.

Teraz znowu — z tą żoną.

Wszystko to musiał przeżyć w ciągu jakiejś godziny.

II

PORTY ARCHIPEŁAGU

Rozłóżcie na dużym stole wielką mapę naszej ojczyzny. Postawiajcie czarne, grube kropki na wszystkich miastach okręgowych, wszystkich węzłach kolejowych, wszystkich miejscach przeładunku, gdzie kończą się tory, a zaczyna rzeka, albo gdzie rzeka zmienia kierunek i zaczynają się piesze trakty. Co to? Czy tak upstrzyły mapę jakieś muchy gnojowe? A to właśnie majestatyczny obraz portów Archipelagu.

Nie są to co prawda, te feeryczne porty tak kusząco opisane przez Aleksandra Grina — porty, gdzie pije się w tawernach rum, i smali się cholewki do miejscowych piękności. Ponadto — nie ma tu ciepłego, lazurowego morza (wody do kąpieli dają tu po litrze na głowę, a żeby mycie szło łatwiej — cztery litry na cztery głowy do jednej miski, możecie myć się razem!). Ale całej pozostałej romantyki portowej — brudu, insektów, wyzwisk, oszustw, pomieszania języków i mordobicia — jest tu powyżej uszu.

Mało który zek nie poznał trzech-pięciu tranzytowych więzień, z b o r n i a k ó w, wielu zna dobrze nawet dziesięć, prawdziwi zaś synowie GUŁagu bez trudu wyliczyć mogą pół setki. Tylko, że łatwo je pomylić, bo mają tyle podobieństw: tępa eskorta; bezładne apele według rodzaju s p r a w ; długie wyczekiwanie na słonecznym skwarze, albo na jesiennej szarudze; długie k i p i s z e z rozbieranką; fryzjerskie zabiegi, po których człowiek jest jeszcze brudniejszy; wyziębłe, oślizgłe łaźnie; cuchnące wychodki; zatęchłe korytarze; zawsze ciasne i duszne, prawie zawsze ciemne i wilgotne cele; rozparzone ludzkie mięso z obu twoich boków, na ziemi albo na narach; skośne podgłówki z desek! nawilgły rozpaćkany chleb; sałamacha — jakby z badyli, moczonych na paszę dla bydła.

Kto zaś ma dobrą pamięć, zdolną do trwałej segregacji wspomnień — ten teraz nie musi wcale rozjeżdżać po kraju, ma w głowie całą geografię usystematyzowaną, podzieloną na etapy więzienne. Nowosybirsk? Znam. Byłem tam. Porządne takie baraki stawiane na zrąb z grubych bali. Irkuck? To tam, gdzie okna kilka razy po kolei zamurowywano, widać jakie duże były za cara, a jakie małe szparki teraz zostawiono — każdą warstwę cegieł znać. Wołogda? A tak, stary budynek, z basztami. Klozety w jednym pionie, drewniane podłogi dawno przegniły i z górnych pięter wszystko ścieka na dolne. Usmań? A jakże. Zawszona, śmierdząca ciupa, stare budownictwo, sklepione sufity. Potrafią tam tylu ludzi napchać, że nie chce się wierzyć: kiedy zaczynają wyprowadzać na etap, to nie do pojęcia, że wszyscy się mieścili, ogon na pół miasta.

Takiego znawcy nie próbujcie skrzywdzić twierdzeniem, że znane jest wam miasto, gdzie nie ma z b o r n i a k a. Zaraz wam dowiedzie, że takich miast nie ma. I będzie miał rację. Salsk? Toż tam tranzytowych trzymają w śledczym więzieniu razem z miejscowymi aresztantami. To samo w każdym mieście rejonowym, wszędzie więc są punkty tranzytowe. W Sol-Ilecku? To też etap. W Rybińsku? A więzienie nr 2, dawny klasztor? Och, jaki tam spokój, jak miła pustka na brukowanych dziedzińcach, omszałe, stare płyty, a w łaźni — drewniane, czyste ceberki. Czyta? Więzienie nr 1. Nauszki? Więzienia tam nie ma, ale jest obóz tranzytowy, więc wszystko jedno. W Torżku? A na górze, też w starym klasztorze.

Ależ zrozum, kochany, że nie ma miasta bez z b o r n i a k a! Przecież sądy czynne są wszędzie! Więc jak posyłać ludzi do obozu? Drogą powietrzną?

Oczywiście — etap etapowi nierówny. Ale gdzie lepiej, gdzie gorzej, to spory daremne. Zbierze się czasem trzech-czterech zeków i każdy c h w a l i „swoje".

— Chociaż Iwanowski zborniak nie taki już znowu sławny, ale zapytaj tylko tych, co tam siedzieli zimą z 37-ego na 38-my! Więzienie NIE BYŁO OGRZEWANE — jednak ludzie nie tylko nie marzli, ale na górnych narach leżeli całkiem rozebrani. Wybili wszystkie szyby w oknach, żeby się tylko nie udusić. W 21-szej celi, zamiast przepisowych 20 łóżek, siedziało TRZYSTU DWUDZIESTU TRZECH! Pod narami zebrała się woda, nakładziono więc desek i ludzie leżeli na tych deskach. A z wybitych okien dmuchało mrozem prosto na nich. I w ogóle, pod tymi narami panowała noc polarna: ani promyka, całe światło zasłaniali ci, którzy leżeli na narach i stali między narami. Nie było wolnego przejścia do kibla, trzeba było pełznąć wzdłuż

krawędzi nar. Żreć dawali nie każdemu oddzielnie, tylko od razu na dziesięciu. Jeżeli komuś z tej dziesiątki się zemrze — to go wepchną pod nary, i dopóty trzymają, dopóki smród pozwala. I przez ten czas pobierają jego porcję. To by wszystko można jeszcze wytrzymać, ale klawisze biegają jak koty z pęcherzem od celi do celi. Ledwo człowiek znajdzie sobie miejsce, a już wrzeszczą — „Zabierać się! do innej celi!". I znów trzeba walczyć o miejsce. A skąd takie przepełnienie? Przez trzy miesiące nie puszczali do łaźni, wszy się rozmnożyły, przez te wszy — wrzody na nogach i na dodatek tyfus. A przez ten tyfus zarządzono kwarantannę i transportów cztery miesiące nie wysyłano.

— Moi drodzy, nie o jakieś tam Iwanowo chodzi, tylko zależy jaki to był rok. W 37-mym i w 38-mym już nie tylko zeki — ale kamienie na etapach jęczały. Irkuckie tranzytowe — też niczym osobliwym się nie wyróżnia, a tymczasem w 38-mym lekarze nie ośmielali się zajrzeć do celi. Szli korytarzem, a klucznik krzyczał koło każdych drzwi: „Kto zemdlał — niech wychodzi!".

— W 37-mym — moi drodzy — wszystko toto ciągnęło przez całą Syberię aż na Kołymę. Naprzód trzeba było dotrzeć nad morze Ochockie, albo do Władywostoku. Parowce na Kołymę mogły zabierać tylko 30.000 miesięcznie — a z Moskwy wieźli i wieźli bez liku. Zebrało się więc nie mniej, niż 100.000. Rozumiesz?

— A kto ich liczył?

— Kto miał liczyć, ten liczył.

— Jeżeli chodzi o tranzytowe we Władywostoku, to w lutym 37-ego było tam nie więcej, niż 40.000!

— Ale jak tam wpadłeś, to już na kilka miesięcy. Pluskwy łaziły po narach, jak szarańcza! Wody — pół kubka dziennie: nie ma wody, nie ma ludzi do wożenia! Cała zona pełna była Koreańczyków — i wszyscy wymarli na dyzenterię, wszyscy! Z naszej zony co rano wynoszono setkę trupów. Jak budowano kostnicę, to pozaprzęgano zeków do wozów i tylko tak udało się przywieźć kamienie. Dzisiaj ty wozisz, jutro powiozą ciebie. A jesienią — też się zaczął tyfus plamisty, jak w zegarku. U nas też tak było: jak się komu zmarło, to dalej go u siebie trzymamy, póki się nie zaśmiergnie — i jego porcja dalej leci. Lekarstw — ani śladu. Wyłazimy z baraków — dajcie lekarstwa; — a z wieżyczek — już strzelają. Później chorych na tyfus zabrano do osobnego baraku. Nie zdążyli tam poprzenosić wszystkich, ale też mało kto stamtąd wyszedł. Nary są tam piętrowe, ten co na górnych leży i gorączkuje — nie może przecież zejść za potrzebą — więc leje na tego dolnego! Leżało tam jakieś półtora tysiąca.

Sanitariuszani byli knajacy, wyrywali trupom złote zęby. Ale z żywymi też nie robili sobie ceregieli...

— Nic, tylko ten 37-my i 37-my! A 49-ty w zatoce Wanino, w piątej zonie — nie łaska? 35.000! Kilka miesięcy pod rząd! — też ich nie dążyli wysyłać na Kołymę. Przy tym co noc, z baraku do baraku, z jednej zony do drugiej — wciąż ludzi przerzucali, nie wiadomo po co. Jak u faszystów: gwizdki! wrzaski!: „Wychodzić! Już was nie ma!". I wszystko biegiem! wyłącznie biegiem! Chleb pobierano setkami — więc biegiem! po sałamachę — biegiem! a nie było żadnych naczyń! Tę bryję możesz brać, jak ci wygodniej — w połę kurtki, albo dłonie nadstaw! Wodę przywożono cysternami, nie było do czego nalewać, więc leją szlauchem i kto nadstawi usta — ten się napił. Koło cysterny zaczyna się bójka — zaraz strzelają z wieżyczek. No — zupełnie jak u faszystów. Przyjechał generał-major Dieriewianko, naczelnik USWITŁa[1]; z tłumu wyrwał się i stanął przed nim lotnik, oficer, rozerwał bluzę na piersiach: „Dano mi osiem orderów bojowych! Kto dał wam prawo strzelać na oślep w zonę?". Dieriewianko odpowiada: „Strzelaliśmy i b ę d z i e m y strzelać tak długo, jak długo nie nauczycie się odpowiedniego zachowania[2]".

— Nie, moi drodzy, to wszystko jeszcze nic nadzwyczajnego. Prawdziwy zborniak to — Kirowski! Weźmy jakiś rok wcale nie nadzwyczajny, powiedzmy 48-my — w Kirowskim więzieniu wpychali ludzi do celi dwaj klucznicy butami i dopiero wtedy mogli drzwi zamknąć. Na trzypiętrowych narach, we wrześniu (a Wiatka* — nie leży wcale nad morzem Czarnym), mimo to wszyscy siedzieli na golasa, bo gorąco — i dlatego s i e d z i e l i, że nie było miejsca na leżenie: jeden szereg usadowił się w głowach nar, drugi — w nogach. Również w przejściu na podłodze siedziano w dwa rzędy, a między nimi trzeci rząd jeszcze stał; po jakimś czasie następowała zmiana. Tobołki trzymali w ręku, albo na kolanach, nie było gdzie położyć. Tylko knajacy, na p r z y s ł u g u j ą c y c h im miejscach, drugie nary od okna, wylegiwali się wygodnie. Pluskiew było tyle, że gryzły nawet we dnie, spadając prosto na łeb z sufitu. To wszystko trzeba było znosić tydzień, czasem miesiąc.

---

1. USWITŁ — zarząd północno-wschodnich (to znaczy kołymskich) obozów.

2. Ahoj! Panowie z „Trybunału Bertranda Russell'a" sądzącego zbrodniarzy wojennych! Czemuż, ach czemuż nie korzystacie z tych materiałów? Czy nie są zgodne z waszym profilem?

* Dawna nazwa miasta Kirow.

Chciałbym tu dodać coś od siebie i opowiedzieć o Krasnej Presni[3] z sierpnia 45-ego roku, roku Zwycięstwa, ale aż mi nie sporo: jednak w nocy mogliśmy jakoś nogi rozprostować, pluskwy zaś były przeciętnej zjadliwości. Przez całą noc, w świetle jaskrawych lamp kąsały nas — gołych i spoconych — muchy, ale to się przecież nie liczy i wstyd byłoby tym się chwalić. Oblewaliśmy się potem przy każdym ruchu. Po jedzeniu po prostu z nas kapało. W celi, niewiele większej od zwykłego pokoju mieszkalnego, siedziało stu ludzi, taki tłok, że nie było gdzie nogi postawić. Dwa malutkie okienka osłonięte były kagańcami ze spawanej blachy. Okna wychodziły na południe, więc nie tylko nie było przewiewu, lecz kagańce nagrzewały się od słońca, aż buchał żar do celi.

Chaos we wszystkich więzieniach tranzytowych, wszystkie rozmowy o nich też są chaotyczne — i takie samo wrażenie na pewno sprawiać będzie ten rozdział: człowiek nie wie o czym mówić najpierw, od czego zacząć. Im więcej zaś ludzi zbiera się w zborniakach, tym bałagan większy, sytuacja nieznośna dla więźniów, nieznośna dla GUŁagu — a tymczasem tkwią tu ludzie miesiącami. Takie więzienie staje się istną fabryką: porcje chleba przenosić trzeba stertami na murarskich noszach, jakby to były cegły. I sałamachę gorącą roznosi się w sześciowiadrowych, drewnianych bekach, przesuwając łom przez oba ucha.

Kotłasski zborniak krył w sobie najwięcej napięć, a zarazem, najmniej w nim było fałszu. Napięcia brały się stąd, że z tego więzienia prowadziły drogi na całą daleką północ i północny wschód europejskiej Rosji. Fałszu było mało, bo Kotłass leży już w samym środku Archipelagu i nie trzeba tutaj się krępować. Był to po prostu kawał gruntu, rozgrodzony murami na klatki. Wszystkie klatki zamykały się szczelnie. Chociaż przewinęło się przez Kotłass mnóstwo chłopów, kiedy ich zesłano w 30-tym (wolno przypuszczać, że siedzieli tu bez żadnego dachu nad głową, tylko że teraz nie ma już nikogo, kto mógłby to potwierdzić), jednakże nawet w 38-mym wcale nie wszyscy mogli się pomieścić w nędznych, parterowych baraczkach z karłowatej sosny, krytych... brezentem. Walił jesienny, mokry śnieg, chwytały już mrozy, a ludzie tkwili tu po prostu na gołej ziemi, pod gołym niebem. Co prawda, nie pozwalano im drętwieć w bezruchu, cały czas ich liczono, podtrzymywano na duchu sprawdzaniem obec-

3. To więzienie, noszące sławną w dziejach rewolucji nazwę, słabo jest znane mieszkańcom Moskwy, nie jest zwiedzane przez żadne wycieczki. Bo i jakie wycieczki, kiedy zakład FUNKCJONUJE! A można nigdzie nie jeździć, wszystko tu jest na miejscu — od szosy Nowochoroszewskiej tylko parę kroków wzdłuż obwodnicy.

ności (bywało tam po 20.000 osób jednocześnie), albo nagłymi nocnymi rewizjami. — Później w niektórych z tych klatek rozbito namioty, w innych — wznoszono drewniane piętrowe baraki, ale dla rozsądnego zmniejszenia kosztów budowy — nie kładziono pował i podłóg, tylko od razu konstruowano sześciopiętrowe nary z pionowymi drabinkami z boku. Więźniowie w ostatnim stadium wycieńczenia musieli się po nich wsipnać, jak majtkowie (urządzenie to bardziej byłoby na miejscu nie w porcie, lecz na statku). — Zimą w roku 1944/45, kiedy wszyscy więźniowie mieli już dach nad głową a było ich tylko 7.500, umierało dziennie po 50 osób i nosze, kursujące między barakami a kostnicą, cały czas były w ruchu. (Powie ktoś, że to jeszcze całkiem znośnie — skoro umiera dziennie mniej, niż 1 %, i że w tym stanie rzeczy człowiek może pociągnąć prawie pięć miesięcy. Owszem, ale przecież główna kośba, ta przy robotach w obozie — też się tu jeszcze nie zaczęła. Ten ubytek dwóch trzecich procentu dziennie jest to czysty odpad przy składowaniu i nie w każdym magazynie ziemiopłodów z tym by się pogodzono).

Im dalej się człowiek zapędzi w głąb Archipelagu, tym bardziej bije w oczy, że drewniane przystanie zajmują miejsce betonowych portów.

K a r a b a s, obóz tranzytowy pod Karagandą, nazwa którego stała się już przysłowiowa, w ciągu kilku lat gościł ponad pół miliona ludzi (Jurij Karbe już w 1942 roku został tam zarejestrowany wśród 433-ego tysiąca więźniów). Obóz tranzytowy składał się z glinianych, niskich baraków, zamiast podłogi mających klepisko. Codzienna rozrywka polegała na tym, że wszystkich wypędzano na dwór razem z rzeczami, przez ten zaś czas malarze bielili podłogi i nawet rysowali na nich dywaniki, wieczorem zaś więźniowie kładli się na ziemi i własnymi bokami ścierali zarówno wapno, jak owe dywaniki[4].

Punkt etapowy w Kniaż-Pogoście (63-ci stopień szerokości północnej) składał się cały z szałasów, stojących na mokradle. Szkielet z żerdzi pokryty był dziurawym brezentem, nie sięgającym ziemi. Wewnątrz każdego szałasu stały podwójne nary z takich samych żerdzi, że źle obciętymi sękami (przejście między nimi również wyłożone było żerdkami). We dnie spod tych żerdek występowało z chlupotem płynne błoto, w nocy zaś zamarzało. W rozmaitych punktach zony porobiono pomosty z żerdzi

4. Karabas miał ze wszystkich punktów tranzytowych najwięcej danych, aby stać się kiedyś muzeum, ale niestety — już nie istnieje: na jego miejscu wznosi się fabryka wyrobów żelazo-betonowych.

nad grząskimi miejscami i ludzie, chwiejący się już z osłabienia, to tu, to ówdzie wpadali w wodę i bagno. W 38-mym roku w Kniaż-Pogoście zawsze dawano jeść jedno i to samo: zacierkę z pośladu i rybich ości. Było to wygodne, ponieważ na punkcie przesyłkowym nie było misek, kubków, ani łyżek, sami zaś więźniowie tym bardziej ich nie mieli. Spędzano ich więc po dziesięciu do kotła i nakładano tę zacierkę czerpakami do czapek, furażek albo na podstawioną połę.

W punkcie tranzytowym Wogwozdino (kilka kilometrów od miejscowości Ust'-Wym'), gdzie siedziało jednocześnie 5 tysięcy zeków (kto wiedział coś o Wogwozdinie do tej chwili? ile jeszcze było takich nikomu nie znanych punktów? pomnóżcie to „x" przez 5 tysięcy!) — w Wogwozdinie więc gotowano rzadkie zupki — ale misek też było brak. Znaleźli jednak wyjście (bogdaj to nasza wynalazczość!) — i tę bałandę dawali ludziom w ŁAZIEBNYCH CEBRACH, na dziesięciu naraz, zmuszając ich do chłeptania na wyścigi[5].

Co prawda, to prawda: w Wogwozdinie nikt nie siedział dłużej niż rok. (Koło roku — owszem, jeżeli było mu już trzy ćwierci do śmierci i żaden obóz przyjąć go nie chciał).

Literacka fantazja wydaje się uboga w porównaniu z prozą życia Archipelagu. Gdy literat chce napisać o więzieniu coś najbardziej zjadliwego i demaskatorskiego — to zawsze kończy się na wytykaniu k i b l a. Kibel! — Stał się on już w literaturze symbolem więzienia, symbolem upokorzenia i smrodu. O, lekkomyślni ludzie! Bo to kibel jest dla więźnia złem? Jest to jeszcze najmiłosierniejszy z pomysłów więziennej władzy. Zgroza zaczyna się przecież dopiero wtedy, kiedy kibla w celi NIE MA.

W 37-mym roku, w niektórych syberyjskich więzieniach nie było kiblów, bo ich zabrakło! Nie przygotowano zawczasu odpowiedniej ilości, syberyjski przemysł nie potrafił się dostosować do rozmachu więziennej działalności. Dla nowopowstałych cel nie starczyło w magazynach kiblów. W starych celach kible były, ale antycznego typu, malutkie. I teraz rozsądek kazał je wynieść, ponieważ dla nowych kontyngentów i tak by nie wystarczyły. Tak więc, jeżeli więzienie w Minusińsku (Włodzimierz Iliicz nigdy w nim nie siedział, bo jadąc na zesłanie był na wolnej stopie) miało pojemność obliczoną na 500 więźniów, teraz zaś umieszczono w nim dziesięć tysięcy — to znaczyć że również

5. Koleżanko Sieriebriakowa! Kolego Diakow! Kolego Ałdan-Siemionow! Czyście chłeptali kiedy bałandę z łaziennej michy w dziesięć pysków? Oczywiście, nawet w takiej chwili nie poniżylibyście się do zaspokojenia „zwierzęcych potrzeb" na wzór mojego Iwana Denisowicza? I w trakcie przepychanki nad tą michą myślelibyście tylko o partii?

każdy kibel powinien był powiększyć się 20 razy! Ale wcale się nie powiększył...

Nasze rosyjskie pióra piszą tylko grubą krechą, przeżyć mamy co niemiara, nie opisano zaś i nie nazwano dotąd prawie niczego. Ale dla autorów zachodnich, z ich zamiłowaniem do oglądania przez lupę każdej molekuły życia, do wstrząsania aptecznej probówki i oglądania jej pod światło, to przecież epopea, to dziesięć nowych tomów „Poszukiwania straconego czasu": móc zrelacjonować stan ludzkiej duszy, kiedy w celi ilość więźniów zwiększa się dwudziestokrotnie, a kibla nie ma i za potrzebą wyprowadzają tylko raz na dobę! Oczywiście jest tu wiele elementów rzeczowych, o których nie mają pojęcia: nie domyślaliby się, że można oddawać mocz do brezentowego kaptura własnego płaszcza i zupełnie nie zrozumieliby rady sąsiada, żeby nasikać do buta! — a tymczasem jest to rada pełna wielkiej mądrości i bynajmniej nie prowadzi ani do zniszczenia buta, ani do zamiany go w nocnik. Znaczy to, że długi but trzeba zdjąć, obrócić podeszwą do góry, teraz dopiero odwinąć jego cholewę na zewnątrz i oto macie potrzebne wam koliste naczynie odpowiedniej pojemności! Jakimi za to subtelnościami psychologicznymi mogliby zachodni pisarze wzbogacić swoją literaturę (bez ryzyka banalnej imitacji dawnych mistrzów) gdyby tylko znali regulamin wyżej wspomnianego minusińskiego więzienia: jedna miska do jedzenia przypada na czterech więźniów, a wody do picia dają raz na dzień po kubku (kubki za to są). I oto jeden z tych czworga wykorzystał wspólną miskę, aby sprawić sobie ulgę, bo tak go sparło, ale przed obiadem odmówił oddania swojego zapasu wody dla umycia tejże miski. Co za konflikt! Jakie starcie temperamentów wszystkich czterech typów! jakie niuanse! (I tu nie żartuję. Właśnie przy takich okazjach ukazuje się dno ludzkiej osobowości. Tylko że rosyjskie pióro nie ma chęci na takie opisy, a rosyjskie oko nie ma czasu, aby je czytać. Nie żartuję, bowiem tylko lekarz powiedzieć potrafi — jak parę miesięcy w takiej celi potrafi zniszczyć zdrowie człowiekowi na całą resztę życia, choćby go nawet nie rozstrzelano za czasów Jeżowa i zrehabilitowano za czasów Chruszczowa).

No proszę, a myśmy sobie wyobrażali, że w porcie odpoczniemy i rozprostujemy kości! Ściśnięci i skuleni przez kilka dni i nocy w przedziale stołypinki — marzyliśmy o zborniaku! Tu dopiero odetchniemy szerzej, rozprostujemy grzbiety. Tu się nareszcie napijemy i wody i wrzątku. Tu nie każą nam już płacić eskorcie naszymi ciuchami za nasz własny chleb. Tu zjemy

sobie coś gorącego. I nareszcie — zaprowadzą nas do łaźni, otokniemy się, ochluśniemy się ciepłą wodą, przestaniemy się drapać. Boki nam poodbijało w karetce, rzucało nami od ściany do ściany i wrzeszczano na nas: „Brać się pod ręce!", „Brać się za pięty!", ale myśmy dodawali sobie kurażu: to nic, to nic, niedługo już etap! Już, już go widać...

I jeżeli nawet coś z tych naszych marzeń się ziści, to i tak będzie jakoś splugawione.

Co czeka człowieka w łaźni? Tego nigdy nie można przewidzieć. Ni z tego, ni z owego — zaczynają strzyc kobiety do gołej skóry (Krasnaja Presnia, 1950, listopad). Albo nas, całą czeredę nagich mężczyzn oddają w ręce brygady, złożonej wyłączne z fryzjerek. W Wołogdzie, w parowej łaźni, dorodna ciocia Motia krzyczy: „Stawać szeregiem, chłopaki!". I wszystkich po kolei traktuje parą ze szlaucha. A w irkuckim więzieniu przesyłkowym powstał spór — czy bardziej naturalne jest, aby cała obsługa łaźni była męska i żeby chłop nawet kobiety pędzlował sanitarnym wiechciem między nogami. Albo w nowosybirskim tranzytowym — zimą, w nieogrzewanej umywalni z kranów cieknie tylko zimna woda; więźniowie decydują się na wezwanie kogoś z administracji; przychodzi jakiś kapitan, podstawia bez ceregieli rękę pod kran i powiada: „A ja mówię, że woda jest gorąca, zrozumiano?!". Już nudne jest powtarzanie, że zdarzają się łaźnie zupełnie bez wody; że z komory dezynfekcyjnej rzeczy wracają spalone; że po kąpieli każą człowiekowi biec boso i na golasa po śniegu, po odbiór odzieży (kontrwywiad Drugiego Frontu Białoruskiego, Brodnica, 1945).

Już przy pierwszych krokach w zborniaku możesz się przekonać, że tu władzę nad tobą mają nie strażnicy, nie pagony i mundury, które mimo wszystko przestrzegają jakichś pisanych praw. Tu panują nad wami — p r o m i n e n c i. Ten ponury łaziebny, który tak wita wasz transport: „No, prosimy do kąpiółki, panowie faszyści!"; i ten faktor z tabliczką w ręku, który taksuje was wzrokiem i popędza; i ten wygolony i n s t r u k t o r z loczkiem, który zwiniętą gazetką bije się lekko po cholewie i wciąż zezuje na wasze tobołki; i jeszcze inni, nie znani wam bliżej prominenci, którzy rentgenowskimi ślipiami wprost przewiercają wasze walizki — jacyż oni wszyscy do siebie podobni! I gdzie to już ich wszystkich widzieliście w trakcie waszej krótkiej wędrówki z etapu na etap? — nie tak może byli czyści, nie tacy schludni, ale takie same mieli mordy, bezlitośnie uśmiechnięte?

Baaa! Toż to znowu szemrani! To ci sami knajacy, tylekroć opiewani przez Utiosowa w jego przebojach! To ten sam Żeńka

Żogol, Sierioga-Lampart i Dimka-Krwawa Kiszka, tyle, że nie siedzą już za kratą, ochędożyli się, przyodziali, cieszą się zaufaniem władzy i z zadęciem dbają o dyscyplinę — teraz już naszą. Jeśli przyjrzeć się ich pyskom wnikliwiej, z pewną dozą wyobraźni, to można nawet dojść do wniosku, że to nasza ruska krew i kość, że byli niegdyś wiejskimi kawalerczakami, że ich ojciec zwał się Klim, Prochor albo Gurij, że są nawet do nas zewnętrznie podobni: dwie dziurki w nosie, tęczówki w oczach, różowy język; pomagają sobie nim przy jedzeniu i wymawianiu niektórych rosyjskich głosek, z których jednak formują zupełnie nowe słowa.

Każdy naczelnik więzienia tranzytowego prędzej czy później dochodzi do wniosku, że za wszelkie prace etatowe można płacić pensję komuś z krewnych, siedzących spokojnie w domu, albo dzielić się nią z kolegami z administracji. Wystarczy zaś tylko gwizdnąć, aby dowolna liczba ochotników ze środowiska s o c j a l n i e - b l i s k i c h rzuciła się do wykonywania tej roboty, pragnąc w zamian tylko zakotwiczyć się na etapie, nie pojechać do kopalni, do ciężkiej pracy, do tajgi. Wszyscy ci rejestratorzy, pisarczykowie, księgowi, instruktorzy, łaziebni, fryzjerzy, magazynierzy, kucharze, pomywacze, praczki, bieliźniarze — to wieczni tranzytowcy; dostają formalnie tylko więzienny chleb i nazywa się, że siedzą p o d c e l ą, całe zaś masełko do chleba już bez żadnej pomocy ze strony zwierzchności wyłowią sobie sami ze wspólnego kotła albo wycisną z przejezdnych zeków. Wszyscy ci tranzytowi funkcyjni mają wszelkie podstawy do pewności, że w żadnym obozie nie będzie im lepiej. Wpadamy w ich łapy jeszcze nie do szczętu ograbieni i oni to mają nas ostatecznie wystrychnąć na dudków. To oni nas tu rewidują, w zastępstwie strażników, a przed rewizją proponują nam, by oddać pieniądze do depozytu, nawet piszą z miną całkiem serio jakieś spisy — których nigdy już nie zobaczymy, podobnie, jak pieniędzy. „Pieniądze przecież oddaliśmy!" — „Komu" — dziwi się oficer. — „A był tu taki jeden!" — „Kto taki?". Inni funkcyjni nic nie wiedzą... „Po coście mu to dawali?" — „Bo myśmy myśleli..." — „Indyk też myślał! Mniej trzeba myśleć!". I to wszystko. — To oni proponują nam, żeby rzeczy zostawić w łaziebnej poczekalni: „Ależ nikt wam nic nie zabierze! Komu to w ogóle potrzebne!". Zostawiamy więc, przecież i tak nie można zabrać ich do kąpieli. Wracamy: nie ma swetrów, nie ma futrzanych rękawic. „A jaki był ten sweter?" — „Taki szary..." — „No, to znaczy, że poszedł się wybielić do kąpieli!". — Rzeczy zabierają nam również w u c z c i w y sposób: za to, żeby wziąć walizkę na przechowanie do magazynu; za to, żeby dać człowieka

do celi, gdzie nie ma knajaków; za to, żeby szybciej posłać nas dalej; za to, żeby mógł człowiek trochę dłużej zostać tutaj. Nie rabują otwarcie, to cała różnica.

— „Ależ to nie szemrani! — tłumaczą nam nasi znawcy. — To są kapusie, sukinsyny, którzy poszli na współpracę. To są wrogowie p o r z ą d n y c h z ł o d z i e i. A ci porządni — siedzą przecież w celach". Ale to rozumowanie jest jakoś zbyt trudne dla naszego króliczego rozumku. Te same tony, ten sam tatuaż... Może istotnie są wrogami t a m t y c h, ale nie są wcale naszymi przyjaciółmi, w tym sęk...

Tymczasem siedzimy już na dziedzińcu pod samymi oknami cel. Na oknach kagańce, nic nie widać, jednak dochodzi stamtąd jakiś chrapliwy, lecz życzliwy głos, który nam radzi: „Chłopaki! Tu jest taki regulamin: przy kipiszu zabierają wszystko, co sypkie — herbatę, tytoń. Kto ma trochę — niech nam tu rzuci przez okno, później wam oddamy". Co my wiemy o życiu? Toć z nas frajery i króliki. Może naprawdę odbierają herbatę i tytoń? Czytaliśmy w arcydziełach literatury o powszechnej solidarności więźniarskiej, toż więzień więźnia nie oszuka! I ten sympatyczny ton — „chłopaki!". Więc przerzucamy im woreczki z tytoniem. Rasowi złodzieje łapią w locie i rechoczą: „Ale durnie z tych faszystów!".

Oto jakie hasła witają nas w zborniakach, chociaż na ścianach ich nie widać: „Nie szukaj tu sprawiedliwości!", „Wszystko, co masz jeszcze — będziesz musiał oddać!". Wszystko trzeba będzie oddać! — powiedzą ci to strażnicy, konwojenci i knajacy. Przytłoczony jesteś swoim ciężkim, jak ołów wyrokiem, myślisz tylko o tym, aby złapać chwilę oddechu, dookoła zaś wszyscy myślą tylko o tym, jak cię ograbić. Wszystko składa się na to, aby jeszcze bardziej pognębić politycznego, już i tak zgnębionego i osamotnionego. „Wszystko będzie trzeba i tak oddać...", ponuro kiwa głową nadzorca w Gorkowskim więzieniu tranzytowym — i Ans Bernsztejn z uczuciem ulgi oddaje mu swój oficerski szynel — nie za bezdurno, tylko za dwie główki cebuli. I jak tu mieć pretensję do knajaków, jeżeli wszyscy strażnicy na Krasnej Presni paradują w chromowych butach, których nikt im nigdy nie przydzielił? Wszystko to capnęli w celach knajacy, żeby później o p y l i ć strażnikom. Jaką można mieć pretensję do knajaków, jeżeli instruktor Oddziału Kulturalno-Wychowawczego obozu — jest knajakiem, wziętym na funkcję i pisze politycznym c h a r a k t e r y s t y k i (punkt obozowy Kem-Per)? Może w rostowskim tranzytowym szukać mamy pomocy i sprawiedliwości, skoro to pradawne gniazdo rodzinne całego knajactwa?

Podobno w 1942 roku w tranzytowym więzieniu miasta Gorki, aresztanci-oficerowie (Gawryłow, technik wojskowy Szczebietin), zbuntowali się jednak, pobili złodziei i zmusili ich do uległości. Ale takich rzeczy zawsze słucha się, jak legendy: czy w jednej tylko celi tak im dano po nosie? Czy na długo tak spokornieli? A co na to błękitne czapki, że o b c e elementy biją swoich? Kiedy zaś kto inny opowiada, jak to w Kotłassie na etapie, w 40-tym roku kryminaliści wyrwali pieniądze stojącym w kolejce do kantyny politycznym, i jak ci ostatni zaczęli za to ich lać bez litości, i jak — broniąc knajaków — wkroczyła do zony straż z karabinami maszynowymi — tu człowiek wcale nie wątpi, to podobne do prawdy!

Głupi nasi krewni! — uwijają się tam za murami, pożyczają pieniądze (bo tylu pieniędzy nikt nie ma w domu), żeby posłać ci za nie jakieś rzeczy, coś do jedzenia — za te ostatnie, wdowie grosze; ale zatrute to dary, bo z człowieka głodnego, ale wolnego czynią pełnego niepokoju tchórza. Człowiek sam się pozbawia tej świtającej już jasności i rodzącej się stanowczości, które są jedynymi właściwościami naprawdę potrzebnymi przed zejściem do otchłani. O, jak rozumna jest przypowieść o wielbłądzie i uchu igielnym! Do królestwa niebieskiego wyzwolonego ducha nie pozwalają ci wejść twoje szmaty. U innych pasażerów tej samej suki też widzisz takie same tobołki. „Banda skurwieli" — już w karetce warczeli na nas knajacy, ale było ich tylko dwóch, nas zaś pół setki i tymczasem musieli jeszcze trzymać ręce przy sobie. Teraz natomiast już drugą dobę trzymają nas na Presni, w celi zwanej d w o r c o w ą, na brudnej podłodze, z nogami podkurczonymi, bo tak ciasno, jednak nikt z nas nie obserwuje tego, co się dookoła dzieje, tylko każdy myśli, jakby tu oddać na przechowanie swój tobołek. Chociaż mamy niby prawo do oddawania bagażu na przechowanie, ale funkcyjni ustępują w końcu tylko dlatego, że to moskiewskie więzienie, a myśmy nie stracili jeszcze moskiewskiego fasonu.

Co za ulga! — rzeczy już w depozycie (to znaczy, że zabiorą je nam całkiem nie na tym etapie, tylko gdzieś dalej). Tylko te nieszczęsne węzełki z jedzeniem musimy trzymać jeszcze w ręku. Zbyt wielu jednak jest tutaj razem nas — n a d z i a n y c h j e l e n i. Zaczynają nas więc przydzielać grupkami do innych cel. W towarzystwie tego samego Walentego, z którym razem kwitowaliśmy odbiór wyroków OSO i który z rozrzewnieniem obiecywał sobie, że w obozie rozpocznie nowe życie — wepchnięci zostaliśmy do jakiejś celi. Jeszcze nie była całkiem pełna: przejście było wolne i pod narami było dużo miejsca. Według klasycznego schematu — górne nary zajmują knajacy: starsi —

pod oknami, młodsi — nieco dalej. Na dolnych narach kłębi się nijaka, szara masa. Nikt nas nie atakuje. Nie rozejrzawszy się dobrze, nie oceniwszy sytuacji, nie mając zresztą doświadczenia, wpełzamy po asfaltowej podłodze pod nary — będzie tam nam chyba dość przytulnie. Nary są niskie i rosły mężczyzna wpełzać musi pod nie po indiańsku, czołgając się brzuchem po ziemi. Wczołgaliśmy się. Teraz będziemy tu sobie leżeć spokojnie i spokojnie rozmawiać. Ale gdzie tam! W niskim półmroku, z cichym szelestem, na czworakach, jak wielkie szczury skradają się do nas ze wszystkich stron małolatki — to jeszcze zupełne dzieci, są nawet 12-letnie, ale kodeks akceptuje również takich, mają już za sobą proces o kradzież, a teraz przyszli tu do złodziejskiego terminu. Napuszczono ich na nas! W milczeniu rzucają się ze wszystkich stron i tuzinem rąk wyrywają nam i spod nas wszystko, co jeszcze mamy. W zupełnym milczeniu, słychać tylko gniewne sapanie! Jesteśmy w pułapce: nie możemy się podnieść, ani nawet ruszyć. Nie minęła nawet minuta, a już nam wyrwali woreczek ze słoniną, cukrem i chlebem — i już ich nie ma, a my leżymy, jak głupi. Bez walki oddaliśmy nasze zapasy i teraz możemy nawet leżeć sobie dalej, ale to wykluczone. Śmiesznie wierzgając nogami, wypełzamy tyłem spod nar.

Czy jestem tchórzem? Sądziłem dotychczas, że nie. Pchałem się pod bomby w stepie bez żadnej osłony. Puszczałem się przed siebie traktem, o którym wiadomo było, że usiany jest minami przeciwpancernymi. Zachowywałem zimną krew, gdym wyprowadzał moją baterię z kotła i gdym jeszcze raz tam wracał po uszkodzoną ciężarówkę. Dlaczego teraz nie chwycę za kark jednego z tych szczurków i nie szurnę go różowym pyskiem o czarny asfalt? Że za mały? — No, mógłbym znaleźć jakiegoś większego. Ale nie... Na froncie podtrzymuje nas na duchu pewne nieznane innym poczucie (być może całkiem fałszywe) — żołnierskiej wspólnoty? że jest się na swoim miejscu? że spełnia się obowiązek? Tutaj zaś — człowiek nie ma żadnych zadań, nie istnieje regulamin i wszystkiego trzeba się dowiadywać po omacku.

Podnoszę się z ziemi i zwracam się do ich herszta, do pachana. Na górnych narach, pod samym oknem leżą przed nim wszystkie zabrane nam zapasy: szczury-małolatki ani kruszyny nie wzięły sobie, znają mores. Ta przednia część łba, która u dwunogich nosi zwykle nazwę twarzy, u tego pachana ukształtowana została przez naturę ręką pełną obrzydzenia i niechęci, może zresztą to drapieżny tryb życia sprawił, że jest obwisła i skrzywiona, o niskim czole, ozdobiona jaskiniową szramą i nowoczesnymi, stalowymi koronkami na siekaczach. Ślipkami o roz-

miarach właśnie takich, by widzieć zawsze tylko rzeczy znane i nie tracić sił na podziwianie świata, patrzy teraz na mnie jak odyniec na jelenia, dobrze wiedząc, że zawsze potrafi zbić mnie z nóg.

Czeka. A co ja robię? Czy skaczę na górę, żeby zdzielić tę mordę chociaż raz pięścią, choćbym miał nawet potem rozciągnąć się bezwładnie między narami? Niestety, nie.

Czy jestem podły? Zdawało mi się dotychczas, że nie. Ale to co teraz najbardziej boli mnie — ograbionego, upokorzonego, to perspektywa ponownego wpełzania na brzuchu pod nary. Więc mówię z gniewem do pachana, że teraz, kiedy zabrał nam nasze zapasy, mógłby chociaż dać miejsce na narach. (No, czy nie naturalny to wymóg ze strony oficera i człowieka urodzonego w mieście?).

No i cóż? Pachan wyraża zgodę. Przecież tym samym wyrzekam się ostatecznie mojej słoniny; a także uznaję jego władzę; a również pokazuję, że mam wspólne z nim poglądy — on też by pozbawił miejsca najsłabszych. Rozkazuje więc dwom neutralnym szaraczkom usunąć się z dolnych nar pod oknem i oddać nam miejsca. Ustępują pokornie. Kładziemy się na najlepszych miejscach. Jeszcze przez jakiś czas przeżuwamy gorycz swoich strat (moje bryczesy nie budzą zainteresowania knajaków, mundury — to nie dla nich, ale jeden ze złodziei już maca skraj wełnianych spodni Walentego — wyraźnie mu się podobają). I dopiero pod wieczór dociera do naszych uszu pełen wyrzutu szept naszych sąsiadów: jak mogliśmy u knajaków szukać pomocy, a dwóch s w o i c h zapędzić pod nary? I dopiero tu przeszywa mnie na wskroś świadomość własnej podłości i biją na mnie pąsy (jeszcze przez wiele lat będą biły, ile razy sobie to przypomnę). Ci szaraczkowie na dolnych narach, to przecież moi bracia — 58-1-b, to byli jeńcy. Czy to dawno temu przysięgałem, że przełamię się z nimi wspólnym przeznaczeniem? A teraz ich spycham pod nary? To prawda, że oni też nie bronili nas przed knajakami — ale dlaczego by mieli walczyć o naszą słoninę, jeśli my sami o nią wcale nie walczymy? Dość takich walk przeżyli w niewoli, aby rozczarować się do wszelkiej szlachetności. I jednak — żadnej krzywdy mi nie wyrządzili — a ja wyrządziłem im krzywdę.

Tak oto trzeba sobie okrzesać boki i ryje, żeby po latach przynajmniej przekształcić się w ludzi... Żeby stać się ludźmi...

◆

Ale nawet dla nowicjusza, którego tu obdzierają i łupią ze skóry — ten etap jest potrzebny, potrzebny! Dzięki niemu

stopniowo oswaja się z tym, co go czeka w obozie. Serce ludzkie nie mogłoby wytrzymać takiego przejścia jednym skokiem. Świadomość nie potrafi zorientować się z punktu wśród tego chaosu. Można tylko stopniowo.

Następnie — zborniak daje człowiekowi pozór kontaktu z domem. Stąd pisze się swój pierwszy legalny list: czasem — że cię nie rozstrzelano, kiedy indziej — o kierunku, w jakim cię wiozą, zawsze zaś są to pierwsze, jakże odmienne od dawnych, słowa człowieka, przeoranego śledztwem. Tam, w domu pamiętają go jeszcze takim, jakim był dawniej, ale nigdy już nie wróci do tej postaci — i nagle ta świadomość mignie, jak błyskawica, wśród krzywych liter listu. Krzywych, dlatego że chociaż listy z etapów są dozwolone i na dziedzińcu wisi nawet skrzynka pocztowa, ale papieru ani ołówka dostać nie podobna, tym bardziej zaś nie ma czym go zaostrzyć. W końcu znajduje człowiek kawałek papieru, w który zawinięta była przedtem machorka, albo kawałek opakowania z paczki cukru, ktoś w celi ma ołówek i takimi oto krzywymi kulfonami pisane są dlatego te listy, od których zależy całość albo rozkład rodziny.

Szalone kobiety czasem po otrzymaniu takiego listu nieopatrznie puszczają się w podróż, aby znaleźć jeszcze męża na etapie, chociaż widzenia nikt im nigdy nie da. I jedyne, co można osiągnąć, to dorzucenie jeszcze jakichś rzeczy do ciążącego mu tobołka. Jedna z takich kobiet dostarczyła nawet tematu rzeźbiarzowi, który chciałby kiedyś wystawić pomnik wszystkim żonom więźniów — co więcej, wskazała też miejsce, gdzie mógłby stanąć.

Było to w kujbyszewskim zborniaku w 1950 roku. Więzienie leżało w zapadlinie (z której jednak widać było Żygulowski przełom Wołgi), a zaraz nad nią, okalając ją od wschodu, ciągnęło się długie, pokryte trawą wzgórze. Leżało poza zoną i ponad nią; jak można było osiągnąć jego szczyt z drugiej strony — tegośmy z dołu nie mogli widzieć. Rzadko kto zresztą na nim się pojawiał, czasem pasły się kozy i uganiały się dzieci. Aż któregoś letniego, pochmurnego dnia, na krawędzi zbocza zjawiła się kobieta z miasta. Spod daszka dłoni, powoli wodząc oczyma, zaczęła rozglądać się z góry po naszej zonie. Na różnych podworcach odbywały o tej porze swój spacer trzy duże cele — i wśród tych trzechset zbitych w ciżbę mrówek bez twarzy, snujących się na dnie przepaści, chciała ona zobaczyć swojego męża! Miała może nadzieję, że serce jej podpowie? Na pewno nie dostała widzenia i dlatego wdrapała się na ten pagór. Na spacernikach już ją zauważono i wszyscy patrzyli w jej stronę. W naszej zapadlinie nie było wiatru, tam na górze wiało porządnie. Wiatr

wzdymał i targał jej długą suknię, rozwiewał jej włosy i przez to jakby stawała się widoma cała miłość i obawa, która w niej żyła.

Myślę, że pomnik takiej kobiety — właśnie tam, na wzgórzu nad więzieniem, obrócony twarzą ku Żygulowskim Wrotom, tak, jak ona tam stała, mógłby chociaż w części coś wyjaśnić naszym wnukom[6].

Nie wiedzieć czemu, długo jej nikt nie odganiał — na pewno straży się nie chciało, bo pod górę. Ale w końcu wdrapał się tam jeden żołnierz, zaczął krzyczeć, wymachiwać rękoma — i przepędził tę kobietę.

Zborniak daje więźniowi perspektywę, poszerza jego pole widzenia. Jak to powiadają — choć goło, lecz wesoło. W ciągłym tutejszym ruchu, w tym młynie, gdzie migają dziesiątki i setki twarzy, gdzie rozmawia się i opowiada z całą szczerością (w obozie tak nie bywa, wszędzie tam człowiek boi się nadepnąć na mackę służby bezpieczeństwa) — możesz się jakby odświeżyć, przewietrzyć, przetrzeć oczy i zaczynasz lepiej rozumieć, co dzieje się z tobą, z twoim narodem, a nawet — ze światem. Jeśli jest w twojej celi ktoś niezupełnie zwykły, to tyle ci dziwnych różności naopowiada, jakich nigdy byś nie przeczytał.

Wchodzi nagle do celi jakiś odmieniec: wysoki, młody wojskowy, o rzymskim profilu, z niestrzyżonymi, kędzierzawymi, płowymi włosami, w mundurze angielskiego kroju, jakby tu przybył wprost z wybrzeży Normandii, ot oficer armii inwazyjnej. Wchodzi z wyrazem takiej dumy, jakby oczekiwał, że wszyscy staną przed nim na baczność. Okazało się zaś, że po prostu nie spodziewał się, iż spotka tu przyjaciół: siedzi już dwa lata, ale nigdy jeszcze nie był w celi ogólnej i aż do tego więzienia tranzytowego wieziono go w sekrecie, w osobnym przedziale stołypinki. Teraz znowu, całkiem niespodzianie, omyłkowo czy też umyślnie, dość, że wpuszczony został do naszej ogólnej stajni.

6. Przecież kiedyś musi znaleźć odbicie w pomnikach tajna i prawie już zaprzepaszczona historia naszego Archipelagu! Ja na przykład wyobrażam sobie często jeszcze jeden taki pomnik: gdzieś na Kołymie, na jakimś wzgórzu — olbrzymi Stalin, takich rozmiarów, jakie sam by sobie mógł wymarzyć — z wielometrowymi wąsami, z uśmiechem obozowego komendanta; niechby jedną ręką szarpał cugle, a drugą — miał podniesioną, aby biczem smagać zaprzęg — zaprzęg z setek ludzi, założonych po pięciu, w naciągniętej uprzęży. Na skraju Czukotki, nad cieśniną Beringa też by to ładnie wyglądało. (Już to miałem napisane, kiedy przeczytałem książkę „Płaskorzeźba na skale". Widocznie jest coś w tym pomyśle. Podobno w tych samych Żygulach, na górze Mogutowa, nad Wołgą, o kilometr od obozu, wymalowany był olejnymi farbami na skale ogromny Stalin, którego można było podziwiać z przejeżdżających parowców).

Obchodzi celę dookoła, widzi oficera Wehrmachtu w niemieckim mundurze, mówi mu coś po niemiecku — i oto już ci dwaj spierają się zaciekle, gotowi, zdawałoby się sięgnąć po broń, gdyby tylko była pod ręką. Minęło pięć lat od końca wojny, wmawiano nam, że na Zachodzie tę wojnę prowadzono tylko dla pucu, więc aż nas dziwi ta zaciekłość: leżał ci ten Niemiec wśród nas i leżał, a my, Ruscy, wcaleśmy się z nim za łby nie wodzili, najwyżej śmialiśmy się z niego.

Nikt nie dałby wiary opowiadaniu Eryka Arwida Andersena gdyby nie ta jego nietknięta maszynką fryzura — jedyna chyba taka w całym GUŁagu; i gdyby nie to jego szczególne wzięcie; i gdyby nie fakt, że swobodnie władał angielskim, niemieckim i szwedzkim. Wynikało z tego co nam powiedział, że był synem szwedzkiego milionera, więcej, bo miliardera (no, powiedzmy, że tu mógł przesadzić), po kądzieli zaś — był kuzynem generała Robertsona, dowódcy angielskiej armii okupacyjnej w Niemczech. Choć był obywatelem szwedzkim, ale podczas wojny wstąpił jako ochotnik do armii angielskiej, brał istotnie udział w lądowaniu w Normandii, po wojnie zaś został kadrowym oficerem armii szwedzkiej. Jednakże nie porzucił swoich zainteresowań społecznych; pragnął zwycięstwa socjalizmu i to pragnienie mocniejsze w nim było od przywiązania do ojcowskich kapitałów. Z głęboką sympatią przyglądał się realizacji socjalizmu sowieckiego i nawet przekonał się naocznie o jego sukcesach, gdy przybył do Moskwy w składzie szwedzkiej delegacji wojskowej. Wydawano na ich cześć bankiety, wożono na zamiejskie dacze, a tam nikt im nie utrudniał kontaktu z szeregowymi obywatelami sowieckimi — z czarującymi artystkami, którym nie spieszyło się do żadnej pracy i które nader chętnie spędzały z gośćmi czas, nawet w cztery oczy. Przekonawszy się ostatecznie, że tryumf naszego ustroju jest nieuchronny, Eryk, po powrocie na Zachód, opublikował jakiś artykuł w obronie sowieckiego socjalizmu i ku jego chwale. Ale tu trochę przesadził, to właśnie go zgubiło. Akurat w tych latach (1947-48) wyciągano u nas skąd się tylko dało postępowych, młodych przedstawicieli Zachodu, gotowych potępić go publicznie (wydawało się, że wystarczy znaleźć jeszcze ze dwudziestu, a Zachód drgnie i runie). Po opublikowaniu artykułu uznano, że Eryk nadaje się w sam raz do tego celu. Służąc w tym okresie w Berlinie Zachodnim (żona została w Szwecji) Eryk odwiedzał pewną niemiecką panienkę we wschodnim Berlinie, co jest grzeszkiem w końcu wybaczalnym. Właśnie u niej pewnej nocy został napadnięty i porwany (czy nie stąd właśnie wzięło się przysłowie: — „Szedł do gamratki, a trafił za kratki"? Dawny to proceder, nie on widać pierwszy). Przy-

wieziono go do Moskwy, a tam Gromyko, który niegdyś bywał na przyjęciach w domu jego ojca w Sztokholmie i stąd go znał, teraz, na zasadzie rewanżu, zaproponował młodzieńcowi, aby publicznie wyparł się i kapitalizmu, i własnego ojca. Obiecywał mu za to u nas wszelkie kapitalistyczne luksusy aż do końca jak najdłuższego życia. Ale chociaż Eryk nic, jak widać, nie tracił z materialnego punktu widzenia, jednak — ku wielkiemu zdumieniu Gromyki — zareagował oburzeniem i porządnie nawymyślał staremu znajomemu. Nie bardzo wierząc w jego stanowczość, zamknięto go na pewnej daczy pod Moskwą, dawano jeść, jak księciu z bajki (niekiedy zresztą pozwalano sobie na „straszliwe represje": nie przyjmowano zamówień na określone menu i zamiast upragnionego kurczęcia, przynoszono nagle antrykot), obstawiono go dziełami Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina i przez cały rok czekano na przełom. Dziwne, ale jakoś do tego nie doszło. Wówczas dano mu do towarzystwa byłego generała-lejtnanta, który miał już za sobą dwa lata spędzone w Norylsku. Liczono zapewne na to, że generał-lejtnant opowieściami na temat obozowych okropności skłoni Eryka, aby spuścił trochę z tonu. Ale generał zadanie to wykonał źle, a może nie chciał go wykonać. W ciągu dziesięciu miesięcy wspólnego siedzenia zdołał jedynie sprawić, że Eryk poznał trochę rosyjski i że wzmógł w nim się jeszcze wstręt do błękitnych czapek. Latem 1950 roku wezwano Eryka jeszcze raz do Wyszyńskiego, któremu również dał odmowną odpowiedź (dając pierwszeństwo świadomości przed bytem, co przeczyło wszelkim zasadom!). Wówczas to sam Abakumow odczytał Erykowi decyzję: 20 lat więzienia (?? za co?). Już sami pluli sobie w brodę, że wplątali się w historię z tym szczeniakiem, ale przecież nie można już go było tak po prostu puszczać na Zachód. Właśnie wtedy wpakowano go do osobnego przedziału, gdzie wysłuchał przez ścianę opowieści dziewczyny z Moskwy, aby następnego ranka zobaczyć za oknem gnijące strzechy słomianej, riazańskiej Rusi.

W ciągu tych dwóch lat bardzo wzmogło się w nim uczucie wierności dla Zachodu. Jego wiara w Zachód była tak ślepa, że nie chciał widzieć w ogóle żadnych jego braków, że uważał armie zachodnie za niepokonane, polityków jego zaś za ludzi bez skazy i zmazy. Nie chciał wierzyć, gdyśmy mu opowiadali, że w czasie gdy on był izolowany Stalin zdecydował się na blokadę Berlina i że uszło mu to całkiem bezkarnie. Mleczna szyja Eryka i kremowe jego policzki pokrywały się rumieńcem gniewu, gdyśmy wyśmiewali Churchilla i Roosevelta. Był także pewien, iż Zachód nie pogodzi się z jego uwięzieniem; że teraz, kiedy rozejdą się wiadomości z kujbyszewskiego więzienia, wywiad zachodni dowie

się, że Eryk nie utonął w Szprewie, tylko siedzi w ZSSR — i zaraz wykupią go albo wymienią. (Przypominał mi bardzo naszych prawomyślnych ortodoksów tą swoją wiarą, w wyjątkowość j e g o losu w porównaniu z losami innych aresztowanych). Nie bacząc na ostre starcia słowne, zapraszał mnie i pewnego mego przyjaciela do siebie, do Sztokholmu, przy najbliższej okazji („każdy nas tam zna — mówił ze znużonym uśmiechem — mój ojciec ma w kieszeni bez mała cały dwór królewski"). Tymczasem zaś syn miliardera nie miał czym gęby wytrzeć, więc podarowałem mu jakiś lichy ręczniczek, bo miałem dwa. Wkrótce zabrano go na etap[7].

A tu trwa dalej przerzucanie ludzi — sprowadzają ich, wyprowadzają, to pojedynczo, to grupami, posyłają dokądś wciąż nowe transporty. Jest to ruch z pozoru tak sprawny, tak planowy, że trudno nawet uwierzyć, ile w nim niedorzeczności.

W 1949 roku stworzone zostają Obozy Specjalne — i oto na mocy czyjejś bardzo wysoko powziętej decyzji, masy kobiet przerzucane są z obozów europejskiej Północy i z ziem leżących za Wołgą — via Swierdłowsk — na Syberię, do Tajszetu, do grupy obozów Ozierłag. Ale już w roku 1950 ktoś uznał, że lepiej będzie ściągnąć kobiety nie do Ozierłagu, tylko do Dubrowłagu — w okolicach miejscowości Tiemniki w republice Mordwińskiej, nad Wołgą. I oto znów te same kobiety, delektując się przy okazji całym komfortem gułagowskich podróży, ciągnęły na Zachód tą samą drogą, przez Swierdłowski zborniak. W 1951 roku otwiera się nowe Obozy Specjalne w okręgu Kemerowo (Kamyszłag). — Okazuje się, że tu właśnie praca kobiet będzie miała najlepsze zastosowanie! I nieszczęsne kobiety wleczone są

7. Wciąż pytałem od tego czasu moich przypadkowych znajomych z Szwecji, albo ludzi tam jadących: jak znaleźć tę rodzinę? czy słyszeli o kimś, kto w ten sposób zaginął? Odpowiadano mi z pobłażliwym uśmiechem: Andersen w Szwecji to nazwisko tak samo częste, jak Iwanow w Rosji, miliardera zaś tego nazwiska — nie ma. I dopiero teraz — po 22 latach, przeglądając ostatni raz rękopis tej książki, doznałem nagłego olśnienia: toć na pewno ZABRONIONO mu wymieniać prawdziwe swoje imię i nazwisko! Jasne, że Abakumow go uprzedził, iż w takim wypadku natychmiast go KAŻE ZLIKWIDOWAĆ! Więc pojechał z etapu na etap, jako szwedzki Iwanow. I jedynie te poboczne szczegóły swojej biografii powierzał pamięci przypadkowo spotkanych osób, aby zostawić ślad, jakąś wieść o swoim złamanym życiu. A właściwie, wciąż miał nadzieję, że zdoła je uratować — nadzieję ludzką, podobnie jak miliony królików, o których w tej książce mowa: byle przetrwać, a tymczasem oburzony Zachód doprowadzi do jego uwolnienia. Nie doceniał odporności Wschodu. I nie rozumiał, że TAKIEGO świadka, który sam TAKĄ wykazał nieustępliwość, nie spotykaną na zmurszałym Zachodzie — nigdy nie puszczą na wolność.

A przecież nie wykluczone, że jeszcze dotychczas żyje. (Uwaga z 1972 r.).

teraz do kemerowskich obozów wciąż przez to samo przeklęte swierdłowskie więzienie. Nadchodzi okres wyzwolenia, ale nie dla wszystkich! I te kobiety, które musiały jeszcze odsiadywać resztę wyroku, choć wszędzie już trwała chruszczowowska odwilż — znowu ciągną z Syberii przez Swierdłowsk — aż do Republiki Mordwińskiej: bo jednak lepiej będzie ściągnąć je wszystkie do kupy.

No, ale gospodarstwo mamy wspólne, należą do niego najdalsze nawet wyspy, a co do odległości, to dla Rosjan nie są one nigdy niczym nadzwyczajnym.

Zdarzało się to także z poszczególnymi, nieszczęsnymi zekami. Szendryk — wesoły, przystojny chłopak o prostych rysach twarzy p r a c o w a ł u c z c i w i e, jak to się u nas powiada, w jednym z kujbyszewskich obozów i nie przeczuwał nieszczęścia. A jednak już się zbliżało. Przyszła do obozu pilna dyspozycja — i to nie byle jaka — tylko od samego ministra Spraw wewnętrznych (skąd minister mógł wiedzieć o istnieniu jakiegoś Szendryka?) — aby natychmiast odesłać tegoż Szendryka do Moskwy, do więzienia nr 18. Wyłowiono go więc, i posłano tranzytem przez Kujbyszew wprost do Moskwy, przy tym nie do żadnego więzienia nr 18, lecz — z całym tłumem innych — na słynącą szeroko Krasną Presnię. (Sam Szendryk o żadnym numerze 18-tym nie miał zielonego pojęcia, przecież mu nikt o niczym nie mówił). Ale nieszczęście nie spało: nie minęły dwie doby — a pchnęli go znów na etap i zawieźli tym razem aż na Pieczorę. Krajobraz za oknem stawał się coraz bardziej jałowy i ponury. Chłopak poczuł strach: wiedział tylko, że jedzie na rozkaz ministra i skoro go tak ostro wiozą na Północ, to widać minister ma w ręku jakieś groźne m a t e r i a ł y w sprawie Szendryka. Niezależnie od wszystkich udręk, przeżytych w trakcie tej podróży, Szendrykowi skradziono po drodze trzydniowy przydział chleba, więc na Pieczorę przyjechał chwiejąc się na nogach. Pieczora powitała go niezbyt gościnnie: głodny i zupełnie jeszcze nie urządzony w nowym miejscu, popędzony został po mokrym śniegu do roboty. W ciągu dwóch dni nie zdążył nawet koszuli wysuszyć ani razu, ani nabić sobie siennika świerczyną — a tu już kazali mu oddać wszystkie obozowe sorty, znów się do niego zabrali — i posłali jeszcze dalej — na Workutę. Widać było, że minister postanowił zgnoić Szendryka, no, prawdę rzec, nie tylko jego, ale cały transport. Na Workucie przez miesiąc nikt się Szendrykiem nie interesował. Chodził sobie na roboty ogólne, jeszcze nie stanął na nogach, jak należy po swoich podróżach, ale już zaczął się godzić z tym podbiegunowym losem. I nagle w biały dzień wezwali go z kopalni, z wywieszonym ozorem pognali do

obozu, żeby tam mógł zwrócić sorty i już po godzinie był w drodze na południe. To już wyraźnie pachniało porachunkami osobistymi. Przywieźli go do Moskwy do więzienia nr 18. Trzymano go w celi przez miesiąc. Po miesiącu wezwał go jakiś podpułkownik i zapytał: — no i gdzie też się obywatel podziewał? Jesteście podobno technikiem, konstruktorem maszyn? To prawda? Szendryk przyznał się. I wówczas posłano go... na Rajskie Wyspy! (Owszem, są również takie na Archipelagu!).

To miganie ludzkich twarzy, te losy i te opowieści o nich — bardzo zdobią zborniaki. A starzy bywalcy obozów radzą: leż tu cicho i nie podpadaj! Jeść dają tylko porcje gwarantowane[8], ale też nie wysilisz się zbytnio. I kiedy nie jest za ciasno, to przynajmniej wyśpi się człowiek do woli. Można leżeć brzuchem do góry od jednej sałamachy do drugiej. Co się człowiek nie naje, to się wyśpi. Tylko ten, kto spróbował już obozowych robót ogólnych, jest w stanie zrozumieć, że więzienie tranzytowe — to dom wczasowy, to szczęśliwy los. I dodatkowa korzyść, że kiedy człowiek śpi w dzień — to szybciej wyrok odsiaduje. Grunt, to pozbyć się dnia, bo nocy i tak nie widać.

Co prawda, pamiętając, że człowieka dopiero praca uczłowieczyła, i że jedynie praca wychować może przestępcę, a także mając czasem jakieś roboty pomocnicze do wykonania, czasem też pragnąc podreperować swoje finanse — gospodarze więzień tranzytowych zaprzęgają do pracy również tę swoją przypadkową, wędrowną siłę roboczą.

W znanym już nam kotłasskim więzieniu przed wojną roboty te nie były wcale lżejsze niż w obozie. W ciągu jednego dnia zimowego sześciu, siedmiu wycieńczonych aresztantów, zaprzężonych do ciągnikowych (!) sań musiało wlec je DWANAŚCIE kilometrów po zamarzniętej Dźwinie aż do ujścia Wyczegdy. Zapadali się w śnieg, wywracali się, sanie więzły w zaspach. Nie można chyba było wymyśleć bardziej wyczerpującej pracy! Ale to nie była jeszcze prawdziwa robota tylko rozgrzewka. Tam, przy ujściu Wyczegdy trzeba było załadować na sanie DZIESIĘĆ metrów polan — i w tym samym składzie, w takim samym zaprzęgu (Riepin już nie żyje, a dla nowoczesnych malarzy to nie temat, jakieś chamskie naśladowanie natury) dociągnąć sanie aż do więzienia macierzystego! Co tam obóz! — jeszcze przed obozem przyjdzie na człowieka kryska. (Brygadierem przy tych robotach był Kołupajew, rolę zaś koników grali — inżynier elektryk Dmitriew, podpułkownik kwatermistrzow-

8. To znaczy przydziały minimalne, jakie GUŁag gwarantuje w razie braku pracy.

stwa Bielajew, znany już nam Wasyli Własow, zresztą wszystkich teraz już trudno sobie przypomnieć).

W arzamasskim zborniaku podczas wojny karmiono aresztantów boćwiną, za to do pracy zaprzęgano na ogólnych zasadach. Obok więzienia działały tam warsztaty krawieckie, folusz i wytwórni obuwia (trzeba było w gorącej wodzie z kwasem wałkować surowy filc).

Z Krasnej Presni latem 1945 roku, z dusznych i przepełnionych cel rwaliśmy się do pracy dobrowolnie: byle przez cały dzień mieć czym oddychać; byle móc bez przeszkód i pośpiechu posiedzieć w zacisznym wychodku z tarcic (otóż to, o tym środku zachęty władza często zapomina!), gorącym od sierpniowego słońca (było to w dniach Poczdamu i Hiroszimy), gdzie statecznie brzęczała samotna pszczoła; i wreszcie — byle mieć prawo do otrzymania wieczorem dodatkowych stu gramów chleba. Prowadzono nas na przystań nad rzeką Moskwą, gdzie trzeba było wyładowywać drwa. Zadaniem naszym było ściąganie bali z jednego stosu, przenoszenie i układanie z nich innego stosu. Traciliśmy przy tym o wiele więcej sił, niż nam ich przybywało po jedzeniu. Mimo to radzi byliśmy, że możemy chodzić do tej pracy.

Zdarza mi się często, że rumienię się wspominając jakieś wydarzenia z moich młodych lat (a tam właśnie minęły młode moje lata!). Wstyd też, jak bieda, nie tuczy, ale rozumu nauczy. Okazało się, że z tych oficerskich naramienników, które zaledwie dwa latka podrygiwały, kołysały się na moich barkach, dużo złotego, trującego pyłu osypało mi się w pustkę między żebrami. Na tej przystani rzecznej — a był to również obozik i też otaczała go zona z wieżyczkami — byliśmy tylko przelotnymi wyrobnikami i ani takiej możliwości nie było, ani nawet nikt się nie zająknął, że ktoś z nas mógłby zostać tutaj dla odsiedzenia kary. Ale kiedy nas tam pierwszy raz ustawiono i szef przeszedł się wzdłuż szeregu, aby wytypować tymczasowych brygadzistów, nędzne moje serce wyrywało się spod wełnianej bluzy: wyznacz mnie! mnie! mnie!

Nie wyznaczono mnie. Po co mi to zresztą było potrzebne? Tylko bym dodał nowe omyłki do starych.

O, jak trudno odrzucić myśl o władzy!... To trzeba dobrze zrozumieć.

◆

Był okres, gdy Krasna Presnia mogła być uważana nieomal za stolicę GUŁagu — w tym sensie, że dokądkolwiek by człowiek jechał, zawsze musiał o nią zawadzić, podobnie, jak to jest z Moskwą. Z Taszkientu do Soczy, albo z Czernihowa do Miń-

ska najprościej było jechać przez Moskwę — nie inaczej też było z więźniami: zewsząd ich ściągano na Krasną Presnię, żeby stamtąd wieźć ich dalej. Właśnie w tym okresie ja też tam trafiłem. Presnia dusiła się z przepełnienia. Budowano dodatkowy oddział. Tylko towarowe, bezpośrednie pociągi, pełne tych którzy na różnych frontach dostali wyrok z łaski kontrwywiadu, nie zatrzymywały się w Moskwie, mijając ją po obwodnicy, przebiegającej tuż obok Presni, tak, że mogły salutować ją gwizdkami.

Ale pasażer, przesiadający się w Moskwie, ma w końcu bilet i niepłonną nadzieję, że prędzej, czy później pojedzie w przewidzianym kierunku. Na Presni zaś pod koniec wojny i zaraz po niej — nie tylko przybywający, ale nawet najwyższa zwierzchność, nie wyłączając szefów GUŁagu, nie mogła powiedzieć z góry kto i dokąd teraz pojedzie. Ład więzienny nie był jeszcze wtedy tak wykrystalizowany, jak w latach 50-tych, żadnych marszrut, ani rozkazów wyjazdu nikomu wtedy do papierów z góry nie wpisywano. Były na nich co najwyżej uwagi służbowe: „Stale pod strażą!", „Wykorzystywać tylko do robót ogólnych!". Pliki więziennych akt w poniszczonych skoroszytach, gdzieniegdzie przewiązane wystrzępionym sznurkiem — albo jego papierowym erzacem — przynoszone były przez sierżantów z eskorty do drewnianego budyneczku więziennej kancelarii i tam ciskano je na półki, na stoły, pod stoły, pod krzesła, albo po prostu na ziemię w przejściu (podobnie jak sami więźniowie leżeli w celach), gdzie leżały w rozsypce, w nieładzie, zmieszane ze sobą. Jedna, druga, trzecia izba po kolei zapełniała się tymi rozsypanymi aktami. Sekretarki z więziennej kancelarii — upasione, leniwe wolniaczki w pstrych sukniach, pociły się od upału i wciąż się wachlując flirtowały z oficerami eskorty i straży więziennej. Żadna z nich nie miała ochoty ani siły, aby się przekopywać przez te chaotyczne zwały papieru. A transporty trzeba było jednak wysyłać! — kilka razy tygodniowo wyruszał czerwony eszelon. A każdego dnia setki ludzi odjeżdżało ciężarówkami — do bliżej położonych obozów. Akta każdego zeka należało odsyłać razme z nim. Kto miałby sobie tym głowę zawracać, kto miałby sortować papiery i wybierać ludzi do kolejnego transportu?

Powierzono tę pracę kilku specjalnie wyznaczonym więźniom l i g a w y m* albo nawet jakimś łazikom kandydującym na prominentów w zborniaku. Chodzili sobie swobodnie, bez nadzoru po korytarzach więzienia, mieli wstęp do budynku kancelarii, od nich zależało, czy twój skoroszyt dołączony będzie do papierów ZŁEGO transportu, ale mogli też przysiedzieć fałdów,

* **Więzień-powiernik straży więziennej, także donosiciel.**

odnaleźć teczkę i pchnąć ją do transportu DOBREGO. (Że istnieją całe obozy, słusznie uważane za fatalne — co do tego nowicjusze nie mylili się, ale że bywają również jakieś lepsze — to była iluzja. „Lepsze" mogą być nie obozy, tylko pewne zajęcia i sytuacje w tych obozach, a to załatwić sobie można już tylko na miejscu). To, że cała przyszłość aresztanta zależała od jakiegoś drugiego więźnia, z którym być może należałoby p o g a d a ć (choćby za pośrednictwem łaziebnego), któremu trzeba by ewentualnie dać coś w łapę (choćby przez magazyniera) — było jeszcze przykrzejsze niż gdyby ten los zależał od wygranej w kości. Ta niesłychana szansa, którą tak łatwo tu można przegapić — aby za cenę skórzanej kurtki pojechać do uzdrowiska Nalczyk zamiast do Norylska, a za kilo słoniny do Srebrnego Boru pod Moskwę zamiast do Tajszetu (a może jednak straci człowiek raczej i kurtkę i słoninę?) jątrzyła tylko i drążyła strudzone nasze dusze. Być może ktoś uzyskał coś w ten sposób, może ktoś się na tej zasadzie gdzieś urządził — ale szczęśliwsi byli ci, którzy nic nie mieli do ofiarowania, albo którzy wyrzekli się takich rojeń.

Poddanie się wyrokom losu, rezygnacja ze świadomego wpływania na kształt własnego życia, przyjęcie do wiadomości, że nie sposób przewidzieć ani tego co dobre, ani tego co złe, łatwo natomiast zrobić krok, który będziesz sobie całe życie wyrzucał — wszystko to zmniejsza w pewnym stopniu ciężar kajdanów, uspakaja i nawet jakoś oczyszcza człowieka.

Tak oto więźniowie leżeli pokotem w celach, ich losy — zalegały nieprzebytymi zwałami w izbach w więziennej kancelarii, funkcyjni zaś brali teczki z tego kąta, gdzie im było najbliżej. I dlatego jeden zek musiał dwa i trzy miesiące z rzędu zdychać na tej przeklętej Presni, drugi zaś przeskakiwał przez nią z szybkością meteoru. Przez ten ścisk, pośpiech i nieporządek zdarzała się niekiedy w Presni (podobnie jak w innych zborniakach) tak zwana zamiana wyroków. Pięćdziesiątemu Ósmemu to nie groziło, ponieważ wyroki tych ludzi były to — jakby powiedział Gorki — Wyroki z Dużej Litery, zaplanowane były właśnie jako duże i nawet, kiedy dobiegały już końca — okazywało się, że wcale końca nie mają. Ale dla poważniejszych złodziei i morderców miała sens zamiana z jakimś prostaczkiem i pospolitakiem. Albo oni sami, albo ktoś z ich pomocników przysiadali się do takiego pospolitaka i ze współczuciem zaczynali go wypytywać, ten zaś, ani wiedząc, że więzień krótkoterminowy nie powinien w zborniaku nic o sobie mówić, zwierzał się z całą naiwnością, że nazywa się powiedzmy Wasyli Parfionycz Jewraszkin, że urodził się w 1913 roku, że całe życie mieszkał w Semidubiu. A sie-

dzieć ma aż cały rok, ze 109-tego artykułu, za opieszałe wykonanie obowiązków służbowych. Później, ten Jewraszkin spał sobie, a może nawet nie spał, ale w celi taki hałas, a pod okienkiem w drzwiach taki tłok się zrobił, gdy je uchylono, że wcale nie można było przecisnąć się bliżej i usłyszeć, jak na zewnątrz, w korytarzu ktoś pośpiesznie i niewyraźnie czyta spis wysyłanych najbliższym transportem. Jakieś nazwiska powtarzano później, wywołując ludzi z głębi celi, ale Jewraszkina nikt nie wywołał, ponieważ zaraz po odczytaniu tego nazwiska na korytarzu, jakiś knajak bardzo uniżenie (potrafią to, kiedy trzeba) przesunął przez kraty swoją machę i cicho lecz z pośpiechem zameldował „Wasyl Parfionycz, rocznik 1913, wieś Semidubie, artykuł 109, 1 rok" — po czym prędziutko pobiegł po rzeczy. Prawdziwy Jewraszkin ziewnął położył się na narach i cierpliwie oczekiwał na wezwanie następnego dnia, a także po tygodniu i po miesiącu. Ośmielił się wreszcie zapytać oddziałowego: dlaczego właściwie nie biorą go do transportu (a jakiegoś Zwiagę — to codziennie z każdej celi wywołują). I kiedy po miesiącu, albo po sześciu miesiącach zdołają wreszcie przeczesać całe więzienie, robiąc apel według SPRAW, to zostanie im w ręku jedna tylko sprawa, niejakiego Zwiagi, recydywisty — dwa morderstwa i obrabowanie sklepu, 10 lat — oraz pewien nieśmiały szaraczek, który twierdzi, że nazywa się Jewraszkin, ale z fotografii nic nie widać — a to jest właśnie Zwiaga i wpakować go trzeba do karnego obozu Iwdełłag, bo inaczej trzeba by się przyznać, że popełniono omyłkę. (A tamtego Jewraszkina, którego wysłano wtedy, to się teraz już nie odnajdzie, bo spisy też pojechały. Zresztą, miał tylko ten roczek, posłano go do robót polnych, bez eskorty, jeden dzień pracy liczył mu się za trzy dni odsiadki, albo więc uciekł — i już dawno jest w domu, albo — co bardziej prawdopodobne — z a t a c h n i l i g o d o k w a c z u, bo złapał następny wyrok).

Zdarzali się dziwacy, którzy sami SPRZEDAWALI swoje małe wyroki za jeden, dwa kilogramy słoniny. Wychodzili z założenia, że z czasem władze zauważą omyłkę i uda im się powrócić do własnego nazwiska. Częściowo to się sprawdzało[9].

W tych latach, kiedy akta więźniów nie były opatrzone zawczasu skierowaniami, zborniaki zamieniały się w targowiska niewolników. Najbardziej pożądanymi gośćmi stali się tam n a-

9. Zresztą, jak relacjonuje P. Jakubowicz, pisząc o tak zwanych „sucharnikach", handel wyrokami odbywał się również w zeszłym stuleciu, to stara więzienna sztuczka.

bywcy i słowo to coraz częściej wypowiadane było w korytarzach i w celach bez żadnego uśmiechu. W całym przemyśle nikt nie chciał już czekać, aż przyślą mu surowce lub siłę roboczą z centrum według rozdzielnika, więc posyłało się specjalnych popychaczy i pełnomocników. Tak samo było w GUŁagu: tubylcy na poszczególnych wyspach wymierali. Chociaż nie kosztowali ani grosza, ale trzeba było ich mieć i dlatego musiało się samemu ich zdobyć, aby obóz mógł wykonać plan. Nabywcy musieli być ludźmi bystrymi, spostrzegawczymi, aby widzieć, jaki towar im się daje i nie pozwolić sobie wkręcić jakichś półtrupów, albo inwalidów. Źli kupcy dobierali sobie transport według teczek, kupcy zaś porządni domagali się, aby cały towar był im pokazany żywcem i bez osłonek, na golasa. Tak właśnie mówili bez cienia uśmiechu — towar. „Aleście towar przywieźli!" — powiedział taki nabywca w Butyrkach na „dworcu" oglądając detalicznie siedemnastoletnią Irkę Kalinę.

Jeśli natura ludzka w ogóle się zmienia, to niewiele szybciej niż układ geologiczny skorupy ziemskiej. I handlarze niewolników przed 25-ciu wiekami taksowali branki na rynku z tym samym uczuciem ciekawości i tak samo się delektując — jak urzędnicy GUŁagu w Usmańskim więzieniu w 1947 roku. Ze dwudziestu mężczyzn w mundurach MWD siedziało przy długim stole, pokrytym prześcieradłami (to dla fasonu, inaczej nie wypadałoby), a kobiety-więźniarki rozbierały się jedna po drugiej w sąsiednim boksie, po czym — nago i boso — musiały defilować przed nimi, obracać się, zatrzymywać się, odpowiadać na pytania. „Opuścić ręce!" — rozkazywano tym, które osłaniały się na podobieństwo rzeźb antycznych (oficerowie traktowali sprawę serio: toć wybierali nałożnice dla siebie samych i dla swojej świty).

Tak oto ciężki cień jutrzejszej bitwy obozowej, przybierając rozmaite kształty, przesłania nowicjuszowi blask niewinnych uciech, jakimi więzienie tranzytowe raczy ludzkiego ducha.

Na dwie noce wepchnęli do naszej celi specjalistę. Położył się obok mnie. Jechał ze skierowaniem specjalnym, a to znaczy, że w Naczelnym Zarządzie wypisano jadący za nim z obozu do obozu papier, gdzie powiedziane było wyraźnie, że jest on technikiem budowlanym i tylko jako takiego wolno wykorzystać go w nowym miejscu odsiadki. Taki specjalista jeździ zwykłymi stołypinkami, siedzi w ogólnych celach zborniaków, ale w duszy jego panuje pogoda: broni go ten papier, nikt nie może go posłać na wyrąb lasu.

Tym, co przede wszystkim uderzało w twarzy tego bywalca

obozów, który odsiedział już większą część kary, był wyraz bezwzględności i stanowczości. (Nie wiedziałem jeszcze, że właśnie ten wyraz twarzy jest cechą narodową tubylców GUŁagu. Osobniki, na których twarzy wymalowana jest ustępliwość i łagodność, szybko na tych wyspach umierają). Przyglądał się naszym pierwszym niezdarnym ruchom z takim uśmiechem, z jakim obserwuje się dwutygodniowe szczenięta.

Co nas czeka w obozie? Miał widać dla nas współczucie, bo tak powiedział:

— Od pierwszej chwili każdy w obozie będzie starał się oszukać was i okraść. Nie dowierzajcie nikomu, prócz siebie samych! Rozglądajcie się dobrze, czy ktoś nie szykuje się do ugryzienia was w łydkę. Przed ośmiu laty znalazłem się w Kargopołłagu jako taki sam naiwniak. Wyładowano nas z wagonów i eskorta miała nas teraz prowadzić do obozu, dziesięć kilometrów, a śnieg był głęboki i wilgotny. Raptem nadjeżdża troje sań. Jakiś rosły facet, bez żadnego sprzeciwu ze strony konwojentów, woła do nas: „Chłopaki, kładźcie tu swoje rzeczy, podwieziemy je wam!". Przypominamy sobie, że czytaliśmy w różnych książkach, jak to aresztanckie rzeczy wieziono na podwodach. Myślimy sobie: nie takie znów nieludzkie jest życie w obozie, troszczą się jednak o człowieka. Załadowaliśmy nasze rzeczy. Sanie odjechały. To wszystko. Już więcej nigdyśmy ich nie oglądali. Nawet opakowań.

— Ale jak to być może? Co tam, żadne prawa nie istnieją?

— Nie zadawajcie głupich pytań. Są prawa. Prawa tajgi. A s p r a w i e d l i w o ś c i — nigdy w GUŁagu nie było i nie będzie. Ten Kargopolski wypadek — jest po prostu symboliczny. I jeszcze do tego musicie się przyzwyczaić, że w obozie nikt niczego nie robi za darmo, nikt nic nie robi z dobroci. Za wszystko trzeba płacić. Jeśli wam coś proponują bezinteresownie — wiedzcie, że to musi być podstęp, prowokacja. I najważniejsze: unikajcie robót o g ó l n y c h ! Postarajcie się ich uniknąć od pierwszego dnia! Jak pierwszego dnia poślą was na o g ó l n e — to już przepadliście, raz na zawsze.

— Unikać o g ó l n y c h robót?...

— Ogólne roboty — to główne, zasadnicze prace, które w danym obozie się wykonywa. Pracuje przy nich 80 % więźniów. I wszyscy przy nich zdychają. Wszyscy. A jak na ich miejsce przywożą nowych — to znów posyłają ich na ogólne. Wyprujecie tam z siebie wszystkie żyły. I wiecznie będziecie głodni. I wiecznie przemoczeni. I bez butów. I nie doważą wam chleba, i nie dosypią kaszy. I dadzą najgorsze baraki. I nie będą was leczyć. ŻYJE zaś w obozie tylko ten, kto pracuje NIE NA

OGÓLNYCH robotach. Starajcie się za wszelką cenę wykręcić się od robót ogólnych! Od pierwszego dnia.

Za wszelką cenę!

Za wszelką cenę?

Zapamiętałem sobie dobrze te — wcale nie przeszarżowane — rady surowego technika, spotkanego w celi na Krasnej Presni. Zapomniałem go tylko zapytać: czym się mierzy tę cenę? I gdzież jest jej pułap?

III

KARAWANY NIEWOLNIKÓW

Nużąca jest podróż stołypinką, nieznośna jazda karetką, w zborniaku też prędko człowiek zaczyna się męczyć — już najlepiej byłoby ominąć te wszystkie etapy i pojechać od razu do obozu w czerwonym wagonie.

Interesy państwa, jak zwykle, są tu zupełnie zgodne z interesami jednostki. Państwu też wygodniej jest wysyłać skazanych bezpośrednio do obozu, nie przeciążając arterii miejskich, transportu samochodowego i personelu zborniaków. Dawno już to zrozumiano w GUŁagu, to się wie doskonale: najlepsza rzecz to karawany czerwonych, bydlęcych wagonów, karawany galarów rzecznych, a gdzie nie ma już ani torów, ani dróg wodnych — karawany piesze (nie dopuszcza się bowiem do eksploatowania koni i wielbłądów przez ludzi pozbawionych wolności).

Czerwone sznury wagonów — to najlepszy środek transportu kiedy sądy zaczynają gdzieś pracować na pełnych obrotach, albo jeśli gdzieś zborniak jest przepełniony. Można wtedy od razu wyprawić w drogę dużą masę aresztantów. W ten sposób wysłano miliony chłopów w latach 1929-31. Tak wysiedlono Leningrad z Leningradu. W latach 30-tych tą metodą przeprowadzono akcję osiedleńczą na Kołymie i stolica nasza, Moskwa, codziennie wypluwała taki pociąg w stronę Sowgawani i portu Wanino. Każda stolica okręgu również wysyłała podobne czerwone pociągi, tyle, że nie codziennie. W 1941 roku przesiedlono tak całą Republikę Niemców Nadwołżańskich do Kazachstanu, a później szereg innych narodów. W 1945 roku takie pociągi wiozły rosyjskich marnotrawnych synów i córki z Niemiec, z Czechosłowacji, z Austrii, albo po prostu — z zachodnich przejść granicznych, jeśli ktoś sam się tam zgłosił. W 1949 roku w ten sposób przewieziono skazanych z artykułu 58-ego do Obozów Specjalnych.

Stołypinki kursują w zgodzie z trywialnym rozkładem kolejowym, czerwone zaś towarniaki — na mocy zleceń specjalnych podpisanych przez bardzo ważnego generała z GUŁagu. Stołypinka musi jechać do jakiejś określonej miejscowości, u kresu jej marszruty jest zawsze jakiś dworzec, a więc miasteczko, choćby nawet nędzne, a zatem jest również areszt pod dachem. Ale czerwony eszelon może jechać w pustkę: gdzie przyjedzie, tam obok niego natychmiast wyłania się z odmętów stepu czy tajgi nowa wyspa Archipelagu.

Nie każdy czerwony wagon — i nie od razu — może służyć do przewozu więźniów. Naprzód musi być odpowiednio przygotowany. Nie tak jednak, jak to sobie może zdążył już wyobrazić czytelnik: nie chodzi o to żeby go zamieść i oczyścić z węgla, albo wapna, które przedtem się w nim woziło, to robi się nie zawsze. I nie na tym ma polegać przygotowanie że — jeśli to zima — uszczelniają go i wstawiają piec. (Gdy wybudowany był odcinek kolei między Kniaż-Pogostem a Ropczą, jeszcze przed włączeniem do ogólnej sieci kolejowej zaczęto tamtędy przewozić więźniów w wagonach pozbawionych zarówno pieców, jak nar. Więźniowie leżeli zimą na podłodze pokrytej skorupą śniegu, nie otrzymując przy tym nic gorącego do jedzenia pod pretekstem że pociąg pokonywał tę przestrzeń w czasie krótszym niż 24 godziny. Kto sądzi, że potrafi przeleżeć tam z nimi tych 18-20 godzin niech sobie to wyobrazi!). A oto czego dotyczą przygotowania: trzeba sprawdzić podłogi, czy szczelne i mocne, to samo ze ścianami i sufitami wagonów; trzeba starannie okratować malutkie ich okienka; trzeba wyciąć w podłodze otwór na zlew i miejsce to starannie zabezpieczyć dookoła blachą i gęstymi rządkami ćwieków; wzdłuż całego eszelonu trzeba równomiernie i w odpowiednio bliskich odległościach urządzić budki hamulcowe (stoją w nich wartownicy z karabinami maszynowymi), jeśli zaś nie ma odpowiedniej ilości wagonów z budkami, to trzeba te budki skonstruować; trzeba umocować drabinki do wchodzenia na dach, trzeba rozplanować stanowiska reflektorów i zapewnić im stały dopływ prądu; trzeba sporządzić drewniane młotki z długimi rączkami; trzeba doczepić osobowy wagon dla sztabu, a jeśli nie ma go pod ręką — to należy przyzwoicie urządzić specjalne wagony towarowe z ogrzewaniem i meblami dla naczelnika eskorty, dla pełnomocnika służby bezpieczeństwa i dla konwojentów; trzeba wreszcie urządzić kuchnię — jedną dla konwojentów, drugą dla więźniów. Dopiero po tym wszystkim można przejść się wzdłuż wagonów i wypisać na nich kredą, ukośnie: „sprzęt specjalny", albo nawet „ładunek łatwo psujący się". (W „Siódmym wagonie" Eugenia Ginzburg przewóz tymi czer-

wonymi wagonami opisała bardzo wyraziście, co zwalnia nas teraz od obowiązku referowania szczegółów).

Adaptacja wagonów jest zakończona i teraz rozpoczyna się skomplikowana operacja bojowa: załadowanie więźniów. Ma ona dwa ważne i pilne cele:

— ukrycie załadunku przed ludnością, oraz

— sterroryzowanie więźniów.

Utrzymać załadunek w tajemnicy przed ludnością trzeba dlatego, że transport składa się z około tysiąca ludzi (co najmniej dwadzieścia pięć wagonów), a to nie jest już mała grupka ze stołypinki, którą można prowadzić nawet przy świadkach. Wszyscy wiedzą, oczywiście, że nie ma dnia, nie ma godziny bez aresztowań, ale nikt nie powinien doznać szoku, widząc tych ludzi wszystkich RAZEM. W Orle, w 1938 roku nie dawało się ukryć, że nie ma w mieście domu, z którego by kogoś nie wzięto za kraty, również chłopskie wozy z płaczącymi babami wypełniały plac przed orłowskim więzieniem, jak na obrazie „Poranek strzeleckiej kaźni"* Surikowa. (Ach, gdybyż nam to ktoś namalował kiedyś! Próżna nadzieja: nie modne, nie modne...). Ale nie wolno pokazywać naszym sowieckim ludziom, że w ciągu doby zebrać można tym sposobem cały eszelon kolejowy (a w Orle tamtego roku tak właśnie było). I młodzież też nie powinna tego widzieć. Młodzież — to nasza przyszłość. I dlatego tylko w nocy — noc w noc, noc w noc, przez kilka miesięcy z rzędu — z więzienia na dworzec wyprowadzają na piechotę czarną kolumnę (karetki są zajęte nowymi aresztowaniami). Co prawda, baby zawsze się połapią, te kobiety zawsze się jakimś cudem dowiedzą — i oto już z całego miasta skradają się w nocy w stronę dworca, czatują tam na transport na bocznych torach i biegną potem wzdłuż składu, potykając się o podkłady i szyny, żeby krzyczeć pod każdym wagonem: nie ma tu takiego, a takiego?... takiego, a takiego tu nie ma?... I biegną do następnego, a pod tamten podbiegają już kolejne: takiego, a takiego tu nie ma?... I nagle słychać odzew z zamkniętego na głucho wagonu: „jestem! tu jestem!", albo: „szukajcie dalej! jest w następnym wagonie!", albo: „słuchajcie, kobiety! moja żona jest tu gdzieś niedaleko, koło dworca, lećcie ją zawołać!".

Te nie licujące z duchem naszej współczesności sceny są jedy-

* W 1698 roku Piotr Wielki stłumił bunt strzelców, wiernych jego zdetronizowanej siostrze, Zofii, i kazał ściąć prowodyrów na Czerwonym Placu w Moskwie.

nie dowodem nieudolnej organizacji załadunku do transportów. Ale omyłki brane są pod uwagę i którejś nocy kolejny transport otoczony jest już szerokim kordonem ujadających i wyjących psów policyjnych.

Również w Moskwie — i ze starego Sretienskiego zborniaka (dziś więźniowie już go nie pamiętają) — i z Krasnej Presni — wyprowadzano więźniów do czerwonych pociągów tylko w nocy, to była zasada.

Nie chcąc korzystać ze zbyt jaskrawych promieni słonecznych, eskorta wykorzystuje jednak nocne słońca — reflektory. Wygodne to już dlatego, że można je zgromadzić tam, gdzie są najpotrzebniejsze — w punkcie, gdzie przerażony tłumek aresztantów siedzi na ziemi w oczekiwaniu rozkazu: „Następna piątka — wstać! Do wagonu biegiem — marsz!" (tylko — biegiem! Żeby człowiek nie rozglądał się, żeby się nie mógł zastanowić, żeby leciał, jakby go już psy goniły i żeby bał się, że się potknie). Powinny też oświetlać i tę wyboistą ścieżkę, po której biegną, i trap, po którym się wdrapują. Widmowe, złowrogie snopy reflektorów służą nie tylko do oświetlenia: są ważnym teatralnym elementem atmosfery strachu, razem z brutalnymi groźbami i ciosami kolb, którymi pogania się opieszałych; razem z rozkazem — „Siadać na ziemi!" (a niekiedy — właśnie w Orle na placu dworcowym: „Na kolana!" — jak tłum nowonawróconych, tysiąc więźniów pada na klęczki); razem z tym zupełnie niepotrzebnym, ale bardzo ważnym dla zwiększenia lęku, biegiem do wagonu; razem ze wściekłym upadaniem psów; razem z wycelowanymi lufami (karabinów, albo automatów — zależnie od epoki). Najważniejsze jest zmiażdżenie, zniweczenie siły woli aresztanta, do tego stopnia, aby nikt nawet pomyśleć nie mógł o ucieczce i żeby jeszcze przez czas dłuższy więźniowie nie potrafili zrozumieć wagi swojego nowego przywileju: z kamiennego więzienia przeniesiono ich do wagonu z cienkich desek.

Ale żeby tak składnie móc załadować w nocy tysiąc ludzi do wagonów, trzeba, żeby zaczęto wyciągać ich z cel i przygotowywać do transportu już poprzedniego dnia rankiem i żeby konwój przez cały dzień z drobiazgowością i surowością przejmował swoich eskortowanych po to, aby później przez długie godziny trzymać ich nie w celach, tylko na dziedzińcu, na ziemi; niech nie mieszają się z resztą więźniów. W ten sposób nocny załadunek jest dla więźniów tylko ulgą, zakończeniem całodziennej udręki.

Oprócz zwyczajnych apelów, sprawdzań, strzyżenia, dezynfekcji i kąpieli, zasadniczą częścią przygotowania do transportu jest generalna rewizja, czyli kipisz. Rewizje przeprowadza nie per-

sonel więzienny, lecz eskorta. Zgodnie z instrukcją o transportach kolejowych i własnymi planami operacyjno-bojowymi, eskorta powinna przeprowadzić tę rewizję tak, aby nie zostawić więźniom niczego, co mogłoby pomóc im w ucieczce: zabrać wszystkie narzędzia ostre i spiczaste; odebrać proszki wszelkiego rodzaju (do zębów, cukier-farynę, sól, tytoń, herbatę), aby nie można było oślepić nimi konwojenta; skonfiskować wszelkie linki, sznurki, paski do spodni itd., ponieważ wszystko to może być wykorzystane przy ucieczce (a więc również rzemyki! i oto obcina się rzemyczki, którymi przywiązuje do kikuta protezę więzień bez nogi — kaleka zarzuca sobie sztuczną nogę na ramię i skacze, podtrzymywany przez sąsiadów). Pozostałe zaś rzeczy — cenniejsze przedmioty, a także walizki z zawartością, powinny być według instrukcji zabrane do wagonu-przechowalni, zwrócone zaś być mają właścicielom dopiero po przybyciu na miejsce.

Ale władza moskiewskiej instrukcji nad konwojem z Wołogdy albo Kujbyszewa jest słaba, kusa, władza zaś eskorty nad aresztantami jest namacalna. I to jest czynnik decydujący dla osiągnięcia trzeciego celu całej operacji załadunku:

— zaprowadzić sprawiedliwość, odbierając porządne rzeczy wrogom ludu, aby mogli mieć z nich pożytek jego synowie.

„Usiąść na ziemi!", „Na kolana!", „Rozebrać się do naga!" — te regulaminowe komendy to głos udzielnej władzy, z którą nie ma dyskusji. Przecież goły człowiek traci pewność siebie, nie może już dumnie wyprostować się i rozmawiać z kimś ubranym, jak z równym. Rozpoczyna się rewizja (Kujbyszew, lato 1949 roku). Nagusy podchodzą szeregiem, niosąc w ręku swoje rzeczy i odzież. Dookoła — mnóstwo gotowych do akcji, uzbrojonych żołnierzy. Nastrój jest taki, jakby za chwilę miano nie ruszyć w drogę, tylko rozstrzeliwać, albo palić w komorach gazowych — nastrój, w którym człowiek przestaje się już troszczyć o swoje rzeczy. Eskorta zachowuje się z ostentacyjną, grubiańską surowością; ani słowa — ludzkim głosem, przecież chodzi o to, ażeby nastraszyć i zacukać tych ludzi. Walizy są opróżniane (rzeczy wytrząsa się na ziemię) i rzucane osobno na kupę. Papierośnice, portfele, oraz inne żałosne więźniarskie „skarby" też są odbierane i bezimiennie rzucane do stojącej obok b e c z k i. (I właśnie fakt, że nie jest to żadna kasa, ani kufer, ani nawet skrzynia, lecz beczka — szczególnie przygnębia rozebranych do goła właścicieli i odbiera wszelką chęć do protestu). Goli ludzie dążą tylko podnosić z ziemi swoje, poddane już rewizji, szmatki i wpychać je do węzełka, albo zawijać w koc. Walonki? Możesz oddać, rzuć no je tam, pokwituj w tym wykazie! (Nie tobie dają kwit, tylko *ty* musisz potwierdzić podpi-

sem, że rzuciłeś na kupę!). I kiedy z więziennego dziedzińca, już o zmroku odjeżdża ostatnia ciężarówka z aresztantami — widzą oni jak konwojenci zabierają sobie najlepsze skórzane walizki i wyławiają z beczki najładniejsze papierośnice. Po nich rzucają się na łupy klucznicy, a w ślad za nimi sfora l i g a w y c h ze zborniaka.

Widzicie, co trzeba było znieść w ciągu tej doby, żeby dotrzeć nareszcie do bydlęcego wagonu! No, ale teraz już z ulgą możemy powiedzieć żeśmy się tam znaleźli i zalegli pokotem nieheblowane dechy nar. Ale co to właściwie za ulga — i jaki to właściwie wagon?! Znów ściskają więźnia kleszcze chłodu i głodu, pragnienia i lęku, znów jest między knajakami, a eskortą.

Jeżeli w wagonie są knajacy (a też przecież nie trzymają ich oddzielnie w czerwonych transportach), to zajmują swoje tradycyjne miejsca, na górnych narach przy oknie. Tak jest latem. Zgadnijmy teraz, jakie miejsca wybierają sobie zimą? A obok piecyka, rzecz jasna, ciasnym kręgiem wokół piecyka! Jak relacjonuje były złodziej Minajew[1] w czasie lutych mrozów ich wagon towarowy na całą trasę od Woronieża do Kotłassu (to znaczy — na kilka dni i nocy) w 1949 roku dostał t r z y w i a d r a węgla! Tu już knajacy nie tylko że zajęli wszystkie miejsca dookoła piecyka, nie tylko, że odebrali f r a j e r o m wszystkie ciepłe rzeczy, owinąwszq się nimi, ale nie powstrzymali się nawet od wytrząśnięcia onuc z ich butów i opatulenia nimi swoich szemranych nóg. Ja zdechnę jutro, ale ty już dzisiaj! Kiedy zaczyna brakować jedzenia — cały przydział dla wagonu przechodzi nasamprzód przez ręce knajaków, którzy biorą sobie wszystko, co najlepsze, albo co im się podoba. Łoszczylin wspomina trzydobową jazdę z Moskwy do Piereborów w 1937 roku. Na byle trzy doby nie warto było konwojentom bawić się w kucharzy, więc wydano więźniom suchy prowiant. Złodzieje zabierali dla siebie tylko cukierki, a chleb i śledzie pozwalali rozdzielać między resztę, dowód, że nie czuli głodu. Gdy dają zaś coś gorącego, a złodziejska ferajna ma apetyt, sama ona zajmuje się nawet rozdzielaniem sałamachy (trzytygodniowy etap Kiszyniów-Pieczora, 1945). Z tym wszystkim, nie brzydzą się knajacy również zwyczajnym rabunkiem: zobaczyli u pewnego Estończyka złote zęby, więc położyli go na ziemi i wybili zęby pogrzebaczem.

Za dużą zaletę towarniaków uważają więźniowie gorącą kuchnię: na głuchych przystankach (znów chodzi o to, żeby ludzie nie

1. Patrz: list jego do mnie — *Litieraturnaja Gazieta*, 29. 11. 1962.

widzieli) eszelon zatrzymuje się i każdy wagon dostaje ciepłą sałamachę i kaszę. Ale nawet to gorące żarcie potrafią tak podać, żeby bokiem wyszło. Albo (jak we wspomnianym już kiszyniowskim eszelonie) nalewają bałandę do tych samych wiader, w których nosi się węgiel. Nie ma nawet czym opłukać! — ponieważ także woda do picia jest porcjowana, jeszcze bardziej jej skąpią, niż sałamachy. Siorbie człowiek tę bałandę, a okruchy węgla trzeszczą mu między zębami. Albo znowu — przyniosą bałandę i kaszę do wagonu, ale misek wydadzą mniej niż trzeba, nie 40, tylko 25, a jeszcze przygadują: „Prędzej, prędzej, inne wagony też musimy nakarmić, nie tylko wasz jeden!". Jak tu jeść? Jak to dzielić? Nie sposób rozlać sprawiedliwie, bo trzeba pierwszej grupie dać mniej, mierząc na oko, żeby dla reszty starczyło. (Ci pierwsi krzyczą „Mieszaj no, mieszaj!", ci drudzy milczą: niech na dnie zostanie to, co gęste). Pierwsi jedzą, reszta czeka — pospieszcie się, bośmy głodni i bałanda stygnie w kuble, a ci na zewnątrz poganiają: „Już skończone? Długo czekać?". Teraz trzeba nakłaść tej reszcie — i nie więcej, i nie mniej, i żeby nie było gęstsze, ani rzadsze, niż w pierwszej turze. Teraz trzeba jeszcze zgadnąć czy zostanie na repetkę i rozlać to — choćby do jednej miski na dwóch. Przez cały ten czas czterdziestu ludzi nie tyle je, ile przygląda się temu dzieleniu i zadręcza się.

Nie uratują od chłodu, nie obronią przed knajakami, nie napoją, nie nakarmią człowieka — ale spać też nie dadzą. We dnie konwojenci dobrze widzą cały pociąg i tory za nim, widzą, czy kto nie wyskoczył, albo nie leży między szynami; w nocy natomiast czujność nie daje im chwili spokoju. Drewnianymi młotkami na długim stylisku (GUŁagowski standart) nocami na każdym przystanku hałaśliwie opukują każdą deskę każdego wagonu: czy jej przypadkiem już nie zdążono wypiłować? Na niektórych zaś stacjach otwierają drzwi wagonu. Światło latarek, albo nawet promień reflektora: „Kontrola!". Znaczy to, że trzeba się zerwać i być gotowym do przejścia na lewo, albo na prawo, gdzie ci wskażą. Wskoczyli do środka konwojenci z młotkami (inni zaś, z najeżonymi automatami, stoją półkolem przed drzwiami). Pada rozkaz: „Na lewo!" — To znaczy, że ci z lewej stoją, jak stali, a ci z prawej mają przebiec na tamtą stronę, jak pchły skacząc jeden przez drugiego. Kto za mało zręczny, kto się zagapił — ten dostanie młotkiem w bok albo po grzbiecie — żeby nabrał rzeźkości! Oto już konwojenckie buciory depszą nasze nędzarskie łoża, rozkopują nasze szmatki, świecą lampami i popukują młotkami, czy aby nie jest gdzie przepiłowane. Nigdzie. Wówczas konwojenci stają pośrodku wagonu i zaczynają przepuszczać nas z lewa na prawo, po jednemu: „Pierwszy!...

Drugi!... Trzeci!...". Wystarczałoby liczyć zwyczajnie, palcem kiwać, ale to by strachu Bożego nie budziło. Bardziej poglądowo, dokładnie, żwawo i szybko będzie przecie prowadzić ten rachunek młotkiem po grzbietach, bokach, głowach, gdzie popadnie. Przeliczono całą czterdziestkę. Teraz trzeba jeszcze rozgrzebać, oświetlić i opukać lewą stronę. Koniec, wyszli, zatrzasnęli wagon. Możecie spać do następnego przystanku.

Nie sposób jednak twierdzić, aby niepokój eskorty był zupełnie bezpodstawny — z czerwonych wagonów można uciec, jeżeli się kto zna na rzeczy. Ot, puknęli młotkiem po desce — a deska już prawie przepiłowana. Albo rano, przy rozdawaniu sałamachy straż widzi, że wśród niegolonych twarzy jest też kilka gładkich. I zaraz otaczają wagon, trzymając automaty w ręku: „Oddać noże!". A wszystkiemu winne fircykowskie zapędy knajaków oraz ich świty: uprzykrzyło im się chodzić ze szczeciną na gębie i teraz trzeba będzie oddać MOJKĘ, czyli brzytwę.

Od innych bezpośrednich pociągów dalekobieżnych czerwony eszelon jeszcze tym się różni, że pasażer wcale nie wie czy kiedykolwiek z niego wysiądzie. Kiedy w Solikamsku rozładowywano transport z więzień leningradzkich (1942) — cały nasyp usłany był trupami, tylko niewielu żywych dojechało. Podczas zim 1944/45 i 1945/46 do posiołka Żelaznodorożnyj (Kniaż-Pogost), jak zresztą bywało na innych stacjach węzłowych Północy, aresztanckie eszelony z wyzwolonych terenów — nadbałtycki, polski, niemiecki — przybywały, mając w składzie wagon, albo dwa z trupami. Ale to znaczy, że tutaj w czasie drogi starano się przenosić trupy z wagonów dla żywych do wagonów-kostnic. Tak jednak było nie zawsze. Na stacji Suchobezwodnaja (Unżłag) zdarzało się często, że drzwi wagonów uchylano tylko po to, żeby zapytać kto tu żyje, a kto już umarł: jak nie wylazł na zewnątrz, to znaczy, że umarł.

Jazda zimą to rzecz budząca strach i grożąca śmiercią, bo konwój tyle ma kłopotów z czujnością, że sił mu już nie starcza, aby nosić węgiel dla dwudziestu pięciu piecyków. Ale nie tak znowu słodko jeździć w trakcie upałów: z czterech małych okienek dwa są zabite na głucho, dach jest rozpalony; a eskorta musiałaby się bardzo nadwerężyć, chcąc nosić wodę dla tysiąca ludzi, jeżeli trudno im było napoić jedną stołypinkę. Najlepsze miesiące dla jazdy to, zdaniem więźniów kwiecień i wrzesień. Ale nawet najlepszy sezon zdąży przeminąć, jeżeli pociąg idzie. TRZY MIESIĄCE (Leningrad-Władywostok — 1935). Skoro zaś już zaplanowano długi kurs, to zatroszczono się też zawczasu o szkolenie polityczne konwojentów i opiekę duchową nad więźniami: w osobnym wagonie jedzie z transportem k u m — peł-

nomocnik operacyjny bezpieczeństwa. Przygotował się zawczasu do tej podróży — jeszcze w więzieniu i aresztanci rozmieszczeni są w wagonach nie byle jak, ale według spisów opatrzonych jego wizą. To on zatwierdza starostę każdego wagonu, to on przeinstruował i wsadził do każdego wagonu swojego kapusia. Na długich przystankach kum zawsze znajdzie pretekst, żeby wezwać jednego i drugiego i wypytać, o czym w danym wagonie się rozmawia. Takiemu o p e r o w i wstyd byłoby zakończyć podróż bez widomych rezultatów — więc już w drodze wszczyna śledztwo przeciw komuś. Patrzeć — a zanim człowiek dojedzie na miejsce przeznaczenia, już ma doczepiony nowy wyrok.

Nie, diabli niech lepiej porwą te czerwone, bydlęce transporty, z całą ich prostą marszrutą i brakiem przesiadek! Kto nimi jeździł, ten nigdy tego nie zapomni. Jużby wolał człowiek prędzej być w obozie. Już by dojechać prędzej, czy jak.

Nadzieja i niecierpliwość — oto czym żyje człowiek. Wierzy, że w obozie o p e r będzie bardziej ludzki, a kapusie — nie tak nieludzcy. Ależ przeciwnie! Myśli, że kiedy tam przybędziemy — to nie usłyszymy zaraz tych samych gróźb, tego samego psiego ujadania i tego samego rozkazu: „Siadać na ziemi!". Albo sądzi, że jeśli teraz śniegiem zaciąga wnętrze wagonu, to później, po zejściu na ziemię, warstwa jego nie okaże się jeszcze grubsza.

Skoro za chwilę nas wyładują, to sądzisz, że jesteśmy już na miejscu, że nie powiozą nas dalej wąskotorówką, na otwartych platformach? (A jak tu ludzi wieźć na otwartych lorach? jak konwojować? — oto łamigłówka dla eskorty. Robi się to tak: każą nam skupić się, położyć pokotem i wtedy przykryją wszystkich na lorze wielką płachtą brezentową, jak marynarzy w filmie „Pancernik Patiomkin" przed rozstrzelaniem. Ten brezent to jeszcze dobrodziejstwo!). Oleniew z grupą towarzyszy musiał na dalekiej północy przesiedzieć w październiku na otwartych lorach cały dzień. (Już ich załadowano, a lokomotywa nie nadchodziła). Z początku padał deszcz, później chwycił mróz i łachmany na zekach zamarzły. Samowarek rozkołysze się w biegu, niskie burty platformy zaczną trzeszczeć i popękają, wreszcie od tego kołysania ktoś wypadnie pod koła. A teraz zagadka: z Dudinki trzeba jechać wąskotorówką 100 km. na otwartych platformach. Jeśli mróz jest polarny, to gdzie rozsiadą się knajacy? A w samym środku każdej platformy, tak, żeby bydełko grzało ich ze wszystkich stron i żeby samemu nie spaść na szyny. I słusznie. Jeszcze jedno pytanie: a co zobaczy zek na stacji końcowej tej wąskotorówki (1939)? Czy będą tam jakieś budynki? Ani jednego. Ziemianki? Owszem, ale już pełniusieńskie, nie dla nich. A więc będą musieli od razu wykopać ziemianki dla siebie? Nie,

bo jak tu je kopać w czasie zimy polarnej? Pójdą natomiast wydobywać rudę. — No a co z mieszkaniem? — Z jakim mieszkaniem?... Ach, gdzie będą mieszkać?... Mieszkać będą w namiotach.

Ale czy zawsze trzeba jechać wąskotorówką?... Pewno, że nie. Oto scena przyjazdu na ostatni przystanek: Jercowo, luty 1938. Wagony odryglowano w nocy. Wzdłuż pociągu rozpalono ogniska. I w ich blasku odbywa się wyładowanie ludzi na śnieg, liczenie ich, ustawianie szeregiem, ponowny apel. Mróz — 32 stopnie poniżej zera. Transport — z Zagłębia Donieckiego, aresztowano wszystkich jeszcze latem, dlatego mają na nogach półbuty, pantofle, sandały. Próbują pogrzać się przy ogniskach — zostają odpędzeni: ogniska rozpalono nie po to, tylko żeby jaśniej było. Już po minucie martwieją palce. Śniegu już pełno w lekkim obuwiu, już wcale nie taje. Żadnej litości, rozlega się rozkaz: „Zbiórka! Szeregiem!... Krok w prawo... krok w lewo... Strzelam bez uprzedzenia... Marsz!". Zawyły na łańcuchach psy, słysząc najmilsze im słowa, podniecone nadejściem lubej chwili. Ruszyli konwojenci w półkożuszkach, a skazańcy w letnich szmatkach pobrnęli zaśnieżoną i zupełnie nieprzetartą drogą — gdzieś w głąb ciemnej tajgi. Przed nimi — ani światełka. Tylko zorza polarna się pali — nasza pierwsza i na pewno ostatnia... Świerki trzaskają na mrozie. Ludzie bez butów mieszą i orzą śnieg drętwiejącymi stopami i goleniami.

Albo inny przyjazd — na Pieczorę, w styczniu 1945 roku. („Nasze wojska zdobyły Warszawę!... Nasze wojska odcięły Prusy Wschodnie!..."). Puste, zaśnieżone pole. Wyrzuconych z wagonów zeków posadzono w śniegu po sześciu w każdym rzędzie. Długo ich liczono, myląc się i znów zaczynając od początku. Transport też z południa (Mołdawia), wszyscy mają na nogach tylko skórzane obuwie. Owczarkom pozwolono iść tuż za ostatnim szeregiem, szturchały więc idących tam zeków łapami, psim oddechem zionęły w karki (w ostatnim szeregu szło dwóch duchownych — stary, siwowłosy ojciec Fiodor Floria i podtrzymujący go młody pop, Wiktor Szypowalnikow). To się nazywa życie pod psem! Nie, podziwiać trzeba raczej panowanie nad sobą tych psów! — toż tak im się chce ukąsić!

No, nareszcie dotarli do celu. Obozowa łaźnia: rozbieralnia w jednym budyneczku, potem trzeba przebiec przez dziedziniec na golasa, żeby wykąpać się w drugim. Ale teraz już wszystko będzie do zniesienia; najgorsze już mają za sobą. Teraz już człowiek PRZYJECHAŁ! Zapadł zmrok. I nagle dowiadują się: w obozie nie ma miejsc, nie są w stanie przyjąć tego transportu. Więc po łaźni znów ich ustawiają w szeregu, liczą, otaczają

kordonem psów — i znów, wlokąc swoje rzeczy przez te sześć kilometrów, tylko teraz już o ćmaku, muszą brnąć przez śnieg z powrotem do swojego pociągu. Wagonowe zaś drzwi przez ten cały czas były rozsunięte, wagony wystygły, wyzbyły się nawet tego nędznego ciepła, które przedtem trzymało się desek, ponadto — pod koniec drogi wypalono cały węgiel i nie ma go skąd teraz wziąć. W ten sposób przebiedowali jakoś noc, rano dano im trochę suszonych ryb (kto zaś chce pić — może nabrać w gębę śniegu) — i poprowadzono znów tą samą drogą.

Był to jeszcze wypadek FORTUNNY! — Przecież obóz przynajmniej i s t n i e j e, dziś nie ma przyjęć — to będą jutro. W ogóle zaś — zgodnie z obyczajem czerwonych transportów, aby jechać w zupełną pustkę — nierzadko koniec podróży jest zarazem dniem otwarcia n o w e g o obozu. W blasku zorzy polarnej można zeków po prostu wysadzić wśród tajgi i przybić na pierwszym świerku tabliczkę: „I OLP"[2]. Tam będą przez tydzień żuć sobie suche rybki i zagniatać mąkę ze śniegiem.

Ale jeżeli obóz otwarto choćby dwa tygodnie wcześniej — to już mamy komfort — już czynna jest kuchnia i chociaż nie ma misek, ale pierwsze i drugie danie wydadzą na sześciu ludzi na raz w ceberkach do mycia, szóstka stanie sobie w kółeczko (stołów i stołków również nie ma) dwóch z nich potrzyma lewymi rękoma łaziebny ceber za rączki, a prawymi już można przecież jeść. Powtarzam się? Nie, to Pierebory — 1937 rok, relacja Łoszczylina. Nie ja się powtarzam, to powtarza się GUŁag.

A potem dadzą nowicjuszom brygadzistów, starych bywalców obozowych, którzy ich szybko n a u c z ą ż y c i a, pouczą jak dawać sobie radę i jak oszukiwać. I pierwszego dnia po przyjeździe ruszą do pracy, ponieważ zegar Epoki tyka i nie chce czekać. Toż to nie carski, katorżniczy Akatùj, gdzie nowoprzybyli dostawali tylko trzy dni wypoczynku[3].

◆

Rozkwita stopniowo gospodarka Archipelagu, rozbudowują się nowe szlaki kolejowe i już można dojechać pociągiem do wielu takich miejscowości, do których jeszcze niedawno prowadził tylko szlak wodny. Ale żyją jeszcze tubylcy, którzy potrafią opowiedzeć, jak to płynęli rzeką Iżmą — no, najprawdziwszymi, staroruskim szuchalejami, po stu w każdej szuchalei a przy tym sami musieli robić wiosłami. Podobnie, jak po rzece Uchcie, Usie, Pieczorze trzeba było płynąć do macierzystego obozu —

2. *Otdielnyj Łagiernyj Punkt* — Samodzielny Punkt Obozowy.
3. P. Jakubowicz, *op. cit.*

szkutami. Na Workutę wysyłano również zeków galarami: do miejscowości Adźwawóm — wielkimi, jak berlinki; tam właśnie znajdował się punkt przeładunkowy Workutłagu, a dopiero stamtąd na przykład do Ust'usy, czyli niedaleko — mniejszymi, płaskodennymi krypami. Cały galar aż się rusza od wszy i eskorta pozwala wyłazić pojedynczo na górę, aby strząsać pasożyty do wody. Podróże środkami komunikacji wodnej również były nie bezpośrednie: w ich trakcie odbywały się przeładunki, czasem przetaczało się krypy przesmykami, niekiedy szło się pieszo od przystani do przystani.

Były tam również własne zborniaki — z żerdzi, z namiotów — Ust'-Usa, Pomozdino, Szczelia-Jur. Były tam własne, partykularne porządki. Eskorta miała swój szczególny regulamin, a więźniowie, rzecz jasna, swoje szczególne kłopoty. Ale tych wszystkich egzotycznych spraw i tak nie potrafimy opisać, więc lepiej nie zaczynać.

Północna Dźwina, Ob i Jenisej dobrze pamiętają, kiedy zaczęto więźniów przewozić galarami — było to przy deportacji kułaków. Te rzeki płynęły prosto na północ, a galary były brzuchate, pojemne — i tylko z ich pomocą można było dać sobie radę z przerzuceniem tej szarej masy z żywej Rosji aż na północ, tak, by pozbawić ją życia. Do galaru, jak do koryta zrzucano ludzi i leżeli tam kupą, gramoląc się, jak raki w koszu. Wysoko, na burtach, jak na skałach stali wartownicy. Masę tę wieziono czasem bez żadnego przykrycia, niekiedy przykrywano wielką płachtą brezentową już to, żeby mieć z oczu, już to, żeby ułatwić ochronę — tylko nie przed deszczem. Jazda takim galarem nie była żadną podróżą, tylko śmiercią na raty. Na dodatek — tym ludziom prawie nie dawano jeść, a z chwilą wysadzenia na brzeg gdzieś w tundrze — w ogóle przestawano ich karmić. Pozwalano im tam umierać sam na sam z przyrodą.

Transport galarami po Północnej Dźwinie (i po Wyczegdzie) nie zanikł jeszcze w 1940 roku; tak przywieziony był na północ A. J. Oleniew. Więźniowie STALI w ładowni statku jeden przy drugim — i to nie przez jedną dobę. Urynę oddawali do szklanych słoików, przekazywali je z rąk do rąk i wylewali przez iluminator, a gdy zmusiła ich poważniejsza potrzeba — to w portki.

Przewozy galarami po rzece Jenisej znalazły uznanie, utrzymały się na stałe, na całe dziesięciolecia. W Krasnojarsku ustawiono na brzegu w 30-tych latach szopy i pod tymi szopami syberyjską, chłodną wiosną dygotali całymi dobami aresztanci,

czekający na przewóz[4]. Jenisejskie galary transportowe mają ładownię odpowiednio zaadaptowaną na stałe — trzykondygnacyjną, bez otworów iluminacyjnych. Tylko przez luk wejściowy, skąd zbiega w dół trap, przenikało rozproszone światło. Eskorta mieszka w domku na pokładzie. Wartownicy pilnują wyjść z ładowni i rozglądają się po rzece, czy czasem ktoś nie uciekł wpław. Do ładowni straż nigdy nie schodzi, choćby nie wiem jakie jęki i krzyki o pomoc stamtąd dochodziły. Nigdy też nie wyprowadza się więźniów na pokład, na spacer. W latach 1937-38 i 1944-45 (wolno więc przypuszczać, że również między tymi datami) o żadnej pomocy lekarskiej pod pokładem nie było mowy. Więźniowie na poszczególnych „piętrach" leżą pokotem, dwoma rzędami: jeden rząd — głowami do burty, drugi — nogami zwrócony do nóg pierwszego rzędu. Do kiblów na każdym piętrze można się dostać tylko depcząc po ludzkich ciałach. Nie zawsze pozwalają wynieść kibel na górę zawczasu (trzeba sobie wyobrazić takie wynoszenie beczki z gnojówką po stromym trapie na samą górę!), kible więc wypełniają się po brzegi, cuchnąca ciecz przelewa się na podłogę i ścieka na dolne piętra. A ludzie dalej leżą. Karmi się ich roznosząc bałandę w beczkach, robi to personel pomocniczy, złożony również z więźniów. Rozdawanie odbywa się w wiecznych ciemnościach (dziś może już jest elektryczność), przy świetle naftowych lampek systemu „nietoperz". Taki przejazd do Dudinki trwa czasem miesiąc. (Dziś można, rzecz jasna, odwalić tę drogę w ciągu tygodnia). Mielizny oraz inne przeszkody powodowały opóźnienia, zapasów nie mogło więc wystarczyć i wówczas przez kilka dni w ogóle nie dawano nic do jedzenia (i — oczywiście — nikt później zaległych porcji nie oddawał).

Pojętny czytelnik może teraz już bez pomocy autora uzupełnić: szemrani przy tym zajmują górną kondygnację, jak najbliżej luku, czyli powietrza i światła. Mają taki wpływ na rozdział chleba, jaki im jest potrzebny i jeżeli podróż robi się trudna, to bez żadnej żenady odbierają całą paszę szaremu bydełku. Długą podróż skracają sobie złodzieje grą w karty. Karty do tego celu robią sami, stawki zaś do puli zbierają kosztem frajerów, rewidując wszystkich leżących w tym, albo innym sektorze szkuty. To, co zabiorą, przez jakiś czas stanowi przedmiot gry, później zaś przekazywane jest na górę eskorcie. Tak, czytelnik już zgadł: eskorta ma swoją d o l ę, ukradzione rzeczy sama sobie zabiera, albo sprzedaje na przystaniach, przynosząc w zamian knajakom wiktuały.

4. W. Lenin w 1897 roku wsiadał na „Świętego Mikołaja" w porcie pasażerskim, razem z wolnymi pasażerami.

A co z oporem? Zdarza się, ale bardzo rzadko. Oto wypadek, zachowany we wspomnieniu. W 1950 roku, na podobnej — i podobnie urządzonej — berlince, tyle, że większej, bo przeznaczonej do podróży morskich, w czasie przejazdu z Władywostoku na Sachalin siedmiu chłopaków z Pięćdziesiątki Ósemki gołymi rękoma dało sobie radę z knajakami *(ligawymi)*, których było koło osiemdziesięciu (a mieli, jak to zwykle, noże). Ligawi zrewidowali cały transport jeszcze we władywostockim zborniaku, tak zwanym „trzy-dziesięć". Robią to starannie, nie gorzej, niż straż więzienna, znają wszystkie zakamarki i sposoby, ale przecież przy żadnym kipiszu nigdy nie da się zabrać więźniom WSZYSTKIEGO. Znając tę zasadę, już w ładowni statku oznajmili podstępnie: „Jeżeli kto ma pieniądze, to można kupić machorki". I Misza Graczew wypruł wtedy trzy ruble ze swej trykotki. Ligawy Wołod'ka Tatarin krzyknął: „Jak to, ścierwo, to ty p o d a t k ó w nie płacisz?" i rzucił się, żeby mu zabrać. Ale sztabowy sierżant piechoty, Paweł (nazwiska, niestety, nikt nie pamięta) odepchnął knajaka. Wołod'ka Tatarin spróbował wybić mu oczy rozczapierzonymi palcami, ale Paweł zbił go z nóg. Rzuciło się wtedy na niego dwudziestu czy trzydziestu ligawych — ale dookoła Graczewa i Pawła stanęli murem: Wołodia Szpakow, były kapitan, Sierioża Potapow, Wołodia Reunow, Wołodia Tretiuchin — również byli sierżanci piechoty, oraz Wasia Krawcow. No i cóż? Skończyło się tylko na kilku wzajemnych szturchańcach. Dało znać o sobie niezmienne, w istocie — typowe dla knajaków tchórzostwo (maskowane zwykle przy pomocy czelności i zuchwalstwa), albo musieli się liczyć z wartownikiem, który stał blisko (działo się to pod samym lukiem), jechali zaś i szczędzili się dla o wiele w a ż n i e j s z y c h zadań — jechali po to, ażeby opanować Aleksandrowski zborniak (ten sam, który opisał Czechow) przed przybyciem tam r z e t e l n y c h złodziei, oraz zawładnąć funkcjami na budowach Sachalinu (oczywiście, nie po to zawładnąć, aby pomagać w budowie) — dość, że wycofali się grożąc tylko na pożegnanie: „Jak zejdziemy na brzeg — to zostaną z was ochłapy!". (Do walki i tak nie doszło i nie zrobili ochłapów z naszych chłopców. W Aleksandrowskim zborniaku oczekiwała ligawych przykra niespodzianka: wszystkie funkcje były już zagarnięte przez r z e t e l n ą ferajnę).

Na parowcach płynących na Kołymę wszystko wygląda podobnie jak na rzecznych berlinkach, ma tylko większe wymiary. Nie do wiary, ale jeszcze do dziś żyje ten i ów z więźniów, którzy

5. Szczegółowo o tym mówi Warłam Szałamow w swoich *Szkicach ze świata przestępczego.*

dostali się tam przy okazji znanej ekspedycji lodołamacza „Krasin" wiosną 1938 roku. Więźniowie załadowani byli na kilka starych, zdezelowanych parowców — „Dżurma", „Kulu", „Newostroj", „Dnieprostroj", którym „Krasin" torował drogę przez wiosenne pola lodowe. W zimnych, brudnych ładowniach skonstruowano trzypiętrowe pomosty, ale jeszcze na każdym piętrze stały dwupiętrowe nary z żerdzi. Nie wszędzie panowała ciemność: to tam, to sam paliły się lampki i kaganki. Puszczano też — kolejno, piętrami — na spacer, na pokład. Na każdy z parowców załadowano trzy-cztery tysiące ludzi. Cały rejs trwał ponad tydzień, przez ten czas zdążył zapleśnieć chleb, pobrany we Władywostoku, więc normę dzienną obniżono z 600 gramów do 400-tu. Do jedzenia była solona ryba, natomiast wody do picia... No dobrze już, dobrze, dość tych naigrawań, z wodą były przejściowe trudności. W odróżnieniu od rejsów rzecznych, tu jeszcze miało się do czynienia ze sztormami, z chorobą morską. Wynędzniali, wyczerpani ludzie wymiotowali i nie mieli sił, aby podnieść się z nar, cała podłoga pokryta była śluzowatą rzygowiną.

W drodze miał miejsce pewien epizod polityczny. Statki powinny były przepłynąć cieśninę La Perouse'a — mijając z bliska brzegi Japonii. I oto znikły karabiny maszynowe z wieżyczek, konwojenci przebrali się po cywilnemu, luki zostały zaciągnięte brezentem, zabroniono wychodzenia na pokład. W dokumentach zaś okrętowych, jeszcze we Władywostoku, napisano przezornie, że parowce wiozą na Kołymę nie, broń Boże, więźniów, tylko zwerbowanych do pracy ochotników. Gromady japońskich kuterków i łódek uwijały się dookoła statków, niczego nie podejrzewając. (Z tym samym parowcem „Dżurma" zdarzył się później, w 1939 roku, taki oto wypadek: siedzący w ładowni knajacy włamali się do magazynu, rozgrabili go, a później podpalili. Było to również tuż koło brzegów Japonii. Dym zaczął walić z „Dżurmy" kłębami, Japończycy ofiarowali się z pomocą — ale kapitan odmówił i nawet NIE OTWORZYŁ luków! Gdy statek oddalił się już od japońskich wysp, wyrzucono za burtę trupy uwędzonych w dymie, a pół zwęglone, nadgryzione przez ogień zapasy przekazano do obozu na przydział dla więźniów[6]).

Nie dopłynąwszy do Magadanu, karawana uwięzła wśród pól

6. Dziesiątki lat już minęły od tej chwili, ale wciąż zdarzają się na dalekich morzach katastrofy, których ofiarą padają już nie więźniowie, tylko normalni obywatele sowieccy — jednakże dowódcy statków odrzucają propozycje pomocy ze względu na wciąż ten sam obowiązek *tajemnicy*, uważany za sprawę dumy narodowej! Niech nas rekiny pożrą, byle tylko nie zawdzięczać nic obcym! *Tajemniczość* jest rakiem naszych stosunków.

lodowych, nie pomógł nawet „Krasin" (za wcześnie było dla nawigacji, ale chciano czym prędzej dostarczyć świeżej siły roboczej). 2 maja wyładowano więźniów wprost na lód, daleko jeszcze od brzegu. Niewesoły widok ukazał się przybyszom: ówczesny Magadan były to martwe sopki*, ani śladu drzew, krzaków, ptaków, kilka zaledwie drewnianych domków i piętrowy budynek Dalstroju. Mimo to, kontynuując zabawę w pracę wychowawczą, to znaczy udając sami przed sobą, że przywieźli nie kości dla użyznienia złotodajnej Kołymy, lecz czasowo tylko izolowanych sowieckich obywateli, którzy wrócą wszak jeszcze do twórczego życia — powitano ich dźwiękami dalekowschodniej orkiestry. Orkiestra grała marsze i walce, podczas gdy zadręczeni, półżywi ludzie wlekli się szarym łańcuszkiem po lodowym polu dźwigając swoje moskiewskie bagaże (ogromny ten transport był prawie w całości polityczny i w drodze nie miał prawie styczności z szemraną ferajną), oraz nieśli na rękach swoich towarzyszy — dotkniętych reumatyzmem, bądź też beznogich (bo ludzie bez nóg też byli wśród skazanych).

Ale widzę, że zaraz znowu zacznę się powtarzać, że nudne to będzie pisanie i nudna lektura, bo czytelnik już wszystko wie z góry: teraz ich będą wieźć ciężarówkami setki kilometrów, a jeszcze później dziesiątki kilometrów każą przejść piechotą. Tam założone zostaną nowe punkty obozowe, ludzie od pierwszej chwili posyłani będą do pracy, a żreć będą rybę i mąkę, zagryzając ją śniegiem. Spać będą w namiotach.

Owszem, tak będzie. Tymczasem zaś, na pierwszych kilka dni ci ludzie będą roztasowani tu, w Magadanie, też w tych borealnych namiotach, tu będą ich także przepuszczać przez komisję, to znaczy — taksować na golasa i szacować ich zdolność do pracy według wyglądu ich sflaczałych zadków (wszyscy, rzecz jasna, okażą się zdolni). I oczywiście — zaprowadzą ich do łaźni, a w łaziebnej poczekalni każą im zostawić ich skórzane palta, romanowskie półkożuszki, wełniane swetry, garnitury z cienkiej wełny, pilśniowe buty, kozaczki, walonki (ci, co przyjechali, to przecież nie ciemne chłopstwo, tylko partyjna elita — redaktorzy gazet, dyrektorzy zjednoczeń i fabryk, pracownicy komitetów, profesorowie ekonomii politycznej; ci ludzie już w początkach lat 30-tych znali się na tym, co dobre). „A kto będzie tego pilnować?" — zaniepokoją się ci nowi. „A komu tu potrzebne wasze ciuchy?" — odpowie dotknięta do żywego obsługa. — „Idźcie, możecie myć się spokojnie". Więc wejdą do środka. Wychodzić zaś będą innymi drzwiami i tam

* Samotne pagóry pochodzenia wulkanicznego.

wydadzą im czarne, płócienne spodnie i bluzy, obozowe fufajki bez kieszeni, chodaki ze świńskiej skóry. (O, to nie drobnostka! to rozstanie z całą przeszłością — z tytułami, ze stanowiskami, z honorami!). „A gdzie nasze rzeczy?!" — jękną wtedy. „W a s z e rzeczy zostały w domu! — szczeknie na nich jakiś naczelnik. — W obozie nie ma n i c waszego! U nas w obozie jest k o m u n i z m ! Za lewoskrzydłowym marsz!".

Ale skoro już „komunizm" — to co w ogóle mogli odpowiedzieć? Toż walce o komunizm oddali całe życie...

◆

A są jeszcze transporty — na podwodach i po prostu n a p i e c h t ę. Pamiętacie może w „Zmartwychwstaniu" Tołstoja — pędzono skazańców w słoneczny dzień z więzienia na dworzec. W Minusińsku zaś (w 40-tych latach) — po roku spędzonym bez jednego spaceru, tak, że ludzie oduczyli się chodzić oddychać pełną piersią, widzieć w pełnym świetle — wyprowadzono więźniów, ustawiono szeregiem i kazano maszerować DWADZIEŚCIA PIĘĆ kilometrów do Abakanu. Jakichś dziesięciu skonało po drodze. Wielkiej powieści, ani nawet jednego jej rozdziału, nikt o tym nigdy nie napisze: kto na cmentarzu mieszka, ten i tak wszystkich nie opłacze.

Pieszy etap — to dziadunio kolejowego, dziadunio stołypinki, dziadunio towarniaka. W naszych czasach coraz rzadziej posyła się ludzi na piechotę, chyba tam, gdzie niemożliwy jest transport mechaniczny. Tak więc z oblężonego Leningradu posyłano przez zamarznięte jezioro Ładoga skazanych do przystanku, gdzie czekały czerwone eszelony (kobiety prowadzono razem z jeńcami niemieckimi, naszych zaś mężczyzn oddzielał od kobiet kordon bagnetów, żeby nie mogli odebrać im chleba. Kto upadł na ziemię, temu zdzierano buty i rzucano go na ciężarówkę — żywego czy martwego). Podobnie w latach 30-tych odprawiano z Kotłasskiego zborniaka codziennie po stu ludzi do stacji Ust'-Wym (około 300 kilometrów), a czasami aż do Czybiù (ponad 500). Pewnego razu w 1938 roku posłano w ten sposób partię kobiet. Odcinek dzienny wynosił 25 kilometrów. Eskorta miała na smyczy psa, albo i dwa, jeśli kto z więźniów został w tyle — to poganiano go kolbą. Co prawda, rzeczy więźniów, kocioł, zapasy żywności jechały za nimi na podwodach, przez co całość przypominała klasyczne etapy aresztanckie z minionego stulecia. Były też chaty dla popasów — zrujnowane domy deportowanych kułaków z wybitymi oknami i wyrwanymi drzwiami. Księgowość Kotłasskiego zborniaka wydawała prowiant na czas obliczony teo-

retycznie, zakładając, że w drodze wszystko pójdzie gładko i że ani dnia dłużej droga trwać nie będzie (zasada działania całej naszej księgowości). Jeśli zaś zdarzały się przeszkody w drodze — porcje zmniejszano, karmiono ludzi zalewajką z żytnej mąki bez soli, albo w ogóle nic nie dawano do żarcia. Mamy w tym punkcie pewne odstępstwo od klasycznej tradycji.

W 1940 roku partię, do której należał Oleniew, po wylądowaniu popędzono na piechotę przez tajgę (z Kniaż-Pogostu w stronę miejscowości Czybiù) — nic w ogóle nie dając do jedzenia. Pili wodę bagienną i zaraz pochorowali się na biegunkę. Padali na ziemię wyzuci z sił — a psy szarpały odzież leżących. W rzece Iżma łapali ryby portkami i jedli je na surowo. (I wreszcie na jakiejś polanie oznajmiono im: tu będziecie budować trasę kolejową Kotłass-Workuta!).

Również w innych okolicach naszej europejskiej Północy pędzono więźniów na piechotę dopóty, dopóki — tą samą trasą, po nasypach, wzniesionych przez poprzednią generację aresztantów — nie ruszyły wesołe czerwone wagony, wioząc następne pokolenie więźniów.

Piesze przemarsze mają swoją technikę, wypracowaną tam, gdzie trzeba często i gęsto prowadzić ludzi na piechotę. Kiedy prowadzą partię przez tajgę między Kniaż-Pogostem a Wieslaną i nagle jakiś tam więzień upadnie, nie mogąc iść dalej — to co z takim robić? Pomyślcie rozsądnie? Co z nim począć? Toć nie można zatrzymać całej partii. Nie można też przy każdym padającym stawiać na warcie strażnika — bo strażników za mało, a więźniów za dużo. A więc?... Strażnik zostaje przy leżącym niedługą chwilę, później zaś dogania resztę, ale już sam jeden.

Długi czas utrzymały się stałe przemarsze piesze ze zborniaka Karabas do Spasska. Odległość wynosi wszystkiego 35-40 kilometrów, ale trzeba było w ciągu jednego dnia przerzucać partie złożone nawet z tysiąca ludzi, wśród których było wielu osłabionych. Liczono się z tym, że niejeden nie potrafi długo utrzymać się na nogach i że leżeć będzie na drodze z przedśmiertną obojętnością i rezygnacją: może człowiek do nich nawet strzelać, a kroku nie zrobią. Śmierci mogą już się nie bać — ale kija? ale niezmordowanego kija, walącego ich raz po raz, gdzie popadnie? — Kija na pewno się przestraszą i pójdą przed siebie! To już sprawdzone, to już tak jest. I oto cała kolumna maszerujących zostaje otoczona nie tylko zwyczajnym kordonem strzelców, utrzymujących pięćdziesięciometrowy dystans, lecz również wewnętrznym kordonem żołnierzy, nie uzbrojonych, ale zaopatrzonych w kije. Ci, co zostają w tyle — są bici (zgodnie z aforyzmem towarzysza Stalina), bici, i jeszcze raz bici — więc tracą

już siły, ale dalej się wloką! I wielu z nich jakimś cudem dociera do celu! Nie wiedzą oni, że to tylko sposób kontroli i że ci, którzy nawet pod kijami dalej leżą i nie chcą już wstać — zabierani są na ciągnące za kolumną wozy. Organizacja! (może ktoś spytać: a dlaczego nie zabrać od razu wszystkich osłabionych na te wozy?... A skąd je wziąć, skąd brać konie? Toż u nas już króluje traktor. Zresztą, wiecie ile dziś owies kosztuje?...). Takich marszów sporo było w latach 1948-50.

A w latach 20-tych piesze przemarsze należały do zasadniczych typów transportu. Byłem jeszcze dzieckiem, ale pamiętam to dobrze; pędzono ich ulicami Rostowa nad Donem nie krępując się zupełnie. Dodajmy przy okazji, że sławetna komenda — „... otwiera ogień bez uprzedzenia!", miała wówczas inne brzmienie, a to z uwagi na różnice techniczne w wyposażeniu bojowym: przecież eskorta często miała tylko szable. Komenda brzmiała tak: „Krok w bok — konwój pal, tnij!". To dźwięczało mocno — „pal, tnij!". Zaraz sobie człowiek wyobraża, że mu za chwilę łeb zetną.

Ale nawet w 1936 roku, w lutym przez miasto Niżny Nowgorod pędzono na piechotę partię długobrodych starców zza Wołgi, w samodziałowych sukmanach, w postołach i onucach na nogach — tak, „Ruś, co już zanika"... I nagle przecinają im drogę trzy auta, jednym z nich jedzie przewodniczący WCIK Kalinin. Więźniów zatrzymano, Kalinin przejechał sobie, ani spojrzał.

Zamknij oczy, czytelniku. Czy słyszysz turkot kół? To mkną stołypinki. To jadą towarniaki. Całą dobę. Każdej minuty. Każdego dnia w roku. A to woda chlupie — to płyną aresztanckie berlinki. A to warczą silniki suk. Cały czas kogoś wsadzają, wciskają do wnętrza, przenoszą. A ten zgiełk? — to przepełnione cele zborniaków. A to wycie? — to skargi okradzionych, zgwałconych, pobitych.

Dokonaliśmy przeglądu wszystkich sposobów transportu — i stwierdziliśmy, że wszystkie one są GORSZE. Przyjrzeliśmy się więzieniom tranzytowym i nie zobaczyliśmy żadnego dobrego. I nawet ostatnia ludzka nadzieja, że później już będzie lepiej, że lepiej będzie w obozie — to nadzieja złudna.

W obozie będzie — gorzej.

IV

Z WYSPY NA WYSPĘ

Ale również samotnymi czółnami przewozi się zeków z jednej wyspy Archipelagu na drugą. Nazywa to się — s p e c k o n w ó j. Jest to najbardziej niekrępujący sposób przejazdu, nie różni się on prawie od normalnej podróży. Zaznali tego tylko nieliczni. W moim życiu aresztanckim nadarzyła mi się taka okazja trzykrotnie.

Speckonwój wysłany być może tylko na zlecenie wysoko postawionych osób. Nie należy go mylić ze s p e c d e l e g a c j ą, która też zresztą wymaga decyzji na dość wysokim szczeblu. Specdelegowany najczęściej jeździ ogólnymi transportami, chociaż również on wysyłany bywa na znaczne odległości (co tym bardziej go wyróżnia). Na przykład — jedzie sobie Ans Bernsztejn, wysłany z dalekiej północy nad dolną Wołgę, w specjalnej delegacji na roboty polne. Wiozą go w znanym już nam tłoku, wśród upokorzeń, szczują psami, grożą ze wszech stron bagnetami, ryczą „Krok w prawo, krok w lewo..." — po to, aby raptem wysadzić go na malutkim przystanku Zanzewatka, gdzie go wita samotny, spokojny, nieuzbrojony nadzorca. Powiada z ziewnięciem: „Dobra, przenocujesz u mnie, a tymczasem sam tu sobie połaź, dopiero jutro odwiozę cię do obozu". I Ans s o b i e ł a z i. Czy rozumiecie, co to znaczy to ŁAŻENIE dla człowieka, który ma siedzieć 10 lat, który już tyle razy żegnał się z życiem, który dziś rano jeszcze tkwił w stołypince, a jutro tkwić będzie w obozie — teraz zaś łazi sobie i patrzy, jak kury grzebią w stacyjnym ogródku, jak zbierają się do odejścia baby, które na próżno wyniosły na sprzedaż do pociągu masło i tykwy. Robi krok, drugi, czwarty i piąty w bok — i nikt nie krzyczy mu „stój!", nieufnymi palcami muska liście akacji i gotów jest się rozpłakać.

Speckonwój zaś — cały jest takim cudem, od początku do końca. Tym razem nie wiesz wcale co to znaczą ogólne transporty, nie musisz zakładać rąk do tyłu, rozbierać się do naga, siadać na gołej ziemi, a nawet żadnej rewizji nie będzie. Konwojenci okazują ci życzliwość i nawet zwracają się do ciebie per „wy". Tak w ogóle — mówią na wszelki wypadek — przy próbie ucieczki będziemy, jak zwykle, strzelać. Pistolety mamy odbezpieczone, są tu, w kieszeniach. Ale pojedziemy j a k g d y b y n i g d y n i c, zachowujcie się swobodnie, nie dawajcie do zrozumienia, że jesteście więźniem. (Bardzo proszę zwrócić uwagę na fakt, że również tutaj interesy jednostki są, jak zawsze, całkowicie zgodne z interesami państwa).

Moje życie obozowe odmieniło się zupełnie w dniu, kiedy — już z przykurczem palców (przestały mi się rozginać od długiego trzymania narzędzi) stałem kuląc się przy rozdziale roboty w naszej brygadzie ciesielskiej. Majster odprowadził mnie na bok i z niespodzianym szacunkiem powiedział: „A wiesz, na zlecenie ministra spraw wewnętrznych...".

Zdębiałem. Ludzie poszli do roboty, i zaraz otoczyli mnie obozowi m i g a c z e z zony. Jedni twierdzili, że „dołożą mu nowy wyrok", inni byli zdania, że mnie wypuszczą. Ale wszyscy byli przekonani, że nie ominie mnie spotkanie z ministrem Krugłowem. Ja też biłem się z myślami: nowy wyrok, czy zwolnienie? Zupełnie zapomniałem, że przed pół rokiem przyjechał do naszego obozu jakiś typ i dał do wypełnienia ankiety rejestracyjne GUŁagu (po wojnie akcję tę rozpoczęto w bliżej położonych obozach, ale chyba jej nigdy nie zakończono). Najważniejszą rubryką był tam punkt dotyczący zawodu. Aby zwiększyć swoje szanse, więźniowie wpisywali sobie zawody najwyżej cenione na Archipelagu: „fryzjer", „krawiec", „magazynier", „piekarz". A ja napisałem z przymrużeniem oka: „fizyk jądrowy". Fizykiem jądrowym nigdy w życiu nie byłem, przed wojną przeszedłem tylko taki kurs na uniwersytecie i znałem nazwy cząsteczek atomowych oraz ich parametry — więc postanowiłem właśnie to sobie wpisać. Na dworze był rok 1946, bomba atomowa potrzebna była na gwałt, ale sam nie przypisywałem żadnego znaczenia tej ankiecie i zapomniałem o niej.

Krążyła głucha, zupełnie niewiarygodna, przez nikogo nie sprawdzona legenda, którą jednak raz po raz można było w obozach usłyszeć: że gdzieś na tym Archipelagu są również malutkie r a j s k i e w y s p y. Nikt ich na oczy nie widział, nikt nie był na nich, kto zaś był — ten milczy, pary z gęby nie puszcza. Są na tych wyspach ponoć rzeki mlekiem i miodem płynące, je się tam co najmniej jajka ze śmietaną; czysto tam rzekomo i

ciepło, praca tylko umysłowa, a wszystko setką tajemnic okryte.

I oto pół kary miałem odbyć właśnie na tych rajskich wyspach (w narzeczu więziennym noszą one nazwę szaraszek). To im właśnie zawdzięczam, że jeszcze żyję, bo w obozach żadną miarą nie dociągnąłbym do końca wyroku. Im też zawdzięczam możność pisania tej książki, chociaż nie przewidziałem dla nich miejsca na jej stronicach (napisałem już o nich powieść*). Między tymi właśnie wyspami — z jednej na drugą, z drugiej na trzecią, przewożono mnie speckonwojem. Jechaliśmy we trójkę z dwoma strażnikami.

Jeśli dusze zmarłych czasem wśród nas przelatują i, widząc nas, łatwo domyślają się przyziemnych pobudek naszych czynów, my zaś nie widzimy i nie domyślamy się ich bezcielesnej obecności — to podobne cechy ma jazda speckonwojem.

Człowiek daje nura w sam gąszcz wolnego świata, przepycha się przez ciżbę na dworcu. Z roztargnieniem czyta ogłoszenia, które w żaden sposób nie mogą go dotyczyć. Siedzi na starej, dworcowej ławie i słucha dziwnych, błahych rozmów: o tym, że jakiś mąż bije żonę — albo że ją porzucił; że teściowa, nie wiadomo dlaczego, nie może żyć w zgodzie z synową; że sąsiedzi ze wspólnego mieszkania nie gaszą światła na korytarzu i nie wycierają nóg, że ktoś komuś robi trudności w biurze! że komuś proponują dobrą robotę, ale nie może zdecydować się na wyjazd — jakże to, zwijać manatki, czy to łatwo? Człowiek słucha tego wszystkiego — i ciarki wyrzeczenia nagle przebiegają ci po grzbiecie i głowie: tak jasna jest już dla ciebie prawdziwa miara rzeczy w kosmosie! miara tych słabostek i namiętności! — a tym grzesznikom nie jest to dane, ani trochę! Naprawdę żywym, istotnie żywym jesteś tylko ty, istota bezcielesna, a ci wszyscy tu, tylko przez omyłkę uważają się za żywych.

I — ta przepaść między nami, nie do zapełnienia! ani krzyknąć, ani zapłakać nad nimi nie sposób, ani potrząsnąć ich za ramię: toć jesteś duchem, zjawą, oni zaś — istotami materialnymi.

Jak to przekazać? — w momencie jasnowidzenia? wizjonerstwa? we śnie? — bracia! ludzie! Na co wam życie dano?! Głuchą nocą otwierają się drzwi cel śmierci — i ludzie wielkiego ducha wleczeni są na rozstrzelanie. Na wszystkich torach kolejowych kraju w tej chwili, właśnie teraz, ktoś oblizuje gorzkim językiem wargi suche i słone od śledzia, ktoś marzy o szczęściu rozprostowania nóg, o zaspokojeniu naturalnej potrzeby. W Orotukanie latem ziemia odmarza na metr, i dopiero wtedy grzebią

* Mowa o „Kręgu Pierwszym".

w niej szczątki zmarłych w czasie zimy. A ty, pławiący głowę w błękitnym niebie, grzejący się na słońcu, mogący decydować o własnym losie, napić się wody, przeciągnąć się, jechać bez konwoju gdzie tylko zechcesz — co ci po tych niewycieranych nogach? co ma do tego teściowa? To, co w życiu najważniejsze, wszystkie jego zagadki — zaraz ci tu nimi sypnę, chcesz? Nie szukajcie tego, co złudne — majątku, tytułów: żeby to zdobyć człowiek strzępi nerwy przez dziesięciolecia, a traci to — w ciągu jednej nocy. Żyj z poczuciem spokojnej wyższości nad życiem, nie bój się biedy, nie żałuj straconego szczęścia, przecież i tak — ani goryczy do dna, ani słodyczy do pełna. Już tego dosyć, że nie marzniesz, że głód i pragnienie pazurami nie rwą ci wnętrzności. Jeśli masz nieprzetrącony kręgosłup, jeśli obie nogi jeszcze chodzą, obie ręce się ruszają, oboje oczu widzi, a oboje uszu słyszy — to komu jeszcze tu zazdrościć? po co? Zawiść zżera w końcu samego zawistnika. Przetrzyj oczy, przywróć czystość sercu — i najwyżej sobie ceń tych, którzy cię kochają, którzy ci dobrze życzą. Nie krzywdź ich, nie obrażaj, z nikim z nich nie rozstawaj się w gniewie: toć nie wiadomo, czy to nie ostatni twój uczynek przed aresztowaniem i czy nie taki twój obraz zostanie w ich pamięci!...

Ale konwojenci gładzą w kieszeni czarne rękojeści pistoletów. I siedzimy tak rządkiem, niepijące chłopaki, spokojni drużkowie.

Pocieram czoło, to otwieram oczy, to zamykam, znów ten sam sen: tłum ludzi — zupełnie bez straży. Pamiętam doskonale, że dziś jeszcze nocowałem w celi i jutro znowu w celi będę. A tu jacyś kontrolerzy ze szczypcami: „Bilecik?" „Jest, jest, u kolegi".

Wagony są przepełnione (no, „przepełnione" według wolniackich pojęć — nikt nie leży pod ławkami, ani nie siedzi w przejściu na podłodze). Kazano mi zachowywać się swobodnie — więc już wcale się nie krępuję: widzę w sąsiednim przedziale boczne miejsce przy oknie i zaraz się tam przesiadam. Dla konwojentów zaś nie ma już tam miejsca. Siedzą sobie dalej tam, gdzie siedzieli i tylko nie spuszczają ze mnie zakochanych oczu. W Piereborach zwalnia się miejsce naprzeciw mnie, przy stoliku, ale zanim mój konwojent dąży się przesiąść — już je zajął szerokogęby chłopak; półkożuszek, futrzana czapka, prosty, ale mocny drewniany kuferek. Poznałem ten kuferek od razu: łagrowa robota, *made in Archipelag*.

„Fu-u-uf" — stęka chłopak z ulgą. Światła niewiele, ale widzę, że jest cały rozpalony, nie obeszło się bez walki przy wsiadaniu. Wyciąga flachę: „Pociągniesz piwka, towarzyszu?". Wiem, że mój konwojent w sąsiednim przedziale już cały ze-

sztywniał: nie powinienem przecież pić alkoholu, nie wolno! Ale trzeba zachować się swobodnie. Mówię więc niedbałym tonem: „A nalej trochę, niech tam będzie". (Piwo? Piwo!! W ciągu trzech lat nie wypiłem ani kropelki! Dopiero będę jutro chwalił się w celi: piwo piłem!). Chłopak mi nalewa, wypijam i aż dreszcz mnie przenika. Jest już ciemno. Elektryczności nie ma w wagonie, zniszczenia powojenne. Nad framugą drzwi pali się w latarni starego typu jakiś ogarek, jeden na cztery przedziały — dwa tylne i dwa przednie. Toczymy sobie z sąsiadem przyjacielską pogwarkę, nie widząc się prawie wzajemnie. Choć mój konwojent aż się skręca — nic nie słyszy, bo koła postukują. Mam w kieszeni pocztówkę do domu. Zaraz wyjaśnię mojemu miłemu prostaczkowi kim jestem i poproszę, żeby mi wrzucił kartkę do skrzynki pocztowej. Sądząc z kuferka — też już siedział. Ale mnie ubiegł: „Wiesz, ledwie sobie ten urlop wybłagałem. Dwa lata nie puszczają ani na krok, psia służba". — „Jaka znowu służba?" — „E, skąd masz wiedzieć. Ja jestem — h i n t*, błękitne wyłogi, alboś nigdy nie widział?!". Tfu, zgiń, przepadnij, że też od razu się nie domyśliłem; Pierebory — to centrum WołgoŁagu, i ten kuferek — wydusił od zeków, bezpłatnie mu go zrobili. A to nasze życie — całe szpikowane: na dwa przedziały jeszcze było za mało dwóch hintów! — więc trzeci wsiadł. A może jeszcze czwarty gdzieś się czai? A może siedzi taki w każdym przedziale?... A może jeszcze ktoś z naszych jedzie speckonwojem...

Mój sąsiad wciąż skuczy i skarży się na swój los. Więc odpowiadam mu dość enigmatycznie: „A tym, których pilnujesz, co to po dziesięć lat za bezdurno dostali — to może im lżej?". Speszył się od razu i zamilknął aż do rana: w półmroku już wcześniej musiał dostrzec, że mam jakieś półwojskowe sorty na sobie — szynel, bluza. Myślał z początku — ot, jeszcze jeden wojak, ale teraz — diabli wiedzą: może jestem z operacyjnego? Może poluję na uciekinierów? Skąd się wziąłem w tym wagonie? A on tu przy mnie wyrzekał na obozy... Ogarek w latarni już opłynął, ale wciąż jeszcze pełga. Na trzeciej półce bagażowej leży jakiś młodzieniec i miłym głosem opowiada o wojnie, tej prawdziwej, o jakiej w książkach nie piszą; był saperem, opowiada o różnych zdarzeniach, mówi samą prawdę. I jaka to

* W oryginale — asmodej, od Asmodeusz. W Starym Testamencie — władca demonów i chyba stamtąd to przeszło do rosyjskiej gwary więziennej, bo przecież nie z „Diabła Kulawego" Lesage'a, gdzie to imię nosi postać tytułowa.

Hint — jest w polskiej gwarze przestępczej przezwiskiem strażnika więziennego, bardziej popularnym, niż obozowy *kogutek*, tu może właściwszy.

satysfakcja, że nieposkromiona prawda jednak wsiąka w czyjeś uszy.

Ja też mógłbym to i owo opowiedzieć... Chciałbym to nawet zrobić!... Nie, chyba już mi się odechciało... Cztery moje wojenne lata jakby krowa ozorem zlizała. Już nie chce mi się wierzyć, że to było naprawdę, już nie chce mi się wspomnień. Dwa lata t u t a j, dwa lata Archipelagu zaćmiły mi wszystkie drogi frontowe i frontowe przyjaźnie, wszystko pokryły mgłą. Klin wybija się klinem.

I oto, spędziwszy kilka godzin pośród WOLNYCH, czuję teraz: usta moje są nieme: nie mam wśród nich nic do roboty, jest mi tak, jakbym był na uwięzi. Chcę — mówić swobodnie! Chcę — wrócić do mojej ojczyzny! Chcę — do swoich, na Archipelag!

Rankiem zostawiam przez ZAPOMNIENIE moją pocztówkę na górnej półce wagonu. Przecież konduktorka będzie sprzątać wagon i — jeżeli jest człowiekiem — wrzuci ją do skrzynki...

Wychodzimy na plac od strony Dworca Północnego. Także tym razem moi dozorcy są nowicjuszami. Nie znają Moskwy. Decyduję za nich, że pojedziemy tramwajem „B". Pośrodku placu, na przystanku tramwajowym — ciżba, ludzie jadą właśnie do pracy. Mój strażnik wspina się na pomost i pokazuje motorniczemu legitymację MWD. Na przedniej platformie, jak jacyś deputaci Mossowietu, stoimy sobie z godnością przez całą drogę, nie płacąc za bilety. Jakiemuś starcowi wejść natomiast nie pozwalają: nie jesteś inwalidą, wleziesz przez tylne wejście!

Dojeżdżamy do Nowosłobodzkiej, schodzimy na przystanku — i po raz pierwszy mam okazję widzieć więzienie Butyrskie z zewnątrz, chociaż przywożą mnie tutaj po raz czwarty i bez trudu potrafię narysować jego wewnętrzny plan. O, jaki surowy, wysoki mur, a długi — na pół dzielnicy! Chłód ściska serce mieszkańca Moskwy, gdy widzi, jak otwiera się stalowa paszcza tych wrót. Ale bez żalu żegnam moskiewskie trotuary, wchodzę jak do własnego domu przez sień pod sklepieniami odwachu, uśmiecham się, wkraczając na pierwszy dziedziniec, poznaję dobrze znane główne wrota ze żłobionymi w drzewie figlasami — i nic to, że zaraz postawią mnie twarzą do ściany i zapytają: „nazwisko?... imię, imię ojca?... rocznik?...".

Nazwisko!... Jestem Gwiezdnym Tułaczem! Moje ciało jest w pętach, ale dusza — nie im podlega.

Wiem dobrze: po kilku godzinach nieuchronnych zabiegów, jakim ciało będzie poddane — chodzi o boks, kipisz, kartę rejestracyjną, wydanie kwitu na depozyt, dezynfekcję i łaźnię — będę wprowadzony do celi z sufitem na kształt podwójnej kopuły,

przedzielonej po środku nawisłym łukiem (wszystkie cele są tu takie), z dwoma dużymi oknami, jednym długim stołem-szafą, a spotkam tam nieznanych mi jeszcze, ale na pewno mądrych, interesujących, życzliwych ludzi, zaraz zaczną mi coś opowiadać, ja im potem opowiem swoje i wieczorem nie od razu sen przyjdzie.

Na miskach zaś wytłoczony będzie napis (żeby kto nie zabrał w drogę) „BuTiur" — Butyrskaja Tiurma. Sanatorium Butiur, jakeśmy żartem mówili tu zeszłym razem. Sanatorium mało znane opasłym dygnitarzom, tak marzącym o schudnięciu. Wożą swe brzuchy do Kisłowodzka, tam wydeptują kilometrami specjalne szlaki, robią przysiady, pocą się przez cały miesiąc, żeby zrzucić dwa, trzy kilogramy. W sanatorium zaś BuTiur, ręką podać, każdy z nich schudłby o pół puda na tydzień bez żadnych ćwiczeń.

To rzecz sprawdzona. Bez żadnego wyjątku.

◆

Świat jest ciasny, po prostu bardzo ciasny — to jedna z tych prawd, o których słuszności człowiek przekonuje się w więzieniu. Co prawda, Archipelag GUŁag roztasowany na całej powierzchni Związku Sowieckiego, ma jednak o wiele mniejszą od niego liczbę mieszkańców. Ile ludności ma Archipelag — tego nie mogliśmy ustalić. Można założyć, że j e d n o c z e ś n i e znajdowało się w obozach nie więcej niż 12 milionów ludzi[1] (jedni szli do ziemi, Maszyna zaś dostarczała nowych). I więźniowie polityczni stanowili nie więcej niż połowę tej liczby. Sześć milionów? Cóż, to tyle, co ludność małego kraju, Szwecji albo Grecji, tam wielu ludzi zna się osobiście. Nic dziwnego, że kiedy człowiek trafi do byle jakiej celi w byle jakim zborniaku, kiedy trochę posłucha i trochę się rozgada — z pewnością dogrzebie się jakichś wspólnych znajomych. (Co w tym dziwnego, skoro D., który przesiedział cały rok wyłącznie w pojedynkach trafia — już po Suchanowce, po zmasakrowaniu przez Riumina, po szpitalu — do celi na Łubiance, przedstawia się, a obrotny F. od razu mu powiada: „A, to ja pana znam!" — „Skąd? — zdziwił się D. — Pan się myli". — „Bynajmniej. Przecież to pan jest tym samym Amerykaninem, Aleksandrem D., o którym prasa burżuazyjna nakłamała, że go porwano, a TASS musiał dementować. Czytałem to, kiedy byłem na wolności").

1. Według danych, zgromadzonych przez socjaldemokratów Nikołajewskiego i Dalina, w obozach miało siedzieć od 15-tu do 20-tu milionów więźniów.

Lubię chwilę, kiedy do celi wchodzi ktoś nowy (nie nowicjusz — bo ci wchodzą przygnębieni, zażenowani, mówię o zekach już bywałych). Sam też lubię wchodzić do nowej celi (zresztą, Boże uchowaj, wolę więcej już nie wchodzić) — beztroski uśmiech, szeroki gest: „Czołem, braciszkowie!". Rzucam worek na nary: — „No, co nowego w Butyrkach? Jak zleciał ten roczek?".

Przedstawiamy się sobie. Jakiś młody jeszcze, niejaki Suworow, artykuł 58. Na pierwszy rzut oka — nic szczególnego, ale zaraz, zaraz: w Krasnojarskim zborniaku siedział z nim w tej samej celi niejaki Machotkin...

— Chwileczkę, czy to nie ten lotnik polarny?

— A, tak, tak, to jego imię nosi...

— Wyspa w zatoce Tajmyrskiej. A on sam siedzi z artykułu 58-10. Powiedzcie no, puścili go więc do Dudinki?

— Skąd o tym wiecie? Owszem.

Znakomicie. Jeszcze jedno ogniwo biografii zupełnie nieznanego mi Machotkina. Nigdy się z nim nie spotykałem, nigdy go może nie zobaczę, ale ruchliwa pamięć zanotowała wszystko to, co o nim wiem: Machotkin dostał c z e r w o ń c a, ale wyspy nie można już przemianować, ponieważ figuruje na wszystkich mapach świata (to przecież nie wyspa naszego Archipelagu). Posłano go do szaraszki projektującej sprzęt lotniczy w Bołszynie, ale się tam tylko męczył: był jedynym lotnikiem wśród inżynierów, a tu mu latać przecież nie pozwolą. Szaraszkę tę podzielono na dwie części, Machotkin trafił do tej połowy, którą przeniesiono do Taganrogu i zdawało się, że wszystkie kontakty uległy zerwaniu. W drugiej połówce, w Rybińsku, ktoś mi opowiadał, że Machotkin prosił, żeby go przeniesiono na Daleką Północ i pozwolono tam latać. Teraz dowiaduję się, że dostał pozwolenie. Nic mi po tych wiadomościach, ale zapamiętałem wszystko. Mija jeszcze dziesięć dni i oto jestem w butyrskim łaziebnym boksie (są takie arcysympatyczne boksy w Butyrkach, z kranami i ceberkiem, żeby mniejsze grupy nie zajmowały wielkiej łaźni) razem z niejakim R. Tego R. nie znam także, ale okazuje się, że pół roku leżał on w butyrskim szpitalu, teraz zaś jedzie do rybińskiej szaraszki. Miną jeszcze trzy dni i w Rybińsku, w szczelnie zamkniętym pudle, którego mieszkańcy nie mają żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, już będzie wiadomo, że Machotkin jest w Dudince i że mnie wzięto tam, a tam. To właśnie jest telegraf więzienny: spostrzegawczość, pamięć i spotkania.

I ten sympatyczny mężczyzna w rogowych okularach? Spaceruje po celi i miłym barytonem nuci Schuberta:

„I młodość znów mi ciąży tak,
I dłuży się do grobu szlak..."

— Carapkin, Sergiusz Romanowicz.

— Przepraszam, ależ ja pana dobrze znam. Biolog? Odmowa powrotu? Z Berlina?

— Skąd pan to wszystko wie?

— No, jakże inaczej? W 46-tym roku, razem z Mikołajem Władimirowiczem Timofiejewem — Ressowskim...

... Ach, to dopiero była cela! — czy aby nie najświetniejsza w całym moim więziennym żywocie?... Było to w lipcu. Przywieziono mnie z obozu do Butyrek na mocy zagadkowego „rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych". Przywieziono mnie po obiedzie, ale więzienie tak było przepełnione, że procedury wstępne trwały 11 godzin i dopiero o trzeciej w nocy wpuszczono mnie, wymaglowanego w różnych boksach, do celi numer 75. W celi, jaskrawo oświetlonej żarówkami, zwisającymi spod dwóch kopułek, wszyscy spali pokotem, miotając się przez sen, bo było duszno: gorące lipcowe powietrze nie miało dostępu, okna zasłonięte były kagańcami. Brzęczały niezmordowane muchy, siadając na pogrążonych we śnie, którzy też wzdrygali się raz po raz. Niektórzy osłonili sobie ręcznikami oczy, bo światło było rażące. Ostro cuchnął kibel — w takim upale rozkład postępował szybko. Do celi, obliczonej na 25-ciu ludzi, napchano więźniów nie dużo, nie mało, chyba osiemdziesięciu. Ludzie leżeli na narach rzędem i z lewej, i z prawej strony, a również na dodatkowych blatach, ułożonych w poprzek przejścia, spod wszystkich nar wystawały czyjeś nogi, tradycyjny zaś, butyrski stół-szafa przesunięty był w stronę kibla. Właśnie obok niego był jeszcze kawałeczek wolnego miejsca na podłodze, więc tam się położyłem. Ci, co chodzili do kibla, aż do samego rana musieli przeze mnie przestępować.

Gdy przez otwór w drzwiach krzyknięto „Pobudka!", zrobił się ruch w całej celi: podniesiono leżące na poprzek blaty, przesunięto stół pod okno. Zaraz też ktoś podszedł do mnie, żeby przeprowadzić *interview:* nowicjusz, czy obozowy bywalec? Okazało się, że w celi spotykają się dwa prądy: zwyczajny potok ludzi po wyroku, kierowanych do obozów i przeciwbieżny potok specjalistów, odwołanych z obozów — fizyków, chemików, matematyków, inżynierów konstruktorów, kierowanych nie wiadomo dokąd, ale zapewne do jakichś naukowo-badawczych instytutów, gdzie im się będzie dobrze działo. (Tu dopiero uspokoiłem się, że minister nie ma zamiaru d o s u n ą ć mi nowego

wyroku). Podszedł do mnie człowiek niestary jeszcze, grubokościsty (ale bardzo wychudzony), z nosem jastrzębim, lekko zakrzywionym:

— Profesor Timofiejew-Ressowski, prezes towarzystwa naukowo-technicznego 75 celi. Sesje naszego towarzystwa odbywają się codziennie rano po rozdaniu chleba i mają miejsce koło lewego okna. Czy mógłby pan wygłosić dla nas jakiś naukowy referat? I na jaki temat?

Zupełnie zaskoczony stałem przed nim w swoim długim, zaszarganym szynelu i zimowej czapce (taka już dola aresztowanych zimą, że również latem paradują po zimowemu). Moje palce wciąż jeszcze nie rozkurczyły się i całe były pokiereszowane. Jakież tu mogłem wygłaszać referaty naukowe? Ale przypomniałem sobie, że niedawno w obozie miałem w ręku przez dwie noce przyniesioną zza drutów książkę Smitha — raport oficjalny sekretariatu obrony USA o pierwszej bombie atomowej. Książka ukazała się dopiero co, wiosną. Czy nikt w celi jeszcze jej nie widział? Śmieszne pytanie, pewno, że nie. Los uśmiechnął się tu i kazał mi jednak zająć się trochę fizyką atomową, na którą powołałem się w GUŁagu.

Po racji porannej zebrało się pod lewym oknem koło dziesięciu członków towarzystwa naukowo-technicznego, wygłosiłem swój referat i przyjęty zostałem do towarzystwa. To i owo już zapomniałem, tamtego znów nie potrafiłem zrozumieć do końca — ale Mikołaj Władimirowicz, chociaż siedział już rok w więzieniu i niczego nie mógł wiedzieć na temat bomby atomowej — raz po raz uzupełniał braki mojej relacji. Pusta paczka po papierosach była moją tablicą, w ręku miałem kawałek nielegalnego sztyftu z ołówka. Mikołaj Władimirowicz wciąż mi go wyjmował z rąk, robił rysunki i wtrącał swoje uwagi z taką znajomością rzeczy, jak gdyby był fizykiem z samego Los Alamos.

Istotnie miał on już do czynienia z jednym z pierwszych europejskich cyklotronów, ale stosował go dla poddawania promieniowaniu much-drozofil. Był biologiem, należał do najwybitniejszych współczesnych genetyków. Siedział już w więzieniu, kiedy profesor Żebrak, nie wiedząc o tym (a może właśnie wiedząc), miał dość odwagi, by napisać w artykule przeznaczonym dla kanadyjskiego czasopisma: „Rosyjska biologia nie odpowiada za Łysenkę, rosyjska biologia — to Timofiejew-Ressowski" (podczas kampanii przeciw biologom w 1948 roku Żebrakowi o tym przypomniano). Schroedinger w broszurze „Czym jest życie?" znalazł miejsce, by dwukrotnie zacytować Timofiejewa-Ressowskiego, który już siedział wtedy od dawna.

On zaś tu stał przed nami i olśniewał nas znajomością naj-

rozmaitszych dziedzin wiedzy. Cechowała go ta szerokość poglądów, o której uczeni następnych pokoleń już nawet nie chcą wiedzieć (a może zmieniły się możliwości ogarnięcia umysłem tego wszystkiego?). Teraz zresztą tak był wycieńczony głodem z czasów śledztwa, że nie łatwo przychodziły te popisy. Po kądzieli wywodził się z szaraczkowej szlachty kałuższkiej, siedzącej nad rzeką Ressą, po mieczu zaś — był potomkiem Stiepana Razina z linii bocznej i ta kozacka krzepa biła w oczy — świadczyła o niej jego grubokoścista budowa, gruntowność, niezachwiana postawa podczas śledztwa, — ale również ciągły głód, o wiele silniejszy, niż u innych.

Oto jego historia: W 1922 roku niemiecki uczony Vogt, który stworzył w Moskwie Instytut Mózgu, poprosił aby wydelegować do niego, do Niemiec, dwóch najzdolniejszych absolwentów. W ten sposób Timofiejew-Ressowski i jego przyjaciel Carapkin posłani zostali do Vogta na okres nieograniczony. Chociaż brak im tam było ideologicznego kierownictwa, nie mniej, osiągnęli znaczne sukcesy w swojej dziedzinie wiedzy i kiedy w 1937 roku (!) kazano im wracać do kraju, nie mogli się podporządkować temu zleceniu — przez inercję: ze względu na logikę swoich badań, na stan sprzętu, na swoich uczniów. A chyba także dlatego nie mogli, że w kraju teraz trzeba byłoby publicznie osmarować gnojem całą ich piętnastoletnią pracę w Niemczech i tylko to dałoby im prawo do istnienia (pytanie jeszcze, czy w ogóle by dało?). W ten sposób zostali takimi, co to odmawiają powrotu, pozostając jednak patriotami.

W 1945 roku, kiedy oddziały sowieckie osiągnęły Buch (północno-wschodnie przedmieście Berlina), Timofiejew-Ressowski powitał je z radością, tym większą, że jego instytut uchował się w całości. Wszystko świetnie się składało — teraz nie trzeba było rozstawać się z Instytutem! Przyjechali jacyś przedstawiciele, zwiedzili instytut i rzekli: — hm, każcie to wszystko zapakować do skrzyń, zawieziemy do Moskwy. — To niemożliwe — żachnął się Timofiejew — wszystko ulegnie zniszczeniu! Przez całe lata ustawiało się i regulowało te instalacje! — Hmmm?... — zdziwiło się naczalstwo. I wkrótce potem Timofiejewa oraz Carapkina aresztowano i zawieziono do Moskwy. Byli naiwni, sądzili, że instytutu bez nich nie będzie można uruchomić. Ale niech tam nie będzie można, byle by tylko zatryumfowała linia generalna! Na Wielkiej Łubiance aresztowanym dowiedziono z łatwością, że są zdrajcami ojczyzny (znów ci nieodrodni zdrajcy!), dano po dziesięć lat i teraz prezes towarzystwa naukowo-technicznego celi 75 pokrzepiał się myślą, że żadnej omyłki nie popełnił.

W butyrskich celach podparcia nar są bardzo niskie: nawet administracji więziennej nie przychodziło do głowy, że ktoś będzie musiał spać pod narami. Dlatego trzeba naprzód rzucić sąsiadowi szynel, żeby go tam rozesłał, następnie dopiero trzeba w przejściu położyć się na brzuchu i wczołgać na swoje miejsce. Po przejściu wciąż ktoś chodzi, podłoga pod narami zamiatana jest najwyżej raz w miesiącu, ręce można umyć dopiero przy wieczornym pójściu do ustępu, zresztą bez mydła — nie sposób więc powiedzieć, aby człowiek miał wrażenie, że jego ciało jest naczyniem wszelkiej czystości. Ale byłem szczęśliwy! Tam, na asfaltowej podłodze pod narami, w psim wykrocie, gdzie kurz i źdźbła sypały nam się do oczu, byłem absolutnie szczęśliwy, szczęśliwy bez żadnych zastrzeżeń. Prawdę mówił Epikur: również brak urozmaiceń może dawać satysfakcję jeśli przedtem trzeba było doznać wielu urozmaiconych przykrości. Po życiu w obozie, które dłużyło się nieskończenie, po dziesięciogodzinnym dniu roboczym, po chłodzie, deszczu, od których aż w krzyżach łamało — o, co to za szczęście leżeć całymi dniami, spać i mimo to — dostawać dziennie 650 gramów chleba i dwie miski zupy z koncentratu, albo z delfiniego mięsa. Jednym słowem — sanatorium BuTiur.

Spać! To bardzo ważne. Położyć się na brzuchu, okryć sobie grzbiet i spać! Podczas snu człowiek nie traci sił i nie rani sobie serca — a czas kary mija, czas kary mija! Kiedy życie nasze trzaska i strzela ogniem, jak pochodnia, przeklinamy przeznaczenie, które każe nam tracić osiem godzin na tępy sen. Kiedy zaś jesteśmy w łapach niedoli i beznadziei — błogosławimy sen, nawet czternastogodzinny!

Ale w tej celi przesiedziałem dwa miesiące, zdążyłem wyspać się na zapas, chyba na cały rok, zdążyłem przez ten czas przesunąć się pod narami do samego okna i znów wrócić do kibla, ale już na narach, a potem dojść na tychże narach aż do łuku środkowego. Spałem już o wiele mniej — piłem z ukontentowaniem nektar tego życia. Rano sesja towarzystwa-naukowo-technicznego, później szachy, książki (dobrych było tylko trzy-cztery na osiemdziesięciu ludzi, czekano na nie w kolejce), 20 minut spaceru — akord majorowy! Nie rezygnujemy z przechadzki nawet jeżeli trzeba spacerować w ulewnym deszczu, a najważniejsze ludzie, ludzie, ludzie! Mikołaj Andriejewicz Siemionow, jeden z twórców DnieproGES'u. Jego przyjaciel z niewoli, inżynier F. F. Karpow. Sarkastyczny, pomysłowy — Wiktor Kagan, fizyk. Absolwent konserwatorium Wołodia Klempner, kompozytor. Pewien drwal i myśliwy z wiatskich lasów, cichy, jak jezioro w boru. Prawosławny kaznodzieja, przybyły z Zachodu,

Jewgienij Iwanowicz Diwnicz. Nie trzyma się wąskich ramek teologii, wymyśla na marksizm, twierdzi, że na Zachodzie nikt już od dawna nie bierze na serio tej doktryny — ja zaś występuję w jej obronie, czyli że jestem marksistą. Z jaką pewnością jeszcze przed rokiem szermowałbym cytatami, z jaką wyższością wyśmiewałbym rozmówcę! Ale pierwszy rok więzienia opancerzył mnie jakby — jak do tego doszło? bo ani się spostrzegłem, jak nawarstwiły się te nowe wydarzenia, aspekty i znaczenia w takiej ilości, że nie mogę już powiedzieć, że ich nie ma, że to burżuazyjne kłamstwa! Muszę teraz przyznać, że owszem, że istnieją naprawdę. I od razu rozluźnia się łańcuch moich argumentów, po czym jednym palcem kładą mnie na łopatki.

I znów ciągną jeńcy, jeńcy, jeńcy — już drugi rok nie wysycha ta rzeka płynąca z Zachodu. I znów rosyjscy emigranci — z krajów europejskich i z Mandżurii. Emigranci szukają znajomych w taki sposób: z jakiego pan kraju? zna pan takiego, a takiego? Oczywiście, że zna. (Tu właśnie dowiaduję się o rozstrzelaniu pułkownika Jasiewicza).

Zjawia się też stary Niemiec — ten postawny Niemiec, teraz wychudły i chorowany, którego zmusiłem niegdyś w Prusach Wschodnich (chyba przed dwustu laty?) do noszenia mojej walizki. O, jak mały jest świat!... Trzebaż było trafu, abyśmy się spotkali! Stary uśmiecha się do mnie. On mnie także poznał i wydaje się nawet, że rad jest ze spotkania. Chyba mi przebaczył. Dostał dziesięć lat, ale na pewno końca kary nie dożyje... Jest również inny Niemiec — wysoki, szczupły, młody, ale że po rosyjsku nie umie ani słowa — więc jakby niemy. Nie od razu można się połapać, że to Niemiec. Niemieckie sorty zdarli z niego knajacy, dali mu w zamian wypełzłą sowiecką bluzę wojskową. Jest to znakomity lotnik, niemiecki as. Pierwszą jego kampanią była wojna Boliwii z Paragwajem, drugą hiszpańska, trzecią — polska, czwartą — bitwa o Anglię, piątą — Cypr, szóstą — wojna ze Związkiem Sowieckim. Ponieważ jest asem, więc nie mógł nie strzelać z powietrza do kobiet i dzieci, jest więc przestępcą wojennym, dziesięć lat i pięć na przytarcie rogów.

— Jest oczywiście w naszej celi jeden prawomyślny (typu prokuratora Kretowa): „Bardzo słusznie was wszystkich wsadzili, wywłoki kontrrewolucyjne! Historia odda wasze kości na przemiał, staniecie się jej nawozem!" — „I z ciebie będzie nawóz, psie!" — krzyczą mu. — „Nieprawda, będzie rewizja mojej sprawy, jestem niewinnie skazany!". Cała cela ryczy, wszystko aż kipi. Siwowłosy nauczyciel języka rosyjskiego staje na narach, jest bosy, gestem nowego Chrystusa wyciąga ręce: „Dzieci moje,

pogódźmy się!... Dzieci moje!". Ryczą również na niego: „Twoje dzieci leżą w briańskich lasach! Niczyje my dzieci! Już z nas tylko synowie GUŁagu...".

Po kolacji i wieczornym wyjściu do ustępu noc przysiada na okiennych kagańcach i bezlitosne lampy płoną pod sufitem. Dzień oddala więźniów od siebie, noc ich zbliża. Wieczorami nie było już sporów, urządzano za to wykłady, albo koncerty. Tu znów błyszczał Timofiejew-Ressowski. Całe wieczory poświęcał Włochom, Danii, Norwegii, Szwecji. Emigranci snuli opowieści o Bałkanach, o Francji. Jeden mówił o Le Corbusier, kto inny — wykładał o zwyczajach pszczół, jeszcze kto inny opowiadał o Gogolu. Paliliśmy przy tym, że aż ha! Dym zasnuwał celę, kołysał się, jak ciężka mgła, kaganiec sprawiał, że nie było przewiewu. Podchodził do stołu Kostia Kiula, mój równieśnik, niebieskooki, o twarzy krągłej, zabawnie nieskładny — i recytował swoje wiersze, ułożone w więzieniu. Głos mu się łamał ze wzruszenia. Wiersze nosiły takie tytuły: „Pierwsza paczka", „Do żony", „Do syna". Kiedy słuchasz w więzieniu wierszy, również w więzieniu napisanych, nie myślisz wcale o tym, czy autor nie pogwałcił aby zasad sylabo-toniki i czy wiersze kończą się asonansami, czy też rymami pełnymi. Te wiersze — to krew TWOJEGO serca, łzy TWOJEJ żony. W celi ludzie płakali[2].

Od czasu pobytu w tej celi mnie również zaczęło ciągnąć do pisania wierszy o więzieniu. W niej też czytałem na głos Jesienina, poetę przed wojną prawie że zabronionego. Młody Bubnow — były jeniec, a wcześniej jeszcze chyba nieukończony student, wpatrywał się w recytatorów nabożnym wzrokiem, twarz mu promieniała. Nie był specjalistą, nie wracał, tylko jechał do obozu i najprawdopodobniej — dzięki czystości i prostolinijności swojego charakteru — czekała go tam śmierć, tacy ludzie długo tam nie żyją. I wieczory w 75-tej celi były dla niego, a także dla innych, chwilą przerwy w morderczym procesie staczania się i nagłym objawieniem wspaniałego świata, co istnieje gdzieś, co nadejdzie, ale w którym nie pozwolił im zły los spędzić ani roczku, ani jednego roczku młodości.

Otwiera się klapka w drzwiach i hint szczekał nam: „Spać!". Ale nie, nawet przed wojną, ucząc się na dwóch naraz fakultetach, dorabiając korepetycjami i próbując już p i s a n i a — nie przeżywałem chyba takich nasyconych treścią, zachwycających, takich pełnych znaczenia dni, jak tamtego lata w 75-tej celi...

2. Nie odpowiada na listy, zapodział się gdzieś Kostia Kiula. Boję się, że nie żyje.

... — Chwileczkę — mówię Carapkinowi — ale zdążyłem przez ten czas usłyszeć od niejakiego Deula, chłopaczka, który w 16-tym roku życia dostał piątkę (tylko nie za postępy w nauce) z artykułu o „antysowieckiej agitacji"...

— Jak to, więc pan go zna?... Jechał z nami do Karagandy w tym samym transporcie...

— ... że urządził się pan jako laborant w szpitalnej pracowni analitycznej, Mikołaj Władimirowicz był zaś cały czas na ogólnych...

— I bardzo to go podkopało. Był już półtrupem, kiedy go wieziono ze stołypinki do Butyrek. Teraz leży w szpitalu i na zlecenie Czwartego Specwydziału[3] wydają mu masło śmietankowe, nawet wino, ale czy wydobrzeje — to trudno powiedzieć.

— Czwarty Specwydział was wzywał?

— Owszem. Zapytali nas, czy nie uważamy jednak za możliwe — po sześciu miesiącach Karagandy — zająć się organizacją naszego instytutu na ziemi ojczystej.

— I zgodziliście się z burzliwą radością?

— A jakże inaczej? Przecież teraz zrozumieliśmy już nasze błędy. Ponadto — cały sprzęt, zdemontowany i załadowany do skrzyń, przyjechał i tak.

— Jak to MWD jest jednak oddane nauce! Bardzo pana proszę! jeszcze troszkę tego Schuberta.

I Carapkin śpiewa, melancholijnie potrząc w stronę okna (w jego okularach odbijają się ciemne kagańce i jasne pasma u szczytu okien):

Vom Abendrot zum Morgenlicht
War mancher Kopf zum Greise
Wer glaubt es? meiner ward es nicht
Auf dieser ganzen Reise.*

◆

Spełniło się marzenie Tołstoja: więźniów nikt już więcej nie zmusza do brania udziału w tych pełnych fałszu nabożeństwach cerkiewnych. Kaplice więzienne są zamknięte. Co prawda, zachowały się ich budynki, ale zostały w bardzo fortunny sposób przystosowane do zwiększonych potrzeb więziennictwa. W butyrskiej cerkwi może się w ten sposób zmieścić dodatkowo po-

3. Czwarty Specoddział MWD zajmował się rozpracowaniem naukowych problemów przy pomocy więźniów.

* Między zmierzchem, a brzaskiem / niejedna głowa posiwiała / Kto by uwierzył? Mnie to ominęło / W czasie tej całej podróży.

nad dwa tysiące ludzi — co w ciągu roku czyni około 50 tysięcy, jeżeli założyć, że na każdą partię przypadają dwa tygodnie.

Za czwartym, czy piątym nawrotem do Butyrek, pewnym krokiem przecinając podworzec, obramowany więziennymi oddziałami, w drodze do wyznaczonej mi celi wyprzedzając o pierś strażnika (tak samo koń — bez bata i lejc — spieszy do stajni, gdzie czeka już obrok) — zapominałem czasem rzucić okiem na kwadratową cerkiew o ściętych węgłach, co czyniło z niej prawie ośmiobok. Jest to osobny budynek pośrodku kwadratowego dziedzińca. Jej kagańce okienne nie są technicznie nowoczesne, nie wykonano ich z blachy, ani ze szkła zbrojonego, jak w głównych oddziałach — lecz z poszarzałych, butwiejących tarcic, co jest dowodem drugorzędności obiektu. Jest to jakby wewnętrzny, butyrski zborniak dla więźniów przybyłych świeżo po wyroku.

Przekroczenie tego progu było dla mnie niegdyś, w 45-tym roku, wielkim i ważnym przeżyciem: po wyroku OSO zaprowadzono nas do cerkwi (w samą porę! warto się było wtedy pomodlić!). Kazano wejść na piętro (założono tam również trzecią kondygnację) i z ośmiokątnego westybulu powpychano do rozmaitych cel. Ja zostałem wpuszczony do celi południowo-wschodniej.

Była to obszerna, prostokątna cela, w której trzymano w tym okresie dwustu ludzi. Spali oni, jak wszędzie, na narach (są tam one i jednopiętrowe), pod narami i po prostu w przejściach, na podłodze z ceramicznych fliz. Nie tylko kagańce na oknach były podrzędnej jakości, ale również wszystko inne tak tu wyglądało jakby przeznaczone było nie dla synów, lecz dla pasierbów Butyrek: ta kłębiąca się masa ludzka nie dostawała ani książek, ani szachów, czy warcabów, aluminiowe zaś miski i wyszczerbione, pokiereszowane, drewniane łyżki — zabierano nam także, w obawie, żeby ich czasem ktoś nie zwędził przy wysyłce. Nawet kubków żałowano nieszczęsnym pasierbom. Myto tylko miski po zjedzeniu bałandy i nalewano do nich herbacianą lurę. Brak własnych statków w celi doskwierał szczególnie tym, którzy mieli szczęście, czy nieszczęście dostać paczkę od rodziny (a w tych ostatnich dniach przed wysłaniem na kraj świata, rodzina za ostatnie grosze starała się koniecznie coś przysłać). Krewnym brak było wszelkiej edukacji więziennej, a w kancelarii nigdy by się nie doczekali dobrej rady. Dlatego — nie przysyłali naczyń z mas plastycznych, jedynych, jakie wolno mieć w więzieniu, tylko szklane, albo żelazne. Przez klapkę w drzwiach celi wszystkie te miody, konfitury, kwaterki mleka skondensowanego bez żadnej litości wylewane były i wyskro-

bywane ze słoików w to, co więzień mógł podstawić, a że w tej cerkiewnej celi niczego takiego nie miał, więc po prostu w dłonie, do ust, do chusteczki, na połę kurtki. Jak na GUŁag to rzecz zupełnie normalna, ale w centrum Moskwy? A ponadto — „prędzej, prędzej!" — pilił strażnik, jakby bał się, że mu pociąg ucieknie (pilił zaś dlatego, że sam jeszcze chciał wylizać konfiskowane słoiki). W celach cerkiewnych wszystko było tymczasowe i pozbawione tego nawet pozoru zasiedziałości, jaki się miało w celach dla więźniów śledczych i oczekujących na rozprawę. To zmielone już mięso, aresztancki półfabrykat dla GUŁagu trzymane tu było z konieczności dopóty, dopóki na Krasnej Presni nie zwolniło się trochę miejsca. Jedyny przywilej jaki się tu miało — było to chodzenie trzy razy w dzień po sałamachę (nie dawano tu kaszy całymi dniami, ale sałamachę — trzy razy i tak było miłosierniej, bo jadło się częściej, było to czasem ciepłe i przyjemnie ciążyło w żołądku). Przywilej ten przyznano z tego powodu, że w cerkwi nie było wind, jak w pozostałej części więzienia, strażnicy zaś nie chcieli się nadwerężać. Trzeba było nosić ciężkie, wielkie banie z daleka, przez całe podwórze, później wnosić je po stromych schodach, było to bardzo trudne, sił brakło, ale ludzie chętnie chodzili — byle by tylko jeszcze raz przejść się przez zielony dziedziniec i posłuchać ptasiego śpiewu.

W cerkiewnych celach oddychało się szczególnym, tutejszym powietrzem: wibrowało już od przeczucia wiatru przyszłych zborniaków, od pierwszych podmuchów z polarnych obozów. W cerkiewnych celach celebrowany był rytuał przyzwyczajenia się do myśli, że wyrok zapadł — i wcale nie na żarty, że — choć okrutny będzie ten nowy rozdział w twoim życiu, ale umysł powinien przemóc się i zaakceptować go. Przychodziło to z trudem.

Nie było tu także stałego towarzystwa, które ma się w celach śledczych, przez co stają się one jakby rodzajem rodziny. We dnie i w nocy wprowadzano tu i wprowadzano ludzi pojedynczo i dziesiątkami — stąd też cały czas trwał tu ruch na podłodze i na narach i rzadko zdarzało się, aby człowiek przez dwie doby leżał koło tego samego sąsiada. Jeśli trafiało się na kogoś interesującego, to trzeba go było wypytywać bez zwłoki, inaczej traciło się człowieka z oczu na całe życie.

Przegapiłem w ten sposób ślusarza samochodowego Miedwiediewa. Gdy tylko zacząłem z nim rozmawiać, od razu sobie przypomniałem, że nazwisko to wymieniał imperator Michał. Tak, ślusarz był z tej samej sprawy, był jednym z pierwszych czytelników „Orędzia do narodu rosyjskiego", był też jednym z tych, którzy nie donieśli. Miedwiediew dostał wyrok niewy-

baczalnie, haniebnie mały — zaledwie 3 lata! i to z artykułu 58, a nawet 5 lat w podobnych wypadkach uważane było za dziecinny wyrok. Widać uznano jednak imperatora za wariata, a pozostałych potraktowano łagodnie ze względów k l a s o w y c h. Ale zaledwie się zdecydowałem na wypytanie Miedwiediewa — co on właściwie o tym wszystkim sądzi — już wzięto go „z rzeczami". Były pewne podstawy do przypuszczeń, że wyszedł na wolność. Znajdowały w tym fakcie potwierdzenie pierwsze pogłoski o stalinowskiej amnestii, które tego lata do nas docierały — o a m n e s t i i d l a n i k o g o, o amnestii, po której nawet pod narami nie zrobiło się luźniej.

Zabrano do transportu mojego sąsiada — starego schutzbundowca* (wszyscy ci schutzbundowcy, duszący się w konserwatywnej Austrii, tu, w ojczyźnie światowego proletariatu, w 1937 roku zainkasowali po dziesiątaku i znaleźli śmierć na wyspach Archipelagu). I przysunął się bliżej mnie smagły człowieczek o smolistych włosach, o kobiecych oczach, przypominających czarne czereśnie, ale z nadmiernie wielkim, szerokim nosem, nadającym jego twarzy karykaturalny wyraz. Przeleżeliśmy obok siebie w milczeniu całą dobę, na drugi zaś dzień, znalazł powód, aby zapytać mnie: „Za kogo mnie właściwie uważacie?". Mówił po rosyjsku swobodnie, prawidłowo, ale z akcentem. Zawahałem się: miał w sobie coś kaukaskiego, było w nim coś z Ormianina. Uśmiechnął się: „Z największą łatwością udawałem Gruzina. Wszyscy wołali na mnie Jasza. Wszyscy śmiali się ze mnie. Zbierałem składki związkowe". Przyjrzałem mu się uważnie. Rzeczywiście, komiczna figura: kurdupel, twarz bez proporcji, poczciwy uśmiech. I nagle cały się sprężył, rysy mu się zaostrzyły, oczy zwęziły i ciachnął mnie nimi jak czarną szablą:

— A ja jestem — wywiadowcą rumuńskiego sztabu generalnego! *Logotenent* Vladimirescu!

Wzdrygnąłem się aż, taki usłyszałem w jego głosie dynamit. Znając już dobrze około dwustu pseudo-szpiegów, zupełnie nie byłem przygotowany na spotkanie z autentycznym i myślałem, że takich w ogóle nie ma.

Jeśli wierzyć jego słowom, pochodził z arystokratycznej rodziny. Gdy miał trzy lata, postanowiono, że będzie w przyszłości sztabowcem, od szóstego roku życia chodził do szkoły kadetów wywiadu. Gdy dorósł, wybrał sobie jako pole przyszłej działalności — Związek Sowiecki, wychodząc z założenia, że tu właśnie

* *Schutzbund* — austriacka organizacja robotnicza, rodzaj oddziałów ochronnych związanych z partiami socjalistyczną i komunistyczną. Brała udział w powstaniu 1934 roku, dowodzonym przez Kolomana Walescha i krwawo stłumionym.

kontrwywiad jest najefektywniejszy i że praca szczególnie jest trudna, bo wszyscy wzajemnie się podejrzewają. Dziś miał przekonanie, że nieźle tu się spisał. Przez kilka lat poprzedzających wojnę był w mieście Nikołajew i ponoć zapewnił armii rumuńskiej zajęcie stoczni w całości, bez uszkodzeń. Później pracował w wytwórni traktorów w Stalingradzie, następnie w Uralskich Zakładach Budowy Maszyn. Wszedł kiedyś do gabinetu naczelnika dużego oddziału w sprawie składek związkowych, przymknął drzwi i uśmiech przygłupka nagle zniknął z jego twarzy, znów pojawiła się w niej ta ostrość pałasza: „Ponomariow! (na Uralmaszu facet posługiwał się innym nazwiskiem). Mamy was na oku od Stalingradu. Opuściliście tam cichcem wasze stanowisko (w Stalingradzkiej Wytwórni był jednym z szefów) urządziliście się tutaj pod fałszywym nazwiskiem. Wybierajcie — albo wasi dadzą wam kulę, albo pracujecie z nami". Ponomariow wybrał robotę z nimi i bardzo to podobne do takiego knura na dorobku. Logotenent korzystał z jego usług aż do chwili, gdy sam został podporządkowany niemieckiemu rezydentowi w Moskwie, który posłał go do Podolska, zgodnie z jego PROFILEM. Jak mi wyjaśnił Vladimirescu, wywiadowcy-dywersanci przygotowywani są możliwie wszechstronnie, ale każdy z nich ma jeszcze swój profil, swoją specjalność. Vladimirescu był wyspecjalizowany w przecinaniu głównej linki spadochronu. W Podolsku przed składem spadochronów spotkał go dowódca warty i (kto to był? cóż to za człowiek taki?!) wpuścił logotenenta do składu na osiem nocnych godzin. Przesuwając drabinkę wzdłuż rzędu spadochronów, leżących stosikami, nie zmieniając położenia najmniejszej nawet fałdki, Vladimirescu rozchylał osłonkę centralnej linki, specjalnymi nożycami przecinał cztery piąte jej grubości, zostawiając jedną piątą po to, aby pękła dopiero w powietrzu. Przez wiele lat Vladimirescu uczył się i przygotowywał do tej jednej nocy. Teraz, pracując gorączkowo, w ciągu ośmiu godzin zdołał ponoć zniszczyć prawie dwa tysiące spadochronów (po piętnaście sekund na spadochron?!). „Zlikwidowałem całą sowiecką dywizję spadochronową!" — z szyderczą radością błyskał swoimi czereśniowymi oczyma.

Gdy go aresztowali, odmówił zeznań i przez osiem miesięcy siedząc w butyrskiej pojedynce nie puścił pary z gęby. „I nie wzięli was na tortury?" — „N-nie" — skrzywił wargi, jakby w ogóle nie dopuszczał takiej możliwości, skoro mowa o człowieku, który nie był sowieckim poddanym. (Bij swoich, żeby obcy się bali! A szpieg — to skarb, może się jeszcze przydać do wymiany). Nadszedł dzień, w którym pokazano mu gazety: Rumunia skapitulowała, prosimy o zeznania. Milczał dalej: gazety

mogły być podrabiane. Dano mu do przeczytania rozkaz rumuńskiego sztabu generalnego: zgodnie z warunkami zawieszenia broni, sztab generalny rozkazywał wszystkim swoim agentom, aby również skapitulowali. Milczał jednak dalej (rozkaz mógł być sfałszowany). Wreszcie zorganizowano mu konfrontację z jego bezpośrednim naczelnikiem ze sztabu generalnego, który kazał mu wręcz, aby się ujawnił i skapitulował. Wtedy to Vladimirescu, nie tracąc zimnej krwi złożył zeznania i teraz, jako że dni w celi się dłużyły, zaczął mnie również opowiadać to i owo. Nie postawiono go nawet przed sądem; nie dostał żadnego wyroku! (przecież nie należy do rodziny! „Ja jestem kadrowy, aż do samej śmierci, mnie będą szczędzić").

— Ale przecież pan zdradził się przede mną — powiedziałem. — Przyglądając się pańskiej twarzy, chyba ją zapamiętam. Proszę sobie wyobrazić, że któregoś dnia spotykamy się z panem na ulicy...

— Jeżeli będę miał pewność, że mnie pan nie poznał — to jeszcze pan pożyje. Jeżeli zaś mnie pan pozna — to zabiję pana, albo zmuszę do współpracy z nami.

Wcale mu nie zależało na tym, aby psuć sobie stosunki z sąsiadem ze wspólnych nar. Powiedział to całkiem po prostu, z całym przekonaniem. Miałem pewność, że bez żadnych skrupułów mógłby mnie zastrzelić, albo zarżnąć.

W ciągu całego mojego długiego więźniarskiego żywota nie spotkałem już więcej takiego mołojca. Jedno tylko takie miałem spotkanie w trakcie jedenastu lat więzień, obozów i zesłania; inni nie mieli nawet jednego. Wydawane zaś w ogromnych nakładach nasze komiksy, tumanią młodzież, utrzymując, że takich wyłącznie ludzie wyłapują nasze O r g a n y.

Dość było rozejrzeć się po tej celi pocerkiewnej, aby przekonać się, że wyłapują przede wszystkim młodzież. Wojna się skończyła, można sobie było pozwolić na zbytek aresztowania wszystkich upatrzonych: nie trzeba będzie ich przecie brać do szeregów. Słyszałem pogłoskę, że na przełomie roku 1944/45 przez Małą (okręgową) Łubiankę przewinęła się „partia demokratyczna". Składała się ona podobno z pięćdziesięciu chłopców, miała swój statut i legitymacje. Najstarszy — uczeń 10 klasy jednej z moskiewskich szkół — był „generalnym sekretarzem". — Trafiali się w moskiewskich więzieniach w ostatnim roku wojny również studenci, spotykałem ich to tu, to tam. Zdawało się, że nie jestem jeszcze stary, ale oni byli jeszcze młodsi...

Jak niepostrzeżenie to się stało! Podczas gdy wojowaliśmy przez te cztery lata na froncie — ja, mój współoskarżony, moi rówieśnicy — tutaj wyrosło jeszcze jedno pokolenie! Alboż to

dawno sami szlifowaliśmy posadzki uniwersyteckich korytarzy, uważając się za najmłodszych i najmądrzejszych w całym kraju i na całym świecie! — i nagle widzimy, że po flizach celi więziennej kroczą ku nam z wyniosłością jacyś wybladli młodzieńcy i oto dowiadujemy się ze zdumieniem, że najmłodsi i najmądrzejsi jesteśmy już nie my, tylko oni! Ale nie poczułem się przez to dotknięty, już wtedy rad byłem posunąć się, żeby innym zrobić miejsce. Rozumiałem dobrze tę ich pasję spierania się ze wszystkimi i ambicję, aby wszystko wiedzieć. Rozumiałem ich dumę z tego, że obrali słuszną drogę i że tego nie żałują. Dookoła tych zarozumiałych, ale mądrych głów mrowił się blask więziennych aureoli.

Miesiąc wcześniej, w innej, półszpitalnej celi butyrskiej, ledwie tylko stanąłem w przejściu, a szukałem sobie dopiero miejsca — już wyszedł mi na spotkanie z nadzieją na rozmowę, ba, z niemą prośbą o spór — blado-żółty młodzieniec o twarzy naznaczonej żydowską rzewnością, opatulony, nie bacząc na letnią porę, w postrzępiony, podziurawiony szynel żołnierski; miał dreszcze. Nazywał się Borys Gammerow. Zagabnął mnie, posypały się pytania, rozmowa jednym bokiem otarła się o nasze biografie, drugim — o politykę. Nie pamiętam z jakiego powodu, wspomniałem o jednej z modlitw, nieżyjącego już wtedy prezydenta Roosevelta, opublikowanej w naszych gazetach i dodałem, jako rzecz oczywistą:

— No, to już na pewno hipokryzja.

I raptem żółtawe brwi mojego młodego rozmówcy drgnęły, błahe wargi zacięły się, podniósł się jakby trochę i zapytał:

— Dla-cze-go to? Dlaczego nie uważacie za możliwe, by działacz państwowy mógł szczerze wierzyć w Boga?

Tylko tyle! Ale — z jakiej strony zostałem zaatakowany? Usłyszeć takie słowa od chłopca urodzonego w 1923 roku?... Mogłem mu był dać odpowiedź w paru stanowczych słowach, ale moja pewność siebie uległa już w więzieniach zachwianiu, a co ważniejsza, tkwi w nas, niezależnie od przekonań, jakieś czyste uczucie i ono to oświeciło mnie, iż mówiłem teraz nie z własnego natchnienia, tylko, że ktoś inny mi to do głowy włożył. I — nie potrafiłem dać mu odprawy. Zapytałem tylko:

— A wy wierzycie w Boga?

— Oczywiście — odparł ze spokojem.

Oczywiście? Oczywiście... Tak, tak. Komsomolska młodość już gubi liście, już wszędzie gubi liście. I NKGB zdało sobie z tego sprawę wcześniej, niż tylu innych.

Nie bacząc na swoją młodość, Boria Gammerow nie tylko zdążył już powojować — jako sierżant w przeciwczołgowej ba-

terii czterdziestek piątek, zwanych „żegnaj, Ojczyzno!" lecz także dostać kulę w płuca. Rana dotychczas nie była wyleczona, co stało się powodem procesu gruźliczego. Gammerow zwolniony został z szeregów jako inwalida, wstąpił na wydział biologii Uniwersytetu Moskiewskiego i w ten sposób przeplotły się w nim dwa pasma — jedno wysnute z żołnierki, drugie — z całkiem nie głupiego i wcale nie martwego — życia studenckiego pod koniec wojny. Zebrało się więc całe kółko ludzi, którzy rozmyślali i rozprawiali o przyszłości (chociaż nikt im nie kazał) — i właśnie wśród nich doświadczone oko Organów wytypowało sobie i wyrwało trzech chłopców.

Ojciec Gammerowa został zatłuczony w więzieniu, czy też rozstrzelany w 37-mym roku, a teraz syn rwał się, by iść w jego ślady. Podczas badań przeczytał z u c z u c i e m śledczemu kilka swoich wierszy (bardzo żałuję, że nie zapamiętałem ani jednego z nich, nie mogę ich znaleźć, a chętnie bym przytoczył).

Na przeciąg paru miesięcy szlak mój skrzyżował się z losami wszystkich trzech współoskarżonych: w innej jeszcze butyrskiej celi poznałem Wiaczesława D. — tacy też bywają w każdej młodzieżowej sprawie: był bardzo ŻELAZNY w swoim kółku, a następnie p ę k ł podczas śledztwa i — jak się zdaje — hołubił w głębi serca nadzieję, że wpływowy tatuś go poratuje.

Później jeszcze dogonił mnie w butyrskiej cerkwi Georgij Ingał, najstarszy z nich. Nie bacząc na młody wiek, był już kandydatem Związku Pisarzy. Pióro miał żwawe i ostre, pisząc — używał barw kontrastowych, gdyby był politycznie potulniejszy, to bez trudu otwarłyby się przed nim efektowne i bezludne drogi kariery literackiej. Pisał powieść o Debussy, prawie już ją zakończył. Ale pierwsze sukcesy go nie wyjałowiły. Na pogrzebie swego mistrza, Jurija Tynianowa* powiedział w przemówieniu, że zmarłego pisarza zaszczuto — czym zapewnił sobie skazanie na 8 lat.

Tu z kolei dogonił nas Gammerow i czekając na moją Krasną Presnię, miałem okazję do starcia się z ich wspólnymi poglądami. Była to trudna dla mnie przeprawa. Byłem w tym czasie bardzo gorliwym zwolennikiem sposobu myślenia, który nie pozwalał na akceptację nowego faktu, ani na ocenę wartości żadnej nowej opinii — zanim się nie znalazło dla nich etykietek z gotowego zapasu. Tu — nie wiadomo było, czy to dwoistość burżuazyjnego myślenia, czy też nihilizm zdeklasowanej inteligencji. Nie pamiętam, by Ingał i Gammerow atakowali Marksa w mojej

* Znakomity historyk literatury, filolog i powieściopisarz rosyjski („Archaiści i nowatorzy". „Śmierć Wazyr-Muchtara", „Küchla"), jeden z filarów tzw. szkoły formalistycznej.

obecności, ale pamiętam, jak szarżowali na Lwa Tołstoja — i to z jakiej strony! Tołstoj odrzucał doświadczenie cerkwi? Ale przecież nie brał pod uwagę jej roli mistycznej i organizującej! Negował tezy Pisma Świętego? Ale współczesna nauka nie widzi w Biblii sprzeczności, nawet w jej pierwszych zdaniach, poświęconych stworzeniu świata. Przeczył potrzebie istnienia państwa? Ale przecież bez niego będzie chaos! Głosił harmonijne zespolenie pracy fizycznej z umysłową w jednym człowieku? Ależ to bezmyślna niwelacja talentów! I wreszcie — jak tego dowiódł nam Stalin swoimi aktami samowoli — jednostka może okazać się decydującym czynnikiem dziejów, Tołstoj zaś natrząsał się z tego poglądu[4]!

Chłopcy recytowali mi swoje wiersze i żądali moich w zamian, ja zaś nie miałem jeszcze nic w zapasie. Szczególnie często cytowali Borysa Pasternaka, którego cenili nade wszystko. Czytałem niegdyś jego tom „Życie, moje siostra" i poezja ta nie podobała mi się, wydawała mi się manieryczna, przeciążona elementami pozarozumowymi, bardzo już odległa od zwykłych, ludzkich szlaków. Ale chłopcy otworzyli mi oczy na piękności ostatniego słowa lejtnanta Szmidta* na jego procesie — i przeszył mnie na wskroś sens tych słów, bo tak bardzo przylegał do naszej sytuacji:

Miłością kraju ojczystego
Żyłem od lat zarania.
Nie dbam o litość — i żadnego
Nie czekam zmiłowania.

Od Ingała i Gammerowa bił właśnie blask tegoż przeświadczenia: nie chcemy waszej litości! Więzienie nas nie zgnębiło, dumni jesteśmy, że siedzimy! (Chociaż — kto w istocie nie czuje się tu zgnębiony? Młoda żona Ingała po kilku miesiącach wyrzekła się go i porzuciła. Gammerowowi zaś rewolucyjne dociekania nie zostawiły czasu na znalezienie sobie kogoś bliskiego). Czy nie tu właśnie, w celach więziennych, zdobywa się świadomość wielkiej prawdy? Cela jest ciasna, ale czy s w o b o d a nie jest jeszcze ciaśniejsza? Czy to nie nasz własny naród, zadrę-

4. Zarówno przed, jak po aresztowaniu długo jeszcze uważałem, że Stalin pchnął w fatalnym kierunku rozwój państwowości sowieckiej. Ale oto Stalin umarł cicho — i czy tak bardzo się zmienił kurs okrętu? Własną, osobistą cechą, którą Stalin nadał charakterowi bieżących wypadków, była przygnębiająca tępota, sobiepaństwo, samouwielbienie. Co do reszty — to kroczył trop w trop przetartym już torem.

* Mowa o poemacie *Lejtnant Szmidt*, którego bohaterem jest szlachetny i tragiczny przywódca powstania we flocie wojennej Morza Czarnego w 1905 roku, skazany na śmierć w Sebastopolu.

czony i oszukany, leży obok nas pod narami i w przejściu między nimi?

Nie powstać, kiedy kraj mój wstaje —
Byłoby ponad siły.
I nie żałuję ani stai
Z tej drogi, co przebyłem.

Młodzież, siedząca w celach więziennych za p o l i t y k ę — to nie jest nigdy młodzież przeciętna, zawsze są to ludzie, którzy wysforowali się daleko do przodu. Zasadnicza masa ówczesnej młodzieży miała się dopiero w przyszłości „poddać rozkładowi" i rozczarowaniu, miała zobojętnieć, polubić słodkie życie — aby kiedyś, znacznie później, z dna tej zacisznej zapadliny rozpocząć znowu gorzką wspinaczkę na nowe zbocza — może za dwadzieścia lat? Ale młodziutcy więźniowie 45-ego roku, ze swoim artykułem 58-10, całą tę przyszłą przepaść obojętności przesadzili jednym skokiem i dzielnie nieśli własne głowy — w górę, pod topór.

W butyrskiej cerkwi, już osądzeni, już odrąbani, już odłączeni, moskiewscy studenci ułożyli pieśń i śpiewali ją o zmierzchu, nieskładnymi jeszcze głosami:

Sałamachę jemy tu wystygłą,
Lecz na pieśniach schodzą nam wieczory
I więzienną, przemycaną igłą
Ścibolimy już tułacze wory.

Już nas własne nie obchodzą biedy,
P o d p i s a ł e ś — więc wszystko masz z głowy.
Czy ktokolwiek powróci? I kiedy?
Zza sybirskich drutów obozowych?

Boże mój, więc pokpiliśmy całą sprawę? Podczas gdy taplaliśmy się w glinie przyczółków, kuliliśmy się w lejach bombowych, wysuwaliśmy artyleryjskie lornety zza krzaków — tutaj zdążyła wyrość i ruszyć przed siebie nowa młodzież! Czy nie w TĘ WŁAŚNIE STRONĘ ruszyła, nie tam, gdzie nie ośmielaliśmy się nawet spojrzeć? — cóż, dano nam inne wychowanie.

Nasze pokolenie wróci, odda broń i dzwoniąc orderami opowiadać będzie z dumą o swoich bitewnych przewagach — a młodsi bracia tylko się skrzywią: ech, wy niedołęgi!...

Koniec drugiej części

SPIS TREŚCI

OD AUTORA 9
Heinrich Böll: *Boska gorycz Aleksandra Sołżenicyna* 15

Część pierwsza

PRZEMYSŁ WIĘZIENNY

I — *Aresztowanie* 27
II — *Dzieje naszej kanalizacji* 45
III — *Śledztwo* 106
IV — *Błękitne wyłogi* 149
V — *Pierwsza cela — pierwsza miłość* 179
VI — *Ta wiosna* 226
VII — *W stacji pomp* 261
VIII — *Dzieciństwo prawa* 280
IX — *Prawo dorasta* 310
X — *Prawa wiek męski* 342
XI — *Kara główna* 396
XII — *Kara więzienia* 417

Część druga

WIECZNY RUCH

I — *Okręty Archipelagu* 445
II — *Porty Archipelagu* 482
III — *Karawany niewolników* 510
IV — *W wyspy na wyspę* 529

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 20 JUIN 1974
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII[e])
Dépôt légal : 2[e] trim. 1974
Imprimé en France.

Odkwaszone

24-11-2008

Soc. Hist. et Lett. Pol.
Paris, 4. XII. 78

F. 60 (dol. 13,00)